

# Ukochana diabła

Foley Gaelen

Książka V z Książę



calibre 0.9.27

## ***Prolog***

*Anglia, 1805*

Trzy czarne czterokonne powozy pędziły na złamanie karku drogą do Oksfordu. Księżyc oświetlał je srebrzystą poświatą. Słysząc było świst bata i parskanie koni, pokrytych pianą. Powoziło trzech sławnych w Londynie hulaków. Młode, zacięte twarze były zaczerwienione z wysiłku, rysy ściągnięte w grymasie desperackiego uporu. Musieli dopędzić dyliżans, wyprzedzający ich o kilka mil. Jesienny wichur rozwiewał sterty zeschniętych liści, które wirowały przed końmi, zagradzając im drogę.

Ale koła obracały się jak szalone.

Kilka mil przed nimi dyliżans pocztowy, który zmierzał do Holyhead, zatrzymał się na dziedzińcu zajazdu Pod Złotym Bykiem. Gromadka zmęczonych drogą pasażerów właśnie wysiadała.

- Możecie państwo odpocząć dwie godziny, zanim znów ruszymy w drogę - powiadomił podróżnych jowialny woźnica. Pomógł wsiąść jednej z dam.

- Dziękuję - szepnęła spod zakrywającego twarz woalu. Ukradkiem obejrzała się, mierząc szybkim spojrzeniem ciemność za ich plecami.

Żadnych śladów pogoni. Na razie. - Idziemy, Johnny!

Wzięła za rękę wystraszonego chłopca, który wysiadł z dyliżansu tuż za nią. Ruszyła zdecydowanym krokiem w stronę krytego strzechą budynku z drewnianą galerią na każdym piętrze i z czarnymi okiennicami.

Gdy wchodziła do frontowego holu, jej miedziane długie włosy wysunęły się spod woalu. Zasłaniała nim dobrze znane rysy twarzy i... siniak pod okiem, pamiątkę po utarczce z opiekunem.

- Czy macie wolne pokoje? - spytała. Drżącą ręką wpisała do rejestru gości swoje prawdziwe nazwisko: Mary Virginia Harris. Nadal tak ją nazywano w irlandzkiej wiosce, w której teraz zamierzała się schronić.

Natomiast w Londynie znano ją tylko pod scenicznym pseudonimem.

Johnny trzymał się tuż za nią. Chłopięca brawura całkiem opuściła trzynastolatka. Wątle ciało trzęsło się bardziej ze strachu przed konsekwencjami ich zuchwałej ucieczki niż od chłodu listopadowej nocy.

- Oczywiście, łaskawa pani.

Właściciel zajazdu usiłował zerknąć pod woal, powstrzymało go jednak zachowanie damy. Niebawem poprowadził ją i jej „syna” na otoczone drewnianą galerią piętro, gdzie wskazał im pokój. Na dole w ogólnej izbie z szynkwasem spora grupa okolicznych mieszkańców popijała i grała w strzałki.

Johnny i towarzysząca mu kobieta stali na korytarzu, czekając, aż

gospodarz otworzy im drzwi, gdy z sąsiedniego pokoju wysunęła głowę mała, może czteroletnia dziewczynka. Zachichotała, jakby chciała powiedzieć: „A kuku!” Zaskoczona i oczarowana Mary przyglądała się

dziecku, póki zza sąsiednich drzwi nie doleciał karcący kobiecy głos:

- Sarah, kochanie! Wracaj tu natychmiast.

Dziewczynka uśmiechnęła się szeroko i znikła. Mary podziękowała

właścicielowi zajazdu i wsunęła mu do ręki monetę, po czym weszła do

pokoju w ślad za Johnnym.

W chwilę później Sarah wyjrzała znów na korytarz, ale ładnej pani

z zasłoniętą twarzą już nie było. Dziewczynka przemknęła więc przez

pokój, wymijając rodziców, i ostrożnie wspięła się na krzesło, by wyjrzeć

przez okno. Pochuchała na szybę i końcem palca narysowała na zaparowanym szkle uśmiechniętą buzię - dokładnie tak, jak ją nauczył starszy brat, Devlin. Nie mogła się już doczekać, kiedy go zobaczy. Jechali właśnie, aby przywieźć Deva ze szkoły. Nie była to jeszcze Gwiazdka, ale pozwolili mu już wrócić do domu! Z jakiegoś niezrozumiałego powodu

ta cudowna nowina sprawiła, że mamusia i tatuś się posprzeczali.

- Dajże spokój, Katie Rose - mówił tatuś, przecierając okulary

chustką. - Nie ma co się tak unosić. Jestem pewien, że chłopiec wszystko nam wyjaśni.

- Wyjaśni?! Stephenie, twój syn uderzył pomocnika proktora! Posłaliśmy go na najlepszy uniwersytet w Anglii, a on tak się zachowuje?

- Ma dopiero siedemnaście lat, Katie. Wszyscy chłopcy w okresie dojrzewania pozwalają sobie na różne wybryki. Zresztą Devlin ma najlepsze oceny w swojej grupie.

- Wiem, niech go licho! Nie musi się nawet wysilać. - Z irytacją skrzyżowała ramiona na piersi. - Nasz synek ma szczęście, odziedziczył tęgą głowę po tobie!

- A wojowniczego ducha po tobie - odparł z czułością, biorąc ją pod brodę. - Że nie wspomnę o tych wielkich błękitnych oczach. No, lady Strathmore, uśmiechnij się do mnie... bo scałuję ten grymas z twoich ust!

Mimo woli się uśmiechnęła.

- Zachowaj te sztuczki dla dziekana! Po wybrykach Devlina chyba

tylko pokaźna dotacja na rzecz kolegium uratuje sytuację. Może nie wydalą go z uczelni? Och, mam nadzieję, że temu nicponiowi nic się nie stało!

- Na pewno tylko się popisywał, jak to chłopcy.

Skinęła głową.

- Sama już nie wiem, na co mam większą ochotę: udusić tego potwora, czy uściskać go z całej siły.

- Przecież jesteś jego matką - powiedział łagodnie. - Dla Devlina

największą karą będzie świadomość, że cię zawiódł. Lepiej go uściskaj.

- Kocham cię, Stephenie - westchnęła, opierając głowę na jego ramieniu. - Co ja bym zrobiła bez ciebie?

- Koniki! - wykrzyknęła Sarah, wyglądając ciekawie przez okno,

gdy trzy czarne powozy wpadły z turkotem na dziedziniec.

Pierwszy z nich zatrzymał się tuż za dyliżansem. Młody woźnica

natychmiast zeskoczył z kozła. Quentin, lord Randall, był wielkim, po-

tężnie zbudowanym mężczyzną. Miał dwadzieścia sześć lat. Nazywano

go Łamignatem, bo budził postrach w modnych wówczas w Londynie

szkołach bokserskich. Miał piwne oczy, grube rysy, szopę ciemnych

włosów i kwadratową, wyrazistą twarz z dołkiem w brodzie.

Quint wkroczył wojowniczo Pod Żłotego Byka, nie czekając aż dogonią go towarzysze, Carstairs i Staines. Widok stojącego na dziedzińcu dylizansu upewnił go, że w zajeździe znajdzie Ginny.

Wiedział, że wybrała dylizans do Holyhead, gdyż chciała dotrzeć statkiem pocztowym do Irlandii. Tylko że on, Quint, nigdy jej na to nie pozwoli!

Ginny należy do niego i już!

9

Dotarł na koniec frontowego holu, zaglądając po drodze do izby

z szynkwasem. Podszedł do właściciela zajazdu i wyrwał mu z rąk księgę

gości.

- Czym mogę służyć wielmożnemu panu?

Quint mruknął coś w odpowiedzi, nie przerywając przeglądania nazwisk, póła nie natrafił na takie, które wydało mu się znajome. Mary Harris.

Ginny powiedziała mu kiedyś, jak naprawdę się nazywa. Dziwne, że to zapamiętał - starał się zapomnieć o jej gminnym pochodzeniu. Sto razy wołał

jej sceniczny pseudonim - Ginny Highgate. Olśniewająca aktorka, której

wszyscy pragnęli, a on zdobył ją tylko dlatego, że się uparł, psiakrew!

Jego dziewczyna, jego cudo, jego największa zdobycz.

Zwalisty baron z Yorkshire bez słowa zaczął przeszukiwać wnętrze

zajazdu, rycząc co chwila:

- Ginny!

- Przeklęty dureń! Nie wie co to dyskrecja? - mruknął pod nosem Carstairs, wymieniając pełne napięcia spojrzenie ze Stainesem, gdy wchodzili Pod Żłotego Byka.

Wytworny, odziany z nieposzlakowaną elegancją Julian, hrabia Carstairs, miał jasne jak len włosy, delikatne rysy i bladoniebieskie, zimne oczy. Sir Torquil Staines, zwany Krwawym Stainesem, niezwykle celny

strzelec i amator pojedynków, odznaczał się przenikliwymi czarnymi

oczyma i ciemną, diaboliczną bródką przyciętą w szpic.

- Postarajmy się załatwić sprawę jak najdyskretniej, dobrze? - mruknął Carstairs.

Staines skinął głową. Potem się rozdzielili, by pomóc Quintowi

w odnalezieniu tej irlandzkiej dziewczyny.

- Ta suka ośmieliła się zabrać mi Johnny'ego! - wściekał się Carstairs. Na szczęście, dodał w duchu z pogardą, odzyskam chłopca, nim ktokolwiek się zorientuje, o co chodzi!

W korytarzu na górze Quint otwierał na oścież drzwi pokoi, poszukując zbiegłej kochanki. Słychać było okrzyki oburzenia, od czasu do czasu wrzask lub piski, gdy wpadał nagle do czyjegoś pokoju. Nie wszyscy jednak protestowali, widząc groźną posturę Quinta i bezwzględność w jego spojrzeniu.

Obszedł w ten sposób cały korytarz i wreszcie dotarł do drzwi zamkniętych na klucz. Chwycił za klamkę i przyłożył ucho do desek.

10

- Ginny?

Żadnej odpowiedzi. Przymknął oczy, starając się wyczuć jej obecność po drugiej stronie drzwi. Wierzył, że są ze sobą tak mocno związani, iż jest to możliwe. O Boże! Poczł wyraźnie zapach jej perfum!

Ginny!

Szarpnął drzwiami i usłyszał zza nich cichy płacz.

- Wyłaż stamtąd, Ginny! Wracamy do domu! Przecież wiesz, do

cholery, że cię kocham!

Kopnął w drzwi z całej siły... raz, drugi, trzeci. Jego czarny, wysoki

but omal nie przeszedł na drugą stronę. Drewno przy zawiasach wyraźnie pękało. Oderwał je i wtargnął do pokoju, ciężko dysząc.

- Ginny...

Schowała się w kącie. Mały lokajczyk Carstairsa tulił się do niej.

Quint widział wyraźnie podbite oko Ginny, ale nie czuł wyrzutów

sumienia. Zasłużyła sobie na to, psiakrew!

- Chodź no tu - rozkazał, wyciągając do niej rękę. - Wracamy do domu - powtórzył.

- Nie! - zaprotestowała.

- Zostaw ją w spokoju!

Johnny zasłonił sobą dziewczynę, stawiając czoła olbrzymowi.

Quint zaklął pod nosem i zdzielił na odlew chłopaka, który upadł, krzycząc z bólu.

- Co się tam dzieje, na litość boską?! - wykrzyknęła w sąsiednim pokoju lady Strathmore. Wzięła się pod boki i spojrzała na męża.

Stephen wbił wzrok w rozdzielającą oba pokoje cienką ścianę.

- Lepiej tam pójde i spróbuję pomóc. Zostań z mamusią, złotko.

Pogłaskawszy córkę po kędzierzawej główce, wysoki, atletycznie

zbudowany wicehrabia wyszedł na korytarz. Nie dostrzegł chłopca, który przed chwilą wybiegł z sąsiedniego pokoju, by wezwać pomoc.

Johnny bardzo się bał. Zbiegał ze schodów tak szybko, że z impetem

wpadł na kogoś, kto właśnie wchodził na górę. Czyjeś ręce chwyciły go

za ramiona. Dobrze znał ich dotyk. Serce w nim zamarło... W głębi duszy od początku wiedział, że z tej ucieczki nic nie będzie. Zwłaszcza że hrabia Carstairs też wyruszył za nimi w pościg.

11

- Johnny? A, tutaj jesteś! - Hrabia chwycił go jeszcze mocniej i pochylił się, by spojrzeć mu w twarz. W jego oczach był gniewny wyrzut.

-Jak śmiałeś ode mnie uciec, niewdzięczniku? - rzucił szorstkim szeptem i potrząsnął chłopcem. -Jak mogłeś zwrócić się przeciwko mnie po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiłem?!

- Przepraszam... - wykrztusił Johnny.

- Czyż nie zapewniłem ci domu, nie troszczyłem się o ciebie?

A ty chciałeś pomóc tej niegodziwej kobiecie posłać mnie na szubienicę?



- Na szubienicę? - powtórzył chłopak jak echo. Serce mu waliło.

- Tak, Johnny. W ten sposób rozprawiają się z takimi jak ja i ty.

I właśnie dlatego musimy strzec naszego sekretu. - Carstairs spojrzął

nań ostrzegawczo. - Kto się tobą zaopiekuje, jeśli mnie powieszą, Johnny? Kto będzie posyłał pieniądze twojej biednej mamie?

Kiedy skruszony chłopiec zwiesił głowę, Carstairs nieco złagodniał.

- Chodźmy! Zabiorę cię do powozu.

Trzymając rękę na plecach Johnny'ego, wyprowadził chłopca z zajazdu i upewnił się, że zajął miejsce w wysokim sportowym powozie.

- Zostań tu - polecił. - Muszę się upewnić, że pan Quint załatwił

jakoś sprawy z panną Highgate. Do jutra zapomnimy o wszystkim.

- Tak jest, proszę pana - wymamrotał chłopiec.

Zadowolenie Carstairsa nie trwało długo. Gdy wracał do zajazdu,

ciszę zakłócił wystrzał.

A niech to wszyscy diabli! Widać Quint zabił w końcu tę sukę.

Kiedy Carstairs dotarł na miejsce, przekonał się, że sytuacja przedstawia się znacznie gorzej, niż przypuszczał.

Wszystko wymknęło się spod kontroli.

Kędzierzawa dziewczynka wrzeszczała na korytarzu, a Ginny i jakaś

kobieta, zupełnie rozhisteryzowana, klęczały obok leżącego na podłodze

mężczyzny. Koło nich Quint stał jak skamieniały. Ręka z pistoletem zwisała mu bezwładnie. Na jego twarzy nie było śladu zatwardziałej buty, tylko przerażenie. Właśnie dopuścił się zbrodni.

- Stephen! Stephen!... Na miłość boską, wezwijcie lekarza! - zawodziła ciemnowłosa kobieta, usiłując zatamować krew, płynącą z rany w piersi męża. Nadaremnie.

Jak we śnie Carstairs podszedł bliżej. Spojrzął na rannego i rozpoznał w nim znanego członka Izby Lordów.

- Rany boskie, Quint! - szepnął. - Zastrześliś Strathmore'a!

- Stephen! - powtarzała wicehrabina, ale mąż nie reagował na jej wołanie.

Carstairs myślał tylko o tym, jak wyjść cało z opresji. Jego umysł stał się wyjątkowo jasny.

Quint chwycił go za ramię.

- Nie chciałem tego! Musisz mi pomóc, Carstairs!...

- Opanuj się, do cholery! "wyciągnę nas z tego. Tylko słuchaj uważnie, Quint!

Piers Quintina ścisnął paniczny strach: Pochylił jednak głowę, słuchając instrukcji.

Choć sam zmagał się z paniką, Carstairs przejął dowodzenie.

- Wyjdź na korytarz i trzymaj straż na górnym podejście schodów.

Nikogo stąd nie wypuszczaj. Musimy ograniczyć sprawę do tego piętra.

Dopilnujesz tego?

- Tak - wychrypiał Quint.

- No to do roboty!

Kiedy baron udał się na swoje stanowisko, Carstairs podszedł do lady Strathmore i ujął ją za ramię.

- Proszę się uspokoić, milady. Posłaliśmy po lekarza - skłamał. -

Póki się nie zjawi, proszę tamować krew, jak dotąd. Doskonale!

W ten oto sposób uciszył ją, dał jej zajęcie i odrobinę nadziei. Zbyt oszołomiona, by rozpoznać kłamstwo, lady Strathmore skinęła głową.

Drżała na całym ciele. Nagle przypomniała sobie o płaczącym wniebogłosy dziecku.

- Moja córeczka! Może pan...

- Ja się nią zajmę - wymamrotała Ginny i pobięła po splakane maleństwo.

Carstairs spojrział na aktorkę z nienawiścią. Potem zwrócił się do

Stainesa:

- Gdyby ktoś ci przeszkadzał, skończ z nim.

Staines skinął głową jak żołnierz po otrzymaniu rozkazu.

Carstairs oddalił się, by przywrócić porządek w zajezdzie. Przywołał

na twarz swobodny, uroczy uśmiech, po czym zszedł do holu na dole.

Kilka osób z niepokojem spoglądało w stronę schodów, ponieważ doszedłszy do wniosku, że w galerii na górze zdarzyło się coś niedobrego.

13

- Chciałem przeprosić, jeśli kogoś zaniepokoił wystrzał z pistoletu

- powiedział do właściciela zajazdu głośno, by wszyscy mogli usłyszeć.

- Czyściłem go w swoim pokoju i nagle mi wypalił. Obawiam się, że

przestraszyłem mieszkającą obok damę. Chciałbym zapłacić za jej nocleg, by jakoś wynagrodzić jej tę przykrość.

- Cóż... to bardzo ładnie z pańskiej strony - odparł jowialnie gospodarz. Wyjaśnienie wyraźnie go uspokoiło.

Carstairs rzucił garść monet na kantorek.

- Raz jeszcze przepraszam za zamieszanie. A może kolejkę czegoś

mocniejszego dla wszystkich dżentelmenów? Co wy na to, gospodarzu?

- Doprawdy, kapitalny facet! - mruknął ten i ów za odchodzącym.

Carstairs odetchnął głęboko chłodnym powietrzem nocy. Czuł lekkie mdłości. Wiedział też, że jego wyjaśnienia odsunęły jedynie katastrofę. Może o godzinę. Później wszystko się wyda. Najlepiej byłoby po prostu uciec, ale zbyt wiele osób ich tu widziało. W dodatku chodziło

o morderstwo członka Izby Lordów, para Anglii. Strathmore był ogólnie

szanowany.

Carstairs czuł suchość w ustach. Rozejrzał się dokoła, szukając sposobu, by uniknąć katastrofy. Jeśli

nie zdołają ukryć występku Quinta, śmierć Strathmore'a stanie się przedmiotem dochodzenia. A wtedy

i jego wezmą pod lupę. Nie mógł pozwolić, by ktoś grzebał w jego sprawach. Nadal obowiązywały stare prawa, nakazujące karać śmiercią sodomitów... Nie pozwoli, by go publicznie zhańbiono, a może i zgładzono, z powodu słabości do chłopców!

Johnny nadal posłusznie czekał w powozie. Carstairs ogarnął rozgorączkowanym spojrzeniem dziedziniec. Zauważył furgon dostawczy w pobliżu wejścia do szynku. Wóz był pełen beczek, a na bokach wielkimi literami wypisano: „Brandy i inne trunki”.

Wpadł na szatański pomysł. Spojrzał na drewniane galerie, wysuszone jak szczapy na podpałkę; na słomianą strzechę i czarne okiennice, zamknięte na noc. Zerknął raz jeszcze na beczki z trunkami.

Kilka minut później wraz z Quintem i Stainesem pracowali gorączkowo, w absolutnej ciszy. Rozlewali brandy, whisky i porto wokół budynku. Zamykali od zewnątrz okiennice.

- Co z Ginny? - burknął Staines, biorąc do rąk pochodnię. - Chcesz

ją stąd zabrać?

14

- Do diabła z tą dziwką! - warknął Quint. - To wszystko przez nią!

Zapalił swoją pochodnię od pochodni Stainesa i obaj podłożyli ogień

z różnych stron budynku.

Kilka minut później trzy powozy z turkotem odjechały, pozostawiając za sobą płomienie, strzelające coraz wyżej w czarne niebo.

- Zbierz siły, najdroższy! Wyciągnę cię stąd, Stephenie! Nie poddawaj się, kochany!

Pożar szalał w całym zajeździe. Obie kobiety z początku go nie zauważyły, tak były przejęte obawą o życie lorda Strathmore'a. Teraz jednak dym dostał się na piętro. Mary tuliła w ramionach wyrywającą się czterolatkę i próbowała skłonić jej matkę, by uciekała razem z nią. Wicehrabina jednak nie chciała opuścić męża. Ciągle jeszcze żył, a teraz

półprzytomny szeptał:

- Katie...

- Stephen! Musisz wstać. Oprzyj się o mnie!

Usiłowała dźwignąć wysokiego, potężnie zbudowanego mężczyznę.

Mary pomagała jej, ale ranny nie mógł utrzymać się na nogach.

- Przykro mi, Katie... Uciekaj! - zaklinał ją. - Zabierz Sarah...

- Nie opuszczę cię! - Odwróciła się raptownie do Mary. - Ocal

moje dziecko, jeśli tylko zdołasz!

- Ależ, milady... musi pani...

- Ratuj moją córkę!

Zbita z tropu Mary skinęła głową. To przez nią ten człowiek został

ranny! Osłoniła dziecko peleryną, by choć trochę zabezpieczyć je od

dymu i ognia, i zniosła je po schodach. Były już na parterze, gdy pożar

jeszcze bardziej się rozszalał. Krzyki przybrały na sile, czarny dym unosił

się wszędzie.

Hol i szynk płonęły. Przerażeni ludzie miotali się, szukając ucieczki. Jakaś belka upadła, zagradzając drogę do jedynych drzwi. Wszystkie okiennice były zaryglowane od zewnątrz. Ktoś krzesłem rozbił jedno z okien, ale prąd powietrza podsycił tylko płomienie. Buchnęły ze zdwojoną siłą.

To było piekło.

Mary rozglądała się dokoła z przerażeniem. Nie miała wątpliwości,

że to Quint i jego przekłęci przyjaciele byli sprawcami tej tragedii. Serce waliło jej jak szalone. Żar był nie do wytrzymania. Dym szczypał w oczy

15

tak, że nie widziała, dokąd idzie. Nie mogła zaczerpnąć powietrza. Wiedziała, że jeśli nie wydobędzie się stąd jak najszybciej, straci przytomność. A wtedy umrą obydwie, ona i Sarah.

Wiedziona potrzebą uratowania dziecka biegała z pokoju do pokoju,

szukając drogi ucieczki. W salonie na tyłach zajazdu wszystko płonęło.

Zauważyła jednak, że jedna z okiennic odpadła. Chyba uda się tędy wydostać. Miały jeszcze szansę!

Ciężkie brokatowe kotary płonęły, ale Mary udało się prześlizgnąć

obok nich. Dotarła do okna i próbowała je otworzyć. W desperackiej

furii zdołała w końcu tego dokonać, po czym wypchnęła przez otwór

dziewczynkę.

- Biegnij, Sarah!

Mary usiłowała wydostać się tą samą drogą, ale ogień pożerający kotary musnął jej twarz. Wrzasnęła i wypadła przez okno. Całe jej ciało przeszył spazm bólu. Włosy zajęły się od ognia. Pożar ją gonił. Padła wreszcie na ziemię, wijąc się w męce i wówczas ktoś wylał na nią wiadro wody.

Gdy po chwili otworzyła oczy, ujrzała niewyraźne sylwetki krzątających się wokół ludzi, którzy starali się pomóc pogorzelncom.

- Mała... dziewczynka... - wykrztusiła.

- Znaleźliśmy ją. Proszę się nie ruszać, zaraz przyjdzie doktor.

Mary nie słuchała. Usiłowała się podnieść. Połowa jej twarzy piekła, jakby była obdarta ze skóry.

W tej chwili płonący dach budynku wygiął się do środka. Zajazd

Pod Złotym Bykiem oklapł nagle jak nieudany suflet i się zapadł. Krzyki

uwięzionych zagłuszył ryk zwycięskiego żywiołu. Nie można już było

nikogo uratować. Chwiejąc się na nogach, Mary chwyciła w ramiona

przerażone dziecko. Wiedziała, że jest poparzona, ale jakimś cudem uszła

z życiem. I mała Sarah również ocalała! Nie pozostaną jednak długo przy

życiu, jeśli wróci tu jej niegodziwy kochanek ze swymi kompanami.

Nie zwracając uwagi na ból, Mary wymknęła się, korzystając z ogólnego zamieszania. Zabrała ze sobą dziecko. Musi znaleźć schronienie i kogoś, kto opatrzy jej rany. Potem jak najszybciej ona i ta mała sierotka uciekną do Irlandii.

Kruczowłosy chłopiec z oczyma o barwie morza i nadąsaną miną

drzemał na twardej ławce w przedpokoju, pod gabinetem dziekana.

16

Znudziło mu się czekać w nieskończoność na karę, którą miano mu

wymierzyć.

Na początku Devlin James Kimball, siedemnastolatek, przyszedł wicehrabia Strathmore, miał paskudnego kaca po przepiciu. Trudno mu było zastanawiać się nad konsekwencjami swoich czynów, co zalecały

różne ważne osoby.

Potem jednak, kiedy przyszedł nieco do siebie, spędził dobre dwanaście godzin na układaniu efektownej mowy obrończej, która mogłaby złagodzić gniew matki. Musiał jakoś wytłumaczyć sprzeczkę... ba, bójkę z pomocnikiem prokuratora. Ale, do wszystkich diabłów, ten łajdak nie miał prawa wygłaszać takich uwag na temat bohaterskiej śmierci lorda

Nelsona i jego ostatniego zwycięstwa pod Trafalgarem!

Wiedział z doświadczenia, że mimo wszelkich jego usprawiedliwień

popędliwa rodzicielka zmiesza go z błotem. Na szczęście ojciec z pewnością stanie w jego obronie. Bóg świadkiem, że jedno, pełne wyrzutu, ojcowskie spojrzenie miało dla Devlina większe znaczenie niż wszystkie

krzyki rozsierdzonej matki. W żołądku mu burczało. Człowiek może tu

umrzeć z głodu, psiakrew! Gdzie się wszyscy podziali, u licha?

W pomieszczeniu nie było zegara. Dev miał wrażenie, że przebywa

tu od kilku dni.

Zimny dreszcz przebiegł mu po grzbiecie. Zupełnie tak, jakby stało

się coś złego. Usłyszawszy w korytarzu kroki, chłopak usiadł prosto.

Kiedy drzwi się otworzyły, Dev zmarszczył brwi. Zamiast lorda i lady

Strathmore'ów, ujrzał w progu dziekana i, czuwającego nad zdrowiem

studenckich dusz, kapelana. Oba stare sępy miały pogrzebowe miny.

- Siadaj, synu - wymamrotał dziekan niezwykle łagodnym tonem.

Dev wykonał polecenie. Zerknął w stronę otwartych drzwi i znowu

zmarszczył brwi.

- Rodzice nie przyjechali?

Kapelan wzdrygnął się i powoli usiadł obok niego.

- Drogi chłopcze, posłaliśmy po twoją ciotkę Augustę, żeby przyjechała i zabrała cię ze sobą.

Niestety, wydarzyło się coś strasznego...

**2 -**



*Londyn, 1817*

F antazyjny, zwieńczony kopułą pawilon niszczał na pustkowiu wśród ściętych mrozem bagien na południe od Tamizy. Szary lutowy deszcz

ze śniegiem siekł pordzewiałe wieżyczki i zabite deskami okna. Niektórzy mówili, że tu straszy. Inni utrzymywali, iż rzucono na to miejsce klątwę. Doradca prawny jego lordowskiej mości oczywiście wiedział

o tym wszystkim. W tej chwili zaprzętało go jednak tylko jedno - jak nic przeziębci się w tę szarugę, jeśli jego utytułowany klient zaraz nie przybędzie.

Ściskając kurczowo rączkę parasola, dobrze urodzony, choć nie-

utytułowany Charles Beecham stał otulony w ciepły płaszcz z brązowej wełny, z cylindrem nisko zsuniętym na łysiejące czoło. Na jego twarzy malowała się udręka. Nagle kichnął głośno, zasłaniając nos

chusteczką.

- Na zdrowie! - rzucił stojący obok Dalloway. Uśmiechał się przymilnie.

- Dziękuję - wycedził Charles, po czym z pełnym godności pomrukiem odwrócił się od niechlujnego pośrednika sprzedaży nieruchomości.

Dalloway był groźnym przeciwnikiem. Zamierzał wyłudzić od jego

lordowskiej mości trzy tysiące funtów za wątpliwą przyjemność posiadania tej zapomnianej przez Boga i ludzi rudery. Charles postanowił odwieść klienta od tego zakupu. Zwłaszcza że to jemu przyjdzie potem tłumaczyć

się z tego szalonego wydatku przed starą Żelazną Damą. Dyskretnie zerknął na zegarek. Wicehrabia wyraźnie się spóźniał.

19

Niestety, ustabilizowane życie doradcy rodziny Strathmore'ów zaczęło obfitować w niepokojące niespodzianki, odkąd jego lordowska mość powrócił ze swych awanturniczych wypraw zza morza.

Wicehrabia zaledwie dobiegał trzydziestki, ale miał na swym koncie

wiele wypraw i przygód, o jakich Charles wolał czytać, siedząc bezpiecznie w ulubionym fotelu.

Stara wicehrabina często raczyła swego doradcę opowieściami o bohaterskich wyczynach bratanka. Wicehrabia walczył

z piratami, przyjaźnił się z dzikusami, zmagął z drapieżną pumą, przemierzał pustynie Kandaharu... Charles uważał wszystkie te historie za wysrane z palca bajeczki, póki nie poznał osobiście wicehrabiego.

Na co mu, u licha, ta rudera?! - głowił się teraz. Przygotowywał

w myśli taktowne ostrzeżenie: przez takie właśnie nieprzemyślane decyzje, milordzie, pański stryj popadł w straszliwe kłopoty z wierzycielami.

Tak, myśleć było łatwo. O wiele trudniej powiedzieć coś podobnego

prosto w oczy Diabłu Strathmore'owi!

Nagle, spoza zasłony ołowianej mgły i siekącego lodowatymi igiełkami deszczu, do uszu prawnika dotarł jakiś hałas. Przypominało to odległy grzmot. Na początku dźwięk był ledwie słyszalny, niebawem

przeszedł w łatwy do rozpoznania tętent końskich kopyt.

Nareszcie! Charles wbił wzrok w wielką żelazną bramę dawnego

parku. Tętent nasilał się i rozbrzmiewał echem wśród bagien. Nagle

z szarej mgły wynurzył się powóz i potoczył po zwirowanym podjeździe

-jedynym przejezdnym szlaku na całych trzęsawiskach.

Cztery wspaniałe, kruczoczarne konie szły jak woda, pewnie stąpając

po oblodzonych grudach błota. Stangret jego lordowskiej mości, stajenny i dwóch lokajów spoglądali prosto przed siebie, nieczuli na kaprysy pogody. Odziani byli w liberię Strathmore'ów - ciemnobrązowe kurtki

z czarnym obszyciem, trójgraniaste kapelusze i białe zaboty pod szyją.

Charles spojrzał krzywo na swego przeciwnika. Dalloway opuścił

schronienie na szczycie imponujących, wygiętych w łuk schodów pawilonu. Utkwił chytry wzrok w zbliżającym się pojeździe. Widząc błysk chciwości w oczach Dallowaya, Charles się zasepił. Miał niemiłe przeczucie, że jego antagonistą odniesie zwycięstwo w tym starciu... Jak powiadomić o tym wicehrabinę? Starął się stłumić strach, przypominając sobie stanowczy rozkaz, jaki owa dama wydała mu zaraz po powrocie

bratanka do Londynu:

- Przesyłaj mi wszystkie rachunki Devlina - zażądała stara jędza, tonem niedopuszczającym sprzeciwu.

Kiedy Charles w bardzo taktowny sposób zakwestionował słusność tej decyzji - pragnąc jedynie oszczędzić staruszce kłopotów - wicehrabina wyśmiała jego obawy.

- Grunt, że nareszcie wrócił do domu, Charlesie! Mój przystojny bratanek musi zadać szyku w Londynie. Przesyłaj mi wszystkie jego rachunki.

I Charles posłusznie robił, co mu kazano.

Rachunki jego lordowskiej mości mknęły jak na skrzydłach do eleganckiej willi w Bath, gdzie mieszkała stara wicehrabina. Zapłaciła za piękny dom przy Portman Street i całe eleganckie umeblowanie: dywany z Aubusson, francuskie adamaszkowe draperie, klasyczne malowidła i marmurowe posągi. Z jej kieszeni szły pieniądze na wyposażenie

piwniczki, wynagrodzenie służby, powozy i oczywiście konie. Ubrania i obuwie wicehrabiego. Wpisowe i składki w klubach White'a i Brooke'a.

Ona opłacała lożę w operze, koszty przyjęć, klejnoty (dla wicehrabiego i jego kochanek). Płaciła nawet jego długi honorowe, kiedy mu karta nie

szła. Kochana stara ciotka Augusta finansowała to wszystko bez szemrania. Ale trzy tysiące funtów za walącą się ruderę w niegdysiejszym parku rozrywki?! To już był, zdaniem Charlesa, szczyt wszystkiego!

Kiedy stangret zatrzymał konie przed pawilonem, Charles z trudem przełknął ślinę. Serce zabiło mu mocniej. Obaj lokaje zeskoczyli ze swych miejsc z tyłu powozu i ruszyli jak dwa bezduszne mechanizmy: jeden, by otworzyć drzwiczki powozu, drugi z parasolem, by osłonić wicehrabiego.

Dalloway rzucił Charlesowi niespokojne spojrzenie. Nie był już taki pewny siebie.

- Nie spotkałeś pan dotąd jego lordowskiej mości, prawda? - mruknął Charles pod nosem z wyraźną satysfakcją.

Dalloway nie odpowiedział. Przyglądał się powozowi. Dwaj lokaje opuszczali właśnie metalowe schodki i przytrzymywali drzwiczki.

Pierwszą osobą, która wyszła z powozu, był Bennet Freeman, sympatyczny, starannie odziany młody Murzyn z Ameryki. Służył u jego lordowskiej mości jako osobisty lokaj. Towarzyszył panu podczas podróży dookoła świata i asystował mu przy codziennych czynnościach.

Zza okularów w drucianej oprawce inteligentne, ciemne oczy Freemana

21

zmierzyły niespokojnym spojrzeniem dziwną scenerię. Kiedy zobaczył Charlesa Beechama, pomachał mu uprzejmie ręką i pomknął

w stronę pawilonu, by schronić się przed lodowatym deszczem.

Następnie z wnętrza powozu wyłoniła się najnowsza przyjaciółka

jego lordowskiej mości, zeszła na ziemię i drobnym kroczkiem ruszyła

w stronę schodów. Jedną ręką unosiła wdzięcznie spódnice, podczas gdy

drugą zręcznym ruchem poprawiała imponujący kapelusz, ozdobiony

pękiem strusich piór.

Charles był prawdziwym dżentelmenem. Pospieszył osłonić kurtyzanę parasolem.

Dalloway gorliwie pomógł jej wspiąć się po schodach.

Jako ostatni wysiadł Diabeł Strathmore.

Lokaj z parasolem musiał bardzo wysoko unieść rękę, by osłonić znacznie przewyższającego go wzrostem wicehrabiego. Jego lordowska mość przystanął, by poprawić obramowany futrem płaszcz z czarnej wełny, narzucony niedbale na szerokie ramiona. Niewielkimi, przyciemnionymi okularami

osłonił oczy przed blaskiem popołudniowego słońca, które wychodziło zza

chmur. Kruczoczarne włosy wicehrabiego były zaczesane do tyłu i splecione w jedwabisty warkocz. W lewym uchu miał niewielki złoty kolczyk. Jego rodzina słynęła z ekscentryczności, podobnie zresztą jak z typowo irlandzkiej urody. Cerę miał nadal opaloną słońcem pustyni, choć przemierzał ją wiele miesięcy temu. Na widok adwokata, wiernego przyjaciela rodziny,

w leniwym uśmiechu wyszczerzył zęby, białe jak skały Dover.

Nikt nie potrafił się oprzeć temu uśmiechowi. Nawet Charles, podstarzały safandula, od razu się prężył i dumnie wypinał pierś. Diabeł

Strathmore wyglądał na doświadczonego, zatwardziałego w grzechu

hultaja... i rzeczywiście lepiej z nim było nie zaczynać. Ale jeśli poczuł

do kogoś sympatię, nikt nie mógł się oprzeć jego serdeczności.

- Miło cię widzieć, Charlesie!

Ruszył ku niemu długonogi, swobodny, tak dużymi krokami, że lokaj trzymający nad nim parasol musiał biec.

- Mnie również, milordzie - odparł Charles.

Skrzywił się z bólu, tak mocno wicehrabia ścisnął mu rękę. I omal

nie upadł, gdy energicznie klepnął go po plecach.

Szerokim wytwornym ruchem ręki Devlin wskazał budynek.

- Idziemy?

- Oczywiście, milordzie. Ale najpierw muszę powiedzieć...

- Masz jakieś obiekcje, Charles?

Zdjął okulary i wpatrywał się w niego przez chwilę jasnymi, drapieźnymi oczami.

Spojrzenie Charlesa spotkało się ze wzrokiem wicehrabiego. Adwokat z trudem przełknął ślinę.

- Nie, nie, milordzie. Nie mam żadnych obiekcji. Tylko że to...

ogromny wydatek, nie sądzi pan? - Zawahał się, widząc, że jego słowa

nie wywierają żadnego wrażenia. - To znaczy... nie jestem pewny, czy...

czy pani wicehrabina by pochwaliła...

Dev przystanął. Nadal przyglądał się adwokatowi.

Potrafił docenić odwagę i lojalność, które skłoniły niepozornego adwokata do przeciwstawienia się temu zakupowi. Naprawdę je cenił. Ale nie mogło być mowy o zmianie decyzji. I rzecz jasna, nie było mowy

o tym, by wyjaśnić Charlesowi prawdziwe motywy takiego postępowania. Wyglądało na to, że trzeba postawić sprawę na ostrzu noża. Po prostu uprze się przy swoim - Diabeł Strathmore zawsze osiąga to, czego chce.

Rzucił Charlesowi jeden ze swych najbardziej zniewalających

uśmiechów i schował okulary do kieszonki na piersi.

- Nie bądź niemądry, Charlesie! Ciotka Augusta dałaby mi gwiazdkę z nieba.

Odwrócił się i rażnym krokiem ruszył w stronę schodów.

- To prawda... - Charles pospieszył za nim. - Ale może łatwiej bym

ją udobruchał, gdyby wasza lordowska mość poinformował mnie, dlaczego chce kupić to... to miejsce?

Dev wybuchnął śmiechem.

- Jak to dlaczego? Bo mnie to bawi! No, no, Charlesie! Nie psuj mi

zabawy. Obejrzyjmy nowy nabytek!

- Ależ, milordzie! Pani wicehrabina będzie bardzo niezadowolona!

- Oj, Charlesie! - Dev zatrzymał się, odwrócił, westchnął i przyjacielskim gestem poprawił mu klapy surduta. - Mój kochany Charlesie...

Mój zawsze akuraty, staranny Charlesie. Powiem ci, o co chodzi... ale

nikomu ani słowa. Zrozumiano?

- Ależ milordzie! - Oczy prawnika się rozszerzyły. To był doprawdy niezwykły objaw łaskawości. - Oczywiście, wasza lordowska mość.

Słowo dżentelmena!

- Znakomicie! - Dev chwycił go za ramię i przyciągnął nieco bliżej, wpatrując się w niego bacznie. - Posłuchaj! - Pochylił się nieco i zniżył

głos. - Słyszałeś kiedyś o Klubie Jeźdźców i Woźniców?

Charles zrobił wielkie oczy. Miał wyraźnie zgorzowaną minę.

- Ależ! - sapnął.

- Chyba rozumiesz? - odparł Dev. - Wiesz przecież, jak się pasjonuję sportem... a zwłaszcza końmi.

- No t...tak, milordzie. Kariolka, powóz wyścigowy, pański siwy ogier...

- Właśnie! Otóż, żeby zostać członkiem tego klubu, trzeba spełnić

kilka warunków, rozumiesz? - Wyliczał je na palcach. - Po pierwsze,

kandydat musi być dobrze urodzony i nie mieć żadnych skrupułów moralnych, ale za to mnóstwo pieniędzy.

- Przecież... pan ich nie ma, milordzie.

Dev zaśmiał się niewesoło.

- Na razie rzeczywiście nie mam. Ale prawie jakbym miał!

Istotnie, liczył na pieniądze ciotki. Były mu niezbędne do osiągnięcia sukcesu. Na przykład zbliżył się do swego celu, grając wysoko w karty. Chłopcy z Klubu Jeźdźców i Woźniców zawsze chętnie witali kogoś, kto lubił grać i miał na to dość pieniędzy. Ciekawe, że im więcej Dev przegrywał bez mrugnięcia okiem, tym bardziej te łotry

ceniły sobie jego towarzystwo! Niech się cieszą. Wkrótce to oni stracą

wszystko.

Włącznie z życiem.

- Drugi warunek to okazać przyszłym kolegom z klubu swe poważanie, ofiarowując im jakiś cenny, odpowiedni dar. To cudo... - Dev zmierzył wzrokiem pawilon, po czym mrugnął porozumiewawczo do

Charlesa - powinno być odpowiednie, nie sądzisz? Słyszałem, że kandydat musi spełnić jeszcze



jeden warunek - dodał żywo. - Ale na razie nie zdołałem się dowiedzieć, o co chodzi.

- Tak, milordzie. Ale ci jeźdźcy i woźnice... - szepnął z przestrochem Charles. - Wszyscy wiedzą... Co prawda, nie było pana w Londynie przez tyle lat, milordzie... Może pan nic nie słyszał?

Ku szczerzej radości Deva, niepozorny prawnik rozejrzał się na boki,

jakby w obawie, że Łamignat Randall, Krwawy Staines albo ten zboczony elegancik Carstairs kryją się gdzieś w pobliżu.

- To wyjątkowo paskudna banda, milordzie! Wyjątkowo! Pojedynki... ohydne występki... Jestem przekonany, że pańska ciotka nie pochwalałaby takich znajomości. Z pewnością nie!

- No cóż, Charlesie, może i masz słuszość... Ale tak się pasjonuję

sportem! Zapalony woźnica wiele wybaczy komuś, kto po mistrzowsku

włada czwórką koni, nieprawdaż? Jakże się cieszę, że dałeś mi słowo, iż

nie wspomnisz o tym wszystkim naszej Żelaznej Damie!

Dev obdarzył adwokata gładkim jak jedwab uśmiechem.

- O Boże! - mruknął pod nosem Charles, spiesząc za wicehrabią,

który zaczął wspinać się na schody. - Niech już będzie, tylko proszę

nie okazywać zbytniego zapału w obecności tej nędznej kreatury, Dallo-

waya, milordzie! To podły, podstępny gad!

Co prawda Dev miał na swoim koncie wiele transakcji. Kupował

broń, wielbłądy i przyprawy. Targował się nawet z Beduinami w Mar-

rakeszu, którzy uchodzili za niezrównanych pod tym względem. Nie

wątpił więc, że poradziłby sobie bez trudu z niechlujnym pośrednikiem

sprzedazy nieruchomości. Ukrył jednak swe rozbawienie i uklonił się

doradcy z iście książęcą gracją. Liczyła się przede wszystkim niezłomna

lojalność małego adwokata.

- Jestem ci bardzo wdzięczny, Charlesie. Będę się miał na baczności.

Ułagodzony tym dowodem uznania, Charles Beecham nie zwlekając już dłużej, wszedł za wicehrabią do wnętrza budynku. Wstępnym formalnościom szybko stało się zadość i niebawem wyruszyli w towarzystwie pana Dallowaya na obchód pawilonu.

Opuściwszy ośmiokątne foyer z pomalowanym na czerwono sufitem i barwionymi na różne kolory zwierciadłami w łuszczących się pozłacanych ramach, przeszli przez wielkie, podwójne drzwi. Płaskorzeźby, którymi je ozdobiono, przypominały chorobliwe zwidy nałogowego palacza opium. Cała budowla robiła niesamowite wrażenie. Wspomnienia dawnych hulanek łączyły się z oznakami

bliskiej zagłady pawilonu.

Unosiły się tu przykre zapachy zwiędzłego piwa, stoczonych przez robaki desek i wszechogarniający odór stęchlizny.

W miarę jak oddalali się od foyer, szarawe światło dnia przechodziło w mrok. Wszystkie okna były zabite deskami. Dwaj lokaje Deva nieśli zapalone świeczniki, podobnie uczynił pan Dalloway. Coraz bardziej zanurzali się w ciemność. Skrzypienie desek podłogi przypominało jęki

udręczonych duchów. Niekiedy można było przysiąc, że da się słyszeć

echa dawnych wybuchów śmiechu. Po ścianach przemykały zaniepokojone pająki. Mimo że znajdowali się wewnątrz budynku, było tak zimno, że oddech przemieniał się w parę.

Towarzyszka wicehrabiego krzyknęła i przysunęła się do niego bliżej, gdy coś załopotalo nad ich głowami. Uniósłszy wyżej świeczniki, odkryli kolonię nietoperzy oraz jaskółki oknówki, które zapewne dostały się do środka przez komin.

W głównym korytarzu, w świetle migoczących płomyków świec, ukazały się wysokie kolumny, pomalowane w barwne paski. Klepki brudnego parkietu ułożone były w skomplikowany, zygzakowaty wzór. Na ścianach kłębiły się malowidła, niegdyś jaskrawe, teraz wyblakłe.

Drzwi prowadziły do cienistych galerii i tuzina krzykliwie udekorowanych salonów. Nie zabrakło nawet sali balowej z podwyższeniem dla orkiestry.

- O Boże, co za ohyda! - oświadczył Ben, zwracając się do swego chlebowdawcy.

- Po prostu rozkoszne! - wymruczał Dev tak cicho, by Dalloway go nie usłyszał. Rzucił lokajowi i przyjacielowi w jednej osobie spojrzenie pełne diabelskiej uciechy. - Idealnie się nadaje!

Pomyłeńcy z Klubu Jeźdźców i Woźniców powinni być zachwyceni... a on dzięki temu uzyska może odpowiedzi, których tak łaknął.

Ben zmarszczył brwi, Dalloway zaś ciągnął nadal swój żywy monolog, nie zwracając uwagi na przegniłe deski ani na pajęczyny - nieusuwane od dziesięciu lat z pozbawionych świec żyrandoli - ani na miniaturowe kaskady, tryskające tu i ówdzie, gdzie przeciekał kryty blachą dach.

Charles otarł krople potu z czoła i skrzywił się z niesmakiem. Dev

zorientował się już, że adwokat nie pomylił się w ocenie pośrednika.

Dalloway był śliski jak węgorz i czuł się pewnie jak szczur na śmietniku, oprowadzając ich po wnętrzu budynku i wynosząc pod niebiosa jego rzekome zalety.

- Główny pawilon, w którym się obecnie znajdujemy, zajmuje powierzchnię jedenastu tysięcy stóp kwadratowych i zawiera należycie wyposażone pomieszczenia kuchenne, które wystarczyłyby do obsłużenia całej armii! Proszę uważać na nóżki, panienko. Otóż i schody! Muszą

państwo obejrzeć pomieszczenia na górze...

26

Na piętrze po obu stronach głównego korytarza znajdowały się pomieszczenia, urządzone w najrozmaitszy sposób. Jedno z nich miało przypominać dżunglę; pośrodku „sali egipskiej” wznosiła się sztuczna palma, na ścianach zaś wymalowano piramidy, nadając im pozorną trójwymiarowość. Kolejny pokój wyobrażał wnętrze pałacu cesarskiego w starożytnym Rzymie. Nie zabrakło gipsowych posągów, udających marmur; były też

obszerne łoża, kryte szkarłatem, z których ostatnio korzystały myszy. Dev

zauważył postrzępione draperie i sterty łajna - pamiątkę po nietoperzach.

Kątem oka wicehrabia dostrzegł, że Dalloway podkrada się coraz bli

żej i przygląda mu się takim wzrokiem, jakim bezpański kundel wpatruje się w imponującą kość, pozostawioną niebacznie na stole.

- Co pan na to, milordzie? Jeśli ta posiadłość nie spełnia pańskich

oczekiwań, znajdziemy coś innego. Bardziej w pana guście. Czego dokładnie wasza lordowska mość szuka, jeśli wolno spytać?

Dev gładził się po brodzie i rozglądał na wszystkie strony.

- Potrzeba mi...

Własnego terenu, gdzie wszystko podlegałoby mojej kontroli, pomyślał. Ostatecznie, będę przecież otoczony przez wrogów.

Odwrócił się do Dallowaya z uśmiechem, grając bez trudu rolę beztroskiego hulaki.

- Potrzeba mi odpowiedniego miejsca, w którym mógłbym przyjmować przyjaciół.

Blondynka zachichotała z podniecenia na myśl o czekających ją

atrakcjach. Dev uśmiechnął się do niej. Ani rusz nie mógł sobie przypomnieć, jak ma na imię. Na

razie jakoś sobie radził za pomocą uniwersalnego słowa „kochanie”.

Niewiele pamiętał z ostatniej nocy. Przypuszczał jednak, że bawił się nieźle - dziewczyna była zdecydowanie ładna. Zdziwił się co prawda, gdy rano ujrzał ją koło siebie... Ciekawe, kiedy wreszcie ta dziewczyna się wyniesie?

- Przyjmować przyjaciół, milordzie? To idealne miejsce! - rozpromienił się Dalloway, zdecydowany dobić targu. - Jakby stworzone na prywatne przyjęcia! Wasza lordowska mość z pewnością zauważył, że

niedaleko stąd do Londynu... albo mostem, albo promem, jak kto woli.

Miejsca tu nie brakuje, całe mnóstwo wymyślnych budyneczków postawili... Nic, tylko się bawić, w co kto chce!

- Tak, to dość ustronne miejsce. Moi... hm... moi przyjaciele wolą zażywać przyjemności z dala od ciekawskich oczu. Te przekłete pismaki wcisną się wszędzie, wie pan, a potem wypisują bzdury! - Dev machnął ręką, jakby się od czegoś opędzał. - Chciałbym mieć jakąś posiadłość... z dala od tłumu. Na uboczu.

Miejsce, które mógłbym zniszczyć, nie wyrządzając krzywdy niewinnym przechodniom, dodał w myśli.

- No cóż, milordzie... Spozrzegł pan stróżówkę przy wjeździe?

Solidny budynek, trzeba go jedynie trochę odmalować. Cały teren otacza przyzwoite ogrodzenie z kutego żelaza. Wejście jest tylko jedno, na wprost podjazdu. Po obu stronach rozciągają się bagna.

Dev kiwnął rzeczowo głową. Nadal udawał niezdecydowanie, choć podjął decyzję, gdy tylko wrócili do sali balowej. To miejsce idealnie odpowiadało jego planom.

Dalloway zwrócił się do niego z promiennym uśmiechem.

- Już mówiłem, przy odrobinie starań nietrudno będzie przywrócić to cacko do dawnej świetności!

- To by... hm... sporo kosztowało - zwrócił delikatnie uwagę

Charles.

Dev mruknął coś wymijająco. Założywszy ręce za plecy, przechadzał się wzdłuż ścian, oglądając ścienne malowidła i pozostawiając doradcy formalności.

Zapatrzył się na niewielki obrazek, przedstawiający piękną boginię Floreę, odzianą tylko w odpowiednio udrapowaną girlandę róż.

- Milordzie... - zagadnął adwokat.

- O co chodzi, Charlesie? - spytał z niejakim znużeniem Devlin,

nadal przyglądając się bogini.

Dalloway wtrącił się, zanim Charles zdążył odpowiedzieć.

- Te malowidła, które pan podziwia, milordzie, to podobizny słynnych piękności z poprzedniej dekady. Występowały tutaj wszystkie w pełnym rozkwicie swojej urody. Mieliśmy tu przedstawienia na wodzie, spektakle muzyczne, nawet linoskoczków...

- Doprawdy? - zainteresował się wicehrabia.

- A jakże, milordzie.

- Chciałem tylko powiedzieć - spróbował znów Charles, rzucając

Dallowayowi gniewne spojrzenie - że mam pewne wątpliwości, milor-



dzie. Poważne wątpliwości. Obawiam się, że samo przebywanie w tym budynku jest ryzykowne.

- No cóż... życie niesie wiele niebezpieczeństw, Charlesie.

Dev przysunął się jeszcze bliżej do ściany, pochylił się i zmrużonymi oczyma wpatrywał się w postać Flory. Dostrzegł jakieś zatarte, spłowiałe litery na złocistej wstędze pod stopami bogini.

Dobry Boże! Uniósł nagle rękę w czarnej skórzanej rękawiczce i pstryknął niecierpliwie palcami.

- Światło!

Jeden z lokajów natychmiast wysunął się do przodu i uniósł w górę świecznik. Dev wpatrywał się w niewyraźny napis. Osłupiał, gdy udało mu się odcyfrować: „Panna Ginny Highgate, 1803”. Mój Boże, toż to omen!

- Co to takiego? - spytał Ben, podchodząc.

- Ginny Highgate - mruknął Dev ze zdumieniem.

- A jakże, milordzie - potwierdził ochoczo Dalloway. - Panna Highgate śpiewała tu każdego lata. Ależ się chłopaki za nią uganiały!

- Któż to taki ta... panna Highgate, jeśli wolno spytać? - odezwał się Charles.

- Śliczna aktoreczka, proszę pana. Irlandka, zdaje się - oświecił go Dalloway. - Takich włosów jeszcze pan nie widział! Rude i długie jak nie wiem co! Tak, tak! Cała złota młodzież wariowała za Ginny Highgate.

- Co się z nią stało? - zapiszczała blondyneczka z wyraźną zazdrością.

- Kto ją tam wie? - Dalloway wzruszył ramionami. - Znikła i tyle.

No, niezupełnie! - pomyślał Dev i serce mu się ścisnęło na myśl

o strasznym losie, jaki spotkał tę młodą piękność.

Od dwóch lat, przy pomocy różnych wynajętych pomocników, zbierał informacje na temat strasznego pożaru, który pozbawił go najbliższych. Przez dziesięć poprzednich lat usiłował uciec od przytłaczającego brzemienia winy, przemierzając świat z jednego końca na drugi. Ale w dziesiątą rocznicę śmierci rodziny poprzysiągł sobie zbadać wszelkie

wydarzenia tamtej tragicznej nocy. Wcześniej nie potrafił stawić temu

czoła. Był zdruzgotany bólem.

Nie minęło wiele czasu, gdy zauważył, że wiele informacji, związanych z tym pożarem nie pasuje do siebie. Od tej chwili szedł wytrwale za każdym tropem, wydał fortunę na łapówki i zebrał całą walizę 29

dokumentów, dotyczących tej tragedii: nekrologi, szczegółowe informacje o wszystkich osobach, które zginęły w pożarze; rejestry tras, po których kursowały owej nocy dyliżanse. Gromadził wszelkie dane, jakie

zdołał zdobyć.

Rozsupłując cierpliwie ten splot różnorodnych wątków, Dev dotarł

w końcu - dzięki informacji o zniknięciu niejkiej Ginny Highgate vel

Mary Harris - do Klubu Jeźdźców i Woźniców. I tu natrafił na mur nie

do przebycia. Tragiczna śmierć rudowłosej aktorki była najpilniej strze

żonym sekretem klubu.

Dev pragnął zgłębić tę tajemnicę. Od sześciu miesięcy usiłował

zdobyc zaufanie jego członków. Było to równie niebezpieczne jak gra

w rosyjską ruletkę - wszyscy doskonale zdawali sobie sprawę z tego, kim

jest.

Nie bardzo wiedział, dlaczego się go nie pozbyli. Mógł się jedynie

domyślać, że maskę rozwiązłego hulaki uznali za jego prawdziwe oblicze. Przekonał ich widać, że jest tak bezmyślny, iż nawet mu do głowy nie przyjdzie spytać, czy tragiczny zgon jego najbliższych

mógł być czymś więcej niż nieszczęśliwym wypadkiem.

Oczywiście, muszą coś podejrzewać, myślał.

Sprawa wymagała więc niesłychanej rozwagi, ale Dev gotów był podjąć ryzyko. Gra toczyła się o coś, na czym zależało mu najbardziej na świecie - o odzyskanie spokoju ducha.

Nigdy go nie zakosztuje, jeśli nie znajdzie odpowiedzi na dręczące go pytania. Dlaczego zginęli jego najbliżsi? Jak to się stało, że w zajeździe wybuchł pożar? Chciał uwolnić się od dręczących myśli, które od dwunastu lat paliły mu mózg i obróciły w popiół jego serce.

Co się naprawdę wydarzyło tamtej straszliwej nocy? Kto był za to odpowiedzialny? Jeśli istniał choćby strzęp nadziei, Devlin gotów był na wszystko, byle odnaleźć kogoś, kto ponosił za to winę... oprócz niego.

Na Boga, odkryje prawdę, choćby miało go to kosztować nie tylko majątek, ale i życie! Pozna odpowiedzi, które mógł wydobyć jedynie od swych wrogów. A gdy już dotrze do prawdy, gdy będzie wiedział, kto spowodował ten pożar, zemści się tak straszliwie, jak nikt inny tego jeszcze nie zrobił.

Prostując się, odsunął się spiesznie od malowidła, przedstawiającego

Ginny Highgate i skinął głową Dallowayowi.

- W porządku. Kupuję. - Charles spojrział na niego z przestraszeniem.

- Chodzi tylko o cenę - dodał wicehrabia. - Jest stanowczo zbyt wygórowana. Zajmiesz się tym, Charlesie?

Pozostawił adwokatowi tę kwestię i wrócił do foyer. Oparł się o zniszczone drzwi i zapatrzył na zamarznięte błota. Był zamyślony i markotny, gdyż nawiedziły go dawne wspomnienia.

Podszedł do niego Ben. Wielkie, ciemne oczy przyjaciela spoglądały

badawczo zza zachlapanych deszczem okularów.

- Dobrze się czujesz?

Wzruszył ramionami, zatopiony w myślach. Z rękoma skrzyżowanymi na piersi, Dev mierzył złym wzrokiem zaniedbany park.

- Patrzę na to miejsce i widzę samego siebie - odezwał się cicho,

z gorzką ironią. - Nic, tylko błoto. - Jego spojrzenie przesunęło się po

pozbawionych wszelkich śladów życia moczarach, po uschniętych trawach, szarych teraz od szronu. Rzucił Benowi cyniczny uśmiech. - Podobno tu straszy, słyszałeś? I ciąży nad tym miejscem jakaś klątwa.

Przyjaciel spojrział na niego z powagą.

- Wolałbym, żebyś tego nie robił, Dev... milordzie. Możesz się jeszcze wycofać.

- Nie, nie mogę. - Jego krzywy uśmiech zgasł, a oczy pociemniały

znow od nienawiści. - Zawsze płacę swoje długi.

- Choćby krwią? Nawet za cenę własnego życia?

- Czymże jest życie? - szepnął.

Wrócił do reszty towarzystwa, pozostawiając wiernego sługę, który

spoglądał za nim z niepokojem.

Gdy tylko wicehrabia znalazł się z powrotem w krzykliwie udekorowanej sali balowej, Charles odwrócił się żywo ku niemu.

- Jest pan już, milordzie! - powiedział, bardzo z siebie zadowolony.

- Pan Dalloway przystał na nową cenę: tysiąc trzysta funtów. Jeśli i wasza lordowska mość ją zaakceptuje, umowa stoi.

- Uważasz, że to godziwa cena?

Adwokat skinął głową.

- Całkiem rozsądna.

- Dobra robota, Charlesie! - Pstryknął niecierpliwie palcami. - Czek!

Natychmiast drugi z lokajów podszedł do niego z przenośnym pulpitem. Dev otworzył wieko i zanurzwszy gęsie pióro w atramencie, 31

wypisał czek. Zaśmiał się przy tym z cicha. Przeklęte miejsce. Nawiedzone. Cóż za trafne określenie!

- Zadbaj o to, by posiadłość została ubezpieczona, nim rozpoczną

się tu roboty, Charles. - Podał czek Dallowayowi. - Potrzebny nam będzie godny zaufania przedsiębiorca budowlany, odpowiedzialny za remont. No i oczywiście cieśle, dekarze, malarze, tynkarze...

- Najpierw trzeba wynająć szczurołapa - burknął Ben, omiatając

zdegustowanym wzrokiem salę balową.

Charles aż zbladł na myśl o kosztach.

- Masz słuszość, najpierw trzeba się pozbyć wszelkich szkodników. Jestem ci wdzięczny, Charlesie, że jak zawsze poświęciłeś mi tyle czasu. Okazał się pan bardzo pomocny, Dalloway. Idziemy, kochanie!

Skinął niecierpliwie ręką na blondynkę i wyszedł z pawilonu. Jego

świta za nim.

Pozostawszy sam na placu boju, Dalloway w milczeniu odtąńczył

taniec zwycięstwa na przegniłych deskach podłogi.

Wyszedłszy na zimowy chłód, Dev usłyszał tętent końskich kopyt.

Podniósł wzrok i zobaczył, że ktoś cwałuje podjazdem.

- Cóż za brzydki koń! - zauważył Ben, który również obserwował

zbliżającego się jeźdźca.

- Ale szybki. Dobry, długi krok - mruknął Dev. - Spodziewamy się

kogoś?

- Nie, milordzie — odparł Charles. - Mam wrażenie, że to kurier

pocztowy.

I rzeczywiście, gdy jeździec był już blisko, dostrzegli kokardę na jego

kapeluszu oraz uniform, świadczący, że to posłaniec z pilną wiadomością. Chwilę później kurier zatrzymał konia tuż obok nich. Spod kopyt wierzchowca trysnął żwir.

- Lord Strathmore? - spytał gromko posłaniec.

- Tak, o co chodzi?

- Pilna wiadomość dla pana, milordzie.

Kurier podał mu list.

- Dziękuję.

Devlin pospiesznie zerknął na kopertę, chcąc sprawdzić, czy nie

przemokła na deszczu. Skinął na Bena, by zapłacił posłańcowi. Zauwa

żył na kopercie słowo „Bath”.

Od ciotki Augusty?

Ogarnęły go wyrzuty sumienia. Od dawna nie odwiedzał staruszki!

A przecież naprawdę chciał się z nią zobaczyć. Ta stara jędza była dla niego jak matka... Ocaliła go, kiedy jako dwudziestojednoletni młokos szalał z bólu i zapijał się na śmierć. Kupiła statek, wsadziła na pokład bratanka i wysłała go w świat pod opieką mrukliwego Szkota, Dunca-na MacTavisha. A niech to wszyscy diabli! Naprawdę stęskniłem się za kochaną staruszką! - myślał, krusząc woskową pieczęć. Ilekroć jednak pragnął się z nią zobaczyć, zawsze coś go wstrzymywało; reagował jak spłoszony koń, który nie chce wziąć przeszkody.

Nic nie mógł na to poradzić. Miłość do ciotki była tak splątana z bólem i poczuciem straty po śmierci najbliższych, że nie potrafił rozdzielić tych uczuć. Starał się więc unikać wszystkiego, co mogło mu o nich

przypomnieć. Uciekasz przed uczuciami jak tchórz, podszeptywało sumienie. Starał się nie zwracać na nie uwagi. Uśmiechnął się posępnie, gdy Ben wręczał posłańcowi należną zapłatę.

Devlin otworzył list i zaczął czytać. Kiedy jego spojrzenie przemknęło po zapisanej karcie, cała krew odpłynęła mu z twarzy.

Ekspres

Do rąk własnych lorda Strathmore'a

Bath, 9 luty 1817

Milordzie

Chociaż nigdy się nie spotkaliśmy, mam nadzieję, że wybaczy mi

Pan, iż zwracam się do niego w niezwykle pilnej sprawie. Potrzeba

nakazuje mi odrzucić na bok wszelkie konwenanse i przekazać Panu tę

nagłą wieść.

Nazywam się Elizabeth Carlisle i od sierpnia pełnię obowiązki damy do towarzystwa Pańskiej szanownej ciotki. Z prawdziwą przykrością muszę Panu donieść, milordzie, iż w stanie zdrowia lady

Strathmore, która dotychczas cieszyła się jak najlepszym samopoczuciem, nastąpiła zmiana na gorsze. Zaklinam więc, jeśli kocha Pan swoją ciotkę, niech Pan przyjedzie jak najszybciej... zanim będzie za późno.

Z życzeniami szczęśliwej podróży

E. Carlisle

3 - Ukochana diabła



Przez chwilę Dev stał jak skamieniały ze zbielełą twarzą.

Nie! Jeszcze nie teraz! Ona jest wszystkim, co mi pozostało...

- Milordzie... - odezwał się z niepokojem Charles. - Czy coś się stało?

Dev bez słowa podszedł do kuriera i ściągnął go z konia, po czym sam wskoczył na ciepłe jeszcze siodło.

- Co u diabła...!

- Zapłać mi, Charles. Zostawię zwierzę u siebie w stajni. Muszę natychmiast jechać do Bath. - Głos miał jakiś obcy, dziwnie zdławiony.

- Wezmę kariolkę, będzie najszybciej. - Ściągnął cugle i zawrócił deresza. Obejrząwszy się przez ramię dodał jeszcze: - Pojedziesz za mną z rzeczami, Ben!

- Ależ Devlin! - zaprotestowała blondynka, wysuwając głowę z okna powozu.

Wywrócił oczami, tracąc cierpliwość.

- Niechże ktoś odwiezie tę kobietę do domu, czy dokąd się wybiera!

Blondynka wydała pomruk oburzenia, ale wicehrabiego już nie

było. Cwałował podjazdem na złamanie karku, przejęty strachem i nękany poczuciem winy, że zaniedbał ostatnią żyjącą krewną. Jedna myśl szalała mu w głowie. Kiedy ciotka Augusta opuści go na zawsze, będzie

całkowicie, nieodwołalnie sam.

*Następnego dnia w Bath*

Niemal przejrzysty odłamek delikatnej porcelany był cieniutki i kruchy niczym skorupka jaja egzotycznego ptaka. Lizzie Carlisle ostrożnie trzymała okruch w palcach, badając jego kształt. Przykładała go to tu, to

tam do częściowo sklejonego już wazonika, aż wreszcie znalazła miejsce,

do którego kawałek idealnie pasował. Kapnęła odrobinę kleju na maleńki pędzelek, musnęła nim poszarpane brzeżki i bardzo ostrożnie osadzi

ła fragment na właściwym miejscu. Zastygła w bezruchu, obawiając się,

że dłoń jej zdrzży i odłamek przylepi się krzywo.

Blade światło zimowego słońca przenikało przez koronkowe firanki, ale w saloniku pachniało wiosną, pszczelim woskiem i cytrynami. Z tym wszystkim mieszała się urocza woń lawendy, płynąca z bukietu suchych kwiatów, ustawionego na okrągłym stole, przy którym pracowała Lizzie. Kojącą ciszę podmiejskiej willi mącił jedynie szmer głosów z sąsiedniego pokoju. To doktor Bell wypytywał wicehrabinę o jej samopoczucie.

Ostrożnie odsunąwszy palce od przyklejonego dopiero co odłamka, Lizzie umocowała następny na właściwym miejscu i rzuciła podejrzliwe spojrzenie na sprawcę nieszczęścia. Pasha, zarozumiała perski kot lady

Strathmore, wylegiwał się na stylowej szyfonierce, poruszając od niechcienia puszystym ogonem. Z błyskiem rozbawienia w złocistych ślepiach spoglądał na żalostną ludzką istotę, której głównym zadaniem było naprawianie niemiłych skutków codziennych drobnych katastrof. Gdyby któraś z pokojówek rozbiła ten mały, prześliczny wazonik (prezent od ukochanego bratanka wicehrabiny, hulaki z piekła rodem), natychmiast

zostałaby zwolniona z pracy. Ale rozbisurmaniony pieszczołek jaśnie pani drwił sobie ze wszystkich konsekwencji.

- Jesteś prawdziwą zakałą, mój panie! - oświadczyła Lizzie kotu, obrzucając go wymownym spojrzeniem.

Czarne koniuszki kocich uszu lekko drgnęły. Pasha doskonale wiedział, że o nim mowa.

Drzwi saloniku się otworzyły i Lizzie uśmiechnęła się ciepło na widok starej damy i doktora. Pospiesznie odsunęła sklepany wazon i wstała na powitanie wchodzących.

Władca mimo swej kruchości Augusta, owdowiała wicehrabina

Strathmore, siedziała w fotelu na kółkach niczym na tronie. Fotel popychał przystojny młody doktor, jak zawsze rycerski. Wicehrabina robiła imponujące wrażenie; skóra na wysokich kościach policzkowych była napięta, niebieskie oczy nieco zaczerwienione, lecz żywe i bystre jak zawsze.

- Otóż i jesteśmy.

Doktor Andrew Bell miał twarz cherubina, szopę jasnych włosów

i wielkie, ciemne oczy, wesołe i przyjacielskie jak u szczeniaka. W Bath

i okolicy uchodził za znakomitą partię, zwłaszcza że miał wspaniałe widoki na przyszłość. Liczba jego pacjentów ciągle się powiększała. W dodatku ostatnio popularność doktora i jego sława medyczna wzrosły jeszcze bardziej dzięki „Nowym pigułkom doktora Bella na dolegliwości 35

gastryczne”, które dosłownie rozchwytywano. Nawet miejscowy proboszcz wychwalał ten lek pod niebiosą.

- I jak się czuje pana pacjentka, doktorze? - zagadnęła Lizzie serdecznym, pogodnym tonem.

Odwróciła się i, zerknąwszy podejrzliwie na Pashę, starannie zamknęła naczynko z klejem.

- Zdrowa jak ryba, stwierdzam z przyjemnością - oznajmił doktor

Bell z miłym uśmiechem.

- A nie mówiłam? - oświadczyła nonszalanckim tonem lady Strathmore. Zdjęła kilka długich kocich włosów z czarnej spódnicy. - Absolutnie nic mi nie dolega!

- I jesteśmy z tego ogromnie radzi - przytaknął doktor, odpowiadając na spojrzenie Lizzie wesołym błyskiem oczu. Zrządzenie Żelaznej Damy zawsze go bawiło. - Dałbym głowę, że to dobroczynne skutki

niezwykłych starań panny Carlisle!

- Bzdura - wymamrotała Lizzie i, rumieniąc się lekko, zajęła się

podsycaniem ognia na kominku, żeby lady Strathmore przypadkiem się

nie przeziębiła.

Doktor Bell przyglądał się Lizzie z żywym zainteresowaniem. Stara

dama z kolei obserwowała go z dyskretnym uśmiechem.

- Może byś został na herbacie, drogi chłopcze? - mruknęła wice-

hrabina i dała znak Lizzie, by zadzwoniła na służbę.

Dziewczyna spełniła polecenie, mimo że doktor zaczął się wymawiać.

- Szczerze bym tego pragnął, łaskawa pani... ale niestety, muszę zajrzeć do dzieci Harrisów. Wszystkie, co do jednego, zapadły na odrę.

- Och, biedactwa! Pomodlimy się o ich szybki powrót do zdrowia

- zwróciła się do niego Lizzie zmartwiona nowiną. Kiedy pogoda była ładna, rozbrykane dzieci sąsiadów nieraz składały im wizytę, wnosząc do domu starej damy nieco śmiechu i radości. - Proszę powiedzieć pani Harris, że chętnie jej pomogę, jeśli będę mogła się na coś przydać.

- Jak to ładnie z pani strony, panno Carlisle! Jestem pewien, że pani Harris potrafi docenić tak uprzejmą propozycję.

Jego pełne podziwu spojrzenie wydało się Lizzie nieco zbyt gorące.

Na szczęście w tej właśnie chwili zjawiała się pokojówka, Margaret.

Chuda, śniada służąca dygnęła żywo.

36

- Jakie jaśnie pani ma dla mnie dysproporcje? - spytała, wyraźnie dumna z siebie.

Wszyscy troje przez sekundę spoglądali na nią ze zdumieniem. Lizzie skrzywiła się boleśnie, pojąwszy omyłkę swojej pupilki.

- Co za idiotyczne pytanie! - Stara dama zwróciła się do Lizzie, nadal niczego nie pojmując. - O czym mówi to głupie stworzenie? Jakie znów dysproporcje?!

- To zwykłe przejęzyczenie - próbowała załagodzić sprawę Lizzie, rumieniąc się lekko. - Margaret miała na myśli dyspozycje.

- Bardzo jestem wdzięczna za kolekturę, psze pani - odezwała się znów Margaret. - Widzę, że się przewrotnie wyraziłam.

- Upiłaś się czy co, głupia dziewucho?! - obruszyła się lady Strathmore.

Margaret aż dech zaparło.

- Ja, proszę łaski pani? Nigdy w życiu!

- No to przestań pleść głupstwa i podaj nam herbatę!

Lizzie rzuciła pokojówce spojrzenie, które miało ją wesprzeć na duchu, ale strapiona służąca uciekła czym prędzej.

- Doprawdy, milady, nie powinna pani z niej szydzić. Margaret stara się wzbogacić swoje słownictwo.

- Dobrze wiem, jaka z ciebie sawantka i jakie masz dziwaczne poglądy, moja panno. Ale nie pozwolę, żebyś przewracała służbie w głowie!

Co za pomysł uczyć ich czytania! Musisz zaprzestać tych głupstw. Nic dobrego z tego nie wyniknie!

- Ależ, milady...

- Oczytani służący?! Przecież to wbrew naturze! Doprawdy, moje dziecko, masz nieprawdopodobne pomysły.

- Margaret to wyjątkowo lotna...

- Ja osobiście wolę, żeby była mniej lotna, a bardziej posłuszna, jak Pan Bóg przykazał!

Doktor Bell miał ochotę się roześmiać, ale tylko udał kaszel. Rzucił

Lizzie spojrzenie, w dyskretny sposób wyrażające podziw dla jej starań.

- Wybaczcie, drogie panie, ale naprawdę muszę już iść.

- Oczywiście, kochany chłopcze. Nie powinnyśmy odrywać cię od pracy; tak się troszczysz o chorych. Panno Carlisle, czy będzie pani taka dobra i odprowadzi doktora?

W bystrych niebieskich oczach lady Strathmore zamigotały szelmowskie błyski.

- Oczywiście - odparła Lizzie bezbarwnym głosem, po ledwie dostrzegalnym wahaniu.

Do licha! Czy starsza pani wiecznie będzie się bawić w swatkę?!

Doktor Bell skłonił się wicehrabinie i życzył jej miłego popołudnia,

po czym gestem poprosił Lizzie, żeby szła przodem.

- No i jakoś nam się wypogodziło - zagadnął, gdy dotarli do przestronnego frontowego holu o jasnoniebieskich ścianach, z białymi kolumnami i z posadzką z włoskiego marmuru. - W nocy była prawdziwa zawieja!

- Rzeczywiście.

Podmuchy lodowatego wiatru i opady śniegu, trwające przez całą

noc, istotnie ustały koło popołudnia.

- Może w tym roku wiosna wcześniej do nas zawita - napomknął

optymistycznie doktor.

- Nigdy nie należy tracić nadziei.

Lizzie zmusiła się do uśmiechu i rozejrzała dokoła bez celu, nerwowo poprawiając parasole w stojaku koło drzwi. Doktor Bell zapiął elegancki ciemnoniebieski płaszcz. Gdy Lizzie podała mu cylinder, przez chwilę spoglądał jej z powagą w oczy.

- Bardzo bym pragnął ujrzeć obie panie na następnym balu w Domu Zdrojowym, panno Carlisle. Podniosłoby to ogromnie na duchu panią wicehrabinę... i mnie.

- O!... - Lizzie była zaskoczona. Postanowiła zignorować aluzję

doktora Bella. - Jeśli lady Strathmore będzie się dobrze czuła, z pewnością się zjawimy.

- Będę więc czekał, pełen nadziei. - Włożył cylinder. - Gdyby mnie

pani potrzebowała - dodał, ścisząc nieco głos - stawię się niezwłocznie.

- Dziękuję, panie doktorze - odparła nieco sztywniejszym tonem.

Trochę zdziwiony, ale niezrażony jej nieugiętą rezerwą, osadził kapelusz nieco na bakier.

- Miłego popołudnia, panno Carlisle!

Odpowiedziała skinieniem głowy. Doktor pospieszył do czekającego nań przed drzwiami eleganckiego powoziku. Lizzie uniosła rękę na pożegnanie.



Stała jeszcze przez chwilę w otwartych drzwiach, spoglądając na

wzgórza w zimowej szacie. Cały świat pokrywała powłoka śniegu. Na

białym tle pól szeroki zakręt drogi wił się jak ciemna wstęga. Ani śladu

Diabła Strathmore'a! Co prawda, biorąc pod uwagę drogi, pokryte lodem i zaspami po nocnej zawiei, należało się go spodziewać najwcześniej jutro, a może i pojutrze.

Zamknęła drzwi frontowe i wróciła do małego salonu, gdzie Marga-

ret wniosła właśnie herbatę.

Lizzie zajęła miejsce naprzeciw chlebowdawczyni. Wygładziła fałdy sukni

z beżowego muślinu, udając, że nie dostrzega pytającego spojrzenia.

- No i jak? - Lady Strathmore bawiła się długim sznurem dżetowych paciorków. Przypatrywała się Lizzie z wyraźnym rozbawieniem.

- Co masz mi do powiedzenia, moje dziecko? Bardzo szarmancki, nieprawdaż?

Lizzie bez słowa wzruszyła ramionami i skinieniem głowy dała znak

pokojówce, że może odejść. Margaret pospiesznie opuściła pokój.

- No, Lizzie, musisz przyznać, że to prawdziwy skarb! - ofuknęła ją

stara dama, z trudem powstrzymując śmiech. - Czyżbyś go nie lubiła?

- Ależ oczywiście. To znakomity doktor, sympatyczny, kompetentny i życzliwy. - Skupiła całą uwagę na nalewaniu herbaty do filiżanek.

- Poza tym jednak nic a nic mnie nie obchodzi.

- Och, biedaczek będzie niepokieszony! Założę się, że przyjeżdża tu

bardziej ze względu na ciebie niż z troski o mnie. Tym bardziej że wcale

nie potrzebuję jego pomocy.

- Doprawdy, milady! Doktora Bella interesuje przede wszystkim

stan pani zdrowia, o czym pani doskonale wie.

- Czyżby? - Wicehrabina rzuciła jej figlarne spojrzenie znad fili

żanki. - Dopytywał się w sekrecie, czy byłabyś skłonna przejechać się jego nowym powozikiem.

- Co takiego?! Dobry Boże! - Lizzie, nie ukrywając zdumienia

i oburzenia, odstawiła imbryczek. - Czy ten człowiek nie widzi, że ma do czynienia ze starą panną?!

- Nie pleć bzdur, dziewczyno! Ledwie skończyłaś dwadzieścia lat.

- Jesienią będę już miała dwadzieścia dwa! - zaperzyła się Lizzie.

- E tam! Wiesz, kto decyduje o tym, czy jesteś starą panną, czy nie?

Tylko ty sama!

39

- Doskonale. A zatem, jeśli postanowiłam, że nią jestem, to moja

sprawa i nikomu nic do tego! - mknęła Lizzie ku ogromnemu rozbawieniu starej damy.

- Ale dlaczego, na litość boską, skoro nie brak młodych dżentelmenów o miłej powierzchowności, ze wspaniałymi widokami na przyszłość, którzy aż się rwą do zalotów, chociaż ich zniechęcasz?!  
Niewdzięczna

dziewczyno! Chyba brak ci zwykłej kobiecej próżności!

- Mam nadzieję, że nadrabiam ten brak zdrowym rozsądkiem, mi-

lady! Moją pasją są książki, nie cielęce spojrzenia... choćby cielak był nie wiem jak dorodny.

- Zdumiewające! Chcesz powiedzieć, że nic cię nie obchodzą umiz-

gi czarującego młodego człowieka? Nawet ja nie jestem obojętna na coś

takiego! Nigdy nie byłam!

- Mężczyzna gotów jest powiedzieć wszystko, byle uzyskać to, czego chce - odparła Lizzie nieco moralizatorskim tonem, bardzo dumna z niezłomności swoich przekonań.

Strzepnęła serwetkę i rozłożyła ją na kolanach.

- Nawet nasz świątobliwy doktor Bell, który wytrwale gna od pacjenta do pacjenta, niosąc im

pociechę w fizycznych i duchowych cierpieniach?

- Sprawił sobie nowy powóz, nieprawdaż? Zdumiewające, jak altruizm popłaca!

- Brawo, moja droga, brawo! - zachichotała lady Strathmore, popijając herbatę. - Mimo wszystko mogłabyś spojrzeć na naszego doktora łaskawszym okiem.

- Mogłabym również zapolować na wieloryba, wybrać się na walkę

byków albo wyruszyć na pustynię. O, to by dopiero była przygoda!

Chlebodawczyni Lizzie śmiała się w głos.

- Upodobniłabyś się do Deva!

- Hm...

Lizzie ukryła niedowierzanie co do rzekomych wyczynów lorda

Strathmore'a. Ich sława wydawała jej się co najmniej przesadzona!

Żaden mężczyzna, który naprawdę oglądał tyle cudów i dokonał tak

niezwykłych czynów, nie marnowałby czasu ani sił, pędząc w Londynie

rozpustne i hulaszczę życie. A tak właśnie zachowywał się lord Strathmore od swego powrotu do Anglii. Lizzie знаła ludzi tego typu - wiecz-40

nie goniących za przyjemnościami, niedojrzałych... Zapewne potrzebowali takich właśnie podniet.

- No i co? - nie dawała za wygraną lady Strathmore.

Lizzie uśmiechnęła się kwaśno.

- Gdybym pozwoliła naszemu doktorowi zalecać się do mnie, prędzej czy później dostrzegłabym w nim coś fałszywego albo wulgarnego.

1 byłabym wściekła, że straciłam tyle czasu na głupstwa, zamiast poświęcić go pani, milady.

- Powinnaś być bardziej praktyczna, moje dziecko. Chociaż płęć

brzydka miewa rozliczne wady, warto postarać się o męża i dzieci, żeby

miał się kto tobą opiekować na starość... Nie chcesz chyba skończyć

jak ja?

- Lady Strathmore! Byłabym bardzo szczęśliwa, upodabiając się

do pani pod każdym względem. Co się zaś tyczy starości, to obmyśliłam

już, jak znaleźć środki utrzymania, będąc leciwą starą panną.

- Cóż za niesłychana niezależność!

- Dziękuję - odparła, choć dobrze wiedziała, że nie miał to być

komplement. - Mam zamiar otworzyć księgarnię przy Russell Square.

Z pewnością już pani o tym wspominałam, milady.

- Sklepek z książkami! - prychnęła stara dama. - Młoda kobieta

o twoich zaletach ma święty obowiązek przyczynić się do zachowania

rodzaju ludzkiego! Doprawdy... - ciągnęła dalej, gdy Lizzie zamrugnęła

oczyma, zaskoczona komplementem, który padł z ust starej jędzy. - Nigdy jeszcze nie słyszałam, żeby kobieta tak beztrąsko mówiła o staropanieństwie. To sprzeczne z naturą!

- Bo ja wiem? - odparła ostrożnie Lizzie. - Bardzo mi odpowiada

takie bezpieczne staropanieńskie życie. Nic mi już nie grozi i żadne zło

śliwe kocisko nie rozszarpie mojej reputacji na strzępy... albo nie rozbije jej jak tego nieszczęsnego wazonika!

Lady Strathmore przysunęła się nieco bliżej i zmierzyła swą towarzyszkę szelmowskim spojrzeniem.

- Ale tkwiąc w zapomnianym przez wszystkich kącie, można się paskudnie zakurzyć!

Lizzie roześmiała się i potrząsnęła głową. Niepoprawna staruszka!

W gruncie rzeczy jednak rada była ze zmiany tematu; dość rozprawiania

o jej nieistniejącym życiu osobistym! Odwróciła się, by pokazać lady

41

Strathmore, jak postępuje praca przy sklejeniu jej bezcennego wazonika.

Wtem od strony frontowego holu dotarł do nich przeraźliwy wrzask.

- Wielki Boże, co tam znowu?! - zaniepokoiła się chlebodawczyni.

Lizzie zerwała się, by czym prędzej sprawdzić, co się stało. Była

w połowie drogi do drzwi, gdy otworzyły się z impetem. Do pokoju

wpadła Margaret, niezwykle podniecona.

- Ojej, jaśnie pani! To panicz Dev! Przyjechał! Jest już na podjeździe!

- Devlin? - szepnęła stara dama.

Jej twarz się rozpromieniła.

- A jakże! - wrzasnęła Margaret, a oczy jej błyszczały. - Tylko patrzeć, jak tu będzie!

- Boże miłosierny... - wyszeptała. - Przyjechał!

Stateczna zazwyczaj i, co tu kryć, jędzowata Żelazna Dama nie potrafiła opanować swych uczuć. Promieniowała zachwytem i isticie macierzyńską dumą. Brakło jej tchu.

- Że też ten łotrzyk nas nie uprzedził! Zresztą, to całkiem do niego

podobne! Co tak stoisz, głupie stworzenie?! Biegnij zawiadomić kucharkę, że mamy gościa na kolacji. Mój bratanek z pewnością będzie głodny.

Jak zawsze! Ten chłopak od małego miał wilczy apetyt, nic dziwnego, że

tak pięknie wyrósł!

- Tak jest, psze pani! - przytaknęła Margaret, dygnęła pospiesznie

i wypadła z pokoju, by zatroszczyć się o świętą sprawę: nakarmienie

głodnego panicza Deva.

- Nie ufam mężczyznom, którzy kręcą nosem na porządny posiłek

- ciągnęła dalej lady Strathmore, pospiesznie ocierając łzę, gdy zdawało

się jej, że nikt tego nie widzi.

Słowa chlebodawczyni prawie nie docierały do Lizzie. Stała w osłupieniu.

Dobry Boże! Jej podstęp poskutkował!

Jakim cudem wicehrabia dotarł do Bath tak szybko? Musiał chyba

jechać przez całą noc. W taką zawieruchę... i to na złamanie karku!

- Powiedz mi, dziecko, jak wyglądam? - dopytywała się natarczywie

lady Strathmore.

Pospiesznie poprawiała wstążki czepka z czarnej koronki. Policzki

jej płonęły radością... tak żywych rumieńców Lizzie nie widziała u niej

od wielu tygodni.

To prawdziwy cud!

„Najdroższy Dev" nie pojawił się jeszcze we własnej osobie, a już

zdołał tchnąć nowe życie w starszą panią. Bez trudu dokonał tego, czego

Lizzie nie zdołała osiągnąć cierpliwością, pogodą i codziennymi staraniami. Oto jaka jest potęga prawdziwej miłości! - pomyślała dziewczyna i coś ją zakłuło w samotnym sercu.

- Wygląda pani cudownie - wykrztusiła. - Jak zawsze!

- No to nie stój jak słup, Lizzie, tylko przebierz się czym prędzej!

Ściągnij z siebie tę okropną kieckę!

- Ależ milady! - obruszyła się Lizzie.

- Mówiłam ci przecież, jaki Dev jest wybredny!

Temperament Lizzie dał o sobie znać.

- W końcu to nie oficjalna wizyta księcia regenta, milady!

- Uparciuch z ciebie! Zdejmij przynajmniej to paskudztwo!

Lady Strathmore wskazała stroik na głowie dziewczyny.

Lizzie zmarszczyła brwi i dotknęła czepka z białego muślinu.

- Czy jest niestosowny?

- Wyglądasz w nim staro!

- Bo jestem stara - upierała się.

- Oj, dzieciaku! Mam w szafie suknie, które liczą sobie znacznie

więcej lat niż ty. Ale rób, co chcesz, uparte stworzenie. Zawsze byłaś

samowolna! Lecz nie miej później pretensji, jeśli Devlin zacznie sobie

pokpiwać z twego wyglądu. Ten chłopak ze wszystkimi się przekomarza

- dodała z czułym pobleżaniem.

- Nie ośmieli się!

- Moja droga! Mało jest rzeczy, na które mój bratanek by się nie poważył... Nie mogę się doczekać, kiedy się wreszcie poznacie!

- Proszę sobie nie robić zbyt wielkich nadziei, milady - ostrzegła ją Lizzie, kręcąc głową. - Wątpię, czyjego lordowska mość zabawi tu dłużej. Zwłaszcza gdy się zorientuje, że został oszukany.

- Oczywiście, że nie zabawi tu długo, niemądra dziewczyno! Któż by mógł wymagać, by dżentelmen interesujący się literaturą, teatrem i sportem spędzał całe dni w Bath, dotrzymując towarzystwa starej ciotce! No, pospiesz się, Lizzie! Proszę cię!

Palce lady Strathmore zacisnęły się na kołach fotela. Wytoczyła się z saloniku na parterze w kierunku frontowego holu.



Zmienić suknię, rzeczywiście! Z jakiej racji?! - sarknęła w duchu Lizzie. Olśniewający, dobrze urodzony hulaka nawet nie zauważy brzydkiej, choć obdarzonej zdrowym rozsądkiem dziewczyny. Wiedzia

ła to z doświadczenia. A poza tym honor nie pozwoli jej się mizdrzyć do rozpustnego łajdaka! Nie sądziła, by miał choć odrobinę charakteru, a jego sposób życia budził w niej pogardę.

Mimo nalegań chlebodawczyni, by się pospieszyła, Lizzie ociągała

się, opuszczając salonik. Była niespokojna, wciąż pamiętała, że dopuściła

się oszustwa, aby ściągnąć tu Diabła Strathmore'a. Słyszając coraz głośniejszy tętent, podeszła do okna i, rozsunąwszy nieco firankę, dyskretnie wyjrzała na zewnątrz.

Jej oczy rozszerzyły się z lęku i zdumienia.

Musiała zajść jakaś pomyłka! Mężczyzna, którego zobaczyła, zupełnie

nie pasował do jej wyobrażeń o bratanku lady Strathmore. To nie było

rozkapryszone książątko, lecz czarnowłosy groźny wojownik o płonących

oczach. W jednej sekundzie osadził na miejscu parsającego wierzchowca

i zeskoczył z siodła. Przemoczony płaszcz falował przy każdym ruchu wokół jego potężnej postaci. Posępny grymas podkreślał surowe rysy twarzy.

Jest diabelnie przystojny! - uświadomiła sobie Lizzie.

Zbliżał się do domu. Dziki, z rozwianymi włosami, ociekający deszczem, z twarzą zbryzganą błotem... a jednak opanowany. W każdym jego kroku widać było nieugiętą wolę. Nie zwracał uwagi na stajennego, choć

ten od razu podbiegł do konia, grzebiącego niespokojnie nogą, i zajął się

nim. Wojownicze spojrzenie wicehrabiego utkwione było w drzwiach

frontowych willi.

W Lizzie serce zamarło i przez sekundę nie mogła uwierzyć własnym oczom - równocześnie zafascynowana i przerażona. Jakże łatwo byłoby wyobrazić sobie tego człowieka w powłóczyściej arabskiej szacie, z ogromnym, zakrzywionym mieczem u pasa... Albo rzucającego grzmiące rozkazy

załodze na pokładzie statku korsarskiego.

Boże święty!

Z trudem przełknęła ślinę.

O, gdybyż tylko okazało się, że to nie z tym groźnie wyglądającym

olbrzymem odważyła się zadrzeć! Przecież postanowiła dać nauczkę zepsutemu londyńskiemu hulace, który niczym uczeń wymigiwał się od obowiązków.

Diabeł Strathmore nie mógłby wyglądać groźniej, nawet gdyby zjawił się tu zakuty w czarną zbroję, z potężnym mieczem w garści!

Dziko splątana, kruczoczarna grzywa opadała mu na ramiona. Lizzie zdziwiła się, widząc barbarzyńskie złote kółko w lewym uchu wicehrabiego.

Obejrzał się przez ramię na konia i Lizzie dostrzegła na jego prawym policzku szkarłatną strużkę krwi, widoczną mimo kurzu i błota.

W bezgłośnym okrzyku przycisnęła rękę do ust. Krwawił! Dlaczego? Co się stało?!

Przybysz nadal zmierzał ku drzwiom. Lizzie przysunęła się tak blisko okna, że uderzyła czołem o szybę, on jednak zniknął już z pola widzenia. Zapewne wszedł do domu.

O Boże! Wzdrygnęła się i potarła czoło, odsuwając się od okna z zamętem w głowie. O mój Boże... Po raz pierwszy przyszło jej do głowy, że popełniła błąd. Usłyszała trzask zamykanych drzwi frontowych.

Nie wiedziała już, co o tym wszystkim myśleć.

Lizzie miała fatalną opinię o bratanku wicehrabiny z powodu rachunków, które każdego miesiąca spływały na biurko lady Strathmore.

Lizzie wiedziała, że nie ma prawa przeglądać korespondencji chle-

bodawczyni, jednak od chwili, gdy zaczęła podejrzewać, że „najdroższy Dev” wykorzystuje ślepe miłość ciotki, śledziła bacznie ów potop niezapłaconych rachunków. Przejmowało ją to wstrętem. Każdy weksel usposabiał ją coraz gorzej do ukochanego bratanka wicehrabiny. Ale przysłowiową kroplą, przepełniającą czarę, była pokaźna liczba skryptów

dłużnych z ostatniego tygodnia. To one pchnęły Lizzie do zuchwałego czynu.

Z przyczyn, których wolą nie analizować, Lizzie była tak oburzona

bezcelną pewnością siebie rozrzutnika, przekonanego, że bogata ciotka ma obowiązek spłacić jego długi, iż bez namysłu skreśliła do niego liścik i wysłała przez posłańca, chcąc dać wreszcie nauczkę łajdakowi!

Gdyby od czasu do czasu odwiedzał ciotkę, gdyby choć trochę mu

na niej zależało, to co innego! Ale ten łotr nie zadał sobie nawet tyle fatygi, by napisać kilka słów do ciotki, choć był dla niej najdroższą osobą na świecie! Zawsze miała dla niego otwarte serce i kiesę... Tak, lady Strathmore nigdy się nie skarżyła, ale jej opiekunka, panna Lizzie Carlisle, miała już tego dość! Nie mogła dłużej patrzeć, jak samotna staruszka bez

przerwy na kogoś czeka. Jak rani jej serce myśl, że jedyny żyjący krewny zupełnie o niej zapomniał.

Lizzie miała ogromną satysfakcję z tego, że wystraszy wicehrabiego i łudziła się, że jest przygotowana na jego reakcję. Wydawało jej się, że gdy rozpieszczony nicpoń zjawi się w Bath, będzie się dąsał, sarkał, może nawet tupał nogami w kosztownych butach - wściekły, że stracił kilka nocy, które mógłby przehulać z kompanami. Takie dziecięce wybuchy złości na pewno nie znącą jej spokoju, a dzięki podstępowi wicehrabia doceni - miejmy nadzieję - ciotczyną miłość.

Jej plan wydawał się bez zarzutu. Od chwili, gdy w przystępie gniewu napisała list, Lizzie ani przez moment nie wątpiła, że postąpiła słusznie.

Teraz jednak, na myśl o gniewie olbrzyma o twardym spojrzeniu, serce Lizzie wezbrało lękiem. Nie dawało jej też spokoju sumienie.

W jakich okolicznościach wicehrabia się zranił?

Lizzie nie lubiła kłamać. Bynajmniej nie chciała też wystawić tego człowieka na fizyczne niebezpieczeństwo. Może spadł z konia? Nie byłoby w tym nic dziwnego, biorąc pod uwagę wczorajszą pogodę. Taka opętająca jazda podczas zamieci nie pasowała jednak do mężczyzny, który nie dba ani trochę o krewniaczkę.

Zazwyczaj przekonana o słuszności swoich sądów, Lizzie była teraz wytrącona z równowagi. Zerknęła niepewnie na drzwi salonu, nie wiedząc, jak postąpić. Zaczęło w niej kiełkować podejrzenie, że jakimś

sposobem pomyliła Diabła Strathmore'a z innym londyńskim hulaką... Z pewną osobą, której imię usiłowała raz na zawsze wymazać z pamięci.

Przyszło jej do głowy coś jeszcze... Myśl tak okropna, że cała krew

odpłynęła Lizzie z twarzy. Lady Strathmore będzie na nią wściekła!

Dobry Boże... Nie dość, że ośmieliła się wprowadzić w błąd kogoś,

kto przewyższał ją pozycją i znaczeniem... to „najdroższy Dev” miał najwyraźniej wypadek po drodze. A wszystko przez nią! Lady Strathmore zwolni ją z całą pewnością. Lizzie straci pracę!

Poczuła lekkie mdłości. Uświadomiła sobie swoją pozycję w tym

domu. Czyż nigdy nie nabierze rozumu?! Nie była członkiem rodziny! Co prawda czuła się w willi wicehrabiny jak we własnym domu, ale przecież była tu zupełnie obca. Jeśli chlebodawczyni nie spodoba się

jej zachowanie, może ją wyrzucić jak pierwszą lepszą służącą! Teraz już

46

Lizzie przeraziła się nie na żarty. W ustach jej zaschło. Zacisnęła rękę

w pięści, zbierając resztki odwagi, i zmusiła się do tego, by opuścić salonik, zmierzając na spotkanie z fatum.

Najpierw jednak przemknęła korytarzem do bieliźniarki we wnęce pod schodami. Sięgnęła do wnętrza i wyjęła czysty, złożony biały ręcznik. Zamknęła po cichu drzwi szafy, odwróciła się i wyprostowała.

Z ręcznikiem przytulonym do piersi przybrała w miarę możliwości pogodną minę i rezolutnym krokiem ruszyła w stronę frontowego holu, pewna, że zaraz straci pracę.

I co wówczas? - pomyślała. Dokąd pójdę?

Nie miała swojego domu. Od dziecka mieszkała u obcych ludzi.

Lizzie usłyszała władczy głos lady Strathmore, teraz jakby wyższy

i pełen radości, gdy witała bratanka. Obecny przy tym cały zastęp służby

także przymilał się „paniczowi”.

Nowo przybyły był wyraźnie zaskoczony. Lizzie słyszała jego głęboki, miękki baryton, gdy niespokojnie dopytywał się o zdrowie ciotki.

Dziewczyna przymknęła oczy, usłyszała w jego głosie niepokój i ból.

Wydawał się głęboko wstrząśnięty.

- Co się stało, ciociu Augusto? Powiedz mi wszystko, nic nie ukrywaj! Dlaczego wstałaś z łóżka? Czy nie powinnaś leżeć?

- Leżeć? Ależ Devlinie, jest przecież środek dnia!

- Tak, ale...

- Ale co?

Stara dama była wyraźnie zaskoczona.

Cisza.

- Myślałem... To znaczy... Chcesz powiedzieć, że zupełnie dobrze się czujesz, cioteczko?

- Oczywiście, że się dobrze czuję! - "Wicehrabina roześmiała się beztrąsko. - Co ci przyszło do głowy, kochanie?

Lizzie przystanąła na przeciwległym końcu frontowego holu. Na razie nikt jej nie zauważył. Gdy na nich spoglądała, serce jej się ścisnęło, tak niezwykły stanowili widok - lady Strathmore niczym stara królowa

na tronie, a przed nią klęczący na jednym kolanie bratanek, jak najwierniejszy z rycerzy, pokryty bitewnym pyłem i skrwawiony w boju. Mokry, zziębnięty i lekko drżący, wpatrywał się z natężeniem w twarz starej damy. W jego jasnych oczach pozostał jeszcze cień trwogi.

- Jesteś pewna, że nic ci nie dolega? Nie oszukałabyś mnie chyba, ciotciu Augusto?

- Czuję się znakomicie, drogi chłopcze! - roześmiała się wicehrabina. - Przejechałeś taki szmat drogi tylko po to, by spytać o zdrowie?

- Tak! - szepnął i przez długą chwilę się w nią wpatrywał.

Dotarło wreszcie do niego, że ciotka mówi prawdę. Wówczas przymknął oczy z wyrazem bezbrzeżnej ulgi i, pochyliwszy głowę, oparł się czołem o jej kolana.

- Co się stało, kochanie? - Lady Strathmore dotknęła ręką jego rozwichrzonych włosów. - Zaczynam się niepokoić, Devlinie! Gdzie twój powóz? Okropnie wyglądasz...

- Wiem, bardzo przepraszam.

Ale nie podniósł głowy z jej kolan.

- Mój Boże! Masz krew na policzku? Co się stało?!

- Mały wypadek, nie ma o czym mówić - uspokajał ją pospiesznie.

- Co się stało? Masz mi natychmiast powiedzieć...

- Stęskniłem się za tobą - wyszeptał. - To wszystko.

Spoglądając na niego z coraz większym zdziwieniem, całkiem już

dezorientowana, Lizzie drżała pod wpływem jakiegoś nieznanego,

niepokojącego uczucia. Dlaczego wicehrabia nie wyjawiał prawdy? Powinien zdradzić jej machinacje, wspomnieć o liście... ale tego nie zrobił.

- No, no, mój kochany chłopcze! - ofuknęła go łagodnie ciotka,

głaszcząc po ciemnych włosach. - Przecież wiesz, że zawsze tu jestem

i czekam na ciebie. Powiedz mi, co się stało, Devlinie! Jeśli tego nie zrobisz, będę bardzo niespokojna.

- Ja... Przyśniło mi się, że zachorowałam.

- Coś mi się zdaje, że jestem w lepszej formie od ciebie! Możesz



być zupełnie spokojny. Doktor Bell był tu przed chwilą i oświadczył, że  
jestem zdrowa jak ryba. Prawda, Lizzie?

Usłyszawszy imię damy do towarzystwa, bratanek uniósł głowę.

Oczy mu się zwęziły

Lizzie skamieniała, przyciskając do siebie ręcznik. Lord Strathmore

utkwiał w niej wzrok. Lodowaty chłód bijący z jego jasnych, błyszczących  
oczu sprawił, że z trudem przełknęła ślinę.

Zdaje się, że odkrył już wszystko.

Wicehrabina zdawała się nie dostrzegać napięcia, które dosłownie wisiało w powietrzu.

- Dev, kochanie, pozwól... Jeszcze ci nie przedstawiłam mojej towarzyszki. Panna Elizabeth Carlisle.

Podniósł się jednym płynnym ruchem i spojrzał na nią groźnie jak ogromny, zjeżony wilk.

- Lizzie, to mój Devlin!

Rozpromieniona stara dama nie puszczała ręki bratanka.

Wysunął się nieco przed ciotkę, jakby chciał ją osłonić przed Lizzie.

- Milordzie...

Z bijącym sercem zdobyła się na sztywny dyg.

- Panno Carlisle...

Sposób, w jaki mierzył ją mroźnym spojrzeniem, świadczył o tym,

że nie była już niewidzialna dla otoczenia, jak przed chwilą. Choć zdecydowanie wolałaby, aby tak pozostało. Oczy wicehrabiego, o barwie morza, pełne były wściekłości. Nie wróżyło to nic dobrego.

Spodziewając się, że lada chwila lord Strathmore opowie wszystkim

o jej kłamstwie, Lizzie zebrała się na odwagę i podeszła bliżej, podając

mu ręcznik niczym gałązkę oliwną.

Co się tu działo, u diabła?! Rozdygotany, wyczerpany Dev wziął ręcznik z rąk dziewczyny. Nie odrywając od niej gniewnego spojrzenia, wytarł mokre włosy. Przyglądał się podejrzliwie damie do towarzystwa.

List od tej małej jędzy śmiertelnie go wystraszył. Ulga, jaką odczuł, zorientowawszy się, że ciotka czuje się dobrze, była tak wielka, że omal się nie rozplakał. Zaraz potem zakipiała w nim złość, gdy zrozumiał,

że został wystrychnięty na dudka. Cóż za podła sztuczka! Jak mogła

powążyć się na coś podobnego? I dlaczego, na litość boską?! Nie znał

jej. Nie wyrządził jej żadnej krzywdy. Czemu skazała go na takie katusze?

- Może przejdziemy do małego saloniku, dzieci? Dev, każę służbie

przygotować kąpiel dla ciebie! Zaraz będzie gotowa, kochany chłopcze!

- Ukochana diabła

49

- Dziękuję, ciociu - burknął, nadal nie spuszczać oczu z tej smarkatej intrygantki. Tej całej Lizzie! Tej przybłedy, która wtargnęła do jedyne go domu, jaki miał od lat, i najwyraźniej rozpanoszyła się w nim!

Pogodna i opanowana, przesłoniwszy szare oczy ciemnymi rzęsami,

ujęła rączki fotela na kółkach i bez słowa powiozła starszą panią w kierunku małego salonu.

Devlin ruszył za nimi bez pośpiechu. Był wściekle głodny, przemoczony do suchej nitki, bolały go wszystkie mięśnie. Nigdy jednak nie zdarzyło się, by głód lub zmęczenie przeszkodziły mu docenić wdzięki pięknej kobiety. Tyle że ta -jak się przekonał - była niebezpiecznie sprytna!

Dobry Boże... Grała na jego uczuciach jak na klawikordzie, psiakrew!

Nie miał nastroju, by podziwiać jej zuchwałą odwagę. W tym momencie nawet jej tajemniczy urok sprawiał, że jego rozdrażnienie tylko się potęgowało. Mierzył ją bezceremonialnie wzrokiem i miał nadzieję,

że czuje na sobie jego uparte spojrzenie i że sprawia jej to przykrość.

Ubrana była w nieciekawą beżową sukienkę w drobne białe kwiatki,

z niewielkim dekoltem i długimi rękawami. Wprawne oko Deva dostrzegło jednak, że cienki muślin

układa się całkiem interesująco na zgrabnych pośladkach i faluje wokół bioder w rytm lekkich kroków

dziewczyny. Oklapnięty biały czepek, zakrywający włosy, byłby odpowiedniejszy dla kobiety dwa razy od niej starszej. Kilka orzechowych kędziorków wymknęło się spod tego paskudnego naleśnika i wiło jej się

na karku. Dev miał chęć zderzyć jej z głowy to, pozał się Boże, przybranie i odsłonić resztę loków.

Dotarłszy do małego salonu, dziewczyna zręcznie obróciła fotel

w ten sposób, że ciotka siedziała teraz twarzą do Devlina. Następnie podeszła do stołu i podała starej damie herbatę. Dev śledził każdy jej ruch.

Przez chwilę nie słyszał, co ciocia Augusta do niego mówi. Czas nagle

przestał płynąć, a on, zafascynowany, obserwował każde poruszenie delikatnych, białych kobiecych rąk.

Były to ruchy pewne, miękkie i zręczne, gdy poprawiała poduszkę

pod plecami starej kobiety i otulała szczerzej szalem jej kościste ramiona. Skromność i prostota tych dłoni i koronkowych mankietów na delikatnych przegubach budziły w nim niepojęte wzruszenie.

Wędrował zgłodniałym wzrokiem po smukłych ramionach, aż wreszcie jego spojrzenie padło na piersi dziewczyny - krągłe, gładkie i kuszące. Na cieniutkim złotym łańcuszku wisiał między nimi mały krzyżyk, ozdoba zupełnie niepodobna do błyskotek, noszonych przez ladacznice, z którymi zadawał się w Londynie.

Było to coś zupełnie nowego... i bardzo, bardzo niebezpiecznego.

Gdy schyliła się, by podnieść upuszczoną przez ciotkę chusteczkę i wręczyła ją starej damie z uśmiechem, w oczach jej było tyle czułości, w postawie zaś tyle godności i siły, iż wyczerpany do cna Dev poczuł, że zaraz całkiem się rozklei.

Był taki zmęczony, głodny i zziębnięty...

Zamglonym wzrokiem wpatrywał się w pannę Carlisle, jakby lepiej od niego wiedziała, co powinien uczynić.

Z pewnym wahaniem obejrzała się na niego i ich oczy się spotkały.

W jej spojrzeniu były ostrożność i niepewność.

Kiedy ich oczy się spotkały, Dev zapomniał o nietwarzowym stroju dziewczyny.

Elizabeth Carlisle miała nieskazitelną karnację osoby wiodącej uregulowany tryb życia i nieulegającej grzesznym pokusom. Tylko niczym niezmacony sen, zdrowe jądło, świeże wiejskie powietrze i czyste sumienie mogły dać w sumie tę kremową doskonałość, ożywioną jedynie lekkim rumieńcem. Miała wysokie czoło, dumny, prosty nos i prześlicznie zarysowane łuki brwi. Usta były delikatne, wrażliwe, wargi pełne, jedwabiście różowe... Niełatwo było Devlinowi otrząsnąć się z wrażenia.

Miej się na baczności, chłopie! To zwykła mała kłameczucha! Na

twarży Deva pojawił się dawny grymas. I wtedy właśnie dał się słyszeć

tętent kopyt i turkot powozu na podjeździe.

- Któż to może być? - mruknęła ciotka Augusta, zwracając się

w stronę okna.

Przez koronkową firankę Dev dostrzegł czarną lśniącą karetę podróżną, która zajechała właśnie przed drzwi frontowe. Z okna powozu wyglądała twarz Bena.

Wicehrabia potrząsnął głową z niesmakiem. Jak widać, jego po

śpiech nie na wiele się przydał. Wygodna karetka podróżna była znacznie

większym i powolniejszym pojazdem, ale widocznie całą przewagę, jaką

zdobył, pędząc śmiglejszą kariolką, utracił na skutek wypadku. Szkoda,

51

że nie zaoszczędził sobie trudu. Przynajmniej podróżowałby w komfortowych warunkach! W kłębowisko jego myśli wdarł się nagle znajomy głos, dobiegający od drzwi.

- Proszę o wybaczenie, milady. - Pani Rowland, zarządzająca domem ciotki od trzydziestu lat, zajrzała do salonu z pytającą miną. Była to niska, tęga, rumiana kobieta, mniej więcej sześćdziesięcioletnia, w bia

łym czepku i fartuchu. - Czy mogę przeszkodzić?

- O co chodzi, Mildred? - spytała ciotka Augusta.

Dev obdarzył gospodynię znużonym uśmiechem i skinął jej głową

na powitanie.

- Wasza lordowska mość! - powiedziała serdecznie pani Rowland

i przykucnęła w niezgrabnym ukłonie, po czym znów zwróciła się do

chlebodawczyni. - Służący jego lordowskiej mości właśnie się zjawili,

chciałam spytać, jak ich rozlokować... no i co podać na obiad... - dodała

znaczącym tonem.

- Już idę!

Starsze kobiety wymieniły konspiratorskie spojrzenia. Nie ulegało

wątpliwości, chodziło o specjalny deser dla Devlina. Obu paniom sprawiało wyraźną przyjemność traktowanie wicehrabiego, jakby nadal miał

dziewięć lat. Jemu zaś nie przeszkadzało to ani trochę.

Krótkie sam na sam z panną Carlisle było mu jak najbardziej na rękę.

Zaraz dotrze do sedna sprawy!

Dziewczyna usiłowała czmychnąć.

- Pomogę pani wyjechać z pokoju... - zaczęła, ale ciotka Augusta

powstrzymała ją machnięciem ręki.

- Nie ma sensu, kochane dziecko! Poczekajcie tu na mnie, zaraz wrócę.

Popchnęła koła fotela i bez trudu wyjechała z saloniku.

Panna Carlisle wymamrotała jakąś wymówkę i usiłowała się wymknąć. Dev chwycił ją za ramię i przytrzymał.

- Chwileczkę, mademoiselle! - Przymknął drzwi i odpowiedział

gniewną miną na jej przestraszone spojrzenie. - Kimkolwiek pani jest,

radzę odpowiedzieć szczerze. Co się tu dzieje, u diabła?!

Spojrzała wymownie na rękę w skórzanej rękawicy, która trzymała ją

mocno za łokieć. Na jej twarzy odmalowało się wyzwanie.

- Nie przebywa pan już wśród barbarzyńców, milordzie! Proszę

więc zachowywać się jak należy.

- Tylko tyle ma mi pani do powiedzenia?

- Nie zamierzam mówić nic więcej, póki mnie pan nie puści. Proszę się łaskawie opanować!

- Mam się opanować? Roztrzaskałem kariolkę i omal nie skręciłem

sobie karku. I po co?! Moja ciotka czuje się znakomicie. Nic jej nie dolega!

- Czy to nie powód do radości?

- Nie o to chodzi!

- O nie, milordzie! Chodzi właśnie o to. Pani wicehrabina ma dużo

pieniędzy... ale niewiele życia przed sobą. Mniejsza, co stanie się z pieniędzmi, to drugie jest znacznie cenniejsze!

- Jak taka kłamczucha jak pani śmie prawić komukolwiek morały?

- Nie okłamałam pana, milordzie. Gdyby uważniej przeczytał pan

mój list...

- Ależ czytałem go, czytałem, moja panno! Mnóstwo razy... zanim

zamieć sprawiła, że zmienił się w rozmięklą papkę w mojej kieszeni!

„Przyjechać jak najszybciej” - tak pani napisała. Jeśli ją kocham, mam przyjechać jak najszybciej. No i jestem tu, nieprawdaż? - Wyrzucił obie

ręce w górę, przesywając ją piorunującym spojrzeniem. - A teraz, jeśli

łaska, może mnie pani oświeci, po co to wszystko?!

Lizzie usiłowała zachować cierpliwość i opanowanie. Była gotowa do

rozmowy z tym człowiekiem. Oczywiście rozmowy na właściwym poziomie. Jeśli zamierzał zachowywać się jak jakiś barbarzyńca, o porozumieniu raczej trudno mówić. Trzymał ją mocno za łokieć i choć nie było to bolesne, ogromnie ją irytowało. Uwolniwszy się z uścisku, potarła ramię,

rzucając wicehrabiemu spojrzenie pełne wyrzutu. Uważając jednak rozsądek za najcenniejszą zaletę, cofnęła się nieco na wszelki wypadek. I aż dech jej zapařło, gdy w odpowiedzi Diabeł zrobił krok w jej kierunku.

Znów się odsunęła, rzucając mu zaniepokojone spojrzenie.



- Niech mi pani powie, moja sprytna panno Carlisle... - mruknął

groźnie, ponownie na nią nacierając i zmuszając Lizzie do uczynienia

kolejnego kroku w tył. - Czy ma pani zwyczaj oszukiwać moją ciotkę

tak samo jak mnie?

- Najwidoczniej nie słyszał pan ani słowa z tego, co mówiłam! Widzę, że nie ma sensu dyskutować z panem w obecnej chwili. - Lizzie **53**

odchrząknęła, zdecydowana przejąć kontrolę nad sytuacją. Nadal jednak

cofała się przed nim, gdy następował krok po kroku, niespiesznie i denerwująco. - Dlaczego nie uda się pan na górę, milordzie? Zdejmie pan przemoczone ubranie i coś przekąsi...

- Nie rozkazuj mi - sarknął.

Lizzie odkryła właśnie, że dotarła do kanapy i nie może się już cofnąć. Zbladła i odchyliła się do tyłu, gdy przysunął się bliżej, przypierając ją do mebla. Serce waliło jej jak szalone.

Cały w czerni, niepokojąco przystojny, górował nad nią o dobre

trzydzieści centymetrów. Był tak szeroki w ramionach, że zasłaniał znajdujące się za nim drzwi. Lizzie znieruchomiała, gdy wyciągnął rękę i ujął

ją za brodę, unosząc jej twarz ku sobie.

Wpatrywała się w niego rozszerzonymi oczyma. Jego usta wygięły

się w szyderczym uśmiechu, a jasne oczy błyszczały niepokojącą inteligencją.

Lizzie zrobiło się dziwnie słabo, zakręciło jej się w głowie. Czowała

bijący od Devlina zimowy chłód, woń garbowanej skóry, zapach mokrej końskiej sierści i żar męskiego ciała. Przez chwilę wpatrywała się w kryształki szronu, topniejące na jego długich, smoliście czarnych rzęsach. Nie mogła oderwać wzroku od kropli wody, ściekającej po zranionym policzku aż do kącika pięknych, zaciętych ust. Gdy zlizzał tę odrobinę wilgoci, Lizzie wstrzymała oddech. Zaraz potem odwróciła twarz, wrywając się z jego niezbyt silnego uścisku.

Miękki śmiech, wywołany jej gwałtowną reakcją, przywrócił dziewczynę do przytomności.

- Teraz, kiedy już pana poznałam, żałuję, że napisałam ten list!

- burknęła, odwracając wzrok i czerwieniąc się gwałtownie. - Oszczędziłabym sobie fatygi, gdybym wiedziała, że da to panu tylko pretekst do głupiej zabawy: ścigania mnie dokoła pokoju!

- Ba! Ale napisałaś, *cherie*, wezwałaś mnie i oto jestem. Ciekawe tylko, jak wykorzystasz naszą znajomość?

- Wstydu pan nie ma! - Prześlizgnęła się jakoś koło kanapy i stanęła za nią, odgradzając się od niego meblem. - Wezwałam pana ze względu na pańską ciotkę. Niech pan przestanie! - krzyknęła, gdy i on zaczął okręzać kanapę, zmierzając ku niej.

O dziwo, usłuchał.

Lord Strathmore westchnął ze znużeniem. Pochylił nieco głowę i założył ręce do tyłu. Marszcząc brwi, wpatrywał się w podłogę. Przez dłuższą chwilę milczał.

- Przeraziła mnie pani nie na żarty swoim listem, panno Carlisle.

To nie lada wyczyn! Przyznam, że w tej chwili sam już nie wiem, co myśleć o tym wszystkim. Czy moja ciotka jest chora, czy nie? Niechże mi pani powie... Tylko, na miłość boską, proszę mówić prawdę!

Nieco uspokojona tym, że zepsuty arystokrata nie urządza już sobie zabawy jej kosztem, Lizzie z całą powagą pokręciła głową.

- Jedyne, co dokucza pańskiej ciotce, to samotność, milordzie. Czy to tak trudno zrozumieć? Staram się ją rozerwać, ale jestem tylko obcą osobą. To o panu mówi bez przerwy. To za panem rozpaczliwie tęskni. Chociaż nigdy się nie skarży. Musi pan przecież zdawać sobie z tego sprawę. A jednak traktuje ją pan jak powietrze!

- Nieprawda! - Cień jakiegoś mrocznego uczucia przemknął po jego wyrazistych rysach. Może to było poczucie winy? - Stale o niej myślę!

- Obawiam się, że to nie dosyć - odparła cicho. - Dobrze chęci nie

wystarczą, należy jej poświęcić nieco czasu. Gdyby ją pan widział, jak siedzi przy tym stole i układa pasjansa za pasjanssem, bez końca! Jedyne wizyty doktora urozmaicają nieco monotonię tej jałowej egzystencji.

Nie mogę na to patrzeć!

Pełne bólu słowa Lizzie zawisły w ciszy. Diabeł Strathmore przyglądał się jej uważnie.

- Jeśli moja ciotka jest nieszczęśliwa, mogła to pani napisać bez ogródek. Nie musiała mnie pani okłamywać.

- Wcale pana nie okłamywałam! Najwyżej trochę przesadziłam...

Gdybym tego nie uczyniła, moje słowa nie zrobiłyby na panu żadnego wrażenia!

- Skąd ta pewność? - spytał wyzywającym tonem. - Nie dała mi pani szansy!

- Jakiej szansy?! - obruszyła się, ale zaraz spostrzegła, że miał nieco

racji i się zaczerwieniła. - Ludzie tacy jak pan nie troszczą się o zdrowie starych krewnych!

- Tacy jak ja? A cóż pani o mnie wie?

- Więcej, niż się panu zdaje - odcięła się z pewną wyższością.

- Na przykład?

- Wiem... o pańskich podróżach. I u kogo szyje pan sobie ubranie

albo zamawia buty. I o tym, że przegrał pan w trzy karty...

- Skąd wie pani o tym wszystkim? - zapytał ze złowróbnym spokojem, unosząc brew.

Spoglądała na niego i milczała uparcie, przeklinając się w duchu za

to, że powiedziała zbyt wiele.

- Panno Carlisle! - nalegał, krzyżując ramiona na piersi. - Czekam

na odpowiedź. Jeśli jej nie otrzymam, powiadomię ciotkę o pani oszustwie. Jedno słowo z moich ust wystarczy, żeby straciła pani posiadłość!

Nastroszyła się, słysząc tę pogroźkę.

- Doskonale! Życzy pan sobie wyjaśnień, milordzie? Będzie je pan

miał! - Przestraszona i nie na żarty rozgniewana wykręciła się na pięcie.

Z dumnie podniesioną głową podeszła do biurka wicehrabiny. Zerknęła

w stronę drzwi, chcąc się upewnić, czy nadal są sami, po czym drżącymi rękoma sięgnęła po papiery i skierowała się w jego stronę ze stosem rachunków. - To pańska ciotka powinna się domagać wyjaśnień, ale ponieważ tego nie uczyniła, ja ją zastąpię!

Przyglądał się jej podejrzliwie, gdy wracała ze stertą rachunków,

przekazanych ciotce do zapłacenia.

- Niech pan to wyjaśni, jeśli zdoła! Dwieście gwinei za brylantową

spinkę do krawata... - Popchnęła w jego stronę rachunek od jubilera

takim ruchem, jakby rozdawała karty. - Albo to, tysiąc gwinei za dziesięć

par butów od Hoby'ego. Dziesięć par! - Rachunek od szewca odbił się

od płaskiego brzucha Deva i sfrunął na gładki blat stołu. - A tu z Tatter-

sallu, tysiąc pięćset funtów za parę gniadoszy; nie wspominając o tym

tuzinie koni, które ma już pan w stajni! O, a tu coś najwyborniejszego, skrypt dłużny dla pana Łamignata Randalla, do którego niejaki lord Strathmore przegrał w trzy karty dwa tysiące pięćset funtów. Niech pan to wyjaśni, jeśli łaska!

- Przegląda pani korespondencję mojej ciotki?! - spytał zaskoczony.

- To niewinny grzeszek w porównaniu z pańskimi! Na litość boską, milordzie! Trwoni pan jej pieniądze, nie myśląc o jutrze, ale nie zadał pan sobie nawet trudu napisania do niej listu! Nie złożył pan ciotce wizyty odkąd tu jestem, a może i dłużej! Przyznaję, że posunęłam się

56

za daleko, ale czy to nie wstyd, że dorosłym mężczyzną trzeba aż tak wstrząsnąć, by przypomniał sobie o swoich obowiązkach?

Wpatrywał się w nią w osłupieniu. W pierwszej chwili otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, potem jednak rozmyślił się i zacisnął szczęki.

- Lepiej stąd wyjdę - wycedził - żeby nie zapomnieć, że jestem dżentelmenem.

- Ha! - odpowiedziała tylko, gdy Diabeł Strathmore wykręcił się na pięcie i wymaszerował. Fałdy płaszcza zawirowały wokół niego.

Drzwi zamknęły się z trzaskiem, co ją nieco zaskoczyło. Zamrugła oczami i nagle uświadomiła sobie, że wyszła z tej sprzeczki zwycięsko.

Uśmiechnęła się z radości i okręciła na pięcie. Ale zaraz rzuciły się jej w oczy wyraźne ślady zabłoconych męskich butów, które lord Strathmore pozostawił, przechodząc przez pokój.

Uśmiech zwycięstwa zgasł na ustach Lizzie.

Wielkie, ciemne ślady zdawały się z niej szydzić. Były symbolem

niewrażliwości mężczyzn, depreczujących bez wahania po kobiecych sercach i niedbających ani trochę o

to, jakie pobjawisko pozostanie po ich triumfalnym pochodzie. Jeszcze bardziej irytujące było to, że owe

ślady przypomniały Lizzie o jej największej słabości. Zupełnie odruchowo zaprowadzała ład i porządkowała każdy bałagan. Tym razem tego nie zrobię! - przysięgała sobie w duchu.

Nigdy już nie pozwoli, by jakiś dobrze urodzony piękniś potraktował ją jak niepotrzebny sprzęt!

Podejrzliwie mierzyła wzrokiem drzwi, przez które wyszedł przeciwnik. Nagle usłyszała głos wicehrabiny, dobiegający z korytarza.

Spiesznie pozbierała rachunki, którymi obrzuciła Diabła, i szybciotko

schowała je z powrotem w szufladzie. Nie minęło kilka sekund i lady

Strathmore wjechała znów do saloniku, uśmiechając się z ożywieniem.

- Devlin poszedł się wykąpać przed obiadem, moja droga. Właśnie

spotkałam się z nim na korytarzu. Biedaczek! Obiad zjemy o wpół do

szóstej. Ustaliłyśmy z panią Rowland, że na zakończenie będzie pływająca wyspa. To ulubiony deser Devlina. Czy nie jest równie przystojny, jak ci mówiłam?

Oczy Lizzie miały iskry, musiała jednak przyznać rację lady Strathmore.

- Istotnie, jest bardzo przystojny, milady.

- Wszystko w porządku, kochanie? Zdawało mi się, że dolatują stąd jakieś gniewne słowa.

Ta uwaga zaskoczyła Lizzie, podobnie jak przenikliwe spojrzenie niebieskich oczu starej damy. Do licha! Zapomniała, że jej chlebodawczyni ma znakomity słuch!

- Ależ skąd! Wszystko w porządku.

Zmusiła się do uśmiechu. Ale lady Strathmore nie tak łatwo było oszukać. Stara dama się roześmiała i cmoknęła językiem.

- Kochana Lizzie! Czyżby ten czort pozwolił sobie na żarciki z twojej sukni?

- Coś w tym rodzaju - przytaknęła.

Równie dobry wykręt jak każdy inny.

- Nie damy mu okazji do kolejnych kpin, nieprawdaż? - Chytry

uśmiech chlebodawczyni stał się jeszcze szerszy. - Wiem, że masz mnóstwo ślicznych fatalaszków, tylko nigdy ich nie wkładasz. Dziś masz się ubrać do obiadu jak należy, rozumiesz? I żadnych staropanieńskich

czepków! Stanowczo zabraniam!

- Tak jest, milady.

Lizzie spuściła oczy, żeby nie było widać malującego się w nich rozdrażnienia. Być może lady Strathmore miała słuszość.

Dawniej, pełniąc funkcję nieodstępnej towarzyszki olśniewającej, młodziutkiej lady Jacindy Knight, Lizzie brała udział w wielu balach i dobrze znała salonowe flirty. Nigdy jednak nie miała ochoty wziąć w nich czynnego udziału. Teraz jednak, coraz bardziej pewna utraty



pracy, zwłaszcza że odniosła zwycięstwo nad „najdroższym Devem”

- zraniona męska próżność z pewnością każe mu się zemścić na niej

- postanowiła przynajmniej zejść ze sceny w blasku chwały.

Tymczasem lady Strathmore dostrzegła wielkie, ciemne ślady na

podłodze.

- Mój Boże! Zadzwoń na Margaret, Lizzie! Widzę, że mój bratanek

naniósł błota do domu. - Popatrzyła na towarzyszkę pogodnym wzrokiem. - No cóż, chłopcy zawsze narobią bałaganu! Mimo wszystko jakoś różnie, gdy w domu jest mężczyzna. Nie sądzisz?

Lizzie popatrzyła na nią i nic nie odpowiedziała.

- Moja wina?! - wrzasnął Dev, ubierając się do obiadu.

Będąc u ciotki, zawsze zajmował ten sam pokój. Była to piękna sypialnia, utrzymana w kolorze kasztanowym i ciemnym błękitcie, ze złoceniami.

- Co ty wygadujesz, Ben?! Nie mogę wprost uwierzyć, że bierzesz

jej stronę! Moja kariolka poszła w drzazgi, omal nie przypląciłem tego

życiem... a wszystko z powodu podłego oszustwa!

- No cóż, nie trzeba było zaprzęgać czwórki do kariolki, którą zwykle ciągnie para koni - zbeształ go Ben. - Zwłaszcza że drogi są zaśnie

żone i oblodzone. To nie było rozsądne.

- Zależało mi na pośpiechu! - rzucił niecierpliwie Dev, wkładając

spodnie. Gniewnie zapinał guziki.

Elizabeth Carlisle mogła mieć słuszość, ale nie podobało mu się to.

Wolał nie wspominać swej pospiesznej rejterady z salonu. Świadomość,

że to chucherko poradziło sobie z nim bez problemu, była bardziej niż

przykra. Nawet wypadek z kariolka tak go nie zirytował.

Koło północy wziął zbyt raptownie zakręt i wpadł na płat zlodowaciałego śniegu. Lekka kariolka się przewróciła. Gdyby nie wyskoczył, zapewne byłoby po nim. Na szczęście żył i był cały, nie licząc drobnych

skaleczeń i zadrapań. Musiał jednak sam po ciemku i na mrozie podnieść

połamana kariolkę. Potem należało schwytać konie, które uciekły spłoszone, wlokąc za sobą pęknięty orczyk. Doprowadził je do najbliższej stajni, gdzie musiał odpowiedzieć na mnóstwo pytań i zapłacić okrągłą

sumkę za opiekę nad poszkodowanymi zwierzętami.

Opłaciwszy stajennych, by zbadali stan kariolki, kupił konia pod

wierzch, na którym w końcu dojechał do domu ciotki. O wynajęciu

wierzchowca właściciel stajni nie chciał nawet słyszeć. Uznał, że wicehrabia jest zbyt nierozważny,

by można mu było zaufać.

Jeszcze jedna niechlubna pozycja do czarnej listy występków, którą

Lizzie Carlisle tak uprzejmie mu przedstawiła!

- Zrozumiała, smarkata intrygantka...

- Jeśli jesteś na nią taki zły, to dlaczego, otwarcie jej nie oskarżyłeś?

Miałeś przecież okazję poinformować ciotkę o tym oszustwie. - Ben

chował przybory do golenia, rozłożone na brzegu wanny, do skórzanego

nesesera. Następnie wyjął z niego wodę kolońską i podał Devlinowi. -

Czy aby nie dlatego, iż w głębi duszy czujesz, że dziewczyna ma rację?

59

- Ciotka Augusta nigdy się nie skarżyła, że o nią nie dbam! - burknął Dev.

Policzki mu jednak poczerwieniały, gdyż - prawdę mówiąc - był

równie wściekły na siebie za zaniechywanie ciotki, jak na dziewczynę za

oszustwo. Odkorkował niewielki, oprawiony w srebro flakon i skropił

się wodą o miłym zapachu goździków i rozmarynu.

- To prawda, twoja ciotka zawsze pozwalała ci się wykręcić sianem,

milordzie - stwierdził spokojnie Ben. - Jak widać, panna Carlisle jest

mniej wyrozumiała.

- Judasz! - mruknął pod nosem Dev i skrzywił się paskudnie, zwracając lokajowi wodę kolońską.

Z rozbawioną miną Ben schował flakon i zamknął neseser. Następnie

wziął do rąk idealnie wyprasowany prostokąt białego muslinu i zaczął układać go w skomplikowane fałdki, by mógł posłużyć Devlinowi jako fular.

- Obaldeston! - polecił wicehrabia.

Ten rodzaj misternego węzła najbardziej się podobał jego ciotce.

Dev schylił się nieco, gdy Ben zarzucił mu na szyję umiejętnie zło

żony muślin. Potem wpatrywał się już tylko w sufit, podczas gdy lokaj

dokonywał cudów zręczności. Potrząsnął głową, kiedy nie w porę nawiedziło go wspomnienie świetlistych szarych oczu i długich rzęs. Cóż to za nieznośna dziewczyna!

Większość kobiet płonęła rumieńcem, trzepotała rzęsami i potrząsała lokami, by przyciągnąć jego uwagę. Tylko ta jedna utkwiała w nim spojrzenie otwarte i chłodne. I bez ceremonii zaaplikowała mu taką dozę

szczerości, jaka mu wcale nie przypadła do gustu. Kto by pomyślał, że ta

słaba kobietka odważy się osądzać jego postępowanie, pouczać go, ferować wyroki? Nawet jeśli na to zasłużył!

Chyba nie otrząsnął się jeszcze z szoku. Nikt do tej pory nie potraktował Diabła Strathmore'a w podobny sposób!

- Skąd się u licha wzięła i dlaczego mnie prześladowe?! - zastanawiał

się głośno, gdy Ben, skończywszy wiązanie fularu, podał mu jasnoniebieską jedwabną kamizelkę. Dev włożył ją bez protestów. - Czego chce, do wszystkich diabłów?!

- Pewnie tylko dać ci nauczkę, milordzie.

- Nauczkę, co? - Podeszedł do lustra i zapiał kamizelkę oraz mankiety. - Może pora, żebym ja nauczył ją tego i owego!

60

- Co to ma znaczyć? - spytał z niepokojem Ben, podając wicehrabiemu frak.

- Nikt nie będzie robił ze mnie głupca! Powiem ci coś jeszcze. -

Wsunął ramię w rękaw idealnie skrojonego fraka. - Ta mała intrygantka

rzuciła wyzwanie przeciwnikowi, którego nie należało prowokować!

Przywdziawszy strój wieczorowy, Dev przejrzał się w lustrze.

- Postarasz się o to, żeby straciła pracę?

Ben przyglądał mu się podejrzliwie.

- Nie. - Dev pokręcił głową. - Stara się jak może, nawet ja to widzę. Doskonale się opiekuje moją ciotką. - Wygłosiwszy tę niechętną pochwałę, zastanowił się przez chwilę. - Nie, to będzie rozgrywka wy

łącznie między Lizzie Carlisle a mną.

- Co chcesz zrobić tej dziewczynie?

Oczy Deva błysnęły, gdy przeciągnął dłonią po wilgotnych jeszcze włosach, przyglądając je.

- Ta mała jest całkiem apetyczna.

- Ależ -jęknął Ben - nie możesz tego zrobić!

Dev odwrócił się do niego z niewinną miną.

- O co ci chodzi?

- Nie udawaj! Znam to spojrzenie. Zostaw ją w spokoju! - Ben zrobił

krok w jego stronę. - To prawdziwa dama. Nie miała nic złego na myśli!

- Ja także. - Dev uśmiechnął się cynicznie i odwrócił do lustra, poprawiając coś przy krawacie. - Zabawię się tylko troszkę, Ben. I dam tej smarkuli nauczki!

Po raz ostatni spojrzął na swe odbicie z chłodną aprobatą i, nie zwa

żając na protesty Bena, opuścił pokój. Skierował się na dół, do wielkiego salonu, gdzie miał się spotkać z damami. Z rękoma w kieszeniach zmierzał niedbałym krokiem w stronę imponujących schodów. Uspokajał zranioną męską dumę, powtarzając sobie w duchu, że niebawem wyrówna rachunki. Nagle stanął jak wryty.

Z przeciwległego końca korytarza zmierzała ku schodom panna

Carlisle. W pierwszej chwili jej nie poznał.

Znikł gdzieś oklapnięty biały czepek, a jego właścicielka była zupełnie odmieniona.

Wpatrywał się w nią olśniony. Jedwabiste włosy połyskiwały w blasku świec - bujne, w przemiłym, ciepłym odcieniu orzechowego brązu.

61

Ufryzowane i upięte w elegancki węzeł, pozwalały dostrzec czystą linię

podbródka i wdzięczny łuk białej szyi. Zamiast niegustownej burej sukni miała na sobie uroczą wieczorową toaletę z różanego atlasu z podwyższonym stanem. Blask świec, płonących w ściennych kinkietach, podkreślał perłową karnację Lizzie i bogaty połysk materiału, mieniającego się, gdy się zbliżała do niego. Sięgająca kostek suknia lekko falowała.

Widać było spod niej czubki różowych pantofelków.

Devlin, zachwycony, napawał się mleczną bielą i kuszącym zarysem biustu widocznego w obszernym dekolcie sukni. Jaka ona zgrabna!

Była cudownie zbudowana, a delikatne okrągłości wprost dopraszały się  
pieszczot.

Opuścił nieco głowę i nadal się w nią wpatrywał, gdy podeszła do  
niego na górnym podejściu schodów. Zatrzymała się w pewnej odległo  
ści, zachowując dystans.

Mimo woli obdarzył ją uśmiechem pełnym szczerego podziwu. Popatrzyła na niego z wahaniem, ale  
jej rumieniec był równie ciepły, jak barwa sukni. Zauważył z zachwytem, że szare oczy Lizzie  
pociemniały

i przybrały barwę dymnego błękitu, gdy ona z kolei mierzyła go wzrokiem.

Och, jakże chciałby dopaść ją gdzieś na osobności. Nie po to, bynajmniej, by dać dziewczynie  
nauczkę, tylko w nadziei zmysłowej pieszczoty.

- No cóż - odezwała się, kryjąc iskrę zainteresowania za skromnie

spuszczonymi rzęsami. - Mam nadzieję, że jest pan w lepszym humorze, milordzie.

- Istotnie - odparł niemal pieszczotliwym tonem. - A pani, droga

panno Carlisle, jest prawdziwą różą, która nam rozkwitła mimo zimy.

Ujął ją delikatnie za rękę i podniósł do ust, po czym musnął poca

łunkiem koniuszki palców.

- Nie radzę próbować - przestrzegła go cicho.

Na widok uśmieszku, ni to karcącego, ni to rozbawionego, Dev odczuł w całej pełni potęgę jej uroku.  
Wysunawszy dłoń z jego lekkiego uścisku, odwróciła się, delikatnie uniosła rąbek spódnicy i ruszyła  
scho-darni w dół.

- Czego nie powinienem próbować? - spytał wyzywająco, zeskakując z kilku stopni, by wylądować  
tuż przed nią.

znalazła się dwa stopnie wyżej niż on.

Oparł nogę o stopień, na którym stała, i przysunął się bliżej. Wystarczająco blisko, by ją pocałować.

Albo dostać po twarzy.

Nie doszło jednak ani do jednego, ani do drugiego. Lizzie zmierzyła

go sceptycznym spojrzeniem.

- Proszę posłuchać - powiedziała żywo, oceniwszy sytuację i podchodząc do niej całkiem rzeczowo, co Dev uznał za niezwykle czarujące. - Zaczęliśmy od niepotrzebnego konfliktu. Możemy chyba przyznać uczciwie, że oboje zachowaliśmy się nieodpowiednio. Nie ma to jednak

większego znaczenia. Ważna jest tylko pańska ciotka.

Nie spuszczał oczu z jej warg.

- Zgadzam się z panią. Pod tym względem idealnie dobrana z nas

para!

Zaczerwieniła się na tę gładką aluzję i udała, że jej nie pojęła.

- Doskonale. Postarajmy się więc być dla siebie uprzejmi podczas obiadu, zgoda? Potem możemy schodzić sobie z drogi.

- Mowy nie ma!

Popatrzyła na niego i ruszyła przodem, płynąc lekko, jak brygantyna

niesiona atlantyckim wiatrem.

Oczy Deva błysnęły na to wyzwanie. Wiedział od swych przyjaciół

Czirokezów, że bywają drapieżniki, przed którymi nie wolno uciekać,

gdyż budzi to w nich najgroźniejsze instynkty.

Ktoś powinien powiedzieć o tym także pani Carlisle.

Wykonał jeszcze jeden godny pantery skok, zastąpił drogę Lizzie

i, opierając się o poręcz, zagadnął z miłym, nieco zaczepnym uśmiechem:

- Tak się składa, że mam dla pani pewną propozycję.

- Jestem pewna, że ma ich pan znacznie więcej w swym repertuarze.

- Mówię poważnie. Proszę mnie wysłuchać.

Udała śmiertelnie znudzoną, ale oczy jej się zaiskrzyły, gdy napotka

ła jego rozbawione spojrzenie.

- No, dobrze.

- Proponuję rozejm - powiedział. - Gotów jestem przyznać, że wysłała pani do mnie ten oszukańczy list w jak najlepszych intencjach...

o ile pani przyzna ze swej strony, że zależy mi na mojej ciotce, a nie tylko 63

na jej pieniądzech. Czego dowodem był pośpiech, z jakim tu przybyłem.

Co pani na to?

- Hm... - Udawała niezdecydowanie, nie spuszczać z niego wzroku. - Sądzę, że powinniśmy przynajmniej spróbować żyć w zgodzie.

W przeciwnym wypadku sprawilibyśmy przykrość pańskiej ciotce.

- No właśnie!

- Czy mimo rozejmu nadal grozi mi utrata pracy?

Uśmiechnął się z ironią.

- Nigdy nie miałem zamiaru pozbawiać pani pracy, *cherie*. Nie podoba mi się jednak, że muszę się do tego przyznać. Może, korzystając z tej groźby, zdołałbym zmusić panią do jakichś ustępstw?

- Bez wątplenia! - Popatrzyła na niego, wyciągnęła rękę i współczującym gestem dotknęła skaleczonego policzka. - Tak mi przykro, to moja wina. - szepnęła. - Bardzo boli?

Przez chwilę Dev nie mógł oddychać, a co dopiero mówić, porażony

tą przelotną pieśczęcią.

- Nie - zdołał wreszcie wykrztusić schrypniętym głosem.

Jej niewinność pokonała go zupełnie. Cała jego istota rwała się do

niej w niemym błaganiu: „Weź mnie!”

- Cieszę się, że to nic groźnego.



Wzdrygnął się w poczuciu straty, gdy odsunęła rękę. A kiedy rzuciła

mu niewinny uśmiech, niemal całkiem się rozkleił. W zarumienionych

policzkach Lizzie ukazały się dwa dołeczki, a jej szaroniebieskie oczy rozjaśniły się, jakby promienie słońca przebiły się przez zasłonę chmur. Był

to najbardziej szczery i olśniewający uśmiech, jakim go kiedykolwiek obdarzono. I najbardziej przyjazny. Dev poczuł się dziwnie zdezorientowany. Tysiąc pytań przebiegło mu przez głowę. Kim był ten anioł? Skąd się tu wziął? Zaprzagnął nagle dowiedzieć się wszystkiego o tej dziewczynie.

- Doskonale! - oświadczyła z ożywieniem. - Zgadzam się na ro-

zejm, milordzie! A teraz musimy się pospieszyć. Pańska ciotka pewnie

już na nas czeka.

- Pani pozwoli?

Podał jej ramię.

Uśmiechnęła się znowu, spojrzała mu badawczo w twarz i wsparła

się na jego ramieniu. Dev rzucił jej gorący uśmiech i poczuł coś przypominającego wyładowanie elektryczne, kiedy ich ciała się zetknęły.

64

Miał wrażenie, że i ona doznała podobnego wrażenia, gdyż pospiesznie

odwróciła wzrok i mocno się zaczerwieniła. Wymienili jeszcze jedno

ostrożne spojrzenie, pełne wzajemnego urzeczenia. Nie odzywali się

więcej, schodząc na obiad.

Tęskna zaduma - ten szczyt sentymentalizmu - była czymś zgoła

niezwykłym u starej jędzowatej damy, która bez trudu potrafiła terroryzować swoje otoczenie. A jednak, kiedy lady Strathmore wpatrywała się w trzaskający na kominku ogień - czekając na dwoje młodych, by dołączyli do niej - nie opuszczało jej poczucie nieuchronnego przemijania czasu.

Zresztą, rzeczywiście nie pozostało jej go już zbyt wiele. Zapewne

nie dożyje wiosny. Czowała to w swoich starych kościach, bez względu na

to, co wygadywał ten gołowus, doktor Bell. Ech, co tam! - ofuknęła się

w duchu.

Śmierć nie przerażała Augusty Strathmore. Kobieta, która pozwalała sobie na kpinki z dam królujących u Almacka, nie będzie przecież drżeć przed kostuchą! W każdym razie nie martwiła się, że przyjdzie jej

się rozstać z życiem. Od dobrych paru lat nie było już z kim pogadać.

Wszyscy jej przyjaciele, niegdyś tacy błyskotliwi, albo całkiem zramoleli, albo przenieśli się do wieczności.

Ważne było tylko to, że mogła spojrzeć z dumą na całe swe długie

życie. Córka potentata przemysłowego, „króla żelaza”, spełniła marzenia swego ojca, poślubiając wicehrabiego - co prawda bez grosza przy duszy. Niech odpoczywa w pokoju! Nie urodziła swemu mężowi dzieci, gdyż biedny Jacob zmarł niedługo po ślubie. Mimo to wiodła wspaniałe

życie. Zdążyła jeszcze przed wojną odbyć podróż po Europie. Pewnego

razu nawet tańczyła ze starym królem. Nie był wtedy jeszcze pomyłony,

biedaczek! Dawne dobre czasy... Nieraz szokowałam wielki świat swoim

zachowaniem, dumając, bawiąc się dżetami. Tyle miała pięknych wspomnień i niczego nie żałowała.

Może tylko jednego...

W tym momencie Dev wszedł do salonu. Wysoki, ciemnowłosy,

przystojny w nienagannym wieczorowym stroju. Udawała, że nie dostrzega kolczyka. Błysk białych zębów, kiedy się uśmiechał, był równie urzekający jak zawsze. Wiedziała jednak lepiej niż ktokolwiek inny, że jej ukochany bratanek dwanaście lat temu zamknął się w sobie, obwarował

5 - Ukochana diabła 65

się grubym murem cierpienia. Po tym wszystkim, co przeszedł... Aż

strach pomyśleć, co się z nim stanie, kiedy jej zabraknie.

Ku jej zdumieniu Devlin wszedł w towarzystwie Lizzie. Augusta

uśmiechnęła się, zachwycona widokiem nieśmiałej towarzyszki w sukni

z różowego atlasu. Nareszcie wyglądała na swoje lata! To dziecko było

doprawdy prześliczne, ilekroć nie starało się zszarzeć, zblednąć i wtopić

w tło... Królewskim skinieniem głowy wyraziła Lizzie aprobatę - dziewczyna dostosowała się do jej życzeń. Stara dama była jednak nieco zaskoczona, widząc tych dwoje razem po tajemniczym

nieporozumieniu, którego odgłosy dotarły do niej z saloniku.

Stanowili piękną parę, gdy szli do niej przez pokój. Devlin ciemny i wytworny, Lizzie jasna i słodka. Czuli się ze sobą tak swobodnie, jakby znali się od urodzenia! Wkrótce otoczyła ją ożywcza atmosfera

młodzieńczej witalności. Jednakże Augusta -jak zawsze bystrooka - dostrzegła ukradkowe spojrzenia, które wymieniali ze sobą co jakiś czas.

No, no! - pomyślała. Cóż za dziwna sytuacja! Prawdę mówiąc, było coś zagadkowego w tej niezapowiedzianej wizycie bratanka, który przybył pokryty błotem i zakrwawiony. Osobliwe zachowanie, nawet jak na Deva.

Zarówno jego niespodziewana wizyta, jak i prowadzona szeptem sprzeczka w saloniku skojarzyły się lady Augustie z gwałtowną reakcją

Lizzie, gdy ta dowiedziała się o ostatnich długach karcianych Devlina.

Dziewczyna najwyraźniej miała głęboki wstręt do gier hazardowych.

Kiedy posłaniec dostarczył ostatni weksel, cichutka zwykle Lizzie tak

się zdenerwowała, że aż zaczęła dygotać. Usta jej zbieleły i pod pierwszym lepszym pretekstem opuściła Augustę. Upłynęło kilka minut, zanim się uspokoiła. Stara dama zwróciła na to uwagę, gdyż dziewczyna była zwykle opanowana i nie denerwowała się z byle powodu.

A może ta cicha woda wzięła sprawy w swoje ręce i sprowadziła jej

marnotrawnego bratanka do Bath? Jak też ona tego dokonała? - zastanawiała się stara dama z rosnącą ciekawością i wyraźnym rozbawieniem.

Potem spostrzegła, że gdy Dev spogląda na Lizzie, w oczach zapala

mu się złocisty blask, a jego orla twarz przybiera podejrzenie łagodny

wyraz. Jeśli zaś chodzi o Lizzie, to dziewczyna odpowiadała na jego spojrzenie uśmiechem, rumieniąc się lekko.

Wielkie nieba! - pomyślała Augusta.

66

Był to jedynie wyraz twarzy, przelotne spojrzenie... ale czegóż więcej

potrzebuje urodzona swatka?

Jak on tego dokonał? Może za sprawą czarnej magii, którą studiował w jakimś egzotycznym kraju? - głowiła się Lizzie. Jak Diabeł Strathmore zdołał napełnić jej umysł równie niestosownymi myślami? Wino, które podano do obiadu, uderzyło jej widać do głowy. Cały wieczór obfitował w zmysłowe doznania. Nie mogła oderwać oczu od tego czorta!

Światło świec tańczyło na lśniącym srebrze, porcelanowej zastawie i śnieżnobiałym adamaszkowym obrusie. Rozniecało złote iskry w kryształowych kieliszkach i odbijało się w wielkich lustrach w pozłacanych ramach, zawieszonych na ścianach w kolorze śliwki. Ogień trzaskał wesoło na kominku z białego marmuru, a lokaje w liberii trwali na posterunkach przy ścianie, gotowi służyć biesiadującym. Stół był suto

zastawiony i cała jadalnia sprawiała wrażenie dekoracji, idealnie dobranej do niemej sceny, która rozgrywała się między nimi dwojgiem.

Lady Strathmore siedziała u szczytu stołu, dzięki czemu Devlin

i Lizzie mogli bez przeszkód wpatrywać się w siebie w intymnym blasku świec. Lizzie obawiała się jednak, że stara dama zauważy, jak byli sobą urzeczeni.

Dziewczyna nie mogła uwierzyć, że zainteresował się nią tak wspaniały mężczyzna. Niezwykłe wytworny i czarujący, ze swą śniadą cerą i w nienagannym stroju wieczorowym, stanowił niepokojące połączenie

elegancji i egzotyki. Czarne jak węgiel włosy zaczesał do tyłu i splótł

w gładki warkocz. Złoty kolczyk i blizna na policzku sprawiały, że wyglądał jak pirat. Każdy jego ruch urzekał Lizzie - leniwe postukiwanie koniuszkami palców o podstawę kieliszka; sposób, w jaki bezwiednie

gładził brodę; swobodna poza - lekko pochylone ramiona, ręka sięgająca

do kieszeni kamizelki...

Obserwowanie Devlina przy jedzeniu budziło w Lizzie jakieś pierwotne instynkty. Ciotka nie myliła się, apetyt miał potężny! Prędko się uwinął z zupą z groszku, pieczenia wołową, łososiem i stynkami. Ona

sama była tak niespokojna, że niczego nie mogła przełknąć, choć czuła

dojmujący głód. Nie wiedziała, co się z nią dzieje; była taka ożywiona a zarazem drżąca... Może wicehrabia zawrócił jej w głowie? Nie, to przecież bzdura!

Był naprawdę cudowny - niezwykle czarujący dla ciotki, miły w stosunku do służby. A w dodatku spoglądał na nią, Lizzie, w taki sposób, w jaki nie robił tego żaden mężczyzna.

Gdyby miała jeszcze jakieś wątpliwości, czy z nią flirtuje, rozwia

łyby się w chwili, gdy wyciągnął pod stołem długie nogi. Umieścił je,

skrzyżowane w kostkach, między pantofelkami Lizzie. Zszokowana,

spiorunowała go wzrokiem. On jednak nie dał niczego po sobie poznać

i z poważną miną przysłuchiwał się lokalnym ploteczkom, które opowiadała mu ciotka.

Dyskretnie rzucił Lizzie szelmowskie spojrzenie spod długich, czarnych rzęs. Omal nie jęknęła głośno, tyle było w jego wzroku zmysłowości...

Choć starała się, jak mogła, ukryć pożądanie, podejrzewała, że Diabeł dobrze zna jej myśli. Podnieciło ją to jeszcze bardziej.

- Mam nadzieję, że nie razi cię ta prowincjonalnie wczesna pora

obiadu - mówiła właśnie stara dama. - Założę się, że w Londynie nie

siadasz do stołu przed dziesiątą.

- Nie martw się, cioteczko, jeść mogę o każdej porze. To raczej tobie apetyt nie dopisuje, prawda?

Wicehrabina roześmiała się na widok niespokojnego spojrzenia, jakim obrzucił jej szczupłą, kruchą postać.

- Powiedz lepiej, co tam słysząc w Londynie, mój kochany! Znasz

jakieś smakowite ploteczki?

- Zastanówmy się... - Na ustach wicehrabiego zaigrał szelmowski

uśmieszek, gdy bez pośpiechu pociągnął łyk wina. - Prinny zgolił bokobrody - oznajmił, odstawiając kieliszek.

- Doprawdy? - zaciekawiła się lady Strathmore. - A co tam u księżniczki Charlotty? Czy już się spodziewa? Oszczędź sobie tych rumieńców, Lizzie! Jeśli księżniczka nie urodzi dziecka, zaczną się przepychanki o następstwo tronu! Uważam, że Anglia ma prawo domagać się czegoś

od tego niemieckiego książątka! Obsypaliśmy go bogactwem i zaszczytami, odkąd poślubił naszą księżniczkę ubiegłego lata!

68

- Nic jeszcze nie słyhać na ten temat, cioteczko, ale pewien jestem, że nowożeńcy nie tracą czasu. Ostatecznie, jest to podobno mariaż z miłości!

Devlin zerknął wesoło na Lizzie znad kieliszka.

- A jak się układa małżeństwo księżniczki Mary z Gloucesterem?

Słyszałam, że po raz pierwszy przyjmowali gości u siebie w domu. Jak

tam było?

- Wyjątkowo nudno. Z teatralnych ploteczek nic ci nie powtórzę,

ciociu Augusto, dopóki nie zjesz czegoś więcej! Nie wymigasz się paroma łyżkami zupy! Doprawdy, jesteś taka eteryczna, że byle wietrzyk mógłby cię porwać... Nie zwracajmy sobie głowy bandą

głupców! Jest mnóstwo znacznie bardziej interesujących osób... Na

przykład panna Carlisle. Ogromnie bym chciał się dowiedzieć jak najwięcej o takiej uroczej osobie! Skąd pani pochodzi? Kim są pani najbliżsi? Czym się pani zajmowała, zanim zawitała do domu mojej ciotki?

- Czy to przesłuchanie, milordzie?

- Oczywiście! - oświadczył z szerokim uśmiechem. - Chociaż

mocno spóźnione. Koniecznie muszę się przekonać, czy moja ciotka ma

odpowiednią towarzyszkę!

Mrugnął żartobliwie do dziewczyny, gdy stara dama się obruszyła.

- Jak ci nie wstyd, Devlinie!

Lizzie uśmiechnęła się do niego. Zanim jednak zdążyła odpowiedzieć, wniesiono następne potrawy, nieco lżejsze: dziczyzna, ciasta i kompoty. Kilku lokajów podawało półmiski i odsłoniło srebrne pokrywy.

Ponownie napełniwszy kieliszki winem z kryształowych karafek,

służba się oddaliła.

Devlin spojrział na dziewczynę z nieukrywaną ciekawością.

- A zatem, panno Carlisle? Zamieniam się w słuch!

Lizzie odłożyła widelec, poddając się niewymuszonej atmosferze, jaka zapanowała przy stole.

- A zatem... urodziłam się w Cumberland, gdzie mój ojciec był

rzadcą u księcia Hawkscliffe'a, podobnie jak jego ojciec, ojciec jego ojca i tak dalej... Niestety, tatuś zmarł, gdy miałam cztery lata. Moja matka

umarła rok wcześniej na żółtą febrę. Prawdę mówiąc, prawie nie pamiętam rodziców...

69

- Bardzo mi przykro - rzucił pospiesznie, szczerze zmartwiony Dev.

Lizzie wzruszyła ramionami i obdarzyła go niewesołym uśmiechem.

- I co się z panią stało?

- Wziął mnie pod opiekę obecny książę Hawkscliffe, Robert.

- Spotkaliśmy się w Londynie. To godny szacunku mężczyzna

- mruknął wicehrabia.

- Rzeczywiście - przytaknęła z powagą. Miała pewne wątpliwości,

czy nieco pruderyjny Robert pochwaliłby sposób życia Devlina. - Odkąd

zamieszkałam w książęcej rezydencji, zostałam nieodłączną towarzyszką

młodszej siostry księcia, lady Jacindy Knight. Ona miała wówczas trzy

latka, ja cztery. Jesteśmy od tamtej pory przyjaciółkami od serca. Wychowywałyśmy się razem, uczyłyśmy się pod kierunkiem tych samych nauczycieli. Książęca rodzina była dla mnie niezwykle dobra - powiedziała z całą szczerością. - Towarzyszyłam Jacindzie, gdy weszła w wielki świat, od dnia jej debiutanckiego balu. Jego książęca mość polecił mi, bym opiekowała się nią i ratowała tę psotną istotę z licznych opresji.

- Udawało się to pani?

- Przeważnie tak, ale gdy Jacinda poznała Billy'ego, to on przejął

opiekę nad nią.

- Któż to taki, ten Billy? - spytał z rozbawieniem.

Lizzie się roześmiała.

- To William, markiz Truro i Saint Austell. Ubóstwia Jacindę tak, że serce rośnie, kiedy się na nich patrzy! Pobrali się w zeszłym roku, w lecie. Billy skończył właśnie budować dla żony willę w Regent's Park.

Jeszcze jej nie widziałam, ale znając Jacindę, jestem pewna, że to szczyt nowoczesności i elegancji.

- Nie zawarłem dotąd znajomości z tą parą, ale widywałem ich w Londynie. Markiza jest niezwykle piękna.

Lizzie skinęła głową, zgadzając się z nim całkowicie.

- A w dodatku bardzo inteligentna! Znacznie bardziej niż można by przypuszczać. Tak więc, gdy Jacinda wyszła za mąż, zrozumiałam, że moje obowiązki przy niej dobiegły końca i że pora szukać innej posady.

- Lizzie uznała za stosowne opuścić część historii, wiążącej się z osobą, o której wolała nie myśleć. - W sierpniu przybyłam do Bath i odtąd mam zaszczyt i przyjemność towarzyszyć lady Strathmore.



Spojrzała z czułością na starszą damę, która podczas obiadu była niezbyt rozmowna, obserwując raczej oboje młodych i słuchając tego, co mówili.

- Mam wrażenie, że tęskni pani za przyjaciółką.

- Czasem mi jej brak - przyznała. - Pisujemy do siebie co tydzień.

A co z panem, milordzie? Nie korcą pana następne przygody?

Potrząsnął głową.

- „Katie Rose” stoi na kotwicy w londyńskich dokach; zeskrobują z niej pąkle.

- „Katie Rose”? - powtórzyła Lizzie, oczarowana nazwą statku.

- To brygantyna, którą ciocia Augusta kupiła mi na dwudzieste pierwsze urodziny - wyjaśnił ze smutnym uśmiechem. - Nazwałem ją

po mojej matce. Mój ojciec tak się do niej zwracał, ilekroć zbyt się unosiła. Ja wówczas wolałem trzymać język za zębami, i jeśli już coś mówi

łem, to najwyżej: „Masz słuszność, mamo!”

Lizzie zaśmiała się cicho.

- Miała porywczy temperament?

- Prawdziwie irlandzki! - odparł z bladym uśmiechem.

- Nie wiedziałam, że płynie w panu irlandzka krew!

- Jestem w połowie Irlandczykiem. Ale proszę nikomu o tym nie mówić! - zażartował cierpko. Zauważył, że ciotka wpatruje się w niego.

Wymienili spojrzenia, co nie wiadomo dlaczego wprawiły Lizzie

w zmieszanie. Niezręczny moment szybko minął, gdyż stara dama dała

znak służbie, by uprzątnięto stół przed podaniem deserów. Natychmiast

znikły nakrycia i półmiski, przesunięto karafki i kandelabry. Kiedy zdjęto biały adamaszkowy obrus,

ukazał się mahoniowy, jedwabiście gładki blat

stołu.

Kieliszki znów napełniono - tym razem słodkim, deserowym winem.

- Herbata, kawa czy czekolada, milady? - spytał z namaszczeniem pierwszy lokaj.

- Kawa - odparła zwięźle wicehrabina.

Devlin zaordynował to samo, a Lizzie zadowolila się kieliszkiem madery.

Lokaj udał się po świeżo parzoną kawę, podczas gdy reszta służących wniosła specjalnie wędzoną szynkę - na którą nie mieli już miejsca po

71

tylu przysmakach - a także obrane migdały, rodzyнки i przeróżne rodzaje drobnych ciasteczek. Na koniec z wielką pompą ustawiono pośrodku stołu wspaniałą pływającą wyspę.

- Rozpieszczasz mnie, cioteczko - oświadczył Devlin.

- Bez wątpienia! - przytaknęła ze śmiechem.

W srebrnej wazie, wypełnionej bitą śmietaną doprawioną białym

winem, pływała platforma z cieniutkich warstewek francuskiego ciasta, przekładanych różnobarwną galaretką i owocami. Pani Rowland i kucharka przeszły same siebie! Pływająca wyspa była niezrównana, podobnie zresztą jak wszelkie inne przysmaki. Rozkoszując się pysznym deserem, Lizzie myślała właśnie, jak miło upłynął ten wieczór, gdy nagle

wszystko potoczyło się w nieprzewidzianym kierunku.

- Panno Carlisle, wiem, że Hawkscliffe to tytuł książęcy, ale wymieniła pani przed chwilą nazwisko rodowe lady Jacindy - zagadnął Devlin, gdy na lśniącej srebrnej tacy przyniesiono serwis do kawy. - Knight,

nieprawdaż?

- Tak.

- Do licha! Od razu mi to znajomo zabrzmiało. - Z szerokim

uśmiechem odchylił się na oparcie krzesła. - Chodziłem do szkoły z jej

bratem!

- Którym? - Nieoczekiwana wiadomość wprawiała Lizzie w niepokój. - Ma ich pięciu.

- Z Alekiem - odparł i roześmiał się szelmowsko. - Lord Alec

Knight, czyli Aleksander Wielki, jak kazał się wówczas nazywać.

- To całkiem do niego podobne - zauważyła słabym głosem.

Miała wrażenie, że ktoś pozbawił ją powietrza. Dobry Boże... To

niemożliwe! Przyjaciele ze szkolnej ławy?!

Ależ oczywiście! Alec znał chyba wszystkich, a z Devlinem byli

w tym samym wieku. Strathmore wyglądał na nieco starszego tylko dlatego, że zwiedził kawał świata... podczas gdy Alec siedział w Londynie, grał w karty i łamał serca. Lizzie spuściła oczy, by ukryć przerażenie.

Lord Alec Knight. Brat jej najlepszej przyjaciółki, w którym zakocha

ła się, gdy skończyła dziewięć lat. Najmłodszy z pięciu braci Knightów.

Mężczyzna, o poślubieniu którego marzyła... Błękitnookie bóstwo, które odpłaciło za jej niegasnącą miłość upokorzeniem i wyjątkowo bezlitosnym odtrąceniem.

- Aleśmy razem broili! - wspominał Devlin ze śmiechem i odrobiną tęsknoty za minionym dzieciństwem.

Lizzie prawie go nie słyszała. Serce biło jej gwałtownie, czuła, jak rośnie w niej gorycz na samo wspomnienie dawnego bóstwa. Wytworny pyszny obiad miał teraz dla niej smak popiołu. Radosne podniecenie, które czuła przez cały wieczór, zmieniło się w koszmar.

Co ja robię, na litość boską?!

Idiotka! Czyżby zamierzała po raz drugi popełnić ten sam błąd?!

Chyba kompletnie oszalała!

- W Eton byliśmy nierozłączni... W Oksfordzie zresztą także, póki nie rzuciłem studiów. Boże święty, nie widziałem Aleca od lat! Jak się miewa ten nicpoń?

Lizzie podniosła na niego oczy i spojrzała błędnym wzrokiem. Nie mogła wykrztusić słowa.

Alec... serce jej się ścisnęło na wspomnienie słonecznego uśmiechu i szafirowych oczu. Ale wypłakała już wszystkie swoje łzy. Hazard był jedyną prawdziwą namiętnością Aleca. Przekonała się o tym w bardzo

bolesny sposób ubiegłego lata. Młodzieniec, którego obdarzyła uczuciem, został kochankiem bogatej baronowej, żeby spłacić karciane długi i nadal móc oddawać się nałogowi. Była to prawdziwa sensacja sezonu: jeden z największych londyńskich hulaków został utrzymankiem olśniewającej lady Champion!

Tylko Alec Knight mógł pozwolić sobie na coś podobnego, nie tracąc przy tym twarzy ani popularności.

Ten urodzony aktor sprawił, że jego hańba uznana została niemal za

triumf W imieniu wszystkich mężczyzn zadał cios płci pięknej. Przyjmował gratulacje od swych lajdackich kompanów, że potrafił tak się odegrać na kobietach. Alec Knight dokonał przy tym

osobistego wyboru

- odrzucił wierną miłość Lizzie, uznając ją za mniej wartą niż rzut kośćmi do gry.

Lizzie myślała, że jej pęknięte serce nigdy się nie zblizni, w końcu jednak spokój i pogodna atmosfera w Bath pomogły jej zaleczyć rany.

Czy tylko po to, by tym razem zadurzyła się w Diabie Strathmorze?!

On i Alec Knight byli ulepieni z tej samej gliny. Najlepszym dowodem

była ich przyjaźń i „honorowe” długi! Podobieństwo rzucało się w oczy, choć z pozoru różnili się jak dzień i noc - mroczny demon i złoty bożek

- obaj zbyt piękni i niedostępni dla kogoś z jej sfery. Łajdacy, goniący za przygodą i dreszczykiem niebezpieczeństwa. Devlin był władcą dżungli,

Alec wolał królować na sali balowej. Właśnie dlatego Lizzie postanowiła zerwać z wielkim światem.

Devlin odłożył widelczyk i, marszcząc brwi, wpatrywał się w nią badawczo.

- Czy coś się stało, panno Carlisle?

Milcząc, spojrzała mu prosto w oczy. Nie flirtuj ze mną! - prosiła go w duchu. Nie jestem dla ciebie. Nie chcę mieć z tobą nic wspólnego.

Ani z żadnym innym mężczyzną!

Była przecież kobietą niezależną.

Starą panną. Molem książkowym.

Tak! I szczyliła się tym! Zależało jej tylko na książkach. Nigdy więcej nie zda się na niczyją łaskę. Nigdy już nikomu nie poda serca na dłoni, by je złamano!

Nastąpiła chwila niezręcznej ciszy. Nieoczekiwanie z pomocą przyszedł Lizzie Pasha, wskakując na stół, by dobrać się do pasztetu z gołębi.

Ku ogromnej uldze dziewczyny rozpętało się piekło.

- Pasha, nie wolno!

- Złaż stąd!

Mrrrrrau!

Kot przeskoczył przez wazę z pływającą wyspą - szybki jak płowa błyskawica.

Wino chlupotało w kieliszkach. Dźwięczała zastawa stołowa. Devlin w ostatniej chwili odsunął na bok kawę, która omal nie splamiła mu

ubrania. Lady Strathmore zaśmiewała się z wyczynów kota. Srebrne pokrywy podskakiwały. Jeden z kandelabrow przechylił się niebezpiecznie, podpalając lnianą serwetkę.

Przerażeni lokaje rzucili się na ratunek, jeden z nich ugasił płomień garścią topniejącego lodu z wiaderka, w którym chłodziło się wino.

Drugi skoczył na pomoc jaśnie pani i pospiesznie odtoczył jej wózek na bezpieczną odległość.

Bratanek wicehrabiny również zerwał się z miejsca.

- Zabierzcie stąd tego cholernego kota!

Bez namysłu Lizzie, wykorzystując ogólne zamieszanie, naumyślnie potrąciła swój kieliszek i madera wylała się na jej suknię. Chciała 74

wydostać się z jadalni - natychmiast, już! Jak najdalej od przenikliwego wzroku Devlina.

- O Boże! - zawołała, wpatrując się w plamę na sukni, gdy lokaje

przegonili już kota na drugi koniec stołu. Kiedy lord i lady Strathmore

zwrócili się w jej kierunku, odpowiedziała na ich nieme pytanie niewinnym spojrzeniem, mając nadzieję, że żadne z nich nie domyśli się sztuczki, która pasowałaby raczej do Jacindy.

Bystrooka stara dama popatrzyła na nią podejrzliwie, Devlin zaklął

na widok zniszczonej sukni.

- Do stu diabłów, ciociu! Nie możesz uwiązać tego drania na smyczy?!

- Ależ Devlinie! Pasha przepada za pasztetem z gołębi - zaprotestowała łagodnie, gdy jej pieszczoszek umknął, fukając gniewnie, usadowił

się na wygrzanych ceglach przed kominkiem i zaczął wylizywać łapę,

ignorując wszelkie połajanki pod swoim adresem.

Ponieważ sam omal nie uległ podobnemu wypadkowi, Dev spojrzął

z niepokojem na suknię Lizzie. Zdawał sobie sprawę, że dziewczyny nie

stać na podobne toalety, a ta była prawdopodobnie prezentem od bogatej

przyjaciółki.

- Chyba da się to oczyścić, jeśli się pani pospieszy - doradził. - Jestem pewien, że mój lokaj znajdzie jakiś sposób. Ben to prawdziwy geniusz! Żadna plama mu się nie oprze. - Przezornie usunął się na bok, gdy lokaj wycierał kałużę kawy.

- Bardzo pan uprzejmy - wyszeptała Lizzie. - Z pewnością jakoś sobie poradzę. Państwo wybaczą...

- Zmykaj, dziecko! - rzuciła beztroskim tonem stara dama. - I nie martw się. To wina Pashy, masz więc u mnie nową suknię, o ile lokaj nie zdoła tej uratować.

- Dziękuję pani, ale z pewnością nie będzie to konieczne.

Po co jej takie kosztowne stroje? Córka rządcy nie musi pokazywać się w eleganckim towarzystwie. Dygnęła pospiesznie i wybiegła z jadalni.

Dev, który podniósł się na pożegnanie panny Carlisle, usiadł znów na krześle. Zmarszczył brwi.

- Ten kot to prawdziwe utrapienie - powiedział, nadal zdziwiony

niezwykłym zachowaniem Lizzie i błyskiem przestachu, który dostrzegł w jej oczach. — Naprawdę sprawisz jej nową suknię, ciociu?



- Przecież obiecałam! - Ciotka przyglądała mu się z lekkim uśmiechem. - Polubiłeś ją, prawda?

Devlin zerknął na nią, zaskoczony tym szczerym pytaniem. Uwa

żaj, stary! Ciotka miała zwyczaj swatać go z coraz to inną „dobrą partią”

w Anglii.

- Robi całkiem miłe wrażenie - powiedział wymijająco.

- Nic dziwnego! Nie należy do tych głupiutkich kobietek, które

z pewnością ci się przejadły. Przyznam, że martwię się o tę dziewczuszkę.

Wiesz, co ona robi po nocach?

- Nie mam pojęcia.

- Tłumaczy książki z obcych języków, żeby zarobić więcej pieniędzy.

- Nie płacisz jej wystarczająco, ciociu? - spytał z wyrzutem w głosie.

- Ależ płacę! Tylko że ona oszczędza, uważasz, żeby otworzyć księgarnię.

- Co takiego?!

- Dobrze słyszałeś.

Wymienili zdumione spojrzenia. Ciotka Augusta wzruszyła ramionami i potrząsnęła głową, jakby nie mogła pojąć takiego pomysłu.

- Prawdziwa sawantka z naszej panny Carlisle! Zna francuski, włoski i niemiecki.

- Nawet niemiecki? - Był wyraźnie pod wrażeniem. - Ciekaw jestem, gdzie się nauczyła tego języka.

- Dlaczego jej o to nie zapytasz? A może wielki podróżnik, jak

pierwszy lepszy mężczyzna, boi się kobiet z odrobiną oleju w głowie?

- Nie boję się Elizabeth Carlisle! Do licha, cioteczko, od lat nie widziałem, żebyś się tak do kogoś przywiązała.

- Bo dziewczyna jest tego warta! Kiedy na nią patrzę, przypomina

mi się własna młodość.

Roześmiał się od niechcienia, sięgając po kryształową karafkę, by nalać sobie porto. Kawa się przecież rozlała.

- Byłaś posażną panną z trzydziestoma tysiącami funtów i, o ile mi wiadomo, liznęłaś tylko trochę francuskiego.

- Owszem, ale nigdy nie dałam się ogłupić żadnemu przystojnemu

nicponiowi, podobnemu do ciebie. Panna Carlisle też nie należy do łatwowiernych - odparła z wymownym spojrzeniem. - Zresztą, jestem pewna, że niebawem zazna małżeńskiego szczęścia z doktorem Bellem!

76

- Co takiego? Z tym doktorem od pigułek gastrycznych?! - wykrzyknął Devlin.

- O, on za nią szaleje. To moim zdaniem dobra partia. Solidny, godny zaufania, dobrze wychowany młody człowiek. I całkiem przystojny!

- Solidny, godny zaufania...? - sarknął Dev, wiercąc się na krześle.

- Co za nudy! Taka kobieta jak ona potrzebuje kogoś innego.

Ciotka Augusta uniosła brew.

- No cóż... trochę się o nią niepokoję, jeśli już o tym mowa. Obawiam się, że jakiś głupiec igrał z uczuciami tej biednej dziewczyny.

Devlin znieruchomiał z kieliszkiem w pół drogi do ust, wpatrzony w ciotkę.

- Doprawdy?

- Lizzie nie zwierza mi się, ale potrafię rozpoznać złamane serce.

Wicehrabia odstawił kieliszek i zmrużył oczy.

- Interesujące!

- Uważaj, Devlinie! - skarciła go ciotka. - Sam zostawiłeś zbyt wiele złamanych serc na swej drodze!

Podobnie jak mój stary przyjaciel Alec Knight, pomyślał Dev.

Nagle dziwne zachowanie Lizzie podczas obiadu stało się dla niego jasne. Jego szkolny kolega zawsze był niepoprawnym donżuanem!

Dev przypominał sobie, że nawet w bardzo młodym wieku Aleksander

Wielki nie mógł się opędzić od dziewcząt. Nie brakło również starszych

kobiet. Doświadczonych uwodzicielek, które mogłyby być matkami nastoletniego kochanka. Dokądkolwiek Alec by się udał, damy padały mu do stóp. Zupełnie jakby miał nad nimi jakąś magiczną władzę.

Popijając w zadumie porto, Dev zastanawiał się, czy Lizzie Carlisle

uległa zauroczeniu, dorastając w rodzinnym domu Aleca.

Aż się wzdrygnął na myśl o tym. Zbudził się w nim instynkt opiekuńczy.

Ciotka tymczasem pokręciła głową.

- Dość już na ten temat, mój drogi! Znacznie bardziej niż o Lizzie  
niepokoję się o ciebie - oświadczyła, zbijając go całkiem z tropu.

Znowu to samo! - pomyślał Devlin, tłumiąc westchnienie.

Spojrzenie cioci zdradzało jej determinację. Rozmowa zaczęła się  
zwracać w najmniej pożądanym przez Deva kierunku.

- Nie podoba mi się ani trochę to, co słyszę o twoim zachowaniu

w Londynie. Picie, gra w karty, kobiety... I ci twoi najnowsi przyjaciele.

Słyszałam, że to banda z piekła rodem. Mam nadzieję, że nie popadasz

w dawne grzechy, Devlinie! Mieliśmy z tym dość zmartwień.

- To było sto lat temu, ciociu.

- Ludzie ledwie zapomnieli o twoich dawnych wybrykach. Pora zadbać o reputację, mój drogi!

- O reputację?! - powtórzył jak echo, opierając policzek na dłoni

i uśmiechając się cynicznie. - Od kiedy przejmujesz się ludzką opinią,

ciociu?

- Od zawsze, jeśli o ciebie chodzi. Nieokiełznany, zepsuty, rozpuszczony... Takim cię jeszcze pamiętają w wielkim świecie. A ostatnimi czasy jakoś nie zdołałeś nikogo przekonać, że wreszcie nabrałeś rozumu.

Wpatrywał się w nią przez dłuższą chwilę. To, co mówiła, było oczywiście prawdą, ale ta niezasłużona opinia ułatwiała mu pościg za wrogami.

Członkowie Klubu Jeźdźców i Woźniców myśleli tylko o zaspokojeniu

własnych zachcianek. I pał diabli konsekwencje! Przeszłość Deva, enfant

terrible wielkiego świata, mogła mu ułatwić przeniknięcie do ich grona.

Kiedy złamany nieszczęściem osiemnastolatek rok po utracie najbliż-

szych machnął ręką na studia i przeniósł się do Londynu, szybko zabrnął

w bagno rozpusty, usiłując zagłuszyć ból. Właśnie wtedy otrzymał przydomek Diabła. Stoczył się niemal na samo dno, aż do chwili gdy ciotka j Augusta położyła temu kres, wysyłając go w świat. Nie ulegało wątpliwości, że to ona ocaliła Deva.

- No i co ja mam z tobą zrobić? - mruknęła, spoglądając na niego

z miłością. - Znowu pędzisz na zatracenie! Dlaczego sam siebie niszczysz? Nie stać cię na zdrowsze upodobania? - Zerknęła z dezaprobatą na mocny trunek, którym się raczył. - Wiesz, co mój ojciec zawsze powtarzał? „Uczciwością i pracą ludzie się bogacą”!

Uśmiechnął się z przekornym błyskiem w oku.

- Twój ojciec, najmiłsza cioteczko, był mieszcuchem - wycodził. |

- My, „błękitnokrwisci nicponie”, jak nas nazwałaś, tradycyjnie zmierzamy ku zagładzie w wielkim stylu. Powinnaś to zrozumieć!

- Ach, ty łobuzie! - burknęła, uderzając go lekko po rękę. - Mój

tata był więcej wart niż dziesięciu bezużytecznych arystokratów. Gdyby

nie nasze przedsiębiorstwa, wy, Strathmore'owie, nie mielibyście dachu

nad głową! Najwyżej tę niewykończoną kopułę, z której był taki dumny  
twój stryjek Jacob!

Dev uśmiechnął się blado. Starszy brat jego ojca, stryj Jacob, ósmy

wicehrabia Strathmore, mniej więcej sześćdziesiąt lat temu doprowadził rodzinę do kompletnej ruiny  
swą architektoniczną obsesją. Wzniósł

Oakley Park, wspaniały biały pałac w hrabstwie Kent, co kosztowało go

fortunę. Potem zmuszony był ratować sytuację, poślubiając jedynaczkę

magnata przemysłowego - ciotkę Augustę. Śmietanka towarzyska spoglądała na to małżeństwo z  
ubolewaniem. Taki znamienity ród musiał

się związać z klasą średnią! Jednak wielki świat wkrótce zorientował się,

że córka żelaznego magnata to ktoś, z kim lepiej nie zadzierać. W żadnym wypadku! - myślał z  
miłością i dumą Dev. Nawet teraz, w sędziwym wieku osiemdziesięciu dwóch lat, Żelazna Dama  
budziła respekt i strach. Może dzięki temu, że jej fortuna zrodziła się z żelaza, Augusta

była tak niezłomna? W każdym razie przydomek pasował do niej znakomicie, stwierdził z czułym  
rozbawieniem bratanek. Co się zaś tyczy Oakley Park, to, aczkolwiek należało obecnie do Deva,  
nigdy tam nie

jeździł. Właśnie tam spoczywali jego najdrożsi w mauzoleum wzniesionym na kształt greckiej  
świątyni. Odwiedzanie posiadłości było dla niego zbyt bolesne.

Ciotka Augusta tymczasem nadal się rozwodziła nad zaletami swego

ubóstwanego taty.

- Własną pracą i rozumem dorobił się wszystkiego. A zmarł jako

niezwykle majątny człowiek!

- I pozostawił ci wszystko. Ależ z ciebie szczęściara, cioteczko!

- A ja mam zamiar pozostawić to tobie, choć wiem, że roztrwonisz

cały majątek, który zgromadził ten niezwykły człowiek!

- Ależ skąd! Ożenię się z posażną panną i to jej majątek roztrwonię.

Fortuna twego ojca, ciociu Augusto, pozostanie nienaruszona!

- Ożenisz się? A kiedy zamierzasz to uczynić?

- O, prędzej czy później - wymamrotał i wzruszył ramionami.

- Kłamca! - Ciotka Augusta zmierzyła go przenikliwym spojrzeniem. - Może zatrzymałbyś się na chwilę w tym pędzie? Potrzeba ci wypoczynku, widzę to po twoich oczach!

- Właśnie za to cię kocham, cioteczko! Rąbiesz prawdę prosto

w oczy, nie owijając w bawełnę - wymamrotał i dolał sobie porto.

79

- Tracę już cierpliwość, Devlinie! Zostaw swoje pochlebstwa i wykręty dla londyńskich flirciarek. Na nic ci się nie zdadzą, gdy masz do czynienia z taką starą jędzą jak ja!

- Któż by się ośmielił nazwać moją ciotkę starą jędzą?! Wyzwę zachwalca na pojedynek!

Bawił się świecą, zbierając skapujące z niej krople wosku na ostrze nożyka.

- Obawiam się, że to moja wina - odparła cicho, z przygnębieniem.

Spojrzał na nią i zmarszczył brwi.

- Co takiego?

- Twój charakter. Wiem, dlaczego taki jesteś. To przeze mnie. - Na-

kryła dłonią jego rękę, jej pobrużdżona twarz złagodniała. - Kochany, nie uciekniesz od bólu, nurzając się w bezmyślnych uciechach. Powinam była lepiej cię wychować! Moje metody okazały się nieskuteczne.

No cóż, nie miałam własnych dzieci i nie wiedziałam, co robić ani co mówić po tym tragicznym wypadku...

Jego oczy błysnęły gniewem, gdy usłyszał słowo „wypadek”. Nie powiedział jednak nic. Ostatecznie tak brzmiało oficjalne orzeczenie!

- Prawdę mówiąc, byłam przerażona. Próbowałam sobie wyobrazić, co poradziłby ci mój tata. Ale to był bardzo surowy, praktyczny i uparty człowiek. Uznałam, że dalsza nauka będzie dla ciebie najlepsza. I że powinieneś prowadzić życie jak najbardziej zbliżone do normalnego. Pamiętasz, co ci wtedy powiedziałam?

Spuścił wzrok.

- Doprawdy nie rozumiem, po co roztrząsać to wszystko.

- „Głowa do góry, chłopcze”, powiedziałam. „Nie trać fasonu! Życie musi toczyć się dalej. Przyłóż się do nauki, żeby mogli być z ciebie; dumni!” Przyłożyć się do nauki! Jakie to miało znaczenie, kiedy tobą cały świat rozpadł się w gruzy! Ależ byłam głupia! - szepnęła pośpiesznie,;

- Jak taki dzieciak mógł skupić się na grece czy rachunkach, kiedy całe; jego życie straciło sens?! Moja bezmyślna uwaga sprawiła tylko, że jeszcze bardziej znienawidziłeś samego siebie...

- Przestań! - zawołał nagle z bólem. Pośpiesznie ukrył swe uczucia. Serce waliło mu jak szalone. - Proszę cię, ciociu! Wszystko to starej dzieje.



- Naprawdę? Gdybym wówczas potrafiła po prostu objąć cię i dać ci dość czasu, żeby rany się zabiły, pewnie dawno byś się ustatkował, ożenił...
- O Boże, tylko nie to, błagam!
- I przypomniał sobie o obowiązkach, związanych z twoją pozycją.
- Nie dawała za wygraną. - Niestety, czułość i delikatność nigdy nie były moją mocną stroną. Tak mnie wychowano, rozumiesz?
- Ciociu Augusto, przestań się obwiniać, bardzo proszę! - rzucił niecierpliwie, odsuwając się nieco z krzesłem. - Udzieliłaś mi wówczas najstosowniejszej rady i jestem ci wdzięczny.
- Nie, Devlinie, trzeba to wreszcie powiedzieć! Byłam uparta jak mój ojciec, niezdolna do ofiarowania ci tego, czego naprawdę potrzebowałaś. Miłości. Mało brakowało a cisnąłby serwetką i uciekł z pokoju na sam dźwięk tego budzącego lęk słowa. Ze względu na ciotkę Augustę zmusił się do pozostania na miejscu.
- Po pierwsze, miłość... to cholernie skomplikowana, bolesna sprawa. Nie chcę mieć z nią do czynienia! A po drugie, zawsze mnie kochałaś, a ja doskonale o tym wiedziałem! Przestań gadać głupstwa, ciociu, i na litość boską, odeślij pannę Carlisle do Londynu, jeśli to z jej powodu zaszła w tobie taka zmiana! Pragnę cię widzieć taką samą jak zawsze, groźną, niczym zionący ogniem smok! Ta smarkula rozpaskudziła cię w okropny sposób!
- Jestem stara, mój chłopcze - odparła ze znużonym uśmiechem.
- Nie mam już siły zionąć ogniem. Mogę najwyżej nieszkodliwie prych-

nać. - Urwała, pokręciła głową i dodała gderliwym tonem: - Jestem

zmęczona, Devlinie. Sprowadź mi Lizzie, chciałabym się położyć!

- Tak, ciociu.

Teraz, kiedy o tym wspomniała, zauważył, jak bardzo jest wyczerpana.

Wstał, zadowolony, że - tak czy owak - bolesna scena dobiegła końca.

- Przy okazji - zagadnęła, gdy miał już odejść - panna Carlisle nie

pisała przypadkiem do ciebie?

Devlin w pierwszej chwili skamieniał. Potem odwrócił się powoli,

nie wiedząc co odpowiedzieć. Nie chciał okłamywać ciotki, ale bynajmniej nie pragnął ściągnąć na dziewczynę kłopotów.

- Nie, ciociu — odparł ostrożnie. - Po cóż miałyby do mnie pisać?

6 - Ukochana diabła 81

- Mniejsza z tym! - odparła stara dama z chytrym błyskiem w oku.

- Zauważyłam, że przy obiedzie wspomniałeś o swoich rodzicach. Zda-:

jesz sobie sprawę, że nie robiłeś tego od lat?

Dev nie odpowiedział.

Lady Strathmore wpatrywała się w bratanka przez dłuższą chwilę,

potem odpędziła go machnięciem ręki.

- No biegnij! Już cię tu nie ma!

Dev zmarszczył czoło, niepewny, jak postąpić. Miał nadzieję, że

ciotka nie domyśliła się, że skłamał. Kiedy odwrócił się już, by wyjść,

coś mu się przypomniało.

- Jak myślisz, czy ona jest naprawdę zainteresowana doktorem?

Ciotka Augusta zachichotała.

- Ani trochę!

- Ach, tak.

Dev skinął głową, przyjmując to do wiadomości. Skłonił się pospiesznie ciotce i wyszedł, by spełnić jej prośbę. Kiedy natknął się na panią Rowland w pobliżu kuchni i spytał o damę do towarzystwa lady

Strathmore, gospodyni ruchem głowy wskazała mu drogę do pralni.

- Mam ją zawołać, paniczu?

- Nie trzeba, pani Rowland. Sam jej poszukam. Przy okazji, pływająca wyspa była... - ucałował końce palców - pyszna!

Uśmiechnęła się promiennie i żywo pospieszyła do swoich zajęć.

W weselszym nastroju na myśl o ponownym spotkaniu z panną Carlisle,

Dev udał się do pomieszczenia sąsiadującego z wielką kuchnią. Zbliżając się do ciemnej pralni, usłyszał ciche głosy, dobiegające z jej wnętrza.

Stał w progu mrocznego pokoju o podłodze wyłożonej kamiennymi płytkami. Przy wielkim zlewie dostrzegł pannę Carlisle pogrążoną w rozmowie z Benem.

Ależ ta dziewczyna ma tupet! - pomyślał Dev z rozbawieniem. Uzyskawszy przebaczenie za swój podstęp, nie zaprzestała machinacji, o nie!

Wszystko wskazywało na to, że nieustraszona Elizabeth Carlisle w najlepsze wyciąga informacje od jego lokaja! Fakt, że sama się tu pofatygowała, zadawała pytania i była wyraźnie zainteresowana tematem, pochlebił Devlinowi do tego stopnia, że poczuł przyspieszone bicie serca.

Z ironicznym uśmiechem skrzyżował ramiona na piersi, oparł się

o tonące w cieniu drzwi i - niewidoczny dla rozmawiających - przysłu-

chiwał się rozmowie. Ubrana z powrotem w niegustowną muślinową sukienkę (na szczęście bez tego idiotycznego czepka), Lizzie opierała się łokciami o brzeg balii. Ze śliczną buzią wspartą na rękach słuchała

jak urzeczona opowieści, którymi raczył ją Ben. Lokaj walczył równocześnie z plamami na atłasowej sukni. Dev zdumiał się, słysząc, że jego służący opowiada o latach niewoli w Ameryce, gdyż nieczęsto dzielił się

z kimś tymi wspomnieniami. Ben - lokaj doskonały - pragnął wyróżniać się swą pracą i niezawodnością, a nie kolorem skóry. Zapewne tym razem przyjaciel uznał, że dziewczyna zasługuje na zaufanie, i dlatego

się przed nią otworzył.

- Mama była akuszerką na plantacji - opowiadał. - A ponieważ to

wysoka pozycja wśród służby, więc i mnie od małego przyuczano na lokaja dla panicza. Traktowano mnie całkiem przyzwoicie, ja też nigdy nie lubiłem sprawiać kłopotu. Pani darzyła mnie nawet takim zaufaniem,

że zaczęła mnie uczyć. Widzi panienka, właściciele wolą utrzymywać

czarnych w niewiedzy. I jeśli ktoś z nas ma trochę rozumu, nie zdradza

się z tym, że umie czytać i pisać.

Pokręciła głową ze współczuciem.

W głosie Bena dźwięczał dawno zapomniany południowy akcent,

gdy opowiadał o przeszłości.

- Mama nauczyła mnie wszystkiego, co sama wiedziała o ziołach

lecniczych i o tym, jak opatrywać rany. I bardzo się to przydało, bo jego lordowska mość zawsze się wplątuje w jakieś awantury!

Dev uniósł brew, słysząc, jak śmieją się z życzliwym zrozumieniem.

Potem jednak głos Bena sposępniał.

- Tamtego lata od pioruna spłonęły zbiory i dom się spalił. Nasz

pan był zrujnowany. Powiedział, że musi sprzedać nas wszystkich. To

były złe czasy, panno Lizzie. Bardzo złe! - Murzyn pokręcił głową.

Nawet teraz, po tylu latach, ból i gniew malowały się na jego twarzy.

- Wiele rodzin rozdzielono, wszyscy musieliśmy opuścić dom. A potem przyszło ostateczne upodlenie. Przywieziono nas do Charlestonu na targ niewolników. Następnego dnia rano mieliśmy być sprzedani na

licytacji.

- To straszne - powiedziała cicho.

- Tamtej nocy zamknięto nas w jednej izbie z dzikusami, dopiero

co przywiezionymi z Afryki. Pani wie, łapano ich i zwożono aż do 1806

roku. Potem nie było już transportów nowych niewolników. Ci biedni dżicy - mężczyźni, kobiety, nawet dzieci - zeszedli prosto ze statku, w strasznej trwodze. Niektórzy z nich poranieni albo chorzy. Mama i ja pomagaliśmy im, jak tylko mogliśmy, ale nie rozumieliśmy ani słowa z ich języka, a oni z naszego.

- Oni też mieli być sprzedani nazajutrz rano?

Skinął głową.

- Ale nie poszło tak, jak spodziewali się handlarze! Ani trochę! - Ben posłał jej czarujący uśmiech. - Nikt z nas nie wiedział, że lord Strathmore wpływa właśnie do portu w Charlestonie na swojej „Katie Rose”! Widzi pani, płynął za statkiem, którym transportowano niewolników aż od Indii Zachodnich! Taki młody kapitan, ledwie dwadzieścia dwa lata, ale nie bał się samego diabła, zwłaszcza gdy coś go naprawdę rozzłościło!

I rzeczywiście zobaczył coś straszego na Karaibach.

- Co takiego? - spytała szeptem Lizzie, wyraźnie zafascynowana opowieścią.

Ben zawahał się, niepewny - jak się domyślił Dev - czy można o czymś takim odpowiedzieć młodej damie, po czym zniżył głos.

- Kiedy statek z niewolnikami przepływał koło „Katie Rose”, pan Dev zobaczył, że wyrzucili człowieka za burtę. Żywego, nie trupa.

Zakutego w kajdany. Pewnie złapał gorączkę i załoga nie chciała, żeby choroba się rozprzestrzeniła. Pan Dev i jego ludzie próbowali uratować tamtego nieszczęśnika, ale było za późno. Milord bardzo wziął to sobie

do serca. - Ben zamilkł na chwilę i się zadumał. - I wtedy poprzysiągł sobie dogonić ten statek i, tak czy inaczej, uratować tych biednych, dzikich Afrykanów.

- Ooo! -jęknęła zasłuchana Lizzie.

- Tamtej nocy - opowiadał dalej Ben - tuż po północy, z całą swoją załogą, a było ich dwunastu chłopów, zaatakowali targ niewolników w Charlestonie i zabrali nas stamtąd. Wszystkich, czterdzieści osób! Na początku nie wiedzieliśmy, co się dzieje. Myśleliśmy, że to piraci.

- Z tym kolczykiem, który ma w uchu, nietrudno o pomyłkę - przytaknęła całkiem serio Lizzie.

Dev uśmiechnął się z satysfakcją.

- Pan Dev i jego ludzie zapędzili nas na szalupy i powiosłowali do swojego statku. A potem, pomyśleć tylko, popłynęli razem z nami na

północ. Zamiast nas sprzedać, zabrał nas przez kanał do Filadelfii, gdzie

dołączyliśmy do wielkiej wolnej społeczności czarnych. Widzi pani, prawa dotyczące niewolników są tam znacznie łagodniejsze niż gdzie indziej, bo w stanowym kongresie jest większość kwaków. I jeszcze lord Strathmore dał nam pieniądze, żebyśmy mogli zacząć nowe życie.

- Jaki to piękny gest - szepnęła. - Nie, to coś więcej, to prawdziwie

bohaterski czyn!

- Tak, proszę pani. To prawda.

Ben uroczyście skinął głową. Pełne podziwu słowa Lizzie sprawiły,

że Deva przeniknął radosny dreszcz. Zażenowało go to również, prawdę mówiąc. Był przekonany, że każdy człowiek z odrobiną wrażliwości postąpiłby tak samo. Tym chętniej udzielił pomocy Benowi, jego matce,

braciom i siostram, że jego samego okrutny los pozbawił rodziny.

- Ocalił nam życie - mówił dalej Ben. - I dlatego właśnie mama

powiedziała: „Bennett, mój chłopcze! Na plantacji zawsze było za ciasno

dla ciebie. Sam sobie wybrałaś nazwisko Freeman, wolny człowiek, więc

idź za tą wróżbą, bądź naprawdę wolny! Ruszaj z tym szalonym Anglikiem i poznaj świat!" No i tak zrobiłem.

Uśmiechnęła się do niego.

- Przemierzyliśmy cały stan Pensylwania, aż po ogromną dziką

puszczę - ciągnął Ben żywszym tonem. - Zawędrowaliśmy w góry, zamieszkiwane przez Irokezów i nad północne jeziora, którymi władają, a potem na południe, na ziemię Czirokezów. A pewnego razu, w Appalachach, pan Dev pokonał pumę! Trzeba było widzieć tę walkę...

- A ci czerwonoskórzy, panie Freeman? - spytała ze zdumieniem

Lizzie. - Czy naprawdę widzieliście dzikusów?

- Czyśmy ich widzieli? - wykrzyknął Ben. - Całutką zimę spędziliśmy wśród Czirokezów, po tym jak dotarliśmy do przełęczy Cumberland i odkryliśmy, że jest zasypana śniegiem! Zamarzlibyśmy tam na śmierć. Indianie ocalili nam życie i nauczyli swoich obyczajów. To dobrzy ludzie i wcale nie takie dzikusy, jeśli ich bliżej poznać. Chyba tylko wtedy, kiedy wkraczają na ścieżkę wojenną i atakują



wrogów, ale o tym

z pewnością nie wypada opowiadać damom.

- Och, panie Freeman! Brał pan kiedyś udział w takim ataku? - zapytała ciekawie.

- Nie, proszę pani! Ale jego lordowska mość...

Dev przerwał mu gromkim chrząknięciem, zanim służący wdał się w zbyt obciążające szczegóły.

- No tak... hm... Dobry wieczór, milordzie - bąkał speszony Ben.

- Właśnie pomagam panie Lizzie usunąć plamy po winie z sukni. Ten kot to wcielony czort...

- Istotnie - odparł sucho wicehrabia. - Panno Carlisle?

- Słucham, milordzie?

Spuściła głowę, upokorzona, gdyż przyłapał ją na wtykaniu nosa w jego sprawy. Zerknęła lękliwie spod rzęs i Dev zauważył, że spogląda na niego innym wzrokiem. W jej oczach dostrzegł szacunek.

Ucieszyło go to.

Założył ręce za plecy.

- Moja ciotka wzywa panią do siebie, panno Carlisle. Chce się udać na spoczynek.

- Och! Tak, oczywiście. - Spuściła oczy, po czym spojrzała niespokojnie na Bena. - Dziękuję bardzo za pomoc, panie Freeman. Czy ma pan wszystko, czego potrzeba do wywabienia plam?

- Tak, proszę pani - odparł Ben pośpiesznie i skłonił się grzecznie.

- Doskonale! Dobrej nocy, panie Freeman.

Gdy wyminęła Deva w drzwiach, ten uniósł jedną brew i spojrzał podejrzliwie na lokaja.

Ben wzruszył ramionami.

- Mówiłem szczerą prawdę, może nie? - Gdy zaś wicehrabia wykręcił się na pięcie i ruszył za dziewczyną, zawołał za nim z szerokim uśmiechem: - Miło mi, jeśli mogłem się przysłużyć!

Spódnice Lizzie szeleściły, gdy przemykała się przez kuchnię. Była

czerwona ze wstydu, gdyż przyłapano ją na wtykaniu nosa w cudze

sprawy. Grzebanie w przeszłości Devlina Strathmore'a było niewybaczalnym wścibstwem! Wymknąwszy się z kuchni drugimi drzwiami, pobiegła korytarzem, słysząc za sobą kroki wicehrabiego.

- Panno Carlisle.

86

Udawała, że nie słyszy tego kuszącego, roześmianego głosu, w złudnej nadziei, iż nie doczekawszy się odpowiedzi, Strathmore zniechęci się i zostawi ją w spokoju. Ależ się wygłupiła! Nie spostrzegła, że wślizgnął

się do pralni. Ten człowiek poruszał się bezszelestnie jak łowca tropiący

zwierzyńkę!

Przekonała się o tym ponownie, gdy zniecka chwycił ją za nadgarstek.

- Zaczekaj, Elizabeth!

Odwróciła się niechętnie, starając się zignorować gorączkowy

dreszcz, który przebiegł jej ciało, gdy poczuła lekki uścisk jego ręki.

- Nie ma się czego wstydzić, *cherie* - szepnął tak czule, że wprawilo ją to w drżenie.

Policzki poczerwieniały jej jeszcze bardziej, gdy usłyszała pieszczotliwe słowo i ujrzała blask, jakim zapłonęły przejrzyste, błękitnozielone oczy Deva. Wicehrabia spostrzegł jej reakcję.

Lizzie odwróciła wzrok, starając się zachować resztkę godności.

- Lordzie Strathmore...

- Devlinie - poprawił ją łagodnym tonem.

Nie zamierzał bynajmniej puścić jej ręki.

Odchrząknęła nerwowo.

- Proszę się nie gniewać na pana Freemana za to, że opowiedział mi

o pańskich podróżach, milordzie. To moja wina. Byłam taka ciekawa!

Pańskie życie jest bardzo ekscytujące, w przeciwieństwie do mojego.

- No, cóż... Nie musisz zwracać się do Bena, gdybyś chciała dowiedzieć się czegoś więcej - zaproponował tonem starego przyjaciela.

- Z przyjemnością sam opowiem o wszystkim. Może byśmy się spotkali

w bibliotece, kiedy już pomożesz ciotce Auguście ułożyć się do snu?

Rzuciła mu spłoszone spojrzenie. Oczy miała szeroko otwarte.

Dev się uśmiechnął.

- Napijemy się szampana. No więc, powiedzmy, o dziesiątej?

Serce w niej zadygotało.

- Naprawdę nie wiem.

- Z pewnością wiesz! - szepnął.

Wpatrywała się w niego, oniemiała i zbita z tropu. Ależ z niego zuchwalec! Lady Strathmore miała rację, nie było rzeczy, na którą by się nie poważył! Ta świadomość wydała się jej jeszcze bardziej niepokojąca

teraz, gdy cała jego uwaga koncentrowała się na niej. Jego intencje były aż nadto jasne! Lizzie wyrwała rękę z aksamitnego uścisku i rzuciła się do ucieczki. O Boże! Nie miała pojęcia, co począć.

Był tuż za nią.

- Nie usłyszałem odpowiedzi, złotko!

- Nie, nie i jeszcze raz nie!

- Dlaczego? - spytał z rozbawieniem. Bez wątpienia uznał ją za typową lękliwą gąskę. - Ciotka wspomniała, że interesują cię języki obce.

Mógłbym nauczyć cię kilku słów po arabsku...

- Nie, dziękuję.

- Nie psuj zabawy!

Zatrzymała się i odwróciła do niego, unosząc głowę, jakby z wyzwaniem. Alec nieraz stawiał jej podobny zarzut.

- Niczego nie psuję!

- Znakomicie! W takim razie do zobaczenia.

Na jego wargach pojawił się przekorny uśmiech. Zdawał się sugerować, że jeśli Lizzie przyjdzie do biblioteki, znajdą ciekawsze zajęcie niż rozmowa.

W dowolnym języku.

- Nie, dziękuję - wykrztusiła bez tchu.

Z bijącym gwałtownie sercem wykręciła się na pięcie i uciekła do swych wieczornych obowiązków.

- Będę czekał w bibliotece na wypadek, gdybyś zmieniła zdanie!

- zawołał za nią. Nie starczyło jej odwagi, żeby się odwrócić.

Dotarłszy do frontowego holu Lizzie ujrzała lady Strathmore u podnóża schodów. Stara dama czekała na nią w fotelu na kółkach. Dziewczyna ukryła zmieszanie, spowodowane zalotami wicehrabiego, i

pomogła starszycie wstać i oprzeć się na niej. Razem zaczęły powolną i niełatwą wspinaczkę pod górę. Pokonały zaledwie trzy stopnie, gdy w holu na dole pojawił się Devlin.

- Mogę pomóc?

Lizzie obejrzała się, on zaś skoczył ku schodom. W następnej chwili z szerokim uśmiechem wziął starą damę na ręce.

- Do usług.

Ciotka zaniósła się niemal dziewczęcym śmiechem.

- Och, Dev! Puść mnie natychmiast, ty łotrze!

88

- Mowy nie ma!

- Proszę uważać! - upomniała go Lizzie, lękając się o kruche kości staruszki.

Szybko przekonała się, że nie ma powodu do obaw.

Devlin był niezwykle opiekuńczy. Ostrożnie wniósł starą damę na piętro, a potem troskliwie postawił ją na nogi. Kiedy Lizzie podtrzymała swą podopieczną, zbiegł ze schodów, po czym wtaszczył na górę fotel na kółkach.

- Pomóc w czymś jeszcze? - spytał, zwracając się do Lizzie.

Potrząsnęła głową.

- Dobrej nocy, kochanie! - szepnęła ciotka, gdy pochylił się, by pocałować ją w policzek. - Bez względu na to, jak długo będziesz mógł

pozostać, bardzo się cieszę, że przyjechałeś!

- Ja też - odparł cicho i wymownie spojrzął przez ramię na Lizzie.

To spojrzenie nie umknęło uwadze Augusty. O tak, stanowczo coś

się między nimi działało!

Dobry Boże, lepiej się bawiła tego wieczoru niż przez cały ubiegły rok! Najpierw zazdrość Deva z powodu doktora Bella, a potem sprytna sztuczka Lizzie, która wylała wino na suknię, gdy rozmowa zesłała na niebezpieczne tory! Wspaniały podstęp!

Starej damie było lekko na sercu, kiedy towarzyszka wprowadziła ją do sypialni i cierpliwie pomagała przebrać się w nocny strój. Przez cały czas Augusta zastanawiała się, jaką obrać taktykę. Zarówno Dev, jak i Lizzie byli skryci, jeśli chodzi o sprawy sercowe. Wiedziała więc, że musi zachować ostrożność.

Margaret przyniosła butelki z gorącą wodą do ogrzania łóżka, dygnęła, wymamrotała „dobranoc” i już jej nie było. Niedługo potem Lizzie pomogła starszej pani ułożyć się wygodnie w wielkim łożu z baldachimem.

- Gotowe, milady! - Dziewczyna otuliła Augustę kołdrą. - Czy pani sobie życzy, żebym jej przeczytała kilka wersetów z Biblii przed snem?

- Posiedź przy mnie przez chwilę, moja droga! - Augusta poklepała miejsce obok siebie. - Chcę ci coś powiedzieć.

Lizzie spojrzała na nią z niepokojem, jednak posłuszna jak zawsze przysiadła na brzegu łóżka i czekała.

89

Augusta miała ochotę się uśmiechnąć, ale zamiast tego zrobiła groźną minę.

- Elizabeth, czy się myślę, podejrzewając, że dzisiejsza wizyta mego bratanka nie była przypadkowa?

Lizzie spuściła głowę i pokręciła nią przecząco.

- Nie, milady. To nie był przypadek. - Spojrzała na chlebodawczy-

nię ze skruchą. - Napisałam do niego.

- A co dokładnie mu napisałaś?

- Nie okłamałam go. Dałam mu tylko do zrozumienia, że... jeśli się nie zjawi niezwłocznie, może tego pożałować - wyznała z niepokojem.

- Dałaś mu do zrozumienia, że jestem już jedną nogą w grobie?

- Wiem, że to nie było uczciwe ani właściwe, ale bardzo się o panią martwiłam, milady... To nie w porządku, że wicehrabia tak panią zaniedbuje! Gdyby pani była moją ciocią, nie pozwoliłabym pani marnieć tu w samotności...

- Nie jestem sama, moje dziecko - przerwała jej łagodnie stara dama. - Mam przecież ciebie.

W oczach dziewczyny pojawił się błysk niepewności.

- Naprawdę wiele dla mnie znaczysz.

Lizzie wpatrywała się w jej twarz, nie wiedząc, co myśleć.

Augusta uśmiechnęła się i ujęła dłoń swej towarzyszki.

- Opowiem ci dziś wieczorem jeszcze jedną historię, moje dziecko.

Słyszałaś wiele opowieści o wyczynach mego bratanka, ale nigdy dotąd

nie wspomniałam o pewnym rozdziale jego życia. Coś mi mówi, że najwyższy czas powiedzieć ci o tym.

Lizzie przechyliła głowę na bok, wyraźnie zaintrygowana.

- Kiedy umarł mój drogi Jacob, świeć Panie nad jego duszą, tytuł

odziedziczył jego brat Stephen, ojciec Devlina. Cóż to był za uroczy

człowiek! Jako młodszy syn, Stephen był dotąd zwykłym panem Kim-

ballem i całkiem mu to wystarczało do szczęścia. Czytał książki, badał

preparaty pod mikroskopem, odbywał długie spacery z psami. Jednak

po śmierci mego męża został wicehrabią, a potem, o wiele za wcześnie,



tytuł ten przeszedł na Devlina. Widzisz, Stephen i jego żona, Katherine, zginęli w strasznym pożarze, kiedy Dev miał siedemnaście lat.

- Och! To okropne... - szepnęła ledwie dosłyszalnie Lizzie.

Augusta skinęła głową.

90

- Podczas pożaru zginęła również siostrzyczka Devlina, Sarah.

Miała zaledwie cztery latka. Takie śliczne, radosne dziecko! Czarne loki, wielkie niebieskie oczy... Byli naprawdę szczęśliwą rodziną. Rodzice

Devlina pobrali się z prawdziwej miłości, rozumiesz...

Głos starej damy załamał się smętnie, gdy przypomniało jej się własne małżeństwo z Jacobem, zawarte dla zaspokojenia ambicji jej ojca i podreperowania majątku męża.

- Kiedy wydarzyło się to nieszczęście, Devlin był w Oksfordzie.

I powiem ci w zaufaniu, że nigdy nie otrząsnął się całkowicie po tym

ciosie. Oprócz mnie wyznaczono na jego opiekunów jeszcze dwóch

dalekich krewnych. Tylko ja z tej trójki byłam kobietą, musiałam więc

zastąpić Devlinowi matkę, jak umiałam. Pozostawał pod moją opieką

do dwudziestego pierwszego roku życia. Prawdę mówiąc, nie znałam

się zupełnie na wychowywaniu chłopców... zwłaszcza tak straszliwie

dotkniętych przez los. - Westchnęła ciężko. - Po roku Devlin zrezygnował ze studiów w Oksfordzie, a następny rok przejechał w Londynie.

W końcu odbyliśmy poważną rozmowę i wyruszył w świat. Było mi

bardzo trudno rozstać się z nim, ale wydawało się to jedynym sposobem,

aby zawrócić chłopca ze złej drogi. I chyba poskutkowało. Devlin spędził prawie trzy lata w Indiach Zachodnich i w Ameryce. Potem wrócił

na krótko, tylko po to, żeby się ze mną zobaczyć, i popłynął znowu,

tym razem do Indii. Nie wiem dokładnie, gdzie się podziewał podczas

tej drugiej podróży - opowiadała dalej - ale mówił mi, że zapuścił się na północ i podróżował po pustkowiach Azji. - Augusta zapatrzyła się w przestrzeń. - Zwiedził tyle zakątków świata... i zachował je wszystkie w pamięci. Tylko widzisz, moja droga, nikomu nie pozwolił zbliżyć się do siebie od czasu, gdy stracił najbliższą rodzinę. Dlatego właśnie nie zjawia się u mnie zbyt często... To nieprawda, że nic go nie obchodzi. Zależy mu na mnie i przeraża go myśl, że i mnie niebawem utraci.

- O Boże, milady! W takim razie list, który do niego wysłałam...

- wyszeptwała Lizzie z przerażeniem w oczach. - Jak boleśnie musiałam go zranić! Nie miałam pojęcia...

- Ale teraz już wiesz, prawda? - Augusta uśmiechnęła się serdecznie

do zgnębionej dziewczyny i poklepała ją po ręce. - Weź się w garść, moja

droga! Jesteś silna i za to właśnie cię lubię. Postaraj się tylko, żeby ból, który ukrywasz w sercu, nie zakłócał ci obrazu Deva. Teraz już wiesz,

91

że jest bardziej bezbronny, niż ci się zdawało. Prawdę mówiąc, chciałam cię o coś prosić.

- Oczywiście, milady. O co chodzi? - szepnęła Lizzie.

Prośba o pomoc ze strony wicehrabiny zaskoczyła ją. Augusta Strathmore rzadko prosiła kogoś o przysługę.

Stara dama spojrzała przenikliwie w szczerą twarz dziewczyny.

- Spotkasz się z nim czasem, kiedy mnie już nie będzie? Upewnisz

się, że wszystko z nim w porządku?

- Ależ milady, proszę nawet nie myśleć...

- Zrobisz to czy nie?

Lizzie nie wiedziała, co począć.

- Ale... jakżebym mogła? To byłoby niewłaściwe... Z jego reputacją... Bardzo mi przykro, milady, naprawdę... ale nie mogę składać podobnych przyrzeczeń!

- Czy jego tragedia wcale cię nie wzruszyła?

- Oczywiście, że tak...

- On nie ma nikogo bliskiego.

- Ma panią!

- Nie na długo. Doprawdy, Lizzie, nie zamierzasz chyba odmówić

ostatniej prośbie starej kobiety?

- Boże święty! Przecież pani nie umiera, milady! Proszę nie opowiadać takich rzeczy! - Zerwała się z łóżka Augusty, wyraźnie wstrząśnięta.

- Ogromnie mi przykro, że muszę pani odmówić, milady. Przecież pani wie, jaka jestem wdzięczna! Tak mi tu dobrze! Ale nie mogę pozwolić na takie ponure gadanie! Na litość boską, nikt się tu nie wybiera na tamten świat i z całą pewnością nic złego się nie stanie przez długi, długi czas.

I dość na ten temat!

Augusta przyglądała się jej bacznie, ale nie naciskała dłużej.

- Uparte z ciebie stworzenie, prawda?

- Tak! Nie mam w zwyczaju składać obietnic, których nie mogłabym dotrzymać. A teraz musi pani odpocząć, milady. Do zobaczenia rano!

- Niespokojnym krokiem przebiegła przez pokój. W drzwiach przystanęła i po chwili wahania się odwróciła. Nietwarzowa suknia zawirowała wokół niej. - Nie dlatego odmawiam, żebym nie chciała pomóc, tylko...

On i tak by nie posłuchał kogoś takiego jak ja, rozumie pani? Gdybym

była piękna, dobrze urodzona albo bardzo bogata, to może by się ze mną

liczył. Ale jestem tylko Elizabeth Carlisle, a on jest wicehrabią Strathmore, więc nic z tego. I na tym koniec!

Stara dama się uśmiechnęła. Jesteś w błędzie, moja droga! Ten łotrzyk słuchałby cię... w pewnych okolicznościach. No cóż, pozwólmy im poznać się bliżej, a potem matka natura niech zrobi swoje.

- Nie myśl już o tym, Lizzie. Rozumiem doskonale.

Jeszcze zmienisz zdanie! - pomyślała chytrze. Znam cię, moja droga. Sumienie nie da ci spokoju!

- Bardzo dziękuję, milady. Naprawdę mi przykro - dodała Elizabeth, wyraźnie przybita.

- Dobranoc, moja droga.

- Dobranoc, milady!

Dziewczyna dygnęła z szacunkiem i wyszła z pokoju.

Lizzie przystanąła w ciemnym korytarzu. Przymknęła oczy i opar

ła się na chwilę o ścianę. Zrobiło się jej niedobrze na myśl o tym, co

uczyniła. Czuła pogardę do siebie. Sprzeniewierzyła się jednej ze swoich

najważniejszych zasad. Jak ona - chrześcijanka - mogła być tak okrutna,

grożąc okaleczonemu duchowo człowiekowi utratą jedynej krewnej?!

Nic dziwnego, że gnał tu na złamanie karku! Nic dziwnego, że przedtem starał się trzymać z daleka od ciotki.

A jednak, choć czuła straszliwe wyrzuty sumienia, rada była, że pod

ich naporem nie uległa prośbom lady Strathmore. Lizzie traktowała bardzo poważnie złożone przez siebie przyrzeczenia. I zdawała sobie sprawę z tego, że opieka nad Diabłem Strathmorem przekracza jej siły. By

łoby szczytem głupoty obiecywać, że się o niego zatroszczy, nawet gdyby

okazało się to możliwe! Niedawno trzęsa się nad Alekiem Knightem jak

kwoka nad jedynym kurczątkiem. I co dobrego z tego wynikło? O nie!

Następnym razem, gdy zaopiekuje się jakimś mężczyzną, znajdzie sobie

kogoś, kto będzie tego chciał i potrafi okazać wdzięczność!

Swego czasu potulnie spełniłaby polecenie. Teraz jednak była mądrzejsza. Jeśli już nic innego, to

przynajmniej nieodwzajemnione uczucie do Aleca nauczyło ją, że musi czasem przeciwstawić się innym, gdyż inaczej jej serce zostanie doszczętnie stratowane.

Tak czy owak, nie miała najmniejszych wątpliwości, że gdyby Diabeł Strathmore dowiedział się o prośbie ciotki, jego duma poważnie by

ucierpiała. Żaden mężczyzna nie uważa, że należy się nim opiekować,

choć, oczywiście, wszyscy tego potrzebują. Na szczęście Dev miał wiernego Bennetta Freemana, który troszczył się o niego.

Niestety, bez względu na to, jak się sprawy przedstawiały, winna była

Devlinowi przeprosiny. Powoli otworzyła oczy i odetchnęła głęboko,

świadoma tego, że wicehrabia czeka na nią w bibliotece. Bóg raczy wiedzieć, jakie ma wobec niej zamiary. Doszła jednak do wniosku, że to bez znaczenia. Potrafi o siebie zadbać, on zaś bardzo prędko przekona się, że

Elizabeth przybyła z o wiele ważniejszego powodu niż zwykły flirtik.

Z trudem oderwała się od ściany. Wzięła świecę z pobliskiego kinkietu, by oświetlić sobie drogę, i ruszyła korytarzem, dumnie wyprostowana. Noc była cicha i ciemna. Schodząc po schodach i wspominając

kłótnię w saloniku, Lizzie zdumiewała się powściągliwością Devlina.

Nie odpłacił jej pięknym za nadobne, choć bez trudu mógł to uczy-

nić. Zadała mu najboleśniej z możliwych ciosów, a on przemilczał to

i wolał wycofać się ze sceny, niż zranić ją równie boleśnie, jak ona zraniła jego. Potrząsnęła głową, ubolewając w duchu nad swoim zachowaniem.

Skręciwszy u podnóża schodów, ruszyła rezolutnie w stronę biblioteki.

Najwidoczniej charakter hrabiego był znacznie bardziej skomplikowany, niż mogło się to wydawać na pierwszy rzut oka. O jego wartości nie stanowiło tych kilka rachunków, z którymi się zetknęła. Płomyk świecy

zakołysał się, gdy Lizzie westchnęła z żalem. Gniew z powodu rozrzutności Deva wydawał się jej teraz małostkowy. To, że od czasu do czasu grywał w karty, nie czyniło zeń jeszcze Aleca Knighta!

Drzwi biblioteki były uchylone. Mogła dostrzec czerwony, migotliwy blask ognia, płonącego na kominku. Serce biło jej coraz mocniej.

Stąpając bezszelestnie w pantofelkach z delikatnej skórki, przekroczyła

próg i zajrzała do wnętrza.

Devlin czekał w bibliotece. Leżał na obitej skórą kanapie, nieco dla niego za krótkiej. Jedną nogę miał zgiętą w kolanie, drugą wyciągnął w bok.

Prawe ramię podłożył sobie pod głowę, lewe spoczywało na płaskim brzuchu. Tuż obok leżał Pasha i mruczał, zwinięty w kłębek Dev ani drgnął, gdy Lizzie ostrożnie podchodziła do niego. I wówczas zrozumiała, że zasnął.

Natychmiast opuściło ją napięcie. Poczowała równocześnie rozczarowanie i ulgę, na jej twarzy pojawił się czuły uśmiech. Biedaczek, pomy

ślała, wzruszona widokiem. Po osiemnastogodzinnej podróży z Londy-

94

nu, w nocy i w okropną zawieję, nic dziwnego, że był wykończony! Nie

odrywała oczu od uspionego mężczyzny. Zaciśnięte usta złagodniały.

Wargi wydawały się pełne, soczyste i kuszące. Czarne jak atrament rzęsy

rzucały cień na wydatne kości policzkowe. Pięknie sklepiona pierś podnosiła się i opadała miarowo - oddychał głęboko i powoli.

Spojrzenie Lizzie spoczęło na obnażonej szyi. Cóż za niezwykły widok w tej epoce wysokich kołnierzyków i wykrochmalonych fularów!

Skóra Devlina była złocistobrązowa. Pozbył się również fraka, co pozwalało podziwiać pierś, okrytą cieniutkim białym batystem, i szerokie ramiona z potężnymi bicepsami. Kamizelki nie zdjął, ale była rozpięta.

Lizzie przeszła po cichu przez bibliotekę, wzięła pled, który leżał

pod oknem, i przykryła śpiącego. Otuliła go ostrożnie. Wąsy Pashy po

łaskotały wicehrabiego w policzek i poruszył się przez sen. Dziewczyna

wyprostowała się, zamierzając odejść. Serce w niej zamarło, gdy Dev

otworzył oczy.

- Jesteś... - wymamrotał, podnosząc się.

Odpędził kota machnięciem ręki. Lizzie pochyliła się i dotknęła jego

ramienia.

- Spij dalej! Przyda ci się trochę snu!

- Nie odchodź!

Rzucił jej łobuzerski, choć senny uśmiech, chwytając za spódnicę.

Lizzie zatrzymała się i przez dłuższą chwilę wpatrywała się w niego.

Przechylił głowę w bok i również spoglądał na nią ze zdziwioną miną,

być może zaskoczony tym, że przyszła na spotkanie. W obawie, że wy tłumaczy sobie opacznie jej obecność, dziewczyna przykłęka obok kanapy. Szukała odpowiednich słów, spoglądając poważnym wzrokiem na wicehrabiego.

- Dziękuję, że mnie okryłaś. To bardzo miło z twojej strony.

Gdy nic nie odpowiedziała, przyjrzał się bacznie jej strapionej twarzy i zmarszczył brwi.

- Co się stało, *cherie*?- szepnął, przykładając dłoń do jej policzka.

- Och, Devlinie! - wymamrotała. Objęła jego rękę poniżej łokcia

i przytuliła policzek do drugiej, gładzącej ją po twarzy. Zaciśnęła mocno

powieki, zdjęta skruchą w obliczu jego czułości. - Tak mi przykro!

Devlin milczał. Kiedy znów otworzyła oczy, były pełne łez. Wicehrabia siedział wyprostowany na kanapie, nadal okryty pledem od pasa 95

w dół. Wyraz jego twarzy był nieodgadniony, a spojrzenie, utkwione

w Lizzie, niezwykle intensywne.

Wpatrywała się w niego, nadal przytulona do ręki, pieszczącej jej

policzek.

- Nie chciałam sprawić ci tyle bólu, przysięgam! Lady Strathmore

dopiero teraz powiedziała mi o... twojej rodzinie. Gdybym wiedziała,

nigdy nie napisałabym do ciebie tego listu! Nie mogłabym czegoś takiego zrobić!

- Cicho, cicho... - Otarł jej łzę z policzka. - Wszystko w porządku.

- Wcale nie! - wykrzyknęła. - Nie zasługiwałeś na podobne traktowanie, a ja nie miałam prawa ferować wyroków! Zachowałam się jak...

jak zarozumiała świętoszka! Ale to dlatego, że nie przypuszczałam... Nie miałam pojęcia...

- Wiem. - Potrząsnął głową, zdziwiony jej wyrzutami sumienia.

- Nie zrobiłaś nic złego.

- Nie chcę, żebyś mnie znienawidził - wykrztusiła.

- Ja miałbym cię znienawidzić? - Spojrzał na nią z przekornym

uśmiechem, starając się ją jakoś rozbawić. - Myślałem, że znasz się doskonale na takich jak ja, ale obawiam się, że nie wiesz nic o mężczyznach! - Powiodł pieszczotliwie kciukiem po jej policzku i uśmiechnął

się do niej z odrobiną smutku. - Nie, moja droga, nie potrafiłbym nawet

porządnie rozgniewać się na ciebie!

Na te serdeczne słowa jej oczy znów napęłniły się łzami. Bez namysłu rzuciła mu się na szyję. Z gardła wyrwało się jej cichutkie łkanie.

- Dobrze już, dobrze...

Objął ją z pobłażliwym, niemal ojcowskim uśmiechem. Lizzie

zamknęła oczy, a serce się jej ścisnęło na myśl o tym, jaki jest dzielny

i wielkoduszny.

Niewiarygodne wprost, tyle w nim dobroci i wyrozumiałości po

tym wszystkim, co wycierpiał! Większość ludzi stałaby się zgorzkniała

i nieczuła.

- Cicho, kochanie! Nie płacz już - pomrukiwał łagodnie do ucha

Lizzie, trzymając ją w uścisku i głaszcząc po włosach. - Wszystko już

zapomniane. Zawarliśmy przecież rozejm. Nie pamiętasz?

Pociągnęła noskiem.

- Przepraszam...



- Nie masz za co przeproszać. To nie była twoja wina, zresztą o niczym nie wiedziałaś. To raczej ja powinienem przeprosić. Tak dalece zaniedbałem ciotkę, że popchnęło cię to do działania! Prawdę mówiąc,

jestem ci za to wdzięczny.

- Wdzięczny? - wyszeptała, powstrzymując łzy, ale nie wypuszczając Devlina z uścisku.

- Oczywiście! Wiedziałaś, że czekają cię przykrości, może nawet

utrata posady, ale gotowa byłaś zapewnić mojej ciotce to, czego twoim

zdaniem bardzo potrzebowała. Czy ty wiesz, jakie to niezwykle? Znaleźć kogoś, kto aż tak troszczy się o innych? Tylko mi nie mów, że ci za to płacą! Zbyt długo obracam się w świecie, żeby wiedzieć, iż za żadne

pieniądze nie można zapewnić sobie tyle serca, ile ty okazujesz cioci

Auguście! Zawsze będę ci za to wdzięczny.

Odsunęła się nieco i spojrzała mu w oczy. Po krótkiej chwili Devlin

spuścił wzrok i powiedział z żalem:

- Nie dlatego, żebym nie chciał się z nią widywać. Tylko... to takie

trudne! Ty również straciłaś oboje rodziców, wspomniałaś o tym przy

obiedzie. Rozumiesz więc, jak to boli. Ja przynajmniej mam wspomnienia. Aż za wiele wspomnień! - dodał, potrząsając głową w posępnej zadumie. - Wiem, że to żadne wytłumaczenie. Utrata rodziców powinna skłonić mnie do przebywania z ciotką jak najwięcej, póki jeszcze mogę.

Wiem o tym! Ale im dłużej będziemy razem, tym bardziej ją pokocham

i tym mocniej będzie bolało, kiedy...

Głos mu się załamał, jakby nie mógł wypowiedzieć myśli do końca.

- Twoja ciocia wie, że ją kochasz, Devlinie - powiedziała Lizzie

miętko, głaszcząc jego muskularne ramię. - To nie ulega wątpliwości.

Ale jak ty sam zdołasz sobie wybaczyć, kiedy jej już nie będzie?

Spojrzał posępnie w jej oczy.

- Wiem, że to bolesne widzieć, jak ktoś kochany słabnie, i zdawać

sobie sprawę, że zbliża się chwila rozstania. Ale unikanie najbliższych nie opóźni tej chwili.

- Masz rację, oczywiście. Zdaję sobie z tego sprawę. - Pokręcił głową. - Tylko to takie trudne.

- Pomogę ci! - szepnęła, biorąc go za rękę. - Zostań dłużej i spraw, żeby była szczęśliwa! We dwoje potrafimy jej to zapewnić.

Spojrzał na ich złożone ręce.

7 - Ukochana diabła

97

- Coś mi się zdaje, że jesteś specjalistką od pomagania ludziom!

Uśmiechnęła się blado i wzruszyła ramionami. Jej list z pewnością niewiele mu pomógł!

- No cóż, możesz teraz otwarcie rozmawiać z ciotką o moim oszustwie. Sama się domyśliła, że napisałam do ciebie. Spytała mnie i wyznałam jej prawdę.

- Wyznałaś jej prawdę? - powtórzył jak echo, spoglądając na nią ze zdumieniem.

- Oczywiście! Nigdy bym jej nie okłamała!

- Wspaniale! - mruknął, przegarniając wolną ręką włosy, i uśmiechnął się żałośnie. - Spytała mnie o to samo, ale odparłem, że nie mam pojęcia, o co jej chodzi.

- Okłamałaś ją? - spytała, unosząc brwi.

- Nie chciałem, żebyś straciła pracę!

- Ojej... - wymamrotała.

Nagle oboje spojrzeli na siebie i wybuchnęli śmiechem. Ależ wszystko zagmatwali! Lizzie zarumieniła się, tak ciepło Dev uśmiechnął się do niej. Zakryła oczy rzęsami w nagłym onieśmieleniu.

- Wszystko robimy na opak! Nie ma chyba nic, co by nas łączyło!

- Owszem - powiedział cicho. - Oboje jesteśmy równie samotni.

Uniosła wzrok i spostrzegła, że Dev się w nią wpatruje.

Słowa uwięzły jej w gardle. Jego spojrzenie znów stało się płomienne jak podczas obiadu. Tym razem było w jego oczach jeszcze więcej zaborczości. Zuchwale i rozmyślnie Devlin przesunął lekko palcem po

jej policzku.

Zadrżała pod tym dotknięciem. Dreszcz radosnego podniecenia przebiegł jej po plecach, pobudzając wszystkie nerwy w ciele. Wpatrując się w oczy Lizzie, Devlin wsunął rękę pod włosy dziewczyny i, objąwszy ją

za szyję, przyciągnął do siebie. Poddała się temu bez sprzeciwu, równie

spragniona, jak on. Przysunawszy się tak blisko, że Lizzie czuła ciepło jego oddechu, Devlin pochylił głowę. Jej oczy same się zamknęły, gdy tylko

poczuła musnięcie jego warg, delikatne, jedwabiste i rozkoszne. Ocierał

się zgłodniałymi ustami o jej usta, urzekając ją tą czułą pieśczołą.

Zmysły Lizzie wibrowały pod wpływem oszłamiającej rozkoszy. Nie

utrzymałaby się na nogach, gdyby nie wsparła się ręką o udo Deva, drugą

zaś o jego pierś, przylgnawszy do rozpiętej z przodu kamizelki. Devlin

98

oderwał usta od jej ust. Pozwolił wargom wędrować bez pośpiechu po

twarzy Lizzie, okrywając ją lekkimi, gorącymi pocałunkami. Mocno obejmował ją ramieniem w talii. Lizzie uśmiechała się, zachwycona tym żartobliwym uwodzeniem, deszczem całusów na policzkach i czole. Nagle Dev pochylił się i wycisnął płomienny pocałunek na jej szyi.

Odrzuciła głowę do tyłu, bez tchu, z rozchylonymi wargami. Objęła

go ramieniem i przyciągnęła do siebie. Nie istniało dla niej nic prócz

dotyku ust na jej szyi. Ten człowiek doprowadzał ją do szaleństwa!

Kiedy Dev powrócił do jej ust, by całować je z porażającą natarczywością, serce Lizzie tłuło się w piersi.

Devlin objął dłońmi jej twarz i pieścił kciukiem kącik ust.

- Otwórz usteczka, zrób to dla mnie, aniołku! Chcę wiedzieć, jak

smakujesz - błagał zdyszczanym szeptem.

Z wahaniem spełniła jego prośbę, ogarnięta żarem, zafascynowana,

gdy język Deva wślizgnął się do wnętrza jej ust, badając je pieszczotliwym dotykiem. Devlin jęknął cicho i przyciągnął ją bliżej do siebie. Po

zerał ją niemal w coraz bardziej namiętnym pocałunku. Lizzie słyszała

o takich pocałunkach „na wzór francuski” - żarliwych, wilgotnych, podniecających. Kiedy jednak odwzajemniła się zuchwałym liźnięciem jego języka, nie była przygotowana na tak gwałtowną odpowiedź. Uniósł ją

i posadził sobie okrakiem na kolanach, niemal brutalnie ściskając przez

suknię jej pośladki. Przygarnął ją do siebie zaborczo. Mocno obejmując

rękoma szyję Devlina, wyczuwała udami twardość jego smukłych bioder. Były to dla niej aż nazbyt silne doznania. Choć dzieliło ich ubranie, ciała ich przylegały do siebie tak dokładnie, że poczuła we krwi dzikie

pożądanie. Z najwyższym wysiłkiem oderwała usta od jego warg.

- O Boże, dość! -jęknęła.

- Jeszcze chwilę! - błagał.

- Nie! Musimy się opanować.

Wzdrygnął się i przymknął oczy, jakby otrzymał nagły cios. Puścił ją

bez sprzeciwu i podtrzymał, gdy ześlizgnęła się z jego kolan.

- Przestraszyłem cię? - spytał szeptem, gdy stała przed nim na uginających się nogach.

- Nie. - Naprawdę wolałaby powiedzieć, że czuje się przerażona,

znieważona, zgorziona... ale prawda była taka, że pragnęła czegoś więcej.

Znacznie więcej. -Już późno, a ja muszę wstać wcześniej rano.

99

Rzucił jej cyniczny uśmiezek. Oczy nadal mu płonęły, czaiła się

w nich namiętność.

- Grzeczna dziewczynka!

- Nie ułatwiasz mi sprawy.

Delikatnie uściskał jej rękę.

- Wszystko w porządku?

- Tak - zapewniła i zaśmiała się, z trudem łapiąc oddech.

- To dobrze - szepnął, gładząc kciukiem wewnątrz jej dłoni.

Uścisnęła z czułością jego palce.

- Dobrej nocy, Devlinie!

- Dobranoc, Lizzie.

- Będziesz tu jutro rano? - spytała znacząco.

Natychmiast podjął decyzję.

- Będę.

Skinęła głową z aprobatą i wysunęła rękę z lekkiego uścisku Deva.

Ruszyła w stronę drzwi. Przystanęła na progu i odwróciła się, by raz

jeszcze spojrzeć na niego. Wyglądał pięknie w blasku ognia, niczym

pogański bożek. Jego spojrzenie hipnotyzowało Lizzie. Wpatrując się

w tego wspaniałego mężczyznę, który mógł należeć do niej - choćby

tylko na tę jedną noc - westchnęła tęsknie i z wyraźnym żalem. Devlin

roześmiał się gardłowo w odpowiedzi.

- Idę już - oświadczyła stanowczo.

- Wracaj, Lizzie - wabił ją miękko.

- Ty czorcie! - wyszeptała i potrząsnęła głową z szelmowskim

uśmiechem.

Zmusiła się do wyjścia z pokoju, zanim Diabeł oczaruje ją jeszcze

bardziej. Pospieszyła do swojej sypialni, uśmiechając się szeroko.

Przez kilka następnych dni lady Strathmore robiła co mogła, by rozniecić uczucie z obiecującej iskiarki zainteresowania między bratankiem a damą do towarzystwa. Wykorzystywała każdą okazję, by pozostawić

ich sam na sam. Następnego dnia po przyjeździe Deva zabrała oboje na zwiedzanie Bath. Próbowali wód leczniczych w pijalni, gdzie wicehrabina chwaliła się przed swoimi przyjaciółkami przystojnym bratankiem i zbierała miejscowe ploteczki. Devlin i Lizzie przyłączyli się do tłumu gapiów, którzy - stojąc przy wielkim oknie - obserwowali kuracjuszy,

100

zażywających kąpeli leczniczych w basenie. Następnie udali się do cukierni Sally Lunn i kupili kilka tuzinów słynnych ciastek dla domowników. Dev oświadczył, że musi zrewanżować się pani Rowland za pływającą wyspę.

Pierwszego wieczoru grali w szachy, przekomarzając się cały czas,

ku wielkiemu rozbawieniu Augusty. Oboje byli zaskoczeni, że znaleźli

godnego siebie przeciwnika. Nikt dotąd nie pokonał Lizzie w szachach,

chyba że umyślnie pozwoliła komuś wygrać. Devlina natomiast, kiedy

był jeszcze małym chłopcem, w arkana tej gry wtajemniczył ojciec.

Następnego dnia znów sypał śnieg. Ktoś zastukał w okno małego

salonu, Augusta wyjrzała na zewnątrz i roześmiała się na widok pękatego bałwana, którego ulepili oboje młodzi. Był podobny do Napoleona; miał nawet jego słynny kapelusz. Lizzie, z policzkami zaróżowionymi

od mrozu, pomachała wesoło do starszej pani. Potem wysypali na śnieg

karmę dla głodnych ptaków.

Tego wieczoru popijali grzane wino, zaprawione korzeniami, a bratanek lady Strathmore rozśmieszył obie damy do łez, kiedy grali w szarady. Ciotka widziała, że Dev czuje się u niej jak u siebie w domu. Lizzie i ciotka, choć pokpiwały sobie z jego braku doświadczenia w znanej wszystkim grze, w duchu pokochały go jeszcze bardziej za to, że nie

obawiał się narazić na śmieszność, tylko błaznował, by rozbawić starą krewną.

Wieczór upłynął im bardzo wesoło.

Trzeciego dnia niebo było czyste i błękitne, więc Dev zabrał obie

panie na przejażdżkę. Pragnął, by ciotka zażyła jak najwięcej świeżego

powietrza przed jego odjazdem. Postanowił wrócić do Londynu nazajutrz, stanowczo zbyt wcześnie zdaniem Augusty, ale i tych kilka dni było dla niej prawdziwym darem niebios. Nie próbowała zatrzymać go

dłużej.

Podziwiali ośnieżony pejzaż, a srebrne dzwoneczki w końskiej

uprzęży pobrzękiwały wesoło. Przejechali przez wieś, płosząc gromadę

bawiących się na śniegu dzieci, i zawrócili do domu. Oboje młodzi pomogli Auguście usadowić się w fotelu na kółkach. A kiedy Lizzie zadbała już o to, by staruszka znalazła się w ciepłym i przytulnym saloniku, Dev

zapropozował pannie naukę powożenia zaprzęgiem.

- Nigdy bym się nie odważyła! - protestowała Lizzie.

101

- Daj spokój!

- To zwariowany pomysł! Ledwie sobie radzę z dwukółką, zaprzę żoną w potulną szkapę, a co tu mówić o czwórce koni?!

- Najwyższy czas, żebyś się nauczyła!

Z bezczelnością pirata chwycił ją za rękę i pociągnął za sobą, choć było późne popołudnie i już się ściemniało.

Siedząca przy swoim biurczku Augusta obserwowała ich z okna, postukując w zadumie palcem po wargach.

Stajenni przyglądali się -jedni z rozbawieniem, inni z niepokojem

-jak wicehrabia skłania Lizzie do zajęcia miejsca na koźle. Sam usiadł obok niej, wcisnął jej bat w prawą rękę i pokazał, jak należy trzymać wodze w lewej.

- Ramię swobodnie, przy boku. Łokieć pod kątem prostym! Siedź wyprostowana, o tak! Ręka na wysokości dolnego guzika kamizelki!

- Mojej kamizelki? - przekomarzała się.

- O, ten będzie w sam raz! - Uśmiechnął się szeroko i pociągnął ją za guzik płaszcza, znajdujący się na wysokości talii. - Nadgarstek lekko nachylony do wewnątrz... o tak! - Zdławiła w sobie dreszcz podniecenia, gdy ustawiał jej rękę pod odpowiednim kątem. - Kłykcie zwrócone w stronę zaprzęgu, będziesz miała dzięki temu lepsze wyczucie. Konie reagują na najdrobniejszy ruch, nie musisz im zbyt mocno ściągać cugli, ale nie powinny też zwisać luźno, bo wtedy nie wiedzą, czego od nich chcesz. Batem się na razie nie przejmuj. Najwyżej trąć je leciutko od czasu do czasu, żeby mieć pewność, że cię słuchają.

Kiedy Lizzie z rezerwową miną skinęła głową, zwolnił hamulec.

Pierwszych kilka metrów poszło nie najlepiej. Wysoki powóz posuwał się po dziedzińcu zrywami, w nierównym tempie; kiedy jednak czwórka spokojnych, karych fryzyjskich koni wypadła na długi podjazd, tempo wyrównało się, a jazda stała się gładka.

- Złapałam dryg! - zawołała triumfalnie Lizzie, nie zważając na to, że wiatr zrzucił jej czepek.

- Rzeczywiście - mruknął z aprobatą Devlin. - Ale uważaj, jak jedziesz. Nie za szybko na zakręcie! Ostrożnie ściągając lejce, zatrzymała powóz w pięknym stylu, gdy



podjeżdżali do bramy, nie kalecząc delikatnych końskich pysków.

102

- Znakomicie, moja droga! Teraz skręć w prawo...

Przez cały czas dawał jej wskazówki. Manewr wydawał się Lizzie ryzykowny, ale konie wykonały go płynnie i bez wahania.

Nabierała coraz więcej pewności siebie, gdy cztery fryzyjskie karosze statecznie biegły przed siebie. Były to ogromne zwierzęta, lecz wydawały się całkiem sympatyczne i gotowe robić to, czego od nich chciała.

Podejrzewała, że to dlatego, iż zdawały sobie sprawę z obecności pana.

Po krótkiej, pozbawionej niespodzianek przejażdżce, karosze pięknie skręciły na bitej drodze wokół starego wiązu.

Nie chcąc dłużej kusić losu, Lizzie przekazała wodze w doświadczone ręce Devlina. Odpoczywała, bardzo z siebie zadowolona, siedząc obok wicehrabiego. Czepek dyndał z tyłu na wstążkach, a zimny wiatr

szczypał ją w nos. Słońce już zachodziło, choć była dopiero piąta. Na

niebie ukazywały się co większe gwiazdy, migocząc srebrnie w mroźnym

powietrzu. Gdy wjechali z powrotem na dziedziniec, stajenni z szerokimi uśmiechami gratulowali dziewczynie sukcesu. Konie wyprzęgnięto, a Devlin i Lizzie weszli do stajni.

Z rękoma w kieszeniach płaszcz Lizzie kroczyła za głównym stajennym, który prowadził Devlina do boksu wałacha, którego wicehrabia omal nie zajeździł podczas wyczerpującej podróży do Bath.

- Już tak nie oszczędza nogi, milordzie. Odpoczynek dobrze mu zrobił.

Devlin mruknął coś, wszedł do boksu i przywitał się z koniem, łagodnie głaszcząc go po szerokim łbie, po czym zajął się tylną lewą nogą zwierzęcia, obmacując ją od stawu kolanowego po pęcinę.

- Nic mu nie będzie? - dopytywała się Lizzie, wzdrygając się na

myśl, że koń uległ kontuzji raczej na skutek jej kłamstwa niż nieostrożnej jazdy Devlina.

- Zapalenie wyraźnie się cofa. Nadwerężył mięsień zginający i wiązadło, o tu - mruknął wicehrabia.

- Masz maść, Mac?

- A jakże, milordzie.

Stajenny wszedł do boksu z małą brązową buteleczką i kawałkiem szmaty.

- Sam to zrobię.

Zaczął zdejmować rękawice.

- Wasza lordowska mość nie musi się trudzić...

103

- To przeze mnie okulał! - burknął Devlin i wyciągnął rękę.

Stajenny bez sprzeciwu wręczył mu lekarstwo, skłonił głowę na znak szacunku i oddalił się, popędzając trójkę chłopców stajennych, by dali koniom jeść.

- Mogłabym w czymś pomóc? - spytała Lizzie, opierając się z niepewną miną o bramkę boksu.

- Możesz go pogłaskać po łbie, żeby się nie płoszył. Nie wie jeszcze, co myśleć o tej maści. Dziwaczna ta kamfora, prawda, stary? Robi się równocześnie gorąco i zimno. Bardzo, bardzo dziwne!

Dziewczyna wyciągnęła do konia rękę, by go przywabić. Wałach zbliżył się do niej.

- Jak mu na imię? - spytała, gdy koń dotknął jej ręki aksamitnym pyskiem, liżąc wnętrze dłoni.

- Nie powiedziano mi, kiedy go kupowałem. Może ty go nazwiesz?

- Chętnie! - Wałach podszedł bliżej i sapał jej prosto w twarz. Lizzie się roześmiała. - Jak chciałbyś się nazywać?

Devlin chlapnął na dłoń sporo olejku kamforowego i, przykucnąwszy, wcierał go w końską nogę, masując oba stawy.

- No, nie uciekaj mi, koniku! Niech no ci się przyjrzę! - mówiła

Lizzie, starając się odwrócić uwagę zwierzęcia od zabiegu.

Kiedy Devlin uniósł tylne kopyto i sprawdzał stan pęciny, uspokoiła

konia, skrobiąc go za uszami. Zwierzę przytuliło głowę do pieszczącej

je ręki.

- Pomyślmy, co z tym imieniem? Może od koloru sierści? Czeko-

ladka... Zad ma trochę srokaty... Piegusek?

- Ten koń ma serce lwa - oświadczył Devlin, nie przerywając zabiegu. - Niósł mnie tu galopem, w środku nocy, w zawieruchę! Nie pozwolę nazwać go Czekoladką ani Pieguskiem!

- Bardzo cię przepraszam, koniku! - sumitowała się Lizzie, odgar-

nijając ciemną, miękką grzywę, by spojrzeć w wielkie oczy wałacha. Z a uważyla małą białą gwiazdkę pośrodku czoła. - Prawdziwy z ciebie *bohater! Istna gwiazda! Star! Tak cię nazwiemy. Widzisz, Devlinie? - Koń;*

*podrzucił głowę i znów poczuła jego sapnięcie na twarzy - Podoba mu;*

*się!*

104

*Devlin popatrzył na nią. Ujrzała w jego morskich oczach wesołe*

*iskierki.*

*- Niech będzie Star!*

*Zapadła przyjazna cisza. Po chwili Devlin zaczął oglądać lewą przednią nogę zwierzęcia, kładąc uspokajająco rękę na końskim boku. Znów nabrał maści na dłoń, kucnął i wmasował ją w nogę Stara. Lizzie przechyliła się przez bramkę i głaskała konia, usiłując nie gapić się na zręczne ręce Devlina, ślizgające się po końskiej skórze.*

*Wicehrabia pracował ze spuszczoną głową. Kilka pasemek długich,*

*ciemnych włosów wymknęło mu się z warkocza, opadając na twarz, zaczerwienioną jeszcze od wiatru.*

*Ma takie długie rzęsy, myślała Lizzie, wpatrując się w niego. Pocz*

*ła, że zalewają rozkoszna fala pożądania. Przygryzła wargi i odwróciła*

wzrok. To było nieprzyzwoite! Nigdy jeszcze nie reagowała w podobny sposób na obecność żadnego mężczyzny. Nawet Aleca!

Dev wymasował drugą przednią nogę Stara, potem zaś prawą tylną

- nieco wolniej, jakby rozważał coś głęboko.

- Jutro wyjeżdżam - odezwał się po dłuższej chwili, z trudem zdobywając się na wypowiedzenie tych słów.

- Wiem - odparła cicho, przytulając się policzkiem do końskiego łba.

Przez cały dzień starała się odsunąć od siebie tę myśl.

Właściwie powinna być zadowolona, że Devlin wyjeżdża jutro rano, zanim coś ją podkusi i zrobi jakieś głupstwo. Ale na myśl o powrocie do dawnego nudnego życia bez Devlina ogarnęła ją rozpacz. W milczeniu pozwoliła, by koń uwolnił się z jej uścisku.

- Znowu upłynie siedem miesięcy, zanim tu wrócisz?

Uśmiechnął się.

- Wątpię. Z pewnością wymyślisz jakiś nowy podstęp! Będę się miał na baczności... - Głos mu się załamał i nie dokończył wymuszonego dowcipu. - Przepraszam - wymamrotał. Wyprostował się i wzruszył bezradnie ramionami. - Nie potrafię się żegnać.

- Nie szkodzi! - Uśmiechnęła się dzielnie. Bała się pustki, którą odczuje po jego wyjeździe. - Świetnie się bawiliśmy! - dodała.

- Znakomicie! - potwierdził z przekonaniem i obdarzył ją smutnym uśmiechem.

105

Zastanowił się nad tymi słowami. Czy to była tylko zabawa?

To określenie z pewnością nie odzwierciedlało tego, co przeżył w ciągu ostatnich kilku dni. Jeśli jednak dla Lizzie była to tylko zabawa, tym lepiej, że zdołał zapanować

*nad pożądaniem. Nie chciał przekroczyć pewnych*

*granic. Jakimś sposobem Lizzie przestała być dla niego pierwszą lepszą*

*ładną dziewczyną. Stała się przyjacielem. A ponieważ przyjaciół miał niewiele, za nic nie chciał, by pożądanie wymknęło się spod kontroli i zniszczyło tę więź. Starał się je stłumić, nieco zaskoczony zaistniałą sytuacją.*

*I pomyśleć, że zamierzał ją uwieść. Chętnie się, że nauczy tę smarkatą rozumu! A tymczasem to ona go uwiodła, i to całkiem bezwiednie.*

*Tak bardzo jej pragnął! Ilekroć na nią spojrział, wzbierała w nim żądza.*

*Nie myślał o niczym więcej, tylko o tym, by położyć ją na łóżku, rozchylić nogi i posiadać ją bez końca w blasku ognia...*

*Opętany tą wizją nie śmiał spojrzeć w niewinne szare oczy Lizzie,*

*choć płonęły nieświadomą zachętą, kiedy śledziła bacznie każdy jego*

*ruch. Nigdy jeszcze kobieta nie była tak bliska upadku, myślał gorączkowo, z przekonaniem. Ponieważ jednak knuł w Londynie śmiertelnie niebezpieczną intrygę i nazajutrz musiał tam wrócić, nie mógł sobie,*

*pozwolić na to, by coś odciągnęło jego uwagę od tych zamierzeń. Nie*

*wolno mu też było składać obietnic, na jakie Lizzie w pełni zasługiwała.*

*Wyczuwał jej gotowość, ale nie zerwie tego kwiatu, mimo że jego zapach*

*doprowadzał go do szaleństwa.*

*Pochylił głowę i powoli wytarł ręce w szmatę. Odchrząknął i prze-*

*rwał milczenie.*

*- Elizabeth? - wykrztusił.*

*- Słucham, Devlinie? - spytała słabym głosem.*

*Jesteś taka niezwykła. Taka inna niż wszystkie... O Boże, jakie to*

*niezręczne! - myślał. Stracił odwagę, przełknął z trudem ślinę i zmusił,*

*się do uśmiechu.*

*- Powinniśmy chyba wrócić do domu.*

*Zanim cię zgwałcę.*

*- No tak, oczywiście.*

*Hamuj się! - ostrzegął się i, chwyciwszy porzucone rękawice, włożył je z powrotem, oddychając powoli i starając się oprzytomnieć.*

*Odwrócił się, by opuścić boks, i spostrzegł, że wpatrywała się w niego zamglonymi oczyma. Na szczęście pojawił się chłopiec stajenny*

*106*

*w kraciastej czapce, dźwigając wiadro ze świeżą wodą dla wałacha. Dzieciak omal nie wylał jej na siebie; pełne wiadro ważyło chyba więcej niż on. Miał dziewięć, najwyżej dziesięć lat i był jednym z niezliczonych*

*wnuków pani Rowland.*

*Dev uśmiechnął się do chłopca.*

*- Pomogę ci - mruknął i wyjął mu wiadro z rąk.*

*- Dziękuję, milordzie!*

*I dzieciak pobiegł nappełnić następne wiadro, zostawiając ich samych w przejściu pomiędzy boksami.*

*Dev wszedł do przegrody wałacha i zawiesił wiadro na żelaznym*

*haku. Star podszedł od razu i zaczął pić. Devlin pożegnał konia serdecznym klepnięciem po boku.*

*Lizzie odsunęła się, by go przepuścić. Devlin uznał, że niebezpieczeństwo minęło, ale przeciskając się obok dziewczyny, wyczuł jej drżenie. Z jego samokontroli nie pozostało nic.*

*Zatrzymał się i odwrócił do Lizzie.*

*Wpatrywała się w niego równie intensywnie, jak on w nią. Policzki*

*jej się zaróżowiły. Nie odsunęła się od niego.*

*Chwycił ją w ramiona i przycisnął do drzwi boksu, napierając na nią*

*całym ciałem i całując do utraty zmysłów. Zarzuciła mu ramiona na szyję i z zapamiętaniem oddawała pocałunki. Żadne z nich nie zauważyło, że zaniepokoili konia swoim zachowaniem.*

*Dev rozgarniał palcami długie włosy Lizzie, ona zaś chwyciła go za*

*klapy i przyciągnęła jak najbliżej do siebie. Pieściła go zapamiętale, wdychała jego zapach, upajała się zaborczymi, nienasyconymi pocałunkami.*

*Urzeczony jej żywiołowością, i obejmował ją coraz mocniej w talii, rozkoszując się miękkością jej wilgotnych, gorących ust. Usiłował objąć jej pierś przez grubą wełnę brązowego płaszcza i skamieniał nagle. Z drugiego końca stajni dotarło do nich czyjeś chrząknięcie.*

*Odskoczyli od siebie - zaczerwieniem i bez tchu - i oboje zdążyli zauważyć głównego stajennego, Maca, który wycofał się dyskretnie.*

*Ostrzeżenie przyszło jednak w samą porę. Po chwili pojawili się chłopcy stajenni z taczką pełną worków z ziarnem.*

*Metalową szuflą sypali owies do żłobu każdego z koni. Dev pospiesznie odsunął się od Lizzie. Rosło w nim poczucie winy. Dobry Boże, gdyby ci smarkacze ujrzeli dziewczynę w jego ramionach, z jej reputacji nie 107*

*pozostałyby nawet strzępy. Zanim w niedzielę udałaby się wraz z ciocią Augustą do kościoła, całe miasto już by plotkowało na jej temat.*

*Spojrzeli na siebie płonącym wzrokiem. Do licha! Ależ ona piękna, myślał Dev, wpatrując się w jej zwichrzone włosy. Każdy pomyśli, że to wiatr tak je potargał, pocieszał się. Lizzie poprawiała okrycie; policzki miała szkarłatne. Gestem wskazał, by szła przodem.*

*Odkaszlnęła dyskretnie. Opuścili stajnię, mijając chłopców, którzy nie okazali im najmniejszego zainteresowania - kłócili się o to, kto ma karmić konie, a kto pchać taczki.*

*Ich dziecinne głosy ucichły, gdy Devlin i Lizzie opuścili ciepłe, przytulne wnętrza stajni i wyszli na zewnątrz, gdzie zapadła już noc. Zimna, czarna i bezksiężycowa. Devlin rad był z mroźnych podmuchów wiatru.*

*Pomagały mu odzyskać jasność myśli, gdy szli obok siebie przez podwórze.*

*Oboje milczeli, zamyśleni. Lizzie skrzyżowała ramiona na piersi*

*i lekko drżała. Dev pragnął ją przytulić i ogrzać, ale zdlawił w sobie tę*

*chęć i odwrócił wzrok. Myślał z rozpaczą, że nie wystarczy mu ta przelotna chwila szczęścia. To były istne tortury!*

*Z powodu tej dziewczyny nachodziły go myśli o poniechaniu zemsty, zapomnieniu o obowiązkach wobec rodziny. Dla niej byłby gotów wyrwać się z więzów przeszłości, zrzucić z siebie brzemię nienawiści.*

*Gdy o niej myślał, pragnął żyć i być szczęśliwy.*

*Jaka szkoda, że nie zasługuje na taki los.*



*T ego wieczoru podczas kolacji Dev i Lizzie zmuszali się do śmiechu, chcąc rozweselić starą damę. Oboje byli jednak boleśnie świadomi tego,*

*że jutro przyjdzie im się rozstać. Ostatni wspólny posiłek był najwystaw-*

*niejszy ze wszystkich, na jakie się zdobyła tutejsza kuchnia. Zaczynał się od zupy z wermiszlelem i ostryg na przystawkę, po czym podano kotlety wieprzowe, łososia, zrazy po szkocku, krewetki i pasztet z cielęciny.*

*Po krótkiej przerwie na stole znalazły się: zajac ze smardzami, pieczeń*

*z nerkówki, homar, karczochy, torciki gruszkowe i ozdobne babeczki.*

108

*Pito więcej niż zazwyczaj wina. Błyski złocień, zarówno na wspaniałej zastawie z porcelany, jak i na sztukateriach sufitu, sprawiały, że cały świat się skrzył jak w czarnoksiężskiej baśni. Płomyki świec tańczyły*

*niczym elfy. Lizzie włożyła ulubioną wieczorową suknię. Zapomniała*

*o swoich staropanieńskich oporach sprzed kilku dni; miała zresztą wra-*

*żenie, że od tamtej pory minęło wiele lat, a ona sama stała się przez ten*

*czas zupełnie innym człowiekiem. Jasne oczy Devlina płonęły nieukrywanym zachwytem. Pożerał wzrokiem Lizzie w sukni z turkusowego aksamitu z niewielkim, obrzeżonym koronką dekoltem. Wiedziała, że*

*jest jej w tym stroju bardziej do twarzy niż w jakiegokolwiek innej toalecie. Dlaczego akurat tego wieczoru zależało jej na tym, by wyglądać jak najlepiej, wolala się nie zastanawiać.*

*W końcu nic się nie zmieniło. Dev nadal był wicehrabią, ona zaś*

*córką skromnego rządcy. Jeśli najmłodszy syn księcia, nieposiadający*

*żadnego tytułu, okazał się dla niej nieosiągalną partią, to w przypadku*

*wicehrabiego sprawa przedstawiała się stokroć gorzej. Nie miała zamiaru tracić głowy dla kogoś takiego! Ale z pewnością mogła cieszyć się jego towarzystwem.*

*I jego pocałunkami.*

*Na deser podano pachnący migdałami sernik, bogaty wybór ciasteczek francuskich oraz imponującą leguminę: warstwy biszkoptów, makaroników oraz ciastek z ratafią przełożono*

*plasterkami owoców i różnymi rodzajami galaretki. Całość nasączono białym winem i udekorowano kolorową posypką z najlepszego sklepu ze słodyczami w Bath.*

*Po tej uczcie wszyscy troje przeszli do salonu. Devlin popijał porto i leniwie rozprawiał o polityce ze swoją ciotką, podczas gdy Lizzie całkiem nieźle zagrała na fortepianie kilka uroczych melodii popularnego irlandzkiego kompozytora, Johna Fielda. Zbyt szybko zegar wybił*

*dziesiątą. Chcąc jak najdłużej cieszyć się towarzystwem bratanka, lady*

*Strathmore pozostała na dole jeszcze godzinę. Potem po raz ostatni oboje młodych pomogło starszej pani dostać się na górę.*

*W korytarzu na piętrze Devlin posadził ciotkę w fotelu na kółkach,*

*a Lizzie chwyciła jego rączki. Kiedy stara dama wyglądała spódnice, Lizzie i Devlin wymienili spojrzenia. Dziewczyna wysiliła się na sztuczny uśmiech, uświadomiwszy sobie, jak sposepniała, gdy nadeszła pora rozstania. Dev spojrzał jej w twarz. Potem nachylił się, by pocałować ciotkę.*

109

*Wicehrabim poklepała go po gładko ogolonym policzku.*

*- Wspaniale było gościć cię tutaj, kochanie! Zaglądaj do nas częściej, dobrze?*

*- Oczywiście, ciociu. Uważaj na siebie. - Ucałował ciotkę w czoło*

*i prostując się, rzucił Lizzie niepewne spojrzenie. W końcu uklonił się*

*jej. - Do widzenia, panno Carlisle!*

*Wyciągnęła do niego rękę.*

*- Szczęśliwej podróży, lordzie Strathmore!*

*Zamiast uścisnąć jej dłoń, pochylił się i ucałował koniuszki palców*

*z czułą delikatnością.*

*- A zatem, moje panie - powiedział, puszcżając po chwili rękę Lizzie - do zobaczenia!*

*- Idziemy, Lizzie - oświadczyła stanowczo ciotka Augusta.*

*- Tak, milady - wymamrotała dziewczyna, po czym zawróciła fotel*

*i powiozła starszą panią w kierunku sypialni. Nie mogąc się powstrzymać, obejrzała się przez ramię, by raz jeszcze spojrzeć na wicehrabiego.*

*Nadal stał tam, gdzie go pozostawiły, i patrzył za odchodzącymi. Wyglądał jak uosobienie męskiej elegancji w czarno-białym wieczorowym stroju. Lizzie zadrżała lekko i poczuła ukłucie w sercu, gdy skierowała*

*znów wzrok przed siebie.*

*Starając się skupić na swych obowiązkach, Lizzie pomogła lady*

*Strathmore przebrać się w ciepłą nocną koszulę. Margaret zajrzała, by*

*sprawdzić, czy nie trzeba w czymś pomóc. Pół godziny wcześniej schowała pod kołdrą butelki z gorącą wodą, toteż łóżko starszej pani było należycie wygrzane.*

*- Przyślij mi tu panią Rowland, kiedy zejdziesz na dół, Margaret*

*- poleciała wicehrabina pokojówce. - Mam dla niej pewne instrukcje*

*w związku z jutrzejszym menu.*

*- Mogę je przekazać pani Rowland, milady. Nie sprawi mi to żadnego kłopotu! - zaoferowała się Lizzie. Szukała pretekstu, żeby raz jeszcze spotkać się z Devlinem, zanim odjedzie. Stara dama potrząsnęła głową.*

*- Nie, dziękuję. Muszę pomówić osobiście z panią Rowland. Chyba*

*będzie musiała się wybrać po sprawunki. Bez wątpienia spiżarnia świeci*

*pustką po tych wszystkich szaleństwach!*

*- Tak jest, milady - odparła Margaret. - Zaraz ją tu przyślę. Życzę*

*dobrej nocy jaśnie pani!*

110

*Chuda pokojówka dygnęła i wyszła z pośpiechem. Lizzie odsunę*

*ła kołdrę i pomogła starszej pani wdrapać się do wysokiego łóżka po*

*dwóch drewnianych stopniach.*

*W końcu wicehrabina ułożyła się wygodnie. Wydawała się bardzo*

*malutka, i krucha pod draperiami, zwisającymi z umieszczonego pod sufitem baldachimu.*

*- Czy jeszcze czegoś pani trzeba, milady? - spytała Lizzie przed*

*zdmuchnięciem lampki.*

*- Nie, moja droga. Zmykaj już do siebie!*

*Odprawiona w ten sposób Lizzie pożegnała ukłonem chlebodawczynię, mówiąc sobie w duchu, że tak będzie najlepiej. Jej ciało i dusza płonęły, spragnione pieśszczot. Ale z przygody z Diabłem Strathmorem nie wynikłoby dla niej nic dobrego. Dopiero co zaleczyła złamane serce, chyba nie po to, by znów zranił je jakiś uwodziciel! Powtarzała sobie, że flirt, który nawiązał się między nimi, był dla niego nic nieznaczącą zabawą. Rozpustnik z dala od Londynu potrzebował zapewne jakiejś rozrywki, by nie umrzeć z nudów podczas wizyty u starej, niedołącznej ciotki. Co się zaś jej tyczy - mówiła sobie w duchu Lizzie - to wicehrabia nic jej nie obchodził. Jego pochlebne umizgi mogły co najwyżej złagodzić ból z powodu odrzucenia przez Aleca. Serce podszeptywało jej co innego, ale go nie słuchała.*

*Ze wzrokiem utkwionym przed siebie pospieszyła korytarzem do swego pokoju. Miała przeczucie, że Devlin znów czeka na nią w bibliotece, postanowiła jednak oprzeć się pokusie i, przechodząc koło schodów, nawet nie spojrzała w dół.*

*Gdy tylko Lizzie zamknęła za sobą drzwi, lady Strathmore z niemałym trudem sięgnęła po swoją laskę.*

*- Ruszcie się, stare nogi - mruknęła. - Teraz albo nigdy!*

*Z wysiłkiem zaczęła podnosić się z łóżka. Oczy jej płonęły determinacją. Zeszła jakoś z pierwszego, a potem z drugiego stopnia i dowlokła się do biurka, ciężko opierając się na lasce.*

*W końcu, bardzo zmęczona, usiadła z westchnieniem ulgi i, odpocząwszy chwilę, wzięła arkusz eleganckiej papeterii z rodzinnym herbem.*

*Nigdy dotąd nie wtrącała się w cudze sprawy. Zdumiewające, że nawet pod koniec życia mogą się w człowieku rozwinąć podobne skłonności!*

wą damę szczerą radością. Cóż za wspaniałą pożegnalny psikus starej, zdziwaczalej jędzy! Niewątpliwie jednak wynikał z prawdziwej życiowej mądrości i szczerzej miłości dla obojga młodych. Urok Deva i dobroć Lizzie. Jego arystokratyczny ognisty temperament i jej szczerą cnotliwość. Panna Carlisle rozumiała wartość pieniądza. Nie dopuści, by Dev roztrwonil fortunę, zdobytą dzięki ciężkiej pracy jej ojca. A co najważniejsze, każde z nich miało złamane serce.

Kiedy jej zabraknie, Dev będzie potrzebował wiele miłości i dobroci. ] Nie da mu tego ckliwa panna z towarzystwa; co najwyżej pozwoli, by ten przystojny brutal ją zdeptał. Nie, tylko Lizzie można zaufać! Zadbaj o to, by ciemność nie pochłonęła go ostatecznie.

Nie będzie jej łatwo wejść do grona arystokracji! Augusta dobrze o tym wiedziała. Jako młoda mężatka musiała stawić czoło snobom z towarzystwa. Ale co mogła ona, potrafi i Lizzie!

Stara dama nie martwiła się tym, że Dev i Lizzie znają się zaledwie od kilku dni. Miała dobre oczy! Dostrzegła, co się nawiązało między nimi. A poza tym wierzyła w niezawodność swego instynktu. Podjąwszy ostateczną decyzję, Augusta zanurzyła pióro w atramencie i sporządziła; ostateczną wersję swojego testamentu.

Rozległo się lekkie stukanie do drzwi, stara dama podniosła oczy znad dokumentu.

- Proszę wejść!

Do pokoju weszła pani Rowland.

- Dobry wieczór, milady! Margaret powiedziała, że chce pani ze mną omówić jutrzejsze menu...

- Nie.

Gospodyni zmarszczyła brwi.

- Milady?

- Wejdz, Mildred. I zamknij drzwi!

Spełniła polecenie.

- Czy stało się coś złego, milady?

- Wręcz przeciwnie - powiedziała stara dama jakby do siebie. -

Wszystko wreszcie będzie w jak najlepszym porządku. - Zwróciła się do

dezorientowanej gospodyni. - Moja droga Mildred, pracujesz u mnie

112

od trzydziestu lat. Nie mam nikogo, komu bym bardziej ufała. Właśnie

dlatego chcę ci powierzyć zadanie wyjątkowej wagi.

- Milady?

- Podejdz tu i podpisz ten dokument.

Gospodyni spojrzała na nią podejrzliwie, podeszła jednak, wycierając ręce w fartuch. Augusta podała jej pióro.

- Co to takiego? - spytała niepewnie pani Rowland.

- Dokonałam pewnych zmian w swoim testamencie. Składając tu

podpis, potwierdzasz, że jestem zdrowa na umyśle i że sama sporządzi

łam ten dokument.

- Pewnie, że tak!

- No to podpisz. O, tu!

Gospodyni wykonała polecenie bez dalszych sprzeciwów, starannie

wypisując swoje nazwisko na samym dole.

- Znakomicie! Wyruszysz skoro świt do Londynu i dostarczysz ten

*dokument panu Charlesowi Beechamowi, mojemu adwokatowi.*

*- Do Londynu, milady?! - wykrzyknęła gospodyni.*

*- Ma swoją kancelarię przy Fleet Street. Wiem, jakie to dla ciebie kłopotliwe, ale musisz to dla mnie zrobić. Tylko tobie mogę powierzyć to zadanie. Ten dokument masz doręczyć osobiście do rąk pana Beechama. Przed wyjazdem powiedz kucharce, żeby też go podpisała. Czy to jasne?*

*- Tak, milady, ale...*

*Lady Strathmore wcisnęła sakiewkę pełną złotych monet w rękę*

*Mildred.*

*- Weź to za swoje trudy. A teraz zmykaj... i pamiętaj, że przyczynisz się w ten sposób do przyszłego szczęścia Strathmore'ów.*

*Pani Rowland spojrzała na wicehrabinę ze zbożnym podziwem, po czym energicznie skinęła głową i bez dalszych pytań pospieszyła spełnić swe zadanie.*

*Augusta pokuśtykała z powrotem do łóżka. Było jej lekko na sercu.*

*Zdmuchnąwszy świecę, odetchnęła z ulgą. Potem zaśmiała się w ciemności po cichu, z triumfem.*

*Tata z pewnością byłby z niej zadowolony!*

*8 - Ukochana diabła*

*113*

*Dev przechadzał się nerwowo po wykładanej dębową boazerią bibliotece. Sączył znakomitą wiśniówkę i udawał, że wertuje wielki atlas, który podtrzymywał ramieniem. Gdzie, u licha, podziewa się Lizzie?!*

*Z pewnością się domyśli i przyjdzie tutaj! Wprawdzie nie umówił*

*się z nią wyraźnie na spotkanie, ale nie ośmielił się uczynić tego w obecności ciotki. A potem było już za późno. Miał nadzieję, że jednak tu przyjdzie. Z pewnością nie wystarczyło jej, podobnie jak*

*jemu, oficjalne*

*pożegnanie po obiedzie! Z rosnącym zniecierpliwieniem odgarnął kosmyk długich włosów, spadających na oczy. Nagle znieruchomiał, słysząc kroki w korytarzu. Nareszcie!*

*Odwrócił się błyskawicznie, serce niemal zamarło mu w piersi.*

*W ostatniej chwili przybrał obojętny wyraz twarzy. Kroki wyraźnie się zbliżały. Spojrzał ku drzwiom, unosząc brwi z wyrazem uprzejmej ciekawości.*

*Ukazała się brązowa twarz Bena.*

*- Milordzie?*

*Dev zaklął i wywrócił oczami.*

*- O co chodzi?*

*- Wszystko już gotowe do jutrzejszego wyjazdu. O której ruszamy?*

*- Chyba o szóstej. Powinniśmy dotrzeć do Londynu koło północy, jeśli drogi będą przejezdne.*

*- Doskonale. Czy życzy pan sobie jeszcze czegoś, milordzie?*

*Lizzie! - pomyślał, mierząc lokaja zawiedzionym wzrokiem.*

*Ben spojrzał na niego, unosząc brew z wyrazem niepewności.*

*- Chyba już pora spać, milordzie. Wyjeżdżamy bardzo wcześnie.*

*Dev zamknął atlas i westchnął głęboko.*

*- Chyba masz rację. - Zamilkł i zapatrzył się w ogień, wesolo trzaskający na kominku. Potem odprawił służącego gestem ręki. - Możesz odejść, Ben. Prześpij się trochę.*

*Ja z pewnością nie zmrużę oka.*

*Ben zabrał frak, który Dev rzucił niedbale na krzesło pod ścianą, pożegnał ukłonem pracodawcę i wyszedł.*



*Devlin wsłuchiwał się z napięciem w ciszę panującą w domu. Słyszał*

*tylko zawodzenie wiatru pod okapem. Za oknem była głęboka, mroczna, zimna noc. Poczul się bardzo samotny.*

114

*Odłożył na stół atlas i opadł na obitą skórą kanapę. Odchylił głowę do tyłu i leżał na miękkich poduszkach, wpatrując się z posepną miną w ogień. Ani razu nie poprosiła go, żeby został dłużej. Jak miał to rozumieć?*

*Kobiety zawsze usiłowały zatrzymać go przy sobie. Był to ostatni punkt godowego rytuału i Dev szczerze go nie znosił. Musiał jednak przyznać, że owo kobiece nagabywanie czyniło rozstanie łatwiejszym. Lizzie nie próbowała go zatrzymać. Jak zwykle zaskoczyła go swym zachowaniem.*

*Może wcale nie chce, żebyś został, zarozumiały ośle! Nie pomyślałeś o tym?*

*Szarpnął z rozdrażnieniem fular, po czym uśmiechnął się głupio do Pashy. Kot skoczył na oparcie kanapy i usiadł, wpatrując się w niego błyszczącymi oczyma i machając od niechcienia puszystym ogonem.*

*- Dlaczego masz zawsze taką cholernie zadowoloną minę? - spytał zwierzę.*

*- Miau!*

*- Wiedziałem, że to powiesz! - Wypił łyk wiśniówki. - Jasna cholera!*

*Milczenie.*

*Dev nie mógł znieść tej ciszy. Pasha przespacerował się ostrożnie po oparciu kanapy i połaskotał wicehrabiego wąsami w ucho, jakby zwierzał mu sekret.*

*- Ach tak? Rozumiem. Może tak zrobię - powiedział Dev z większą determinacją. Był w końcu Diabłem Strathmorem. Co więcej, niebawem zostanie pełnoprawnym*

członkiem osławionego Klubu Jeźdźców i Woźniców. Szokujące zachowanie powinno być jego drugą naturą!

Wypił jednym haustem resztę wiśniówki dla kurażu i podjął decyzję.

W najgorszym razie Lizzie wymierzy mu policzek. Zresztą, doskonale wiedział, kiedy jakaś kobieta ma na niego ochotę!

- No cóż, mój drogi - powiedział do kota, podnosząc się z kanapy.

- Wygląda na to, że góra musi przyjść do Mahometa!

Z tymi słowy opuścił bibliotekę i ruszył przez uśpiony dom. Migotliwe światło ognia towarzyszyło mu tylko do progu. W wykładanym marmurem holu panowały ciemności.

Skradał się na górę, dotykając końcami palców gładkiej, zimnej poręczy schodów. Dotarłszy na drugie piętro, ruszył korytarzem; dywan 115

tłumił jego kroki. Serce biło mu coraz szybciej, gdy zbliżał się do drzwi, spod których nadal sączyło się światło.

Nie zastanawiając się nad swym zuchwalstwem, chwycił klamkę.

Ustąpiła bez oporu - drzwi nie były zamknięte na klucz. Uniósł brew.

Praktycznie rzecz biorąc, zaproszenie do wejścia! Bezszelestnie uchylił

drzwi, zajrzał do wnętrza, zobaczył ją i zadrżał z pożądania.

Siedziała przy biurku w drugim końcu pokoju, pracując nad tłumaczeniem. Ubrana była w zwiewny biały negliż. Rozkoszny fatalaszek!

Któż by przypuszczał, że mała panna Mądralińska sypia w czymś takim?!

Znowu go zaskoczyła!

Oczarował go jej widok. Długie włosy spływały luźno na śliczne

ramiona. Gryzła w zamyśleniu drucianą oprawkę okularów, pochylając

się nad wielką księgą. Siedziała przy biurku z jedną nogą podwiniętą pod

pupę. Na ten widok poczuł gwałtowne pulsowanie w lędźwiach. Jakże

miło było marzyć, że zostawiła drzwi niezamknięte ze względu na nie-

go. Wiedział jednak, że to czcze urojenia.

*Dobrze wychowanym, ufnym młodym damom w rodzaju panny*

*Carlisle obilo się może kiedyś o uszy, że bywają na świecie mężczyźni,*

*lekceważący wszelkie względy przyzwoitości. Ale na pewno nigdy nie*

*przypuszczały, że mogą kogoś takiego spotkać. Tymczasem jeden z niegodziwców czaił się w tym domu! Usta Devlina wygięły się w uśmiechu.*

*Wesoły płomyk świecy na biurku Lizzie oświetlał jej literackie trudy.*

*Tym razem jednak tłumaczka niewiele zdziałała. Wpatrywała się w przestrzeń i gryzmoła coś na marginesie. Oparła się łokciem o biurko, podbródek spoczywał na dłoni, a wszystkie myśli zaprzątnięte były Devlinem. Westchnęła w rozterce i płomyk świecy zakolysał się. Wpatrzona*

*w jego pląsy, odłożyła w końcu gęsie pióro. Może by tak sprawdzić,*

*czy Devlin nie czeka na nią w bibliotece? Cóż złego mogło wyniknąć*

*z chwili umizgów, o których nikt by się nie dowiedział? Bóg świadkiem, i*

*że przeważnie jest tu śmiertelnie nudno. Wizyta Devlina była najbardziej podniecającym wydarzeniem od niepamiętnych czasów.*

*Nagle wyczuła czyjąś obecność w pokoju. Uniosła głowę, zerknęła*

*przez ramię... i zaparło jej dech w piersi. Stał oparty o drzwi i wpatrywał*

*się w nią.*

116

*Do licha! Nie usłyszała nawet, że otworzył drzwi!*

*- Co ty tu robisz?! - wykrzyknęła.*

*Przyłożył palec do ust i wślizgnął się do pokoju.*

*Serce waliło jej jak szalone, gdy z cichym szcękem zamknął drzwi*

*za sobą i oparł się o nie, nadal kryjąc się w cieniu.*

*Lizzie wpatrywała się w niego, boleśnie świadoma tego, jak skąpo*

*jest odziana.*

*- Przyszedłem się pożegnać. - Jego oczy błędziły po niej z zachwytem. - O Boże! Ależ ty jesteś piękna!*

*Na te słowa spłonęła rumieńcem. Nikt dotąd nie nazwał jej piękną. Starając się dostrzec mimo mroku jego rysy, zastanawiała się, co przyciągnęło do niej tego dzikiego, nieujarzmionego wilka? Wyczu*

*ła w nim samotność, która mogła stać się towarzyszką jej samotności.*

*Zapomniawszy o początkowym przerażeniu, dostrzegła palącą tęsknotę w głębi jego jasnych oczu.*

*Wszystko w niej pragnęło wypełnić pustkę, która mu doskwierała.*

*- Jeśli każesz mi odejść, odejdę - powiedział ochrypłym szeptem.*

*Potrząsnęła głową. Nie umiała oprzeć się namiętności. Nawet nie próbowała z nią walczyć. Istniała dla niej jedynie ta chwila, ta noc. I on.*

*Tylko jeden raz! - błagało jej ciało. Była równie samotna, jak Dev i równie spragniona jego, jak on jej.*

*Wyciągnęła do niego ramiona.*

*Oczy mu zapłonęły. Zamknął drzwi na klucz. W następnej chwili*

*był przy niej i porwał ją w objęcia. Zarzuciła mu ramiona na szyję, a on przycisnął usta do jej warg i zaniósł ją na łóżko.*

*z a c h ł a n n o ś ć tego zmysłowego pocałunku sprawiła, że wszystko wokół Elizabeth zawirowało. Mogła jedynie przywrzeć do niego z całej siły, gdy położył ją na boku i sam znalazł się obok niej, nie przestając jej pieścić. Jego pocałunek urzekał ją i zniewalał. Skóra Lizzie zapłonęła ogniem, całe jej ciało prężyło się ku niemu.*

*Z pewnością słyszy, jak mi serce wali, myślała. On tymczasem gładził jej piersi, widoczne w głębokim dekolcie, potem zaś wsunął dłoń pod jedwabny negliż. Z ustami przy jego ustach wciągnęła raptownie powietrze, kiedy jego ciepła dłoń zacisnęła się rozkosznie na jej piersi. Oddychanie sprawiało jej wyraźną trudność. Powoli ich usta*

*się rozłączyły. Wpatrzony w oczy dziewczyny zataczał kciukiem kręgi wokół sutka, obserwując jej reakcję. Kiedy zadrżała, oczy mu pociemniały.*

*- Nie zrobię nic wbrew twojej woli - zapewnił ją cicho.*

*- Wiem, Devlinie. Ufam ci.*

*Dotknęła lekko jego kwadratowej szczęki i przyciągnęła go do siebie, żeby ją pocałował.*

*Z wprawą rozwiązał wstążeczki podtrzymujące peniuar, ani na*

*chwilę nie przerywając pocałunku. Ta zręczność potwierdzała podejrzenia Lizzie, że był doświadczonym uwodzicielem w Anglii. Przez chwilę głaskał jej piersi, potem odsunął się nieco, by na nie popatrzeć. Kiedy*

*podniósł wzrok i spojrzał znów w jej oczy, w jego własnych pojawił się ogień pożądania.*

*Gorączkowo wodził ustami po jej szyi i piersi, a w końcu wziął sutek .*

*do ust. Poczula rozkoszną ociążalosc. Obudziła się w niej namiętnosc,*

*ktorej istnienia nawet nie podejrzewala.*

*Zsunęła kamizelkę z jego szerokich ramion. Zręcznie pozbył się jej,*

*odrzucając od siebie. Gdy znów zaczął pieścić Lizzie, koronkowy mankiet jego koszuli przesunął się drażniaco po jej skórze.*

*Pochylił głowę, by pieścić drugą pierś dziewczyny. Lizzie przyglądała się temu zamglonym wzrokiem, gładząc go po głowie. Potem rozplotła warkocz, którzy utrzymywał w ryzach jego długie czarne włosy.*

*Przebierała palcami w jedwabistych falach.*

*Była zdziwiona tym, jak naturalna wydaje się jej taka poufalość*

*z Devlinem. Złoty kolczyk połyskiwał tajemniczo w blasku świecy.*

*Jeszcze kilka minut pieszczot, którymi ją obsypywał, i dosłownie wiała*

*się pod nim. Ale kiedy chciał zsunąć negliż jeszcze niżej, powstrzyma*

*ła go.*

*- To niesprawiedliwe! - obruszyła się z udaną skromnością. - Kolej*

*na ciebie, mój panie! Dlaczego nie pozbędziesz się tego?*

*Pociągnęła go za koszulę.*

118

*Odpowiedział słodkim uśmiechem. Lizzie uniosła się na łokciach*

*i przyglądała się, jak Dev klęka i ściąga przez głowę cienką białą koszulę.*

*Ujrzawszy go bez niej, Lizzie się zdumiała. Wznosił się nad nią, skąpany w złotym, migotliwym blasku świecy. Olśniony wzrok Lizzie błędził z podziwem po całej jego postaci.*

*Na szyi Deva, na cienkim podniszczonym rzemyku, kołysał się*

*groźnie wyglądający ząb jakiegoś drapieżnika. Zaskoczona, ale i zafascynowana tym barbarzyńskim trofeum, Lizzie usiadła na łóżku i, zaczepiwszy palcem o rzemyk, przyglądała się pożółkłemu zębowi.*

*- To kiel pumy - wyjaśnił Dev gardłowym szeptem.*

*Bez pośpiechu podniosła na niego oczy i zdumiała się na nowo jego wielkością, walecznością i siłą. Był... jak to mówili poeci? Niezrównany.*

*Właśnie tak!*

*Piękny i groźny.*

*A ona go pragnęła.*

*- Pocałuj mnie - szepnął, przysuwając się bliżej.*

*Objął jej brodę kciukiem i palcem wskazującym, odchylając głowę*

*Lizzie do tyłu.*

*Położył wargi na jej ustach. Serce waliło jej jak szalone, palec ześlizgnął się z rzemyka i sunął w dół po piersi, niespieszną badawczą pieszczotą. Jakie to było dziwne, spoufałać się z kimś tak niebezpiecznym i czuć się tak bezpiecznie w jego ramionach.*

*- Czy mogę cię pocałować... tutaj... tak jak ty mnie całowałeś? -*

*spytała po chwili, przesuając zuchwale końcem palca po małym, naprężonym sutku.*

*- Moja droga panno Carlisle! Może pani robić ze mną, co tylko chce.*

*- Bardzo mi się podoba ta odpowiedź - oświadczyła z gorącym uśmiechem. - Połóż się!*

*Wykonał polecenie, oddając się do jej dyspozycji.*

*Pochyliła głowę i całowała go w pierś. Badła wargami i koniuszkami palców zdumiewającą budowę całej klatki piersiowej, zanim delikatnie dotknęła ustami sutka. Ośmieliwszy się, musnęła go końcem języka i ku swej wielkiej radości poczuła, że drobna grudka twardnieje pod tym*

*delikatnym liźnięciem. Devlin otoczył ją luźno ramieniem, przyglądając się tylko i pozwalając dziewczynie eksperymentować.*

119

*Zsunęła się niżej i przyklękła między jego nogami, by dotykać falujących mięśni na jego twardym brzuchu. Zaczęła gładzić stalowe udo.*

*Jęknął gardłowo, a jego ręka wczepiła się niemal boleśnie w jej włosy.*

*Podciągnął ją do góry i, chwytając w ramiona, pocałował zachłannie w usta. Po prostu stopniała mu w objęciach, czując jego nagą pierś przy swojej piersi. Odwzajemniała pocałunki. Chyba nigdy nie będzie miała dość tego mężczyzny. Znow położył się na łóżku, pociągając Lizzie za sobą. Jej włosy oplatały go, osłaniając ich oboje od blasku świecy. Poczuli, że coś twardego uciska ją w brzuch.*

*- Wielki Boże! - zdumiała się.*

*Rozśmieszył go ten okrzyk.*

*- Widzisz, co ze mną wyprawiasz?*

*- Przepraszam...*

*- Nie przepraszaj, chérie! Nie ma powodu.*

*- Czy to...*

*Nie była w stanie dokończyć tego pytania.*

*Spojrzał na nią i ironicznie uniósł jedną brew.*

*- W każdym razie to nie składany teleskop.*

*Ten żarcik pomógł Lizzie otrząsnąć się z szoku.*

*Gdy zaśmiał się na widok jej rumieńca, przygryzła wargę, mierząc go podejrzliwym wzrokiem.*

*- Mogę zobaczyć? Ostatecznie, no wiesz... człowiek się zastanawia...*

*- Doprawdy? - szepnął z oczyma pełnymi śmiechu.*

*Spełnił jej prośbę bez dalszego przekomarzania. Podniósł się z łóżka i stanął przed nią. Z zuchwałym spojrzeniem rozpiął spodnie i uniósł głowę z wyraźną dumą.*



*- Jesteś bezwstydny! - stwierdziła.*

*- A ty się gapisz. No, nie bój się! - szepnął z wyzwaniem w głosie.*

*-Dotknij!*

*Chciała odmówić, ale z tonu jego głosu odgadła, że Devlin nie wierzy, by się na to odważyła. No to się przekona!*

*Powtarzając sobie w duchu, że to po prostu eksperyment naukowy,*

*wyciągnęła ostrożnie rękę i dotknęła członka koniuszkami palców. Spostrzegła z zachwytem, że nawet tak lekkie musnięcie przejęło go dreszczem.*

120

*- Interesujące! - mruknęła.*

*Instynktownie cofnęła rękę, ale zaraz wyciągnęła ją z powrotem.*

*- O tak - wyszeptał, pokazując jej, jak objąć palcami jego twardą męskość. Śledził jej każdy ruch.*

*- W ten sposób?*

*- Właśnie tak - wykrztusił bez tchu.*

*Łagodnie powstrzymał jej rękę.*

*- Co teraz? - spytała ze szczerym zainteresowaniem.*

*- Teraz go pocałuj - szepnął.*

*Chyba nie mówił poważnie? - zerknęła na ukrytą w cieniu twarz mężczyzny.*

*- Właśnie tak!*

*Pochylił się i pocałował ją w usta, zawzięcie atakując językiem.*

*Całował tak namiętnie i tak cudownie, że gdy się odsunął, Lizzie*

*omal się nie rozpląkała. Jego płonące oczy zaklinały ją, namawiały. Wyczuła, jak bardzo mu to potrzebne, i zrobiła to, czego pragnął.*

*W chwili gdy dotknęła go ustami, zrozumiała, że sprawiła mu*

ogromną rozkosz. Devlin zacisnął rękę na słupku baldachimu, a drugą wplątał w jej włosy, gdy wypróbowywała swą najnowszą umiejętność.

Rozkosz, której wspólnie doświadczali, olśniewała jak po mistrzowsku cięty brylant, którego każda iskrząca się powierzchnia inaczej cieszy oczy. Dla nich pierwszym powodem do radości była tajemnica, okrywająca ich spotkanie. Po drugie - poczucie władzy nad Devlinem wprawia

ła Lizzie w euforię. Ale trzecią i największą rozkoszą była sama pieśczoć; im więcej Lizzie zaznała jej i dała Devlinowi, tym bardziej była spragniona.

Nagle powstrzymał ją od dalszych pieśczoć, przewracając na łóżko.

Unieruchomił jej ręce nad głową, opadł na nią i zachłannie pocałował.

Czuła bicie jego serca tuż przy swoim, a jego męskość ocierała się rozkosznie o miejsce, które najbardziej za nim tęskniło.

Chciała objąć go ramionami, ale nie puścił jej nadgarstków.

Uwolniwszy wreszcie jej ręce, przesunął dłońmi w dół po jej ciele.

Uśmiechnęła się z rozmarzeniem, kiedy pieścił jej szyję, piersi i brzuch.

Gdy jego ręce dotarły do bioder i posuwały się coraz niżej, Lizzie kokieteryjnie zatoczyła krąg odzianą w pończoszkę stopą wokół jego

udręczonego członka. Devlin zaśmiał się cicho, gardłowo na te zaczepki?

i, spojrzawszy w górę, błysnął zębami w szelmowski uśmiechu.

Wpatrując się w nią, pocałował ją w udo; następnie zamknął oczy.

i pochylił głowę. To, co zdarzyło się potem, przekroczyło jej najśmielsze; wyobrażenia.

- O Boże... -jęknęła czy może raczej zamiauczała jak kotka, gdy

język Deva trafił bezbłędnie w ośrodek wszelkich fizycznych doznań.

Lizzie nie miała dotąd pojęcia o istnieniu takiego centrum. Adorował

owo sekretne miejsce, nie szczędząc pieśczoć w sposób podobny do

tego, jakim ona powitała jego męskość. Dla Lizzie owo bałwochwalcze

uwielbienie było niemal ponad siły.

A jednak oddałaaby własną duszę, byle nie przerywał tych pieśczoć.

*Prężyla się ku jego rozchyłonym ustom i zmagala ze soba, by nie krzyczec z szalonej rozkoszy.  
Byla u kresu wytrzymalosci, ale ilekroć mysla*

*la, ze nie zniesie dluzej tych pieszczot, porywal ja jeszcze wyzej.*

*Rzeczywistosc pozostala gdzieś za nimi. Szybowali wśród gwiazd*

*w aksamitnej czerni nocy. Nie miala pojecia, gdzie sie podziala pruderyjna Lizzie Carlisle.  
Natomiast szalona kobieta, ktora Dev powolal do zycia w kipiacym kotle ognistej, desperackiej  
zadzy, wzbijala sie w przestworza dzieki potedze jego pocałunku. Wyrwala sie spod wszelkiej  
kontroli, a i Dev zrzucil wszystkie peta. Skore miał rozpalona. Kiedy zbiera*

*la wszystkie sily, by zapanowac nad przekraczajaca ludzkie sily ekstaza,*

*porwal ja bezlitośnie na skraj jaśniejącej, bezdennej otchlani i stracil w nia, nim zdazyła  
zaprotestowac.*

*Spadala, kompletnie bezwolna. Gwałtowne drzenia wstrzasaly jej*

*cialem i tylko nieznacznie oslably, gdy wyzwolila sie spod jego ust.*

*Wznosil sie ponad nia, mroczny i wspanialy, z plonacymi oczyma. Kiedy zaś pochylil sie ku niej i  
sadzila, ze unicestwi ja do reszty, drzacymi palcami chwycil jej reke i nakryl nia swa udręczona  
męskosc. Czula, jak*

*pulsuje obok wzgórka jej kobiecosci.*

*- Dotknij mnie - wychrypial.*

*Postuchala go. Między jej nabrzmiatym ciałem i posluszną dłonią*

*skapal sie w kaskadzie jej wilgoci, odnalazl swój rytm i wykonal kilka*

*gwałtownych ruchów, nim eksplodowal.*

*Opadł na lokcie, musnal jej usta drzacym pocałunkiem i oparl sie*

*czołem o jej czoło.*

122

*- O mój Boze! - wyszeptal bez tchu.*

*- Och, Devlinie...*

*Popatrzyl na siebie, oszolomieni i kompletnie wyczerpani. A potem*

*oboje rozesmiali sie bardzo cicho, zeby nikt ich nie uslyszal.*

*Wkrótce potem leżeli w pościeli, spleceni w uścisku, tuląc się i dotykając. Dev czuł się dziwnie... Jego jasnowłosa niewinna towarzyszka nie wiedziała, rzecz jasna, że był zdumiony reakcją własnego ciała. Wytrysnął pod jej ręką jak niedowarzony młokos. Jeszcze bardziej nieprawdopodobne było to, że został z nią. Pozwolił, by tuliła się do niego i kreśliła wzory końcem palca na jego nagiej piersi.*

*Czuł się... szczęśliwy.*

*Spokojny i pełen czułości. Nie przypominał sobie, kiedy po raz*

*ostatni przeżywał coś takiego z jakąkolwiek kochanką. Odsunął od*

*siebie tę myśl i połaskotał dziewczynę w policzek kosmykiem jej włosów.*

*Odepchnęła jego rękę i zaśmiała się miękko. Przebiegł go dreszcz*

*- ileż w tym śmiechu kobiecej satysfakcji! Gdyby istotnie był tak zepsuty, jak głosiła fama, bez skrupułów pozbawiłby ją dziewictwa i pal diabli wszelkie konsekwencje! Ocknęło się w nim jednak coś sprzecznego z jego naturą. Pragnął ją osłaniać, troszczyć się o nią, otoczyć warownym*

*murem, by żadne zło nie miało do niej dostępu.*

*Przytulił ją mocniej i pocałował w głowę, kompletnie zapominając,*

*że nie jest jednym z tych czułych kochanków.*

*Uważaj, bo cię usidli, jeśli nie będziesz ostrożny! - ostrzegał go*

*rozsądek, ale jakoś nie mógł się powstrzymać. Była taka odmienna od*

*kobiet, do których przywykł. Taka dobra, bezinteresowna i serdeczna.*

*Kochał jej gęste, orzechowe włosy, pachnące lawendą, jej szare oczy*

*i nieśmiały uśmiech; białą jak mleko skórę...*

*- Devlinie? - spytała cicho, przerywając jego absurdalnie zauroczone myśli.*

*- Hm?*

*- O czym myślisz?*

*- O tobie.*

*- Ach, ty pochlebco! - Objęła go nieco silniej i przysunęła się jeszcze bliżej. - A co o mnie myślisz?*

- Ze wielu rzeczy jeszcze o tobie nie wiem - rozmyślał na głos.

- Nadal mam do pani mnóstwo pytań, panno Carlisle! Na przykład, gdzie się pani nauczyła niemieckiego?

- Zgadnij! - szepnęła, z trudem powstrzymując śmiech.

- Ech, ty zuchwała szelmo! - Połaskotał ją. - Czyżbyś była w Niemczech?

Przytaknęła ruchem głowy i uśmiechnęła się szeroko, bardzo z siebie zadowolona.

- Opowiedz o tym! - polecił.

- Ostatnimi czasy większość najbardziej odkrywczych myśli przybywa do nas z Niemiec. Miałam szczęście. Pan Whitby, guwerner młodych Knightów, nauczył mnie podstaw tego języka, gdy byłam jeszcze

dzieckiem. Studiował kiedyś w Getyndze. - Odgarnęła z twarzy niesforny kosmyk. - Trzy lata temu moje zainteresowanie niemiecką literaturą odżyło, kiedy Robert, to znaczy księżę Hawkscliffe, wszedł w skład delegacji na kongres wiedeński.

- Doprawdy?

Skinęła głową.

- Jacinda i ja pojechałyśmy do Austrii z Robertem i Bel. Odbyłyśmy najwspanialszą podróż po Europie. Na szczęście zdążyłyśmy wrócić do Anglii, nim znów rozpętała się ta przeklęta wojna!

- Doskonale. Następne pytanie. Cóż to za plotki słyszę o jakiejś księgarni?

- Dowiedziałeś się od ciotki? - spytała z urazą w głosie.

- Owszem. I bynajmniej nie pochwalam takich pomysłów.

W odpowiedzi dała mu prztyczka w nos.

- Uspokój się! - ofuknął ją.

*- A właśnie że otworzę księgarnię na Russell Square, jeśli zechcę!*

*- poinformowała go z czarującym uporem. - Dlaczegoż by nie? Czy*

*tylko wy, mężczyźni, możecie robić, co się wam podoba? Śmieję się, jeśli chcesz!*

*- Nie mam najmniejszego zamiaru śmiać się z ciebie, cherie. - Kąciki ust mu drgały, ale silił się na powagę. - Tylko mi powiedz, dlaczego akurat Russell Square?*

*- Ze względu na podaż i popyt, oczywiście! To tuż obok muzeum.*

*Sam pomyśl! - Postukała się palcem w skroń i popatrzyła na niego ze*

*124*

*swej poduszki. - Kto kupuje książki? Wszędzie dokoła jest pełno kawiarenek, w których intelektualisci chętnie się zбираją, by dyskutować o filozofii i polityce. Tam też idą pokrzepić się czymś po wykładach. Och, wątpię, czy wychyliłeś kiedyś nos poza Mayfair. Słyszałam, że interesuje*

*cię tylko to, co modne!*

*- A ja słyszałem, że z ciebie prawdziwa sawantka i zaczynam w to wierzyć!*

*- Pytałeś, więc odpowiedziałam. - Wzruszyła ramionami. - Nie*

*staram się nikogo zarazić swoimi poglądami. Żeby kobieta miała rozum?*

*Też coś! - Potrząsnęła głową z cierpkim uśmiechem. - To takie... nie-kobiece!*

*- Wcale tak nie uważam - mruknął, obejmując ją ramionami. -*

*Moim zdaniem jest pani fascynująca, panno Carlisle! Niezwykle kobieca, a równocześnie jedyna w swoim rodzaju... •*

*- Dajże spokój! - fuknęła, usiłując się wyrwać.*

*- Dlaczego w to wątpisz? Będę cię zasypywał komplementami, aż*

*mi wreszcie uwierzysz - oświadczył, nie pozwalając, by się wyslizgnęła.*

*Tuląc do siebie nagie ciało Lizzie, przycisnął wargi do jej ramienia. - Jesteś urocza, dowcipna,*

*dobra - szeptał. -I bardzo, bardzo piękna.*

*Przestała się wyrywać. Gdy powoli zwróciła ku niemu wzrok, jej szare oczy były pełne niedowierzania i bezbronności.*

*- Naprawdę uważasz, że... jestem piękna?*

*- To nie jest tylko moja opinia, panno Carlisle. To niezbity fakt!*

*Uśmiechnęła się do niego nieśmiało. Przez dłuższą chwilę oboje milczeli.*

*- Co ze sobą poczniesz, gdy... jej już nie będzie? - spytał z wahaniem.*

*- Poszukam innej posady.*

*- W Londynie?*

*- Dlaczego pytasz? Czyżbyś zamierzał wystawić mi referencje, milordzie? - spytała, rzucając mu przez ramię szelmowski uśmiech.*

*Zaśmiał się cicho i objął ją w pasie.*

*- Mógłbym ci zaproponować coś lepszego! Wiesz - odezwał się ostrożnie po chwili, gładząc ją po włosach - wcale nie musisz szukać pracy, gdybyś nie miała na to ochoty.*

*- Właśnie że muszę - odparła z westchnieniem.*

125

*- Nie! Zaopiekowałbym się tobą. - Nie mógł uwierzyć, że to powiedział. - Odziedziczę mnóstwo pieniędzy. Mogłabyś zostać moją protegowaną.*

*Siadła raptownie na łóżku.*

*- Nie proponujesz chyba, żebym została twoją kochanką?!*

*- Dlaczego nie? Dobrze nam ze sobą, prawda? Miałabyś służbę, własny dom i powóz. Czegokolwiek byś zapragnęła...*

*- Przestań! - Wyrwała mu się z objęć. - Mowy nie ma! Nigdy o tym*

*nie wspominaj! Sama myśl o czymś takim jest dla mnie odrażająca. To, do czego doszło tej nocy, zrobiłam z własnej chęci, a nie dla zysku! Na litość boską, nigdy dotąd nie uczyniłam nic podobnego...*

*- Wiem, Lizzie. Przepraszam! Niezręcznie się wyraziłem. - Wyciągnął do niej rękę, gdy odwróciła się do niego tyłem. - Nie gniewaj się na mnie! Jestem głupi, i tyle.*

*- No cóż. Trudno mieć ci za złe, że uznałeś mnie za taką dziewczynę, jeśli ci na to wszystko pozwoliłam - burknęła, kryjąc twarz w poduszce.*

*- Naprawdę myślisz, że to ty mi pozwoliłaś? - spytał po chwili.*

*- Wydaje ci się, że mogłabyś mnie powstrzymać?*

*Podejrzliwie zerknęła na niego przez ramię.*

*- Nie wiesz, kim jestem?- Oczy mu błysnęły. - To ja, zdeprawowany, rozpasany, przeklęty Diabeł Strathmore! Nie miałaś żadnych szans, drogie maleństwo.*

*- I to ma mi niby poprawić humor?! - mknęła.*

*- Owszem. - Nachylił się ku niej. - Nie bądź zła, Lizzie! Ani na mnie, ani na siebie. To była naprawdę piękna noc! - Poglądził ją po ramieniu. - Obiecuj, że nigdy nie będziesz się jej wstydzić.*

*Mimo woli się odwróciła i spojrzała na niego. Potem dotknęła czule jego policzka.*

*- Och, Devlinie, jakżebyś mogła?*

*- To już lepiej - szepnęła, wpatrzony w nią. - Chodź no tu, mała!*

*Chwycił ją w ramiona i opadł na wezglowie.*

*- Jak to zwykle bywa w takich wypadkach? - Wtulila się w zagłębienie jego szyi. - Czy będziemy skrępowani, kiedy znów się spotkamy?*

*- Bo ja wiem? Przyjedź do Londynu, to się przekonamy. W końcu...*



- nachylił się i pocałował ją w czubek nosa - któż inny zaprowadzi mnie

126

do tych słynnych kawiarenek na Russell Square? Wiesz, że sam nigdzie

bym nie trafił poza Mayfair!

Wybuchnęła śmiechem, przewróciła się na bok i przeciągnęła zmysłowo, prowokująco. Dev zsunął się nieco niżej i przylgnął do jej pleców. Udało mu się jednak utrzymać pożądanie na wodzy.

- Wiesz co? Mam jeszcze jedno pytanie do ciebie - szepnął, korzystając z okazji.

- Doprawdy, panie Ciekawski? No dobrze. O co chodzi?

Wahał się jeszcze z ustami przytulonymi do jej ramienia.

- Co się wydarzyło między tobą i Alekiem Knightem?

Lizzie znieruchomiała.

Devlin czekał w ogromnym napięciu, gdyż do tej pory wiedział tylko, co z pewnością nie zaszło między nią i Alekiem. Dziewczyna była czysta jak śnieg. Tamtej pierwszej nocy w bibliotece nie wiedziała nawet,

jak wygląda prawdziwy pocałunek.

- Jak się tego domyśliłeś?

- Zauważyłem wyraz twojej twarzy pierwszego wieczoru przy

obiedzie, kiedy wspomniałem, że go znam. A potem ciotka Augusta

powiedziała mi, że schroniłaś się tu ze złamanym sercem. Nietrudno

było dodać dwa do dwóch. - Objął Lizzie w talii i, przytuliwszy lekko,

przewrócił ją na wznak, zmuszając, by popatrzyła mu w oczy. Widząc

jej zbolatą minę, pogładził dziewczynę po policzku. - Co on ci zrobił?

Niezręcznie ukrywając ból, odwróciła oczy i zaczęła okręcać wokół

palca pasmo włosów.

- Lizzie? - Ujął ją delikatnie pod brodę i obrócił twarzą ku sobie.

- Opowiedziałem ci o swoich kłopotach, prawda? Dlaczego nie masz do

*mnie zaufania?*

*- Nie o to chodzi. To takie... upokarzające.*

*- A więc cię zranił!*

*- Nie patrz takim wzrokiem! Boję się...*

*Przesłonił oczy rękami, by ukryć mściwy błysk.*

*- Jeśli cię skrzywdził, Lizzie, zapłaci za to!*

*- Na litość boską, Devlinie! Tu nie chodzi o jakąś straszliwą zniewagę! Przyznaję, że byliśmy sobie bliscy, ale... ale się poróżniliśmy.*

*- Dlaczego? Co się stało?*

127

*- Nic się nie stało - oświadczyła stanowczo. - Naprawdę nic!*

*- Rozumiem! - mruknął, przyglądając się jej bacznie. - Chciałaś,*

*żeby się coś wydarzyło, ale nic z tego nie wyszło.*

*- Och, Devlinie! - westchnęła żałośnie i, przestaniając ręką czoło,;*

*wpatrzyła się w biały sufit. - Czy ci się kiedyś wydawało, że znasz kogoś*

*na wylot, i przekonałeś się w końcu, że ten ktoś jest zupełnie inny?*

*Nie odpowiedział, tylko czekał, co będzie dalej.*

*Rzuciła mu blady, wymuszony uśmiech.*

*- Marzyłam o Alecu od lat. Kochałam go bezgranicznie, a przynajmniej tak mi się zdawało. Kiedy mu to w końcu wyjawiałam, uciekł w te pędy. Gdy teraz myślę o tej miłości, mam wrażenie, że to było tylko marzenie samotnej, małej sierotki, która bardzo chciała do kogoś należeć.*

*Myślałam, że gdybym wyszła za Aleca, zostałabym wreszcie członkiem*

*rodziny. - Wzruszyła ramionami i smutno westchnęła. - Moja pozycja*

*była dość skomplikowana. Nie zaliczałam się do służby, ale z pewnością*

*nie należałam do rodziny, jak na przykład Jacinda. Nielatwo balansować*

*pomiędzy dwoma światami, tym z kuchni i tym z pańskich pokojów.*

*W końcu człowiek dochodzi do wniosku, że nigdzie nie ma dla niego*

*miejsca. Łudziłam się więc, że jeśli będę troszczyła się o Aleca, opiekowała nim tak, jak przez te wszystkie lata opiekowałam się Jacindą, to mnie w końcu pokocha, ożeni się ze mną i zakończą się wszystkie moje*

*kłopoty. Będę miała dom i rodzinę, i zawsze już będę wiedziała, gdzie jest moje miejsce.*

*Wpatrywał się w nią i serce mu się ścisnęło.*

*- Oszukiwałam samą siebie - dodała cicho - bo Alec nigdy się mną nie interesował.*

*- Jakoś nie mogę w to uwierzyć!*

*- To prawda. Cokolwiek nas łączyło, nie miało nic wspólnego*

*z prawdziwym uczuciem. Chyba powinnam opowiedzieć ci wszystko*

*po kolei. - Przewróciła się na bok i wsparła na łokciu, opierając policzek na dłoni. - Ubiegłego lata Alec ciągle przegrywał w karty i bardzo się zadłużył. Zazwyczaj całkowicie mu wystarcza hojna pensja od najstarszego brata, księcia Hawkscliffe'a. Ale Robert nieraz przestrzegał go przed hazardem. W czerwcu cała rodzina zamartwiała się o Aleca. No cóż...*

*Alec jest bardzo dumny. Zamiast ograniczyć swoje wydatki, co może*

*zachwiaćoby nieco jego pozycją w eleganckim towarzystwie, udał się do*

128

*lichwiarzy z jakiejś podejrzanej dzielnicy. I choć żądali paskarskich procentów, zaciągnął u nich wysoką pożyczkę.*

*- Niezbyt rozsądne! - mruknął Dev.*

*- Istotnie. Alec to wiedział, ale wolał o tym nie myśleć. Był pewny,*

*że szczęście wkrótce znowu mu dopisze, na razie jednak musiał spłacić długi honorowe, gdyż inaczej nie mógłby się pokazać u White'a ani u Brooke'a. Uregulował je z pożyczki i w klubach wszystko było po*

*staremu. Ale kiedy przyszła pora spłaty pierwszych odsetek, szczęście*

*nadal mu nie dopisywało. Znalazł się w tarapatkach jeszcze większych*

*niż poprzednio. Lichwiarz przysłał do niego trzech zbirów z żądaniem*

*zapłaty. Alec zwodził ich obietnicami, jak długo mógł. W końcu zaczęli*

*się na niego i zaatakowali, kiedy wracał do domu z jakiejś nocnej hulanki - sam, pijany i niezdolny do obrony. Udało mu się ująć z życiem mimo złamanej nogi. Ale tamci niebawem znów się zjawili z żądaniami. Był zbyt rozwścieczony i poniżony, by zwierzyć się braciom i prosić o pomoc.*

*Zapowiedzieli mu, że go zabiją, jeśli nie zapłaci! Byłam tego wieczoru w pobliżu i słyszałam, jak grożą człowiekowi, którego ubóstwa*

*łam od dziewiątego roku życia! Nie mogłam pozwolić, by zrobili mu*

*krzywdę. Kiedy uświadomiłam sobie, w jakim jest niebezpieczeństwie,*

*wręczyłam mu pieniądze, które zostały mi po ojcu i miały stanowić mój*

*posag. Nie było tego wiele, ale Robert zainwestował je na dobry procent*

*i przez te wszystkie lata...*

*- Co takiego?! - wyszeptał Devlin, spoglądając na nią z najwyższym*

*zdumieniem. - Chciałaś swoim posagiem spłacić karciane długi Aleca*

*Knigha?*

*- Próbowałam to zrobić, ale nic z tego nie wyszło. Nigdy nie zapomnę wyrazu jego twarzy, gdy dałam mu pieniądze. Chyba dopiero wtedy domyślił się uczuć, które do niego żywiłam. Po raz pierwszy w życiu, tak mi się zdaje, zetknął się z czymś naprawdę poważnym, z czego nie*

*mógł się wykręcić swym czarującym uśmiechem! Nie miał pojęcia, co*

*z tym fantem zrobić.*

*Łzy napłynęły jej do oczu, ale powstrzymała je energicznym mruganiem.*

*- W każdym razie wziął pieniądze, jak nalegałam, ale zachowywał*

*się bardzo dziwnie. Miał zanieść je lichwiarzowi i wrócić, lecz godzi-*

*9 - Ukochana diabła*

*129*

*ny upływały, a jego nie było. Skończył się dzień, zapadła noc... Byłam*

*śmiertelnie przerażona. Obawiałam się, że te potwory zamordowały go*

*mimo zwrotu długu. Przyszło mi też do głowy, muszę przyznać, że Alec poszedł z moimi pieniędzmi do White'a, żeby raz jeszcze spróbować szczęścia. Rankiem zjawił się jakby nigdy nic, zdrowy i cały. Zwrócił mi pieniądze i powiedział, że obeszło się bez nich. Znalazł sobie odpowiednie zajęcie, dzięki czemu będzie odtąd zawsze wypłacalny. A potem wyjaśnił mi, gdzie się podziewał.*

*- Gdzie?*

*Przygryzła wargę i odwróciła wzrok.*

*- Myślałam, że o tym wie cały Londyn! No tak, ale ty przebywałeś wtedy za granicą. - Przymknęła oczy i pokręciła głową. - Pewna bogata baronowa... wszyscy w Londynie ją znają, lady Champion. Z pewnością i ty musiałeś się z nią zetknąć. To bardzo elegancka, wyrafinowana, światowa dama. Ma wszystkie przymioty, którymi ja nie mogę się pochwalić*

*- dodała ze smutnym uśmiechem.*

*Wziął ją za rękę.*

*- Mów dalej!*

*- Nie bardzo wiem, jak to ująć. Lady Champion spłaciła w końcu długi Aleca. Został jej... kochankiem.*

*Dev spoglądał na nią z konsternacją.*

*- Moje biedactwo! - szepnął. - Z pewnością byłaś zdruzgotana.*

*Skinęła głową, unikając jego wzroku.*

*- Billy, mąż Jacindy, starał się mnie przekonać, że Alec musiał tak*

*postąpić, gdyż wzięcie tych pieniędzy ode mnie byłoby dla niego znacznie większą hańbą. Ale ja nie rozumiem, dlaczego jego rozwiązanie miało być lepsze. W gruncie rzeczy Alec wcale nie musiał tego robić.*

*Mógł zwrócić się o pomoc do starszych braci... albo nawet do Billy'ego.*

*Gdyby którykolwiek z nich dowiedział się, że Alec jest w niebezpieczeństwie, pomogliby mu natychmiast. Tylko... widzisz... Alec w ten sposób załatwił za jednym zamachem dwie sprawy. Po pierwsze, pozbył*

*się długów, bez zwracania się o pomoc do starszych braci. A po drugie, dał mi jasno do zrozumienia, że nie może być mowy o małżeństwie między nami. Skoro tylko uświadomił sobie, jak bardzo go kocham, zrobił wszystko, żeby mnie zrazić do siebie. I wiesz co, Dev? Udało mu się!*

130

*Zamilkła na chwilę.*

*- Gdzieś głęboko w moim sercu przetrwała miłość do Aleca, ale*

*nigdy bym mu już nie zaufała. I nie potrafiłabym szanować człowieka,*

*który nie ma szacunku dla samego siebie. - Znowu przerwała. - Powiedział, że kiedyś będę mu za to wdzięczna. Nigdy jednak nie wyjaśnił mi, co takiego we mnie budzi w nim sprzeciw. Muszę więc sama głowić się*

*nad tą zagadką.*

*- Nie ma w tobie nic, co mogłoby w kimkolwiek budzić sprzeciw,*

*Elizabeth! Możesz mi wierzyć. Twój przyjaciel, Billy, trafił w sedno. Żaden mężczyzna, który ma choć trochę dumy, nie spłaciłby swoich karcianych długów posagiem słodkiej, niewinnej dziewczyny! A czego jak czego, ale dumy nigdy Alecowi nie brakowało!*

*- Pochwalasz to, co zrobił?! - wykrzyknęła.*

*- Oczywiście, że nie. Ale sądzę, że jesteś zbyt naiwna, by zrozumieć*

*wymowę tego postępu.*

*- No to mnie oświeć!*

*Dev wzruszył ramionami.*

*- To, że nie chciał skorzystać z twego poświęcenia, oznacza moim*

*zdaniem, że bardziej mu na tobie zależy, niż przypuszczasz. - Kiedy zamrugła oczami, zupełnie zdezorientowana, Dev przyciągnął ją bliżej, pocałował w policzek i pogłaskał po głowie. - Bywają*

*mężczyźni, chérie, gotowi całować każdą dziewczynę w mieście z wyjątkiem tej jednej, na której im naprawdę zależy.*

*Skrzywiła się.*

*- To jakieś bzdury! Dlaczego ktoś miałby się tak zachowywać?!*

*- Ze strachu, kochanie.*

*- Ależ Alec jest taki jak ty, nie lęka się niczego! Co prawda, nigdy nie walczył z pumą, ale stoczył Bóg wie ile pojedynków.*

*- Nie zrozumiałaś mnie. Tacy mężczyźni jak Alec i ja nie boją się niebezpieczeństwa, tylko miłości.*

*Dev zacisnął nagle zęby, przerażony tym, co mu się przed chwilą wyrwało. Niech to wszyscy diabli! Można analizować cudze słabostki, ale co, u diabła, podkusiło go do wyznania, że i on należy do tych żalonych durniów?!*

*To była prawda, ale... Wielki Boże! Odezwał się dawny, dobrze mu znany strach i wstrząsnął nim tak, że Devlin odzyskał wreszcie rozsądek.*

131

*Miał dziwne, przykre wrażenie, że oto z bezpiecznej odległości spogląda*

*na samego siebie, leżącego na łóżku z młodziutką damą do towarzystwa, którą uwiódł. No, prawie uwiódł. Widział siebie, jak pociesza ją i grucha do niej, niczym usychający z miłości młokos. Ów odzyskany*

*rozsądek ostrym promieniem przeciął baśniowy półmrok. I to, co Dev*

*ujrzał w tym bezlitosnym świetle, wprawiło go w popłoch. Co on robi,*

*do wszystkich diabłów?!*

*- Czy coś się stało? - spytała Lizzie, gdy nie odwracając od niej*

*wzroku, odsuwał się powoli.*

*Serce waliło mu jak szalone. Muszę się stąd wydostać! Jakby zbyt*

*silne przywiązanie do ciotki nie było wystarczającym zagrożeniem, od-  
czuwał jeszcze dziwną, niebezpieczną słabość do Elizabeth Carlisle!  
Wiedział aż za dobrze, iż poczucie bezpieczeństwa, jakie go przy niej  
ogarniało, to tylko złudzenie. Miłość w praktyce oznacza jedynie ból!  
Los już raz roztrzaskał jego serce na kawałki. Nie pozwoli, by to się  
znowu powtórzyło!*

*Chyba by tego nie przeżył.*

*Zmarszczyła brwi, kiedy zmusił się do sztucznego uśmiechu. Miał  
przy tym wrażenie, że zaraz się udusi z braku powietrza.*

*- Jest późno - tłumaczył tak rozsądnie, jak tylko mógł, z uśmie-  
chem przyklejonym do twarzy. - Powinienem już iść.*

*Lizzie wyczuła chwilę, w której Devlin odwrócił się od niej. Nie poruszył się, nawet okiem nie  
mrugnął, ale poczuła coś... jakby nagle wiatr się zmienił. W pierwszej chwili nie rozumiała, co się  
stało.*

*- Devlinie! - ponagliła go, kiedy nie odpowiadał. - Co się stało?*

*- Ależ nic, oczywiście że nic, kochanie. - Usiadł raptownie, spuszczać nogi na podłogę.  
Następnie podniósł się, uwolnił z jej uścisku i oddalił od łóżka. - Powinnaś odpocząć.*

*Wcale nie jestem zmęczona! - chciała krzyknąć. Jej wzrok wędrował  
z podziwem po jego atletycznym ciele, imponującym w swej nagości.*

*Schylił się i pozbierał ubranie, wkładając je na siebie od razu. Ona tymczasem zastanawiała się  
gorączkowo, czy zrobiła coś niewłaściwego. Potem jednak przypomniała sobie słowa jego ciotki -  
od dwunastu lat nie pozwolił nikomu zbliżyć się do siebie. I wówczas zrozumiała.*

132

*Dev się wystraszył, gdyż byli sobie tacy bliscy tej nocy!*

*Uporawszy się z zapinaniem spodni, Devlin wrócił i przysiadł na*

*brzegu łóżka, żeby wciągnąć buty. Był milczący, uwięziony w klatce*

*własnych lęków, od Lizzie zaś odwrócił się tak, jakby w ogóle nie istniała.*



*Zamiast gniewu czy oburzenia z powodu tej nagłej ucieczki Lizzie*

*poczuła współczucie. Bardzo ostrożnie wysunęła rękę i dotknęła jego szerokich, gładkich pleców.*

*Przez chwilę na to pozwalała, nie przysuwając się ani nie cofając.*

*Czuła, jak jego wysokie, smukłe ciało drży z napięcia pod jej dotykiem.*

*Pochylając się ku niemu, przechyliła głowę nieco w bok i wpatrywała się przez chwilę w jego patrycjuszowski profil. Na twarzy miał wyraz zagubienia.*

*- Wszystko będzie dobrze - szepnęła.*

*- Tak ci się zdaje? - spytał cicho, z ironią.*

*Przynajmniej nie próbował ukrywać tego, co się naprawdę działo w jego głowie!*

*- Devlinie... - Uklękła za nim na łóżku, objęła delikatnie jego szerokie ramiona i pocałowała go w policzek. Przymknęła na chwilę oczy i oparła się głową o jego głowę. Tak łatwo byłoby zakochać się w tobie,*

*tak łatwo... Poglądziła jego włosy i wyszeptała uspokajająco, żartobliwie:*

*- Nie przejmuj się, kochanie! Dla Aleca Knighta może już nie ma nadziei, ale dla ciebie z pewnością jeszcze jakaś jest!*

*- Doprawdy? - spytał cierpkim tonem.*

*- Tak. Jesteś znacznie bardziej dojrzały niż on.*

*- No cóż... dzięki. - Zawahał się. - Lizzie?*

*- Słucham, Devlinie?*

*- Jeśli będziesz kiedyś w Londynie... - Urwał. - Nieważne! - wyszeptał, wbijając wzrok w podłogę.*

*Wyraz osaczenia, zmieszania i bezradności w jego oczach wzbudził w niej współczucie.*

*- Chodź tu, kochany! - Nim zdążył się cofnąć, objęła go i pocałowała w skroń. - Jeśli będę w*

*Londynie i zobaczę cię, przypomnę sobie tę cudowną noc. I to wszystko - powiedziała cicho, po czym starannie*

*splotła jego długie włosy w luźny warkocz i związała go na końcu. - Już 133*

*ci mówiłam, że nie oczekuję żadnych obietnic. Pragnęłam tego, co się stało, tak samo jak ty. I nasza przyjaźń na tym nie ucierpiała.*

*Pocałowała go w lewe ucho, tuż nad złotym kolczykiem.*

*Zerknął na nią podejrzliwie.*

*- Czyżbyś była aniołem?*

*Uśmiechnęła się do niego.*

*- A jak myślisz?*

*- Całkiem możliwe.*

*Wydawał się trochę mniej spięty. Wstał, podniósł koszulę i włożył ••*

*ją przez głowę. Jednak zamiast wyjść, wolnym krokiem wrócił do łóżka i znowu na nim usiadł. Jego szerokie plecy się zgarbiły.*

*- Przykro mi, że jestem taki... - powiedział po dłuższej chwili, ale nie dodał nic więcej.*

*- Nie jesteś taki zły, jak na Diabła - przekomarzała się łagodnie*

*i znowu objęła go, żeby pocieszyć. Ucałowała jego dumne czoło i pogodziła się z niezbyt miłą myślą, że chyba będzie musiała wyprosić go*

*z pokoju. - Zegnaj, milordzie... - zaczęła, ale odwrócił się i przerwał jej, kładąc palec na ustach.*

*- Nie, nie „zegnaj”! - mruknął. - Jak to mówią Włosi?*

*- Arrivederci?*

*- Właśnie! - Jego uśmiech był ledwie widoczny w cieniu. - Do zobaczenia!*

*- Naprawdę, Dev? - wyszeptała, wpatrując się w jego oczy.*

*- O, to całkiem możliwe - odparł również szeptem, a potem ucałował ją po raz ostatni.*

*Objęła go ramionami, jakby nigdy nie chciała puścić. Wiedziała*

*jednak dobrze, że nie może sobie rościć żadnych praw do para Anglii.*

*Lepiej zachować w pamięci to, co naprawdę się stało: dwoje samotnych*

*ludzi ogrzało się nawzajem w mroźną, zimową noc. Z żalem go puściła. Devlin musnął jej usta ostatnim pocałunkiem, wstał i ruszył do wyjścia.*

*Zatrzymał się przy drzwiach i raz jeszcze spojrzął na nią.*

*- Niczego nie żałujesz?*

*- Niczego - odparła cicho i potwierdziła to skinieniem głowy.*

*Posłał jej całusa i wymknął się po cichu z pokoju -jak wiatr, który przybywa i odlatuje, kiedy chce.*

134

*Wsluchiwała się w jego ciche kroki, póki nie umilkły w dali, a potem*

*odwróciła się na bok z lekkim, czułym uśmiechem, choć serce trochę ją bolało.*

*Arrivederci, milordzie.*

*Do zobaczenia!*

*Sześć tygodni później*

*Oddaj diabłu, co jego.*

*przysłowie z XVI wieku*

*P osepny dźwięk katedralnych dzwonów rozbrzmiewał nad dachami*

*Londynu. Spłoszył stado gołębi, które wlatywały niespokojną, brudnoszarą chmurą w niebo. Równie szary marcowy deszcz bębnił o dachy czarnych powozów. Padał na głowy milczącego tłumu - dwóch tysięcy*

*żałobników i niezliczonej rzeszy gapiów, odprowadzających uroczysty*

*kondukt pogrzebowy starej wicehrabiny Strathmore.*

*Kilku policjantów torowało żałobnemu konduktowi drogę do Opactwa Westminsterskiego. Na czele procesji jechał karawan, zaprzężony w sześć czarnych jak smoła koni z głowami przybranymi pióropuszcami,*

*okrytych czaprakami z herbem Strathmore'ów. Za karawanem kroczyli:*

*kobziarz w szkockiej spódniczce i dwaj dobosze, wybijający na bębnach*

*powolny, pogrzebowy rytm.*

*Każdy z arystokratycznych rodów Anglii wysłał swego przedstawiciela, by pożegnać jak należy starą Żelazną Damę. Powoli posuwający się szereg karet sięgał niemal do Trafalgar Square. Na każdej pysznił się*

*dumny herb, wszystkie przybrane w krepę i żałobne wieńce. Nie było*

*prawie słychać ludzkich głosów, jedynie stukot niezliczonych końskich*

*kopyt i skrzypienie kół, przede wszystkim zaś donośne dźwięki pogrzebowych dzwonów.*

*Idąca pieszo Lizzie przepychała się przez ciżbę, usiłując odnaleźć*

*Devlina. W jej uszach brzmiało echo ostatniej prośby lady Strathmore:*

*„Spotkasz się z nim czasem, kiedy mnie już nie będzie?”*

*Dwa tygodnie temu wicehrabina zmarła spokojnie we śnie, miesiąc po wizycie Devlina. Pani Rowland znalazła ją następnego ranka.*

*Natychmiast wezwano doktora Bella, ale nie mógł już nic poradzić. Liz-*

*zie skropiła łzami krótki list, w którym przekazywała Devlinowi smutną*

nowinę.

*Krucze ciało starej damy umyły i ubrały wierne służące. Potem zło*

*żono ją do wspaniałej białej trumny, w której przewieziono ją do Londynu, by pochować w Opactwie Westminsterskim u boku małżonka. Jego lordowska mość zdobył prawo do tego zaszczytu, oddawszy monarsze*

*przysługę, o której dawno już zapomniano. Lizzie serdecznie oplakiwała*

*lady Strathmore. Wierzyła jednak, że chlebowczyni przeniosła się do*

*lepszego świata. Martwił ją przede wszystkim los Devlina.*

*Nie ma już nikogo bliskiego.*

*Chociaż swego czasu odmówiła prośbie starej damy, teraz stale my*

*ślała o Devlinie, choć nie widziała go od tamtej pamiętnej nocy. Chcia*

*ła go znaleźć i zapewnić, że nie jest sam. Musi mu udowodnić, że ma*

*w niej oparcie, podobnie jak miała je ciotka Augusta w ostatnich miesiącach swojego życia.*

*Dostrzegła go wreszcie - wysoką, samotną postać przed katedrą.*

*Jego twarz była maską bez wyrazu. Wraz z kilkoma innymi mężczyznami*

*wniósł na swych barkach trumnę do wnętrza. Teraz stał obok otwartych*

*drzwi kościoła i ścisnął dłonie niezliczonych żałobników, spieszących na*

*nabożeństwo. Posępny, wytworny i opanowany dziękował wszystkim za*

*przybycie. Lizzie spostrzegła jednak, że czynił to mechanicznie, jak we*

*śnie. Myśl, że nie miał w tej chwili nikogo bliskiego obok siebie, była dla niej nie do zniesienia.*

*Stała pod starym, pozbawionym liści drzewem na katedralnym dziedzińcu, wpatrzona w twarz Devlina. Przeżywał to wszystko nie po raz pierwszy. Obecna strata z pewnością sprawiła, że ożyły wspomnienia*

*potrójnego pogrzebu sprzed lat, gdy zegnał swego ojca, matkę i siostrę. Myśl o tamtym osieroconym siedemnastolatku wstrząsała całą jej duszą.*

*Devlin nie okazywał uczuć. Zamknięty w sobie, ukrywał przed*

*wszystkimi, jak bardzo cierpi. Lizzie z oczyma pełnymi łez, ze ściśniętym gardłem torowała sobie*

*na oślep drogę do niego, przepychając się przez tłum. Dev przypadkiem spojrzął w jej stronę i na ułamek sekundy*

*ich spojrzenia się spotkały.*

138

*W miarę jak zbliżała się do niego, coraz wyraźniej dostrzegala ślady napięcia na jego twarzy. Wiedziała, że wyraz rozpaczony w błękitnozielonych oczach Devlina będzie ją prześladował do końca życia. Dziękując ich przestrzeń zmniejszała się coraz bardziej.*

*Kiedy w końcu dotarła do niego, nie mogła wypowiedzieć ani słowa.*

*Spoglądali na siebie w milczeniu. Pragnęła jedynie wziąć go w ramiona, ale wokół nich było pełno ludzi, którzy zerkali na tę parę z ciekawością.*

*- Och, Devlinie! - wyszeptała. - Tak mi przykro...*

*Oderwał od niej wzrok, próbując ukryć zwilgotniałe oczy.*

*- Dziękuję. Dziękuję za przybycie - wymówił z trudem i uścisnął uprzejmie jej dłoń, tak samo jak wszystkim.*

*Tylko głos mu się załamał, gdy to mówił.*

*- To oczywiste, że przyszłam - szepnęła, ściskając serdecznie jego rękę. - Jak mogłabym pozwolić, żebyś w tej chwili był sam?*

*Dev spoglądał w jej szare oczy z takim napięciem, jakby kurczowo ścisnął linę ratunkową. O Boże, tak często myślał o Lizzie od tamtej nocy! Od chwili, gdy spostrzegł, jak uparcie toruje sobie drogę do niego w tłumie, zmagaly się w nim sprzeczne pragnienia. Chciał złożyć głowę na jej piersi i poczuć wokół siebie jej miękkie ramiona, a równocześnie znaleźć się jak najdalej od niej. I to natychmiast, zanim rozklei się na*

*oczach wszystkich. Czuł już piekące łzy i ściskanie w gardle.*

*Nieświadoma, że stanowi dla niego zagrożenie, Lizzie spogląda*

*ła na Devlina z taką czułą troską, że jego krucha samokontrola wisiała*

*na włosku. Nie wiadomo dlaczego, sama obecność Lizzie wydawała się*

*gwarancją, że wszystko będzie dobrze. Ale przecież tak nie było! Cóż ta*

*naiwna dziewczyna mogła wiedzieć o okrucieństwie świata?!*

*Za to on dobrze je znał.*

*Śmierć ciotki uprzytomniła mu znów z całą wyrazistością -jak gdyby mógł o tym zapomnieć -  
dlaczego kroczył przez życie samotnie. Dotyk rąk Lizzie Carlisle i jej ujmujący uśmiech działały  
jak sól na świeżą ranę. Nie było dla niej miejsca w jego życiu. Ani teraz, ani nigdy. Dawno*

*już podjął tę decyzję.*

139

*A poza tym nie miał większych nadziei, że przetrwa, gdy dojdzie -*

*do otwartej bitwy z wrogami, czającymi się w pobliżu. Po cóż wiązać ze*

*sobą tę dziewczynę? Nikomu nie życzył niepotrzebnego bólu.*

*Dev odwrócił wzrok i sztywno wysunął rękę z jej uścisku. Pozo-*

*stawiała jeszcze długa kolejka żałobników, z którymi należało wymienić*

*uprzejmości.*

*Spojrzała na tłum czekających i w jej oczach odbiło się zrozumie-*

*nie.*

*- Porozmawiamy później, dobrze? - szepnęła i pogłaskała go deli-!*

*katnie po rękę. - Zafunduję ci kawę w kawiarence na Russell Square!*

*- Nie, panno Carlisle - wykrztusił z trudem. - To niemożliwe.*

*- Dlaczego?*

*Przez dłuższą chwilę nie był w stanie odpowiedzieć.*

*- Lepiej się już nie spotykać.*

*- Ale powiedziałaś, że kiedy będę w Londynie... - zaproponowała cicho, zbita z tropu.*

*Popatrzył na nią bez słowa.*

*Spojrzała, zrozumiała i zdecydowanie potrząsnęła głową.*

*- Nie rób tego, Devlinie! To nie pora na odpychanie przyjaciół! Nie  
powinieneś być sam w takiej chwili.*

*- Przywykłem do samotności.*

*- To ból przemawia przez ciebie, kochany! Ale on minie, przysięgam! To żaden wstyd szukać pomocy u przyjaciół. Jeśli będę ci potrzebna, przyślij wiadomość do Knight House.*

*- Nie będziesz mi potrzebna - rzucił ostrym szeptem i spojrzał jej  
w twarz z gniewną desperacją. - Nie rozumiesz? Nie potrzebuję nikogo.*

*Odejdź stąd!*

*W jej niewinnych oczach błysnęło bolesne zdumienie. Spostrzegł,*

*że przestraszył ją swoją gwałtownością. Kiedy szepnęła ledwo dosłyszalnie: „Przepraszam”,  
odwrócił się i przymknął oczy, czując nienawiść do samego siebie. Zaciśnął szczęki. Dziewczyna  
nie miała za co przeproszać, ale nie ośmielił się tego powiedzieć w obawie, że jeszcze bardziej się  
rozklei. Zapomnij o niej i tyle!*

*Osoby stojące za Lizzie zaczęły na nią napierać. Odsunęła się więc  
i pozwoliła, by fala ludzi uniosła ją jak najdalej od niego.*

*- Proszę przyjąć nasze kondolencje, milordzie.*

140

*Dama w wielkim czarnym kapeluszu wzięła go za rękę, by uścisnąć  
ją z oficjalną uprzejmością.*

*- Dziękuję za przybycie, madame - odpowiedział Dev jak automat.*

*- Wszystkim będzie ogromnie brakowało lady Strathmore.*

*- Bardzo pani łaskawa. Proszę schronić się przed deszczem w kościele.*



*Zwrócił się do następnej osoby i wszystko powtórzyło się zgodnie*

*z rytuałem. Strumień żalobników wypełnił dzielącą ich przestrzeń. Ponad ich głowami Dev spojrzał na Lizzie z tęsknotą.*

*Widział, jak się oddala.*

*Zderzała się z innymi, jakby nie widziała, dokąd idzie. To jej nierozumiejące spojrzenie... Jakby uderzył ją w twarz.*

*A więc wszystko skończone, pomyślał załamany.*

*Wmawiał sobie, że tak będzie lepiej. Miłość to ból. Lizzie Carlisle*

*stała mu się zbyt bliska. Musiał przepędzić ją na cztery wiatry, nim całkiem pozbawi go sił.*

*- Co to za lalunia? - mruknął Quint, podchodząc do Deva.*

*Dev się opanował.*

*- Po prostu nikt.*

*- No, głowa do góry, stary! Za te pół miliona, które ci właśnie spad*

*ło z nieba, znajdziesz sobie mnóstwo podobnych „niktów”. Starczy na*

*cały okres żałoby!*

*Dev zmierzył swego „przyjaciela” spojrzeniem. Trudno się dziwić*

*wielkiemu wulgarnemu Quintowi, który sądził, że śmierć ciotki wcale nie obeszła Devlina i zależało mu tylko na jej pieniądzach. Wszelkie więzi rodzinne były przecież głupotą i sentymentalizmem dla twardych*

*facetów z Klubu Jeźdźców i Woźniców.*

*Kiedy Quint wrócił do Carstairsa i pozostałych, Dev spojrzał ukradkiem w stronę, dokąd odeszła Lizzie. Już jej nie było. W gruncie rzeczy tak było lepiej. Wrogowie nie powinni wiedzieć, że ta dziewczyna stanowiła jego jedyny słaby punkt.*

*Z ciężkim sercem wszedł do mrocznego wnętrza katedry.*

*O Boże, jaka ze mnie idiotka!*

*Skrzyżowawszy ramiona na piersi, Lizzie szła spiesznie ulicą i, walcząc*

*ze łzami, wpatrywała się w pociemniały od deszczu trotuar. W głowie*

nadal czuła bolesny zamęt i z każdym krokiem przeklinała Devlina i siebie. Zaiste, zasłużyła swą przepastną głupotą na ból, który teraz rozdzierał jej serce!

Jak mogła znów popełnić ten sam błąd? Po raz drugi wyobraziła so-

bie, że więź łącząca ją z uroczym hulaką ma dla niego jakieś znaczenie.

Głupia! Jak mogła łudzić się, że połączyło ich coś więcej prócz jej samotności i chwilowego znudzenia rozwiązanego arystokraty.

Nie było najmniejszego powodu, by od tamtej nocy myślał o niej.

Lecz do niedawna w to wierzyła. Teraz wszystko stało się aż nazbyt jasne. Diabłu Strathmore'owi nie zależało na niej ani trochę więcej niż Alecowi!

O Boże, czuła się jak skończona idiotka! Ośmieliła się zaczepić go

w tym jakże ciężkim dla niego dniu. Pewnie z trudem przypomniał sobie, kim była!

I tyle wynikło z bezsensownych próśb lady Strathmore, by po jej

śmierci Lizzie zaopiekowała się Devlinem. Stara dama najwidoczniej zapomniiała, że damy z towarzystwa zrobią to o wiele lepiej.

Lizzie zdołała się jakoś opanować. Dotarła do Knight House w pobliżu Green Park i po cichu wślizgnęła się do wspaniałej rezydencji Hawkscliffe'ów. Właśnie tam, na łonie rodziny Knightów, schroniła się,

kiedy po śmierci lady Strathmore jej willa w Bath została zamknięta. Ze

zwykłą dobrocią i wielkodusznością dawni opiekunowie przyjęli Lizzie pod swój dach.

Co za wspaniały dom! - pomyślała z westchnieniem. Ale nie mój...

Po prostu jeszcze jedno miejsce, gdzie egzystowała na obrzeżu obcej rodziny.

Przybyła tu w nadziei, że okaże się użyteczna, pomagając przy dwuletnim Bobbym, pierworodnym synu Roberta, zwłaszcza że młoda księżna spodziewała się drugiego dziecka. Rychło jednak

*przekonała się,*

*że opieka matki i niani wystarczała w zupełności, więc nie miałyby tu wiele do roboty. A co gorsza, w Knight House zawsze mogła natknąć się na Aleca. Do tej pory jakoś udało się jej go unikać.*

*Najmłodszy z braci Knightów miał luksusową garsonierę na Albany.*

*Ponieważ jednak rodzinna siedziba znajdowała się w pobliżu klubów White'a i Brooke'a, gdzie spędzał mnóstwo czasu, wpadał tu o każdej*

*142*

*porze, zwłaszcza gdy chciał naciągnąć na pożyczkę najstarszego brata.*

*Może tym razem zwróci się do Strathmore'a, gdy znów mu zabraknie grosza? - pomyślała z ironią Lizzie. W końcu Devlin lada chwila wejdzie w posiadanie ogromnej fortuny Żelaznej Damy!*

*Usuając z pamięci obraz obu mężczyzn, Lizzie zdjęła czepek,*

*niemal całkiem zniszczony na deszczu. Rozpinała właśnie płaszcz, gdy dostojny majordomus, Walsh, wkroczył do przestronnego frontowego holu.*

*- O, panna Carlisle! Proszę o wybaczenie, nie usłyszałem, że pani weszła - powiedział serdecznie.*

*Lizzie uśmiechnęła się do wysokiego, postawnego mężczyzny z siwymi bokobrodami.*

*- Nic nie szkodzi, panie Walsh. Potrafię sama otworzyć drzwi.*

*Gdzie się wszyscy podziewają?*

*Pomógł jej zdjąć płaszcz, choć prosiła, by nie robił sobie z nią ceremonii.*

*- Jej książęca mość jest w muzycznym pokoju razem z lady Winterley i...*

- Ciocia Lizzie! - zawołał piskliwy głosik.

- Harry!

Elizabeth rozpromieniła się na widok pędzącego prosto na nią pięciolatka z rozpostartymi ramionkami.

Klan Knightów postarał się - do tej pory - o pięcioro wspaniałych

dzieciaków, które w następnej chwili zgromadziły się wokół Lizzie. Harry zamierzał zaanektować ciocię dla siebie. Ale mały Bobby ciągnął ją za spódnicę władczym gestem, jakby już się domyślał, że będzie kiedyś

jednym z najbardziej wpływowych ludzi w Anglii.

Córeczka Luciena, Pippa, klapnęła u stóp Lizzie i zaczęła radośnie

piszczeć, podczas gdy roczne bliźniaki Damiena przyczółgały się do cioci w rekordowym tempie. Andrew tym razem nieco wyprzedzał Edwarda.

- Odsuńcie się wszyscy od drzwi, bo spod nich wieje! - poganiała

ich Elizabeth, ale całe towarzystwo przesunęło się tylko o kilka kroków,

na środek holu, po czym pociągnęło ciocię na podłogę, obok siebie.

Lizzie zapomniała nad podziw szybko o swym zmartwieniu. Jak

że kochała te dzieciaki! Była w siódmym niebie, bawiąc się z nimi. Ich

143

matki - Bel, Miranda i Alice - zastanawiały się pewnie, gdzie są dzieci;

nianie natomiast radowały się z chwili wytchnienia.

Ostatnią osobą, którą Lizzie spodziewała się ujrzeć w tej chwili, był;

Alec.

Frontowe drzwi otworzyły się i wkroczył do środka. Z rozwianymi

złotymi lokami wyglądał jak zbłąkany archanioł, który zeskoczył z przepływającej w pobliżu chmurki. Na widok Lizzie skamieniał. Potem spostrzegł dzieciaki i spieszenie zamknął drzwi.

Pan Walsh wyciągnął rękę po płaszcz Aleca, ale ten zagapił się na

otoczoną dziećmi Elizabeth. Na mgnienie oka jemu i jej ukazał się obraz

*przyszłości, jaka mogła stać się ich udziałem, gdyby Alec nie zniszczył jej nieodwołalnie. Oboje po raz ostatni widzieli się na weselu Jacindy w lecie ubiegłego roku, a rozmawiali ze sobą jeszcze dawniej.*

*Przedłużające się milczenie przerwał Harry.*

*- Wujek Alec! - Chłopiec skoczył w stronę ukochanego wujka.*

*- Pokuśtaj mnie głową na dół! Pokuśtaj!*

*- Uspokój się, utrapieńcze! - mruknął dobrodusznie Alec, chwytając dziecko za kostki nóg.*

*Harry wydał okrzyk radości.*

*- Pokuśtaj!*

*- Bardzo przepraszamy - wycedził Alec uprzejmie. Po czym pomaszerował do przedpokoju z Harrym, wywijając nim w prawo i w lewo przy każdym kroku. Następnie posadził ostrożnie malca na wielkim fotelu i polaskotał po okrągłym brzuszku. - Dostałeś za swoje, mój panie!*

*Chłopczyk natychmiast zląkł z fotela i rzucił się w pościg za wujkiem, wołając ze śmiechem:*

*- Jeszcze! Jeszcze!*

*- No i zupełnie się rozbestwił! Uspokój się, Harry! - ofuknęła go Lizzie dość łagodnie.*

*- Pippa! - wykrzyknął nagle Alec, wpatrując się z przestraszeniem w coś za jej plecami.*

*Zdumiona Lizzie odwróciła się, on zaś przemknął obok niej i chwycił swą bratanicę, której zachciało się nagle wspinaczki po schodach. Lizzie wstrzymała oddech, przerażona własną nieuwagą, ale Alec ściągnął? już szczęśliwie malucha ze stopni, nim zdążył zawędrować wyżej.*

*- Witaj, słoneczko! Dokąd się wybierasz?*

Ucałował okrytą puszką główkę i podniósł dziecko, tuląc je do piersi. Harry skorzystał z sytuacji, by wspiąć mu się na plecy, chcąc pojeździć na barana.

Alec bawił się z nimi przez chwilę, ale Lizzie nie dała się oczarować tym widokiem, aczkolwiek umiejętność obchodzenia się z dziećmi była jedną z zalet, które najbardziej chwytaly ją za serce.

Wielki świat mógł widzieć w Alecu przywódcę londyńskich hulaków, zajadłego hazardzistę, gotowego podjąć każde wyzwanie i każdy zakład. Towarzystwo mogło drzeć ze strachu przed jego uszczypliwościami

uwagami na temat strojów. Wszystko to było jednak znakomicie graną przez Aleca rolą. Nic dziwnego, zważywszy że jego naturalnym ojcem

był przystojny aktor, jeden z wielu kochanków księżnej Georgiany. Podobnie jak on, Alec potrafił zmieniać się niczym kameleon. Ale w kręgu rodziny malcy garnęli się do niego, wyczuwając natychmiast, że jest jednym z nich.

W głębi duszy był dzieckiem.

- Witaj, Kruszynko! - zwrócił się ze smutnym uśmiechem do Lizzie, gdy podniosła się z podłogi z Edwardem (a może Andrew) w objęciach. - Miło mi znów cię widzieć!

Wzdrygnęła się lekko, słysząc swe dawne, dziecinne przydomko.

Zauważyła, że mała Pippa obserwuje ją z wielkim skupieniem. Kropka w kropkę jak jej sprytny tata, Lucien! W niemądrym strachu, że dziecko wyczuje kłębiące się w niej emocje, Lizzie zdobyła się na uśmiech.

- I nawzajem!

Widząc, że nie grożą mu w tej chwili żadne wymówki - byli w końcu w towarzystwie dzieci - Alec błysnął olśniewającym, zuchwałym uśmiechem.

Lizzie odwróciła wzrok i zacisnęła zęby. Spotkanie okazało się znacznie trudniejsze do zniesienia, niż sądziła. Alec był równie przystojny jak dawniej, choć może odrobinę mniej pewny siebie. Oparła się pokusie

i nie spytała, jak go traktuje lady Champion i czy powróciło wreszcie jego

*przysłowiowe szczęście w grze, czy też nadal przegrywa.*

*Zapadło niezręczne milczenie. Na szczęście, do frontowego holu*

*wtargnęły właśnie młode matki, jedna piękniejsza od drugiej. Bel, Alice*

*i Miranda zgarnęły swoje zbłąkane dzieci i powitały Lizzie ze spokojną radością, cechującą kobiety, które znalazły swoje miejsce w świecie.*

*10 — Ukochana diabła*

*145*

*W chwilę później pojawili się ich mężowie: Robert, Lucien i Damien.*

*Wysocy, przystojni, ciemnowłosi mężczyźni. Emanowała z nich siłą*

*i władczość. Gdy pary małżeńskie czule się witały, Lizzie zrobiło się*

*ciężko na sercu. Jej samotność - podobnie zresztą jak Aleca - nigdy bar-*

*dziej nie rzucała się w oczy.*

*Siłą woli utrzymała przyklejony do twarzy uśmiech. Szybko jednak*

*zorientowała się, że dłużej tu nie wytrzyma. Nawet jeśli spotkanie z Ale-*

*kiem nie było zbyt krępujące, zanadto raniło ją ciągle uświadamianie*

*sobie, że nie ma i nigdy nie będzie mieć takiej rodziny. A poza tym nie*

*powinna pozostawać tu dłużej, powodując rozdzwięk między Alekiem*

*i krewnymi. To przecież jego najbliżsi! Byli na niego wściekli za to, co*

*wyprawiał zeszłego lata, i opowiedzieli się jak jeden mąż po jej stronie.*

*Teraz znowu się zjawiała, ale wcale nie chciała rozniecać na nowo dawnych waśni. Najlepiej będzie, jeśli się stąd wyniesie!*

*Jeszcze tego samego wieczoru powiadomiła panią Hall, prowadzącą*

*w Islington, niedaleko Londynu, szkołę dla dziewcząt, że przyjmuje posadę, którą jej*

*zaproponowano. Oprócz pensji, Elizabeth miała otrzymać mieszkanie i całkowite utrzymanie.*

*Następnego dnia zjawiała się dość wcześnie, pełna energii, z dwiema*

*walizami w akademii pani Hall dla młodych panien.*

*Dłuższą chwilę po odjeździe wynajętego powozu Lizzie stała na polnej drodze, wpatrując się w piękny stary budynek z czerwonej cegły, w którym mieściła się szkoła. Otoczony był białym ogrodzeniem. Ten*

*sam zielony bluszcz piął się po ścianach. Te same białe kolumny podtrzymywały portyk. Wielka stara morwa stała niczym wartownik tuż za rogiem domu, a jeszcze starszy dąb ocieniał dróżkę, wiodącą do głównego wejścia.*

*Obie z Jacindą uczyły się tu przez dwa lata. I choć córka księcia okazała się psotną buntowniczką i w ogóle skaraniem boskim dla pani*

*Hall, Lizzie wkrótce wyróżniła się jako wzorowa uczennica. Miło jej było znaleźć wreszcie miejsce, gdzie mogła zabłysnąć, choć nie posiadała majątku ani wysokiej pozycji.*

*O tak! - myślała, wciągając głęboko powietrze. Mogę być niemal*

*szczęśliwa w tym bezpiecznym kobiecym świecie. Żadnego londyńskiego hulaki w pobliżu! Nic się tu nie zmieniło, a przy obecnej zmienności świata to prawdziwa ulga.*

146

*W pewnym sensie czuła się na właściwym miejscu. Jak długo tu wytrzyma, zanim obudzi się w niej niepokój? Czas pokaże.*

*Odsunęła od siebie dręczące myśli i stanowczym krokiem ruszyła w stronę szkoły. Czuła jednak wstyd, jakby uciekała przed czymś, czemu należało stawić czoła.*

*Raz jeszcze, jak to kiedyś określiła lady Strathmore, Lizzie skryła się w zapomnianym przez wszystkich kącie.*

*Remont pawilonu został nareszcie ukończony. Wszystko było gotowe.*

*Odpowiedzi, których Devlin poszukiwał, znajdowały się w zasięgu ręki.*

*Tego wieczoru, jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, uzyska wstęp do zamkniętego kręgu. Zostanie członkiem Klubu Jeźdźców i Woźniców.*

*Teraz nie było już odwrotu.*



*Księżyc w pełni wisiał nad bagnami, gdy Dev stał przed pawilonem na szczycie schodów. Palił bez pośpiechu cygaro i czekał cierpliwie na przybycie wrogów.*

*Zorientował się natychmiast, że przekroczyli masywną bramę, gdyż w spokojnej ciszy wiosennej nocy wychwycił daleki tętent kopyt. Jeźdźcy zbliżali się coraz bardziej.*

*- Dopilnuj, żeby wszystko było gotowe - mruknął do stojącego*

*w pobliżu majordomusa. Nie odrywał oczu od zalanego księżycowym blaskiem podjazdu. - I zamknij drzwi!*

*- Tak jest, milordzie.*

*Majordomus skłonił się, zamknął fantazyjne podwójne drzwi i pośpieszył, by po raz ostatni upewnić się, czy wszystko przygotowano jak należy.*

*Oczy Deva oswoiły się z księżycową poświatą i z blaskiem kilku płonących na dziedzińcu pochodni. Dostrzegł pierwszego z jeźdźców, który przemierzał galopem drogę.*

*Za nim podążała reszta bractwa, pędząc na łeb, na szyję. Białe świat*

*ło księżycyca połyskiwało na powierzchni eleganckich faetonów, czarnych*

*lakierowanych karet, powozów wyścigowych, wypieszczonych kabrioletów. Wszystkie ekwipáže ciągnęły najlepsze konie, jakie można było dostać, nie licząc się z kosztami.*

*Dev ukrył nienawiść i, wywijając od niechcienia ulubioną laseczką*

*z ukrytym ostrzem, zszedł ze schodów. Przygotowywał się do odegrania*

147

*roli mistrza ceremonii podczas tej nocy, która miała dla niego decydują-*

*ce znaczenie. Bóg świadkiem, że drogo za to wszystko zapłacił!*

*Przestał odsyłać swe rachunki do willi ciotki Augusty po tym, jak*

*odwiedził ją przed kilkoma tygodniami. Przekonawszy się, że panna*

*Carlisle śledzi baczny wzrokiem jego wydatki, nie chciał pogarszać swej opinii dowodami nieustającej rozrzutności. Zamiast tego rachunki gromadziły się teraz w coraz większy stos na jego biurku i czekały na dzień, kiedy majątek ciotki oficjalnie przejdzie w jego ręce. Odczytanie testamentu miało się odbyć za dwa tygodnie w schludnej, niewielkiej kancelarii Charlesa Beechama. O ile Dev mógł się zorientować, chłopcy z Klubu Jeźdźców i Woźniców emocjonowali się jego nową fortuną jeszcze bardziej niż on sam.*

*Dotarłszy do podnóża wielkich schodów, Devlin powitał wesoło nowo przybyłych. Dwudziestu ubranych w liberię stajennych czekało, by zająć się końmi.*

*Wkrótce potem cały dziedziniec zaczął się zapelniać efektownymi ekwipażami, z których wysypywali się najbardziej osławieni londyńscy birbanci. Rozglądali się dokoła z zaciekawieniem, nieco podejrzliwie mierząc okiem niezwykle otoczenie. Devlin uniósł rękę w geście kordialnego powitania.*

*Julian, lord Carstairs, wyskoczył lekko ze swego sportowego powozu i zmierzył pawilon wyniosłym spojrzeniem. Ze swymi jasnymi włosami i delikatnie rzeźbionymi rysami wytworny hrabia wyglądał na trzydzieści lat, choć miał już czterdzieści. Był zgrabny, szczupły i nienagannie ubrany. Towarzyszył mu tego wieczoru, jak zazwyczaj, przystojny młodzieniec, znany pozostałym członkom klubu jako Johnny.*

*Devlin zauważył, że Johnny był oddanym i zazdrosnym kochankiem.*

*Temu młodemu człowiekowi o płomiennych oczach ani trochę nie podobał się sposób, w jaki Carstairs niekiedy uśmiechał się do Deva.*

*Dog Berkeley, Nigel Waite i Raskell Bainbridge wśród wybuchów*

śmiechu wygramolili się z wielkiego czarnego powozu, za nimi zaś wysiadł niezwykle chudy doktor Eden Sinclair ze swą nieodstępną czarną torbą. Wyglądało na to, że usłużny doktorek zaaplikował każdemu z nich swoją specjalną iniekcję na zapleczu „piekielka”, które właśnie opuścili.

Bystre spojrzenie Deva przeniosło się na niezwykle otyłego sir

Tommy'ego Fane'a. Był finansistą bez skrupułów, który zdobył wysoką

148

pozycję dzięki okazałym dotacjom na rzecz partii torysów, potem zaś zmusił swoich przyjaciół z rządu, by wystarali się dlań o tytuł baroneta. Lekki powozik, którym Fane przyjechał, chwiał się niepokojąco, gdy grubas z trudem wydostawał się z niego, przeklinając, ile wlezie. Wielki Tom był sekretarzem klubu i najbogatszym z jego członków, choć Carstairs również dysponował ogromnym majątkiem.

Jako następny przyłączył się do nich amator pojedynków sir Torquil,

zwany Krwawym Stainesem. Szedł dumnym krokiem, gładząc swą niewielką, diaboliczną bródkę. Dołączył do niego Wielebny Zgnitek, czyli eks-duchowny, James Oakes, autor poematu pornograficznego, rozchwytywanego teraz we wszystkich męskich klubach przy St. James's.

Pijany Oakes, posuwający się niepewnym zygzakiem, o mało nie wpadł pod zgrabną kariolkę, która nadjeżdżała z tyłu. Na szczęście Staines chwycił go za kołnierz i wyciągnął niemal spod kół.

Ledwo kariolka się zatrzymała, wyskoczył z niej młody Dudley, zwany Głupkiem, pełen szczenięcego entuzjazmu.

- Dev! Hallo, Dev! Cześć, chłopaki!

Dev skłonił głowę.

- Witamy waszą książęcą mość.

*Naiwny młody książę był jedyną osobą, co do której Devlin nie żywił podejrzeń. Biedny chłopak nie miał pojęcia, z jakimi podlecami się zadaje. Opiekował się nim kuzyn, zimny i wyrachowany Alastor Hyde,*

*który powoli, ale systematycznie uszczuplał imponującą fortunę beztroskiego chłopca.*

*Jako ostatni zjawił się Quint Barnes, baron Randall. Wyskoczył ze*

*swego faetonu i z butelką w rękę, z niedopałkiem cygara w zaciśniętych zębach, zmierzał do pawilonu pewnym krokiem. Wszyscy rozstę-*

*powali się, by go przepuścić. Lamignat Randall, jak lubił być nazywany,*

*miął zniewalający uśmiech i dużo męskiego, nieco wulgarnego uroku.*

*Upodobał sobie Strathmore'a ze względu na majątek, który Dev właśnie*

*odziedziczył, a także za jego zamiłowanie do niebezpiecznych przygód.*

*- No cóż, Strathmore - wycedził Quint, gdy wszyscy zgromadzili*

*się u podnóża schodów - ściągnąłeś nas tutaj. Przyznaję, że jestem zaintrygowany. Co to takiego?*

*Dev odczekał chwilę dla większego efektu.*

*- Chodźcie za mną - mruknął z przebiegłym uśmiechem.*

149

*Ruszył przodem po schodach jak szczurołap z bajki, wiodący za sobą*

*stado urzeczonych gryzoni. Znalazłszy się na szczycie, podszedł do podwójnych drzwi pawilonu i otworzył je na oścież.*

*Rzęsiste światło buchnęło z wnętrza domu, wabiąc wszystkich do*

*środka. Zdumieni i zaskoczeni utracjusze stłoczyli się w ośmiokątnym*

*foyer z czerwonym sufitem i złoceniami. Wewnętrzne drzwi, prowadzące do rozmaitych galerii i salonów, były szczelnie zamknięte. Zdawało się, że sama noc wstrzymuje dech.*

*Devlin wszedł na ostatku i zatrzasnął drzwi wejściowe. Kiedy stanął*

*pośrodku, dostrzegł swe odbicie w otaczających ich zewsząd lustrach*

*i zdziwił się w duchu, że tak przekonująco wcielił się w rolę upadłego*

*demona w gronie innych potępieńców. Nawet diabelskie błyski w oczach*

*były niepokojąco autentyczne. Cóż zresztą dziwnego? Rola, którą teraz grał, była dokładnym odbiciem tego, czym stałby się z całą pewnością, gdyby ciotka Augusta przed laty nie wysłała go w świat.*

*I właśnie dlatego wzbudzał w nich zaufanie.*

*Carstairs, mijając Deva, zmierzył go spojrzeniem pełnym aprobaty.*

*Dev rzucił mu zagadkowy uśmiech. Gotów był posłużyć się każdym sposobem, byle zyskać odpowiedzi na dręczące go pytania.*

*Oparł się o podwójne drzwi z ciemnego mahoniu i zwrócił się do kompanów z cieniem uśmiechu na wargach:*

*- Dżentelmeni, milordowie, doborowe łotry! Od pewnego czasu*

*wiecie, jak bardzo pragnę wejść w skład waszego szacownego grona.*

*Ponieważ spełniam pierwszy z podstawowych warunków, pragnę teraz ofiarować skromny dar na rzecz klubu, a zwłaszcza jego starszyny i założycieli. Niech wam służy i zaspokaja wasze potrzeby! - Przesunął*

*wzrokiem po ich twarzach, uśmiechając się chytrze. Znał ich na wylot.*

*- Mam nadzieję, że mój dar przypadnie wam do gustu.*

*- Brawo! - mruknął ktoś i zaśmiał się z cicha.*

*Pojawiało się coraz więcej szerokich uśmiechów. Czuli, że szykuje się pierwszorzędna hulanka.*

*- A zatem, moi panowie - ciągnął gładko Dev - bez dłuższych*

*wstępów pozwólcie, że wam zaprezentuję nową jaskinię wszelkich*

*uciech, wasz prywatny raj rozkoszy... -Jak doświadczony aktor nie lękał się przesady. - Czcigodni jeźdźcy i woźnice! Ofiarowuję wam nową!*

*siedzibę klubu!*

*Stuknęła laseczką w mahoniowe drzwi. Otworzyły się.*

*Członkowie klubu z otwartymi ustami gapili się na wnętrze pawilonu.*

*Nikt się nie poruszył ani nie odezwał.*

*Quint pierwszy przerwał ciszę, wybuchając niskim, serdecznym*

*śmiechem, który coraz bardziej przybierał na sile.*

*- Devlin, ty zwariowany sukinsynu!*

*Trzepnąwszy Deva żartobliwie po policzku, krzepki baron wyminął*

*go i przez otwarte drzwi wprowadził pozostałych do środka.*

*Szli za nim, zerkając nieufnie na otaczające ich zewsząd barwne malowidła i kolumny. Orkiestra zagrzmiała natychmiast. Melodia rozniosła się echem po moczarach. Atmosfera stała się naprawdę gorąca, gdy wybiegły im naprzeciw ładacznice, przebrane - bardzo oszczędnie — za*

*leśne duszki, ze skrzydełkami ze srebrnej siatki, z girlandami bluszczu*

*we włosach.*

*Chichoczące dziewczęta podawały gościom kielichy z winem i wa-*

*biły ich do wnętrza pawilonu. Na górze zaś, w każdej z sal kobiety były*

*inaczej odziane, zgodnie ze stylem, w jakim umeblowano pomieszczenia. Ten znakomity pomysł podszeptała Devlinowi Bezečna Mamuška, rajfurka najbardziej ceniona przez londyńskich rozpustników.*

*Dev uśmiechał się pobłaźliwie do dziewcząt. Postępował za wszystkimi, z rękoma założonymi za plecy i trzymał się nieco na uboczu, bardzo z siebie zadowolony. Skrzywił usta w lekkim uśmiechu, gdy ujrział*

*szczerą radość Wielkiego Toma na widok stołów, suto zastawionych oraz*

*butelek najwyborniejszego porto i kseresu.*

*W chwilę później Quint wkroczył buńczucznie do jadalni i powitał*

*Devlina wybuchem śmiechu.*

*- A, tu jesteś, szczywany lisie! - Objął Deva za szyję i pociągnął go*

*w stronę trunków. - Muszę przyznać, Strathmore, że życie stało się*

*znacznie bardziej interesujące, odkąd mamy cię pod bokiem! Innym*

*coś podobnego nie przyszloby do głowy! Nudziarze i tyle. Ale z ciebie, chłopcze, prawdziwy skarb! - Trzepnął go po plecach. - J a k na ciebie patrzę, przypomina mi się własna młodość!*

*- Doprawdy? - odparł Dev, niezbyt zachwycony tym porównaniem. Zmusił się do uśmiechu.*

*Quint skinął na służącego w liberii, by napelnił im kieliszki.*

151

*- Kiedy poznam ostateczną decyzję klubu? - upomniał się Dev.*

*- Nie tak szybko, stary! - odparł Quint z cynicznym błyskiem*

*w oku. - Nie spełniłeś jeszcze trzeciego warunku!*

*- A mianowicie?*

*Quint się roześmiał. Dev spojrział na niego pytająco.*

*- Wkrótce sam się przekonasz. No to nasze kawalerskie!*

*- Na zdrowie! - mruknął Dev trochę niepewnie, po czym obaj wypili jednym haustem.*

*Godzinę później Quint zgromadził wszystkich w największym z salonów. Podłogę pokrywał szkarłatny dywan, od sufitu zwieszały się draperie ze złocistego jedwabiu jak w namiocie sułtana. Kiedy zeszli się już*

*wszyscy członkowie klubu, Quint wystąpił na środek.*

*- Zwołujemy walne zebranie?-ryknął.*

*Kompania podniosła radosny wrzask, stukając kieliszkami o stoły.*

*Z szerokim uśmiechem Quint zwrócił się do Deva.*

*Ten zauważył szydercze uśmieszki i chytre spojrzenia. Zaczął się zastanawiać, w co się tym razem wpakował.*

*- Z biegiem lat w nasze szeregi wstąpiło wielu nowych członków*

*- zwrócił się do zebranych Quint. - Jak wiecie, jednym z warunków*

*przyjęcia jest cenny dar dla naszego bractwa. Ty, Strathmore, popisałeś*

*się dziś pod tym względem aż miło! Brawo dla Diabła! - dodał, unosząc*

*kieliszek.*

*- Brawo, brawo! Porządny chłop!*

*- Zdrowie Strathmore'a!*

*Dev skłonił się z lekką ironią.*

*- A zatem, biorąc pod uwagę waszą opinię - kontynuował Quint, uniesieniem ręki uspokajając pozostałych - możemy ci już odpowiedzieć, Diable. Jesteś jednym z nas!*

*- Hurra! - wrzasnął młody Dudley.*

*- To cholernie dobra nowina - przyznał Dev i odetchnął z ulgą.*

*- Pozostaje jeszcze jeden mały sprawdzian - odezwał się Carstairs \ z tajemniczym uśmiechem.*

*Quint zaśmiał się chrapliwie i dał znak kilku członkom klubu. Wybiegli z pokoju.*

*Ironiczny uśmiech Deva zgasł, gdy wciągnęli do salonu przerażoną wiejską dziewczynę. Nie miała więcej niż piętnaście lat.*

152

*Szamotała się, krzyczała i próbowała uwolnić z rąk trzymających ją mężczyzn. Bezskutecznie. W końcu dała za wygraną i zwiesiła głowę, zalewając się łzami.*

*W sercu Devlina kipiał coraz straszliwszy gniew.*

*- Ma na imię Susannah - poinformował go Quint, spoglądając na dziewczynę lubieżnym wzrokiem. - Schwytaliśmy ją w Hertfordshire*

*wczoraj po południu, jak gnała stadko gęsi na targ. Apetyczna, nieprawdaż? Pulchna, mięciutka i drżąca ze strachu. Takie właśnie lubię! - Quint wybuchnął śmiechem. - Chciała sobie z nami troszkę pożartować, ale*

*dostała więcej, niż się spodziewała. Prawda, Suzy?*



*Nieszczęsna ofiara się rozszlochala.*

*- Trzeba cię naznaczyć krwią, drogi chłopcze, jak na polowaniu!*

*- powiedział cicho Carstairs.*

*Dev spojrzal na niego. Nie zdołal całkowicie ukryć swej reakcji; był jak ogłuszony.*

*- Weź tę małą, Strathmore - mruknął Quint, spoglądając na Deva.*

*W jego oczach było wyzwanie. - Weź i rozdziewicz!*

*Devlin rozejrzal się po obecnych. Mieli zaczerwienione twarze i rozgorączkowane oczy. W powietrzu wisiało, niczym miecz Damoklesa, niewypowiedziane pytanie: „Jesteś jednym z nas, czy nie?”*

*- No więc, jak grzeszny jesteś, Diable? - zapytał Carstairs.*

*Dev spojrzal na przerażoną dziewczynę. Prawie dziecko!*

*Miał zdeflorować dziewicę.*

*Psiakrew! Że też się tego nie domyślił!*

*Odbieranie cnoty niewiniątkom stanowiło przecież ulubioną rozrywkę mężczyzn z jego sfery, podobnie jak wyścigi w Ascot. Zazwyczaj jednak były to młode stworzenia z dzielnic nędzy, które sprzedawały*

*się chętnie w nadziei na całkiem intratne zajęcie - dziwki obsługującej*

*bogatyh londyńczyków. Ale to biedactwo, oszukane i uprowadzone, zapewne nigdy jeszcze nie było w wielkim mieście. I nie miało pojęcia, że są na świecie tacy podli ludzie. Boże, jak on ich nienawidził!*

*Broda jej drżała, ale była zbyt przerażona, by płakać. Choć teraz*

*blada, wyglądała na krzepką wieśniaczkę z szopą rozwichrzonych rudoblon*

*loków, z buzią jak jabłuszko i z czystymi piwnymi oczyma. Przypominały Devlinowi oczy przerażonego cielęcia, które czuje, że prowadzi je na rzeź.*

*żeby się opanować. Wiedział, że mała może wyjść z tego cało tylko wtedy, gdy on pozornie dostosuje się do żądań bractwa. I to z entuzjazmem!*

*Największe niebezpieczeństwo groziło im obojgu, gdyby nie odegrał przekonująco roli gwałciciela.*

*- Weź ją, Dev! - nalegał szeptem Quint, uśmiechając się lekko. - Je*

*śli tego nie zrobisz, zapomnij o naszym klubie! Jeżeli jej nie weźmiesz*

*- dodał jeszcze - zrobię to ja!*

*Susannah usłyszała te słowa i krzyknęła ze strachu. Mężczyźni skwitowali to śmiechem. To wyrwało Deva z odrętwienia. Włączył się zręcznie do gry, parskając urągliwym śmiechem i buńczucznym krokiem ruszając ku dziewczynie.*

*- Czuję, że mi się to spodoba! Ależ mnie zaskoczyliście, ale jeśli to*

*ma być sprawdzian... - wycedził - proszę bardzo, ustawiajcie poprzeczkę jak najwyżej! - Poklepał dziewczynę po puciołowatej buzi. - No, grubasku! - powiedział pobłażliwym tonem. - Nie stanie ci się żadna*

*krzywda! Spodoba ci się to tak samo jak mnie, słowo daję!*

*Spojrzeniem nakazał trzymającym dziewczynę, by ją puścili.*

*Gdy tylko odsunęli się od niej, rzuciła się do ucieczki. Dev chwycił*

*ją w pasie i przycisnął do siebie. Był wściekły, że musi napędzić dziewczynie strachu, ale wiedział, że trzeba dać im dobre przedstawienie, inaczej nabrałiby podejrzeń i nie zostawiliby ich sam na sam.*

*- Może lepiej zrobić to przy świadkach - zaproponował Quint.*

*- Czyżbyś chciał się czegoś ode mnie nauczyć? - odparował Dev.*

*Kilku mężczyzn roześmiało się na ten bezczelny żart. - Bez obawy, moi*

*panowie! - zapewnił ich. - Dam sobie radę z tym pączuszką w pojedynkę!*

*- Chcemy mieć dowód, że warunek został spełniony.*

*Carstairs, oparty o ścianę w eleganckiej pozie, z rękoma skrzyżowanymi na piersi, mierzył go zimnym, badawczym wzrokiem.*

*- Będziecie mieli dowód! - Szorstkim ruchem odchylił dziewczynie głowę do tyłu. - Postaramy się o*

*to. Prawda, złotko?*

*Pocałował ją w szyję.*

*Susannah usiłowała go odepchnąć. Bez ostrzeżenia przerzucił ją sobie przez ramię, ku uciesze wszystkich mężczyzn. Jeszcze większy*

154

*śmiech gruchnął, gdy przerażona dziewczyna znów zaczęła się szamotać.*

*- Au! Uspokój się, do diabła! - huknął dobrodusznie, gdy kopnęła*

*go w żebra. Potem trzepnął ją po okrągłych pośladkach i wyniósł na korytarz. - Bądź cicho! - poleciał dalej, otworzywszy drzwi do jednego ze słabo oświetlonych pomieszczeń. Rozejrzał się podejrzliwie po pokoju.*

*Były tam szkarłatne ściany i wielkie łóża, pełne czarnych, atlasowych poduszek. Do przykrycia służyło sobolowe futro.*

*Dobry Boże! Ileż moich pieniędzy poszło na takie niegustowne dekoracje! Cały czas słyszał szloch Suzy.*

*- Proszę mi nie robić krzywdy! Niech się pan zlituje! Jestem porządną dziewczyną...*

*- Uspokój się, na litość boską! Nawet cię nie tknę - szepnął, wchodząc do wnętrza okropnego pokoju i zrzucając małą z ramienia na łóżko.*

*Natychmiast skuliła się w najdalszym kącie w nadziei, że mu umknie.*

*Dev uniósł oczy do nieba, pospiesznie wrócił do drzwi i zamknął je na klucz. Przez chwilę nadstuchiwał, czy ktoś nie podkrada się z drugiej strony. Potem odwrócił się i wykrzywił groźnie, wściekły na sytuację, w jakiej go postawiły te bydlaki.*

*- Proszę mnie wypuścić! Nie robić mi krzywdy! Chcę do domu...*

*- Może się zamkniesz choć na chwilę, żebym mógł zebrać myśli?!*

*Zamilkła natychmiast i wpatrywała się w niego pustym wzrokiem.*

*- Nawet cię nie tknę. Słowo honoru!*

*- Ale pan mnie pocałował i mówił, że...*

*- Zrobiłem to na pokaz! - wyjaśnił szorstkim szeptem. - Trzeba*

*ich było oszukać. Inaczej upieraliby się, żebym to zrobił przy świadkach.*

*- Ale...*

*- Mam już kobietę, Susannah. Jak mi się zbiera na amory, to idę*

*do niej. A z ciebie jeszcze dzieciak! Ani myślę cię tknąć! Wiem, że jesteś przestraszona, ale postaraj się opanować. Nazywam się Strathmore, lord*

*Strathmore, i ręczę ci honorem, że wrócisz bez szwanku do swojej rodziny.*

*Wzmianka o rodzinie trafiła jej widać do przekonania.*

155

*- Mówili, że pochodzisz z Hertfordshire. Czy to prawda?*

*Skinęła głową z niepokojem.*

*- Jak się nazywa twoja wieś?*

*- Stevenage...*

*- Znakomicie! Przy odrobinie szczęścia wrócisz do Stevenage, zanim koguty zaczną piąć. Ale musisz mi pomóc!*

*- Jak?*

*Ściągnął wargi i rozejrzał się po pokoju, pospiesznie obmyślając*

*plan działania. Jego uwagę przykuł pusty kieliszek, który zostawiła jedna*

*z dziwek, sądząc ze śladu szminki na szkle.*

*- Masz jęczeć - powiedział nagle - i trząść łóżkiem.*

*- Co takiego?!*

*- To, co słyszysz.*

*Owinął kieliszek w surdut, żeby nie było słychać brzęku szkła, po*

*czym stanął na nim. Schylił się, rozwinął surdut i, wybrawszy spory od*

łamek, przyglądał mu się przez chwilę. Ściągnął koszulę przez głowę, nie zważając na przestrach dziewczyny.

- Co pan...

Głos się jej załamał.

Dev odłamkiem szkła przeciął sobie skórę na lewym boku.

- Oni łakną krwi, Susannah - wyjaśnił przez zaciśnięte zęby. - Ale twojej nie dostaną!

Miał nadzieję, że te dranie dadzą się nabrać. Gdyby domyślili się prawdy, Devlin nie wątpił, że zarówno Suzy, jak on znaleźliby się na dnie trzęsawiska.

*Carstairs czekał, aż Strathmore upora się z trzecim, niezbędnym do przyjęcia go w poczet klubu warunkiem. Nie zwracał uwagi na to, że*

*Johnny oparł się biodrem o szeroką, zwiniętą poręcz kanapy i pochyła*

*się ku niemu, głaszcząc go po włosach i szepcząc mu do ucha, czym mogliby się zająć w rzymskiej komnacie. Hrabia nie starał się nawet ukryć znużenia zaborczym młodym kochankiem, choć szkolił Johnny'ego*

156

*od dzieciństwa wyłącznie z myślą o własnej przyjemności. W tej chwili*

*znacznie bardziej interesowało go, kiedy Strathmore wynurzy się z pokoju razem z dziewczyną. Przebywali tam niemal od godziny. Od czasu do czasu dało się stamtąd słyszeć jęki i trzeszczenie mebli.*

*- Tak, tak!*

*- W porządku, Suzy. Nie będę ci skąpił.*

*- Och, milordzie, proszę!*

*- No, no! Pewni jesteście, że ta dziewczucha była dziewicą? - spytał*

*z pełną gębą Wielki Tom znad ogromnej porcji smakołyków.*

*Alastor mądrze pokiwał głową.*

*- Bezecna Mamuśka ręczyła za to.*

*- Pierwszy raz słyszę, żeby dziewica tak się zachowywała - zauwa*

*żył Wielebny Zgnilek. - Żadnej z moich się to nie zdarzyło!*

*- Co innego ty, a co innego Diabeł Strathmore - odezwał się Quint.*

*Leśna nimfa, którą piastował na kolanach, obejmowała go rękoma i nogami.*

*Wszyscy się roześmiali.*

*- Do licha! Widocznie ma naprawdę bajeczne podejście do kobiet!*

*- oświadczył z szerokim i niezbyt mądrym uśmiechem młody Dudley.*

*- Bo ty je za bardzo popędzasz, Oakes - pouczał go Quint. - Nie*

*żałuj czasu, a zrobią wszystko, co zechcesz!*

*- Od kiedy z ciebie taki ekspert? - odciął się Oakes.*

*Carstairs zachowywał milczenie, nie zwracając uwagi na ich przekomarzania. Wpatrywał się w zamknięte drzwi. Był niemal boleśnie pobudzony.*

*Jego wyobraźnia bez trudu wyczarowała wizję uwiedzenia, które*

*dokonywało się w zamkniętym pokoju. Te obrazy podniecały go nieskończenie bardziej niż delikatne, nagłace, zbyt dobrze znane zaczepki Johnny'ego. Wrócił pamięcią do odległej nocy, kiedy omal nie uwiódł*

*młodziutkiego Strathmore'a. Był pewny, że tamten nie zachował tego*

*w pamięci.*

*Przed dziesięcioma laty Carstairs zdołał otrząsnąć się z koszmarnych*

*wspomnień o pożarze, ale półtora roku po tej tragedii w towarzystwie*

*pojawił się Strathmore - dziewiętnastoletni, przepiękny i kompletnie*

*zagubiony. Już jego zapierająca dech uroda wystarczyłaby, żeby przyciągnąć oko hrabiego. Świadomość straszliwego cierpienia, które popychało 157*

*młodzieńca do dzikiego rozpasania, oraz to, że sam częściowo się do*

*tego nieszczęścia przyczynił, sprawiła, iż Carstairs skupił na chłopcu całą swą uwagę.*

*Od początku czuł, że coś go łączy z młodym Strathmore'em, choć*

*oficjalnie jeszcze się nie poznali. Z bezpiecznej odległości obserwował*

*każde posunięcie młodego hulaki z fascynacją tym większą, że zabarwioną poczuciem winy. W jakimś stopniu pragnął ukoić ból, który spowodował. Mając jednak zbyt wiele do ukrycia, nie ośmielił się zbliżyć do wicehrabiego.*

*I wówczas pewnej nocy, po kawalerskim przyjęciu u ich wspólnego znajomego, hrabia natknął się na młodego Deva zupełnie samego.*

*Pijany do nieprzytomności i piękny jak Narcyz leżał na zimnych kamiennych płytkach w oranżerii, tuż obok prószącej nań drobniutkim deszczem fontanny.*

*Po całonocnych pijackich szaleństwach młodzieniec zerwał fular,*

*rozpiął koszulę i opryskał wodą twarz i gładką, muskularną pierś w da-*

*remnej próbie odzyskania przytomności. Carstairs ujrzał leżącego i był*

*bliski łez na widok nieszczęścia, jakie ściągnął na tego chłopca. Pamiętał, że przysiadł wówczas na kamiennym obramowaniu fontanny, a chłopak*

*spął u jego stóp.*

*- Devlinie - powiedział do niego miękko. - Chcesz, żebym cię odwiózł do domu?*

*Z trudem otworzył oczy. Głos miał bełkotliwy.*

*- Nie, dziękuję... Tutaj się prześpię.*

*Carstairs lekko się uśmiechnął. Pragnął dotknąć chłopca.*

*- Wiesz, kim jestem?*

*- Nie... Jestem urznięty w trupa.*

*- Wiem, wszystko w porządku. Nazywam się Carstairs - powiedział uspokajającym tonem. - Pewnie jutro nie będziesz tego pamiętał, ale gdybyś kiedykolwiek potrzebował pomocy, możesz na mnie liczyć.*

*- Co takiego? - wymamrotał Dev, po czym odwrócił się i znowu*

*zasnął na twardych płytkach.*

*Carstairs siedział tam prawie kwadrans, wpatrując się w niego i zmagając z pragnieniem pogłaskania gładkiej jak jedwab piersi. Ograniczył*

*się jednak do przesunięcia końcami palców po chłopięcej grzywie czarnych włosów.*

158

*Potem, obolały z pożądania, odszedł. Zawsze lubił ryzyko, ale wtedy*

*bał się panicznie, że wielki świat dowie się o jego skłonnościach i wyrzeknie się go, toteż ukrywał swe popędy. Tak strasznie się tego obawiał, że gotów był rozpętać piekło na ziemi, byle prawda nie wyszła na jaw.*

*W końcu, po latach, uświadomił sobie, że i tak wszyscy wiedzieli*

*o jego upodobaniach i nikogo to nie obchodziło. Zrozumiał wreszcie,*

*że tytuł i majątek stanowią wystarczającą ochronę przed straszliwymi*



*prawami, które kazaly takich jak on karać śmiercią. I choć był zblazowany, nie mógł jakoś przełknąć gorzkiej ironii tego odkrycia. Po straszliwej zbrodni, której był motorem, ubzdurał sobie, że jedyną szansą ocalenia*

*jest Dev. Tylko ten chłopiec, którego tak straszliwie skrzywdził, mógł mu przynieść wybawienie.*

*Teraz, gdy Strathmore powrócił, Carstairs znów go pragnął.*

*Co więcej, spełnienie jego marzeń nie wydawało mu się już tak*

*nierealne. Miły uśmiech Deva niemal sugerował, że dyskretne zaloty*

*Carstairsa sprawiają mu przyjemność. Ręka hrabiego lekko zadrżała,*

*gdy podnosił kieliszek do ust. Johnny ni stąd, ni zowąd wymamrotał*

*coś niemiłego i odszedł, rzucając mu z drugiego końca pokoju urażone spojrzenia. Potem dołączył do kilku leśnych nimf w żalosalnej próbie wzbudzenia zazdrości w Carstairsie.*

*Ponieważ Johnny'emu nie brakowało wzrostu ani urody, dziwki*

*były zachwycone. Hrabia uśmiechnął się pogardliwie. Wreszcie chłopak*

*znalazł sobie odpowiednie towarzystwo! Z niesmakiem i rozbawieniem*

*jednocześnie Carstairs przyglądał się, jak jego młody kochanek robi*

*z siebie głupca. Wtem Staines podszedł do niego sztywnym krokiem,*

*pełen napięcia i nieufny jak zawsze.*

*Na Jowisza! Ten osławiony amator pojedynków jest jak pistolet*

*z odwiedzionym kurkiem, w każdej chwili może wypalić, pomyślał*

*Carstairs ze znużeniem. Na szczęście przez te wszystkie lata nauczył*

*się, jak sobie z nim radzić. Prawdę mówiąc, umiał sobie poradzić z nimi*

*wszystkimi.*

*- Dobry wieczór - wycedził. - O co chodzi, Torq?*

*- Nie podoba mi się to!*

*- Co takiego?*

- *To miejsce!* - warknął. - *Coś mi tu śmierdzi.*

- *O czym ty mówisz?*

159

- *To zasadzka. Czuję to!*

- *Och, Staines, znowu zaczynasz? Już o tym rozmawialiśmy.*

- *Obaj jesteście ślepi, ty i Quint! Strathmore wie, powiadam ci!*

*Bawi się nami jak kot myszą. Pozwólcie mi skończyć z nim, zanim zacznie się mścić! Dla mnie to nic wielkiego.*

- *Ależ on o niczym nie wie - uspokajał go hrabia.*

- *Owszem, wie! I mogę to udowodnić. Chodź ze mną, jest tu coś, co powinienś zobaczyć. I Quint też!*

- *Cóż takiego?* - spytał Carstairs z powątpiewaniem.

*Nie miał ochoty na przechadzki ze Stainesem w obawie, że przez niego przegapi rozkoszny moment, kiedy Dev wyjdzie z pokoju po zniewoleniu dziewczyny.*

*Pragnął zobaczyć ich twarze - Deva i tej smarkuli. On sam mógł tylko marzyć, jakie to uczucie zostać uwiedzionym przez Diabła Strathmore'a...*

- *W sali balowej jest podobizna Ginny Highgate - poinformował go Staines, niżając głos.*

*Te słowa całkowicie zaskoczyły Carstairsa.*

*Zwrócił się do Stainesa pełen zdumienia. Zaraz jednak zręcznie je zamaskował. Ktoś w końcu powinien zachować zimną krew.*

- *Doprawdy?*

- *Sam zobacz! Zawołam Quinta. Z pewnością będzie chciał to*

*obejrzeć!*

*- Nie! Uwierz mi, to go tylko rozdrażni.*

*Carstairs wiedział, rzecz jasna, że Quint myślał o Ginny Highgate*

*od chwili, gdy weszli do tego pawilonu.*

*Przed wielu laty większość londyńczyków tłoczyła się tu, by ją podziwiać. A biedny, uparty Quint nie opuścił chyba ani jednego jej występu. Na szczęście baron zdołał uwolnić się tej nocy od wspomnień tak jak zawsze - dzięki kobietom i pijaństwu.*

*Po przeciwnej stronie czerwonego salonu siedział Quint, tuląc*

*w ramionach smukłą młodą driadę. Była ruda. Psiakrew! Quint i te jego*

*przekłęte rudzielce!*

*Carstairs westchnął i pokręcił głową.*

*- Zostaw biednego durnia w spokoju! - mruknął.*

*Staines niechętnie przytaknął i obaj wyszli zobaczyć malowidło.*

160

*Irlandzka suka! - myślał Carstairs kilka minut później, wpatrując*

*się w zadowolony uśmiezek Ginny Highgate na niewielkim portrecie.*

*Nadal jednak nie mógł uwierzyć, by Dev knuł coś przeciwko nim.*

*- To jeszcze o niczym nie świadczy - stwierdził, prostując się.*

*Staines spojrzał na niego drwiąco.*

*- Nie uważasz, że to dość szczególny zbieg okoliczności?*

*- Nie ścianach są podobizny wszystkich kobiet, których występy*

*można było tu zobaczyć. I co z tego?*

*- Co z tego?! - syknął Staines, a jego czarne, pełne napięcia oczy*

*błysnęły. - Jesteś ślepy! On sobie z nas kpi! Nie widzisz tego?*

*- Strathmore nie ma pojęcia, kim była Ginny Highgate, zapewniam*

cię!

- Dlaczego go bronisz? - obstawał przy swoim Staines. - Ależ tak, oczywiście wiem czemu, ty cholerny zbrodźcu! Jesteś nim oczarowany!

- Jak się miewa twoja córeczka? - odparował półgłosem Carstairs, spoglądając na niego lodowatym wzrokiem.

Na to pytanie oczy Stainesa błysnęły niepokojąco.

- O, przepraszam! Miałem na myśli twoją siostrzenicę - poprawił

się hrabia. - Zapomniałem, że ona nie ma pojęcia, kto jest jej prawdziwym tatusiem. Przyganiał kociół garnkowi, mój drogi Stainesie! No tak... A jak się miewa słodka mamusia? Twoja kochanka... twoja urocza

siostra?

- Nie mieszaj ich do tego! - ostrzegł Staines gwałtownym szeptem.

- To rób, co ci każą - odwarknął Carstairs bezlitosnym tonem. -

Nikt nie tknie Strathmore'a, chyba że ja wydam taki rozkaz!

- Coś nie tak, chłopcy?

Obejrzeni się obaj. Podszedł do nich Quint. Wyglądał na porządnie

zalanego i w pierwszej chwili Carstairs się zaniepokoił. Odkąd się postarzał, Quint po pijaku bywał albo płaczący, albo wściekły.

Hrabia wolał już, gdy baron urzynał się na smutno.

Ze swym ogromnym wzrostem i zادیornością Łamignat Randall

w ataku furii zmieniał się w rozwścieczonego byka, tratującego wszystko

na swej drodze. Tak właśnie przed laty stratował Ginny Highgate. Carstairs wcale wówczas nie chciał, żeby do tego doszło. Po tym, jak Ginny II - Ukochana diabła

161

weszła pomiędzy niego i chłopca, hrabia opowiedział Quintowi drobne

klamstewko - tylko po to, żeby osilek lepiej pilnował swojej dziewczuchy.

*Nie było w tym zresztą nic nieprawdopodobnego, coś w tym rodzaju mogło się bez trudu wydarzyć. Ginny w końcu była zwykłą dziwką, tyle że poszczęściło się jej bardziej niż innym, a Carstairs miał znacznie więcej pieniędzy, uroku i rozumu niż Quint. I wyższą od niego pozycję towarzyską.*

*Nie przypuszczał, że Łamignat zareaguje tak gwałtownie na tę bajeczkę. A już z pewnością nie namawiał Quinta do skatowania biednej dziewczyny i zgwałcenia jej. No i nawet mu do głowy nie przyszło, że*

*Ginny ucieknie, zabierając ze sobą Johnny'ego. Jak blisko byli wówczas katastrofy! Nie chcąc przywoływać wspomnień, które rozdrażniłyby Quinta, Carstairs próbował zasłonić przed nim portret na ścianie. Za późno.*

*- Co u diabła?! - wymamrotał Quint.*

*Jego piwne oczy się zwęziły. Schylił się i popatrzył na malowidło.*

*Z wyraźnym bólem przeciągnął palcami po portreciku zmarłej kochanki.*

*- Widzisz, Quint? - podbechtywał go Staines. - Carstairs nie chce uwierzyć, ale to jest dowód, że od początku miałem rację! Strathmore knuje coś przeciwko nam. On wie!*

*Carstairs pojął, że jeśli Randall zgodzi się ze Stainesem, niełatwo*

*będzie ich powstrzymać. Oczywiście miał więcej rozumu niż oni obaj*

*razem wzięci i zręcznie manewrował nimi od dwunastu lat, nigdy jednak nie czuł się absolutnie bezpieczny. Zbyt często w dzieciństwie obrywał od większych od niego chłopaków, by wiedzieć, że rozum - niestety*

*- nie zawsze odnosi zwycięstwo nad siłą.*

*- No i co ty na to, Quint? - usiłował go ponaglić Staines.*

*Baron spojrzał na niego niepewnie, zamglonym wzrokiem, tak jakby patrzył na coś niezmiernie odległego.*

*- Ze co?*

*- On coś knuje przeciwko nam, powiadam! Zwabił nas tu umyślnie, by igrać z naszym losem!*

*Quint zmarszczył brwi i powoli wyprostował się na całą swą wysokość, ale Staines jeszcze nie skończył.*

*- Wytłumacz Carstairsowi, że musimy unieszkodliwić go od razu,*

*zanim stanie się coś złego!*

162

*- Nie - powiedział Quint cicho i potrząsnął głową. - Nie ma mowy!*

*Lubię Strathmore'a.*

*Stainesowi opadła szczęka.*

*- Ty też, Quint?!*

*- Porządny z niego facet. Zostaw go w spokoju, Torq. On o niczym*

*nie wie. Skąd miałby wiedzieć? Był wtedy jeszcze dzieckiem.*

*Carstairs skrzyżował ramiona na piersi i uśmiechnął się z wyższością*

*do Stainesa, który wyrzucił obie ręce w górę.*

*- Złożyliśmy tę cholerną przysięgę! - zagrzemiał Staines. - Stworzyliśmy ten klub, postaraliśmy się o innych, żeby się za nimi ukryć, a teraz zachowujecie się jak ślepi! Strathmore nie jest już dzieckiem!*

*- Powiedziałem, zostaw go w spokoju, Torquil! - powtórzył Quint.*

*- Nie zostawię! To absurd! Nie mogę uwierzyć, że obaj tak zgłupieście! Carstairs chce go zaciągnąć do łóżka, a tobie się wydaje, że odzyskasz młodość w jego towarzystwie! Czy tylko ja widzę, że ten choler-nik ma już cały klub w swojej sieci?! Nie dam się zawlec na szubienicę*

*z winy dwóch głupich sukinsynów! Ja tego nie zrobiłem!*

*- Ale pomagaleś - przypomniał mu chłodno Carstairs.*

*Staines zwrócił się znów do barona.*

*- Quint...*

*Bez ostrzeżenia Łamignat Randall przyparł Stainesa do ściany i złapał go muskularną, owłosioną ręką za gardło.*

*- Powiedziałem, daj temu spokój! - huknął rozkazująco. - Zrozumiano? To stare dzieje, Torq. Lepiej myśleć, że to się wcale nie zdarzyło.*

*- Brak ci odwagi i tyle! Zrobiły się z was obu cholerne mięczaki!*

*- Nie nadużywaj mojej cierpliwości, Staines! -warknął Quint.*

*- Oj, chłopcy, chłopcy! - Carstairs oparł się o ścianę obok Stainesa,*

*który w niedźwiedzim uścisku barona nie dotykał prawie stopami ziemi.*

*Popatrzył na jednego i drugiego z uśmiechem. Przyjemnie mieć na usługi oswojonego olbrzyma! - Proponuję zostawić Strathmore'a w spokoju na miesiąc lub dwa i bacznie go obserwować, tak samo jak to robiliśmy*

*do tej pory. Potem znowu się zastanowimy, czy są jakieś powody do podejrzeń. Jeśli wykona choć jeden fałszywy ruch, wówczas dostaniesz go w swoje ręce, Torquil. Uważajmy go jednak za niewinnego, dopóki nie*

*zdołamy czegoś dowieść. Zgoda?*

163

*- Zgoda - wymamrotał Quint i skinął głową.*

*- Za niewinnego?! Zanim znajdziesz jakieś dowody, możemy zawisnąć na szubienicy! - wykrztusił Staines.*

*- Tego się akurat nie boję - powiedział Carstairs.*

*- Ani ja - przytaknął Randall.*

*- Zgoda - burknął w końcu Staines.*

*Quint puścił go. Gdy Torq oddalił się z kwaśną miną, Łamignat wzruszył niecierpliwie potężnymi ramionami.*

*- Dobra robota! - powiedział Carstairs i po przyjacielsku poklepał osiłka po bicepsach.*

*Quint natychmiast się cofnął i nastroszył.*

*- Nie dotykaj mnie!*

*Rzucił hrabiemu spojrzenie pełne podejrzliwości i pogardy, i ruszył*

*do swej najnowszej rudej dziwki.*

*Carstairs w milczeniu, z pewnym żalem, rozważał tę niezastuzoną  
zniewagę.*

*Śmiech pomyśleć, że kiedyś, przed laty, Quint wzbudził w nim  
pożądanie, gdy po raz pierwszy go zobaczył - wysokiego, ogorzałego,  
młodego barbarzyńcę o stalowych mięśniach. To było całe wieki temu,  
nie miał wtedy tak wyrobionego gustu. A Quint nie wyhodował sobie  
jeszcze tego obwisłego brzucha. Kiedy baron po raz pierwszy przybył  
do Londynu z dzikich ostępów Yorkshire, Carstairs z czystej sympatii  
pomógł mu zyskać nieco wielkowiejskiej oglady. Nigdy nie próbował  
skusić olbrzyma, dobrze wiedząc, że Quint nie będzie żałował pięści.  
Jakaż by to była szkoda zniweczyć doskonałość rodowego nosa Car-  
stairsów!*

*Wcale by się nie zmartwił, gdyby już nigdy więcej nie musiał oglądać  
Quinta ani Stainesa! Byli jednak złączeni przysięgą milczenia, związani  
zbrodnią, nienawiścią i cierpieniem.*

*Jakżeby pragnął zacząć bez nich nowe życie!*

*Kiedy hrabia z rękoma w kieszeniach idealnie dopasowanych spodni  
wracał niespiesznym krokiem do salonu, usłyszał na korytarzu prostac-  
kie wiwaty. Spojrzał w tamtą stronę i zdążył zobaczyć, jak Diabeł Strath-  
more wynurza się z pokoju wraz ze swą płonąącą rumieńcem dziewczicą.*

*Cartairs się uśmiechnął.*

*Z eks-dziewicą.*



*Drgnął lekko, spoglądając na zwycięskiego bohatera. Strathmore*

*był zaczerwieniony i spocony, rozpięta koszula pozwalała ujrzeć jego muskularną pierś. Włosy miał zmierzwiłone. Przytrzymując jedną ręką spodnie, chrapliwym głosem spytał:*

*- Ma tam który cygaro?*

*Chłopcy wybuchnęli śmiechem, widząc jego kpiący uśmieszek.*

*Ktoś podał mu zapalone cygaro, a Dev zaciągnął się nim, jakby było*

*najlepsze ze wszystkich, jakie palił w życiu. Otoczył ramieniem tulącą się do niego dziewczynę i ponad jej głową wydmuchnął obłoczek dymu.*

*Dziewczyna przywarła jeszcze mocniej do niego, obejmując go rękami w pasie i kryjąc twarz na jego piersi. Stara rajfura, Bezecna Mamuśka, wślizgnęła się do pokoju, który opuścili. Odnalazłszy na pościeli ślady krwi, potwierdziła, że warunek został dopełniony.*

*Carstairs roześmiał się z cicha i potrząsnął głową rad, że Dev spełnił jego oczekiwania.*

*Gdyby się teraz okazało, że istotnie próbuje ich przechytrzyć,*

*znacznie łatwiej będzie przywołać go do porządku, przypominając mu*

*jego własny występki. Co prawda to klub dostarczał nieskalane jagnię na ofiarę, ale każdy kandydat osobiście musiał poderznąć owieczce gardło! Nie chodziło o dowód męskości, ale o to, by trzymać bicz nad głową każdego członka klubu, gdyby trzeba było wypróbować jego*

*lojalność lub w razie konieczności skłonić go do takiego czy innego działania.*

*Komu ostatecznie tak bardzo zależy na sile mięśni? - dumał Carstairs, gdy najnowszy członek Klubu Jeźdźców i Woźniców wyprowadzał swą otumanioną ofiarę. Rozum pokonuje krzepę w dziewięciu przypadkach na dziesięć, a szantaż jest znakomitym rozwiązaniem!*

*- Myśli pan, że nam uwierzyli? - spytała szeptem przestraszona*

*dziewczyna, tuląc się do Deva, gdy wyprowadzał ją na zewnątrz.*

*- O, tak! Moim zdaniem byliśmy bardzo przekonujący.*

*Podczas godziny spędzonej sam na sam w sypialni, Dev pokazywał*

*dziewczyźnie karciane sztuczki, aż wreszcie paniczny strach zniknął z jej oczu. Potem wykonał kilkadziesiąt pompek, żeby się porządnie spocić.*

*Mała Suzy zaczęła spoglądać na niego takim wzrokiem, jakby sądziła, że uwiedzenie przez lorda Strathmore'a nie byłoby wcale takie złe.*

165

*Zdecydowanie jednak nie nabrała sympatii do Quinta i innych, którzy byli dla niej okrutni.*

*- Oni są wstrętni!*

*- Wiem. Nie myśl już o nich - mruknął. - Zabierzemy cię stąd*

*jak najszybciej! To mój ekwipaż! - Lśniący, czarny powóz zatrzymał się u podnóża schodów. - Służący odwiozą cię do twojej wsi. Ale najpierw...*

*- Obrócił dziewczynę twarzą ku sobie i chwycił ją mocno za ramiona.*

*- Najpierw musisz mi przyrzec na wszystkie świętości, że już nigdy nie wybierzesz się na przejażdżkę z nieznajomymi!*

*Z całą powagą skinęła głową.*

*- Przysięgam, nigdy tego nie zrobię! Chyba już panu krew nie leci?*

*Spojrzała niespokojnie na jego bok, ale skaleczenie było niewidoczne pod koszulką.*

*- Nic mi nie jest.*

*- To dobrze! Och, bardzo panu dziękuję!*

*Wspięła się na palce i pocałowała go w policzek.*

*Zmarszczył surowo brwi.*

*- To jest Ben - oznajmił szorstko, gdy służący podszedł do nich.*

*- On cię odwiezie do domu.*

*Ben skłonił się dziewczynie.*

*- Panienko...*

*Rzuciła mu niepewne spojrzenie.*

*- Możesz mu zaufać, Susannah - powiedział cicho Devlin. - Ben podróżował ze mną po całym świecie i nieraz ocalił mi życie.*

*- Czy on mówi po naszymu? - spytała szeptem.*

*- Oczywiście! Nie spadł z księżyca, tylko przyjechał z Ameryki.*

*Ben uniósł brwi, ale zbyt często spotykał się z dziwnymi reakcjami*

*białych ludzi, żeby się nimi przejmować. Dev pomógł malej wsiąść do powozu, potem lokaj zatrzaskał drzwiczki.*

*- Co tu się dzieje? - spytał Ben, gdy odeszli nieco na bok.*

*Dev zaczekał, aż znaleźli się w miejscu, gdzie Suzy nie mogła ich słyszeć.*

*- To był trzeci warunek - mruknął pod nosem, spoglądając na pawilon ze wściekłością w oczach.*

*- Ta dziewczynka?! - wykrzyknął zaszokowany Ben.*

166

*Devlin skinął posępnie głową.*

*- Dopadli ją w Hertfordshire, z dala od wioski. Dopilnuj, by wróciła bezpiecznie do domu. A potem wróć tu po mnie, żeby niczego nie podejrzewali. To niezbyt daleko, powinieneś zdążyć przed świtem.*

*- Bądź ostrożny, milordzie!*

*Devlin się uśmiechnął. Ben wsiadł do powozu. Dev wyjaśnił, jak*

*jechać do Stevenage, i ekwipaż potoczył się po podjeździe.*

*Susannah z okna powozu posłała całusa swemu wybawcy. Dev się*

*skrzywił. Tylko tego brakowało, żeby ta smarkata się zadurzyła i wzdychała za nim! Spojrzał z niechęcią na pawilon. Wziął się w garść i wrócił*

do środka.

*Aż trudno uwierzyć, myślał, ale jestem już pełnoprawnym, „naznaczonym krwią” członkiem osławionego Klubu Jeźdźców i Woźniców!*

*Teraz, kiedy przeszedł przez tę cholerną próbę i zyskał ich zaufanie,*

*znacznie łatwiej mu będzie prowadzić dalsze dochodzenie. Musi odkryć, który z tych pomyłonych sukinsynów spowodował tamten straszliwy pożar przed dwunastu laty.*

*Nie mógł się doczekać, kiedy winowajca mu za to zapłaci.*

*- A zatem, dziewczęta, przeciwprostokątna znajduje się zawsze naprzeciw kąta prostego. Nieważne, jakie są pozostałe dwa kąty. O ile jeden z trzech będzie kątem prostym, twierdzenie Pitagorasa zawsze się sprawdzi - wyjaśniała Lizzie nieznośnym sprzeciwu tonem, rysując*

*na tablicy odpowiedni trójkąt. - Oto równanie: a do kwadratu plus b do*

*kwadratu równa się c do kwadratu.*

*Skończywszy zapisywanie tego prostego wzoru, odwróciła się i zobaczyła, że cała klasa, wpatruje się w nią bezmyślnym wzrokiem.*

*- Nie siedźcie jak malowane, moje panienki! Zapiszcie to równanie.*

*- Ojej...*

*Siedząca w pierwszym rzędzie Daisy Manning, posłuszne niewiniątko z wielkimi niebieskimi oczyma i jasnymi długimi lokami, natychmiast wykonała polecenie. Zerknęła niespokojnie na tablicę i z wyraźnym przygnębieniem zapisała wzór na łupkowej tabliczce.*

*Siedząca tuż za nią Annabelle Swanson, największa buntowniczką*

*w klasie, ani myślała słuchać poleceń nauczycielki. Zawsze sceptyczna,*

167

*impertynencka czarnula siedziała w swobodnej pozie i czytała coś po kryjomu. Lizzie podejrzewała, że jest to jeszcze jeden list od wielbiciela.*

*- Skup się, proszę, Annabelle! Z tego równania korzystała ludz-*

*kość od czasów starożytnej Grecji. Zasluguje ono na waszą szczególną*

*uwagę - oświadczyła Lizzie dobitnie, naśladowując sposób mówienia lady*

*Strathmore. Niejednokrotnie przychodziło jej na myśl, jaką przyjemność sprawiłaby starej damie*

*rozmowa z tymi dziewczuszkami, a raczej pouczanie ich, jak należy sobie radzić w życiu.*

*Annabelle nadąsała się, ale wzięła do rąk tabliczkę.*

*- Panna Bamworth nie kazała nam uczyć się jakiejś tam geometrii!*

*- mruknęła pod nosem.*

*- Słucham?*

*- Ona ma rację, panno Carlisle - poparła koleżankę Daisy, grzecznie podnosząc rękę. -  
Powiedziano nam, że mamy się ograniczyć tylko do czterech działań: dodawania, odejmowania,  
mnożenia i dzielenia.*

*- Tak! Panna Bamworth nigdy by nam nie kazała uczyć się czegoś*

*tak trudnego! — pisnęła żałośnie inna pensjonarka.*

*- Ale teraz ja jestem waszą nauczycielką i wiem, że was, dziewczęta,*

*stać na coś więcej niż cztery działania - zapewniła Lizzie i wyteżając całą cierpliwość obdarzyła  
uczennice miłym uśmiechem.*

*- No, tak... ale... Panno Carlisle?*

*- Słucham, Daisy? - spytała ze znużeniem. Trzeba przyznać, że była*

*też nieco rozbawiona.*

*- Co będzie, jeśli studiowanie geometrii wpłynie niekorzystnie na*

*nasze usposobienie... i... i w przyszłym roku, po debiucie towarzyskim,*

*nikt nie zechce się z nami ożenić? - Dziewczynka obejrzała się niespokojnie na koleżanki, te zaś z  
powagą jej przytaknęły - Mój tatko bardzo by się rozgniewał, gdyby tak się stało. Tatko powtarza,  
że mężczyźni nie*

*znoszą przemądrzałych bab!*

*Lizzie zdołała jakoś zachować kamienny spokój.*

*- Twój ojciec ma słuszość, Daisy, ale się nie lękaj! Jeśli stwierdzę,*

*że geometria wywiera niekorzystny wpływ na wasze usposobienie, daję*

*ci słowo honoru, że natychmiast wycofam ją z programu.*

*- A ja ciągle nie mogę zrozumieć, po co nam te głupie trójkąty -*

sarknęła Annabelle. - Przecież nie będziemy budować mostów!

Pozostałe uczennice odważyły się zachichotać.

168

Lizzie omiotła klasę groźnym spojrzeniem; chichotanie ustało.

- Nie chodzi o trójkąty, Annabelle! To tylko ćwiczenie mające na

celu rozwinięcie waszych umysłów, by sprawniej działały. Usiłuję nauczyć was myślenia. Kobieta, która nie potrafi samodzielnie myśleć, nigdy nie będzie panią własnego losu.

Klasa wpatrywała się w nią przez chwilę, usiłując zrozumieć tę rewolucyjną maksymę. Konserwatywna przełożona, pani Hall, byłaby z pewnością zbulwersowana. Lizzie odepchnęła od siebie tę myśl. Dlaczego tym dziewczętom odmawiać odrobiny wiedzy, którą w myśl ogólnie przyjętych zasad karmi się ich braci?!

- A teraz zapiszcie ten wzór, bardzo proszę. I postarajcie się wykorzystać go przy rozwiązywaniu zadań, które macie na tablicy.

Założywszy ręce do tyłu, spacerowała między rzędami ławek, nadzorując pracę dziewcząt.

Kiedy dotarła do ławki Annabelle, dostrzegła złożony papier, ukryty pod tabliczką. Skonfiskowała go, obrzucając dziewczynkę karcącym spojrzeniem. Annabelle się nadąsała, Lizzie zaś spostrzegła z ulgą, że nie jest to kolejny list miłosny, tylko jedna z tych plotkarskich gazetek, które dziewczęta zdobywały Bóg wie skąd.

Zmarszczyła brwi i zaniósła bulwarowe piśmiśko na swoje biurko.

Ledwie rzuciła okiem na niewybredne plotki towarzyskie i już miała odłożyć gazetę, gdy rzucił się jej w oczy jeden z tytułów. Znieruchomiła i pobladła nagle. Och, nie!

Znowu to samo?! Osunęła się na krzesło za biurkiem i czując, że coś w niej zamiera, ukradkiem przejrzała artykuł, podczas gdy dziewczęta biedziły się nad pierwszym zadaniem. Nazwisko Devlina pojawiała się coraz częściej w podobnych pismach w ciągu ostatnich kilku tygodni.

„Lord S., zwany Diabłem...” rozpoczynał się tekst.

Elizabeth zamknęła oczy i przypomniała sobie ostatnie życzenie jego

ciotki: „Spotkasz się z nim od czasu do czasu, kiedy mnie już nie będzie?

*On nie ma nikogo bliskiego".*

*Nic dziwnego, że nikogo nie ma! - pomyślała, usiłując pozbyć się*

*wyrzutów sumienia. Ten przeklęty głupiec odpychał każdego, kto usiłował się do niego zbliżyć.*

*Kazał jej odejść. Nie musiał tego dwa razy powtarzać! Jednak w głębi*

*serca czuła się zobligowana do nawiązania z nim kontaktu - wyłącznie*

169

*przez pamięć dla jego zmarłej ciotki. Lecz teraz, gdy krążyły o nim równie skandaliczne historyjki, doprawdy nie miała pojęcia, jak mogłaby tego dokonać? Niezamężna młoda dama, a co więcej, nauczycielka na*

*żeńskiej pensji pani Hall, osoby o niezłomnych zasadach, nie mogła*

*przecież wsiąść do dorożki, kazać się zawieźć na West End i zastukać do*

*drzwi osławionego hulaki! Gdyby to uczyniła, cóż zostałoby z jej reputacji?! I po cóż by miała podejmować takie ryzyko?*

*Ostatnio sprawy układały się dla niej pomyślnie. Śmierć starej*

*damy zasmuciła ją, oczywiście, ale w nowej pracy dobrze jej szło. Oddała swe przekłady z języka niemieckiego i dzięki zapłacie od wydawcy jej oszczędności pokaźnie wzrosły. Znowu mogła korzystać z blisko*

*ści stolicy z jej muzeami, księgarniami i odczytami naukowymi. Miała*

*w Londynie wielu przyjaciół, a od willi Jacindy w Regent's Park dzieliła*

*ją zaledwie godzina jazdy.*

*Prawdę mówiąc, gdy siedziała przy biurku, słuchając skrzypienia rysików na tabliczkach, uświadomiła sobie, że jedynym nierozwiązanym problemem w jej życiu była znajomość z Diabłem Strathmore'em. Na*

*myśl o nim serce ją bolało, sumienie dawało się we znaki, a ciało paliło*

*żywym ogniem.*

*Lekcja matematyki dobiegła końca. Dziewczęta miały tylko kilka*

*minut na przejście do dużej sali w głębi korytarza, na lekcję tańca z panną Agnew. Lizzie mogła*

liczyć na dwie godziny spokoju, póki nie przyjdzie czas na lekcję francuskiego. Sprzątała właśnie swoje biurczko, gdy jedna z dyżurnych przyniosła jej liścik od przełożonej z wezwaniem do gabinetu.

Pani Hall nie należała do kobiet, które zwykły cierpliwie czekać.

Lizzie pospieszyła więc na dół zaraz po tym, gdy rozległy się pierwsze dźwięki fortepianu panny Agnew.

Gabinet założycielki i dyrektorki szkoły znajdował się tuż obok

frontowego holu. Dotarłszy tam, Lizzie lekko zastukała do drzwi. Natychmiast zaproszono ją do środka.

- Niechże pani wejdzie, panno Carlisle - poleciała przełożona, okazała, imponująca kobieta w białym muślinowym czepku, spod którego wymykały się dwa długie siwe loki. - Panna Carlisle była niegdyś jedną

z najzdolniejszych uczennic w naszej akademii, pani Harris! Wychowywała się jako nieodłączna towarzyszka obecnej markizy Truro i Saint 170

Austell, która również uczęszczała do naszej skromnej uczelni. Panna

Carlisle cieszy się także wielką przyjaźnią księżnej Hawkscliffe oraz hrabiny Winterley. - Lizzie wzdrygnęła się lekko, gdy pani Hall wyliczała z lubością wszystkie jej świetne koneksje, pragnąc zrobić wrażenie na

dwóch osobach, siedzących po przeciwnej stronie ogromnego mahoniowego biurka. - Doskonale sobie radzi z naszymi panienkami. Panno Carlisle, oto pani Harris z Dublina i jej córka Sorscha.

- Jak się panie mają? - wymamrotała Lizzie i skłoniła się lekko.

Obie kobiety spojrzały na nią, nie zdradzając żadnych uczuć.

Matka była w żałobie, jak na wdowę przystało. Jej elegancka jedwabna suknia i rękawiczki były smoliście czarne, twarz przestłoniła czarną koronką, opadającą z równie czarnego kapelusza. Jedyne barwne akcent stanowiły koniuszki długich, miedzianych loków, widoczne spod woalu.

- Pani Harris zapisała właśnie tę młodą damę do naszej akademii

- wyjaśniła przełożona. - Czy będzie pani tak dobra i pokaże naszej

nowej uczennicy jej miejsce w sypialni oraz zapozna ją z rozkładem

zajęć?



- Oczywiście, proszę pani. Witamy, panno Harris - zwróciła się

Lizzie do pensjonarki. - Proszę za mną!

Sorscha Harris wstała. Była to piękna dziewczyna, mniej więcej szesnastoletnia, z twarzą porcelanowej lalki. Miała szeroko rozstawione oczy, jasną i okrągłą buzię, którą okalał gęszcz czarnych loków, związanych teraz różową wstążką. W wielkich niebieskich oczach malowała się niepewność.

Bardzo przejęta Sorscha ścisnęła rękę matki. Widać było, że stara się być dzielna. Wiele nowych uczennic nigdy przedtem nie rozstawało się z rodzicami, a sądząc z żalobnego stroju pani Harris, to biedne dziecko zapewne niedawno straciło ojca.

- Jesteś pewna, że poradysz sobie beze mnie, mamusiu?

- Z pewnością, kochanie - szepnęła miękko pani Harris. - Baw się dobrze w swojej nowej szkole. Zjawię się w niedzielę, by zabrać cię na mszę. Zachowuj się jak należy!

- Oczywiście, mamusiu.

- Proszę się nie obawiać, pani Harris. Dopilnuję, żeby pani córce niczego nie brakowało - zapewniła Lizzie matkę. Sorschę zaś obdarzyła

171

serdecznym uśmiechem. - Ja również jestem tu od niedawna, panno Harris, więc będziemy się nawzajem wspierać, zgoda?

Nieśmiały uśmiech rozjaśnił ładną twarzą Sorschy.

- Pozwól, że ci pomogę - dodała nauczycielka, gdy uczennica sama usiłowała podnieść ciężką walizę.

- Bardzo dziękuję, panno Carlisle!

Sorscha zaczerwieniła się i uśmiechnęła z wdzięcznością, gdy Lizzie chwyciła za drugą rączkę.

*Razem wytaszczyły bagaż z gabinetu przełożonej i powlokły go na górę. Były już prawie u szczytu schodów, gdy pani Hall zawołała za nimi:*

*- Panno Carlisle! Ten list przyszedł z wczorajszą pocztą. - Wyciągnęła ku niej kopertę. - Bardzo przepraszam, nie włożyłam go do pani skrzynki.*

*Odstawiły walizę, Lizzie wytarła ręce i zbiegła na dół.*

*- Bardzo pani dziękuję! - powiedziała cicho, odbierając przesyłkę od przełożonej.*

*Następnie wróciła do Sorschy, spoglądając w zadumie na szarą kopertę, na której napisano: „Kancelaria mec. Charlesa Beechama, Fleet Street, Londyn. Pilne”. Nazwisko adwokata wydało się jej znajome. Ponieważ jednak nowa uczennica czekała na nią, Lizzie wsadziła list do kieszeni schludnego białego fartucha i znów schwyciła rączkę walizy.*

*Pomogła Sorschy zanieść bagaż do sypialni dla dziewcząt na najwyższym piętrze. Wskazała nowej pensjonarce łóżko i komódkę, a potem pomogła przy wypakowaniu rzeczy.*

*- Nie zamierza pani otworzyć listu? - ośmieliła się zapytać Sorscha, spoglądając na dokument, wystający z kieszeni nauczycielki.*

*Lizzie uśmiechnęła się szeroko.*

*- Nie chciałam być nieuprzejma.*

*- Mnie to nie przeszkadza! - odparła dziewczynka żywo.*

*- W takim razie...*

*Zaciekawiona, wyjęła list i złamała woskową pieczęć.*

*Sorscha przyglądała się jej ciekawie.*

*- Mam nadzieję, że to dobre wieści?*

*- Mój Boże! - odparła Lizzie ze smutnym uśmiechem. - Wygląda na to, że lady Strathmore zapisała mi coś w testamencie.*

*- Cóż to za dama?*

- To bardzo kochana, choć trochę groźna starsza pani, którą się opiekowałam, zanim przybyłam tutaj. Była słabego zdrowia i ku memu

wielkiemu żalowi zmarła kilka tygodni temu. Nie mogę wprost uwierzyć, że pamiętała o mnie w testamencie!

- Dostanie pani spadek! Jakie to ekscytujące! - zawołała Sorscha.

- Jak pani myśli, co też pani zapisała?

- Sama nie wiem. Otrzymałam wezwanie z kancelarii adwokata.

Prosi, żebym była obecna przy odczytywaniu testamentu. - A zatem zobaczy znów Devlina. Odwróciła wzrok. - Może wtedy się dowiem...

Ale chyba już się domyślam! - zawołała w nagłym olśnieniu. - Pewnie

zapisała mi część swoich książek!

- Książek? - powtórzyła jak echo Sorscha.

Lizzie rzuciła jej spojrzenie pełne zadumy.

- Wiedziała, że szczerzej jej zazdrościłam wspaniałej biblioteki. I często opowiadałam, że chcę otworzyć w przyszłości księgarnię. Powtarzała, że to bzdurny pomysł, ale widać jednak jej się spodobał. - Uśmiechnęła

się smutno. - Jak to miło, że pomyślała o mnie! - Poczula ukłucie w sercu, westchnęła, złożyła list i schowała do kieszeni. - Teraz muszę tylko przekonać panią Hall, żeby dała mi wolne przedpołudnie - powiedziała

do Sorschy poufałym tonem.

- Ojej! Ona mi się wydaje taka groźna.

- To jeszcze nic w porównaniu z lady Strathmore - odparła szeptem

Lizzie, po czym z wesołym uśmiechem wzięła dziewczynę pod rękę.

- A teraz chodźmy, moja droga! Zapoznam cię z resztą dziewcząt.

- Mam nadzieję, że mnie polubią - powiedziała nieśmiało Sorscha.

- Bez obawy, panno Harris! - poklepała ją po ręce. - Do kolacji

zdążycie się zaprzyjaźnić!

*Ościłnięta długim welonem z czarnej koronki, pani Harris opuściła*

*gabinet przełożonej. Pospieszyła do swego powozu i zgrabnie do niego*

*wsiadła, gdy zwałisty służyący, Patrick Doyle, otworzył przed nią drzwiczki. Wierny sługa z niepokojem usiłował odgadnąć jej nastrój, zerkając na zasłoniętą twarz.*

*- Wszystko w porządku, stary przyjacielu - szepnęła do niego. -*

*Sorscha będzie tu bezpieczna.*

173

*Od dawna nie nazywali już dziewczynki Sarah. Mary zmieniła jej imię*

*wkrótce po ucieczce z pożaru - dla bezpieczeństwa przybranej córki.*

*Potężny Irlandczyk skinął głową i zamknął drzwiczki powozu. Gdy*

*odjeżdżali spod budynku szkoły, Mary rzuciła ostatnie, tęskne spojrze-*

*nie z okna powozu.*

*Było jej bardzo trudno zostawić tu Sorschę, gdyż prawie się nie rozstawały przez ostatnie dwanaście lat. Mówiła sobie jednak, że ta młoda nauczycielka, panna Carlisle, wydaje się naprawdę troskliwa. Instynktownie zaufała tej dziewczynie o uczciwych szarych oczach i życzliwym*

*uśmiechu. Za to panią Hall uznała za napszoną jędzę.*

*Mary aż za dobrze znała takie jak ona! Spędziła przecież całą młodość, udając, że gwizdże na potępienie ze strony świętoszkowatych da-mulek. Ciekawe, co by powiedziała nadęta przełożona, gdyby się dowiedziała, że nigdy nie istniał żaden pan Harris, a szacowna wdowa była niegdyś gwiazdą muzycznych teatrzyków? Nie, nad tym Mary wolała*

*się nie zastanawiać. Zresztą, to wszystko nie miało znaczenia po tylu*

*latach ukrywania się w Irlandii. Zerwała całkowicie ze swoim dawnym*

*życiem i - ze względu na Sorschę - zachowywała przynajmniej pozory*

*przyzwoitości.*

*Liczyła się tylko jej przybrana córka.*

*Ta najmilsza, biedna sierotka była jej jedynym powodem do dumy.*

*Miłość do małej trzymała Mary przy życiu, gdy pragnęła umrzeć, cierpiąc straszliwie wskutek*

*oparzeń. Teraz jednak Sorscha Harris - Sarah -*

*powinna zająć miejsce należne jej z urodzenia. Zaslugiwała na to i Mary zdecydowała się jej to zapewnić. Choćby rozstanie z nią było nie wiem jak bolesne.*

*Doyle zawiózł ją do Londynu. Niebawem zatrzymał konie przed bardzo przyzwoitym pensjonatem, w którym Mary wynajęła pokoje.*

*Kiedy otwierał drzwiczki powozu, poleciała mu szeptem:*

*- Obudź mnie o północy. I powóz niech będzie gotowy. Nie chcę tracić czasu. Lepiej mieć to już za sobą!*

*- Tak jest, psze pani.*

*- Odpocznę do tej pory. Ty też się prześpij.*

*Uśmiechnęła się do niego zza woalu.*

*- Nie ma pani ochoty rozejrzeć się po mieście? - spytał Doyle z wesołym błyskiem w ciemnych oczach.*

174

*Mary uśmiechnęła się gorzko na widok niezliczonych wież kościelnych i dymiących kominów Londynu.*

*Potrząsnęła głową.*

*- Poznałam to miasto aż za dobrze!*

*I zebrawszy fałdy spódnicy, ruszyła do pensjonatu.*

*Przez kilka następnych godzin starała się wypocząć. Czytała Biblię,*

*zjadła samotnie obiad, a potem leżała na łóżku, wpatrując się w sufit*

*i wyobrażając sobie triumfy Sorschy w wielkim świecie. Przede wszystkim jej wspaniały pierwszy bal! Widziała ją jako uroczą, skromną debiutantkę w białej sukni obleganą przez wielbicieli. A potem inne przyjęcia*

*i bale. Almack. I jeśli plany się powiodą, nawet prezentacja na dworze!*

*Żeby zapewnić Sorschy to wszystko, Mary musi znaleźć w sobie dość sił, by uczynić to, co powinna. Wróciła do Anglii, by oddać dawno zaginioną siostrę starszemu bratu i prawowitemu opiekunowi - obecnemu lordowi Strathmore'owi. Mary miała nadzieję, że gdy rodzeństwo znów się spotka, Sorschy wróci pamięć. Dziewczyna nie pamiętała dawnego życia ani rodziny. Ani pożaru. Za to ostatnie Mary była szczerze wdzięczna losowi. Ona sama zapamiętała każdy szczegół z przerażającą wyrazistością.*

*Nagle ogarnął ją niepokój. Starając się go odegnąć, znów zaczęła wyobrażać sobie szczęśliwą przyszłość Sorschy. Udało się jej w końcu zasnąć na kilka godzin, zanim lekkie stukanie do drzwi nie uświadomiło jej, że zbliża się północ.*

*Ocknęła się natychmiast. Przez szparkę w drzwiach powiedziała Doyle'owi, że zaraz zejdzie. Niebawem zeszła po cichu ze schodów i pospiesznie opuściła pensjonat, otuliwszy się szczelnie czarnym płaszczem, gdyż noc w końcu marca była chłodna. Na ulicy panował spokój, Doyle cierpliwie czekał w mdłym świetle ulicznej latarni. Księżyc rzucał srebrne smugi na lśniący czarny dach powozu.*

*- Na Portman Square - przypomniała, służącemu Mary, zajmując miejsce w powozie.*

*- Tak jest, psze pani.*

*Serce jej zabiło niespokojnie, gdy ruszyli na północny zachód, do jednej z najelegantszych dzielnic Londynu.*

*Jakim człowiekiem okaże się młody lord? Czy ma w sobie coś z Sorschy? Czy łączy ich rodzinne podobieństwo?*

*Mary przez cały czas śledziła, co się dzieje w Londynie, choć nieraz*

*„Times” wędrował cały miesiąc, nim dotarł do krytego strzechą domku*

*w wiejskim zaciszu wśród szmaragdowych wzgórz Tipperary. Pewnego*

*dnia, przeglądając kolumnę plotek towarzyskich, by dowiedzieć się czegoś o niegdyś dobrze jej znanych łotrach, Mary natrafiła na niewielką wzmiankę, która miała zmienić całe jej życie.*

*„Z wieloletnich podróży dokoła świata, które odbywał na swym*

*prywatnym statku - brygu »Katie Rose« - powrócił do Anglii wicehrabia Strathmore. Ostatni etap owych podróży stanowiły Indie i dżungle Malezji. Jego lordowska mość oświadczył, iż jego wyprawy łączyły w sobie zalety emocjonującej rozrywki i ekspedycji naukowej. Z przyjemnością informujemy jednak, że ów szanowny, przystojny i słynny arystokrata nie planuje dalszych podróży, lecz zamierza pozostać na*

*naszej pięknej angielskiej ziemi. Cała socjeta z pewnością zastanawia*

*się, czy dzielny kapitan »Katie Rose« nie zamyśla przypadkiem o nowej przygodzie, która zakończy się w bezpiecznej małżeńskiej przystani?”*

*Po przeczytaniu tego artykułu, Mary zrozumiała, co musi uczynić,*

*choć było to dla niej niemal nie do zniesienia. Miała tyle do powiedzenia*

*lordowi Strathmore'owi o tamtej straszliwej nocy i o tym, co naprawdę stało się z jego rodzicami. Tylko czy on był gotów jej wysłuchać?*

*Może cofnie się przed tym, czego trzeba będzie dokonać, by zapewnić*

*bezpieczeństwo Sorschy, ocalić ją przed łotrami, którzy zapewne znów*

*spróbują wyrządzić im krzywdę?*

*Owo pierwsze prasowe doniesienie o powrocie Strathmore'a do Anglii wzbudziło w Mary nadzieję, że obecny wicehrabia może się okazać równie wspaniałym mężczyzną, jak jego nieszczęsny, szlachetny ojciec.*

*Jednakże po przybyciu do Londynu i zapoznaniu się z najnowszymi*

*wiadomościami z „Timesa” Mary zaczęła się niepokoić. Nie знаła sekretów londyńskiej śmietanki towarzyskiej, toteż nie mogła być pewna, czy awanturniczy starszy brat Sorschy jest rzeczywiście tym kimś, kogo*

*prasa nazywała „osławionym Diabłem S.”, i o którego hulankach rozpisywano się niemal codziennie. Mary modliła się, żeby to nie był on. Tylko ktoś mądry i rozważny mógł poradzić z sobie z kreaturami, z jakimi; przyjdzie mu walczyć.*

*Kiedy powóz zatrzymał się na Portman Square, Mary wysiadła i skinęła głową woźnicy. Doyle odpowiedział w ten sam sposób, przykładając palce do rąk kapelusza. Wiedział, że ma tu czekać aż do jej powrotu.*

*Serce jej waliło, a oddech zmieniał się w mglisty obłoczek, gdy - niewidoczna w mroku - spieszyła przez Portman Street. Przy tej ulicy znajdowały się wysokie, eleganckie domy z latarniami przy drzwiach oraz ogrodzeniami z kutego żelaza.*

*Mary mrużyła oczy, starając się mimo ciemności odczytać numery poszczególnych posesji, gdy kolejny powóz przemknął jak szalony obok niej. Odwróciła się i spostrzegła, że zatrzymał się przed jednym*

*z największych domów na tej ulicy. Zauważyła nawet służącego, który podbiegł, by zająć się końmi.*

*Kiedy drzwi frontowe otworzyły się, by wpuścić przybyłego, z wnętrza dotarły do Mary odgłosy hucznej zabawy, które szybko umilkły po zamknięciu drzwi. Serce jej zamarło, gdy przypomniała sobie najświeższe wzmianki w gazetach. Czy to możliwe? Rzut oka na numer domu upewnił ją, że podejrzenia były uzasadnione.*

*Coś przyciągało ją do tego domu. Czowała niepokój połączony z fascynacją. Trzymała się jednak przeciwnej strony ulicy. Budynek był okazałą rezydencją z ciemnej cegły. Na górnym piętrze Mary zauważyła balkon*

*z kutego żelaza. Frontowe okna zasłonięto storami, na których dziko podrygiwały czarne sylwetki.*

*Mary zwróciła uwagę na cień kobiety o bujnych lokach, która objęła za szyję jednego z mężczyzn. Dał się słyszeć radosny pisk, gdy mężczyzna chwycił ją na ręce, by następnie - w żartach - rzucić w ramiona innego gościa.*

*Mary spoglądała na to w osłupieniu. Budziły się w niej wspomnienia równie szalonych dni, owiane gorzką nostalgią. Czowała, że przyciąga ją tam jakaś nieodparta siła. Zaczekała, aż przez cichą skądinąd ulicę przejedzie jeszcze jeden powóz. Wyskoczyło z niego kilkoro następnych*

*gości: dwóch mężczyzn i dwie najwyraźniej pijane, chichoczące dziewczyny, których nikt by nie wziął za damy.*



*Gdy owa czwórka ruszyła w stronę domu, Mary wynurzyła się z mroku, przebiegła przez ulicę i ukryła się w alejce, ciągnącej się na tyłach eleganckich rezydencji. Tam, gdzie znajdowały się ogrody, stajnie i powozownie.*

*12 - Ukochana diabła*

*177*

*Gdy dotarła do rezydencji lorda Strathmore'a, nie zdziwiło jej, że tylne okna i drzwi były otwarte. Mogła stąd bez przeszkód obserwować hulaszczą zabawę. Dolatywał do niej zapach drogich cygar i tanich perfum dziwek, wywołując zalew nieproszonych wspomnień.*

*Nagle krew zastygła w żyłach Mary. Kiedy jej badawcze spojrzenie obiegło dom, dostrzegła wewnątrz jadalni, a w nim... Quinta.*

*Zaparło jej dech, gdy go rozpoznała. Prócz niego przy stole siedziało może z pół tuzina innych mężczyzn, grając w karty.*

*Jednym z nich był Garstairs!*

*Serce tłukło się jak szalone w jej piersi. Gardło ścisnął jej strach.*

*Dobry Boże, już go dostali w swoje szpony! Młody mężczyzna, siedzący między nimi, miał czarne włosy i leniwy uśmiech. Dał znak jednemu z odzianych w liberię lokai, a więc to on był gospodarzem!*

*Nikt inny, tylko Diabeł Strathmore! Lokaj zbliżył się z butelką jakiegoś trunku i napelnił wszystkim kieliszki.*

*Mary odwróciła się w przerażeniu. Co teraz począć?!*

*Bezszelestnie opuściła kryjówkę i w zimnym mroku przemknęła do*

*powozu, czekającego na nią przy Portman Square. Czyżby cała jej wyprawa do Anglii miała się okazać daremna?*

*Nadszedł dzień odczytania testamentu. Rankiem Lizzie wyruszyła do Londynu dwukołowym powozikiem, z którego pani Hall pozwała ją niekiedy korzystać także nauczycielkom. Lizzie nie miała wielkiego doświadczenia w powożeniu, zapamiętała jednak dobrze nauki, których Devlin udzielił jej podczas jedynej lekcji kierowania zaprzęgiem.*

*Na szczęście mały kucyk, zaprzężony do dwukółki, miał tak spokojny charakter, że choćby nad głową strzelano mu z armat, pewnie by się nie spłoszył. Lizzie, niestety, była znacznie mniej opanowana.*

*Na samą myśl o ponownym spotkaniu twarzą w twarz z Devlinem kurczyła się wewnętrznie. Nadal ją bolało, że tak bezceremonialnie usunął ją ze swego życia. W kolumnie towarzyskiej „Morning Post” pojawiła się jednak kolejna sensacyjna wzmianka o jego dzikich wybrykach 178*

*i dziewczyna zaczęła żywić obawy, że ten człowiek źle skończy, o ile ktoś mu wreszcie nie przemówi do rozumu. Lady Strathmore wyraziła się*

*bardzo jasno, kto -jej zdaniem - powinien tego dokonać. Lizzie pokręciła głową, zdjeta przerażeniem. Czy chciała tego, czy nie, zależało jej na tym nieszczęśniku. Musiała przynajmniej raz jeszcze spróbować do*

*niego dotrzeć. Być może napastliwy ton i ostre słowa w dniu pogrzebu*

*były następstwem bólu? Jeśli będzie gotów mnie przeprosić, wybaczę*

*mu to zachowanie, powiedziała sobie.*

*W ten świeży, jasny ranek jechała dwukółką przez żyzne pola. Rośliny kołysały się na lekkim wietrze, zwiastującym piękny, wiosenny dzień.*

*Wkrótce wiejska prostota ustąpiła miejsca zgiełkowi i krzątaninie wielkiego miasta.*

*Kucyk był niewzruszony i sunął naprzód płynnym, pogodnym*

*truchtem. Lizzie jakoś sobie radziła na ruchliwej drodze. Przeżyła chwile grozy, gdy trójka rozwrzeszczanych dzieci w pogoni za piłką omal nie wpadła pod końskie kopyta, ale ostatecznie dotarła do Fleet Street*

*i ujrzała wywieszkę kancelarii adwokackiej Charlesa Beechama.*

*Nazwisko prawnika było wypisane złotymi literami na ciemnozielonym tle. Lizzie skierowała kucyka na drugą stronę ulicy, rozglądając się z rosnącym niepokojem za jakąś stajnię, w której mogłaby pozostawić*

*swój wehikuł. Niczym odpowiedź na jej modły z kancelarii pana Beechama wyszedł Ben Freeman i powitał ją przyjaznym uśmiechem.*

*- Widzę, że zdołała pani tu dotrzeć, panno Lizzie!*

*- Tak, i to w jednym kawałku, co jest prawdziwym cudem! Nie wie*

*pan przypadkiem, panie Freeman, czy w pobliżu znajdę jakąś stajnię?*

*- Zaraz za rogiem. Może pani pozwoli, żebym odprowadził tam*

*pani dwukólkę? Lepiej, aby pani jak najszybciej weszła do kancelarii.*

*Odczytanie testamentu zaraz się zacznie.*

*- Jest pan aniołem! Naprawdę mógłby pan mnie wyręczyć?*

*- Z przyjemnością.*

*Zaśmiał się tylko w odpowiedzi na jej wylewne podziękowania, więc*

*Lizzie założyła hamulec i zeszła na chodnik, ściskając torebkę pod pachą.*

*Kolana trochę jej drżały po tej ciężkiej próbie, ale miała ochotę ucałować siwego kucyka za jego niezłomną postawę. Ben wskoczył do dwukółki*

*i zwolnił hamulec. Klepnąwszy kucyka lekko lejcami po zadzie, odjechał*

*do stajni.*

179

*Lizzie odwróciła się i utkwiała wzrok w drzwiach kancelarii adwokackiej. Serce jej biło gwałtownie, gdy zbierała siły, by spojrzeć w twarz Devlinowi. Wyprostowała się dumnie i weszła, z zaróżowionymi policzkami i nieco potarganymi włosami.*

*Pospiesznie rozpięła płaszcz, a kancelista w okularach, który ją powitał, powiesił okrycie na kołku. Wygładziła fałdy liliowej spacerowej sukni; tylko czarne rękawiczki i czarna jedwabna chustka na szyję stanowiły oznakę żałoby. Pojawienie się w czerni osoby nienależącej do rodziny byłoby grubym nietaktem.*

*Młody kancelista wprowadził ją do imponującej, wykładanej dębową boazerią sali posiedzeń.*

*- Tędy, proszę pani.*

*Poczuła delikatną woń wody kolońskiej Devlina: goździki i rozmaryn. Nieoczekiwanie pod wpływem tego zapachu ogarnęła ją fala tęsknoty. A potem go ujrzała. Stał w kącie pokoju, przy półce z książkami, w tradycyjnym ciemnym stroju, zagłębiony w cichej rozmowie z jak zawsze starannie odzianym Charlesem Beechamem.*

*Devlin przerwał w pół zdania i zagapił się na wchodzącą. Lizzie z godnością powitała go powściągliwym skinieniem głowy i usiadła na podsunętym jej przez kancelistę ciężkim, rzeźbionym krześle. Jednym z wielu, ustawionych wokół lśniącego mahoniowego stołu.*

*Podziękowała usłużnemu pomocnikowi adwokata i, rozejrzawszy się dyskretnie dokoła, przekonała się, że nie byli z Devlinem jedynymi beneficjentami, których tu wezwano.*

*Pani Rowland i kucharka wicehrabiny skinęły jej głowami. Obie były wyraźnie zdenerwowane i czuły się nieswojo w tej okazałej kancelarii. Zajęły miejsca przy ścianie z dala od stołu. Obok nich w pięknym koronkowym czepeczku siedziała Margaret. Wystrojona w swoją najlepszą suknię pokojówka posłała Lizzie pogodny uśmiech. ; W pokoju było także troje szacownie wyglądających nieznanomych,*

*dwóch mężczyzn i kobieta. Lizzie domyśliła się, że są to krewni, o których lady Strathmore nieraz wspominała. Musieli należeć do klasy średniej, gdyż brak im było chłodnego poczucia wyższości, jakie emanowało od jedyne go arystokraty, znajdującego się w tym pokoju.*

*Niebawem i on podszedł dumnym krokiem do stołu. Wybrał krzesło obok pana Beechama, dla którego zarezerwowane było miejsce*

180

*u szczytu stołu. Siadając, wicehrabia powitał Lizzie dyskretnym ukłonem.*

*Pan Beecham dał znak kanceliście, by zamknął drzwi. Kiedy polecenie zostało wykonane, pulchny mały adwokat zajął należne mu miejsce i przez chwilę grzebał w papierach, szykując się do wystąpienia. Spojrzał na swój kieszonkowy zegarek w tym samym momencie, kiedy zegar ścienny wybił dziewiątą, po czym - gdy umilkło ostatnie donośne uderzenie - odchrząknął na znak, że zebranie zaraz się rozpocznie.*

*Lizzie usiadła prosto i starała się patrzeć na adwokata, ale jej wszystkie myśli koncentrowały się na Devlinie. Był taki zamyślony i zamknięty w sobie. Wyczuwała bariery, oddzielające go od reszty świata. Ramiona miał skrzyżowane na piersi, oczy półprzymknięte; otaczała je drobna siateczka zmarszczek. Jego wysokie kości policzkowe odznaczały się jeszcze wyraźniej, jakby stracił kilka funtów na wadze. Gdy pogrążył się*

*w myślach, jego twarz miała mroczny i posepny wyraz. Nie wyglądał na człowieka, który zaraz odziedziczy pół miliona funtów!*

*- Szanowni państwo, dziękuję za przybycie - zaczął pan Beecham.*

*- Wracamy dziś myślą do wielkiej damy, która na długo pozostanie*

*w naszej pamięci, do Augusty Kimball, lady Strathmore. Jeśli państwo*

*nie mają żadnych pytań, przystąpimy do odczytania testamentu. - Pan*

*Beecham obrzucił pytającym spojrzeniem siedzących wokół stołu. Nikt*

*się nie odezwał, skinął więc głową i kontynuował: - Zaczniemy od zapisów dla instytucji dobroczynnych, następnie dla domowników, na ostatku zaś dla krewnych.*

*Adwokat sięgnął do wielkiej teki. Gdy zaczął odczytywać wyjątkowo*

*szczodre zapisy lady Strathmore na rzecz kościoła parafialnego, przytułku, który założył jej ojciec dla starych robotników, a wreszcie galerii sztuki w Bath, Lizzie zerknęła na Devlina i stwierdziła, że ten bezczelnie wpatruje się w nią.*

*Na chwilę oboje zapomnieli o wszystkim, co dzieje się wokół nich.*

*Pod wpływem jego zgłodniałego spojrzenia przebiegł ją dreszcz, choć*

*Devlin nie uśmiechnął się do niej, jakby z rozmysłem zamykał przed nią*

*serce, nie chciał dopuścić do żadnej więzi między nimi.*

*Spojrzała badawczo w przejrzyste, błękitnozielone oczy, usiłując*

*zrozumieć jego postępowanie. Jeśli dręczy go ból, dlaczego nie szuka*

*pomocy? Dlaczego ją odpycha?*

181

*Przesłonił oczy rękami i odwrócił się, skupiając uwagę na postanowieniach testamentu, odczytywanych monotonnym głosem przez Beechama.*

- Ponadto lady Strathmore zapisuje sto funtów szanownemu doktorowi Andrew Bellowi jako wyraz wdzięczności za jego życzliwą opiekę. Podobnie sto funtów Charlesowi Beechamowi, czyli mnie - dodał

adwokat, niejako w nawiasie; jego blada twarz lekko się zaróżowiła.

- W podziękę za wieloletnią, niezawodną i lojalną pomoc. Pani wicehrabina była doprawdy bardzo łaskawa - wymamrotał. - Dla każdego z dwanaściorga wnucząt pani Rowland po sto pięćdziesiąt funtów...

Dev i Lizzie znowu ostrożnie spojrzeli na siebie.

Pan Beecham przeszedł do odczytywania zapisów starej damy dla jej krewnych, następnie zaś odłożył dokument na stół.

- Przystąpimy teraz do instrukcji dotyczących zasadniczej części jej majątku.

- Musiałeś coś pominąć, Charlesie. - Głęboki głos Devlina wprowadził w zamęt wszystkie zmysły Lizzie. - Nie słyszałem żadnej wzmianki o zapisie na rzecz panny Carlisle.

- Właśnie... hm... Zaraz do tego przejdziemy, milordzie.

Devlin uniósł brew i usiadł znów spokojnie.

Lizzie zauważyła, że krewni zmarłej gapią się na nią bezczelnie. Niewiele ją to jednak obeszło. Była zdumiona troską Devlina o to, by otrzymała swój legat, choćby niewiele znaczący. i

- A zatem - podjął znów adwokat i kaszlnął, osłaniając usta ręką.

Otworzył inną przegródkę skórzanej teki i wydobyl kolejny dokument.

- W lutym, zaledwie kilka tygodni przed swoją śmiercią, lady Strathmore dokonała pewnych zmian w swym testamencie. Stwierdziłem autentyczność jej podpisu i wysłuchałem zeznań świadków. - Skinieniem głowy wskazał stare, wierne służące wicehrabiny, siedzące pod ścianą, i z trudem przełknął ślinę. - Odczytam teraz rozporządzenia

końcowe w takiej formie, jaką nadała im lady Strathmore dwunastego

lutego.

Siedzący po przeciwnej stronie stołu Devlin poruszył się niespokojnie, nie spuszczając wszakże wzroku z adwokata. Lizzie powstrzymała się z wielkim wysiłkiem od wiercenia się na krześle.

*Miała wrażenie, że*

*zaraz wydarzy się coś niebywałego.*

182

*- „Szanowny panie Beecham” - czytał adwokat. - „Przesyłam panu*

*niniejszym mój zmieniony testament, który nabiera od tej chwili mocy*

*wiążącej. W sierpniu 1816 roku zatrudniłam nową damę do towarzystwa, w nadziei że będę dzięki temu przyjemniej spędzać czas. Ta młoda kobieta, Elizabeth Carlisle, udowodniła swym postępowaniem, że ma*

*dobre serce, poczucie odpowiedzialności i nieoceniony charakter. Choć*

*niejednokrotnie wykpiwałam jej ekscentryczne projekty, odkryłam, że*

*i ja u schyłku życia mam jeszcze ochotę zrealizować kilka swoich projektów, a zwłaszcza jeden, dotyczący rozporządzenia moim majątkiem...”*

*Lizzie zmarszczyła brwi, zdezorientowana. Co z jej książkami?*

*- „Wszystkie zapisy na rzecz instytucji dobroczynnych, mojej służby oraz krewnych pozostają bez zmian. Co się zaś tyczy zasadniczej części majątku, pozostawionego mi przez ojca, godnego najwyższego*

*szacunku...” - Pan Beecham otarł chusteczką czoło, odsunął się nieco*

*od Devlina i czytał dalej: - „Niniejszym postanawiam, aby cała suma,*

*w wysokości pięciuset tysięcy funtów, przypadła po połowie mojemu*

*ukochanemu bratankowi Devlinowi i Elizabeth Carlisle...”*

*Devlin był zszokowany.*

*- „Jednakowoż uprawomocnienie tego zapisu nastąpi jedynie wówczas, gdy wyżej wzmiankowane osoby, a mianowicie mój bratanek i panna Carlisle, bez żadnego przymusu i z własnej woli połączą się świętym węzłem małżeńskim...”*

*Lizzie otworzyła usta ze zdumienia.*

*- Co takiego?!*

*Słowa te, niczym uderzenie pioruna, przerwały pełną zdumienia ciszę. Zapanował ogólny chaos.*

*Krewni miotali przekleństwa, Devlin zerwał się na równe nogi,*

*przewracając krzesło, które runęło z łoskotem.*

*- To absurd! — ryknął Dev, waląc potężną pięścią w stół. - Do*

*wszystkich diabłów, mój panie! Cóż to za idiotyczny żart?!*

*Wrzeszczeli wszyscy z wyjątkiem Lizzie, która siedziała w osłupieniu, uświadamiając sobie, że istotnie był to żart. Ostatni żarcik lady Strathmore. Do licha z jej manią swatania!*

*- Proszę, niech się państwo uspokoją, jeszcze nie skończyłem czytać!*

*- Jeszcze coś?! - ryknął Devlin.*

183

*- „Gdyby zaś małżeństwo tych dwojga młodych nie doszło do skutku w ciągu trzech miesięcy od odczytania mojej ostatniej woli” - czytał dalej drżącym głosem pan Beecham - „niniejszym zapisuję cały mój majątek Towarzystwu Dobrej Nadziei, które działa przy Gravel Lane*

*w parafii Christchurch. Taka jest moja ostatnia wola, poświadczona podpisami dwóch moich wiernych, wieloletnich sług, Mildred Rowland i Jane Willis”.*

*Wszystkim zaparło dech. Oskarżycielskie spojrzenia skierowały się na gospodynię i kucharkę.*

*Pani Willis cofnęła się nieco, ale pani Rowland wstała, ściskając*

*w obu rękach swą zniszczoną torebkę. Powiodła dokoła wojowniczym wzrokiem, lecz skierowała swoje słowa bezpośrednio do Devlina.*

*- To szczerą prawdą, milordzie, co do joty. Jaśnie pani wezwała mnie do swego pokoju, żebym to poświadczyła własnym podpisem. To było w nocy przed pańskim powrotem do Londynu, milordzie. I jaśnie pani*

*kazała mi to przywieźć tutaj, jak najszybciej. „Oddaj do rąk własnych pana Beechama”, powiedziała. No i tak zrobiłam. Klnę się na własne życie, że to szczerą prawdą... i, jakby mnie kto pytał, najlepsze rozwiązanie!*

*Na to oświadczenie brwi Lizzie uniosły się wysoko do góry, ale Devlin miał taką minę, jakby chciał kogoś udusić własnymi rękami.*

*- Zostawcie nas samych! - warknął.*



*Lizzie zrozumiała to w ten sposób, że Dev chce porozmawiać ze swoim adwokatem i zamierzała wyjść razem z innymi, ale przeszył ją tak groźnym wzrokiem, że zamarła w pół ruchu.*

*- Ty zostaniesz! - oświadczył kategorycznie.*

*Jego szorstki ton sprawił, że ocknęła się z osłupienia, a oburzenie kazało jej zerwać się z krzesła.*

*Oparł obie ręce na stole, który ich rozdzielał. Pochylił się ku niej.*

*- No, panno Carlisle! - mówił wolno, ostro i z naciskiem, podczas*

*gdy adwokat pierzchnął w ślad za innymi. - Wiedziałem, że jesteś przebiegła i sprytna, ale ten ostatni wyczyn to już szczyt wszystkiego!*

*- Co takiego?!*

*Wpatrywał się bacznie w jej twarz wściekłym wzrokiem.*

*- Wyjaśnij, co to wszystko ma znaczyć!*

*- Ja mam to wyjaśniać?! Jestem równie zaskoczona, jak ty! Nie mam zielonego pojęcia, dlaczego twoja ciotka wymyśliła coś podobnego!*

184

*- Dlaczego? Bo chciała mnie zaobrączkować, ot co! - Uderzył pięścią w stół, po czym oskarżycielsko wskazał na Lizzie. - I dlatego, że ty ją do tego namówiłaś! Ale dowcip ci nie wyszedł, złotko! Nikt się nim*

*nie ubawił!*

*- O co mnie właściwie oskarżasz?!*

*- Jakbyś sama tego nie wiedziała! Zawołam tu z powrotem Beecha-*

*ma - burknął przez zaciśnięte zęby, usiłując się opanować. - Liczę na to, że przyznasz się do wszystkiego!*

*- Nie mam pojęcia, o czym mówisz!*

*- No to ci wytłumaczę, moja sprytna panno Carlisle! Skłoniłaś moją*

ciotkę do zmiany testamentu w ten sposób, żebym musiał się z tobą ożenić. Obie sprzysięgłyście się przeciwko mnie! Ciotka od lat usiłowała mnie skłonić do ożenku... a ty pomyślałaś widać, że warto zostać wicehrabiną. Może po to, żeby zemścić się na Alecu!

Lizzie rozdziawiła usta ze zdumienia, ale zaraz zacisnęła wargi

w świętym oburzeniu.

- Nie zrobiłam nic podobnego! Naprawdę myślisz, że aż tak mi na

tobie zależy?! Też coś! Człowiek, o którego wybrykach trąbią wszystkie

plotkarskie gazety! Który nurza się w zepsuciu! Miałabym wyjść za kogoś takiego?! O nie, wasza lordowska mość! Nie wyszłabym za ciebie, choćbyś mnie błagał na kolanach! Zegnam, milordzie!

Jej zniewagi zbiły go na chwilę z tropu. Lizzie wykręciła się na pięcie

i dumnym krokiem opuściła pokój. Ale już w następnej sekundzie Dev-

lin odzyskał mowę i zdolność ruchu.

- Wracaj! - ryknął, wybiegając za nią. - Jeszcze z tobą nie skończy

łem!

- Ale ja z tobą tak! - burknęła, wrywając niemal swój płaszcz z rąk

kancelisty.

Devlin złapał ją za łokieć, i to bynajmniej nie delikatnie.

- Nie dotykaj mnie! - krzyknęła, odwracając się błyskawicznie, by

stawić mu czoło. - Jak śmiałeś oskarżać mnie o taką podłość?! Nie mam

nic wspólnego ze zwariowanym pomysłem twojej ciotki! Ani trochę mi

nie zależy na tych pieniądzach! Co innego z tobą, mój drogi Diable.

Wprost nie mogę się doczekać, kiedy cię wpakują do więzienia za długi!

Wyszarpnęła łokieć z jego uścisku i wielkimi krokami ruszyła do

drzwi.

- Do diaska! Klóć się, jakby już byli Bóg wie ile lat po ślubie! -

*mruknął kancelista pod nosem, gdy go mijala.*

*Lizzie obrzuciła młokosa groźnym spojrzeniem i trzasnęła drzwiami*

*kancelarii, po czym udała się do stajni po swoją dwukólkę i kucyka.*

*Przymknąwszy na chwilę oczy, Dev usiłował zapanować nad gniewem. Ścisnął nos u nasady, jakby się nad czymś zastanawiał. W końcu dał za wygraną. Wymamrotał jakieś przekleństwo i wielkimi krokami*

*ruszył za Lizzie. Mógł jednak najwyżej zrobić jej awanturę na ulicy.*

*Szybko się oddalała, maszerując zwawo po chodniku, a spódnica ładnej*

*liliowej sukni trzepotała wokół jej nóg w takt gniewnych kroków. Plecy*

*miała sztywno wyprostowane, a drobne dłonie w czarnych rękawiczkach zaciśnięte w pięści. Spojrzenie, jakie mu posłała, było ostre jak grot strzały.*

*Devlin nastroszył się, serce biło mu jak szalone z daremnej żądz*

*i wściekłości. Nagle dziewczyna skręciła za róg i znikła we wnętrzu stajni. Devlin dopiero wówczas spostrzegł, że krewni jego ciotki i kancelista Charlesa spoglądają na niego z wykuszowego okna kancelarii adwokackiej.*

*Wydał jakiś nieartykułowany pomruk i wykręciwszy się na pięcie,*

*ruszył z powrotem.*

*- Sprowadź powóz! - burknął do Bena, który stał w pobliżu, wyraźnie zbulwersowany.*

*W wojowniczym nastroju Dev powrócił do kancelarii Beechama.*

*Obserwujące go przed chwilą osoby pospiesznie odwróciły się w inną stronę, udając kompletną obojętność.*

*- Charles! - ryknął wicehrabia.*

*Adwokat z trudem przełknął ślinę.*

*- Słucham, milordzie?*

*Dev zmrużył oczy i zmierzył groźnym spojrzeniem małego grubaska.*

*Kropelki potu natychmiast się pojawiły na łysiejącym czole Charlesa.*

*Adwokat cofał się w miarę, jak Dev się do niego zbliżał.*

*- To nie może być zgodne z prawem! -warknął wicehrabia.*

*- N...niestety jest, m...milordzie -wyjąkał Beecham, ocierając łysinę. - Lady Strathmore m...miała prawo rozporządzić swym m...majątkiem, jak ch...chciała.*

186

*- Wyciągnij mnie z tej matni, Charles. Znajdź jakiś sposób!*

*- T...tak, m...milordzie. Zrobię, c...co się da!*

*- Postaraj się.*

*- T...to zajmie t...trochę cz...czasu...*

*- Ja nie mam czasu do stracenia! - zagrział Devlin, wrywając*

*gniewnie płaszcz z rąk kancelisty. - Pamiętasz ten pawilon? I jego remont? I dom przy Portman Street? Tonę w niezapłaconych rachunkach, cholera jasna! Musisz mnie z tego wyciągnąć, Charlesie! Rozumiesz?*

*- T...tak jest, milordzie.*

*- To dobrze. - Dev wypadł z kancelarii jak burza, wlokąc swój elegancki płaszcz po ziemi. - Do domu! - burknął do stangreta.*

*Ben ledwie zdążył wślizgnąć się do wnętrza powozu za wicehrabią.*

*Dev bez zwłoki sięgnął do schowka na trunki, ukrytego pod siedzeniem*

*naprzeciwko i nalał sobie potężną porcję whisky. Gdy powóz ruszył,*

*bursztynowy płyn omal się nie rozlał. Dev zapobiegł katastrofie, pospiesznie podnosząc kieliszek do ust. Wychylił jego zawartość jednym haustem.*

*- Znakomita! - sapnął, nieco uspokojony, gdy ognisty płyn spłynął*

*do żołądka. - Po prostu znakomita, psiakrew!*

*I nalał sobie znowu.*

*Ben obserwował go z niepokojem.*

*- Niech diabli porwą kobiety i ich sztuczki!*

*- Ależ milordzie! Chyba nie przypuszczasz, że dziewczyna miała*

*z tym...*

*- Mówię o ciotce! - Po następnym kojącym hańsście Dev opadł na*

*poduszki i popatrzył na służkę. - Starsza pani zrobiła ze mnie kompletnego durnia. Miała satysfakcję, psiakrew, że się śmieje ostatnia! - Rozejrzył się po wnętrzu eleganckiego powozu. Popatrzył na kryształowy kieliszek i niezwykle kosztowny trunek, w końcu zaś na Bena. -Jestem zrujnowany.*

*Ben miał posępną minę. Wiedział, że to wcale nie przesada.*

*- A to stawia pod znakiem zapytania wszystkie moje plany. Wyobrażasz sobie, z jakim pośpiechem Carstairs i cała reszta odżegnają się ode mnie, kiedy odkryją, że grozi mi więzienie za długi? I bez tego nie mają do mnie zbyt wiele zaufania. A jestem już tak blisko... Niech to szlag!*

*Ta cholerna stara intrygantka! - wrzasnęła. - Jak mogła mi zrobić coś*

*187*

*takiego?! Uważaj, Ben! Jak mi Bóg miły, uduszę cię, jeśli powiesz: „Sam jesteś sobie winien!”*

*Ben potrząsnął głową.*

*- Jestem pewny, milordzie, że ciotka chciała dla ciebie jak najlepiej*

*- powiedział ostrożnie.*

*- Mało mnie to obchodzi! Nie dam się zmusić do tego małżeństwa!*

*Nie pozwolę, żeby mną manewrowała zza grobu, do cholery! - oświadczył, ale był bardziej zły na siebie niż na ciotkę. Jeśli nie potrafił tego przewidzieć, jak, do stu diabłów, chce w pojedynkę przechytrzyć tych*

*wszystkich bydlaków z Klubu Jeźdźców i Woźniców?!*

*Czyżby wziął na siebie ciężar ponad siły? Choćby nawet, tkwił*

*w tym już zbyt głęboko, żeby się wycofać. Czy potem zdoła wyłonić*

*się stamtąd na powierzchnię, to się dopiero pokaże. Osobiście nie dbał*

*o to, czy wyjdzie z tego żywy, czy nie. Ale tak czy owak, bez względu na*

*głupie sztuczki ciotki Augusty, nie zamierzał ciągnąć za sobą w przepaść*

*Lizzie Carlisle!*

*Był wściekły na siebie za to, że zranił ją nieprzemyślanymi słowami.*

*Zaskoczony ciotczynym psikusem, oskarżył najuczciwszą, najszlachetniejszą dziewczynę, jaką znał, o podłą intrygę. Gdyby chodziło o kogoś innego, jego podejrzenia mogłyby mieć jakieś podstawy, ale ona nie postępowała tak jak wszyscy. To była po prostu Lizzie!*

*Serdeczna, łagodna Lizzie, myślał z bólem. Szczera, wierna, czuła*

*Lizzie, która nie potrafiła kłamać... Na przyszłość, powiedział sobie, nigdy nie prowokuj inteligentnej kobiety! Ależ go wychłostała! Miała naprawdę ostry język!*

*Nie wiedział co robić, więc napił się znowu.*

*- Czy ten pomysł z małżeństwem jest dla ciebie naprawdę nie do przyjęcia? - spytał Ben cicho.*

*- Nie bądź głupi, Ben! Nie o to chodzi! - wymamrotał, westchnął i potrząsnął głową.*

*- No więc o co? Uważasz ją za nieodpowiednią partię?*

*- Nic mnie nie obchodzi jej pochodzenie ani pozycja - odparł ze znużeniem. - Zważ jednak okoliczności! To nie pora na małżeńskie plany.*

*Jego umysł wzdragał się przed takim rozwiązaniem, odmawiał uparcie pogodzenia się z koniecznością.*

188

*- Kto wie, może to właśnie najodpowiedniejsza pora?*

*Dev prychnął pogardliwie.*

*- Nie słyszałeś, co powiedziała? Nie i już, choćbym ją błagał na kolanach! Cytuję dosłownie, przyjacielu!*

*Wychylił resztkę whisky i oparł znękaną głowę o poduszki.*

*- W Bath była innego zdania. Ty zresztą także, jak mi się zdaje!*

*Dev skrzywił się, prychnął lekceważąco i, kompletnie zagubiony,*

*wlepił wzrok w okno powozu. Ożenić się z Lizzie?...*

*Zadrzał, czując równocześnie pragnienie i obawę. Jakże łatwo by*

*łoby paść jej w ramiona i zapomnieć o wszystkich gorzkich życiowych*

*lekcjach, które pozostawiły ślady na jego duszy. Nie mógł jednak ulec*

*namiętności. Nie pozwoli, by ta dziewczyna wkradła mu się do serca,*

*a los znów potłukł je na kawałki! Ledwo się podniósł po jednym takim*

*ciosie.*

*- To co zrobisz? - spytał Ben.*

*Dev pokręcił głową.*

*- Coś wymyślę.*

*Kiedy dotarli na Portman Street, Dev przekonał się, że wśród wierzycieli rozeszła się już wieść, iż dziś wejdzie w posiadanie swojego majątku. Spory tłumek zgromadził się pod domem, oczekując powrotu Devlina.*

*Widząc, że powóz nadjeżdża, pomknęli w jego kierunku i, wymachując rachunkami, spłoszyli konie. Pojazd zatrzymał się z konieczności i został natychmiast otoczony przez wrzaskliwy tłum.*

*- Jak oni śmia?!*

*Dev wyglądał przez okno, w najwyższym stopniu zbulwersowany. Widocznie każdy z wierzycieli obawiał się, że jeśli się nie upomni o swoje w pierwszej kolejności, pieniędzy zabraknie. Rozrzutność Diabła Strathmore'a była przysłowiowa!*

*- Za pozwoleniem, milordzie! -wrzeszczeli. -Jedną chwileczkę!*

*- Ja jestem od Locke'a!*

*- A ja z Tattersallu!*

*- Chodzi o ten rachunek spod Szkarłatnego Pantofelka, milordzie...*

*- Odsunąć się! - krzyknął stangret, grożąc batem, ale nie dało to*

żadnego efektu.

189

- Czekaliśmy cierpliwie! Należą nam się pieniądze! - Wierzyciele uparcie tarasowali drogę. Powóz nie mógł ruszyć z miejsca.

W porywie gniewu Dev chciał otworzyć drzwi, żeby wygarnąć tym bezczelnym durniom. Ben powstrzymał go, spostrzegłszy pismaka z jednego z bulwarowych pisemek. Żurnalista opierał się o ogrodzenie

z kutego żelaza, otaczające całą posesję, i z uśmiechem obserwował niesmaczną scenę. Notes i ołówek miał już w pogotowiu.

- Nie ma mowy, milordzie - stwierdził Ben z oburzeniem, ale rzeczowo - żebyś się fatygował osobiście. Ja się tym zajmę! - Otworzył

drzwi powozu i stanął na metalowym stopniu, górując nad tłumem.

- Cicho tam!

Wierzyciele umilkli zaskoczeni.

Ben wymownym ruchem obciągnął kamizelkę.

- Proszę się natychmiast rozejść, co do jednego, bo zawołam kon-

stabla! Jak śmiecie urządzać takie widowisko pod domem jego lordow-

skiej mości i zakłócać mu spokój?! Nie wiecie, że wicehrabia jest nadal

w żałobie?

Ktoś spróbował z tego zakpić, ale Ben bez trudu wybił im z głowy

takie żarty.

- Wstydu nie macie, panowie! - zagrzymiał. - Zostaniecie spleceni

w należnym czasie, jak to zawsze bywało do tej pory! Rozejdźcie się, bo

jego lordowska mość nigdy już nie skorzysta z waszych usług!

To wystąpienie naprawdę zaimponowało Devlinowi. Rzucił swemu



*lokajowi ukradkowe spojrzenie, pełne zdumienia i podziwu.*

*Ben odpowiedział równie dyskretnym mrugnięciem, po czym zeskoczył ze stopnia powozu, zatrzasnąwszy za sobą drzwiczki. Gotowy do boju, zaczął usuwać z drogi natrętnych wierzycieli. Niebawem powóz*

*mógł już jechać dalej. Skręcił za róg i skierował się wąską alejką w kierunku stajni.*

*Dev czuł, jak krew tętni mu w skroniach. Zanosilo się na wyjątkowo paskudny ból głowy. Kiedy stangretowi udało się wyjechać stamtąd i uniknęli niesmacznej sceny, uświadomił sobie, że to jedynie przedsmak*

*przyjemności, jakie go czekają, jeśli nie odziedziczy tych pięciuset tysięcy. Już i tak sąsiedzi będą mieli o czym plotkować przez tydzień. W wielkim świecie jedynym grzechem nie do wybaczenia było ubóstwo. Pojął, że znajduje się - ni mniej, ni więcej - na łasce Lizzie Carlisle.*

190

*„Nie, choćbyś mnie błagał na kolanach!”*

*Jasna cholera! Lizzie nie należała do tych, co lubią czcze pogrożki.*

*Pojął, że nie mógł zrobić nic gorszego, kiedy zakwestionował jej uczciwość. Była z niej taka dumna. Nie z urody ani rozumu, tylko właśnie z tego!*

*Cieszył się dużą popularnością wśród jeźdźców i woźniców, gdyż*

*nigdy nie żałował grosza. Nie mógł sobie pozwolić na to, by się domy*

*ślili, że jego sytuacja nie przedstawia się dokładnie tak, jak się wydawa*

*ło.*

*Kiedy powóz się zatrzymał, Dev udał się do domu, wstrząśnięty*

*odkryciem, że wszystkie jego plany mogą lec w gruzach. Nigdy by nie*

*pomyślał, że ciotka robi mu coś takiego! Nauczył się obywać w życiu*

*bez rodziny, bez miłości, nawet bez wygod, jakie niesie ze sobą cywilizacja, na przykład podczas podróży po dzikich lądach albo na morzu. Ale nawet na te wyprawy trzeba było pieniędzy. No i nigdy nie stanął przed*

*możliwością utraty majątku i tytułu.*

*Groziło mu, że będzie musiał żyć w taki sam sposób jak Lizzie Car-*

*lisle.*

*Zastanawiając się nad swym położeniem, pomaszerował do gabinetu na tyłach domu. Chciał przez chwilę posiedzieć w spokoju i rozważyć sytuację. Kiedy wszedł do pokoju, stanął jak wryty.*

*Na biurku siedział kot i trącał łapką gęsie pióro. Kałuża rozlanego atramentu powiększała się i ściekała na kosztowny dywan.*

*- Pasha!*

*Cholerne kocisko natychmiast zeskoczyło z biurka i, pozostawiając za sobą granatowe ślady, umknęło pod fotel.*

*- Niech to szlag!*

*Dev podszedł do biurka, by ocenić straty. Jego korespondencja tonęła w atramencie. Poza kałamarzem kot najwyraźniej interesował się również srebrną tabakierką, ponieważ i ona była przewrócona. Przednia*

*tabaka została rozsypana i pływała po wierzchu atramentowej kałuży, przypominając trociny.*

*- Tego już za wiele!*

*I bez takich niespodzianek pobyt kudłatego potwora pod jego dachem nie należał do przyjemności. Widok ulubieńca ciotki boleśnie przypominał o zmarłej. Pasha od kilku tygodni panoszył się w całym*

*191*

*domu - tłukł bibeloty, wysypiał się w szufladach komody Devlina, aż jego fulary i koszule oblażyły kocią sierścią, wtykał mordkę do wazy z zupą i platał niezliczone figle. Ale w końcu miarka się przebrała! Dev sięgnął pod fotel i wyciągnął kocisko za kark.*

*- Mrrrau!*

*- Ani słowa więcej, kocie! Miałeś swoją szansę i zaprzepaściłeś ją.*

*Zawiadam stangreta, żeby nie wyprzęgał koni, Ben! - poleciał wicehrabia*

*lokajowi, który powrócił właśnie, uporawszy się z wierzycielami. - Wyjeżdżamy. Przy okazji, moje*

*gratulacje! Świetnie sobie poradziłeś.*

*- Dokąd jedziemy? - spytał Ben, unosząc wysoko brwi na widok*

*najbardziej zarozumiałego kota pod słońcem, który wiercił się w twardym uścisku Deva, wywijając nerwowo puszystym ogonem.*

*- Do Knight House. Mam pomysł!*

*- Do Knight House?*

*- Przypuszczam, że tam znajdę nieustraszoną Elizabeth Carlisle.*

*- Raczej nie. Przyjęła posadę nauczycielki na pensji dla dziewcząt*

*w Islington. Zdobyłem adres od kancelisty Beechama. Pomyślałem, że może ci się przydać, milordzie.*

*Dev odchrząknął, a jego lokaj uśmiechnął się bezczelnie.*

*- Postaraj się o klatkę dla tego potwora, dobrze?*

*Ben spełnił polecenie. W chwilę później Devlin wsadził kota do solidnego trzcinowego koszyka.*

*- To zwierzę będzie chyba odpowiednim darem na przeprosiny, nie*

*uważasz? - wycedził jego lordowska mość, zamykając wieko. - Dziewczęta przepadają za kotami!*

*Ben spojrzał na swego pana z powątpiewaniem, ale ruszył za nim,*

*gdy wicehrabia z Pashą w klatce wyszedł z domu. Wsiadli do powozu.*

*- Co chcesz zrobić, milordzie?*

*- To inteligentna kobieta. Jestem pewien, że wspólnie coś wymy*

*ślimy.*

*- Zamierzasz ją przekupić? - spytał Ben z zaniepokojoną miną.*

*Dev uśmiechnął się cynicznie.*

*- Każdy ma swoją cenę.*

*Cóż za okropny człowiek! Lizzie nadal kipiała z gniewu, choć powróci*

*ła już na pensję pani Hall. Pomyśleć tylko, że z narażeniem życia wyruszyła do miasta i straciła część należnych jej pieniędzy, prosząc o wolne przedpołudnie. I za to wszystko została beczelnie znieważona! Jedyłą pociechę stanowiła, jakże miła jej sercu, wizja Diabła Strathmore'a, zamkniętego w jednym z najbardziej posępnych więzień za długi. Zasłużył sobie na to!*

*Koło południa ciepłe kwietniowe słońce pokonało ranny chłód, toteż młodym damom pozwolono spędzić część wolnego czasu na gminnym błoniu, po przeciwnej stronie drogi na wprost szkoły.*

*Zauważywszy z zadowoleniem, że Daisy Manning zaprzyjaźniła się*

*z nową uczennicą, Sorszą Harris, Lizzie usiadła na ławce. Pilnowała*

*dziewcząt i rozkoszowała się ciepłem słońca na twarzy. Zdjęła czepek,*

*nie bacząc na to, że zniszczy sobie cerę i dostanie piegów, choć nieraz jej mówiono, że nieskazitelna karnacja stanowi jej największy powab. Jakież to miało znaczenie? Nigdy już nie zatroszczy się o to, co mężczyźni myślą o jej wyglądzie!*

*Siedziała w słońcu, pilnując uczennic i przyszło jej na myśl, że nie-*

*bieskozielony staw, połyskujący w słońcu złotem, przypominał oczy*

*Devlina. Odsunęła od siebie z niesmakiem tę myśl. A niechże Dev zgnije we Fleet Prison za długi, nie obejdzie jej to ani trochę! Może najwyżej kiedyś przyniesie mu książkę, by miał czym zapełnić wlokące się godziny. Tom kazań o cnotliwym życiu albo Biblię. Lekturę, nad którą*

*mógłby się głęboko zastanowić.*

*Nagle usłyszała turkot nadjeżdżającego powozu i obejrzała się.*

*Dziewczęta grające w pall-mall przerwały zabawę i znieruchomiały*

*z młotkami w ręku, spoglądając na elegancki ekwipaż, który zmierzał*

*w stronę błonia, zaprzężony w czwórkę dziarsko kłusujących karych*

*fryzyjskich koni.*

*Oczy Lizzie zwężyły się niebezpiecznie. A więc znalazł ją! Podniosła*

*się z ławki, powiew wiatru oblepiał fałdy spódnicy wokół jej nóg. Była*

*naprawdę wściekła, gdy wspaniały czarny powóz szerokim łukiem pokonał zakręt i zwolnił biegu.*

*Na drzewczkach błysnął herb Strathmore'ów.*

*13 - Ukochana diabła 1 9 3*

*Pojazd zatrzymał się, wszystkie dziewczęta wpatrywały się weń, zachwycone.*

*O Boże! Tylko tego brakuje, żeby drzwi się otworzyły i wyskoczył*

*z nich osławiony rozpustnik, Diabeł Strathmore, żeby mnie dręczyć!*

*Co by na to powiedziała pani Hall?! - pomyślała Lizzie. Wydarzyło się*

*dokładnie to, czego się obawiała. Ben wysiadł za swym panem, dźwigając solidnie wyglądający, czworokątny koszyk z rączką na pokrywie.*

*Lizzie nieufnie popatrzyła na zbliżającego się do nich Devlina. Potem skrzywiła się, widząc, że uczennice wpatrują się w niego szeroko otwartymi oczyma, z wyraźnym podziwem, szepcząc, chichocząc i zasłaniając usta ręką.*

*On zaś utkwiał zuchwały wzrok w Lizzie. Jeden kącik ust uniósł się*

*w cynicznym uśmiešku, kolczyk połyskiwał w słońcu. Wyglądał w każdym calu na hultaja, gdy szedł ku niej rażnym krokiem, wywijając beztróska laseczką. Od niechcenia trzepnął w kulkę dmuchawca; biały puch poszybował z wiatrem. Lizzie skrzyżowała ramiona na piersi i przygotowała się na nieuniknione starcie.*

*- Panno Carlisle! - zawołał zdradziecko przyjaznym tonem. - Przywiozłem prezent dla pani i jej uroczych uczennic.*

*Końcem laski wskazał na koszyk niesiony przez Bena.*

*Fala podniecenia ogarnęła dziewczęta. Ben złożył swój ciężar na*

*najbliższej ławce. Devlin wysilił się na najbardziej czarujący uśmiech*

*w stylu księcia z bajki i skłonił się lekko młodym damom. Porzucając*

*swe dotychczasowe zajęcia, dziewczęta skupiły się wokół Bena i tajemniczego koszyka, niezwykle zaintrygowane.*

*- Co to takiego, proszę pana?*

*- Co to może być?*

*Ich wysokie głosy niosły się z wiatrem. Lizzie podeszła bliżej, mając*

*się nieustannie na baczności. Kilka uczennic pochyliło się i zajrzało do*

*koszyka. W tej chwili rozległo się głośne, rozpaczliwe miauczenie.*

*- Kotek! - wykrzyknęła jedna z dziewcząt.*

*- Och, jaki śliczny!*

*- Proszę spojrzeć, panno Carlisle! Ten miły pan przyniósł nam cudowny prezent!*

*Lizzie wpatrywała się w Devlina, gniew w niej aż kipiał. Co za bezczelność! Schyliła się i zajrzała podejrzliwie do kosza. Oczywiście, sie-194*

*dział w nim Pasha z nieszczęśliwą miną, zwinięty w kłębek na aksamitnej poduszce.*

*Rozpuszczony ulubieniec starej damy odwzajemnił spojrzenie*

*Lizzie. Jego wąsata mordka wyrażała ogrom kociej niedoli. Wydobył z siebie ciche, żalotne „mrrrau” i raz czy drugi syknął, nie wiadomo na kogo.*

*Lizzie wyprostowała się i osłoniła oczy od słońca. Devlin zbliżył się do niej ze spuszczoną głową, niczym skruszony uczeń, choć oczy błyszczały mu rozbawieniem.*

*- Nie zostawisz tu tego kota! - oświadczyła stanowczo.*

*Roześmiał się, jakby opowiedziała mu znakomity dowcip. W jego wzroku dostrzegła zadowolenie, gdyż dziewczęta zachwyciły się kosmatym potworem.*

*- Spójrz, jaki słodki! I ma obrózkę wysadzaną klejnotami!*

*- Bardzo panu dziękujemy! Tak tęsknię za kotem, którego zostawiłam w domu.*

*- Jak on się wabi?*

*- Pasha - poinformował je Ben.*

*Lizzie chwyciła Devlina za rękaw płaszcza i, odciągając go na stronę, obrzuciła go morderczym spojrzeniem.*

*- Nie mam pojęcia, co cię tu sprowadza - mruknęła wściekłym*

szeptem. - Nie mam ci nic więcej do powiedzenia! I nie wyobrażaj

sobie, że obarczysz mnie tym piekielnikiem! Ciotka podarowała go tobie!

- A ja ofiarowuję go tobie jako dar pojednania, Liz... to znaczy panno Carlisle - poprawił się, zauważywszy, że kilka uczennic przysłuchuje się ich rozmowie.

Pozostałe wdziękowały się do Bena:

- Możemy wziąć kiciusia na rękę? Bardzo prosimy!

- Znacie przepisy, panienki! - zwróciła się Lizzie do uczennic. -

Żadnych prezentów od nieznajomych! - Posłała Devlinowi spojrzenie

pełne wyrzutu. - Pasha jest tu tylko z wizytą. Pani Hall nie pozwala

trzymać żadnych zwierząt, doskonale o tym wiecie!

- Proszę tylko spojrzeć, jakie szczęśliwe są dziewczynki - cmoknął

językiem Devlin. - A biedny Pasha potrzebuje domu!

Tego już nie mogło znieść czułe serce Daisy.

195

- Biedactwo! - wykrzyknęła córka magnata węglowego. - Czy nie mogłybyśmy wyswobodzić go z tej klatki? Bardzo proszę, panno Carlisle!

Nikt nie zauważył, że stojąca obok Daisy Sorscha wpatruje się z napięciem w Devlina.

- Możecie go pogłaskać przez pręty, ale nie wyjmować - poleciła

Lizzie.

- Ale panno Carlisle, on jest taki nieszczęśliwy!

- Tylko by was podrapał i uciekł - ostrzegła nauczycielka, rzucając

Devlinowi wymowne spojrzenie.

Popatrzył na nią, słuchając uważnie. Potem zwrócił się do uczennic:

- Jeśli panienki pozwolą, chciałbym przez chwilę porozmawiać

*z waszą nauczycielką. Mamy do omówienia pewne... sprawy rodzinne.*

*Ben przypilnuje, żeby przez ten czas nikt nie wpadł do stawu - zapewnił, zanim Lizzie zdążyła zaprotestować. Kiedy uczennice skinę*

*ły głowami na znak zgody, zwrócił się do Elizabeth i podał jej ramię:*

*- Idziemy?*

*Nie miała pojęcia, jak się z tego wywinąć. Gdyby wywołała awanturę, sprowadziłoby to panią Hall, a ta nie omieszkałaby przeprowadzić śledztwa. Pamiętając, że w każdych okolicznościach powinna świecić*

*panienkom przykładem, Lizzie powstrzymała potok przykrych słów,*

*którymi chętnie obrzuciłaby Deva. Uniosła dumnie głowę i, wyminąwszy go, ruszyła kamienistą ścieżką, która wiła się wokół stawu. Taki spacer pozwalał jej mieć na oku podopieczne, a równocześnie zapewniał jej i Devlinowi pewne odosobnienie. Dev opuścił wzniesione ramię i westchnął, niezadowolony.*

*- Jak śmiesz zjawiać się tutaj?! Chcesz, żebym straciła pracę? - spytała szorstkim szeptem, kiedy nieco oddalili się od dziewcząt.*

*- Interesujący pomysł! Nie przyszło mi to do głowy, ale gdybyś nie miała co jeść, może byłabyś skłonna mnie wysłuchać.*

*- Usłyszałam aż za dużo, jak na jeden dzień! Twoje oskarżenia w kancelarii pana Beechama były...*

*- Niewybaczalne, wiem. - To, że przyznał się do winy, zaskoczyło*

*Lizzie. Domyśliła się jednak, że gotów jest powiedzieć wszystko, gdy w grę wchodzi pół miliona funtów. - Bardzo przepraszam, Lizzie! Mó-*

196

*wiłem w gniewie. Musisz przyznać, że pomysł mojej ciotki zaszokował nas oboje. A ty sama zakpiłaś już kiedyś ze mnie, o ile pamiętasz. Nie możesz mnie winić, że w pierwszej chwili nasunęło mi się podejrzenie, że masz z tym coś wspólnego! Ale mimo wszystko nie powinienem był tego mówić. Nie zasłużyłaś na podobne zarzuty.*



- *A to, co powiedziałeś w dniu pogrzebu twojej ciotki? Pamiętasz, jak kazałeś mi natychmiast odejść? Dlaczego, Devlinie? Czym cię obraziłam? Co złego zrobiłam?*

*Wpatrywał się w nią i wyraźnie pobladł.*

- *Nic!*

- *Tamtego dnia głęboko mnie zraniłeś, wiesz? - Spojrzała badawczo na jego zasepioną twarz, a potem pokręciła głową. - Po tym, co wspólnie przeżyliśmy, sprawiłeś, że poczułam się skończoną idiotką.*

*Spuścił wzrok i stał bez słowa przez dłuższą chwilę.*

- *Miałem... zły dzień.*

- *Tak, wiem, ale chciałam tylko pomóc! Nie musiałeś mnie odtrącać. Prawdę mówiąc, mogłabym ci wybaczyć zachowanie podczas pogrzebu, ale nie chodzi tylko o tamten dzień! Nawet dziś rano, kiedy weszłam do kancelarii pana Beechama, spojrzaleś na mnie tak zimno,*

*a potem oskarżyłeś mnie o wyjątkowo podłą intrygę, rzuciłeś mi to w twarz!*

- *Bardzo mi przykro.*

- *Nie wątpię. Zwłaszcza teraz, kiedy ode mnie zależy, czy dostaniesz upragnioną fortunę! Nie jestem głupia, Devlinie. Wiem, dlaczego tu przybyłeś, ale obawiam się, że tracisz tylko czas.*

- *A to dlaczego?*

- *Ponieważ twoje uczucia w stosunku do mnie są równie szczere*

*jak te, które Alec żywi do lady Champion! - wykrzyknęła. - Szczerze*

*mówiąc, w tych okolicznościach wolalabym, żeby pieniądze dostały się*

*instytucji charytatywnej, a nie tobie. Sprzedaj kilka ze swych skarbów*

*na licytacji, jeśli chcesz uniknąć pobytu we Fleet Prison. I oducz się żyć ponad stan. To ci z pewnością nie zaszkodzi!*

*Podrapał się w skroń, szukając jakiegoś rozwiązania.*

- *Czy ty masz pojęcie, ile to pieniędzy? Pięćset tysięcy funtów?!*

*- Dla mnie za mało, by wyrzec się dumy! - oświadczyła. - Nigdy*

*nie wzięłabyś pod uwagę małżeństwa ze mną, gdyby nie te pieniądze!*

197

*Twoje dzisiejsze zniewagi są tego najlepszym dowodem. A ja nigdy w życiu nie wyszłabym za kogoś, kto w gruncie rzeczy wcale mnie nie pragnie.*

*Devlin zacisnął zęby.*

*- Chcesz, żebym się przed tobą płaszczyl? Dopiero to cię zadowoli?*

*- Możesz się płaszczyć, jeśli ci to odpowiada, proszę bardzo! Ale*

*to w żaden sposób nie wpłynie na moją decyzję. Ty i ja wcale do siebie nie pasujemy. Cóż by to było za piekło poślubić człowieka, który jest ;' niezdolny do miłości!*

*- Kto ci powiedział, że jestem niezdolny do miłości?!*

*- Twoje czyny, twój sposób bycia, cała otaczająca cię atmosfera.*

*To wszystko wręcz krzyczy: „Nie zbliżaj się!” A przecież jesteś najbardziej samotnym człowiekiem, jakiego znam. Trzymałeś się na dystans od swojej ciotki, odepchnąłeś mnie, boisz się nawet przywiązać do tego*

*głupiego kota! - Wskazała niecierpliwym gestem parkową ławkę, wokół*

*której nadal tłoczyły się dziewczęta, głośno wyrażając swe zachwyty nad*

*Pashą. - Zamknij swoje serce przede mną, jeśli musisz, Devlinie. Ale nie*

*możesz wiecznie żyć w taki sposób!*

*- Gdybyś mnie dopuściła do słowa, wiedziałabyś, że nie proponuję*

*ci wcale prawdziwego małżeństwa, którego tak się lękasz - odciął się*

*Devlin. Twarz mu poczerwieniała. - Istnieje prostsze rozwiązanie i jestem gotów szczerze okazać ci swoją wdzięczność, jeśli na nie przystaniesz.*

*Uniosła brwi, twarz jej wyrażała powątpiewanie. Potem skrzyżowała*

*ręce na piersi.*

*- To może być interesujące!*

*- To całkiem proste. Pobierzemy się, zgodnie z wymogami testamentu, wejdziemy w posiadanie pieniędzy, a tydzień później uzyskamy unieważnienie małżeństwa. I rozejdziemy się, każde w swoją stronę. Co*

*ty na to? Za jaką cenę gotowa jesteś na to przystać?*

*- A więc chcesz mnie przekupić? Ale powiedz mi, proszę, szlachetny milordzie, na jakiej podstawie mamy uzyskać to unieważnienie?*

*Oświadczymy, że zostałam zmuszona do małżeństwa? W takim razie*

*przygotuj się na pojedynek z każdym z braci Knightów. Wszyscy poślą*

*198*

*ci wyzwanie, gdy tylko się rozejdzie taka pogłoska! A może wolisz unieważnienie z powodu niemożności skonsumowania naszego związku?*

*Wyobrażam sobie, co to będzie za sensacja w wielkim świecie! Uwodziciel z twoją reputacją niezdolny do spełnienia powinności małżeńskich!*

*Ale nie! Tak czy inaczej wyjdiesz z tego zwycięsko. Takim jak ty zawsze*

*się to udaje. I w końcu to ja wyjdę na głupią. Nie, dziękuję!*

*Słyszała, jak Dev klnie pod nosem, gdy ruszyła przodem.*

*- W porządku, zapomnijmy o unieważnieniu. - Po kilku krokach*

*bez trudu zrównał się z nią. - Wobec tego pobierzemy się, podzielimy*

*pieniędzmi i weźmiemy rozwód.*

*- I zostaniemy pariasami na resztę życia? To już z dwojga złego lepsze unieważnienie! - zadrwiła.*

*- Doskonale! - stanął, zagrządzając jej drogę. - Oto moja ostatnia*

*propozycja. Pobierzemy się i nie będziemy wchodzić sobie w paradę.*

*Każde z nas może wieść własne życie.*

*- I to miałyby być trwałe małżeństwo?*

*Wzruszył ramionami, jego twarz miała nieodgadniony wyraz.*

- Ty potrzebujesz męża, ja spadkobiercy.

- Spadkobiercy? - Ten człowiek potrafił doprowadzić ją do furii!

Spoglądała na niego ze zdumieniem. - Oświadczam, że bynajmniej nie potrzebuję męża, a co się tyczy spadkobiercy, to nie mam pojęcia, jak moglibyśmy się go doczekać, bo z pewnością nigdy już nie pozwolę, żebyś mnie tknął!

Policzki jej pałały. Chciała odejść, ale chwycił ją za łokieć.

- Zaczekaj, Lizzie.

Gniewnie strząsnęła jego rękę.

- Puść mnie! Masz już moją odpowiedź, dałam ci ją w kancelarii pana Beechama. Nie zmieniłam zdania. Prawdę mówiąc, ta wizyta umocniła mnie w moim postanowieniu, więc może byś sobie wreszcie

poszedł?

- Dlaczego jesteś taka uparta?! - krzyknął, szorstko obracając ją twarzą ku sobie.

- Nigdy nie słyszałeś o godności? Jeśli myślisz, że pozwolę się wykorzystać tylko po to, żebyś mógł się dobrać do pieniędzy, to chyba oszalałeś!

199

- Nie, Lizzie, to ty zachowujesz się jak szalona, bo pragniesz mnie

tak samo jak ja ciebie, tylko jesteś zbyt dumna, żeby się do tego przyznać!

- Ależ tak, wiem, że mnie pragnąłeś. Chciałeś zrobić ze mnie swoją

kochankę. - Syknęła, zniżając nieco głos, by uczennice nie usłyszały.

- Tylko to miałeś mi do zaoferowania, póki nie weszły w grę pieniądze

twojej ciotki. Nie dałeś znaku życia od tamtej nocy, kiedy byliśmy razem! Woląłeś całkiem wymazać mnie z pamięci po tym incydencie, więc wybacz, ale jakoś mi nie pochlebia ten nagły przyptyw uczuć z twojej

strony!

- Co za cholerna duma! - zdumiał się. - Patrzcie państwo! Proponuję ci wysoką pozycję towarzyską

*i życie w zbytku. Byłabyś wicehrabiną, miałabyś służbę, klejnoty, najwspanialsze stroje... Połowa londyńskiej śmietanki towarzyskiej jadłaby ci z ręki i nikt nie ośmieliłby się spoglądać na ciebie z góry!*

*- Ty byś się ośmielił - odparła. - Gdybyś ożenił się ze mną wyłącznie dla pieniędzy, na tym by się skończyło, prędzej czy później. Zawsze uważałyś, że nie jestem dość dobra dla ciebie!*

*- Boże, cierpliwości! Nawet by mi to do głowy nie przyszło!*

*- Ale mnie tak!*

*- Oczywiście! I w tym właśnie sęk, Lizzie! Dowiedz się wreszcie, ty*

*nieznośne stworzenie, że jedyną osobą, która uważa cię za nie dość dobrą, jesteś ty sama! A może na to zasługujesz? Coś mi się zdaje, że mimo wszystkich twoich zalet i rozumu, kawał tchórza z ciebie!*

*- Co takiego?! -wykrzyknęła.*

*- Wolisz się marnować, kryjąc się w tej dziurze, opiekując się nie*

*własnymi, tylko cudzymi dziećmi, niż zaryzykować i pokusić się o spełnienie swoich marzeń! Ale pewnego dnia, gdy się już zestarzejesz i nadal będziesz tu tkwić, spojrzysz wstecz i gorzko pożałujesz, że zostałaś sama.*

*Tylko ty i twoja cholerna duma!*

*Na te słowa twarz jej pobladła, a krew ścięła się w żyłach. Trafił*

*w czułe miejsce. Nakreślony przez niego obraz potwierdzał jej najgorsze obawy. Z trudem przełknęła ślinę, jej dłonie zacisnęły się w pięści.*

*Dumnie podniosła głowę.*

*- Nie wyobrażaj sobie, że jeśli odrzucam twoje oświadczyzny, wynikające z czystego wyrachowania, to już nigdy nie otrzymam innych 200*

*propozycji! Oświadczano się nieraz o moją rękę i myślę, że takich ofert*

*nie zabraknie i w przyszłości.*

*- I wszystkie odrzucisz, nieprawdaż? Oczywiście, że tak! Oboje o*

*tym wiemy. - Przyglądał się jej uważnie, jego jasne oczy pałały. - Dlaczego?! Stale czekasz, aż Alec wreszcie dorośnie? Długo będziesz na to czekać! Dlaczego z rozmysłem wybierasz męzczyznę, którego możesz*

*adorować wyłącznie z daleka?! Może nie tylko ja odtrącam wszystkich od siebie, Lizzie! Przyszło ci to kiedyś do głowy?*

*Jej serce tłukło się gwałtownie w piersi.*

*- Zegnam, milordzie!*

*- A, rozumiem! Nie możesz znieść prawdy! Potrafisz tylko prawić morały innym!*

*- Powiedziałam już, zegnam!*

*- Miałaś chyba na myśli arrivederci, kochanie? - mruknął groźnie.*

*- Powiedziałam wyraźnie: „Zegnaj”!*

*- To jeszcze nie koniec! - szepnął na odchodnym i odszedł, jak mu kazała.*

*Lizzie drżąc, skrzyżowała ręce na piersi. Nie ruszyła się z miejsca, póki wicehrabia nie oddalił się znacznie, zmierzając do swego powozu.*

*Kiedy wreszcie wróciła do uczennic, Sorscha Harris pociągnęła ją nieśmiało za rękaw.*

*- Kto to był, panno Carlisle?*

*- Po prostu nikt - odparła przez zaciśnięte zęby.*

*Tymczasem Dev - tak wściekły, że nie mógł wydobyć głosu - skinął na Bena, żeby mu towarzyszył. Zawiedzione dziewczęta pożegnały się z Pashą. Ben zabrał kota.*

*- Chyba nie poszło najlepiej? - spytał ostrożnie lokaj, dostosowując swe kroki do kroków pana.*

*Dev spoglądał prosto przed siebie zimnym wzrokiem.*

*- To wojna, Ben - powiedział twardo.*



*To fatalny pomysł! - szepnął Ben, pomagając Devlinowi taszczyć drabinę przez zalane księżycowym blaskiem gminne błonie. Wrócili do szkoły późną nocą.*

*- Nie przypominam sobie, żebyś podsunął mi lepsze rozwiązanie!*

*- syknął Dev przez zęby.*

*- Staraj się o nią jak należy!*

*- Nic z tego, Ben. Możesz o tym zapomnieć. Zaofiarowałem jej swój tytuł, swoje nazwisko i połowę majątku. Pogardziła tym.*

*- Ale...*

*- Uwierz mi, Ben. Sama będzie sobie winna.*

*- Ale żeby porywać? Znienawidzi cię za to!*

*- Nienawiść, jak powiadają, to normalna sprawa w małżeństwie.*

*A przynajmniej dostanę swoje pieniądze!*

*- Nie taką przyszłość planowała dla was ciotka.*

*Dev tylko się skrzywił. Potem jego spojrzenie powędrowało ku oknu*

*na trzecim piętrze, tuż nad morwowym drzewem. Tam, jak się zorientował - zbadawszy dokładnie teren - mieszkała ta młoda harpia. Zmrużył*

*oczy, ujrawszy błysk światła w szparze między zasłonami. Falowały na*

*wietrze, a zatem okno było otwarte. Bardzo się ucieszył z tego odkrycia.*

*W pozostałych oknach było ciemno.*

*- Świeci się u niej. Nie śpi - wyszeptał Ben.*

*Pracowita mróweczka! Pewnie męczy się nad jakimś cholernym tłumaczeniem.*

*Dev zmarszczył brwi i stał tak w księżycowej poświacie naburmuszony, z uparcie wysuniętą szczęką.*

*- Co będzie, jeśli nas usłyszy?*



*- To bez znaczenia.*

*- Jeśli zaczniesz krzyczeć, będziemy musieli uciekać!*

*- Nie będzie krzyczeć. - Z godnym pirata błyskiem w oku Dev pokazał mu jedwabną chustkę, którą zamierzał zakneblować dziewczynę.*

*- Idziemy! Górą przez płot, bo furтка skrzypi.*

*Oparł drabinę o sięgające pasa ogrodzenie, które okalało szkolny ogród od frontu. Potem, uchwyciwszy się sztachetki, przeskoczył na*

*202*

*drugą stronę. W milczeniu przeniósł drabinę nad płotem, podczas gdy*

*Ben wspinał się na ogrodzenie.*

*Uniósł palce do ust, przypominając Benowi, że ma być cicho, po*

*czym obaj przyciągnęli drabinę pod dom i oparli ostrożnie o ceglaną*

*ścianę.*

*Doskonale! Sięgała prawie do jej okna. A drzewo morwowe stanowiło pewną osłonę na wypadek, gdyby ktoś znalazł się w pobliżu.*

*Dev nie przejmował się tym, że może trafić do więzienia za to, co*

*zamierzał właśnie zrobić. Tak czy owak, groziło mu więzienie za długi,*

*a zresztą należał teraz do osławionego Klubu Jeźdźców i Woźniców. Porwanie przyszłej żony było całkiem w ich stylu!*

*Co więcej, ta uparta dziewczyna nie zostawiła mu innego wyjścia.*

*Gdy żadne próby przekupstwa ani fortele nie poskutkowały, zaproponował jej całkiem poważnie małżeństwo. Po raz pierwszy w życiu!*

*I nie był zachwycony, gdy jego oświadczyzny zostały odrzucone. Móg*

*łby jeszcze, rzecz jasna, płaszczyć się i błagać, tylko że nie miał takiego zwyczaju.*

*Wiatr szeleścił w liściach morwy, targał rękawami jego koszuli i rozwiewał mu włosy.*

*Dev z determinacją skinął głową Benowi i wszedł na drabinę. Wdrapywał się szybko, stawiając pewnie stopy na szczeblach. Serce biło mu jak szalone.*

*Dotarł na sam szczyt i zajrzał ostrożnie do wnętrza. Próbował dostrzec Lizzie w szparze między powiewającymi lekko zasłonami. Mignę*

*ło mu biurko, po czym znów musiał czekać, aż firanki rozchylą się pod odpowiednim kątem.*

*Gdyby pracowała przy biurku, niełatwo byłoby ją zaskoczyć, pomyślał. Chyba że jego przemądrzała dziewczynka będzie tak zatopiona w pracy, że nie dostrzeże go, póki nie będzie za późno.*

*Po chwili znów dostrzegł biurko. Nie było jednak przy nim Lizzie.*

*Przesunąwszy się odrobinę wyżej, dostrzegł skromne łóżko. Zza zasłony wyłonił się zgrabny łokieć, potem mignęła mu stopa.*

*Leżała w łóżku. Nie wiadomo dlaczego, serce zaczęło mu bić jeszcze szybciej.*

*Odczekał minutę czy dwie i, nie usłyszawszy niczego podejrzanego, postanowił wejść do środka. Odsunął na bok jedną z zasłon. Kiedy 203*

*zajrzał do wnętrza, pożądanie zaatakowało go z taką siłą, że omal nie spadł z drabiny.*

*Płonąca przy łóżku świeca wypaliła się prawie do końca. Z leżącej na*

*piersi dziewczyny książki z zagniecionymi rogami odgadł, że Lizzie zasnęła podczas czytania. Ani śladu przesadnie skromnej sukni ani ciasno zwiniętego koka, które widział wcześniej.*

*Co za podniecający obrazek! Migocząca świeczka rzucała blask na*

*perłowobiałą skórę i gęste orzechowe włosy, rozsypane na poduszce. Policzki były delikatnie różowe jak wnętrze muszli, rzęsy - prawie czarne.*

*Leżała wygodnie, w swobodnej pozie, z jednym ramieniem odrzuconym niedbale nad głowę, z długimi nogami oplatanymi białą koszulką.*

*Mięciutka i kusząca. Dev nie mógł oderwać od niej wzroku.*

*Taką właśnie ją zapamiętał z tamtej cudownej wspólnej nocy. Pragnął tego samego i jeszcze więcej!*

*Z płonącymi w mroku oczyma stanął na ostatnim szczeblu drabiny*

*i wszedł na parapet. Przysiadłszy na nim, przerzucił nogi do wnętrza pokoju. Podkradł się bezszelestnie, niczym drapieżnik, do łóżka Lizzie, przez cały czas nie odrywając od niej wzroku.*

*Na Boga! Miewał kobiety ze wszystkich stron świata, ale ta śpiąca królewna, ta rdzennie angielska różyczka, była najśliczniejszą, najśłodszą istotą, jaką kiedykolwiek widział. Pożądanie sprawiło, że całe jego ciało się sprężyło. Odezwał się w nim instynkt posiadania, zaborczość, głód...*

*Moja!*

*Serce tłukło mu się w piersi. Nagle wszystko ujrzał w odmiennym świetle. Zrozumiał, że gdyby była jego żoną, mógłby ją mieć, kiedy by tylko zapragnął - rano, we dnie, w środku nocy. Cała należała do niego. Nie odrywając od niej zgłodniałego spojrzenia, osunął się na kolana przy łóżku.*

*Pośliniwszy palce, sięgnął do nocnego stolika i zdusił słaby płomyk świecy.*

*Senne marzenie wślizgnęło się po cichu do jej uśpionego umysłu, otulając ją smugami obłoków i blaskiem gwiazd. Zachodni wiatr podkradł się do niej niepostrzeżenie - owionął gorącym tchnieniem jej po-204*

*liczek, zawirował wokół łóżka, bezcielesny jak zwiewna mgła, zanim przybrał ludzki kształt.*

*Była zbyt zdumiona, by czuć strach, zwłaszcza że wiedziała jakimś sposobem, iż szukał właśnie jej, jedynej ze wszystkich kobiet na ziemi.*

*Przyleciał tu z drugiego końca świata - potargany, mroczny bożek z jakiegoś klasycznego malowidła. Do jego czarnych jak noc włosów przylgnęła woń kadzidła i zapach egzotycznych korzeni z wysp, leżących gdzieś daleko za bezmiarem zielonoblękitnego morza.*

*Kiedy poczuła pieszczotliwy dotyk na swoich włosach, zrozumiała*

*bez słów, że nakłania ją, by podążyła za nim.*

*Właśnie ty, Elizabeth. Tylko ty! Tyle wspaniałości pragnę ci pokazać.*

*Tak, pokaż mi!*

*Pragnęła ulecieć z nim z tej nieciekawej ziemi. Chciała wzbić się*

*wraz z nim na wyżyny, gdzie słyszeć muzykę gwiazd.*

*Rozumiał to wszystko, choć nie rzekła ani słowa.*

*A potem przejął ją dreszcz, gdy bożek zachodniego wiatru otoczył*

*ją ramionami i łagodnie zamknął w swoim uścisku. I choć był jedynie*

*tworem powietrza i jej marzeń, dysponował wielką potęgą. Nigdy jeszcze nie czuła się tak bezpieczna. Osłaniana. Kochana...*

*Jego ciepły oddech delikatnie pieścił jej ucho. Wiedziała jednak, że*

*to potężne bóstwo może powalić całe miasta szaleństwem wichru i burzy, jeśli tylko zechce.*

*Poczuła, że unosi ją z łóżka, i usiłowała wydobyć z siebie głos.*

*Uprzedzić, że musi wrócić z nią tu o świcie, bo inaczej pani Hall się*

*rozsierdzi.*

*Kiedy jej ciężkie powieki uniosły się wreszcie, spojrzała w osłupieniu na...*

*- Devlin?*

*Znieruchomiał, rzucając jej spod oka niepewne spojrzenie.*

*Z jej ust wyrwał się krzyk przestrawu. Czar prysł, a ona - całkiem*

*już przytomna - ocknęła się w jego ramionach. Zareagował błyskawicznie, zanim zaczęła walczyć. Upuścił ją z powrotem na łóżko. Wylądowała na brzuchu.*

*Już miała się odwrócić i zażądać wyjaśnień, gdy uniemożliwił jej to,*

*przyciskając zdecydowanie kolanem jej plecy. Kiedy zaś otworzyła usta,*

205

*by mu nawymyślać, zakneblował ją jedwabną chustką. Czuła, jak zręcznie wiąże końce materiału z tyłu jej głowy.*

*- Bardzo mi przykro z powodu tego wszystkiego, chérie, ale sama mnie do tego zmusiłaś - mruknął, a ona omal się nie zachłysnęła z oburzenia.*

*Co się tu działo, u diaska?!*

*Domyśliła się tego w następnej chwili, gdy podniósł ją i przerzucił sobie przez ramię.*

*- Nie bój się, moja mała żoneczko. Za chwilę będziemy w drodze.*

*Nie ruszaj się tylko, dobrze?*

*Wyszedł przez okno i stanął na drabinie.*

*Gdyby nie knebel, wrzasnęłyby wniebogłosy, spojrzawszy na ziemię, leżącą trzy piętra niżej. Serce jej waliło i mimo woli podskoczyła ze strachu, że lada chwila spadnie.*

*- Nie ruszaj się! - syknął, przyciskając ją mocniej do ramienia. -*

*Cała wprawa byłaby na nic, gdybym cię upuścił!*

*Ten człowiek kompletnie zwariował! Objęła go za szyję jedną ręką, drugą zaś wczepiła się w jego koszulę, gdyż z dwojga złego wolą być niesiona przez Diabła Strathmore'a, niż runąć z drabiny na złamanie karku, głową w dół. Spostrzegła, że Ben - z nietęgą miną - stoi na samym dole, przytrzymując drabinę.*

*Księżyc, chytry wspólnik, spoglądał z nieba na porywacza, który schodził z bezczelną pewnością siebie, zwinnie i bezszelestnie, szczebel po szczeblu. Choć Lizzie miała wielką ochotę kopnąć go, nie uczyniła tego. Prawdę mówiąc, bała się głębiej odetchnąć, żeby nie stracił równowagi. Ale jej oczy się zwężyły, pełne wściekłości.*

*Porachuję się z tobą, przeklęty Diable, kiedy tylko staniemy na ziemi!*

*Ukryła twarz, aby nie podrapały jej gałazki morwy, i planowała zemstę.*

*W chwili gdy stanął pewnie na miękkiej murawie, Lizzie uderzyła go*

*z całej siły kolanem w brzuch.*

*- Uffff!*

*Aż się zgiął pod ciosem. Tego nie przewidział. Lizzie wywinęła mu się i zeskoczyła z jego ramienia, lądując niezbyt pewnie na bosych stopach.*

206

*Szybko odzyskała równowagę i, obróciwszy się na pięcie, pomknęła z powrotem ku drabinie. Schwycił ją w pasie i przerwał wspinaczkę, nim dotarła do trzeciego szczebla.*

*- Zabierz tę drabinę, Ben! - polecił szeptem, gdy Lizzie miotła się w jego uścisku, przeklinając przez jedwabny knebel.*

*Ben odciągnął drabinę od okna, po czym przeniósł ją dalej.*

*- Przestań! - syknął Dev do ucha branki, starając się powstrzymać ją od gniewnego wymachiwania kończynami. —Jedziesz ze mną i już!*

*Wybełkotała coś, co zrozumiał bez trudu, jako że pytanie było oczywiste.*

*- Oczywiście do Gretna Green, skarbie.*

*Otworzyła szeroko oczy.*

*- Będziemy żyli długo i szczęśliwie — mruknął sarkastycznie na zakończenie.*

*Znów zagapiła się na niego w przerażeniu, po czym ze zdwojoną energią zaczęła się wyrывać. Tym razem jednak był na to przygotowany.*

*Zawrzała bezpardonowa walka. Cierpliwa, łagodna, kulturalna*

*panna Carlisle walczyła jak dzikuska, ale najbardziej rozwścieczyło ją*

*to, że przeciwnik specjalnie się nie sfatygował, parując jej ciosy z przebiegłym uśmiechem, gdy nacierała, i łapiąc ją w porę, ilekroć próbowała uciec.*

*Wszystkie jej wysiłki okazały się daremne. Kiedy próbowała pozbyć*

*się knebla, chwycił ją jedną ręką i z diabelskim śmiechem znowu przerzucił przez ramię.*

*Do Gretna Green! - myślała w bezsilnej wściekłości. Nie mogła nic zrobić, więc spojrzała tylko z wyrzutem na Bena, gdy otwierał im furtkę.*

*Zdrajca! - mówiło jej spojrzenie.*

*Ben wzruszył ramionami, ale miał niewyraźną minę. Diabeł Strath-*

*more opuścił teren szkoły. Jego służący pobiegł po drabinę, którą zostawił opartą o ogrodzenie.*

*Musieli przedstawiać razem bardzo osobliwy widok. Dwóch mężczyzn, z których jeden niósł drabinę, drugi zaś porwaną guwernantkę w nocnej koszuli, przemykało się spieszenie przez zalane księżycowym*

*blaskiem błonie, doskonale widoczne od strony szkoły.*

207

*Zorientowała się, że ukryli powóz Devlina w bezpiecznej odległości,*

*w kępie drzew. Jego fryzyjskie konie czekały dość cierpliwie w zaprzęgu.*

*Prowadzący był uwiązany do drzewa.*

*To niemożliwe! - myślała Lizzie, bardziej zirytowana niż przestraszona. To przygoda w guście Jacindy, nie jej!*

*Diabeł Strathmore zdawał się nie dostrzegać tej niestosowności.*

*Podszedł do powozu, jednym szarpnięciem otworzył drzwi i wrzucił ją*

*do wnętrza.*

*- Zostaw tę drabinę. Jedziemy! - rozkazał służącemu.*

*Księżyc posrebrzył jego profil, gdy ponaglał spojrzeniem Bena.*

*Lizzie jakoś się ulokowała na miękkich skórzanych poduszkach.*

*W chwilę później wicehrabia wsiadł do powozu, zamknął drzwi i natychmiast ruszyli. Ben wyprowadził konie spod osłony drzew i zawrócił*

*na wąskiej ścieżce. Devlin nie tylko zamknął drzwi, ale i zastonił okna*

*powozu. Serce Lizzie bilo gwałtownie. Przywarła w napięciu do obitych*

*skórą poduszek. Zastłonki w oknach nie przepuszczały blasku księżycy.*

*Po ciemku nie widziała Devlina, słyszała tylko jego oddech, a gdy przysunął się bliżej, czuła ciepło, bijące od jego ciała.*

*Drżącymi rękoma sięgnęła do tyłu, by rozwiązać jedwabną chustkę*

*i wrzasnęła bezgłośnie w kłęb wilgotnego jedwabiu, gdy palce Deva zacisnęły się na jej przegubach.*

*- Nie, chérie. Jeszcze nie teraz - szepnął.*

*Serce jej waliło niczym tam-tamy dzikusów, gdy uniósł oba jej nadgarstki ponad głowę. Usiłowała protestować, kiedy wsunął je w skórzaną pętlę nad oknem i unieruchomił.*

*Czuła strach i jakieś przerażające podniecenie. Więzy nie sprawiały*

*jej bólu. Devlin przesuwał końcami palców po jej nagich ramionach wyjątkowo delikatnie. Przypomniła sobie, jak ją obejmował w łóżku i jaką jej to sprawiało przyjemność. Przysięgała w duchu, że pierwszej umrze,*

*niż pozwoli mu zobaczyć, jak ją podnieca - nawet teraz, choć była na*

*niego wściekła.*

*- Naprawdę mi przykro, że musiałem zastosować takie środki*

*ostrożności, ale sama mnie do tego zmusiłaś, milady. - Ostatnie słowo*

*wymówił z naciskiem. - Teraz jednak, kiedy cię okiełznałem, wyjaśnijmy sobie kilka spraw.*

*Przysunął się jeszcze bardziej i usiadł tuż za nią.*

208

*Usiłowała się odsunąć, ale jego ręce spoczywały jakby od niechcienia, a jednak władczo, na cienkim, białym muślinie koszuli.*

*- Uspokój się. Nie ma sensu walczyć ze mną. Sama wiesz, że tak*

*nam było sądzone.*

*Jej serce tłukło się ze strachu i podniecenia. Oczy powoli przyzwyczajały się do panującego w powozie mroku. Czuła na swoim uchu ciepły oddech Devlina.*

*- O tak, już znacznie lepiej! Słuchaj mnie uważnie - polecił szeptem. Gładził ją po udzie; jego ręka sunęła powoli w górę i w dół. - Nie będzie żadnej księgarni przy Russell Square. Wyjdiesz za mnie*



*i zostaniesz wicehrabiną, czy tego chcesz, czy nie. A jeśli twoi niezłomni rycerze, bracia Knightowie, łakną mojej krwi, to niech spróbują mnie*

*uśmiercić. Ale przedtem będziesz moja. -Jego ręka zawędrowała mię-*

*dzy jej nogi i spoczęła władczo na wzgórku Wenerzy. - Przecież... - dłoń*

*Deva sunęła wyżej, jakby brała w posiadanie każdy kawałek jej ciała, aż*

*wreszcie zatrzymała się na górnej części brzucha - nie będziesz próbowała się wymknąć, kiedy się postaram, byś nosiła pod sercem moje dziecko.*

*Lizzie zadrżała z pożądania, ale potrząsnęła uparcie głową, opierając*

*mu się ze wszystkich sił.*

*- Tak - szepnął. - Nie możesz z tym walczyć. Pragniesz tego. Ja też*

*tego pragnę, a do tej pory powinnaś już wiedzieć, że zawsze osiągam*

*to, na czym mi zależy. Nieprawdaż? - Pochylił się, pocałował ją w szyję*

*i podjął znów swawolnym szeptem: - Wiesz, na co mam w tej chwili*

*ochotę, moja panno?*

*Drżała z namiętności, ale starała się ukryć to za wszelką cenę, trwając*

*w bezruchu.*

*- Chcę doprowadzić cię do szaleństwa! - wyszeptał.*

*Mimo zakneblowanych ust jęknęła, gdy objął jej piersi.*

*Była rozgorączkowana, w głowie jej się kręciło, jakby wypila zbyt*

*wiele wina. Owładnęła nią słodka udręka pożądania. Wstydziła się swoich pragnień i była rada, tak bardzo rada z więzów, które nie pozwalały jej uciec.*

*- Zostaniesz moją żoną, złotko. Powinnaś przywyknąć do mego*

*dotyku. Tak, właśnie tak - szeptał ochryple, widząc, że Lizzie zaczyna*

*rozkoszować się pieszczotami, których nie mogła uniknąć.*

*14-Ukochana diabła 2 0 9*

*Odrzuciła głowę do tyłu. Była jak wosk w jego rękach, gdy przegar-*

*niał palcami jej włosy.*

*- Mój Boże! Jesteś jak bezcenna perła, nieskazitelna i jasna... Masz skórę jak śnieg...*

*Jego drżący szept się załamał. Uwolnił ją od jedwabnego knebla.*

*Przesunął się tak, że siedział teraz na wprost niej. Ręce mu się trzęsły, kiedy objął jej twarz. Lizzie nie opierała się wcale, gdy pocałował ją w usta.*

*Pieścił ją i tulił, wodząc dłonią po jej plecach, jakby nie mógł się nasycić jej bliskością. Ona również była tego spragniona. Szarpnęła za więzy, pragnąc objąć go ramionami.*

*- Uwolnij mi ręce - poprosiła szeptem, gdy na chwilę dał jej odetchnąć.*

*- Po co? Żebyś mogła mnie uderzyć? - zażartował.*

*- Żebym mogła cię dotknąć.*

*- Nie - szepnął bardzo cicho i rzucił jej mroczny, zmysłowy uśmiech.*

*Pochylał się ku niej rozmyślnie powoli, drażniąc ją. Marząc o tym, by go dotknąć, szarpnęła skórzaną pętlę, ale tylko ją zacieśniła.*

*Dev zaśmiał się na widok jej zawodu i spełnił wreszcie jej życzenie, całując ją znowu.*

*Kiedy zaprzestał pocałunków, pojękiwała, nadal spragniona. Znow*

*usiadł nieco z tyłu. Spoglądała pożądliwie na jego ciało i dostrzegła prawie zagojone skaleczenie na boku, długie na jakieś pięć centymetrów.*

*- Co ci się stało? - spytała cicho, wskazując rysę ruchem głowy.*

*- Zwykle zadrapanie. Nie zwracaj na to uwagi!*

*- Jesteś nieznośny!*

*- Nieraz mi to powtarzano.*

*Czuła, jak podciąga jej nocną koszulę. Klęczał na podłodze, z tyłu za nią. Nie mogła go powstrzymać, kiedy zadzierał muślin coraz wyżej, wystawiając jej ciało na chłodne podmuchy nocy i swój gorący oddech.*

*A potem wszystkie myśli uciekły jej z głowy, gdy zmysłowymi pocałunkami znaczył na niej swój ślad - od pasa w dół, coraz niżej, podszczypując zębami każdy z jędrnych pośladków.*

*Ten człowiek doprowadzi ją do szaleństwa! Końce jego palców zapuściły się w rowek między pośladkami, przyprowadzając Lizzie o roz-210*

*koszny dreszcz. Zaparło jej dech, gdy poczuła jego palce głębiej, wewnątrz siebie. Usłyszała pomruk zadowolenia Deva, gdy odkrył, jak bardzo go pragnie. Odrzuciła głowę do tyłu w geście radosnego przyzwolenia.*

*Jej oddech stał się płytki i przyspieszony. O Boże, pragnęła go od tyłu tygodni, a teraz rzeczywistość przekraczała wszystko, o czym mogła zamarzyć. Lizzie drżała, oczy miała zamknięte. Kołysała biodrami w tym samym rytmie, jaki nadawały wprawnie pieszczące ją palce.*

*Jeszcze!*

*Wyczuwał jej pragnienia - zupełnie jakby czytał w jej myślach - darząc ją dokładnie tym, czego łaknęła.*

*Jego chrapliwy szept wypełniał cały świat.*

*- Poddaj się, kochanie! Nie broń się przede mną, serduszko!*

*Ugryzł ją w biodro, a ona wydała dziki jęk. Koszulka oplatała się wokół niej, skóra była śliska od potu. Czuła się naznaczona przez niego, przesiąknięta jego zapachem.*

*Każdy nerw w niej dygotał z napięcia. Jej ciało drżało i prężyło się, usiłując wyzwolić się z więzów. Wznosiło się w tęsknym pożądaniu, aż wreszcie wszystko w niej eksplodowało. Z dzikim okrzykiem odrzuciła głowę do tyłu.*

*W huraganie doznań prawie nie zauważyła, że Dev delikatnie uwolnił ją z więzów. Chwycił w ramiona jej bezwładne ciało i przygarnął je do piersi, całując rozgorączkowane czoło. Czowała bicie jego serca i zdawa*

*ła sobie sprawę z wysiłku, z jakim trzymał własne pragnienia na wodzy.*

*Tak czy owak, w tej chwili nie mogła mu pomóc. Całkowicie wyczerpana spoczywała w jego objęciach.*

*- Jak... coś takiego... jest w ogóle możliwe? - wysapała po dłuższej chwili.*

*Poczuła, że się uśmiechnął, nie odrywając ust od jej czoła.*

*- Mam nadzieję, że nie domagasz się odpowiedzi na to pytanie!*

*Roześmiała się słabo.*

*- Widzisz? - mruknął. - Matężństwo ze mną będzie miało i dobre strony.*

*Chciała zaprotestować, ale zabrakło jej sił. Devlin sięgnął po surdut i okrył nim Lizzie.*

*- Nie chcę, żebyś się przeziębiła, cherie.*

211

*Otulił ją z czułością, która zaskoczyła dziewczynę.*

*Wpatrywała się w niego ze zdumioną miną.*

*- Zaimponowałeś mi - powiedziała po chwili.*

*- Czym?*

*- Swoim opanowaniem.*

*Uśmiechnął się leniwie i oparł policzek na dłoni.*

*- Nie mam zamiaru, wicehrabino, pozbawiać cię wianka na chybcika, w rozpędzonym powozie. Moja żona zasługuje na więcej względów!*

*Odwróciła się z lekkim westchnieniem, w którym pożądanie mieszało się z udręką. Jakiż z niego szelma! Może i byli dobrze dobrani pod niektórymi względami, przyznała w duchu. Może istotnie*

*uważała go*

*za nieodparcie pociągającego. Może stanowił dla niej większe wyzwanie niż jakikolwiek inny mężczyzna...*

*Ale to jeszcze nie znaczyło, że godziła się na małżeństwo z nim! Ani że takie małżeństwo, oparte na czystym wyrachowaniu, było rozsądnym pomysłem. Podobnie jak związanie się z notorycznym hulaką, na którym używały sobie żadne sensacji gazety!*

*A poza tym żaden mężczyzna nie miał prawa wdzierać się do damskiej sypialni i wywlekać stamtąd swojej ofiary niczym worka ze zbożem!*

*Devlin zamroczył ją rozkoszną mgiełką zmysłowości, ale jego słowa zniszczyły tę iluzję niemiłym przypomnieniem zasadniczego powodu tego małżeństwa.*

*Ściśle rzecz biorąc, było tych powodów dokładnie pięćset tysięcy!*

*Powóz mknął do Szkocji. Lizzie odsunęła zasłonkę i wyjrzała z niepokojem przez okno. Wielkie nieba! Czyżby zdążyli już wjechać na Wielki Północny Trakt?! Samotny stóg siana... jakaś stodoła... Pola oddzielone od siebie gęstym żywopłotem... Okolica wydawała się nieznajoma.*

*- O co chodzi, złotko?*

*Obejrzała się i zobaczyła, że Dev jej się przygląda. Była na niego zła, ale uczucie to nieco złagodniało, gdy zobaczyła czuły wyraz jego twarzy.*

*Mąż, pomyślała w osłupieniu. To miałby być mój mąż?!*

*Odwróciła się od niego i znowu wbiła wzrok w okno.*

*- Musimy się zatrzymać!*

*Patrzył na nią badawczo, aż wreszcie zerknęła na niego ze zniecierpliwieniem i się zaczerwieniła.*

*- Bardzo przepraszam, ale muszę... udać się na stronę. Czy to zbyt*

*wygórowane żądanie? - upierała się z niewinną miną.*

*- W porządku.*

*Wychylił się z okna, zawołał coś do Bena, po czym włożył z powrotem koszulę.*

*Jeśli Lizzie oczekiwała, że zabierze ją do przydrożnego zajazdu, bardzo się zawiodła. Miał zamiar umożliwić jej zaspokojenie niezbędnych potrzeb w sposób znacznie bardziej prymitywny, niż sądziła.*

*Spoglądała na niego z niedowierzaniem, gdy wskazał jej kępę drzew, otoczonych przez wysokie krzewy, znajdującą się w pobliżu drogi, acz nieco na uboczu.*

*- Chyba żartujesz!*

*- Bynajmniej. A co sobie wyobrażałaś? - spytał, otwierając drzwi powozu i czekając, aż Lizzie wysiądzie.*

*- Że zatrzymamy się w zajeździe!*

*- Jesteś w samej koszuli.*

*- A czyja to wina?! Takie wygody proponujesz przyszłej wicehrabini? - ofuknęła go. - Przynajmniej jakaś szopa...*

*- Chcesz z tego skorzystać, czy nie? Nie zabiorę cię do zajazdu, bo jeszcze spróbujesz uciec!*

*- Doskonale! - Owinęła się szczelniej czarnym surdudem i wyskoczyła z powozu. Zakłęła, gdy ostry żwir uraził jej boscie stopy. - Nigdy ci nie wybaczę, jeśli będziesz mnie podglądał! - ostrzegła go i pokuśtykała*

*na drugą stronę drogi, ku wysokim trawom, które falowały z wiatrem na poboczu.*

*Zmarszczył brwi i spojrzał na nią z wyrzutem.*

*- Za kogo mnie uważasz?!*

*- Za porywacza! - burknęła, po czym zapuściła się z pewną obawą na pobliskie pole.*

*Ben pilnował koni.*

*- Nie martw się, poczekam tu na ciebie! - zawołał Devlin, gdy przedostawała się na drugą stronę żywopłotu.*

*A żebyś wiedział, kochaniutki, że poczekasz! - pomyślała z satysfakcją, wyruszając na swą ryzykowną eskapadę. Obejrzała się ukradkiem na Deva.*

213

*Stał dumny i wyprostowany w księżycowym blasku. Wierny danemu słowu zwrócił się twarzą do powozu, zapewniając Lizzie minimum prywatności.*

*Z bijącym sercem przemknęła przez pole. Sięgające kolana źdźbła*

*trawy były chłodne i suche. Drobne gałązki trzeszczały, ale Lizzie nie*

*zwracała uwagi na lekkie uklucia, gdy któraś pękła pod jej rozpędzonymi bosymi stopami. Na szczęście czarny surdut pozwalał jej wtopić się w mrok. Skorzystała z osłony wysokich krzewów i biegła dalej przez zagajnik, obok gospodarstwa wiejskiego, które spało spokojnie pod srebrnym księżycem.*

*- Wszystko w porządku? - zawołał za nią Devlin.*

*Obejrzała się znowu przez ramię. Nadal stał przy drodze, zwrócony do niej plecami. Wiedziała, że brak odpowiedzi wzbudzi w nim podejrzenia, bała się jednak odezwać, żeby się nie zorientował, w którą stronę uciekła. Po prostu biegła co sił w nogach, rozglądając się za jakąś kryjówką. Serce jej waliło ze strachu. Lada chwila ruszy za nią*

*pogoń!*

*- Lizzie!*

*Odległość stłumiła nieco wołanie Devlina, Elizabeth dostrzegła jednak nutkę niepokoju w jego niskim głosie.*

*- Lizzie!*

*Przykucnęła obok jednego z licznych zabudowań gospodarskich.*

*Zapewne gołębnika, jeśli sądzić po cichym, niespokojnym gruchaniu, dochodzącym z wnętrza.*

*- Lizzie!*

*Głos Deva zabrzmiał donośniej. Lada chwila tu będzie.*

*- Rozejrzyj się uważnie, Ben! Lizzie uciekła!*

*Przeszył ją dreszcz niepokoju. Wiedziała, że jeśli teraz Devlin ją złapie, drugi raz nie da się nabrać. To była jej jedyna szansa na ocalenie.*

*- Nie rób głupstw, Lizzie! To nic nie da! Wyjdiesz za mnie i koniec!*

*Nagły ruch przyciągnął jej spojrzenie - błysk białej koszuli. Dev*

*przedarł się przez krzaki, w których -jego zdaniem - mogła szukać samotności. Co za okropny człowiek! Obeszła dokoła gołębnik, szukając jakiejś drogi ucieczki. Gdy wyjrzała zza rogu, jej oczy nagle rozbłyły*

*nadzieją. Kucyk - pulchny kasztanek - stał na swoim wybiegu, oparłszy*

214

*głowę o górną żerdź ogrodzenia. Nastawił uszu, jakby przysłuchiwał się ciekawie gniewnym krzykom Deva.*

*Z pobliskiego słupka zwisała uzda. Lizzie przygryzła usta i obejrza*

*ła się na Devlina. Nie potrafiła się zdecydować. Koniokradów czekała*

*śmierć na szubienicy. Ale w jej przypadku nie byłaby to zwykła kradzież!*

*Ona - młoda dama o nienagannej reputacji, posiadająca wpływowych*

*przyjaciół - została porwana przez utytułowanego niegodziwca! Nieprawdaż?*

*- Niech cię diabli, dziewucho! Przełożę cię przez kolano i złoję ci*

*tyłek, jak cię tylko złapię! Gdzie jesteś?!*

*A szukaj mnie choćby w piekle!*

*Wyłoniła się z mroku i pospieszyła na paluszkach do kuca, przemawiając do niego po cichutku, by go nie spłoszyć.*



*- Witaj, kochanie! Ależ z ciebie śliczny mały konik! Chciałabym*

*cię... zabrać na przejażdżkę.*

*Zdjęła uzdę ze słupka. Kucyk uniósł głowę i bez pośpiechu podszedł*

*do niej, strzygąc uszami.*

*Od razu się z nim zaprzyjaźniła, częstując go garścią zerwanej trawy.*

*Ręka jej drżała, gdy kucyk jadł jej z dłoni. Potem po cichu wspięła się na ogrodzenie.*

*- Grzeczny konik!*

*Zeskoczyła na udeptaną ziemię wybiegu, trochę się bojąc, że nowy*

*przyjaciel nastąpi jej kopytem na bosą nogę. Kuc musiał być wierzchowcem jakiegoś dziecka, bo był posłuszny i łagodny jak jagnię. Bez oporu wziął wędzidło do pyska.*

*Przez cały czas przemawiając cicho do kucyka, Lizzie podprowadzi*

*ła go do furtki i otworzyła ją. Stanąwszy na dolnej żerdzi ogrodzenia,*

*wspięła się na beczkowaty grzbiet korpulentnego kuca. Z braku siodła*

*nie miała innego wyboru jak jechać na oklep, z koszulą wetkniętą między nogi i ze zwisającymi bosymi stopami. Chwyciła za uzdę i, ściskając tydkami atlasowe boki kucyka, wyprowadziła go z wybiegu.*

*- Lizzie!*

*Devlin wynurzył się nagle z cienia koło gołębnika. Kuc akurat ruszył*

*żwawym truchtem. Pojawienie się Deva spłoszyło ich oboje.*

*- Wracaj!*

*- Naprzód!*

215

*Trąciła piętami boki wierzchowca i przyłgnęła do niego, skłaniając*

*zwierzę do galopu.*

*Devlin usiłował ściągnąć ją z grzbietu kuca, gdy go mijala, nie powiodło mu się jednak. Chwycił tylko powietrze.*

*- Do wszystkich diabłów! Wracaj!*

*Obejrzała się i zobaczyła, że biegnie za nimi, ale nawet bardzo wysportowana mężczyzna nie ma szans w wyścigu z koniem.*

*Lizzie roześmiała się wyzywająco i odjechała w glorii chwały na galopującym kucyku. Zwyciężyła! Była wolna! I czuła się cudownie!*

*Dev ścigał ją jeszcze przez chwilę, ale po kilku krokach dał za wygraną i zwolnił. Oddychał z wysiłkiem. Pochylił się lekko do przodu, z rękoma opartymi na udach, i wciągał głęboko powietrze. Zaklął głośno. W odpowiedzi usłyszał swawolny śmiech. A gdy spojrział w tamtym kierunku, mignęła mu po raz ostatni rozpromieniona twarz Lizzie, nim*

*odjechała na grubiućkim kucu, otulona zbyt obszernym surdudem. Długie włosy powiewały za nią. Dev stał zapatrzony i nagle gniew w nim stopniał.*

*Wydawała się szczęśliwa i tak cholernie dumna z siebie! Jak mógłby*

*się na nią gniewać, kiedy była taka urocza? Niepojęta radość rozsadzała*

*mu serce, gdy przyglądał się, jak cwałowała. Roześmiał się mimo znużenia, obiema rękami wicherząc sobie włosy.*

*- Spójrz tylko na nią, Ben! - powiedział, gdy zaniepokojony sługa podbiegł do niego. - Widziałeś w życiu coś piękniejszego? Patrz, jak ucieka! O Boże, jakim ja byłem głupcem!*

*- Milordzie?... - wysapał Ben.*

*- Zasluguje na wszystko! Tytuł. Majątek. I będzie to miała! Jak*

*mi Bóg miły, ożenię się z tą dziewczyną! Co za odwaga! Co za serce!*

*- szeptał.*

*Ben nie całkiem go pojmował.*

*- Wyprzęgnę prowadzącego. W ciągu paru minut ją dopędzisz...*

*- Nie! - Dev zdecydowanie potrząsnął głową, nadal się uśmiechając. - Niech się cieszy swoim zwycięstwem. - Nie mógł oderwać od niej oczu, które jaśniały nawet wówczas, gdy Lizzie zniknęła za wzniesieniem. - Pokonała mnie uczciwie. Nie mogę jej pozbawić satysfakcji!*

216

*- Dobrze się czujesz, milordzie?*

*- Nigdy nie czułem się lepiej. Jedziemy! - Klepnął wiernego lokaja.*

- Trzeba zawrócić. Lizzie będzie jechała polami, żeby na nas nie wpaść, ale musimy ją odprowadzić aż do szkoły. Te drogi nie są w nocy zbyt bezpieczne.

- W takim razie o Gretna Green nie ma już mowy? - spytał Ben, nadal nieco zdezorientowany, gdy wracali do czekającego na nich powozu.

- Obawiam się, że tak! - westchnął Dev.

- I co teraz?

Dev z uśmiechem spojrział w stronę, dokąd odjechała Lizzie.

- Teraz dostosuję się do jej reguł.

Wracając do szkoły, Lizzie nie traciła z oczu Wielkiego Północnego Traktu, trzymała się jednak raczej pól i zagajników. Konik szedł jak na spacerze - to truchcikiem, to stępą. Kiedy stało się jasne, że wymknęła się szczęśliwie porywaczowi, ogarnęła ją ogromna radość i upajające poczucie triumfu. Nareszcie i ona przeżyła prawdziwą przygodę! Czuli się taka pełna życia, taka... wolna!

Kucyk strzygł uszami, przysłuchując się jej, jak nuci coś cicho, żeby skrócić sobie podróż i wyzbyć się lęku przed ciemnością. Miała wiele czasu na zastanowienie się nad tym, co przeżyli razem z Devem w powozie. Gdy o tym rozmyślała, cały księżycowy świat zdawał się skrzyć srebrem. Mały konik wytrwale kłusował przez wąwóz, przeskakiwał

strumyk, to znów wspinał się pod górę.

Jechała dalej.

Niebawem ujrzała strzałkę, wskazującą drogę do Islington. Skierowała kuca w tamtą stronę i ponagliła do szybszego biegu. Pędzili przez pola i już po kwadransie Lizzie rozpoznała znajomą okolicę.

Lepiej się pospieszyć! - pomyślała. Służba i nauczyciele wstawali

*o szóstej rano.*

*Wschodzące słońce właśnie zabarwiło lekko różem horyzont, gdy*

*Lizzie zatrzymała kucyka przy tej samej kępie drzew, w której Dev przed*

*kilkoma godzinami ukrył swój powóz. Drabina jeszcze tam leżała, prawie niewidoczna w wysokiej trawie.*

217

*Po przeciwnej stronie błonia we wszystkich oknach szkoły nadal*

*było ciemno. Serce Lizzie biło na alarm. Dobrze wiedziała, że straciłaby*

*pracę, gdyby pani Hall odkryła, co się wydarzyło. Ześlizgnęła się więc*

*z grzbietu kucyka, uściskała łagodne stworzenie, zdjęła mu uzdę i puściła wolno. Przewiesiła uzdę przez drabinę, a potem zdjęła surdut Deva i też go tam zostawiła.*

*Szarawe światło świtu połyskiwało na jej nagich ramionach, gdy*

*w ciszy przemykała się w kierunku szkoły. Spojrzała w górę i spostrzegła, że okno jej pokoju nadal jest szeroko otwarte, tak jak je zostawił*

*Dev, wynosząc ją tamtędy. Przeskoczyła przez płot, zadartszy koszulę*

*nad kolana, i - z bijącym szaleńczo sercem - pomknęła w stronę tylnego*

*wejścia do budynku.*

*Och, Jacinda chyba umrze ze śmiechu, gdy jej o tym opowie! Jeśli*

*uda się jej wyjść z tej opresji cało, napisze od razu do Jas i zaproponuje spotkanie przy herbatce. Miała wielką ochotę opowiedzieć swej najlepszej przyjaciółce wszystko o Devlinie i o wariackich warunkach testamentu lady Strathmore.*

*Wesołość Lizzie zmieniła się w przerażenie, gdy zorientowała się, że*

*tylne drzwi są zamknięte. Dobry Boże! Nie będzie mogła dostać się do*

*środka!*

*Potem przypomniała jej się stara morwa.*

*Serce w niej zadrżało, gdy pojęła, że to jej jedyna nadzieja. Przemknęła się znów do frontowego ogrodu i podeszła do wysokiego drzewa. Wspinaczka nigdy jej nie pociągała. Nawet w dzieciństwie nie lubiła takich zabaw.*

*Kiedy jednak ujrzała światło w szczelinie między zasłonami jednego z okien na pierwszym piętrze, pojęła, że nie ma chwili do stracenia.*

*Uchwyciła się mocnej gałęzi, rozhuśtała i oparła stopę o jakiś solidny sęk.*

*Powóz Deva dojeżdżał akurat do szkoły, toteż mignęła mu drobna*

*biała stopka, znikająca w oknie sypialni. Odetchnął z ulgą. Lizzie znalazła się bezpiecznie w pokoju. Kucyk szczypał trawę na gminnym błoniu.*

*W oknach szkoły płonęło już kilka świateł.*

*- Odtransportujemy teraz tego kuca? - spytał głośnym szeptem*

*Ben z kozła.*

218

*- Jeszcze nie - odparł z rozbawieniem Dev. - Nie będziemy aż tak ułatwiać życia naszej koniokradce, prawda? Jazda!*

*Ben posłuchał i trzepnął lejcami konie po zadach. Powóz płynnie i cicho ruszył dalej.*

*Dev wpatrywał się w okno pokoju Lizzie, póki szkoła nie znikła za zakrętem drogi, i - uśmiechając się do swoich pogodnych myśli - głaskał się po brodzie.*

*Najwyższy czas zastanowić się nad sposobem prześlągnięcia pewnej damy!*

*Następnego ranka Lizzie - mimo że o mały włos nie została skompromitowana i prawie wcale nie spała w nocy - przystąpiła do pracy w wyśmienitym humorze. Nadal nie opuszczało jej uczucie triumfu.*

*Nawet kąśliwe uwagi pani Hall na temat wczorajszych nieproszonych odwiedzin Devlina na gminnym błoniu nie popsuky jej nastroju.*

*Na szczęście, gdy wyjaśniła przełożonej, że Strathmore jest bratankiem jej zmarłej chlebodawczyni i zjawił się w sprawie rodzinnej, związanej z testamentem ciotki, pani Hall nieco złagodniała. Potem, koło południa, przyniesiono prezent dla panny Carlisle - kosz pięknych, oprawionych w skórę książek, wraz z liścikiem, który jeszcze bardziej podniósł ją na duchu.*

*Moja droga Elizabeth*

*Zechciej przyjąć ten skromny podarek jako dowód szczerzej skruchy z racji mego niepoczytalnego zachowania ostatniej nocy. Okaż litość nieszczęsnemu grzesznikowi. Poświęć mi, błagam, choć chwilę, bym mógł przeprosić Cię jak należy. Proszę, napisz, gdzie i kiedy mogę Cię znów zobaczyć. Moje myśli są pełne Ciebie i tylko Ciebie.*

*Twój pokorny sługa*

*Strathmore*

*Pokorny sługa! Dobrze sobie! - pomyślała i uśmiechnęła się mimo woli. Nie przesadzaj, mój drogi Devlinie!*

219

*A jednak serce trzepotało jej radośnie, gdy odczytywała raz po raz list od niego.*

*Rozważając swoje następne posunięcie, skreśliła pospiesznie krótki liścik, podczas gdy uczennice pilnie zgrzytały szyferkami po tabliczkach.*

*Nie był to jednak list do Devlina. O nie! Ten łajdak musi poczekać kilka dni na jej odpowiedź. Zamiast tego, z przebiegłym uśmieszkiem na ustach napisała do swej najlepszej przyjaciółki: Dzień dobry, Markizo... a może pani Blade?*

*Mogę Cię prosić o przysługę? Jeśli w najbliższą sobotę wybierasz się na bal, raut lub inną towarzyską imprezę, bardzo chciałabym Ci towarzyszyć, jak za dawnych czasów? To mój wolny dzień, więc nie będę miała kłopotów w szkole. Muszę się Ciebie poradzić, co zrobić z pewnym Diabłem, który bardzo daje mi się we znaki.*

*Całusy*

*Lizzie*

*- Złotko! - zawołała Jacinda, zjawiając się w progu akademii pani*

*Hall w sobotnie popołudnie. Chciała zabrać stąd przyjaciółkę jak najwcześniej, żeby miały dość czasu na przygotowania przed balem u lorda i lady Madisonów.*

*Jak zawsze, dziewiętnastoletnia markiza tryskała wprost radością życia. Ubrana była bez zarzutu i prezentowała się niesłychanie elegancko w białej muślinowej sukni spacerowej i lekkim płaszczyku z liliowego*

*jedwabiu. Złote loki, widoczne spod dobranego idealnie kolorem kapelusika, podskakiwały jak sprężynki, gdy przekroczyła próg swej dawnej szkoły. Chwyła Lizzie za rękę i okręciła ją dokoła, śmiejąc się jak pensjonarka.*

*- Ależ będziemy miały zabawę!*

*Przez chwilę tuliła przyjaciółkę w objęciach, potem zaczęła mówić,*

*niemal nie zaczerpując tchu:*

*- Och, Lizzie, jestem taka szczęśliwa, że cię widzę! W londyńskim*

*światku jest niesamowicie nudno bez ciebie, ale teraz, kiedy wreszcie*

*wyбираasz się ze mną na bal, nie mogę się tego doczekać! Ależ wszyscy*

*zrobią oczy na twój widok! Najwyższy czas, żebyś wróciła do stada, ty uparciuchu! No chodź, zmykajmy z tej nieznośnej dziury! - Chwyła Lizzie za rękę i władczym gestem wsadziła ją sobie pod ramię. - Mam*

*220*

*mnóstwo pomysłów co do twojej fryzury! Poleciałam też przynieść moje klejnoty z sejfu, więc będziesz mogła włożyć, co zechcesz, do nowej sukni, choć radzę ci brylanty...*

*- Do nowej sukni?*

*Jacinda zwróciła się do niej z czarującym uśmiechem.*

*- Zgadnij, co zrobiłam?*

*- Jas!*

*- Och, cicho bądź! Zamówiłam suknię dla ciebie u tej rozchwytywanej pani Bell i zapewniłam sobie jej pomoc na dziś przy ewentualnych poprawkach. Chodź, nie mamy chwili do stracenia!*

*- Nie powinnaś była tego robić!*

*Markiza zbyła protesty Lizzie machnięciem ręki.*

*- Możesz to uznać za nieco wcześniejszy prezent urodzinowy, kochanie! Nie miałam z tym żadnego kłopotu, słowo daję! Pani Bell zachowała nasze wymiary z ubiegłego sezonu. A jakby ci się suknia nie podobała, to też nie ma zmartwienia. Kazałam Annę wywietrzyć i odprasować kilka twoich ulubionych toalet balowych z ubiegłego roku.*

*Wszystkie nadal wiszą w twoim pokoju w Knight House. Ale myślę,*

*że powinnaś zaufać memu gustowi. Powiedziałaś, że cenisz sobie moją*

*opinię pod tym względem. Jakże się cieszę, że moja śmieszna, nic nie-*

*znająca wiedza choć raz ci się przyda! - Przekomarzała się ze śmiechem i ścisnęła przyjaciółkę. - Taka jestem szczęśliwa, że zwróciłaś się do mnie! Czy to nie zabawne? Będę dziś twoją przyzwoitką! Świetny*

*dowcip!*

*- Och, Jas! Jak mi ciebie brakowało! - westchnęła Lizzie, śmiejąc*



*się mimo woli. - Przy tobie wszystko wydaje się jakimś wspaniałym świętem!*

*- Bo też to jest święto, moja kochana! Może nie? Po raz pierwszy w życiu zwracasz się do mnie, w ogóle do kogoś, z prośbą o pomoc!*

*Po tylu nieocenionych przysługach, jakie mi wyświadczyłaś! Najwyższy czas, moim zdaniem, żeby się ktoś wreszcie zatroszczył o ciebie!*

*No, chodźmy już! - popędzała, ciągnąc Lizzie ku drzwiom, podczas gdy*

*dwadzieścia zaafierowanych pensjonarek zerkąło ze schodów na sławną*

*i jakże elegancką damę, o której się rozpisywano w kolumnie towarzyskiej. - Muszę się dowiedzieć wszystkiego o tym twoim Diabie Strathmorze! Ach, ty okropna istoto! Ukrywać przede mną takie rzeczy!*

221

*Nawet sobie nie wyobrażasz, jakie rzeczy, pomyślała Lizzie. Raptem, właśnie w chwili, gdy miały wyjść, do przedsionka wpadła pani Hall.*

*Sądząc z wyrazu jej twarzy, Lizzie natychmiast się domyśliła, że*

*przełożona ma dla niej jeszcze jedno „drobne zadanie”, które trzeba będzie wykonać, nim opuści szkołę, choć był to jej wolny dzień.*

*Pani Hall jednakże nie wzięła pod uwagę spotkania z Jacindą.*

*Na widok swej dawnej nieznośnej uczennicy przełożona złożyła*

*ukłon tak niski, że omal się nie przewróciła.*

*- O mój Boże! Toż to lady Truro! Cóż to za zaszczyt gościć panią znowu w progach naszej skromnej uczelni! Czy wolno złożyć nieco spóźnione gratulacje z okazji niedawnych zaślubin?*

*Jacinda natychmiast, jak miała w zwyczaju, przejęła kontrolę nad*

*sytuacją. Rozbrykana psotnica w mgnieniu oka przeistoczyła się w wyniosłą markizę.*

*- Dzień dobry, pani Hall - wycedziła, łaskawie skłoniwszy głowę.*

*-Jestem niezmiernie wdzięczna za uwolnienie panny Carlisle od obowiązków w dniu dzisiejszym. Ale czy nie mogłaby jej pani dać wolnego również w niedzielę? Dzień Pana Naszego powinien być wszak dniem*

*odpoczynku, a ja się tak stęskniłam za towarzystwem mojej najdroższej przyjaciółki!*

*- No cóż, jeśli pani markizie tak na tym zależy, zapewne jakoś da się to ułożyć.*

*- Jak to ładnie z pani strony, pani Hall! Nie omieszkam wspomnieć o tym w najlepszym towarzystwie.*

*- Ach, bardzo dziękuję, milady! Tyle łaski!*

*Lizzie jakoś się powstrzymała, by nie wywrócić oczyma. Ciekawe,*

*w jaki sposób będzie musiała zrewanżować się przelożonej za tę łaskawość, gdy Jacinda zniknie z pola widzenia? No cóż. Jacinda zawsze swymi psotami komplikowała jej życie. Dlaczego teraz miałaby tego zaniechać?*

*Wyraziwszy ukłonem swą wdzięczność dla chlebodawczyni, Lizzie*

*pozwoliła zapędzić się do czekającego na nie przed szkołą powozu. Był*

*to ogromny i efektowny ekwipaż, zaprzężony w czwórkę siwych koni*

*z pióropuszcami na głowach. Lokaj pomógł damom wsiąść do luksusowego wnętrza. Lizzie usiadła na pastelowych poduszkach z cienkiej 222*

*skóry, naprzeciwko swej przyjaciółki. W następnej chwili pojazd ruszył,*

*kierując się na południe - do stolicy.*

*- No i co? - dopytywała się Jacinda, ściągając liliowe rękawiczki,*

*palec po palcu. - Opowiadaj, co się święci między tobą a wicehrabią*

*Strathmore'em?*

*Nim dotarły do nowej willi Jacindy w Regent's Park, zaprojektowanej przez słynnego Nasha, Lizzie opowiedziała przyjaciółce całą historię, poczynając od szokujących warunków testamentu lady Strathmore aż*

*do porwania i ucieczki na skradzionym kucyku.*

*Jacinda to wybuchała śmiechem, to znów piszcziała z zachwytu.*

*- Och, Lizzie! On jest po prostu boski!*

- Można to i tak określić.

- Przynajmniej nie traktuje cię jak siostrę!

Lizzie zachichotała. Był to ich prywatny żart. Z jakiegoś powodu

przez cały okres ich wspólnego dojrzwania wszyscy młodzi ludzie tracili głowy dla Jacindy i traktowali Lizzie z tkliwym szacunkiem, należnym matce lub siostrze. Nawet Alec nie próbował skraść jej całusa. Było to śmiertelnie nudne!

- No to jak? Podoba ci się, czy nie?

Zaczerwieniona po uszy Lizzie spoglądała na przyjaciółkę z mieszaniną radości i strapienia. Potem wzruszyła ramionami.

- Dobrze wiesz, że nigdy nie przystałabym na to wszystko, gdyby

mi się nie podobał. Ale straszny z niego rozpustnik, jeśli wierzyć temu,

co wypisują w gazetach. A poza tym nie zamierzam tracić głowy dla kogoś, kto interesuje się mną wyłącznie dla korzyści majątkowych. Mam swoją dumę! Prócz tego uważam, że szybkie wzbogacenie się nie jest

wystarczającą rekompensatą za niedolę całego życia, zmarnowanego

w małżeństwie z kimś, kto nikogo nie kocha!

- Masz słuszność — przytaknęła Jacinda.

- Oczywiście... - Lizzie spuściła wzrok i bawiła się nerwowo chwaś-

cikiem swego woreczka. - Gdybym mogła uwierzyć, że zależy mu na

mnie samej, a nie na pieniądzach, że żywi do mnie szczere uczucie, to nie miałabym nic przeciwko jego zalotom - przyznała, zerkając wstydliwie spod rzęs na swą przyjaciółkę.

Twarz Jacindy rozjaśniła się szerokim uśmiechem.

223

- Ach, moja kochana! Nie musisz mówić nic więcej! Rozumiem cię

doskonale. Zaufaj mi! - szepnęła konfidencjonalnie, nachylając się ku

niej. - Kiedy lord Strathmore zobaczy cię dziś wieczorem, z całą pewnością nie będzie myślał o pieniądzach!

Przez trzy dni Dev czekał w napięciu na odpowiedź od Lizzie. Potem

*przyszedł list, w którym nakazywała mu zdobyć zaproszenie na sobotni*

*bal u Madisonów. Nie było to łatwe, gdyż skutkiem zbytnej zażyłości*

*z osobnikami pokroju Randalla, Carstairsa i Stainesa wicehrabia nie był*

*już tak chętnie widziany w najwyższych kręgach londyńskiego towarzystwa. Pokonał jednak wszelkie przeszkody i stawiał się na umówione spotkanie.*

*Jednakowoż - ku jego konsternacji - nieustraszona Elizabeth Car-*

*lisle wyraźnie się spóźniła.*

*Tak dalece, że Devlin zaczął się zastanawiać, czy nie wysłała go tu na*

*darmo za karę? Być może wcale nie miała zamiaru pojawić się na tym*

*balu? Dev znienawidził ten cholerny bal.*

*A impreza zapowiadała się raczej na przyjemną. Był piękny majowy*

*wieczór. Przyjęcie urządzono z rozmachem w letniej rezydencji lorda*

*i lady Madisonów - w willi nad Tamizą. Było to, przypominające antyczną świątynię, dzieło słynnego Inigo Jonesa, wzniesione w neopal-ladiańskim stylu, otoczone rozległymi ogrodami. Dev jednak czuł się*

*tu fatalnie. Co chwila spoglądał na zegarek i żałował, że nie wziął ze*

*sobą wachlarza, jak to czyniło wielu dżentelmenów. Czuł, że od potu*

*rozmiękł mu wykrochmalony fular. O Boże! Chyba nie był równie zdenerwowany od czasów szkolnych, kiedy drżał przed egzaminami!*

*Zgrzany, niespokojny i rozpaczliwie znudzony, zaszył się w kącie*

*przy oknie, nie spuszczając z oka wejścia na salę. Tutaj wreszcie miał*

*odrobinę powietrza i znajdował się z dala od ciżby, kłębiącej się w długiej galerii, w której urządzono salę balową. Ściany, obite czerwonym jedwabiem, ozdobione były białymi pilastrami i gipsowym, z lekka pozłaczonym fryzem. Sala mogła się poszczycić pięknym parkietem i kasetonową absydą, w której usadowiła się hałaśliwa orkiestra. Akustyka wąskiej galerii nie była przystosowana do utworów równie głośnych*

*i żywych jak marsz, którego całe towarzystwo musiało — chcąc nie chcąc*

*- wysłuchać. Devlin czuł nadciągający ból głowy, sytuacji bynajmniej*

nie poprawił lepki i przeraźliwie słodki poncz rumowy, który wmuszo-  
no weń już przy wejściu.

Marzył o tym, by zanurkować w Tamizie i zazdrościł nagim klasycznym posągom, rozmieszczonym wokół sali. Przy odrobinie szczęścia może spadnie mu na głowę jeden z masywnych żyrandoli i skróci jego

cierpienia. W przeciwnym wypadku nie pozostawało mu nic poza niekończącym się czekaniem na damę, która -jak się obawiał - postanowiła dać mu dotkliwą nauczkę.

Wreszcie, jakby w odpowiedzi na jego modły, orkiestra postanowiła zrobić sobie przerwę. W tej samej chwili Dev usłyszał, jak majordomus obwieszcza przybycie markiza i markizy Truro i Saint Austell.

O! To lady Jacinda, ukochana przyjaciółka Lizzie, i jej Billy! Spojrzenie Deva pobiegło ku wchodzącym. Wysoki, imponujący mężczyzna z rudawoblond czupryną wyglądał, jakby był gotów poderżnąć gardło

każdemu, kto krzywo na niego spojrzy. U jego boku stąpała drobniutka, promienna królowa wróżek z masą złocistych loków i ciemnymi oczyma, w których skrzył się szelmowski uśmiech.

No, no! - pomyślał Dev. Z tą parą mogą być kłopoty!

Wkroczyli w zwieńczone frontonem odrzwia, by następnie zejść po kilku stopniach do galerii. Zaraz za nimi oznajmiono przybycie panny Elizabeth Carlisle.

Dev cały się sprężył i wynurzył ze swej kryjówki koło okna, przyciągany nieodpartą siłą. Gdy Lizzie się pojawiła, mógłby przysiąc, że wszyscy na sali aż jęknęli z podziwu.

Przez chwilę stała w drzwiach, potem, jak powiew rzeńskiego wietrzyka, spłynęła w dół ku sali. Monotonny gwar rozmów ucichł na chwilę.

Jej biała suknia, lekka jak mgielka, była szczytem prostoty i elegancji.

Gładkie, lśniące loki okalały twarz, reszta włosów, wysoko upięta, przetykana była perłami.

Sunęła ku zebrany w sali, z dłonią w białej rękawiczce opartą na

*metalowej balustradzie. Głowę trzymała wysoko, schodząc z gracją królowej po okrytych czerwonym chodnikiem schodach.*

*Jaśniała niczym księżyc.*

*Deva niełatwo było wprawić w zdumienie, ale od tej dziewczyny nie mógł oderwać oczu.*

*Należała do niego!*

*15 - Ukochana diabła*

*225*

*Przepętniony absurdalną dumą ruszył ku niej, nie bacząc na dwie ście par oczu, utkwionych w Lizzie. W następnej chwili na sali zawrzało. Rzucane natarczywym szeptem pytania przekazywano z galerii aż do ogrodu, gdzie znajdowała się większa część gości.*

*Kim ona jest?*

*Chyba jej nie znam...*

*Czy to ktoś sławny?!*

*Ciekawskie matrony oblegały plotkarzy. Dandysi, którzy dotąd nie zwracali najmniejszej uwagi na Lizzie Carlisle, podnosili szkiełka do oczu, a na ich zblazowanych twarzach malowało się zainteresowanie.*

*Devlin z trudem torował sobie drogę do Lizzie. Jego bezsilna złość rosła, gdy tłum wytwornych gości zagradzał mu drogę, otaczając ją i jej przyjaciół - najwyraźniej znanych i lubianych. Szczególną odrazę Deva wzbudził mur złotych młodzieńców, którzy oblegali dziewczynę, zasypując ją komplementami i uprzejmymi frazesami.*

*- Najmilsza panno Carlisle!*

*- Na Jowisza, bosko pani wygląda!*

*- Gdzież się pani podziewała? Nie widzieliśmy pani od wieków!*

*Lizzie zatrzymała się niemal u podnóża schodów, uradowana, ale też nieco przytłoczona zdumiewającymi względami, jakie okazywało jej może pół tuzina dżentelmenów, których знаła od lat. Przeważnie byli to dawni wielbiciele Jacindy. Nigdy dotąd nie zawracali sobie nią głowy!*

*Teraz upominali się o taniec z nią. Lizzie spojrzała ponad ich głowami i zobaczyła Diabła, ubranego w czerń.*

*Serce jej podskoczyło. Krew zaczęła szybciej krążyć w żyłach. Był tak przystojny, że zapierało jej dech. Jak zawsze, pomyślała. Coś jednak uległo zmianie!*

*W jego oczach był blask, jakiego nigdy dotąd nie widziała. Iskrzyły*

*się jak wspaniałe akwamaryny. Gdy podszedł do niej z wyrazem niezłomnej determinacji, poczuła ogromną ulgę. Aż do tego momentu nie była wcale pewna, czy w ogóle się zjawi. Może jej zuchwały postępek nie*

*wywrze żadnego skutku?*

*Wystarczyło jednak jedno spojrzenie na przepychającego się przez*

*tłum Deva, by zapomniała o strategii, którą tak starannie opracowały*

*z Jacindą, podczas gdy pokojówka układała im włosy. Zamierzała oka-*

226

*zywać mu chłodną rezerwę. Kiedy jednak znalazł się u podnóża schodów i wyciągnął rękę w białej rękawiczce, z płomiennym wejrzeniem czekając na to, że ujmie jego dłoń, i ryzykując odtrącenie na oczach*

*wszystkich, uciekły jej z głowy wszelkie sztuczki i podstępny.*

*Pragnęła go, marzyła o jego miłości. Wspólna przyszłość z nim wydawała się być w zasięgu ręki. Złożyła więc palce na wyciągniętej ku niej dłoni Devlina.*

*Jego ręka zacisnęła się na nich lekko, przyciągnął ją do siebie. Żadne*

*z nich nie zwracało uwagi na rozczarowane miny młodych dandysów.*

*Lizzie zadrżała, gdy Devlin podniósł jej dłoń do ust i w pełnej napięcia*

*ciszy delikatnie ucałował koniuszki palców.*

*Dyskretne chrząknięcie Jacindy przerwało tę chwilę wzajemnego zapatrzenia. Lizzie oprzytomniała i rozejrzała się dokoła, rumieniąc się lekko. Przedstawiła Devlina swoim przyjaciółom. Billy zmierzył go*

*groźnym wzrokiem, ale Jacinda trzymała w cuglach swego porywczego małżonka i zaproponowała, żeby znaleźli sobie jakiś mniej zatłoczony kącik.*

*Devlin przepuścił Lizzie przodem, Billy torował drogę żonie*

*w tłumie gości. Ze swymi złotymi kędziorami, płonącymi w blasku*

*żyrandoli, Jacinda kroczyła naprzód z błogim uśmiechem, wymieniając po drodze ukłony ze znajomymi, a krewki małżonek wpatrywał się w nią jak w tęczę. Minęło prawie dwadzieścia minut, zanim dotarli na*

*drugi koniec zatłoczonej sali balowej, tyle uprzejmych słówek musieli*

*zamienić ze znajomymi. Devlin trwał przy boku Lizzie, co nie umknę*

*ło uwadze plotkarzy. Nareszcie, po długim błądzeniu wśród tłumu dotarli do salonu, w którym było prawie pusto, jako że większość gości znajdowała się albo na sali balowej, albo na zewnątrz, w rozległych*

*ogrodach.*

*W salonie porozstawiano meble tak, że tworzyły kameralne kąciki.*

*Na pozłacanych krzesłach i sofach, obitych kwiecistym brokatem, spoczywało kilka osób, gawędząc i wachlując się leniwie. Na ścianach wisiały portrety w ozdobnych złotych ramach, a pod stopami rozciągał się barwny grecki dywan.*

*Devlin zaprowadził Lizzie do fotela, a sam zajął miejsce na taborecie naprzeciw niej, podczas gdy czujna przyzwoitka stała kilka kroków dalej, zapoznając Billy'ego ze znajomymi, którzy należeli do śmietanki*

227

*towarzyskiej. Jacinda rzuciła przyjaciółce spojrzenie zza wachlarza, jakby pytając: „Czy wszystko w porządku?” Lizzie w odpowiedzi lekko skinęła głową, po czym zerknęła niepewnie na Devlina.*



*Wpatrywał się w nią z najwyższym skupieniem.*

*- Jesteś niewiarygodnie piękna - szepnął.*

*Uśmiechnęła się i spuściła oczy, czerwieniąc się lekko. Musiała przyznać, że to dobry początek.*

*- Otrzymałam książki od ciebie. Bardzo ci dziękuję.*

*- To ja ci dziękuję, że zgodziłaś się mnie wysłuchać. Chyba na to nie zasługuję.*

*- No cóż, moja wielkoduszność jest ogólnie znana - zauważyła*

*z autoironią, po czym spojrzała mu badawczo w oczy. - Co chciałeś mi powiedzieć?*

*Wpatrywał się w nią przez dłuższą chwilę.*

*- Ze składam broń.*

*Uniosła pytająco brwi.*

*- Nigdy jeszcze coś podobnego mi się nie przytrafiło - mówił dalej.*

*- Nie mam pojęcia, jak się zachować, więc miej do mnie cierpliwość.*

*Z pewnością nieraz cię zirytuję. Ale nie będzie już żadnych sztuczek,*

*Lizzie. Prób przekupstwa ani porwania.*

*- Cóż to dokładnie znaczy? - spytała podejrzliwie, z mocno bijącym sercem.*

*Westchnął głęboko.*

*- To znaczy, że zmusiłaś mnie do gruntownego przemyślenia*

*wszystkiego, co powiedziałaś. Miałaś rację pod wieloma względami.*

*Widzisz, nie bardzo wiem, jak sobie u diabła poradzę z tą miłością, ale*

*gotów jestem spróbować. A ty?*

*- Mówisz to wszystko, żeby mnie udobruchać i dobrać się do swego spadku. Chodzi ci wyłącznie o pieniądze. Przyznaj się!*

*- O tak, jak najbardziej! - szepnął z łobuzerskim uśmiechem i coraz*

*gorętszym blaskiem w oczach. - Zależy mi tylko na pieniądzach. Nie*

*obchodzi mnie nic a nic to, że jesteś piękna i inteligentna. Ani twoja prawość, ani czuła troska, jaką okazujesz wszystkim wokół siebie. Nic nie znaczy dla mnie twoje poczucie humoru ani twoja szczerść. I oczywi*

*ście nie ma najmniejszego znaczenia fakt, że nie byłem z żadną kobietą*

*od tamtej nocy w lutym!*

228

*- Ależ Dev! - wykrztusiła, nieco zaszokowana tym wyznaniem.*

*Nerwowo poruszyła wachlarzem i rozejrzała się dokoła, żeby upewnić się, iż nikt go nie usłyszał.*

*Uśmiechnął się z lekkim rozbawieniem.*

*- Lizzie, pragnąłem być z tobą od pierwszej chwili, gdy cię ujrza*

*łem. Wiesz, że to prawda, bo jeszcze w Bath zaproponowałem ci, żebyś*

*została moją kochanką. Dla ciebie była to zniewaga, ale dla mnie, zatwardziałego samotnika, to poważny krok! Chcę być z tobą absolutnie szczerzy. Jesteś dla mnie wymarzoną towarzyszką i sądzę, że ja też do*

*ciebie nieźle pasuję.*

*- Nie żartuj ze mną, Devlinie - szepnęła, ledwie dosłyszalnie. -*

*Mógłbyś mnie bardzo zranić!*

*- Nie zranię! - Przysunął się bliżej. - Nie jestem Alekiem. Musisz*

*mi zaufać, Lizzie! Daj mi przynajmniej szansę. Sprawiedliwość tego wymaga.*

*Wziął delikatnie dłoń Lizzie w swoje ręce.*

*- Oto, co proponuję - powiedział cicho, zaglądając jej w oczy. -*

*Pozwól, żebym ubiegał się o ciebie jak należy, według wszelkich reguł.*

*Spróbujmy tego i zobaczymy, co się stanie. Nie będziemy się spieszyć.*

*Jeśli pod koniec tych trzech miesięcy, o których wspomniała moja ciotka, dojdziemy do wniosku, że dobrze się dobraliśmy, weźmiemy ślub.*

*A jeśli nie...*

*- To wtrąca cię do Fleet Prison!*

*- To nie twoja sprawa - uspokajał ją. - Nie zaprzataj sobie tym głowy, chérie. Jakoś sobie poradzę!*

*Wysunęła ostrożnie rękę z jego lekkiego uścisku i podejrzliwie zmierzyła wzrokiem jego wyrazistą twarz.*

*- Nadal nie jestem pewna, co sądzić o tym wszystkim. Dlaczego jesteś taki miły?*

*- To proste - odparł, odchylając się do tyłu na taborecie. - Kiedy przechytrzyłaś mnie tamtej nocy i odjechałaś na tym śmiesznym kucyku*

*- na to wspomnienie na jego usta wypłynął ciepły uśmiech - odkryłem,*

*że twoja przegrana nie jest dla mnie zwycięstwem. Z pewnością orientujesz się, jak łatwo mógłbym cię dogonić, gdybym chciał?*

*- A jednak pozwoliłeś mi odjechać - powiedziała cicho. - Dlaczego to zrobiłeś?*

229

*- Bo zrozumiałem, że od początku nie miałem racji. A poza tym uświadomiłem sobie, że nie potrafię być szczęśliwy, jeśli ty nie będziesz równie szczęśliwa.*

*- Wiesz co, Devlinie? - szepnęła niepewnie, spoglądając na niego ze zdumieniem. - Chyba nikt jeszcze nie powiedział mi czegoś równie miłego!*

*- Znakomicie! - Posłał je leniwe, przekorne spojrzenie. - Może się jeszcze okaże, że naprawdę potrafię kochać.*

*- Ach, ty diable! - szepnęła ze śmiechem, poczerwieniała i spuściła wzrok.*

*- Czy ten śliczny uśmiech znaczy, że nie masz nic przeciwko moim*

*zalotom? Pozwolisz mi ubiegać się o swoje względy?*

*Jakby mogła mu tego odmówić!*

*- Kiedyś powiedziano mi, że nie ma rzeczy, na którą byś się nie powążył, milordzie - odparła z nieśmiałą miną.*

*- Doprawdy? Ja?! Czego to ludzie nie wymyślą! - odparł zgorzonym szeptem i przysunął się bliżej.*

*Lizzie była nim tak urzeczona, że zapomniała, iż oprócz nich w salonie znajdują się inni goście. Pragnęła, by Dev ją pocałował, on zaś wydawał się bardziej niż chętny do spełnienia jej zachcianki... Niestety,*

*świeżo upieczona przyzwoitka ich rozdzieliła.*

*- Co byście powiedzieli, kochani, na spacer po ogrodzie? - zaproponowała z ożywieniem.*

*- Znakomity pomysł - odparł Devlin, rzucając Lizzie rozbawione spojrzenie.*

*Szarmancko pomógł jej wstać z fotela i wszyscy czworo podeszli do francuskiego okna, wychodzącego na ogród. Na dworze otoczył ich wiosenny zmierzch. Dev lekko dotknął łokcia Lizzie i skierowali się w stronę otwartych pasiastych namiotów, gdzie przygotowano napoje chłodzące. Jacinda wysłała obu panów, by przynieśli zimnego ponczu. Ledwie się nieco oddalili, Lizzie z rozmarzoną miną odwróciła się do przyjaciółki, gotowa do zwierzeń.*

*- No i co? - popędzała ją Jacinda.*

*Lizzie chwyciła ją za rękę, nie mogąc pohamować szalonej radości.*

*- Och, Jas... - wyszeptała. - On jest cudowny!*

*Markiza z trudem powstrzymała dziecinny pisk podniecenia.*

*- Jesteś w nim zakochana?*

- Chyba troszeczkę! - Zachichotała. Oczy jej błyszczały, policzki płonęły.

- Och, Lizzie! On naprawdę idealnie do ciebie pasuje! Jest... szatańsko przystojny!

Lizzie dała jej szturchańca łokciem, starając się opanować śmiech, ale dodała:

- I piekielnie pociągający!

- Założę się, że masz ochotę go zjeść! Dobry Boże, myślałam, że pocałuje cię przy wszystkich w salonie!

- Nie zdziwiłabym się, gdyby to zrobił. Jest kompletnie zwariowany!

- Jak wszyscy najwspanialszy kochankowie - przytaknęła Jacinda

tajemniczym szeptem. — Mam nadzieję, że Billy się nie rozsroży i nie

zechce go pozbawić życia... albo męskości! -Jacinda poklepała się zło

żonym wachlarzem po policzku, obiegając wzrokiem tłum w poszukiwaniu dwóch rostrych, przystojnych mężczyzn, po czym westchnęła z rozbawieniem i współczuciem równocześnie. - I bez tego twój Diabeł

będzie miał ciężką przeprawę z moimi braćmi. Billy na szczęście jakoś to przeżył!

- Dejem nie będą się tak przejmowali. Z Billym było co innego, chodziło o ich siostrę!

- Och, Lizzie! Nigdy tego nie zrozumiesz?! Wcale nie musisz wyjść

za Aleca, żeby stać się częścią naszej rodziny. Zawsze nią byłaś i zawsze będziesz!

Lizzie zwróciła się do Jacindy, zaskoczona jej szczerym oświadczeniem, gdy nagle przerwały im rozmowę dwie pustogłowe „przyjaciółki”

markizy, należące do najlepszych rodzin.

- Toż to lady Truro!

*Obie, przesadnie wystrojone i obsypane klejnotami, młode mężatki*

*przepchały się przed Lizzie, by ucałować i powitać Jacindę z ostentacyjną czułością.*

*- Kochanie! Jak to cudownie znów cię widzieć!*

*- Cóż za boska suknia!*

*- Nie zapomnisz chyba o naszym śniadaniu dobroczynnym w przyszłym tygodniu?*

231

*- Oczywiście że nie, moje kochane. Za żadne skarby nie przepuści*

*łabym takiej okazji! - odparła Jacinda, zręcznie parodiując ich sztuczny*

*ton i minki.*

*Musiła żyć w ich świecie, ale nie zadała sobie trudu, by poznać*

*obie damy z Lizzie, która dawno temu wyraziła swą pogardę dla podobnych stworzeń. Światowe damulki nie dostrzegły ironii w okraszonych uśmiechem odpowiedziach Jacindy.*

*Lizzie, jako osoba bez znaczenia, została przez nie kompletnie zignorowana, co bardzo ją ucieszyło. Żeby nie słuchać ich płytkich uwag, odwróciła się i odeszła kilka kroków, szukając w ciżbie Devlina. Nie zauważyła go jednak. Zamiast tego, stanęła twarzą w twarz z Alekiem.*

*Wiszący tuż za nim lampion rzucał migotliwe światło na jego złote włosy i szerokie ramiona, ale przystojna twarz pozostawała w cieniu.*

*Spoglądał na Lizzie ze smutnym uśmiechem. Był wyraźnie znużony.*

*- Witaj, Kruszyńko!*

*- Dobry wieczór, milordzie.*

*Skinęła głową, mając się od razu na baczności.*

*- Cudownie wyglądasz.*

*Jego głęboki głos był w tej chwili cichy jak westchnienie.*

*Nie odpowiedziała, choć komplement z ust takiego arbitra elegancji*

*powinien ją co najmniej przyprawić o omdlenie. Pełen podziwu wzrok*

*Aleca błędził po całej jej postaci.*

*- Jak to wspaniale spotkać cię tutaj! Wywołałaś prawdziwą sensację*

*- mówił cicho, z lekkim uśmiechem dumy. - Nie przypuszczałem, że wrócisz do towarzystwa.*

*- Cóż, czas leczy wszystko, jak to mówią - zauważyła pogodnym tonem.*

*Spuścił głowę niczym skarcony ministrant.*

*- Miło mi to słyszeć. - Umilkł na chwilę. -Wiele o tobie ostatnio*

*myślałem, od dnia, gdy ujrzałem cię, bawiącą się z dziećmi. Miałem nadzieję, że uda nam się wkrótce porozmawiać.*

*- Nie sądzę, byśmy mieli sobie coś do powiedzenia.*

*- Alec, kochanie! Tu się chowasz?*

*Lady Champion nagle znalazła się między nimi i uwiesiła się na szerokim ramieniu Aleca. Lizzie wzdrygnęła się na to bezceremonialne wtargnięcie.*

232

*- Gdzieś się podziewał, mój śliczny? Nie lubię, gdy się mnie zaniedbuje - skarciła go, niby to żartobliwie.*

*Ignorując Lizzie ze znacznie większą nonszalancją, niż czyniły to zarozumiałe przyjaciółki Jacindy, przyciągnęła głowę Aleca ku sobie i zaczęła mu coś szeptać do ucha.*

*Boże, cóż za niezręczna sytuacja!*

*Bogata, piękna, owdowiała i dzięki temu wolna jak ptak lady Champion wyróżniała się niezwykle śmiałą i modną fryzurą: grzywa krótko ostrzyżonych, ciemnych włosów związana była jedwabną przepaską.*

*Odziana była w wierzchnią suknię w cytrynowe pasy, rozciętą od pasa w dół. Spod niej wyzierała biała muślinowa halka. Baronowa niezwykle*

*umiejętnie władała wachlarzem, a każde jego poruszenie mówiło mnóstwo fascynujących rzeczy,*

*adresowanych zresztą jedynie do mężczyzn.*

*Lizzie zrobiło się niedobrze, gdy sobie przypomniała, w jakich okolicznościach Alec odgrodził się definitywnie od niej za pomocą tej damy.*

*Gdzież się podział Devlin? Zostawił ją tu samą, czuła się tak głupio!*

*Jacinda też nie miała dla niej czasu, rozmawiała teraz z całą hordą swych pustogłowych przyjaciół.*

*Spojrzała znów na Aleca i przekonała się, że nadal patrzy na nią, choć*

*lady Champion dosłownie wisi na nim i afiszuje się publicznie ze swymi*

*uczuciami. Był wyraźnie oziębły wobec swej bogatej kochanki. Spoglądał na Lizzie z bólem w oczach i z głębokim żalem.*

*Obserwując przez chwilę odrażające sztuczki baronowej, Lizzie*

*uświadomiła sobie, że lady Champion trzyma mocno Aleca w swoich*

*szponach i ani myśli z niego zrezygnować.*

*Zbyt wiele pieniędzy w niego zainwestowała!*

*W tym momencie Billy - dzięki Bogu - powrócił z dwiema szklaneczkami ponczu.*

*- Gdzie też, u licha, podziła się moja żona?! Jas!*

*- Dobry wieczór, markizie - wymruczała jak kotka lady Champion,*

*spoglądając na Billy'ego z niedwuznacznym błyskiem w oku, ale nie*

*puszczając muskularnego ramienia Aleca.*

*Billy rzucił jej spojrzenie pełne niesmaku i odwrócił się w poszukiwaniu żony.*

*- Ładnie to tak uciekać od Lizzie? - burknął i podał Jacindzie szklaneczkę ponczu, gdy podeszła wreszcie do niego.*

233

*- Bardzo mi przykro, ale nic nie mogłam na to poradzić, najmilszy!*

*Rozumiesz teraz, dlaczego tak mi zawsze zależy, żeby mieć cię przy sobie? - Jacinda skosztowała ponczu i zmarszczyła brwi. - A gdzie jest lord Strathmore?*



*Billy ruchem głowy wskazał jeden z namiotów.*

*- Powiedział, że zaraz wróci.*

*Lizzie poszła za jego wzrokiem i dostrzegła Devlina, którego wyraźnie zatrzymywał zwalisty mężczyzna o brązowych włosach, niebudzący zaufania swoim wyglądem.*

*- Strathmore, powiedziałaś? - spytał ze zdumieniem Alec, uwalniając głowę z lekkiego, ale władczego uścisku baronowej.*

*- Istotnie. Twój dawny szkolny kolega, nieprawdaż? - spytała go uprzejmie, acz z pewnym wyzwaniem w głosie Lizzie.*

*- Istotnie - wycedził Alec.*

*- Nie wydajesz się zadowolony, że go spotkasz.*

*Wzruszył ramionami.*

*- To nie jest znajomość, którą specjalnie pragnąłbym odnowić.*

*- A to dlaczego? - spytała z pewną urazą.*

*- Niezbyt mi odpowiada towarzystwo, w którym Dev się obraca od powrotu do Anglii.*

*- Co masz na myśli?*

*Już miał wyjaśnić, ale lady Madison, pani domu, przemknęła wśród nich, zapytując pospiesznie, czy wszyscy dobrze się bawią. Zatrzymała się dosłownie na kilka sekund, po czym ruszyła dalej, by z takim samym pośpiechem zająć się pozostałymi gośćmi. Zaraz potem dołączył do nich Devlin i podał Lizzie obiecany poncz. Niestety nie był już zimny, tylko ciepły.*

*- Najmocniej przepraszam - wymamrotał. - Wpadłem na znajomego i nie mogłem się wyrwać.*

*- Zauważyłam to.*

*Lizzie zastanawiała się, czy ów osilek, z którym Dev rozmawiał,*

*należał do tych niepożądanych znajomych, o których wspomniał Alec.*

*Była to zdumiewająca uwaga ze strony Aleca, który bardzo rzadko źle się o kims wyrażał. Lizzie chętnie by się dowiedziała czegoś więcej, ale nadal nie miała ochoty na poufne pogawędki z Alekiem. W tych okolicznościach mogła być jedynie zadowolona z tego, że Devlina nie*

234

*zatrzymała jakaś nierządnicą z wielkiego świata - ktoś w rodzaju lady  
Campion.*

*Dev pochylił się ku niej i szepnął jej czule do ucha:*

*- Wszystko w porządku? Wróciłem od razu, jak tylko ich zobaczy  
łem!*

*Odsunęła się nieco i spojrzała mu w oczy. Niespokojny wyraz jego  
twarzy świadczył o tym, że domyślił się, kim jest kobieta obok Aleca,  
i pojął, jak trudny to moment dla Lizzie.*

*Wahała się przez chwilę, teraz jednak, gdy miała znów u boku swego  
sprzymierzeńca, pozwoliła sobie na powściągliwy uśmiech. Wsunąwszy  
rękę pod ramię Deva, skinęła głową i przysunęła się bliżej do niego. Już  
wszystko w porządku!*

*Alec obserwował ich bacznie.*

*- Toż to Diabeł Strathmore - wycedził. - Kto by się spodziewał?*

*Devlin odwrócił się i powitał go równie powściągliwie.*

*- No, no! Aleksander Wielki we własnej osobie.*

*- Słyszałem, że wróciłeś do Londynu. Jakże się miewasz?*

*- Znakomicie. A ty?*

- Nie mogę się skarżyć.

Dwaj dawni przyjaciele uścisnęli sobie ręce, ale ich powitanie było zdumiewająco chłodne i Lizzie dostrzegła wyraźną obustronną rezerwę.

- Nie wiedziałem, że się znacie - zauważył Alec, spoglądając to na Devlina, to na nią.

- A tak, spotkaliśmy się jakiś czas temu w Bath, nieprawdaż? - mruknął Dev, darząc Lizzie uśmiechem. - Ta bezcenna perła osładzała mojej ciotce ostatnie miesiące życia i będę jej za to dożgonnie wdzięczny.

Devlin podniósł rękę Lizzie do ust i ucałował ją.

Lady Champion uśmiechnęła się pogardliwie.

Spojrzenie Aleca było zimne jak lód. Po sekundzie zaskoczenia przypomniał sobie o dobrych manierach.

- Rzeczywiście, słyszałem o śmierci twojej ciotki. Moje kondolencje, stary!

Dev podziękował wytwornym skinieniem głowy.

- Alec, kochanie! Nie przedstawisz mi swojego przyjaciela? - Lady

Campion wysunęła się nieco do przodu i utkwiała w Devlinie badawcze spojrzenie. - Chyba się jeszcze nie znamy?

235

Lizzie się nastroszyła.

- Jak sobie życzysz, milady. - Z gładkim, sztucznym uśmiechem

Alec spełnił życzenie baronowej, więcej niż rad, że przynajmniej na jakiś czas zajmie się nią Dev. - Pozwól, że ci przedstawię Devlina Kimballa, wicehrabiego Strathmore'a. Strathmore, oto lady Champion.

- Madame - wycedził Devlin, kłaniając się z lodowatą rezerwą.

- Nie bawię się w formalności z tak przystojnymi mężczyznami,

*milordzie - wymruczała jak kotka. - Proszę mi mówić Eva!*

*Gestem królowej, wyświadczającej łaskę, wyciągnęła do Devlina*

*błyszczącą od klejnotów rękę, oczekując, że ją ucałuje.*

*Devlin obrzucił ją spojrzeniem, po czym wetknął jej w nadstawioną*

*dłoń swój kieliszek.*

*- Może zechcesz mi to potrzymać, Evo, kiedy będę tańczył z panną*

*Carlisle? Dziękuję bardzo. Chodźmy, najmiłsza, obiecałaś mi tego walca!*

*Z najwyższym zdumieniem Lizzie pospieszyła za nim, gdy chwycił*

*ją za rękę i pociągnął za sobą, pozostawiając zarozumiałą kochankę Aleca*

*z opróżnionym do połowy kieliszkiem w ręku i z oburzoną miną.*

*Lizzie z trudem opanowała rozbawienie.*

*- Nie mogę wprost uwierzyć, że tak ją potraktowałeś!*

*Obejrzała się na Jacinę i Billy'ego, którzy - odwracając się od rozwścieczonej baronowej - starali się ukryć śmiech.*

*- Nikt nie ośmielił się tak cię traktować w mojej obecności! - warknął. - Bardzo przepraszam, Lizzie, ale jestem zbyt wściekły, by skupić się na tańcu. Co za bezczelna wiedźma! - Zwrócił się do Lizzie. - A ty?*

*Bardzo cię to ubodło?*

*- Ależ skąd!*

*Kiedy spotkały się ich spojrzenia -jego wzburzone, jej rozbawione*

*- miała wrażenie, że świat nagle się zatrzymał, księżyc zaświecił podwójnym blaskiem, a gwiazdy zaczęły tańczyć.*

*- Dziękuję ci! - szepnęła.*

*Burknął coś i odwrócił się, zmieszany.*

*- Dev? - Skinęła na niego palcem. Kiedy pochylił się ku niej, szepnęła mu do ucha: - Mam lepszy pomysł od tego walca.*

*- Naprawdę?*

*Chmurna mina natychmiast znikła, a twarz rozpromienił mu swawolny uśmiech.*

236

*- Mhm...*

*Zerknęła szelmowsko w stronę rozległego ogrodu, tonącego w księżycowym blasku, i uniosła pytająco brew.*

*Uśmiechnął się filuternie.*

*- Sprytna z ciebie dziewczyna! To naprawdę lepszy pomysł. O wiele lepszy!*

*- No to chodźmy!*

*Przemknęli się we dwoje przez rozległy ogród do cichego zakątka nad*

*wodą, gdzie z ustronnego tarasu z omszałą kamienną balustradą roztaczał*

*się widok na Tamizę. Wielkie kamienne urny pełne były goździków i lwich*

*paszczy, a bujne pędy kapryfolium zakrywały słupki balustrady, tworząc*

*wdzięczne ramy dla nocnego pejzażu - osrebrzonej księżycem rzeki, płynącej wśród kwiatów- i przesycając nocne powietrze mocnym zapachem.*

*Wiatr rozwiewał wdzięcznie fałdy białej sukni Lizzie, a złoty kolczyk*

*Devlina połyskiwał w blasku księżyca, gdy podeszli do balustrady i zapatrzili się na marszczącą się lekko powierzchnię wody.*

*Stojąc tak ramię przy ramieniu, milczeli przez dłuższą chwilę, ciesząc się pięknem nocy i wzajemną bliskością. Rzeka była spokojna i lekko pluskała o brzeg. Samotny łabędź płynął pod prąd, daleko za nimi płonęły pomarańczowe światła willi i migotały ogrodowe lampiony.*

*Z dołu, od zakola rzeki dochodziły urocze dźwięki kwintetu smyczkowego, grającego na pokładzie barki, która miała kursować do śródmieścia Londynu i z powrotem, zgodnie z życzeniem gości.*

*Devlin nakrył dłonią jej rękę, spoczywającą na kamiennej balustradzie. Lizzie odwróciła się powoli do niego. Serce jej trzepotało.*

*Z czułym spojrzeniem, pełnym niewypowiedzianej tęsknoty, Dev*

*przyciągnął ją mocno do siebie. Zarzuciła mu ręce na szyję i westchnęła,*

*gdy pochylił głowę i musnął wargami jej wargi. Oparta o jego szeroką*

*pierś, odrzuciła głowę do tyłu i rozchyliła usta w oczekiwaniu na słodki,*

*namiętny pocałunek. Ręce Deva błędziły po jej plecach i ramionach.*

*Otoczył dłońmi jej twarz i obsypywał ją pocałunkami, aż poczuła, jak*

*jego wspaniałe ciało twardnieje w zetknięciu z jej ciałem.*

*Jęk Devlina był tak cichy, jak powiew wiatru w gałęziach drzew.*

*- O Boże! Chyba oszaleję.*

*- Cicho, cicho... - szepnęła i trochę niepewnie wyciągnęła rękę, by*

*pogłaskać go przez eleganckie wieczorowe spodnie.*

237

*- Doprowadzisz mnie do szaleństwa.*

*Powstrzymał ją po chwili, chwytając za nadgarstek. Potem uśmiechnął się do niej szelmowsko, oczy mu błysnęły. Objął ją w talii i posadził*

*na balustradzie.*

*- Och, Devlinie! - westchnęła, gdy jego smukłe biodra wślizgnęły*

*się pomiędzy jej uda, gniotąc spódnice.*

*Ale Lizzie wcale się tym nie przejęła, że jej piękna toaleta będzie wymięta. Przytuliła się do Deva i całowała go tak, jakby całkiem się w nim zatraciła. Poruszali się w jednym rytmie. Pojękiwała cichutko, gdy pieścił jej piersi przez delikatny biały jedwab stanika.*

*Wysoko nad nimi uśmiechał się księżyc. Grała muzyka, czarujące*

*dźwięki menueta niosły się po wodzie. A oni pospiesznie poznawali się*

*nawzajem, lękając się, że ich nieobecność zostanie zauważona. Ręce*

*ochoczo badały każdy zakątek ciała, usta wymieniały pocałunki i nagłące*

*szepty. Pieścili się coraz śmielej, a mimo to byli coraz bardziej spragnieni.*

*Nagle Dev oderwał usta od jej ust.*

*- Ktoś tu idzie! - wyszeptał bez tchu.*

*Wyrwana raptownie z namiętnego zamroczenia Lizzie usłyszała głosy i śmiechy, zbliżające się od*

*strony ogrodu.*

*- Nie odchódź! - błagała Deva, łapiąc go za ubranie.*

*- Jeśli zostanę, przyłapią nas na gorącym uczynku - odparł szeptem*

*- i zmuszą, byś za mnie wyszła. Dałem ci słowo honoru, że decyzja w tej sprawie będzie należeć do ciebie i dotrzymam obietnicy.*

*Dotknął pieszczotliwie jej policzka i cofnął rękę. A potem zniknął wśród drzew, nim zbliżyła się grupa rozbawionych gości.*

*Lizzie pospiesznie przykleiła do ust uśmiech i skinęła im głową, ale wszystkie jej myśli były zaprzątnięte postępkami Devlina. Mógłby raz na zawsze uwolnić się od kłopotów finansowych, nie ruszając się po prostu z miejsca, a ona nawet by się nie połapała w sytuacji. Mógłby udawać niewiniątko, gdyż nie usłyszała na czas, że ktoś nadchodzi, i nie zdążyłaby umknąć.*

*On chyba traktuje mnie poważnie!*

*Miękki uśmiech rozchylił jej wargi, gdy wpatrywała się w ogrodowe cienie, wśród których zniknął Devlin.*

*W połowie następnego tygodnia po balu u Madisonów Dev wszedł*

*do White'a w towarzystwie swoich kompanów z Klubu Jeźdźców i Woźniców. Wracali właśnie z treningu w modnej szkółce bokserskiej przy Bond Street, podczas którego Quint dał im wszystkim w kość - nie wy*

*łączając Deva. Z cygarem zwisającym z ust, prężąc z dumą potężną pierś*

*- pokonał przecież mocnego chłopca, w dodatku o dziesięć lat młodszego*

*- Quint stąpał buńczucznie na czele przyjaciół, wkraczając do czcigodnego męskiego sanktuarium.*

*Ściany kryte dębową boazerią i ciemne dywany w klubie White'a*

*oraz panujący tu półmrok stanowiły rażący kontrast z palącym słońcem*

*tego gorącego majowego popołudnia. Trwało chwilę, zanim oczy Deva*

*się przystosowały do przyciemnionego światła. Zdążył jednak zauważyć,*

*że członkowie klubu odwracają się dyskretnie, gdy jego kompani wtargnęli do wnętrza.*

*- Pierwszą kolejkę stawia Dev, chłopaki!*

*Quint klepnął go po plecach.*

*- Au! -jęknął Devlin i się skrzywił.*

*Quint zaśmiał się serdecznie.*

*- Hej, ty tam! Dla nas piwo! - poleciał jednemu z kelnerów.*

*- Tak jest, milordzie.*

*Kelner zbladł i pospieszył wykonać rozkaz.*

*Dev przekonał się na własnej skórze, w jaki sposób Quint zdobył*

*przydomek Łamignata. Ring bokserski był jedynym miejscem, gdzie ten*

*zwalisty dureń święcił triumfy.*

*Lewy sierpowy barona mógł bez trudu pozbawić przeciwnika głowy, a podwójny cios w przeponę był równie morderczy. Pięści Quinta przypominały tłoki nowomodnej maszyny parowej. Zebra nadal bolały*



*Deva po otrzymanych ciosach, ale w tej walce nie zależało mu na tym, żeby wygrać.*

*Po istnym maratonie - dwadzieścia pięć rund! - Devlin ostatecznie wycofał się z walki, by nie zakłócić ogólnej harmonii. Nikt nie pokonał*

*Quinta od 1807 roku i Dev nie zamierzał wzbudzać niepotrzebnej sensacji, odbierając baronowi sławę niezwykłego. Kelner wrócił z piwem 239*

*i niebawem członkowie Klubu Jeźdźców i Wóźniców z entuzjazmem popijali orzeźwiający, złotobrzowy trunek.*

*Dev kazał dopisać do swego rachunku tę kolejkę, potem następną i jeszcze jedną. Zdawał sobie sprawę z tego, że jego fundusze są na wyczerpaniu, ale cóż innego mógł uczynić? Kompani nie mieli pojęcia, iż spadek po ciotce stoi pod znakiem zapytania i że wszystko zależy od humoru Lizzie Carlisle - od tego, czy zechce wyjść za niego, czy nie.*

*Devlin nie widział jej od tamtej nocy na balu, ale posłał jej kwiaty*

*i liścik, w którym zaprosił ją na przejażdżkę w niedzielę. Zaczęły się zaloty według wszelkich reguł. Myśl o pocałunku Lizzie sprawiła, że na jego ustach pojawił się uśmiech.*

*Odsunął na bok sprawy praktyczne, związane z jego finansami.*

*Pogłębiające się coraz bardziej uczucie do Elizabeth wywarło decydujący wpływ na decyzję, jaką podjął. Cokolwiek by się stało, poślubi ją i zapewni jej wysoką pozycję, na którą Lizzie ze wszech miar zasługuje.*

*Jakże się zdziwi, odkrywszy, że jako jego żona przewyższa w hierarchii towarzyskiej zarozumiałą lady Champion! Namiętność, którą czuł do*

*Lizzie, sprawiała, że pragnął jak najszybciej uporać się z zemstą. Kiedy wszystkie rachunki zostaną wyrównane, gotów był poświęcić jej swą przyszłość. Przed wszystkim jednak musiał spełnić swój obowiązek,*

*splacić dług wobec rodziny i pomścić straszliwą śmierć najbliższych, którzy zginęli tamtej przeklętej nocy*

*Dotąd nie dbał o to, czy pozostanie przy życiu, czy nie, byle się to*

*wszystko dokonało. Jednak kilka dni temu, podczas wieczornej kąpieli*

*przyszło mu do głowy, że Lizzie nie byłaby zadowolona, gdyby dopiero co poślubiony małżonek opuścił ją i pozwolił się zabić. Jej uczucia do niego także stawały się coraz silniejsze. Widział to w jej uśmiechu*

*i wyczuwał w pocałunkach. Jeśli chodziło o wrogów, wiedział, że nie*

*zawaha się przed niczym. Jeżeli jednak Lizzie go pokocha, to czy powinien narażać ją na cierpienia podobne do tych, jakie sam musiał znosić we wczesnej młodości?*

*Był to poważny dylemat. Postanowił odtąd działać z jeszcze większą ostrożnością niż dotychczas. W miarę jak posuwały się naprzód jego zaloty, coraz wyraźniej widział, że musi za wszelką cenę ukryć przed*

*kompanami więzi łączące go z Lizzie. Jeśli któryś zauważy, że umizguje*

240

*się do ślicznej guwernantki, zamierzał stwierdzić lekceważąco, że to dla*

*niego pierwsza lepsza spódniczka. Ot, apetyczny kąsek! Kiedy zaś staną*

*przed ołtarzem, zawsze może utrzymywać, że bracia Knightowie przy*

*łapali go na gorącym uczynku i zmusili do ślubu z ich przybraną siostrą.*

*Nie było to może zbyt pochlebne dla Lizzie, ale przecież nigdy się o tym*

*nie dowie!*

*W następnej chwili Dev uświadomił sobie jednak, że istnieje słaby*

*punkt w tej doskonałej strategii, mającej zagwarantować Lizzie bezpieczeństwo. Był nim lord Alec Knight.*

*Ten elegant, jego dawny kolega szkolny, wyłonił się właśnie z okiennego wykuszu u White'a, gdzie zwykł przyjmować hołdy swych naśladowców i pochlebców.*

*Kiedy Dev obserwował Aleca, jak ze świtą dandysów kroczy dumnie przez salę do jednego z karcianych stołów, przyszło mu na myśl, że gdyby kiedyś w męskim towarzystwie oświadczył, że Lizzie stanowi dla*

*niego tylko rozrywkę, wieść o tym z pewnością dotarłaby do Aleca. Znał*

*dostłownie wszystkich i nie tylko był bożyszczem kobiet, ale i powiernikiem londyńskich plotkarzy.*

*Devlin bez trudu mógł sobie wyobrazić reakcję Aleca na taką pogłoskę. Przede wszystkim wyzwiałby go na pojedynek, czego nie nale*

*żało lekceważyć. Słyszał, że jego dawny przyjaciel stoczył już kilkana  
ście pojedynków i znakomicie się popisał na tym polu. Co gorsza, Alec  
z pewnością ostrzegłby Lizzie, że Dev -jak sam przyznaje - igra tylko  
z jej uczuciami.*

*Wicehrabia zapewne zdołałby się jakoś z tego wyplątać, ale mimo  
wszystko Lizzie byłoby przykro, a i on sam nie chciał się pakować w podobne tarapaty.*

*Alec, wyczuwając na sobie czyjeś spojrzenie, rozejrzał się po wielkiej  
sali i zauważył Deva.*

*Żaden z nich nie odezwał się ani słowem.*

*Alec odwrócił się jakby nigdy nic, a Dev zacisnął zęby.*

*Co u diabła?! Może mu się nie podobać, że zalecam się do Lizzie, ale  
nie ma prawa traktować mnie jak powietrze!*

*Ten człowiek, praktycznie rzecz biorąc, zignorował go ostentacyjnie,*

*przy świadkach! Nic dziwnego, że Devlin poczuł się urażony. Byli niegdyś dobrymi przyjaciółmi. Z  
pewnością nie będzie tu siedział i znosił*

*16 - Ukochana diabła*

*241*

*tego spokojnie! Wypił resztkę piwa, odstawił kufel na stół, przeprosił na  
chwilę towarzyszy i ruszył za Alekiem.*

*- Masz coś do mnie, stary? - zagadnął, zaciskając ręce na oparciu*

*pustego krzesła, stojącego na wprost Aleca i nie spuszczając zeń wyzywającego spojrzenia.*

*Alec wpatrywał się w niego zimno, podejrzliwie.*

*- Witaj, Strathmore. -Jednym znaczącym spojrzeniem pozbył się*

*swojej świty, po czym znów popatrzył na Deva. - Wygląda na to, że mamy wspólną znajomą.*

*- Rzeczywiście.*

*- Co cię w niej zainteresowało, Strathmore? - spytał bez ogródek*

*Alec. - Nie miałem pojęcia, że gustujesz w sawantkach.*

*- O ile mi wiadomo, to samo można by powiedzieć o tobie, więc nie pojmuję, co cię to obchodzi?*

*- Kto ci to powiedział? - wycedził, wpatrując się w swój koniak.*

*- Sama panna Carlisle. Opowiedziała mi wszystko o waszej... różnicy zdań. I o tym, jak bardzo ją zraniłeś.*

*- Rozumiem. Postanowiłeś więc wyciągnąć od niej, co się da, pod pozorem niesienia pociechy. Trafiłem?*

*- Jak kulą w płot.*

*- Znamy się od dawna, Dev. Ale przysięgam na Boga, jeśli ją skrzywdziłeś...*

*- Tak jak ty, Alec? - Umilkł na chwilę. - Tak się składa, że moje zamiary są absolutnie uczciwe. Poprosiłem Elizabeth, żeby za mnie wyszła.*

*- Co takiego?! — Alec aż zbladł z wrażenia. Spoglądał na Devlina ze zdumieniem. - Co ci odpowiedziała?*

*- Zastanawia się nad tym - odparł.*

*W jego oczach zamigotał zaborczy błysk.*

*Alec wyprostował się na krześle.*

*- Chcesz powiedzieć, że ci odmówiła!*

*- Jeszcze się nie zdecydowała, tylko tyle. To mi na razie wystarczy.*

*Młoda dama o jej zaletach zasługuje na to, by się o nią ubiegać bez niepotrzebnego pośpiechu.*

*Usłyszawszy to, Alec zmusił się do ironicznego śmiechu, ale w jego*

*oczach czaił się strach.*

242

*- Nie, nie! Przygotuj się na odprawę, stary druhu. Ona ci nigdy nie powie „tak”.*

*- Skąd ta pewność?*

*- Bo przez całe życie kochała się we mnie.*

*Devlin się z jeżył. Za nic nie chciał przyznać mu racji, ale wiedział przecież od samej Lizzie, że to prawda.*

*- Czegóż ty się spodziewasz? Ze będzie wiecznie żyła nadzieją?*

*Czekała, aż się namyślisz? Popelniłeś wyjątkowo głupi błąd! Powiem ci w zaufaniu, mam powody przypuszczać, że moje uczucia są odwzajemnione.*

*Alec spoglądał na niego przez dłuższą chwilę, rozważając jego słowa.*

*Potem potrząsnął głową i arogancko uniósł brwi.*

*- Możesz to sobie wmawiać, ale Lizzie zawsze należała do mnie.*

*- Ludzie się zmieniają, Alec!*

*Alec zerknął na Quinta i innych członków Klubu Jeźdźców i Woźniców, którzy siedzieli w drugim końcu sali, po czym spojrzał znacząco na Deva.*

*- To prawda - odparł i pokiwał głową z lekkim wyrzutem. - Ludzie istotnie się zmieniają.*

*Dziewczęta jadły właśnie kolację w jadalni, gdy jedna z pokojówek podeszła do Lizzie i szepnęła, że pewien dżentelmen chciałby się z nią zobaczyć i czeka na frontowym ganku. Z dreszczem radości pobiegła na spotkanie Devlina, rzuciwszy przedtem okiem do ściennego lustra, wiszącego w holu. Pospiesznie przygładziła włosy, odetchnęła głęboko i starała się ukryć podniecenie. Kiedy jednak wyszła na ganek, to nie*

*Devlin czekał tam z kapeluszem w ręku, by ją powitać.*

*- Witaj, Kruszyńko!*

*Alec posłał jej uśmiech, niewesoły i bardzo czuły. Chylące się już ku zachodowi słońce płonęło w jego złotych włosach.*

*- Alec? - Mimo woli lekko się usztywniła, skinęła mu jednak głową dość serdecznie i postarała się ukryć swe rozczarowanie. - Masz ochotę napić się czegoś? - zaproponowała uprzejmie. - Każę podać lemoniadę.*

*Alec zaprzeczył ruchem głowy, jakby z roztargnieniem.*

*- Czy jest tu jakieś miejsce, gdzie moglibyśmy porozmawiać?*

*- Chyba tak, ale tylko przez kilka minut.*

243

*Wskazała mu wykładaną kamiennymi płytami ścieżkę, która wiodła wokół budynku do ogrodu. Po drodze Alec się nie odzywał. Żadnych zuchwałych żartów, przekomarzania się, prób roztaczania swego uroku.*

*Wyglądał na zatroskanego.*

*- A więc to tu się ukrywasz - zauważył, gdy dotarli do bramki, obrośniętej pnączem.*

*Spojrzała na niego ostro.*

*- Nie ukrywam się!*

*- Tak mi się tylko powiedziało. - Przełknął ślinę. - Miło tu. Spokojnie.*

*- Chcesz powiedzieć: „nudno”?*

*- Ależ skąd! Wcale nie nudno, kiedy ty tu jesteś.*

*Uśmiechnął się znowu.*

*Lizzie zrobiła się podejrzliwa. Nie odpowiedziała, ale poszła za nim.*

*W ogrodzie łagodne światło zachodzącego słońca sprawiało, że na trawę*

*słały się coraz dłuższe szmaragdowe cienie. Wszędzie było pełno złocistego pyłu: na łupkowych płytach pod nogami, wokół poidelka dla ptaków, na ławce pod gruszą.*

*W powietrzu unosił się leniwie puch dmuchawca. Obok przelatowały owady, a w ich przezroczystych skrzydełkach odbijało się światło.*

*- Czy to tu uczyłyście się z Jas?*

*Lizzie zatrzymała się i odwróciła do niego:*

*- Po co tu przyjechałeś? - zapytała wprost.*

*Ujrzała niemą rozpacz w jego wielkich, błękitnych oczach. Spojrzał*

*na nią tak, że serce się krajało, a potem odwrócił wzrok.*

*Lizzie natychmiast przyszło do głowy, że się znów zgrał w karty.*

*- Coś nie w porządku, Alec?*

*- Nic nie jest w porządku, Lizzie. Wszystko jest po prostu okropne i tak się to już ciągnie od miesięcy. Nienawidzisz mnie, a ja nie mogę tego znieść.*

*- Wcale cię nie nienawidzę - zapewniła go, gdy nieco oprzytomniała ze zdumienia.*

*- A powinnaś! Sam siebie nienawidzę za krzywdę, którą ci wyrządziłem. Bóg świadkiem, że na nic lepszego nie zasługuję!*

*- Och, Alec...*

*- Przyszedłem, żeby cię przeprosić.*

244

*Znów to spojrzenie zagubionego szczeniaka!*

*- W porządku. Przyjmuję twoje przeprosiny.*

*- Nie! - Potrząsnął głową. - Powiedziałaś to bez przekonania.*

*Westchnęła i odwróciła wzrok.*

*- Nie składałeś mi żadnych przyrzeczeń, Alec. Byłeś wolny i miałeś*

*prawo robić, co chcesz. Wybaczam ci. To już przeszłość, dziś bez znaczenia.*

*Ruszyła dalej, ale dogonił ją i zastąpił drogę.*

*- Nie mów, że to już nie ma znaczenia, Lizzie. To najgorsze, co mogłabyś powiedzieć! - Spojrzała na niego, zmieszana. - Z trudem się na to zdobyłem, więc pozwól mi przynajmniej wyznać wszystko, zanim mnie stąd wyrzucisz!*

*- Nie zamierzam cię znikąd wyrzucać.*

*- Już wyrzuciłaś mnie ze swojego życia. - Rozpacзлиwa samotność w jego oczach jeszcze przed rokiem przyprawiłaby ją o omdlenie. Teraz jednak w jej życiu pojawił się Devlin. - Moje życie nie ma sensu bez ciebie, Lizzie. Jestem taki zagubiony...*

*Lizzie spuściła wzrok. Nie mogła uwierzyć w to, co usłyszała!*

*- Naprawdę nie chciałem cię zranić! Nie widziałem żadnego innego rozwiązania. Kruszyńko, musisz to zrozumieć! — Chwycił ją błagalnie za rękę. - Nie mogłem twoim posagiem spłacić kartnianych długów. Nawet ja nie upadłem tak nisko! - Przerwał na chwilę. - Wiem, że sprawiłem ci przykrość, ale minął już prawie rok... więc może znów pozwolisz mi być częścią twojego życia?*

*Spojrzała na niego podejrzliwie.*

*- Teraz już wiem, że uważałem twą obecność, twą dobroć za coś oczywistego. Ale jeśli dasz mi jeszcze jedną szansę, przysięgam, że już nigdy nie sprawię ci zawodu. Chcę się zmienić. Tak bardzo cię potrzebuję, Lizzie! Każdy ma przecież prawo do błędów, czy nie tak?*

*Rzuciła mu pełne bólu spojrzenie. Potem odwróciła się i pokręciła głową.*



- Nie rób mi tego, Alec! Nie pozwolę ci! Wyskakujesz ni stąd, ni zowąd z czymś takim w chwili, gdy widzisz, że związałam się z kimś innym!

- Ni stąd, ni zowąd?! Nie bądź niemądra! Przecież zawsze coś było między nami, niewypowiedziane...

245

- I wolalabym, żeby tak pozostało!

Spojrzał na nią oskarżycielsko, z wyraźną urazą.

- Mój Boże! Strathmore naprawdę cię opętał! Na balu u Madisonów myślałem, że mu pozwolisz na Bóg wie co w obecności nas wszystkich! Jak mogłaś się zgodzić, żeby zachowywał się tak poufale wobec ciebie?!

Oburzyła się.

- Coś takiego z ust utrzymanka lady Champion?! Jak śmiesz robić mi wyrzuty? W gruncie rzeczy wcale ci na mnie nie zależy, ale nie możesz znieść, żebym zainteresowała się kimś innym!

- To nieprawda! Zawsze sądziłem, że będziemy razem, skoro tylko moja przyszłość jakoś się ustali. Spójrz, w jakim jestem położeniu!

- protestował, gdy go ofuknęła.

- Dość już tych wykrętów, Alec. Mogłeś zmienić swe położenie

w mgnieniu oka, ale nie chciałeś żadnych więzów ani obowiązków. Wystarczyłoby, żebyś wyrzekł się hazardu i przyjął którąś z ofert, jakich nie szczędził ci Robert, na przykład miejsce w Izbie Gmin czy zarząd jednego z rodzinnych majątków. Zamiast tego uciekłeś ode mnie w chwili, gdy powiedziałam, że cię kocham.

Alec odwrócił się i zaklął pod nosem. Potem opadł na najbliższą ławkę i wbił wzrok w ręce, spoczywające na kolanach.

- Byłem głupcem!

- Istotnie.

- Co ja pocznę bez ciebie? Nie mogę cię utracić, Lizzie! Jestem tu,

*staram się, nie widzisz? To chyba ma jakieś znaczenie?*

*Z westchnieniem usiadła obok niego.*

*- Och, Alec! Bądź szczery wobec samego siebie i wobec mnie. Twoje przywiązanie do mnie przypomina to, co czuje mały Harry do swego ulubionego niebieskiego kocyka! Chcę być dla ukochanego mężczyzny*

*czymś więcej niż talizmanem, dającym mu poczucie bezpieczeństwa!*

*Pragnę... nie, zasługuję na to, żeby być kochaną dla siebie samej, do licha!*

*- Dziwisz się, że uciekłem, skoro zawsze próbujesz mnie zmienić,*

*zbawić, zreformować?! - skrzywił się Alec. - Wiem, że nie jestem doskonały, ale czy nie można kochać mnie takim, jakim jestem, ze wszystkimi moimi wadami?*

246

*- Jeśli próbuję cię zmienić, Alec, to tylko dlatego, że nie chcę, żebyś*

*całkiem się upodlił z powodu swojej skłonności do hazardu!*

*- Wyobraź sobie, że nie tknąłem kart od tego... nieporozumienia*

*między nami. To najszczerza prawda!*

*- Co takiego?!*

*- Można powiedzieć, że całkiem mi się przejadły. A ile razy wzią*

*łem do ręki kości, widziałem przed sobą ciebie, jak spoglądasz na mnie*

*z wyrzutem. Zupełnie nie mam serca do hazardu. Od tamtej pory nie*

*grałem ani razu.*

*Spoglądała na niego, zdumiona. Tyle nowin! Za dużo, by objąć to*

*umysłem! Wymarzony księżę z dziewczęcych snów, jej ukochany Alec,*

*siedział tu i mówił, że gotów jest rozpocząć nowe życie, razem z nią.*

*Przewycięzył nawet swój pociąg do hazardu!*

*W końcu mogła zostać pełnoprawnym członkiem rodziny Knightów.*

*Wystarczy tylko pozbyć się Deva.*

*Potrząsnęła głową. Nie ma mowy!*

*- Alec, Devlinowi zależy na mnie. Co więcej, on mnie potrzebuje!*

*- Ja też cię potrzebuję! - Wpatrywał się w nią przez dłuższą chwilę.*

*- Przeżyj z nim szalony romans - powiedział cicho. - Zasłużyłem na to! Ale przecież w głębi serca oboje wiemy, że naprawdę kochasz tylko mnie. Nie niszcz tego, Lizzie!*

*- Sam to zniszczyłeś. - Odwróciła wzrok, serce biło jej gwałtownie.*

*- Czy nie powinieneś już wrócić do lady Campion?*

*Jego wargi wygięły się w cynicznym uśmiechu, ale błękitne oczy pozostały smutne. Wstał i, przechodząc obok, powiódł pieszczotliwie palcem po jej policzku.*

*- Nie poddam się bez walki! - mruknął, po czym pocałował ją*

*w czoło i pozostawił samą w ogrodzie.*

*Po wizycie Aleca życie Lizzie zmieniło się nie do poznania. Za niechętnym przyzwoleniem pani Hall, nauczycielka nadal zażywała wraz z Jacindą rozkoszy londyńskiego sezonu we wszystkie soboty i większość niedziel. Były bale, rauty, herbatki, przyjęcia po teatrze, wieczory w Vauxhol, koncerty i przejażdżki po parku. Przez cały czas Alec i Devlin - obaj równie czarujący — nie odstępowali jej, a każdy z nich starał się prześcignąć rywala.*

247

*Towarzystwo oczywiście pilnie się temu przyglądało.*

*Devlin wytrwale zalecał się do niej według wszelkich reguł, Alec*

*z determinacją usiłował odzyskać jej względy. Obaj nie szczędzili jej*

*komplementów i wszelkich dowodów szacunku. Obdarowywali ją*

*kwiatami, słodyczami, mnóstwem uroczych drobiazgów i błyskotek. I*

*tyle wokół niej robili szumu, że w końcu Lizzie spostrzegła ze zdumieniem, że stanowi centrum ogólnego zainteresowania. Ona, Lizzie Carlisle - mól książkowy, stara panna, córka rządcy!*

*Idąc w ślady Aleca i Devlina, wszyscy dobrze urodzeni młodzi nicponie, którzy nie dostrzegali jej,*

*gdy była cichutką, nieodstępną towarzyszką Jacindy, doszli do wniosku, że warto się w niej zakochać!*

*Prawdopodobnie ze względu na wysoką pozycję dwóch głównych adoratorów uznano nagle, że wielbienie Lizzie Carlisle jest w dobrym tonie. I oto teraz dziewczyna, która kilka miesięcy temu nie mogła znieść widoku londyńskiego dandysa, była przez nich dosłownie oblężona. Wydawało się to tak absurdalne, że Lizzie i Jacinda zaśmiewały się do łez.*

*Dev znosił triumfy swej damy z filozoficznym spokojem. Cieszył się, że wreszcie i ona znalazła się na świeczniku, co jej się od dawna należało. Cekał cierpliwie, obserwując z satysfakcją, jak Lizzie rozkoszuje się hołdami adoratorów.*

*Była zresztą dzięki temu bardziej bezpieczna. Wrogom mniej rzucały się w oczy jego zaloty, gdy jako jeden z wielu adoratorów kręcił się wokół najnowszej piękności sezonu.*

*A poza tym miał niemal pewność, że zajmuje pierwsze miejsce w jej sercu. Tylko z nim odbywała długie przejażdżki po Hyde Parku, podczas których Dev dawał jej lekcje powożenia czwórką koni. Co więcej, tylko z nim wymieniała żarliwe pocałunki, ilekroć udało im się zostać sam na sam przez kilka minut. Pewny swej uprzywilejowanej pozycji, pozwalał Lizzie bawić się do woli i uśmiechał się, gdy towarzystwo nazywało ją *Jedyną w swoim rodzaju*", „niezrównaną" i „godną najwyższych hołdów".*

*Miał dość czasu, by spełnić warunki testamentu ciotki, więc po cóż popędzać dziewczynę? Miło było patrzeć, jak rozkwita, nie chowając dłużej swego blasku pod przysłowiowym korcem. I tak oto, nie spiesząc*

248

*się zbyt, Devlin poświęcał tyle samo uwagi problemom miłości co zemście.*

*W tej drugiej, mrocznej sprawie poczynił w maju znaczne postępy.*

*Teraz, gdy był już pełnoprawnym członkiem Klubu Jeźdźców*

*i Woźniców, systematycznie wykreślał nazwiska z listy podejrzanych.*

*Z rozmysłem spoił część klubowych kolegów, po czym niby to przypadkiem zapytał gdzie i kiedy dowiedzieli się o heroicznej śmierci admirała Nelsona pod Trafalgarem?*

*Ta słynna bitwa morska rozegrała się 21 października 1805 roku, ale*

*dowiedziano się o niej w Anglii dopiero na początku listopada, niemal*

*dokładnie wtedy, kiedy miał miejsce ów straszny pożar. Devlin przyglądał się bacznie zapijaczonym twarzom towarzyszy, gdy każdy po kolei opowiadał, gdzie go owa wieść zaskoczyła. Zanim noc dobiegła końca, Dev nabrał pewności, że doktor Eden Sinclair, Dog Berkeley, Nigel Waite ani Wielki Tom nie mieli z pożarem nic wspólnego. Zaczął zatem*

*szukać sposobu, by zmusić pozostałych do odkrycia kart.*

*Kilka dni później bawili się w jego pawilonie. Odciągnął na bok*

*Głupka Dudleya, ponieważ był pewien, że ten niemądry chłopak jest*

*absolutnie niewinny. Starał się wbić mu do głowy kolejne, równie podchwytliwe pytanie. Wiedział, że zbliża się coraz bardziej do prawdziwego winowajcy, więc pragnąc uspić wszelkie podejrzenia, poprosił Głupka,*

*żeby to on spytał, który z kompanów oglądał występy, jakie się dawniej*

*odbywały w pawilonie.*

*- Spytaj ich, czy pamiętają dziewczęta, których podobizny wymalowano na ścianach - mruknął. - I która z nich najbardziej im przypadła do gustu? Ale pamiętaj, że pytasz sam z siebie, z własnej ciekawości.*

*- Nikt nie nabierze podejrzeń, jeśli wyjdzie to od Dudleya. - Zrobisz*

*to dla mnie?*

*- Pewnie że tak, Dev! Ale po co?*

*Uśmiechnął się uspokajająco do głupiego młokosa.*

*- Po prostu dla kawału.*

*- Mam zapytać specjalnie o którąś z nich?*

*- Nie sądzę - przerwał im jakiś głos.*

*Obaj popatrzyli na kuzyna Dudleya, Alastora Hyde'a, który po cichu wślizgnął się do sali balowej, gdzie Dev pokazywał młodemu księciu portrety dawno zapomnianych aktorek.*

249

*Blady, łysiejący Hyde przeszył Deva zimnym spojrzeniem.*

*- Dlaczego podsuwasz jego książęcej mości takie pomysły, milordzie?*

*- Doprawdy, tylko dla kawału, mój stary! Przyszło mi do głowy, że*

*warto by zapolować na te przywiędłe różyczki! Jeśli uda się je odnaleźć*

*- dodał. - Możliwe, że wszystkie zdechły już na francie.*

*- Na francie! Do licha, Strathmore, ale z ciebie komik! - chichotał*

*Dudley.*

*- Zamknij się! - warknął Alastor. - Nie wyrwiesz się z tym głupim*

*pytaniem, które ci podszeptał Strathmore. Wybij to sobie z głowy, wasza książęca mość!*

*- W porządku, kuzynie - odparł potulnie Dudley, usiłując opanować śmiech.*

*- Tobie też bym radził poniechać takich pytań, milordzie.*

*- A to dlaczego? - mruknął Dev. - Wiesz coś na ten temat?*

*- Tylko tyle, że nie warto grzebać się w tym, co ktoś dawno i starannie zakopał. Daj temu spokój!*

*Dev nie powiedział ani słowa, gdy Alastor pośpiesznie wyprowadził*

*z sali młodego kuzyna. Choć chciał dowiedzieć się jak najwięcej, nie*

*ośmielił się nalegać. Ten niemiły mężczyzna mógł powtórzyć innym,*

*o co Strathmore wypytywał. Na razie posłucha rady Alastora i zostawi*

*sprawę w spokoju.*

*Odczekał kilka dni, aby się upewnić, że nie będzie żadnych przykrych skutków tej scysji, po czym spróbował innej metody. Zjawił się pewnego wieczoru u Wielkiego Toma i przyprowadził*

*sekretarzowi klubu wyjątkowo piękną i usłużną dziwkę.*

*Wprowadzono ich do jadalni, gdzie sir Tommy spożywał w samotności potężną kolację.*

*- A, to ty, Strathmore! Dotrzymasz mi towarzystwa? - spytał, siejąc*

*okruchami. Jak zwykle mówił, nie przełknąwszy tego co miał w ustach.*

*Ręka znieruchomiła mu w powitalnym geście, gdy do pokoju zza*

*pleców Deva wślizgnęła się blondynka, otulona jedynie męskim płaszczem.*

*- Mam dla ciebie prezent, stary! - powiedział wicehrabia.*

*Służący Toma znikł, a Dev skinieniem głowy dał znak blondynce*

*i płaszcz opadł na podłogę.*

250

*Wielki Tomomal się nie zadławił.*

*- Czy mógłbym zerknąć do klubowych ksiąg, podczas gdy ty i panna Felicia zawrzecie bliższą znajomość?*

*- N... no pewnie! - wyjąkał grubas, usiłując zerwać się na nogi.*

*Wskazał Devlinowi drzwi swego gabinetu. Pot ściekał mu kroplami*

*po rozpalonej pożądaniem gębie.*

*- Doskonale! - mruknął Dev. - Muszę sprawdzić pewien zakład*

*z ubiegłego miesiąca.*

*- Czuj się jak u siebie, stary... Nie musisz się spieszyć - wymamrotał Tommy.*

*Spoglądał wybatuszonymi oczyma na blondynkę, która zanurzywszy palec w galaretce, rozmazała ją na piersi, spoglądając kusicielsko na baroneta.*

*Sprytna sztuka i ani trochę niewybredna, pomyślał Dev, opuszczając*

*jadalnię w chwili, gdy ogromny żarłok wydostał się zza stołu, by pofolgować innym apetytom. Znalazłszy się w wykładanym dębową boazerią gabinecie baroneta, Dev nie tracił czasu na księgę zakładów, tylko zaczął grzebać w rejestrach klubu, aż znalazł najwcześniejszy, z 1805 roku, kiedy to Klub Jeźdźców i Woźniców został założony. Początkowo dokonywano w nim zapisków charakterem pisma zgoła odmiennym od bazgrołów sir Tommy'ego. Drobne i staranne litery pochylały się nieco*

*w lewo. Na pierwszej stronie jako przewodniczący i sekretarz klubu wymieniony był Carstairs.*

*Dev przerzucał karty rejestru tak szybko, jak to było możliwe.*

*W większości zapiski dotyczyły nieistotnych drobiazgów - wydatków za*

*wynajęcie sali na zebrania klubu, za zakupione trunki i potrawy, za usługi muzyków i dziwek. Wyglądało na to, że sytuacja nie uległa zmianie w ciągu dwunastu lat. Devlin natrafił jednak na pewną zagadkową pozycję z grudnia 1805 roku. Dwieście funtów za przewiezienie przez kanał*

*La Manche niejakiego signora Rossiego, nauczyciela tańca.*

*Nauczyciel tańca, też coś! - pomyślał Dev, przypominając sobie*

*śmierć kucharza, który pełnił służbę tamtej tragicznej nocy Pod Złotym*

*Bykiem i miał rzekomo zaproszyć ogień w kuchni. Owego kucharza*

*znaleziono powieszzonego. Jeśli uznać to za samobójstwo, można było*

*mówić o wyrzutach sumienia - pożar pochłonął czterdzieści siedem istnień ludzkich.*

251

*Dev zastanawiał się, czy ów nauczyciel tańca nie był przypadkiem*

*płatnym mordercą. Sprowadzenie kogoś takiego z kontynentu w czasie*

*trwania blokady byłoby sztuką nie lada! Ale jeśli ktoś rzeczywiście sprowadził z Włoch profesjonalistę, by zabił kucharza -jedyną osobę, która mogła podważyć oficjalną teorię zaproszenia ognia w kuchni - to Dev*

*mógł stwierdzić, kto tego zbira wynajął!*

*Sięgnął do kieszeni kamizelki i wyjął kartkę, zachowaną i przekazaną*

*mu przez oficera policji, który przed laty prowadził śledztwo w sprawie*

*pożaru. Był to anonimowy list z pogrózkami. Ktoś żądał od koronera*

*- pod groźbą śmierci - zatajenia pewnych ustaleń co do przyczyny tego*

*zdarzenia.*

*Koroner dał się wówczas zastraszyć.*

*Złowróźbny list nie został oczywiście podpisany. Dev porównał pismo z rejestrami z 1805 roku, sporządzonymi ręką Carstairsa. Charakter pisma był identyczny.*



*Przez dłuższą chwilę nie mógł dopasować do siebie kawałków tej układanki. Potem ukrył ponownie kartkę papieru w kieszeni kamizelki, odłożył księgę rejestrów i odjechał, pozostawiając blondynkę w szponach rozpustnego tłuściocha. Wielki Tom pocił się i stękał, przygniatając ją do blatu stołu w jadalni. Dev nie obawiał się o los Felicii. Była przyzwyczajona do takich sytuacji, a poza tym zapłacił jej z góry.*

*W jego głowie panował zamęt. Co z Quintem?! Przez cały czas był przekonany, że mordercą jest Quint! Teraz nie wiedział, czy stary Łamignat Randall był niewinny, czy popełnili tę zbrodnię wspólnie z Carstairsem. Jak się dowiedzieć, gdzie Quint znajdował się tamtej nocy?!*

*Pół godziny później Dev włamał się do powozowni Quinta.*

*Wślizgując się przez okno do przysadzistego, ceglanego budynku stajni, Devlin czuł zapach świeżo zżętej lucerny i ostry odór nawozu.*

*Z boksów dolatywało ciche posapywanie koni. Starając się poruszać bezszelestnie - na stryszku nocowało co najmniej pół tuzina stajennych*

*- skradał się głównym przejściem, mijając śpiące po obu stronach zwierzęta. Zajrzał do pustego składu uprzęży. Szybko się stamtąd wycofał*

*i znalazł drzwi do kantorka głównego stangreta.*

*Wszedł do środka i zamknął drzwi za sobą. Przez jedno małe, wysoko umieszczone okno do kantorka wpadało nieco księżycowego blasku.*

252

*W tym słabym świetle Dev zaczął pospiesznie szukać tego, po co przyszedł.*

*Jako entuzjaści powożenia, hultaje z Klubu Jeźdźców i Woźniców*

*więcej dbali o swe pojazdy niż o siebie. W ich życiu panował bałagan, ale*

*konie, powozy, a w wypadku kilku dandysów także stroje, znajdowały*

*się w idealnym porządku.*

*Członkowie klubu preferowali wyścigi po długich traktach o gładkiej nawierzchni, przy których pobierano myto, gdyż brukowane kocimi łbami londyńskie ulice i źle utrzymane boczne drogi powodowały zbyt*

*wiele uszkodzeń powozów, które były prawdziwymi dziełami sztuki. Jak*

*zauważył Dev, jego kompani dbali o utrzymanie ekwipaży w idealnym*

*stanie, a zatem o konserwację kół i osi, oliwienie sprężyn, częste sprawdzanie orczyków, ciągle czyszczenie uprząży. Liczba przebytych mil była w każdym pojeździe miernikiem zużycia sprężyn i innych elementów,*

*domagających się częstej wymiany. Żeby dojść z tym wszystkim do ładu*

*i móc przewidzieć koszt i terminy niezbędnych napraw, każdy naczelny*

*stangret był zobowiązany nie tylko do prowadzenia dokładnych notatek*

*na temat reperacji, ale także rejestrowania każdego wyjazdu, z podaniem*

*trasy, daty oraz liczby przebytych mil.*

*Być może był to strzał na oślep, ale Devlin coraz rozpaczliwiej pragnął oddzielić niewinnych od winowajców. Rejestry stangreta mogły mu w tym pomóc. Chciał sprawdzić, czy któryś z powozów Quinta nie odbył w listopadzie 1805 roku dłuższej podróży oksfordzkim traktem.*

*Devlinowi tętniło w skroniach, gdy wodził palcem po zakurzonych, stojących na półce rejestrach naczelnego stangreta. Na grzbiecie każdego z tomów widniał wytłoczony rok. Serce zabiło mu szybciej,*

*gdy dotarł do rocznika 1805. Bezszelestnie wyjął tom z pokrytej kurzem*

*półki i podszedł z nim do okna, gdzie przekartkował książkę z zapartym*

*tchem. Na każdej stronie znajdowały się starannie rozmieszczone zapiski stangreta. Daty. Wydatki. Sierpień, wrzesień, październik. Dotarł do listopada, odwrócił stronę i... skamieniał.*

*Listopada nie było. Kolejne zapisy dotyczyły grudnia. Wszelkie informacje z listopada 1805 roku zostały usunięte. Oczy Devlina zwęziły się z wściekłości.*

*Jakiś odległy dźwięk przyciągnął jego uwagę.*

*Ktoś nadjeżdżał.*

*Jeden z psów nagle podniósł alarm. W chwilę później powóz przetoczył się z turkotem po cichej*

ulicy. Hałaśliwy śmiech i pijackie śpiewy potwierdziły niezbicie, że to Łamignat Randall wraca do domu, bez wątpienia z wizyty w ulubionym burdelu. Sądząc z odgłosów, nie wracał

sam - chrapliwy kobiecy głos wyśpiewywał jakąś sprośną piosenkę.

W mgnieniu oka Dev odstawił na półkę rejestr z 1805 roku i, z bijącym sercem, wymknął się z pokoiku stangreta. Musiał się stąd wydostać!

Baronowi towarzyszyło co najmniej dwóch stajennych. Quint zapewne popędzi ze swoją dziwką prosto do łóżka, ale stajenni lada chwila wejdą do stajni, by odprowadzić konie do boksów.

Zakradłszy się do przegrody spokojnego gniadosza, Dev przywarł plecami do ściany, gdy czterokonny powóz wjechał z turkotem w alejkę, prowadzącą do stajni. Wicehrabia czekał, obserwując podwórze przez szczelinę między ciężką drewnianą okiennicą a ścianą. Quint wyskoczył z powozu. Niezbyt pewnie trzymał się na nogach, ale chwycił na ręce pijaną dziewczynę i wywinął z nią młynka.

- Daj spokój! -wybelkotała. - Zaraz rzygnę!

- I tak cię ucałuję! - zapewnił ją Quint i ryknął śmiechem.

- Ty potworze! - Dała mu przyjacielskiego kuksańca, a gdy postawił ją na ziemi, podkasala spódnice i pobiegła przez ogród do domu. - Złap mnie, jeśli potrafisz!

Quint zaśmiał się z całego serca i rzucił się za nią. Ich wrzaskliwe głosy ucichły, gdy tylne drzwi zatrzęsnęły się za nimi z hukiem.

W chwilę później Dev znów usłyszał skrzypienie kół w alejce. Dwóch stajennych rozmawiało ze sobą zbyt cicho, by mógł ich podsłuchać. Nie tracąc czasu, Dev wylazł przez wysokie okienko w boksie i zeskoczył na wąską uliczkę. Po cichu, wielkimi krokami oddalił się i zniknął w mroku

*nocy.*

*Od rzeki nadciągała mgła. Przesłoniła krąg pomarańczowego światła wokół staroświeckiej żelaznej latarni, stojącej na rogu ulicy.*

*Gdy otulony cieniem Dev ruszył w przeciwnym kierunku, poczuł*

*lekki dreszcz, który przebiegł mu po grzbiecie. Znieruchomiał, wstrzymał dech i udawał, że spogląda na zegarek.*

*Ktoś go obserwował. Czuł to z całą pewnością.*

*Powoli, ukradkiem, gotów w każdej chwili do ataku, spojrzął w bok kątem oka.*

254

*Włosy stanęły mu na głowie, a serce podeszło do gardła. Nie był tak przerażony nawet wówczas, gdy dzika puma szła za nim trop w trop przez dżunglę. Ale to było żywe zwierzę, istota z krwi i kości!*

*Teraz zaś ujrzał ducha.*

*Stała w pobliżu latarni, ledwie widoczna pośród kłębiącej się mgły - upiorna wdowa, cała w czerni. Po prostu stała tam, wpatrzona w niego, niczym posłaniec z zaświatów.*

*On zaś uzmysłowił sobie, że obserwowała go od pewnego czasu.*

*Sam nie wiedział, czy podbiec do niej, czy uciekać.*

*Oboje zastygli w bezruchu. Potem Dev zrobił krok w jej stronę i...*

*duch rzucił się do ucieczki.*

*Duch? Do licha! Jeszcze nigdy nie słyszał o duchu, których tak*

*głośno uderzałyby obcasami o bruk! Przeklinając własną głupotę, a także*

*mgłę i blask księżyca, które przyprawiły go o utratę rozsądku, Dev ruszył w pościg za tą niewątpliwie żywą istotą.*

*Kimkolwiek była - rozmyślał posepnie - widziała go, jak włamywał*

*się do stajni Quinta.*

*Niedobrze!*

*Mary uciekła w popłochu, zaskoczona nagłym odwróceniem ról.*

*Przypominając sobie sztuczki z dawnego życia, podkasła czarną spódnicę i śmigła po krętych uliczkach.*

*- Nie chowaj się! - krzyczał za nią lord Strathmore, a jego niski*

*głos odbijał się od murów i nabierał dziwnego pogłosu we mgle. - Nie*

*zrobię ci nic złego, do diabła! Chcę z tobą tylko porozmawiać!*

*Nie słuchała go. Skracając sobie drogę, biegła w cieniu pod arkadami. Przeklinała fakt, że ją wypatrzył. Teraz będzie się miał na baczności, a sprawy właśnie przyjęły ciekawy obrót!*

*Obserwowała wicehrabiego często, gdy przechadzał się po mie*

*ście. Zresztą śledziła nie tylko jego, ale ich wszystkich. Nigdy w życiu*

*nie podejrzewałaby Diabła Strathmore'a o to, że włamie się do powo-*

*zowni serdecznego przyjaciela! Ten zdumiewający postępek przekreślił*

*wszystkie jej dotychczasowe wnioski. Nagle Mary przestała być pewna, kto kim manipuluje. Czy młody wicehrabia był pod przemożnym wpływem Quinta i Carstairsa, czy też kryło się za tym coś, czego nie*

*pojmowała?*

255

*Nie mogła ryzykować spotkania z nim twarzą w twarz. Nie wiedziała,*

*jakim człowiekiem był w rzeczywistości. Gdyby okazał się równie zły, jak*

*jego kompani, nie mogła pozwolić, by dowiedział się o istnieniu Sorschy*

*Mary doskonale wiedziała, że miał prawo domagać się opieki nad*

*młodsza siostrą. Był jej legalnym opiekunem, a zarazem jedynym krewnym.*

*Zdołała mu umknąć na ruchliwej ulicy, wskakując na tył załadowanego skrzyniami wozu.*

*- Wracaj! - krzyczał jeszcze w ciemności, a w jego gniewnym głosie  
brzmiała nuta rozpacz.*

*Ukryta za skrzyniami widziała go na ulicy w miejscu, które przed  
chwilą opuściła. Obracał się we wszystkie strony, a potem nerwowo  
przeczesał włosy ręką.*

*Nie wygląda na złego człowieka, pomyślała. Obserwowała go, jak  
klnie i niecierpliwie rozgarnia palcami długie czarne włosy. Potem jego  
postać stopniowo malała w oddali, gdy wóz, na którym się ukryła, unosił  
ją coraz dalej.*

*Póki nie będzie miała pewności, że odziedziczył przynajmniej cząstkę szlachetnej natury swojego  
ojca, nie powie mu o niczym!*

*Niech diabli porwą tych cholernych wierzycieli! - wykrzyknął Ben, słysząc natarczywe kołatanie do drzwi.*

*- Ja się tym zajmę - warknął Dev i wielkimi krokami pomaszerował przez korytarz.*

*Był sobotni wieczór i miał właśnie opuścić dom, by udać się do*

*Vauxhol w towarzystwie Lizzie. Miał nadzieję, że pomoże mu to ochłonąć po niepokojących wydarzeniach ostatniej nocy. Wiedząc jednak, że jego udręczony lokaj przepędził spod drzwi dziesiątki wierzycieli w ciągu dnia, pobiegł do frontowego holu, uznawszy, że najwyższy czas rozprawić się osobiście z tą bezczelną hołotą.*

*- Dość już tego! - ryknął z miną jak gradowa chmura, otwierając z impetem drzwi. I nagle skamieniał, zupełnie zaskoczony - Charles?!*

256

*Jego niepozorny doradca omal nie zemdlął, słysząc takie powitanie, ale przełknął ślinę i wyjąkał:*

*- D... dobry wieczór, m... milordzie.*

*- O, przepraszam, Charlesie! Wejdz, bardzo proszę. - Klepnął niskiego, grubiutkiego adwokata przyjacielsko w plecy. Charles Beecham z pewną obawą wszedł do wnętrza domu. - Wybacz mi, stary! Ci parszywi wierzyciele wiecznie mnie prześladują.*

*- T...tak, milordzie. Właśnie o tym chciałem pomówić. - Charles poprawił krawat i starał się odzyskać panowanie nad sobą.*

*- Może kieliszek czegoś mocniejszego? Wyglądasz jakoś blado.*

*- Nie, dziękuję bardzo. Ja... potrzebuję chwili... - Znow przełknął ślinę i wreszcie wziął się w garść. - Przynoszę znakomite wieści, milordzie.*

*- Doprawdy?*

*Charles skinął głową, dostojnie i dobitnie. Na jego ustach ukazał się*

*powściągliwy uśmiezek zwycięskiego szachisty.*

*Ponieważ adwokat wyglądał tak, jakby miał eksplodować, jeśli natychmiast wszystkiego z siebie nie wyrzuci, Dev ruchem ręki zachęcił*

*go do mówienia.*

*Charles wypiął dumnie pierś i cały się rozpromienił.*

*- Milordzie! - oznajmił z triumfem. - Po tygodniach nieustającej*

*pracy znalazłem wreszcie sposób, by uwolnić pana od oburzających warunków testamentu świętej pamięci ciotki!*

*Devlin był kompletnie ogłuszony.*

*- Naprawdę?!*

*- Tak! Poleciał mi pan znaleźć jakiś sposób, a ja go znalazłem. Nie*

*musi pan już żenić się z panną Carlisle, milordzie! Pieniądze należą do*

*pana. Wyłącznie do pana! Z wyjątkiem mojej prowizji, rzecz jasna.*

*Ponieważ Dev gapił się tylko na adwokata i nie był w stanie nic powiedzieć, milczenie przerwał Ben.*

*- Jakim cudem zdołał pan tego dokonać, panie Beecham?*

*- W końcu okazało się to całkiem proste. Przez cały ubiegły miesiąc*

*wertowałem moją prawniczą bibliotekę, usiłując znaleźć jakieś wyjście,*

*zgodnie z poleceniem jego lordowskiej mości. I nagle przypomniałem*

*sobie, że warto by coś sprawdzić. Otóż pani wicehrabina nie przekazała*

*kopii swego zmienionego testamentu do Sądu Kanclerskiego! W rejestrze*

*17 - Ukochana diabła*

*257*

*publicznym mają jedynie dawną jego wersję, a tym samym to ona jest*

*legalna i wiążąca!*

*Charles wybuchnął szalonym śmiechem.*



*Ben i Devlin spoglądali na niego ze zdumieniem.*

*Adwokat usiłował wyjaśnić.*

*- Widzi pan, milordzie, mniej więcej przed dziesięciu laty mój*

*poprzednik przekazał kopię testamentu lady Strathmore do Doctors'*

*Commons. Nie był to niezbędny krok, ale bardzo roztropny ze względu na ochronę praw beneficjentów, zwłaszcza jeżeli w grę wchodzi okazały majątek. No cóż, z przykrością muszę przyznać, że założyłem, iż pani wicehrabina, dokonawszy zmian w testamencie, sama przesłała*

*tam jego kopię. Wie pan przecież, milordzie, jak doskonale znała się na*

*kwestiach finansowych i jak dbała o swoje interesy! Zamierzałem złożyć*

*jej wizytę, by omówić zmiany w testamencie, ale miałem wyjątkowo*

*dużo obowiązków. Zwlekłem kilka tygodni z wyjazdem do Bath, a ona*

*tymczasem zmarła. Moje niedopatrzenie okazało się jednak opatrnościowe! Przepraszam, że nie czekałem z tym do jutra, ale wiedziałem, że i wasza lordowska mość chciałby usłyszeć o tym natychmiast. Milordzie, wszystko jest nareszcie jasne!*

*Ben spojrzał na wicehrabiego, usiłując odgadnąć jego myśli, ale Dev*

*sam nie był pewien, co sądzi o tym wszystkim. W głowie mu wirowało.*

*Z jednej strony poczuł ogromną ulgę. Z drugiej strony obawiał się,*

*że Lizzie znowu się spłoszy albo nawet odmówi mu swej ręki! Wstyd*

*przyznać, ale Dev liczył, że ostatecznie Lizzie zdecyduje się na małżeństwo z nim z czystej litości, żeby go ocalić od więzienia za długi. Bez tej groźby, wiszącej nad jego głową...*

*- Pozostaje tylko jedno - prawil dalej Charles - a mianowicie poinformować pannę Carlisle, że najnowszy testament lady Strathmore nie posiada mocy prawnej.*

*- Nie! - warknął Dev, zdumiewając obu rozmówców.*

*- Milordzie?!*

*Dev zmarszczył brwi i w zamyśleniu drapał się w brodę.*

*- Jaki zapis pozostawiła moja ciotka dla Lizzie w swoim poprzednim testamencie?*

*- Ależ żadnego, milordzie. Tamten testament został sporządzony*

wiele lat temu, zanim ją u siebie zatrudniła.

258

- A więc niczego nie dostanie? - spytał cicho.

- Nie, milordzie - odparł Charles. - Wszystko należy do pana.

Dev spuścił oczy, pogrążony w myślach. Oparł ręce na biodrach.

Lizzie była taka uparta, taka dumna... Obawiał się jej reakcji, gdy się o tym dowie.

- Czy mam jutro rano napisać do niej list w tej sprawie? A może

woli pan, milordzie, żebym przekazał jej tę wiadomość osobiście? Sądzę,

że młoda dama może być zawiedziona utratą szans na małżeństwo. I to

jakie małżeństwo! Czy mam jej zaoferować jakąś pieniężną rekompensatę?

.- Nie! - Dev potrząsnął zdecydowanie głową. - Sam ją o tym powiadomię w odpowiednim czasie.

- Milordzie?

- Tam do licha, Charles! Jeśli o tym usłyszysz, gotowa... gotowa mi odmówić!

Prawnik pochylił głowę, by ukryć znaczący uśmiezek.

- Jak sobie wasza lordowska mość życzy.

Spędzili urocze chwile w wesołym, gwarnym Vauxhol. Koło północy

Lizzie była bardzo rozczarowana, że trzeba się już rozstać z Devlinem.

Ilekroć przebywała w jego towarzystwie, wskazówki zegarów zdawały

się obracać z niezwykłą szybkością. A jej nagła popularność w towarzystwie sprawiała, że więcej oczu ją obserwowało i trudniej było wymknąć się niepostrzeżenie, by spędzić kilka chwil w jego ramionach. Doprawdy, przez cały wieczór miała wrażenie, że Dev chce jej coś powiedzieć, ale zawsze dokoła były tłumy ludzi. Ona sama, prawdę mówiąc, miała

mu również wiele do powiedzenia, gdyż nie była to pierwsza lepsza noc!

Po kilku tygodniach zalotów gotowa była oddać swemu Diabłu serce i

*rękę. Nie mogła się doczekać chwili, gdy mu o tym oznajmi - ale musiała to uczynić w odpowiednim momencie.*

*Wreszcie, gdy zbliżała się już pora rozstania, udało im się wymknąć na krótkie sam na sam w jednej z osławionych alejek Vauxhol, ciemnych i wysypanych żwirem. Jeśli jednak chodzi o rozmowy, to doprawdy nie mieli na nie czasu. Jasnozielona parasolka Lizzie idealnie pasowała do jej letniej sukni, a równocześnie stanowiła osłonę, kryjącą ich przed ciekawskimi spojrzeniami, gdy całowali się namiętnie.*

259

*- Och, Lizzie... - szeptał w upojeniu. Czula jego ciepły, wilgotny*

*oddech na policzku. - Tak rozpaczliwie za tobą tęsknię.*

*- Ja też, Devlinie. Kiedy możemy ze sobą pomówić?*

*- Pomówić? Ledwie mogę wykrztusić słowo, kiedy cię widzę.*

*- Obejmował jej plecy i pieszczotliwie szczypał zębami ucho, przyprowadzając Lizzie o rozkoszne dreszcze. Powiodła dłonią po jego potężnej piersi i chwyciła za klapy ciemnoniebieskiego fraka, by utrzymać się na*

*nogach. - Pozwól, żebym przyszedł do ciebie dziś w nocy. Nie zapominaj, że znam już drogę do twojej sypialni.*

*- Proszę, przyjdź do mnie! Tak bardzo się za tobą stęskniłam. I mamy tyle spraw do omówienia. Wdrap się po morwie. Zostawię otwarte okno.*

*- Będziesz na mnie czekać w łóżku?*

*- Tak.*

*- Bez koszulki?*

*- Jeśli ci na tym zależy. Choć ubranie nigdy nie zdołało cię powstrzymać, mój Diable! Masz ogromną wprawę w rozbieraniu mnie.*

*- Och, dziewczyno! Szaleję z pożądania.*

*- Zaczekaj kilka godzin, nim zjawisz się u mnie. Pensjonarki w soboty i niedziele lubią gadać ze sobą do późna w nocy! Och, mam ochotę cię zjeść! - Wydała groźny pomruk i pieszczotliwie*

*ugryzła go w policzek. Wolałaby w szyję, ale wykrochmalony fular jej na to nie pozwalał.*

*Nie mogła się już doczekać, kiedy zedrze go z Devlina. Podobnie jak resztę ubrania. Już niebawem! Gorączkowo pieściła ukochanego, a jej roznamiętione spojrzenie mówiło mu wyraźnie, że tej nocy odda mu się bez reszty. - Obudź mnie, gdybym zasnęła, zanim się zjawisz.*

*Jego gardłowy śmiech pełen był rozkosznych obietnic.*

*- Możesz być pewna, że tak zrobię! Wyśpij się, jeśli zdołasz, bo potem nie pozwolę ci się zdrzemnąć aż do rana!*

*- Już się nie mogę doczekać.*

*- O mój Boże! - wycedził niski, zimny i bezczelny głos, dolatujący*

*zza parasolki, przerywając im w tak nieodpowiednim momencie. - Chyba zaraz mnie zemdli!*

*Devlin i Lizzie pospiesznie zaprzestali pocałunków i spojrzeli na siebie. On skrzywił się i zaklął bezgłośnie, ona poczerwieniała jak rak.*

*Alec!*

260

*Przemógłszy się, Lizzie opuściła parasolkę. Jej dawny ideał stał obok nich. Twarz o nieskazitelnym rysach zastygła wyrażając pogardę, oczy zaś pełne były zdumienia i bólu. Spojrzał na nią tak, jakby go zdradziła, i potrząsnął głową z niemym wyrzutem.*

*Lizzie odwróciła wzrok. Nieco ducha dodał jej Devlin, obejmując ją w tali.*

*- Masz coś przeciwko temu? - spytał Aleca dość uprzejmie, acz z wyzwaniem w głosie.*

*- Owszem, mam - stwierdził Alec i znów spojrzął na Elizabeth.*

*- Co ty wyprawiasz, Lizzie? Jestem zaszokowany! Nie dbasz ani trochę*

*o swoją reputację?*

*Przymknęła oczy i jeszcze bardziej poczerwieniała, uświadomiwszy*

*sobie, że słyszał każde słowo ich rozmowy. Powinna chyba być zadowolona, że podsłuchał ich Alec, a nie któraś z ubóstwiających ploteczki matron. Widocznie dała się ponieść namiętności. Jak łatwo było się zapomnieć, gdy Dev tulił ją w ramionach!*

*- Zostaw nas samych, Alec! - powiedział Devlin cicho, lecz stanowczo.*

*Ale ten zwrócił się znów do Lizzie.*

*- Nie jesteś lepsza ode mnie! Od iluż to lat kusiałaś mnie, chodziłaś*

*za mną krok w krok, okazywałaś mi swą czułość, wieszalaś mi się na szyi,*

*siadałaś na kolanach... A ja nigdy cię nie tknąłem! Miałem okazję! Pragnąłem tego! Ale wydawałaś mi się taka nieskalana! -W jego zuchwałych słowach dźwięczał ból. - Do diabła! Gdybym wiedział, jaka naprawdę*

*jesteś...*

*- Uważaj, co mówisz! - ostrzegł go Dev.*

*- Devlin, proszę cię! - szepnęła Lizzie, powstrzymując go od rzucenia się na dawnego przyjaciela. - Alec, to nie czas ani miejsce na takie rozmowy. Jesteś zbyt zdenerwowany.*

*- Zdenerwowany?! - powtórzył z irytacją Alec i, wzięwszy się pod*

*boki, odwrócił się z przekleństwem na ustach. Wbił pełne gniewu oczy*

*w ziemię, raz jeszcze pokręcił głową, po czym odszedł wielkimi krokami, pożegnawszy ich wzgardliwym machnięciem ręki.*

*Gdy tylko odszedł, roztrzęsiona Lizzie przytuliła się do Devlina*

*i ukryła twarz na jego piersi.*

*- Och, to było okropne!*

261

*- Udało mu się. Opuścił scenę w chwili, gdy miał nad nami przewagę! Czy w dalszym ciągu chcesz, bym przyszedł do ciebie dziś w nocy?*

*Zrozumiem, jeśli zmienisz zdanie.*

*- Oczywiście, że nadal tego chcę! - Uściskała go. - Nikt nas nie*

*rozdzieli, kochany! Nawet on. Pocałuj mnie!*

*Dev spełnił jej życzenie i przycisnął delikatnie usta do jej ust. Ich  
namiętność wybuchnęła z nową siłą, ale po tym irytującym epizodzie  
Lizzie starała się trzymać swe najdziksze instynkty na wodzy.*

*- Arrivederci, cara mia - szepnął, łagodnie wysuwając się z jej objęć.*

*Z uśmiechem na ustach spoglądała za nim, gdy zniknął w mroku.*

*Bawiąc się od niechcienia parasolką, wróciła niespiesznym krokiem  
do Billy'ego i Jacindy, którzy żegnali się z przyjaciółmi. Rozejrzała się  
dokoła, lecz nie było śladu Devlina. Doszła więc do wniosku, że udał  
się do swojego klubu, żeby pozostać tam do czasu, kiedy zjawi się u niej,  
a ona powie mu: „Tak, wyjdę za ciebie. Tak, urodzę ci dzieci. Tak, lady  
Strathmore miała słuszność, jak zawsze!”*

*Kiedy stała, oparta o ściankę powozu, czekając na Billy'ego i Jacindę,  
pojawił się Alec. Zebrała wszystkie siły. Najmłodszy z braci Knightów  
zbliżał się do niej niepewnie.*

*Odsunęła się od powozu i ruszyła w kierunku Aleca z dumnie podniesioną głową.*

*Podszedł do niej bardzo blisko. Był opanowany, ale napięcie na jego  
twarzy wskazywało, że nadal zмага się z gniewem i zazdrością.*

*- No cóż, wygląda na to, że podjęłaś decyzję, ale zanim zrobisz coś,  
czego byś potem żałowała, powinnaś dowiedzieć się czegoś o swoim kochanym Devie.*

*- Jeśli chcesz oczerniać go przede mną, marnujesz tylko czas.*

*- To bardzo poważna sprawa, Lizzie. Nie chciałem posuwać się aż  
tak daleko, ale... na litość boską! - Zamilkł na chwilę. - Czy słyszałaś  
kiedyś o Klubie Jeźdźców i Woźniców?*

- Nie - odparła, ale wzmianka o sportach konnych wywołała w niej wspomnienie pełnych radości lekcji powożenia w Hyde Parku. Skryła mimowolny uśmiech. - Dlaczego wspominasz o tym klubie?

- Strathmore jest jego członkiem.

- I co z tego?

262

- To banda wyjątkowo paskudnych typów, Lizzie. I możesz mi wierzyć, przyjmują do swego grona tylko takich jak oni.

- O czym ty mówisz?

Była zdezorientowana. Nie miała ochoty słuchać, jak oczerniają człowieka, którego kochała. Jednak napięcie w oczach Aleca świadczyło niezbicie, że traktuje tę sprawę z całą powagą. Wiedziała, że Alec zna każdego w towarzystwie i orientuje się we wszystkich grzeszkach dżentelmenów. Jeśli Dev miał jakieś sekrety, kto jak kto, ale Alec z pewnością mógł jej o nich opowiedzieć.

- O Boże, nie wiem, jak zacząć - wymamrotał, odwracając wzrok.

- Alec! - Wyrzaz jego twarzy był tak niepokojący, że ogarnął ją lęk.

- O co właściwie chodzi?!

Zaklął znów pod nosem i potrząsnął głową.

- Słuchaj... Dev idealnie się nadaje na kochanka, ale czy musisz za

niego wychodzić, Lizzie? Nawet jeśli już do mnie nic nie czujesz, nie

chcę, by spotkało cię coś złego! Wybacz, że będę mówił o sprawach osobistych... i tak bardzo niedelikatnych.

Lizzie skinęła głową. Oczy miała rozszerzone i była coraz bardziej zaniepokojona.

Alec zniżył głos i rozejrzał się dokoła, jakby chciał się upewnić, że nikt nie podsłuchuje.

- Zamiłowania sportowe są tylko przykrywką dla wszelkich nieprawości i rozpusty, jaką uprawiają te lotry. Żeby zostać przyjętym do Klubu Jeźdźców i Woźniców, trzeba spełnić trzy warunki. Po pierwsze, bez wyrzutów sumienia trwonić siły i fortunę, a Dev tak właśnie żył, zanim przed dziesięcioma laty wyruszył na morze.

- Ależ on szalał z rozpaczy po śmierci najbliższych! I był wtedy niedojrzałym chłopcem!

Alec potrząsnął głową, nie zwracając uwagi na jej protesty.

- Po drugie, kandydat powinien ofiarować członkom klubu cenny

dar. Jeśli o to chodzi, wieść niesie, że Devlin wydał tysiące funtów na zakup i odrestaurowanie starego, opuszczonego parku rozrywki, w którym teraz przyjmuje kompanów.

- Skąd wiesz to wszystko?

- Namawiano mnie, i to niejednokrotnie, żebym się przyłączył do

tej grupy. Zachęcał mnie do tego Carstairs.

263

Wymawiając to nazwisko, Alec skrzywił usta z niesmakiem.

- No dobrze, ale co z trzecim warunkiem?

- Och, moja najmilsza Lizzie! - westchnął Alec i popatrzył na nią ze

smutkiem. - Bardzo mi przykro, Kruszyńko, ale nie bez powodu nazywają go Diabłem! Cokolwiek się stanie, zawsze możesz na mnie liczyć.

- Powiedz mi! - wykrztusiła.

Nie była pewna, czy może mu wierzyć, choć wiedziała, że Alec nie

okłamałby jej w tak poważnej sprawie.

Twarz mu sposepniała.

- Po trzecie, i jest to ostateczna próba, kandydat musi zniewolić

uprowadzoną przez członków klubu dziewicę. Na oczach wszystkich.

Devlin chciał czymś zapełnić kilka godzin, które go dzieliły od

spotkania z Lizzie. Nie potrafił usiedzieć spokojnie, udał się więc do



*pawilonu, gdzie zbierali się właśnie członkowie klubu. Jeden po drugim, spełniwszy obowiązki towarzyskie na balach, rautach i w bardziej szacownych klubach, napływali do swej przystani, by - wyzbywszy się*

*zahamowań - z zapalem pofolgować najniższym instynktom.*

*Dev korzystał ze sposobności. Chciał skreślić kolejnych parę nazwisk ze swojej listy. Wdał się w pogawędkę z Wielebnym Zgniłkiem, Jamesem Oakesem. Inni członkowie klubu byli dziś wyjątkowo hała*

*śliwi, niektórzy zaczęli z wraskiem obrzucać się smakołykami, przygotowanymi dla nich w salonie z sufitem, przypominającym namiot.*

*Wicehrabia jednak rozmawiał po cichu ze swym towarzyszem. Naciskał*

*go nieco mocniej niż pozostałych, gdyż przeszłość Oakesa pozwalała*

*żyć nadzieję, że na dnie duszy pijanicy zachowały się resztki sumienia. Podejrzewał także, iż eks-duchowny mógł pełnić wśród tej hałastry funkcję spowiednika.*

*Krążyli całkiem blisko zasadniczego tematu - śmierci najbliższej rodziny Deva.*

*- To musiało być dla ciebie okropne - mruknął Oakes. - Jednak*

*człowiek nie powinien pozwolić, żeby ból uczynił go lekkomyślnym ryzykantem.*

*- A ty nie lubisz ryzyka? - odparował przyjaznym tonem Dev.*

*- Owszem, ale ja nie mam powodu do obaw. - Urwał. - Za to ty*

*powinieneś mieć się na baczności - dodał po dłuższej chwili Oakes. Wo-*

264

*kół nich wszyscy ryczeli ze śmiechu i pletli jakieś brednie. - Słyszałem,*

*że lubisz zadawać pytania.*

*- Czy na moim miejscu starałbyś się być ostrożniejszy?*

*Oakes zastanawiał się nad tym tak długo, jakby poszukiwał swego*

*dawno zagubionego sumienia.*

*- Chciałbyś mi coś powiedzieć, Oakes? Z pewnością coś wiesz!*

*Eks-duchowny uśmiechnął się do niego z ogromnym znużeniem,*

*ale dyskretnie pokręcił głową. Wpatrywał się uparcie w Deva zaczerwienionymi oczyma.*

*- Nie przegap tego, co masz na wprost nosa - poradził mu, zniżając głos, po czym odszedł.*

*Na wprost nosa? - zastanawiał się Devlin. Cóż tak oczywistego mógłby przegapić? Chyba że Wielebny Zgnitek mówił dosłownie, bez żadnych przenośni?*

*Dev uniósł niespokojne oczy i jego spojrzenie padło na coś, a raczej kogoś, kogo miał rzeczywiście na wprost nosa.*

*Był to Johnny.*

*Niech to diabli, teraz brał na spytki Oakesa!*

*Zanim ten zuchwały bydlak, Strathmore, wkroczył do pawilonu, sir Torquil wypił dość, by wpaść w filozoficzną zadumę. Siedział rozparty przy stole w kącie, oczy miał przekrwione, ale rękę nadal niezawodną.*

*Obrzucił twardym, szyderczym spojrzeniem ciemnowłosego ślicznego chłoptasia.*

*Nie wierzył temu bydlakowi. Ani trochę! Pociągnął znowu łyk dzinu. Słyszał, jak Wielki Tom przechwala się przygodą z Felicią, którą Dev przyprowadził do jego domu. Pofiglowali sobie, kiedy tamten przeglądał*

*klubowe księgi. Po co miałby zaglądać do ksiąg?! Nawiasem mówiąc, i tak nic by w nich nie znalazł. Byli zbyt ostrożni, by zostawić jakieś ślady!*

*Wszystko jedno, co mówi Carstairs. Ktoś powinien wyeliminować tego drania!*

*Trunek sprawił, że Staines postanowił sam się go pozbyć.*

*Udręczone sumienie Krwawego Stainesa nie zaznało spoczynku od*

*dwunastu lat. Bez względu na to, jak dużo pił, by odegnąć prześladowające go demony, czuł, że w każdej chwili może się załamać. Najtrudniej było*

265

*ostatnimi czasy, gdy obecność Strathmore'a nieustannie przypominała mu o tym, co uczynił. Pomagał zabić wszystkich tych niewinnych ludzi!*

*Czterdzieści siedem osób zginęło straszną śmiercią. Nikt nie zasłużył na takie męczarnie!*

*Co gorsza, wyglądało na to, że tylko on, Torquil, przejrzał na wylot*

*Strathmore'a. Po prostu czuł, że ten człowiek nie jest ani takim pijakiem, ani takim głupcem, jakiego udawał. Z całą pewnością ten uśmiechnięty*

*bydlak coś knuł!*

*Torq znów pociągnął z kieliszka i obserwował Deva, rozmawiającego z kilkoma członkami klubu. Pewien pomysł rysował się coraz wyraźniej w jego umyśle. Quint i Carstairs powiedzieli wprawdzie, że nie wolno mu tknąć Strathmore'a, że to zbyt ryzykowne. Ale ci dwaj zachowywali się jak głupie mięczaki. Co prawda, myślał z pogardą, obaj mieli swoje powody, by chcieć ocalić skórę tego faceta! Ale, do wszystkich diabłów, czy aż tak ugrzęźli w bagnie rozpusty i perwersji, że żaden z nich nie uświadamiał sobie niebezpieczeństwa?! Quint był przeświadczony, że Strathmore nie ma pojęcia o ich udziale w zamordowaniu jego rodziny, ale Torquil nie był taki łatwowierny!*

*Nie! - dumał. Jeżeli Quint i Carstairs nie zamierzają unieszkodliwić Strathmore'a, to ktoś powinien ich w tym wyręczyć, nim będzie za późno!*

*On sam mógłby się z tym uporać - szybko, sprawnie i skutecznie.*

*Jedną kulą.*

*I czemuż by nie? - rozmyślał gorzko. Cóż znaczy jeden nieboszczyk*

*więcej wobec całej kostnicy, którą wspólnymi siłami już zapelnili?*

*Carstairsa nie było nigdzie w pobliżu, więc mu nie przeszkodzi.*

*Johnny też się wymknął z pokoju, pewnie zabawia się ze swoim opiekunem. Quint również się ulotnił - pobiegnął za swą najnowszą nieletnią rudaską do egipskiego pokoju.*

*Chwila była jak najbardziej odpowiednia. Wystarczy sprowokować*

*Strathmore'a, wyzwać go na pojedynek. I kłopoty się skończą.*

*Pijacy nadal obrzucali się jedzeniem w wielkiej sali z namiotem,*

*zwisającym z sufitu. Wstając z fotela, Staines zauważył, że jeden z chłopaków rzucił bułką i uderzył Strathmore'a w plecy.*

*- Uważaj! - warknął wicehrabia, któremu trunek wylał się przy tym*

*z kieliszka. - Nie jestem w nastroju do żartów!*

266

*Słyszając to, Torq zerknął ze złowróżbnym uśmiechem na miseczkę*

*z kawiozem.*

*Wziął ją do ręki, zważył w dłoni, a potem zręcznie wycelował i zdecydowanie, szybko i precyzyjnie rzucił nią prosto w głowę Strathmore'a.*

*Jakiś niepojęty instynkt musiał widocznie ostrzec tego bydlaka,*

*gdyż odsunął się w bok. Miska trafiła stojącego za nim Dudleya prosto*

*w twarz.*

*Biedny Głupek oberwał z taką siłą, że zwałił się na wznak z krwawiącym nosem.*

*- Ojej! Ojej! Co u diabła! - jęczał Dudley.*

*Strathmore spojrział ze zdumieniem na Stainesa, po czym pochylił*

*się nad biednym chłopakiem, żeby sprawdzić, czy nie doznał poważnych*

*obrażeń. Pomógł mu usiąść i kazał swojemu służącemu przynieść serwetki, wodę, żeby zmyć to paskudztwo i zrobić zimny okład, bo twarz Dudleya od razu zaczęła puchnąć.*

*Kiedy wicehrabia po raz drugi popatrzył na Torquila, wściekły grymas na jego pociemniałej twarzy świadczył o tym, iż połapał się już, że cios był wymierzony w niego.*

*Wyprostował się i podszedł bez pośpiechu do sir Torquila.*

*- Co to miało znaczyć, Staines?*

*Torquil był na to przygotowany. Wziął się w garść, miał pod ręką butelkę, której mógł w razie czego użyć jako broni.*

*- A to, że mi się nie podobasz, Strathmore!*

*W całej sali zapadła cisza. Bijatyka ustała.*

*- Odkąd się tu zjawileś - perorował Torq lekko zapijaczonym głosem - mieszasz się do wszystkiego. Wydajesz rozkazy, zachowujesz się, jakby to był twój klub! Ale tak nie jest, bratku, a ja mam cię na oku!*

*- Lepiej zejdź mi z drogi, przyjacielu. Jesteś urżnięty.*

*- No i co mi zrobisz, irlandzki skurwysynu? - szydził Torquil, chcąc go sprowokować.*

*Strathmore zamachnął się i walnął go w szczękę. Torq zatoczył się i wpadł na swych najbliższych kumpli. Miał szczęście, bo tylko oni byli teraz po jego stronie.*

*- Jeszcze tego pożałujesz, chłoptasiu! - wysapał Staines. - Przyślę ci moich sekundantów.*

*- Wyzywasz mnie na pojedynek?*

267

*- Skądże znowu, lordzie Strathmore! - Torquil strząsnął z siebie,*

*powstrzymujące go, ręce przyjaciół i uśmiechnął się szyderczo. - Zapraszam cię na twój własny pogrzeb!*

*W całym pokoju rozległy się okrzyki przerażenia, a Staines wyszedł, by zająć się niezbędnymi przygotowaniami.*

*Wczesnym rankiem Dev zastukał do drzwi Aleca Knighta. Co za ironia losu, pomyślał z goryczą.*

*W końcu otworzył mu sam Alec w workowatych „kozackich” spodniach i w szlafroku. Gdy ujrzał Deva, oczy mu się zwęziły.*

*- Czego chcesz, do cholery?*

*Devlin nie bardzo wiedział, od czego zacząć.*

*Bezczelnie zadzierając nosa Alec oparł się o futrynę i skrzyżował ręce na piersi.*

*- Nie powinieneś być teraz u panny Carlisle? Już późno!*

*- Nie byłem jeszcze u niej i wątpię, bym tam dotarł dziś w nocy.*

*Niech to wszyscy diabli, Alec! Zostałem wyzwany... - Niełatwo było mu przełknąć dumę. - I chcę cię prosić, żebyś był moim sekundantem.*

*- Ja?!*

*- Nie mam się do kogo zwrócić.*

*Dev zwiesił głowę.*

*- A co z twoimi przyjaciółmi od serca z Klubu Jeźdźców i Woźniców? - spytał chłodno Alec.*

*- Daj spokój! Chyba znasz mnie trochę lepiej, co?*

*Alec sceptycznie uniósł brew.*

*Dev westchnął i doszedł do wniosku, że pora wyznać prawdę. Choć*

*byli rywalami w miłości, miał zaufanie do Aleca i nie wątpił w jego honor. Prawdę mówiąc, w ciągu ostatnich kilku tygodni spędził dużo czasu w towarzystwie dawnego przyjaciela, gdy ubiegali się o względy Lizzie.*

*Niekiedy było to nawet zabawne. Mimo wszystko, nadal mogli się dogadać. Wiedział, że Alec był zbyt porządnym chłopem, żeby się odegrać w razie porażki.*

*- Jedynym powodem, dla którego zadaję się z tymi bydlakami, jest*

*podejrzenie, że są odpowiedzialni za śmierć mojej rodziny. Prawdę mówiąc - wyjawiał mu Dev - mam pewność, że co najmniej trzech z nich są w to wplątani.*

*Alec wpatrywał się w niego w osłupieniu.*

*- Chyba żartujesz!*

*- Wolałbym, żeby to były żarty - westchnął. - Ale mam się bić z Torquilem.*

*Alec zrobił wielkie oczy.*

*- Z Krwawym Stainesem? Jasna cholera, Dev! Dlaczego zrobiłeś takie głupstwo?!*

*- Nie było rady.*

*- W porządku - burknął Alec. - Właż, opryszku! Co to będzie, szpady czy pistolety?*

*O wpół do szóstej rano Dev siedział w swoim powozie, niezbyt rad*

*z tego, że zamiast kochać się z kobietą swojego życia, czeka tu - w imię*

*honoru - na rozprawę z jednym z najgroźniejszych strzelców w Londynie. Oparł ręce na udach. Jego spojrzenie było śmiałe i spokojne. Słuchał*

*śpiewu pierwszych ptaków i wdychał wiosenny zapach trawy.*

*Był gotów na wszystko.*

*Jego sekundant, wysiadłszy z powozu, przechadzał się w tę i z powrotem, przerywając od czasu do czasu ten spacer, by zaproponować Devlinowi coś dla kurażu.*

*- Chcesz łyczek?*

*Dev potrząsnął głową.*

*- Nie potrzebuję tego.*

*- A ja tak! - wymamrotał Alec. Pociągnąwszy z butelki, zakorkował*

*ją i zaklął z cicha. - Gdzie oni są, do cholery? Nie mogę w to uwierzyć,*

*psiakrew! Dziesięć minut spóźnienia! Może chcą się wycofać, jak my*

*ślisz?*

- Wątpię - mruknął Dev, spoglądając na przeciwległy kraniec polany, gdzie stał Nigel Waite, sekundant Torquila. - Waite zapewnia, że Staines się stawi.

- Może i tak, ale kazać przeciwnikowi czekać?! To w wyjątkowo złym tonie!

Alec nadal się irytował. Spojrzenie Deva pobiegło ku grupie gapiów, którzy zdążyli się już zebrać w pobliżu zagajnika, by popatrzeć na walkę.

Teraz, stojąc w obliczu śmierci, Dev uświadomił sobie ze zdumiewającą jasnością, jak bardzo mu zależy na wspólnym życiu z Lizzie. Po 269

raz pierwszy od dwunastu lat czuł, że gotów jest pozostawić przeszłość za sobą i pozbyć się obaw, które dotychczas nie pozwalały mu nikogo pokochać. Jeżeli i z tej próby wyjdę cało, będę ją uwielbiał na wieki, przysięgał sobie w duchu.

- No, nareszcie! - oświadczył Alec posępnym tonem, przerywając jego rozmyślenia. - Przyjechali!

Devlin spojrział na kawalkadę wspaniałych powozów, które nadjeżdżały z turkotem od strony drogi, wzbijając kłęby kurzu. Trzymał nerwy na wodzy, gdy reszta Klubu Jeźdźców i Woźniców wpadła z hałasem do zagajnika.

Pierwsze promienie wschodzącego słońca przebijały się przez korony drzew i oświetlały herb, wymalowany na drzwiczkach najbardziej okazałego ekwipażu. Należał do Carstairsa.

Dev spoglądał twardym wzrokiem, jak drzwi otwierają się i z powozu wysiada trzech mężczyzn. Gdy zbliżyli się do jego powozu, rozpoznał Quinta i Carstairsa. Prowadzili między sobą Stainesa, który włókł

się jak oporny więzień.

Alec zaprzestał spacerów i stanął zdecydowanie pomiędzy Devlinem a zbliżającymi się mężczyznami.

- Jak to miło, sir Torquil, że przypomniał pan sobie o naszym spotkaniu! - wypalił z książką zuchwałością.



*- Nie pora na żarty, milordzie - skarcił go Carstairs. - Proszę się*

*odsunąć, jeśli łaska. Staines chciałby coś powiedzieć wicehrabiemu.*

*- Niech to sobie powiedzą z bronią w ręku! - odparował Alec z patosem.*

*- Uspokój się, Alec - mruknął pod nosem Dev.*

*Zerknął z pewnym niepokojem na przyjaciela. Podziwiał jego brawurę, ale to ostatecznie on, a nie Alec, ryzykował głową.*

*- Wystucham, co ma do powiedzenia - oświadczył.*

*Staines rzucił mu mordercze spojrzenie, ale Dev zauważył, że Quint pochylił się nad nim z taką miną, jakby miał zamiar puścić w ruch pięści, gdyby Staines próbował jakichś sztuczek.*

*Carstairs szturchnął Torquilla.*

*- No, gadaj!*

*Staines poruszył gniewnie ustami, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk.*

270

*- Słuchamy? - ponaglił go Alec. - Nie ma czasu na rozmowy.*

*Wkrótce całkiem się rozwidni. Nie możemy pozwolić, by strażnicy nas przyłapali.*

*Pojedynki były zabronione. Lizzie z pewnością by im to wytknęła,*

*Dev był tego pewny.*

*Staines odchrząknął. Uniósł głowę jeszcze wyżej, ale nie spojrzał*

*Devlinowi w oczy.*

*- Ja... przepraszam za wyrządzoną zniewagę, milordzie. Proszę*

*o wybaczenie. Nadużyłem trunku.*

*Dev spoglądał na niego w osłupieniu. Jeden z najgroźniejszych strzelców wycofuje się z*

pojedyнку? A w dodatku przeprasza, i to w obecności co najmniej trzydziestu kompanów! Co tu się dzieje, u diabła?!

Kwadratowa twarz Quinta nie wyrażała niczego, ale Carstairs rzucił

Devlinowi porozumiewawczy uśmiech.

W tym momencie wicehrabia pojął, jak bardzo się do tej pory mylił.

To nie Łamignat Randall był przywódcą Jeźdźców i Woźniców!

Kierował nimi Carstairs.

To hrabia zmusił Stainesa do zmiany decyzji. Dev zorientował się, że jest świadkiem bezbłędnego manewrowania przez Carstairsa posłusznymi marionetkami.

Przez cały czas główną rolę w tym dramacie odgrywał Carstairs.

Nie wając się kwestionować jego decyzji, równoznacznej w gruncie rzeczy z odwołaniem wyroku śmierci, Dev wyprężył się jak na paradzie.

- W porządku. Zapomnijmy o tym - oświadczył.

Staines z przymusem skinął głową.

- A zatem... dowidzenia, milordzie.

- Do widzenia.

Alec aż prychnął ze zdumienia, gdy Torquil wykręcił się na pięcie

i odmaszerował, by przyłączyć się do swego sekundanta. W chwilę później wraz z Nigelem wskoczył do powozu i pognali w kierunku miasta.

Alec zwrócił się do Deva, całkiem zdezorientowany.

- Co to właściwie było, u diabła?!

- Rezygnacja z pojedyнку, drogi chłopcze - mruknął Carstairs pobłażliwym tonem. - Quint i ja pogadaliśmy ze Stainesem i wytłumaczyliśmy 271

mu, że niewłaściwie się zachował. Ten jego wybuch złości był zupełnie niepotrzebny. I w bardzo złym tonie! Mam nadzieję, że to wydarzenie

*nie zakłóci w przyszłości naszej przyjaźni.*

*- Też coś! Albośmy to baby, żeby chować urazy?! - wtrącił Quint*

*i ryknął śmiechem. - Cholera! Nie chciałbym stracić żadnego z was!*

*Dev zdobył się na kwaśny uśmiech, ale nadal był zbity z tropu.*

*- No cóż, panowie, ja tam idę do łóżka - dodał baron. - Nielicha*

*walka zapowiada się dziś po południu u Dicka Mace'a. Punkt czwarta.*

*Postarajcie się tam zajrzeć!*

*- Miłego dnia, chłopcy - mruknął przyjaźnie Carstairs, spoglądając*

*pożądliwym okiem to na Aleca, to na Devlina.*

*Jego chytry uśmieszek zdawał się mówić: „Nie zapominaj, Dev, że*

*od tej pory masz wobec mnie dług wdzięczności!”*

*Hrabia skłonił się z gracją i ruszył w ślad za Quintem do powozu.*

*Alec obejrzał się za nim w osłupieniu, ale Dev tylko wzruszył ramionami.*

*- Do licha! Niesamowita historia! - sapnął po chwili jego sekundant. - Nie mam pojęcia, o co tu chodzi, ale radzę zabierać się stąd, nim znów zmienią zdanie!*

*- Zgadzam się w zupełności - odparł wicehrabia.*

*- Wpadniemy do White'a na śniadanie?*

*Oparty o swój wyścigowy powóz, Dev potrząsnął głową.*

*- Jest coś, czym muszę się natychmiast zająć.*

*- Doprawdy? - wycedził Alec i przystanął, by spojrzeć znacząco na*

*Deva, nim zarzucił wodze na szyję swego wierzchowca.*

*Dev wzruszył ramionami.*

*- Oczekiwała mnie. Nie pokazałem się przez całą noc. Jasne, że*

*muszę się z nią zobaczyć!*

*- Znakomicie - stwierdził Alec. - Ja też się tam wybiorę!*

*- Dajże spokój, Alec! Nie widzisz, że przegrałeś?*

*- Tak ci się tylko zdaje! Mnie i Lizzie łączy coś, czego ty nigdy nie zrozumiesz. Mamy wspólną przeszłość. Znamy się...*

*- Całe życie. Wiem, wiem, dość się już tego nasłuchałem! Nigdy jej naprawdę nie znałeś, Alec! Gdybyś znał, nie pozwoliłbyś, żeby ci się prześlizgnęła między palcami. Nie zamierzam popełnić tego samego błędu!*

272

*- Za późno, stary! Omal mnie nie pokonałeś, ale wyprzedziłem cię na ostatnim okrążeniu. Nie chciałbym cię martwić, ale jesteś bez szans.*

*- O czym ty gadasz?*

*Alec poklepał konia po karku i zbierał się już, by na niego wskoczyć.*

*- Przykro mi, Dev, ale powinieneś był sam jej opowiedzieć o jeźdźcach i woźnicach. Zwłaszcza o trzecim warunku przyjęcia do klubu!*

*- Chyba jej tego nie powiedzialesz?! - Devlin miał zduszony głos.*

*Cała krew odpłynęła mu z twarzy. Przez chwilę nie mógł złapać tchu. Czuł się tak, jakby jego dawny przyjaciel przeszył go szpadą na wylot.*

*- Wybacz, Dev - odparł Alec - ale w miłości i na wojnie... sam rozumiesz!*

*Z wyzywającym spojrzeniem wskoczył na siodło, ścisnął boki siwka piętami i pomknął po zapylonej drodze.*

*Dev stał jak skamieniały z przerażenia.*

*O Boże! Musi natychmiast do niej jechać! Wyjaśnić wszystko!*

*Klnąc pod nosem, wskoczył do swego powozu. Trzasnął z bicia nad głowami fryzyjskich karoszy i popędził na złamanie karku.*

- Co u licha wyrabiają ci dwaj?! - spytał Castairs Quinta, spoglądając z rozbawieniem na dwóch młodzieńców, którzy przemknęli obok nich. Siwek Aleca mignął im tylko jak biała smuga, Dev powoził czwórką z zawziętą miną rzymskiego woźnicy podczas wyścigu rydwanów.

- Bawią się w berka, czy co?

Quint uśmiechnął się głupio i wzruszył ramionami.

- Przekonajmy się! - Carstairs zastukał w dach powozu srebrną

gałką swojej laseczki. - Johnny! - zawołał do siedzącego na koźle młodzieńca. - Jedź za Strathmore'em!

*Przyprawiające o mdłości rewelacje Aleca dotyczące zaangażowania się Devlina w nieczyste sprawy Klubu Jeźdźców i Woźniców sprawiły, że*

*18 — Ukochana diabła*

273

*Lizzie nie zmrużyła oka przez całą noc. Zamęt w jej głowie jeszcze się*

*powiększył, gdy Dev nie zjawił się na spotkanie, jak obiecał. Nie wyobrażała sobie, że mógłby zachować w tajemnicy przed nią sprawę tej wagi, ale być może -jak sugerował Alec - nie znała swego ukochanego tak dobrze, jak jej się wydawało? Devlin nigdy by nie skrzywdził młodziutkiej dziewczynki, tego była pewna. Ale bez względu na to, co uczynił albo*

*czego nie uczynił, sam fakt, że wybrał sobie tak okropne towarzystwo,*

*sprawił, iż zaczęła powątpiewać w prawość jego charakteru.*

*Alec stale to powtarzał, ale go nie słuchała. Jak okropnie było wyobrazać sobie to, o czym jej opowiedział! Jakaś biedna, głupiutka wieśniaczka stała się ofiarą brutalnej przemocy...*

*Nawet jeśli Devlin sam tego czynu nie popełnił - w coś podobnego*

*nie mogła uwierzyć - czy nie byłoby równie potworne, gdyby należał*

*do grona biernych obserwatorów? Ten Devlin, którego znała, a przynajmniej tak jej się zdawało, chwyciłby za broń, rzucając się na ratunek bezbronnej ofierze. Nie przyglądałby się z upodobaniem okropnemu*

*widowisku, jakby to była najnowsza farsa w Sadler's Wells!*

*Kierunek, jaki obrały tego ranka myśli Lizzie, sprawił, że była jeszcze*

*bardziej opiekuńcza w stosunku do naiwnych, chowanych pod kloszem*

*dziewcząt, które szły teraz parami do kaplicy na niedzielne nabożeństwo. Modliła się w duchu, by żadne z tych niewiniątek nie zetknęło się z kimś takim jak potwory z Klubu Jeźdźców i Woźniców.*

*Zdołała jakoś zapomnieć o oburzeniu i przepelniającym ją wstręcie*

*podczas rozmowy z panią Harris, która przybyła, by zabrać Sorschę na*

*mszę do katolickiego kościoła. Choć tak udręczona, Lizzie zdobyła się*

*na współczucie dla owdowiałej kobiety i z przyjemnością opowiadała pani Harris, jakie postępy robi Sorscha w nauce i jak łatwo zaprzyjaźniła się z innymi dziewczętami. Być może Elizabeth była tego ranka bardziej niż zwykle skłonna do irytacji, ale - gdy wraz z matką Sorschy czekały na dziewczynkę - doszła do wniosku, że wyjątkowo trudno jest rozmawiać z kimś, gdy nie widzi się twarzy tej osoby.*

*Starła się opanować rozdrażnienie, powtarzając sobie w duchu, że*

*pani Harris niewątpliwie poniosła ciężką stratę. Na szczęście, owdowiała dama miała córkę. Jej ogromna miłość do uroczej dziewczynki rzucała się w oczy. Wydawało się, że pani Harris chętnie słuchałaby bez*

*końca o tym, jaka zdolna i pilna jest Sorscha. Mimo zasłaniającego całą*

*274*

*twarz welonu widać było, że matka po prostu promienieje, słysząc te pochwały.*

*- Jest doprawdy bardzo dojrzała jak na swój Wiek - mówiła Lizzie*

*z sympatią. - O, nasze dziewczynki już schodzą! - wykrzyknęła, słysząc tupot nóżek w lekkich pantofelkach na drewnianych stopniach i zaraz potem pospieszne kroki we frontowym holu.*

*- Mamusia! - Sorscha wpadła do salonu i rzuciła się matce na szyję.*

*- O, tak mi ciebie brakowało, kochanie!*

*Pani Harris uściskała ją. Sorscha z uśmiechem zwróciła się w stronę drzwi.*

*- Spójrz, mamusiu! Mam nową, serdeczną przyjaciółkę! Chciałam,*

*żebyś ją poznała. Panna Manning była dla mnie taka dobra! - Z kapeluszem, dyndającym na plecach, Sorscha podbiegła do drzwi i, chwytając Daisy Manning za nadgarstek, wciągnęła ją do*

salonu.

*Dziewczynki trzymały się za ręce, a Lizzie uśmiechnęła się do siebie. Przypomniały jej się czasy, gdy obie z Jacindą były małymi dziewczuszkami. Daisy miała nawet -jak Jas - złociste loki, podskakujące przy każdym kroku, choć nie była córką księcia, tylko potentata węglowego.*

*Podobnie jak stara lady Strathmore, mała panna Manning pochodziła z bogatego mieszczaństwa i oczekiwano, że podniesie pozycję rodziny, wychodząc za jakiegoś arystokratę.*

*- Pozwól, mamusiu. To panna Daisy Manning. Daisy, kochanie*

*- dodała, zwracając się do swej serdecznej przyjaciółki - to moja matka.*

*Co prawda nie rodzona, bo tamtej nigdy nie znałam...*

*- Sorscha! -jęknęła pani Harris z przerażeniem, słysząc te niebaczne wynurzenia.*

*- Och! Bardzo przepraszam, mamusiu! - wyszeptała Sorscha, przestraszona i pobladła.*

*Mimo zasłoniętej twarzy matki czuła na sobie jej gniewne spojrzenie.*

*Lizzie pospiesznie się odezwała, chcąc zamaskować konsternację:*

*- Daisy, pospiesz się lepiej, żebyś się nie spóźniła na nabożeństwo w kaplicy!*

*- Oczywiście, panno Carlisle. Do widzenia, pani Harris. Do zobaczenia, Sorscha!*

275

*Daisy wdzięcznie dygnęła i pospieszyła z gracją, którą wpajano przyszłym debiutantkom, by dołączyć do szeregu dziewcząt, zmierzających ścieżką do kaplicy.*

*Pani Harris stała bez ruchu po wyjściu Daisy.*

*- Panno Carlisle, proszę nie przywiązywać zbyt wielkiej wagi do*

*opowieści Sorschy, ona tak lubi przesadzać! To prawda, że nie jestem jej rodzoną matką. Adoptowałam ją, gdy była maleńka.*

*- Ależ proszę pani! To doprawdy nie moja sprawa - uspokajała ją*

*Lizzie. - Proszę się nie przejmować. Potrafię być dyskretna!*



- Nic się nie stało, panno Carlisle. Widzi pani, w młodości przeżyłam straszny wypadek. Z tego powodu nie mogę mieć własnych dzieci.

Mimo to - dodała sztywno - mam nadzieję, że Sorscha, gdy dorośnie, nauczy się trzymać język na wodzy!

- Bardzo przepraszam, mamusiu!

Wielkie niebieskie oczy Sorschy pełne były smutku.

- Nikt się o tym nie dowie, droga pani! Proszę się nie obawiać. Porozmawiam też z Daisy, jeśli pani sobie tego życzy, żeby i ona nic nie wypaplała.

Lizzie uśmiechnęła się ciepło do skruszonej Sorschy.

Dziewczynka nieco poweselała.

Pani Harris podziękowała Lizzie królewskim skinieniem głowy.

- Jest pani niezwykle uprzejma.

Biorąc za rękę swe zbłąkane dziecko, wstała z krzesła i ruszyła do

drzwi saloniku, gdy nagle zza okna doleciał je gromki hałas - tętent końskich kopyt i turkot kół od strony żwirowej drogi, przebiegającej tuż obok szkoły.

Gniewny męski głos przebił się jakoś przez ten harmider.

- Nie zastępuj mi drogi, do pioruna!

Pani Harris spojrzała ze zdumieniem w kierunku okna, ale Lizzie

zmarszczyła brwi. To brzmiało zupełnie jak głos Devlina!

Sorscha zachichotała i podskoczyła do okna.

- O, panno Carlisle! Pani wielbiciele przyjechali!

Teraz Lizzie stanęła w pąsach. A niech to licho!

Kiedy Sorscha rozsunęła firankę, Lizzie miała doskonały widok

z okna salonu. Alec na siwym koniu przeskoczył przez ogrodzenie i wjechał pędem do szkolnego ogródka.

*- Boże święty! - zawołała dziewczynka. - Widziała pani? Wspaniały*

*skok!*

*- Lizzie! - wrzasnął Alec, aż zagrzmiało w całym domu.*

*Ledwie jednak wstrzymał konia, z jeszcze większym hałasem wjechał na scenę Dev, kierując na stojąco czterokonnym zaprzęgiem.*

*Zatrzymał swe fryzyjskie karosze tak raptownie, że żwir trysnął spod kopyt, zeskoczył na ziemię i otworzył furtkę od frontu.*

*- Niech cię szlag, Alec! Zamorduję cię za takie sztuczki!*

*- O Boże! - mruknęła pod nosem Lizzie.*

*Wyglądało na to, że Devlin już wie, iż Alec zdradził jego tajemnicę.*

*Podbiegł do Aleca, gdy tylko ten zaskoczył z konia.*

*- Dlaczego nie zostawisz jej w spokoju, do cholery?!*

*- O nie, Dev! Ja byłem pierwszy!*

*- Ach, ty!*

*Wyładowując w dzikim okrzyku swój bezsilny gniew, Devlin rzucił*

*się na przeciwnika. Alec poleciał do tyłu, stracił równowagę i obaj zwałili się na uroczą drewnianą ławeczkę między kwietnymi rabatkami.*

*- Sorscha, odejdz od okna! - syknęła pani Harris.*

*Lizzie, przerażona bijatyką i przekleństwami, jakimi walczący sypali*

*przy jej uczennicy, żeby już nie wspomnieć o zgorszonej rodzicielce,*

*odwróciła się pospiesznie do pani Harris i wyjąkała przeprosiny:*

*- Tak mi przykro, proszę pani. Najlepiej wyjdę i... i... rozprawię się*

*z nimi!*

*Alec podniósł się na kolana i wymierzył przeciwnikowi cios w szczękę. Reakcji Devlina Lizzie już nie widziała, gdyż wybiegła z salonu, przemknęła przez frontowy hol, otworzyła raptownie drzwi i wypadła*

*na ganek.*

*- Dość tego! - wrzasnęła. Obaj okładający się pięściami rywale skamienieli na dźwięk jej głosu. - Wstańcie natychmiast i nie zachowujcie się jak smarkacze! - besztła ich z furią. - Jak śmiecie przyjeżdżać tu*

*i kompromitować mnie takim zachowaniem?!*

*Pełni skruchy, choć zerkali jeszcze groźnie jeden na drugiego, zaprzestali walki.*

*Lizzie, z bijącym mocno sercem, wzięła się pod boki i piorunowała wzrokiem winowajców.*

277

*- Co wy tu robicie, na litość boską?! Nie macie prawa wdzierać się tu o tej porze!*

*Devlin spojrzał zimno na Aleca.*

*- Zamierzałem przyjechać tu sam, ale on nie chciał się odczepić.*

*Alec parsknął pogardliwym, pełnym ironii śmiechem.*

*- Nie tak łatwo wyeliminujesz mnie z gry, Strathmore!*

*- Z gry? Więc to dla ciebie zabawa, ty dupku?! Rujnujesz mi życie dla jakiejś cholernej igraszki!*

*- Devlin! - rzuciła rozkazującym tonem Lizzie, gdyż miał wyraźną ochotę rzucić się znów na Aleca.*

*Kipiąc z gniewu, Dev odwrócił się tyłem do swego dawnego kolegi i ze wściekłą miną zrobił krok w stronę Lizzie.*

*- Cokolwiek ci ten bydlak naopowiadał, pozwól, że wytłumaczę...*

*- Nawet sobie nie wyobrażaj, że Lizzie ci na coś pozwoli!*

*- Dość tego, Alec! I obaj pilnujcie języka, dzieci was słuchają!*

*Istotnie Daisy, dezorientowana nagłym zamieszaniem, zamiast pospieszyć do kaplicy, cofnęła się, by sprawdzić, co się stało.*

*- Natychmiast przerwijcie tę idiotyczną bójkę i wracajcie do domu!*

*- rugała ich Lizzie. - Dobrze znam was obu. Nie wiem, co was tu sprowadza o tej porze, bo z pewnością nie szkolne nabożeństwo!*

*- Rzeczywiście, Kruszyńko, nie zerwaliśmy się tak rano do kościoła.*

*Wracamy z pojedynku Devlina.*

*- Co takiego?! - krzyknęła.*

*- Skończony bydlak!*

*- Devlinie!*

*- Byłem jego sekundantem, rozumiesz. - Alec uśmiechnął się do*

*Devlina. - Czy Lizzie kiedyś ci wspomniała, stary, jak nienawidzi pojedynków?*

*- Dev, jak mogłeś?!*

*Skonsternowany zacisnął wargi i zwiesił głowę.*

*- To nie była moja wina.*

*Alec pokręcił głową.*

*- Słabiutko się tłumaczysz, bracie, słabiutko.*

*Lizzie była wściekła na obu.*

*- Nie jestem teraz w nastroju do rozmowy z żadnym z was. Zabierajcie się stąd, i to już! Jedna z matek naszych uczennic już podziwiała 278*

*wasze szczeniackie wybryki. Jeśli zjawi się tu jeszcze pani Hall, jestem zgubiona!*

*Jednakże obecna kłopotliwa sytuacja stanowiła zaledwie przedsmak*

*dalszych emocji. Lizzie stanęła jak wryta na widok wielkiego czarnego powozu, który zatrzymał się tuż za ekwipażem Devlina, niemal na wprost Daisy Manning, stojącej przy furtce.*

*Rondo kapelusika Daisy zasłoniło jej twarz, gdy dziewczynka odwróciła się, by popatrzeć na imponujący ekwipaż z nieznanym jej herbem na drzwiczkach.*

*Lizzie ujrzała dwóch mężczyzn ze zblazowanymi minami, wyglądających z okna powozu. Jeden z nich był jasnym blondynem o delikatnych rysach, drugi - z brązową czupryną - miał kwadratową*

*twarz, a rysy nieregularne. Poznała tego ostatniego. To on rozmawiał z Devem na balu u Madisonów.*

*- Kim oni są? - wykrztusiła i dreszcz strachu przebiegł jej po plecach.*

*Devlin i Alec odwrócili się natychmiast, lecz jakiś instynkt podszeptał*

*już Lizzie właściwą odpowiedź. To byli ci podli ludzie, przed którymi ostrzegał ją Alec. Występnymi przyjaciółmi Devlina!*

*- Cholera jasna! - wyszeptał Dev.*

*Lizzie nie wiedziała, co bardziej zmroziło jej krew w żyłach. Lodowaty uśmiech, jaki posłał jej blondyn, czy rozpustna mina wyższego z mężczyzn, gdy uchylił kapelusza na widok złotowłosej dziewczynki.*

*- Daisy, chodź tutaj!*

*Już miała zbiec z ganku i zabrać uczennicę, gdy posępny ton w głosie*

*Devlina zatrzymał ją w pół kroku.*

*- Elizabeth, wejdź do środka. Natychmiast!*

*- Idziemy, Alec! To już zaszło za daleko - mruknął Dev do rywala.*

*Obaj wpatrywali się w Quinta i Carstairsa. - Chyba żaden z nas nie chce, żeby te typki kręciły się w pobliżu szkoły!*

*- Racja! - przytaknął niemal bezgłośnie Alec. - Jak się ich pozbędziemy?*

*Stojąc ramię w ramię ze swym niedawnym przeciwnikiem, Dev aż*

*się zjeżył na widok Quinta, gapiącego się na małą blondyneczkę, która miała najwyżej szesnaście lat.*

279

*- Nie mam pojęcia. Coś wymyślimy. Daisy! - powtórzył za Lizzie*

*i obaj z Alekiem ruszyli w stronę dziewczynki.*

*- Mamo, tam jest Daisy!*

*- Sorscha, wracaj natychmiast!*

- Może woli iść do kościoła z nami niż z całą resztą?

- Nie idź tam! Zostań przy mnie.

Serce Mary waliło jak szalone, gdy chwyciła córkę za nadgarstek i przyciągnęła ją do siebie.

- Mamo, co się stało? - spytała przestraszona dziewczynka.

Mary nie odpowiedziała. Utkwiła przerażony wzrok w scenie, która rozgrywała się za oknem.

Tuląc Sorschę do siebie, modliła się o to, by obie mogły pozostać niezauważone w salonie. Jak tylko te łotry odjadą, ona i Sorscha opuszczą szkołę. I nigdy już tu nie wrócą.

Dobry Jezu, sprawy przybrały fatalny obrót! Najpierw Strathmore.

Teraz Quint i Carstairs... Na szczęście przyjaciółka Sorschy odsunęła się wreszcie od powozu i wraca biegiem do szkoły.

Obserwując przed chwilą perypetie miłosnego trójkąta, rozgrywające się na trawniku, Mary się zaniepokoiła. Jakimś dziwnym zrzędzeniem losu Diabeł Strathmore ubiegał się o względy ulubionej nauczycielki Sorschy. Potem jednak sprawy przybrały jeszcze gorszy obrót, gdy powóz Carstairsa zatrzymał się pod samą szkołą, niby jadowity czarny

insekt w poszukiwaniu żeru. Albo czegoś, co mógłby zatruć swym dotknięciem.

Tak jak zatruli Johnny'ego. Siedział na koźle, całkiem już dorosły, przystojny i nadal chorobliwie urzeczony swoim uwodzicielem.

I pomyśleć, że to wszystko nigdy by się nie wydarzyło, a tamci nieszczęśnicy nadal by żyli, gdyby nie próbowała przeciwstawić się Carstairsowi i uratować chłopca! Mój Boże! Trudno wprost uwierzyć w cały

ten splot wydarzeń. W ten skomplikowany dramat, rozgrywający się

przed jej oczyma. Ale przecież zdawała sobie sprawę z tego, że Strathmore spotyka się regularnie z Quintem i Carstairssem.

Teraz była już pewna, że wicehrabia uwiódł młodą nauczycielkę.

*mi niższego stanu. Jaka szkoda! — pomyślała, nieco rozczarowana. Panna*

*Carlisle wydawała się taką porządną dziewczyną.*

*- Mamo, spóźnimy się na mszę! - popędzała ją Sorscha.*

*- Cicho, kochanie, wszystko będzie dobrze.*

*Mary przytuliła dziewczynkę do siebie, tak samo jak przed laty, gdy*

*języki ognia sięgały czarnego jesiennego nieba, a przeraźliwe krzyki mąciły nocną ciszę.*

*Mała Daisy rzuciła Quintowi przez ramię zalęknione spojrzenie*

*i, wyminąwszy Deva i Aleca, pospieszyła do Lizzie. Nauczycielka zignorowała polecenie Devlina i, zamiast wycofać się do wnętrza domu, czekała na uczennicę, która rzuciła się w jej opiekuńcze ramiona. Kiedy*

*Lizzie weszła z dziewczynką z powrotem do szkoły, Dev — z sercem*

*pełnym wściekłości - odwrócił się do Carstairsa. Hrabia utkwiał zimne*

*spojrzenie w Lizzie. Dev usłyszał, że drzwi szkoły zamykają się za jego*

*plecami. Dopiero wówczas Carstairs skierował na niego wzrok.*

*- No, no! Ktoś okazał się bardzo niegrzecznym chłopcem!*

*Quint zaśmiał się tubalnie.*

*- Niech cię szlag, Dev! Ale z ciebie skryty drań! Dobrześ się do*

*słoika konfitur i ani myślisz podzielić się z przyjaciółmi!*

*- Do diabła! - zaperzył się Alec i postąpił o krok w ich kierunku.*

*- Zostawcie te dziewczuszki w spokoju! Przecież to jeszcze pensjonarki!*

*- Tym lepiej! - zagrział Quint i pociągnął potężny łyk z butelki.*

*- A guwernantki potrafią dobrze przetrzepać skórę - dorzucił Carstairs z ironicznym uśmiechem. - Czy to cię w niej pociąga, kochany Devlinie? Dobrze sobie radzi z batem?*

*Alec wydał okrzyk oburzenia, ale Dev powstrzymał go ruchem ręki,*

*gdy chciał rzucić się hrabiemu do gardła.*

*Spokój, tylko spokój. Jemu też tętniło w skroniach z wściekłości, ale nie mógł zdradzić głębi swych uczuć do Lizzie.*

*To by ją tylko naraziło na niebezpieczeństwo.*

*Zaśmiał się arogancko w odpowiedzi na pytanie Carstairsa.*

*- Z batem? A jakże! I z wieloma innymi rzeczami.*

*- Ty przeklęty łgarzu! - wrzasnął Alec. - Elizabeth Carlisle to z gruntu uczciwa, nieskalana dama! A każdy, kto twierdzi inaczej, będzie miał ze mną do czynienia!*

281

*Dev spojrzał na Aleca, ledwie hamując gniew. I dopiero w tej chwili*

*Alec pojął swój błąd. Do tej pory Devlin utrzymywał ich w błędnym*

*przekonaniu, że Lizzie jest kimś przypadkowym, o kim w ogóle nie warto wspominać. Ale teraz ten cholerny idiota podał im jej imię i nazwisko na tacy!*

*- A, to całkiem inna para butów! - wycedził Carstairs, spoglądając na Devlina z rozbawieniem. - Może nasz Diabeł stracił głowę dla tego wzoru cnót?*

*- Nie bądź głupi! - odparł z zimną krwią. - Ta dziewczyna nic dla mnie nie znaczy.*

*- Ale jeśli taka czysta, Dev? Taka nieskalana?*

*Rzucił mu przekorny uśmiech.*

*- Długo taka nie zostanie!*

*Alec odwrócił się raptownie, jakby go ugodzono prosto w serce.*

*Quint i Carstairs wybuchnęli bezmyślnym śmiechem.*

*W tym momencie drzwi szkoły otworzyły się z hukiem za ich plecami.*



*- Hej, panowie! - wrzasnęła jakaś dama o głosie sierżanta, musztrującego rekrutów. - Tak, wy tam! Wynoście się stąd, jeśli łaska!*

*Wszyscy odwrócili się w stronę wysokiej, okazałej matrony z siwymi*

*lokami i wysokim koronkowym przodzikiem sukni. Kobieta ta wkroczyła dumnie na ganek i wzięła się pod boki.*

*- Wynosić się, powiadam! - groźnie machnęła chusteczką w kierunku powozu Carstairsa. - Nie macie tu nic do roboty! Jestem prze*

*łożoną tej szkoły, a wy wtargnęliście na teren prywatny! Zaraz wezwę*

*konstabla!*

*Dev poczuł ulgę, gdy Carstairs parsknął śmiechem i zastukał w dach*

*powozu.*

*- Do domu, Johnny!*

*Quint wychylił się jeszcze z okna i pokazał pani Hall język, nieprzystojnie nim wymachując.*

*- Och, cóż za wstrętny...*

*Pani Hall poczerwieniła, po czym wbiła spojrzenie w Devlina.*

*- Ty także, mój panie! Wy obaj! Żebyś was tu więcej nie widziała!*

*- Szanowna pani, czy mógłbym zamienić kilka słów z panną Car-*

*lisle? - błagał Dev. - To niezwykle ważne!*

282

*- A proszę bardzo! Nic mnie to nie obchodzi. Ta panna właśnie*

*straciła pracę u mnie!*

*- Och, nie! Niechże pani tego nie robi, proszę być sprawiedliwą.*

*- Devlinowi serce zamarło. - To nie była wina panny Carlisle, tylko*

*nasza!*

*- A zatem informuję panów, że matka jednej z uczennic jest tu*

*obecna i podziwiała wasze nieprzystojne popisy! Ta dama jest zaszokowana, podobnie jak ja, tym,*

*w jaki sposób panna Carlisle afiszuje się ze swymi... adoratorami! A jeśli tak zachowuje się na terenie szkoły, to*

*kto wie, co wyprawia gdzie indziej! - Spojrzała na Deva ostro. - Matka mojej uczennicy zabiera teraz córkę z naszej akademii i to niewątpliwie z winy panny Carlisle oraz waszej! Żegnam,*

*Pani Hall obróciła się na pięcie i znikła we wnętrzu domu.*

*Dev i Alec wymienili pełne skruchy spojrzenia. Wyszli za furtkę i Alec podszedł do swego konia.*

*- Wyjaśnijmy sobie wszystko. Okłamałeś ich co do Lizzie, prawda?*

*Rzucił Devlinowi twarde, podejrzliwe spojrzenie.*

*- Oczywiście!*

*- Człowieku! Zraniłeś mnie do żywego swymi słowami!*

*Dev spojrział na niego twardo.*

*- Przynajmniej teraz rozumiesz, co czuła Lizzie, kiedy zadałeś się z lady Champion.*

*Alec spochmurniał i zamilkł.*

*Odeszli niezbyt daleko, czekali na Lizzie.*

*Wyszła pół godziny później, dźwigając aż trzy pakunki. Na jej delikatnej twarzy malowały się gniew i upokorzenie. Wyniosła bagaż przed szkołę, zatrzasnęła drzwi za sobą i ruszyła ścieżką w stronę furtki. Przeszła przez nią i nawet się nie obejrzała.*

*Dev pospieszył jej z pomocą.*

*- Domyślałam się, że nie chcesz teraz na nas patrzeć, ale pewnie przydałaby ci się pomoc. Podwiozę cię... d...dokąd tylko zechcesz - zakończył, zacinając się pod jej miażdżącym spojrzeniem.*

*- Nie mam dokąd się udać. Na tym polega cały kłopot. A wszystko*

*to z winy dwóch rozbrykanych chłopaczków!*

*Spojrzała najpierw na niego, potem na Aleca z nieukrywaną niechęcią i szła dalej, dźwigając bagaże.*

- Lizzie... - próbował tym razem Alec. - Dobrze wiesz, że zawsze

jesteś mile widziana w Knight House.

Odwróciła się do niego błyskawicznie.

- Nie rozumiesz, Alec? Czy ty w ogóle niczego nie rozumiesz?

Mam już dość roli ubogiej krewnej. Nie chcę wiecznie pozostawać na

łasce przyjaciół, dzięki ich dobroci mieć nie tylko stawę, ale i dach nad głową! Właśnie dlatego przyjechałam tę posiadłość i starałam się, jak mogłam!

Wy obaj nie pojmujecie, czym jest takie położenie jak moje! Ty, Devli-

nie, masz posiadłość ziemską, której nigdy nie odwiedzasz, i wspaniałą

rezydencję w mieście. A ty, Alecu, mieszkasz w eleganckim apartamencie na Albany i możesz korzystać z każdego z liczonych domów, nale

żących do twojej rodziny! Pragnęłam w życiu tylko jednego, własnego

domu. Ale nigdy nie będę go miała. Zostanę do śmierci ni to przyjaciółką, ni służącą, która wiecznie się o wszystkich troszczy! Pewnie was zaskoczę, ale czasami marzy mi się, że ktoś na odmianę zatroszczy się

o mnie!

Devlinowi serce się ścisnęło, gdy łzy napłynęły do jej szarych oczu

i ściekały po twarzy. Nie mogła ich nawet otrzeć, mając ręce zajęte bagażem.

Łzy płynęły coraz szybciej.

- To, co tu miałam, dla was może niewiele znaczy. Jeden mały pokój. Ale był mój, a wy pozbawiliście mnie nawet tego! Dokąd teraz pójdę? Co pocznę?! - szlochała rozpaczliwie jak mała dziewczynka.

Dev i Alec stali jak skamienieli, zrozpaczeni widokiem jej łez.

Wreszcie Lizzie pociągnęła nosem i się opanowała.

- Chyba będę musiała poprosić o pomoc Jacinę.

Zarzuciła sobie torbę z książkami na ramię i ruszyła dalej drogą. Dev

*i Alec spojrzeli na siebie i postanowili działać.*

*- Lizzie!*

*- Zatrzymaj się!*

*- Pozwól sobie pomóc.*

*- Zaniosę to.*

*- Nie! - wrzasnęła dziewczyna, usiłując uciec od nich obu.*

*Dev zastąpił jej drogę.*

*- Pozwól przynajmniej, żebym cię odwiózł do miasta!*

284

*Chciał chwycić kuferek, który tuliła do siebie, ale skutek był taki, że*

*Lizzie go upuściła, o mały włos nie miażdżąc mu stóp.*

*- Odczep się, Devlin! Nie potrzebuję waszej pomocy! Nie widzicie tego?! Znajdźcie sobie inną dziewczicę w opresji, bo ja potrafię sobie radzić sama!*

*Pochyliła się i gniewnymi ruchami zaczęła wrzucać do kufierka rzeczy, które z niego wypadły.*

*- Tak mi przykro, Lizzie!*

*- Przykro ci, doprawdy? Mogłam się spodziewać czegoś takiego po Alecu, ale po tobie?! Chyba rzeczywiście wcale cię nie znam. Po tym, co Alec mi powiedział, dziwię się, doprawdy. A w dodatku jeszcze się dzisiaj pojedyńkowałeś. Mogli cię przecież zabić!*

*- Tamten się wycofał - wymamrotał niezręcznie.*

*- Kruszyńko, przepraszam, chciałem powiedzieć: Lizzie... - Alec*

*podszedł do nich z wahaniem. - Nie bądź na nas zła. Wszystko obróci się na dobre, kochanie. Nie powinnaś się tak zapracowywać!*

*- Pewnie lepiej, żeby jakiś mężczyzna się mną zaopiekował? To miałeś na myśli, Alec? Ale spójrz na okazy, które mam przed sobą! Jeden*

*przegrywa w karty każdego pensa, jaki mu się napatoczy, a drugiemu spieszno do grobu z powodu urojonej plamy na honorze! Sto razy wolę samotnie się zestarzeć, niż złożyć swój los w ręce takich nieodpowiedzialnych smarkaczy!*

*Devlin marzył o tym, by ziemia się rozwarła i go pochłonęła.*

*Ktoś powinien był go ostrzec, że lepiej nie zaczynać z rozwścieczoną sawantką. Im inteligentniejsza dziewczyna, tym bardziej człowieka upokorzy. Górował nad nią jednak siłą fizyczną i wykorzystał to teraz,*

*wyjmując jej z rąk ciężkie torby i nie zważając na protesty.*

*Zaniósł jej rzeczy do swego powozu i ulokował w schowku, na samym dnie. Alec postępował za nim z kuferkim.*

*Lizzie spoglądała na nich obu bez krzty zaufania, z rękoma skrzyżowanymi na piersi.*

*- Możesz mnie nienawidzić, proszę bardzo - powiedział Dev.*

*- Ale wsiądziesz do powozu. Nie pozwolę ci iść na piechotę, to zbyt daleko!*

*- W porządku.*

285

*Zajęła miejsce obok woźnicy, odepchnąwszy łokciem Aleca, który chciał ją podsadzić.*

*Dev w chwilę później trzepnął lejcami, fryzyjskie konie ruszyły i powóz zaturkotał. Lizzie obejrzała się na akademię pani Hall, jakby żegnała się ostatecznie ze swym dzieciństwem.*

*W lodowatej ciszy dotarli do eleganckiej willi Jacindy w Regent's*

*Park. Alec towarzyszył im konno.*

*Kiedy przybyli na miejsce, Alec pierwszy znalazł się przy drzwiach*

*wejściowych. Poleciał jednemu z lokajów Jacindy przynieść z powozu*

*rzeczy Lizzie. Zaraz potem stanęła w drzwiach markiza i z otwartym ramionami powitała przyjaciółkę. Dev trzymał się z tyłu, uświadomiwszy sobie z przykrością, że Alec ma w tej sytuacji wyraźną przewagę. Zachowywał się w willi siostry jak u siebie. Stojąc na progu domu przyjaciółki, objęta jej ramieniem, Lizzie czuła się wreszcie bezpieczna. Powiedziała*

coś szeptem do Jacindy. Devlin nie słyszał ani słowa, ale domyślił się, że tłumaczy markizie, co się wydarzyło.

- Nie przejmuj się, najmilsza! Bardzo się cieszę, że będę cię mia

ła u siebie. Mój dom jest twoim domem. Billy! - zawołała Jacinda do

męża, przebywającego gdzieś we wnętrzu willi, po czym obejrzała się

na obu skruszonych amantów Lizzie. - Alec, muszę cię prosić, żebyś

sobie poszedł - powiedziała chłodno do brata. Następnie zwróciła się do

Deva. - Pana również, milordzie. Panna Carlisle nie jest w nastroju do

towarzyskiej konwersacji.

Alec zaczął protestować, ale za plecami obu kobiet pojawił się Billy.

Wyczuwając napięcie wysunął się do przodu, osłaniając obie damy.

- Słyszeliście, co powiedziała moja żona - warknął. - Panna Carlisle

nie przyjmuje gości.

- Chcę z nią tylko porozmawiać, Rackford - usiłował go przekonać

Alec. Ale Billy zmrużył zielone oczy.

- Radzę ci, zabieraj się stąd, zanim ci zrobię krzywdę, Alec! Ostatnim razem, kiedy doprowadziłeś Lizzie do łez, byłem dla ciebie zbyt pobłażliwy!

Obrzucił Deva równie podejrzliwym spojrzeniem, po czym zatrzasnął im drzwi przed nosem.

I przekręcił klucz w zamku.

*W ciągu następnych kilku dni Quint niejednokrotnie przejeżdżał*

*koło akademii pani Hall, licząc na odrobinę rozrywki. Ale do tej pory jakoś mu się nie szczęściło. Było czwartkowe popołudnie, gorące i parne.*

*Kiedy powóz barona wspinał się na wzgórze nad gminnym błoniem, na*

*wprost szkoły, Quint ujrzał śliczne maleństwo, które poprzednio zwróciło jego uwagę.*

*Dziewczynka siedziała samotnie koło stawu i, puszczając na wodę papierową łódeczkę, daremnie czekała na powiew wiatru.*

*Nikogo nie było w pobliżu.*

*Dziewczynka ze smętnie opadającymi złotymi lokami podniosła*

*zgnębione oczy, słysząc, że zbliża się jakiś pojazd.*

*Quint nie był najlepszym aktorem, ale miał na podorędziu bajeczkę,*

*która zawsze skutkowałą. Wysunął więc głowę z okna powozu.*

*- Bardzo przepraszam, czy nie spostrzegła panienka w pobliżu ma*

*łego, brązowego szczeniaka?*

*- Szczeniaka?*

*Dziewuszka ożywiła się nieco, ale nie podniosła się z dużego płaskiego kamienia, na którym siedziała, niczym samotna syrenka.*

*- Mego nowego pieska. Uciekł z domu i bardzo się boję, żeby mu*

*się nie przydarzyło coś złego. Ma zaledwie trzy miesiące. Mój służący zapewniał, że pobiegł w tym kierunku - dodał z najpoważniejszą w świecie miną.*

*Małe głupie dziewczątko zmarszczyło brwi, wstało i otrzepało spódnicę.*

*- Niestety, nie widziałam go. Jaka to rasa?*

*- Retriever - powiedział Quint.*

*Dziewczynka ostrożnie zbliżyła się do powozu.*

*- A jak się wabi? Jeśli zobaczę takiego pieska, zawołam na niego.*

- No, oczywiście! Nazywa się... hm... Puszek! Biedactwo, z pewnością jest okropnie wystraszony. - Quint udawał, że rozgląda się niespokojnie po okolicy. - Co by to było za nieszczęście, gdyby wpadł

pod koła jakiegoś powozu! Dużo bym dał za drugą parę oczu do pomocy.

Dziewczynka spoglądała na niego nieco podejrzliwie.

287

Ale śliczna! Taka niewinna, pomyślał i serce zabiło mu gwałtownie w piersi.

- Jeśli zobaczę Puszkę, spróbuję go przywabić.

- Serdeczne dzięki, panno... Jak się panienka nazywa? - Szybkim

spojrzeniem zmierzył odległość, dzielącą go od dziewczynki. Znajdowała się niemal w zasięgu jego ręki. Uśmiechnął się. - Wcale się panienka nie nazywa?

- Już pana widziałam - stwierdziła, cofając się o krok. - I chyba pana nie lubię.

Quint powstrzymał się od śmiechu.

- A to dlaczego?

- Bo gapił się pan na mnie kilka dni temu. To bardzo niegrzeczne!

- Błagam o wybaczenie! Cukierka na zgodę?

Daisy zmierzyła go wzrokiem i potrząsnęła główką.

Ostrożnie, stary, bo jeszcze się rozwrzeszczy!

- Co panienka tu robi taka samiutka? - spytał cicho. - Gdzie nauczycielki? I reszta dziewcząt?

Ślicznotka westchnęła żałośnie.

- Jest właśnie pora drzemki, ale mnie się wcale nie chce spać.

- Coś panience dolega, moje złotko? Skąd taka ponura minka?



- *Przeżywam bardzo ciężkie chwile, jeśli już pan musi wiedzieć!* -

*zawołała. - Moja najukochańsza nauczycielka została zwolniona, a moją serdeczną przyjaciółkę mama zabrała ze szkoły. Tu jest teraz tak pusto...*

*Nie mogę tego znieść!*

- *Mogłaby panienka przejechać się razem ze mną. Poszukalibyśmy*

*Puszka - dodał pospiesznie.*

- *Nie mogę. - Spojrzała posepnie w kierunku szkoły.*

- *Nikt się nie dowie! Będziemy tu z powrotem nie później niż za*

*godzinę. Nic cię to nie obchodzi, że biedny Puszek jest może w niebezpieczeństwie, panno...?*

- *Manning - podpowiedziała, rozglądając się dokoła z westchnieniem, jakby rzeczywiście mogła wypatrzeć nieistniejącego pieska.*

*Quint zamrugał oczyma.*

- *Manning? Jak Kopalnie Manninga?*

- *To mój tatko. - Pokiwała głową z roztargnieniem.*

288

*Quint pospiesznie ukrył zdumienie. Dziedziczka fortuny Manninga!*

*Towarzystwo Węglowe Manninga miało kopalnie na terenie całej Anglii!*

*Natychmiast przyszła mu na myśl zmarła ciotka Deva, Żelazna Dama,*

*której majątek uratował Strathmore'ów od ruiny. Wielu arystokratów potrzebowało gotówki, podobnie jak on. A mieszcuchy łaknęły tytułów!*

*Quint pomyślał, że tego rodzaju wymiana to znakomity pomysł.*

*Szkoda, że nie przyszło mu to do głowy wiele lat temu! Nie musiałby*

*pożyczać forsę od Carstairsa, Deva czy innych bogatych przyjaciół.*

*Doprawdy, z nieba mu to spadło! Gdy znowu spojrzął na śliczną,*

*młodziutką dziewczynę, nie kierowała nim żądza, tylko chciwość. Warto*

*pokusić się o taką fortunę, jaką dysponował ojciec tej małej! Rany boskie, wniesie w posagu pewnie dziesięć razy więcej, niż on wyciągał co roku*

*od dzierżawców swej kamienistej i gliniastej ojcowizny w Yorkshire!*

*Rusz głową, człowieku, przynajmniej raz w życiu! Ta smarkula jest*

*jeszcze na pensji. Jak będziesz czekał, aż zadebiutuje w towarzystwie,*

*chętnych znajdzie się więcej! Trzeba działać od razu!*

*Quint postanowił z miejsca oświadczyć się o rękę tej małej. Jej ojciec z pewnością przyjmie go i wysłucha życzliwie. Quint był w końcu baronem, a taki mieszczuch - choćby i milioner - nie musi wiedzieć, że*

*i tytuł nieświatny, i reputacja mocno zaszargana. No, niechby ten podły*

*dorobkiewicz spróbował mu odmówić!*

*- Daisy! - rozległ się nagle od strony szkolnego ganku kobiecy głos.*

*- Wracaj natychmiast!*

*Jedna z nauczycielek ruszyła w ich stronę.*

*Daisy westchnęła z miną męczennicy, a potem znów spojrzała na*

*Quinta.*

*- Mam nadzieję, że odnajdzie pan swojego pieska!*

*- Z pewnością, kochanie.*

*- Musi pan już stąd odjechać.*

*- Jak sobie życzysz, malutka! - odparł Quint i porozumiewawczo*

*mrugnął okiem. -Ale tu wrócę!*

*- Jesteś pewna, że nie chcesz iść z nami do opery?*

*Jacinda zmierzała ku Lizzie przez wielki, ukwiecony taras na górnym piętrze willi, poprawiając brylantowy kolczyk w uchu.*

*19 - Ukochana diabła*

- Nie, dziękuję.

Lizzie leżała na wygodnym szezlongu, pod markizą w pastelowe pasy i uśmiechała się z siostrzaną dumą na widok przyjaciółki.

Młoda markiza była w pełnej gali - wspaniała biała suknia, brylanty i złociste wysoko upięte włosy, z loczkami zwisającymi tu i ówdzie w artystycznym nieładzie.

Jacinda opadła wdzięcznie na białe ogrodowe krzeselko z kutego żelaza, stojące na wprost Lizzie.

- Nie chcę znów zostawiać cię samej. Może powinnam zrezygnować z opery? Niewielka strata!

- Nie przejmuj się mną, Jas. Przyda mi się trochę samotności. Przemyślę sobie to i owo.

Markiza rzuciła jej krzepiący uśmiech.

- Coś mi się zdaje, że od razu byś się lepiej poczuła, gdybyś pogadała z pewnym wicehrabią!

- Tak łatwo mnie przejrzeć? - westchnęła Lizzie.

Jacinda skinęła głową.

- Nigdy nie miałam z tym kłopotu! Nie powinnaś siedzieć tu i zamartwiać się z powodu mężczyzny! - Poklepała przyjaciółkę po ręku. - Wybierz się do opery razem z Billym i ze mną! Przebierz się szybko. Od razu przestaniesz o nich myśleć. I humor ci się z pewnością poprawi!

- Libretto opery przeważnie bywa tragiczne.

- No tak. Ale kto by tam śledził uważnie, co się dzieje na scenie!

- stwierdziła Jas z lekceważącym machnięciem ręki. - Szczerze mówiąc, najbardziej lubię patrzeć na Billy'ego. Jak się krzywi i wierci na fotelu.

Znosi po bohatersku te męki tylko dla mnie!

- Gotów jest dla ciebie wysłuchać nawet opery. To jest dopiero miłość!

*- Szczodrze go za to wynagradzam - zapewniła ją markiza i nieprzystojnie mrugnęła okiem.*

*- Och, Jas!*

*Elizabeth roześmiała się mimo woli.*

*Przyjaciółka wstała, po czym schyliła się, by ucałować ją w czoło.*

*- No to uciekam! Majordomus czuwa jak zawsze na posterunku,*

*gdybyś czegoś potrzebowała. Wiesz co? - dodała, otulając ramiona na-*

*290*

*rzutką. - Chyba dobrze się złożyło, że pani Hall cię zwolniła! Tamten*

*szkolny świątek był dla ciebie zbyt ciasny.*

*Lizzie odwzajemniła się przyjaciółce słabym, ale pełnym wdzięczności uśmiechem. Te słowa przypomniały jej coś, co niegdyś usłyszała od Bena.*

*- Niedługo sama dojdiesz do tego wniosku! - zapewniła ją miękko*

*Jacinda i wyszła.*

*Jeszcze chwilę po tym, jak ucichł turkot odjeżdżającej karety, Lizzie*

*leżała na ocienionym tarasie, obserwując różową lunę zachodu, znikającą za zasłoną wielkich, powoli sunących po niebie, fioletowych chmur.*

*Zmrok zapadał nad Londynem.*

*W pobliskim parku zieleń drzew i trawy pociemniała. W gałęziach*

*szeleścił wiatr. Na południu i zachodzie światła wielkiego miasta płonę*

*ły jasno - była przecież pełnia sezonu. Tutaj jednak, na zadrzewionych*

*obrzeżach Regent's Park, słyhać było tylko od czasu do czasu pokwaki-*

*wanie kaczek na kanale. Wszędzie panował spokój.*

*Tylko nie w jej sercu.*

*Wszystko było takie zagmatwane. Ale przecież nie mogła wiecznie*

*się tu ukrywać!*

*Dlaczego Devlin jej nie odwiedził? Ani razu nie próbował się z nią*

*spotkać. Nie przysłał jej nawet listu. Od kilku dni czekała na przeprosiny z powodu zachowania w akademii pani Hall, a jeszcze bardziej na wyjaśnienie więzi, łączącej go z Klubem Jeźdźców i Woźniców. Nie otrzymała jednak żadnej wieści od niego i głowiła się, co to ma znaczyć.*

*Może tamta okropna pogłoska była zbyt bliska prawdy i Dev nie*

*śmiał jej spojrzeć w twarz, odkąd Alec wyjawiał jego sekret? Ale czyż pół*

*miliona funtów nie było warte tego, by wyzbyć się dumy, a nawet narazić na upokorzenie? Gdzież on się podziewał?*

*Szybkimi krokami zbliżał się ostateczny termin spełnienia warunków*

*testamentu lady Strathmore. Wyglądało na to, że Devlin dał za wygraną.*

*Ku swej ogromnej konsternacji Lizzie zorientowała się, że ona wcale*

*nie chce zrezygnować!*

*Dev konsekwentnie milczał, Alec uraczył ją tylu bulwersującymi informacjami... W końcu doszła do wniosku, że rozsądek, z którego była tak dumna, nie pomoże jej w rozwiązaniu tego problemu. Musi dokonać wyboru, kierując się jedynie sercem.*

291

*Słowa Jacindy przypomniały Lizzie radę, jakiej niegdyś udzieliła Benowi jego matka:*

*„Bennett, mój chłopcze, na tej plantacji było zawsze za ciasno dla*

*ciebie. Sam sobie wybrałeś nazwisko Freeman, więc bądź naprawdę*

*wolny. Ruszaj z tym szalonym Anglikiem i poznaj świat”.*

*Nie miała pojęcia, dokąd ją zaprowadzi miłość do Devlina. Ale im*

*dłużej trzymała się z dala od niego, im bardziej starała się zapomnieć*

*o nim, tym większą miała pewność, że nic z tego nie wyjdzie - zapędziła*

*się zbyt daleko. Mimo ponurych ostrzeżeń, które podsuwał jej rozsądek,*

*intuicja podszeptowała Lizzie, że powinna pozostać z Devlinem na dobre i na złe.*

*Kiedy zjawił się majordomus i obwieścił, że przybył lord Alec, Elizabeth zastanowiła się przez chwilę, po czym zgodziła się go przyjąć.*

*Wzięła się w garść i siadła sztywno wyprostowana.*

*Wiedziała już, co musi zrobić.*

*Niebawem Alec zajął miejsce naprzeciw niej i spojrzał jej w oczy.*

*- Proszę, byś wyszła za mnie za mąż.*

*Mimo woli oszołomiło ją to. Ta chwila była spełnieniem wszystkich jej dziewczęcych marzeń. Teraz jednak nie wydawało jej się to wcale takie cudowne.*

*Powoli, ze smutkiem pokręciła głową.*

*- Dość już zwlekania, dość udawania! - brnął mimo to dalej Alec,*

*biorąc ją za obie ręce. - Zawsze byliśmy tylko ty i ja, nieprawdaż? Proszę cię, zaufaj mi.*

*- Och, Alec! - Serce jej waliło jak szalone. Mówiła ledwie dostłyszalnym szeptem. - To nie ma sensu. Nie mogę wyjść za ciebie, kiedy moje serce należy do innego!*

*- A co z tamtą historią, którą ci opowiedziałem? Na temat Klubu*

*Jeźdźców i Woźniców? - spytał, rozważnie dobierając słowa.*

*Pokręciła głową.*

*- Sama nie wiem. Będę musiała po prostu mu zaufać.*

*- Ale mnie nie ufasz?*

*- Bardzo mi przykro.*

*Alec przez chwilę w milczeniu wpatrywał się w jej oczy.*

*- Ty go naprawdę kochasz!*

*Przytaknęła. Pod powiekami zbierały jej się łzy.*

292

*- No cóż... - Spuścił wzrok. Jego oczy też lekko zwilgotniały.*

*- Cieszę się twoim szczęściem. Strathmore będzie o ciebie dbał. Zapewni ci wszystko, na co zasługujesz. O Boże, ależ ja byłem głupi! A nie mówiłem, że jeszcze mi będziesz za to wdzięczna? - próbował żartować.*

*Serce się jej ścisnęło.*

*- Och, Alec!*

*Uścisnęła mu serdecznie rękę i popatrzyła na niego przez łzy.*

*- Szczerze mówiąc, Devlin ma ważne powody, by utrzymywać kontakty z Klubem Jeźdźców i Woźniców. Ale to coś, o czym nie mam prawa z tobą rozmawiać.*

*Spojrzała na niego pytająco, ale tylko się uśmiechnął ze smutkiem, pochylił się ku niej i pocałował ją w czoło.*

*- Zegnaj, Kruszyńko, dziękuję ci za wszystko - szepnął.*

*Potem wstał, zostawiając ją samą w zapadającym zmroku.*

*Odszedł.*

*O Boże, chyba nie popełniła błędu? Odetchnęła głęboko, żeby się uspokoić. Podjęła decyzję, klamka zapadła. Nie było już odwrotu. Pozostawała jednak pewna sprawa do załatwienia, jeśli wszystko miało być wyjaśnione do końca.*

*Nieco wstrząśnięta, lecz zdecydowana, Lizzie wyszła z domu i pojechała dorożką do kancelarii Charlesa Beechama na Fleet Street.*

*Adwokat nadal znajdował się w swoim biurze, pogrążony w pracy mimo późnej pory. Sam otworzył drzwi kancelarii i zaprosił Lizzie do środka.*

*- Cóż za nieoczekiwana przyjemność, panno Carlisle!*

*- Widzę, że jest pan zajęty. Nie zabiorę panu więcej niż minutkę.*

*- Ależ bardzo proszę, droga pani! Proszę zająć miejsce!*

*Lizzie pokręciła głową i krążyła nerwowo po gabinecie, szarpiąc chwaścik przy swoim woreczku.*

*- Chodzi o testament lady Strathmore. Chciałam... - Przełknęła*

*z trudem ślinę. - Chciałam się dowiedzieć, czy nie można by zwolnić*

*Dev... to znaczy wicehrabiego z warunków, jakie zostały mu narzucone  
w ostatniej woli ciotki?*

*Adwokat zmarszczył brwi.*

*- Nie bardzo wiem, co powiedzieć, panno Carlisle...*

293

*- Och, z pewnością musi być jakieś wyjście! Pieniądze prawnie mu  
się należą. Poza tym potrzebuje ich, a mnie ani trochę na nich nie zależy.*

*To niesprawiedliwe wobec niego!*

*Charles wydawał się zaskoczony.*

*Lizzie doszła do wniosku, że nie ma sensu ukrywać całej reszty.*

*- Widzi pan, jego ciotka prosiła mnie, żebym zainteresowała się  
jego losem od czasu do czasu, kiedy jej już nie będzie. Ale nie musiała  
dawać mi za to połowy swego majątku! - Spuściła wzrok, rumieniec  
wystąpił jej na policzki. - Nie chcę, by był zmuszony do małżeństwa ze  
mną z powodu swoich długów!*

*- Pani... jest w nim zakochana? - spytał Charles z niezwykłą delikatnością.*

*- I to bardzo! - szepnęła, unikając jego wzroku. - Nigdy się nie  
dowiem, co Devlin naprawdę do mnie czuje, jak długo będzie nad nami  
ciążęła sprawa tego spadku! Nigdy nie będę pewna, czy kocha mnie, czy  
tylko pieniądze! - Podniosła zawstydzone oczy i zobaczyła, że pan Bee-  
cham przygląda się jej w zamyśleniu. Uśmiechnęła się smutno. - Pewnie pan uważa, że jestem  
bardzo niemądra!*

*- Ależ skąd! Nie o to chodzi.*

*- Więc o co?*



*Pan Beecham podniósł się z za biurka, obszedł je bez pośpiechu i postukał palcami o blat.*

*- Czy pani rozmawiała na ten temat z jego lordowską mością, jeśli wolno spytać?*

*- Nie. My... posprzeczałyśmy się.*

*- Ach tak! Wobec tego może byłoby lepiej, żeby pani najpierw z nim porozmawiała? Nie chciałbym ingerować w jego prywatne sprawy.*

*- Nie rozumiem?*

*Adwokat odwrócił wzrok z wyraźnym zażenowaniem.*

*- Powinien pani sam o tym powiedzieć.*

*- Ale nic mi nie powiedział! - Jej niepokój wzrósł. - Panie Beecham, bardzo proszę. O co tu chodzi? Musi mi pan powiedzieć! Jeśli to mnie dotyczy, błagam pana...*

*- Dobrze już, dobrze - uspokajał ją. - Może jednak pani usiądzie?*

*- Niechże mi pan powie! - wykrzyknęła, blednąc.*

*Prawnik kaszlnął, zasłaniając usta ręką, potem się wyprostował.*

294

*- Widzi pani, panno Carlisle, to, na czym pani tak zależy, już się*

*dokonało. Unieważniono testament lady Strathmore, przy którego odczytywaniu była pani obecna. Ponieważ jego kopia nie została w odpowiednim czasie przekazana do Sądu Kanclerskiego, przepisy prawne nakazują dokonać rozdziału dóbr zgodnie z poprzednim testamentem.*

*Cała fortuna przeszła na własność jego lordowskiej mości, o czym on sam wie już od kilku tygodni.*

*- C....co takiego?!*

*Serce waliło jej jak szalone.*

*- Bardzo mi przykro, że dowiedziała się pani o tym w taki sposób.*

*Lord Strathmore obiecał, że sam panią o tym powiadomi... w odpowiednim czasie.*

*- Dlaczego tego nie zrobił? - zawołała ze zdumieniem.*

*- No cóż, panno Carlisle. Jego lordowska mość napomknął kiedyś,*

*że gdyby się pani dowiedziała, iż nie musi się z panią ożenić dla odzyskania praw do majątku, mogłaby mu pani odmówić swojej ręki.*

*Wpatrywała się w niego niezbyt przytomnie, w głowie miała zamęt.*

*Ledwie zdołała wykrztusić:*

*- Myśli pan, że...*

*- On panią kocha, panno Carlisle. Kochał panią przez cały czas.*

*- Bardzo mi przykro, milordzie - oświadczył sucho majordomus.*

*Jego twarz przypominała kamienną maskę. - Panny Carlisle nie ma w domu.*

*Devlinowi zrobiło się czerwono przed oczami.*

*- Tak ci kazano powiedzieć, co?! Do diabła, mam rozwalić drzwi?!*

*Wiem, że ona tam jest! Muszę się z nią zobaczyć!*

*- Milordzie...*

*- Nie dam się odprawić!*

*Dev odepchnął majordoma i wtargnął do wnętrza domu. Odrzucając głowę do tyłu, wrzasnął:*

*- Lizzie! Lizzie!!!*

*- Ależ milordzie!*

*- Gdzie ona jest? Ukrywa się przede mną?!*

*- Naprawdę jej tu nie ma. Powinien pan odejść, milordzie.*

*- Wyszła? - spytał podejrzliwie.*

- Tak, wyszła, jak już mówiłem.

- Z lordem Alekiem?! - spytał agresywnym tonem.

- Doprawdy nie wiem.

- A choćbyś wiedział, nie powiesz! - wymamrotał Dev. - Dobrze.

W takim razie zaczekam.

Odpędził majordoma machnięciem ręki i usiadł ciężko na schodach.

Czyżby zwlekał zbyt długo? Niemożliwe! A jednak... Jakże łatwo mógł sobie wyobrazić szczęśliwą czwórkę: Lizzie i Aleca, Jacindę i Billy'ego, jak uczują gdzieś na mieście, uszczęśliwieni perspektywą

niedalekiego ślubu w rodzinie. Planują już pewnie ucztę weselną. A on

został sam jak zawsze.

Oparłszy łokieć na zgiętym kolanie, Dev zamknął oczy, pełne rozpaczy, i złożył czoło na rękę.

Próbował pogodzić się z przegraną. Trzymać się z dala od Lizzie. Ale

raz po raz powracał okropny strach, że jeśli zostawi dziewczynę Alecowi,

ten będzie ją krzywdził i ranił przez resztę życia. Jeśli już raz ją zdradził, uczyni to znowu. Zwłaszcza że Lizzie była taka lojalna!

- Milordzie? - Majordomus Jacindy pochylił się i spojrzał w niespokojną twarz Deva ze współczuciem, które zdziwiło jego samego.

- Może coś podać waszej lordowskiej mości? Herbaty? Koniaku? Albo...

proszek od bólu głowy?

Devlin popatrzył na niego ze smutkiem. Pragnął tylko jednego, ale

był prawie pewny, że już to utracił.

W tej chwili Lizzie weszła frontowymi drzwiami i zatrzymała się jak

wryta na jego widok. Była sama.

Tak jak on.

Dev podniósł się raptownie i zadrżał, pochwyciwszy jej spojrzenie.

- Lizzie...

*Miał ściśnięte gardło i mówił szeptem.*

*Majordomus zniknął natychmiast, pozostawiając ich sam na sam.*

*Lizzie mrugała oczyma, niepewna, czy to Dev, czy jakaś zjawa.*

*Wicehrabia zbiegł ze schodów.*

*Lizzie weszła ostrożnie do holu i zamknęła za sobą drzwi wejściowe.*

- Przeszedłeś tu?

296

*- Tak. - Devlin z trudem przełknął ślinę i zrobił jeszcze kilka kroków w jej stronę. - Czekałem... Muszę z tobą pomówić! Mam ci tak wiele do powiedzenia, jeśli zechcesz mnie wysłuchać. Bardzo mi przykro, że straciłaś przeze mnie posadę. Nie przyszedłem tu wcześniej, bo próbowałem się cię wyrzec... dla twego dobra. Ale bez ciebie życie*

*nie ma dla mnie żadnego sensu. Ja... nie potrafię z ciebie zrezygnować!*

*- Ręce miał spocone. Miętosił w nich rondo kapelusza. - Alec to porządny chłop. Naprawdę! Ale nieodpowiedni dla ciebie. Znowu cię zrani, kiedy zacznie mu się nudzić. Nie chcę, żebyś cierpiała! Wysłuchaj mnie, proszę! To prawda, że należę do tamtego klubu, ale mogę wszystko wyjaśnić, jeśli tylko zechcesz mnie wysłuchać. A poza tym chcę ci coś pokazać, zanim podejmiesz decyzję.*

- Co takiego?

*Z jego godności nic już nie zostało, poniżył się ostatecznie. Ale nic*

*go to nie obchodziło, gdy stał przed nią.*

*- Chciałbym ci pokazać, co mam do zaoferowania, jeśli... wybierzesz mnie. Powiedziałaś, że nigdy dotąd nie miałaś własnego domu.*

*Widzisz, mój stryj Jacob, mąż ciotki Augusty, omal nie zrujnował naszej rodziny. Właśnie dlatego musiał poślubić bogatą dziedziczkę. Rzecz w tym, że wszystkie pieniądze wydał na przebudowę Oakley Park. To*

*naprawdę wspaniały dom. Będzie należał do ciebie, jeśli tylko zechcesz.*

*Tak samo jak ja.*

*- Och, kochanie! - szepnęła ze łzami w oczach.*

*- Mam wiele sekretów, Lizzie. Ale wyjawię ci wszystkie. Tylko powiedz, że cię nie utracę.*

*- Cicho, cicho...*

*Nie zdawał sobie sprawy z tego, jak blisko siebie stoją, póki nie przy*

*łożyła mu palca do ust, powstrzymując kojącym dotykiem potok bolesnych słów.*

*- Odmówiłam Alecowi, Devlinie - szepnęła. - A co do twoich sekretów, to poznałam już jeden z nich, najistotniejszy. Widzisz, wracam z kancelarii pana Beechama. Wiem o unieważnieniu testamentu twojej*

*ciotki. Och, Dev! - Jej szare oczy były pełne miłości, gdy wpatrywała się*

*w niego. - Ja też cię kocham.*

*Zaparło mu dech na te słowa. Przyciągnęła go do siebie, żeby ją pocałował, on zaś był jej posłuszny z całego serca, z całej duszy.*

297

*Objął drżącymi rękoma słodką twarzyczkę Lizzie i całował ją z oczyma pełnymi piekących łez. Spostrzegł, że ona również płacze, kiedy poczuł, jak gorące krople kapią mu na rękę, czule obejmujące jej twarz.*

*Przytuliła się do niego.*

*- Wyjdź za mnie - wykrztusił. Ledwie usłyszał jej cichutkie: „Tak,*

*tak!”, zaczął znów ją całować, raz po raz. - Wyjedź razem ze mną. Jeszcze dziś!*

*- Dobrze!*

*- Do Oakley Park. Chcę ci pokazać ten dom!*

*- Dokąd tylko zechcesz.*

*- Dotrzemy tam za trzy godziny. Kocham cię!*

*- Devlinie! - obejmowała go z całej siły, tuląc splekaną twarz do*

*jego szyi. - Ja też cię kocham, najmilszy. Z całego serca!*

*U niesienie pulsowało im we krwi, kiedy mknęli przez noc w księżycowej poświacie. Włosy Lizzie trzepotały na wietrze, gdy powoziła.*

*Devlin obejmował ją w talii, pomagał jej kierować końmi i szeptał do ucha słowa miłości. Powóz mknął coraz szybciej.*

*Na niebie nie było ani jednej chmurki, a księżyc zwisał nad drzewami targanymi wiatrem i rzucał światło na smukłe grzbiety fryzyskich karoszy. Kopyta dudniły rytmicznie na pylistej drodze. Był to zaczarowany świat, rozświetlony srebrną księżycową poświatą i słabym złotym blaskiem powozowych latarni.*

*Wpartłszy się mocno obcasami w podpórkę pod nogi i ciasno napinając lejce, Lizzie nie potrzebowała nic więcej prócz odrobiny wiary w siebie oraz zachęty ze strony Devlina, którego miała u boku. Kierowa*

*ła czterokonnym zaprzęgiem z zuchwałą odwagą, którą tylko on potrafił ją zarazić.*

*W połowie drogi zatrzymali się, by konie mogły odpocząć. Następnie*

*Ben przejął cugle, a Devlin i Lizzie skryli się we wnętrzu powozu. Przez następną godzinę Dev opowiadał jej o swoim dochodzeniu, wyjaśniając, dlaczego związał się z Klubem Jeźdźców i Woźniców. Opisał wszelkie*

298

*środki, jakie przedsięwziął, aby odkryć prawdę - obmyślał z góry każde posunięcie jak w partii szachów.*

*Lizzie zdumiewała się tą opowieścią.*

*- To wydarzyło się w listopadzie 1805 roku, Pod Złotym Bykiem.*

*To zajazd przy drodze do Oksfordu, tuż za Uxbridge. Znajdowali się tam*

*wówczas nie tylko stali goście, ale przyjezdni oraz liczny personel i wielu okolicznych mieszkańców, którzy wstąpili do szynku na kieliszek czegoś*

*mocniejszego. Nic dziwnego, że trwało kilka tygodni, nim koronerowi*

*udało się sporządzić kompletną listę osób, które zginęły tam owej nocy.*

*Pożar był tak gwałtowny, że niektórych ciał nie zdołano zidentyfikować,*

*tak były zwęglone. Wraz z zajazdem spłonęła też księga gości i trzeba*

*było wykorzystać inne dane, na przykład rejestry z pobliskiej stajni, która ocalała, czy dokumenty towarzystw przewozowych, których dyliżan-sy kursowały regularnie na tej trasie. Ostatecznie ustalono listę czterdziestu siedmiu ofiar. - Spojrzenie Deva było nieobecne, do zboląłego głosu wkradła się nuta nienawiści. - Nigdy nie odnaleziono ciała mojej*

*małej siostrzyczki.*

*Lizzie głaskała go po plecach, usiłując pocieszyć.*

*- Nie musisz mi tego opowiadać, jeśli to dla ciebie zbyt bolesne.*

*- Nie! Wszystko to wiąże się z Klubem Jeźdźców i Woźniców. Chcę,*

*żebyś wiedziała, dlaczego zadaję się z takimi ludźmi. - Wpatrywał się w nią przez dłuższą chwilę. - Zamierzam dowieść, że niektórzy z nich byli tam*

*owej nocy i z premedytacją podłożyli ogień. Dochodzenie w sprawie*

*śmierci moich rodziców nie przyniosło rezultatów, nie widziałem więc innego wyjścia, jak zapisać się do klubu, żeby mieć na oku tych bydlaków.*

*- Skąd ci przyszło do głowy, że mają coś wspólnego z tą tragedią?*

*- Doszedłem do tego wniosku nie bez powodu. Nie zapominaj,*

*że moje podróże były po części ekspedycjami naukowymi. Wiem, co*

*to wnikliwa obserwacja i sztuka gromadzenia danych. Zawdzięczam to*

*mojemu ojcu - dodał z czułością. - Był utalentowanym przyrodnikiem*

*amatorem, wiecznie ślęczał nad mikroskopem. Fascynowały go sekrety*

*życia węgorki słodkowodnych.*

*Lizzie uśmiechnęła się ciepło.*

*- Z pewnością polubiłby cię. - Devlin westchnął głęboko. - Przez*

*dwa lata gromadziłem dowody i wykluczałem alternatywne rozwiązania. Jestem coraz bliżej prawdy, czuję to.*

*Lizzie zmarszczyła brwi w zadumie.*

*- Może lepiej opowiedz mi wszystko po kolei, najmilszy!*

*Uśmiechnął się. Mógł być pewien, że zechce sama zweryfikować jego hipotezę!*

*- Cała Lizzie! - mruknął.*

*I nagle poczuł ogromną ulgę, że może się z nią tym podzielić. Poglębiało to łączącą ich więź, ale też ktoś równie inteligentny jak jego mała sawantka może dostrzec coś, co on przegapił!*

*- Po pierwsze, zgromadziłem całą dokumentację, związaną z tym*

*tragicznym zajściem. Raport inspektora pożarowego, orzeczenie koro-*

*nera, wycinki z gazet, nekrologi osób, które zginęły w pożarze. Następny*

*krok był znacznie trudniejszy, próbowałem nawiązać kontakty ze wszystkimi, którzy ocaleli. Była ich tylko garstka. Moje podejrzania wzrosły, gdy odkryłem, że kilku z nich zmarło w tajemniczych okolicznościach*

*mniej więcej w rok po pożarze. Jakby los się na nich wziął! Szczególnie*

*zainteresowało mnie rzekome samobójstwo kucharza. Zgodnie z raportem inspektora, pożar Pod Złotym Bykiem rozpoczął się w kuchni. Jako głowa tamtejszego personelu, kucharz był odpowiedzialny za wszystko*

*na podległym mu terenie, z ogniem włącznie. Jego samobójstwo zdawa*

*ło się potwierdzać, że czuł się winny tej tragedii.*

*- Rzeczywiście.*

*- Natrafiłem jednak na wyjątkowo użytecznego świadka, Toma*

*Doolittle'a, który był kuchcikiem Pod Złotym Bykiem i siostrzeńcem*

*zmarłego kucharza. Otóż Tom utrzymywał, że jego wuj był pogodnym*

*i bogobojnym człowiekiem, który nigdy by sobie nie odebrał życia, nawet w takich okolicznościach.*

*- Chcesz powiedzieć, że kucharz został zamordowany?*



*- A jego śmierć upozorowano na samobójstwo.*

*- Ależ... W jakim celu?! - wykrzyknęła Lizzie.*

*- Ponieważ był uczciwym człowiekiem, a pożar bynajmniej nie zaczął się od kuchni.*

*- Tylko gdzie?*

*- Na zewnątrz, wokół budynku. Ale próżno szukać tej informacji*

*w oficjalnym raporcie inspektora. Znalazła się tylko w pierwotnej wersji*

*tego raportu. A ową wersję zmienił, ponieważ grożono mu śmiercią.*

*- Dobry Boże!*

300

*- Inspektor nie chciał ze mną na ten temat rozmawiać. Jest już na*

*emeryturze i usiłował mi wmówić, że prawie nie pamięta tej sprawy.*

*W końcu jednak przełamałem jego opór.*

*- Masz do tego talent, mój panie!*

*Rzucił jej wymowne spojrzenie.*

*- W oficjalnym raporcie stwierdzono, że ogień został zaproszony*

*nieumyślnie, a pożar rozpoczął się w kuchni. Na szczęście inspektor,*

*mając więcej sumienia niż odwagi, zachował kopię pierwotnego raportu, napisanego bezpośrednio*

*po oględzinach miejsca tragedii. Pozwolił mi przeczytać tę wersję. Za przyczynę pożaru uznał w*

*niej umyślnie podpalenie. Wniosek ten oparty był na szybkości, z jaką ogień ogarnął*

*cały budynek, zupełnie jakby został on nasmołowany lub oblany olejem*

*ze wszystkich stron.*

*- I nieszczęśnicy uwięzieni w budynku nie mieli którejdy uciec?*

*Posępnie pokiwał głową.*

*- Jeszcze bardziej obciążający był fakt, że okiennice zostały zaryglowane od zewnątrz.*

*Lizzie spoglądała na niego z przerażeniem.*

- *Mój Boże! A więc ktoś z rozmysłem uwięził tych ludzi i podpalił*

*budynek! Dlaczego miałby skrzywdzić tak straszliwie kilkadziesiąt obcych osób?*

- *Żeby zamaskować inną zbrodnię. Coś, co uważał za występki*

*większy niż podpalenie. - Zamilkł na chwilę. - W każdym razie ten,*

*kto groził śmiercią inspektorowi, polecił mu napisać, że ogień został zaproszony w kuchni. W obawie o swoje życie stary człowiek sfalszował*

*raport według życzenia mordercy. Wkrótce po tym, gdy ogłoszono oficjalnie, że ogień został zaproszony w kuchni, miało miejsce rzekome samobójstwo kucharza. Wyglądało to na przyznanie się do winy. Sprawa*

*została zamknięta.*

- *A więc ten, kto groził inspektorowi, pozbył się kucharza? - wydedukowała Lizzie.*

*Skinął potakująco głową.*

- *Ale wróćmy do naszego kuchcika. Choć Tom Doolittle miał*

*w czasie pożaru zaledwie dziewięć lat, dostarczył mi najistotniejszego ze wszystkich dowodów. Oczywiście, kosztowało mnie to niezły grosz! - dodał cynicznie. - Zdaje się, że pomywaczka kazała Tomowi*

*301*

*napompować wody ze studni. I właśnie wtedy, jak utrzymuje eks-kuch-*

*cik, rozległ się strzał.*

- *Strzał?*

- *Z galerii na piętrze dotarły do chłopca odgłosy klótni. Jakiś mężczyzna wrzeszczał: „Zamknij się, ty irlandzka dziwko!” A potem rozległ*

*się pojedynczy wystrzał.*

*Lizzie spojrzała na niego ze zdumieniem i przerażeniem.*

- *Jeżeli ktoś został tej nocy zastrzelony - ciągnął dalej Dev-wzmianka o tym powinna się znaleźć w orzeczeniu koronera.*

- *To całkiem logiczne.*

*- Jednak w dokumencie nie było mowy o kuli. Oczywiście, maleńka*

*grudka ołowiu mogła zostać niezauważona. Albo...*

*- Albo koroner także otrzymywał listy z pogrózkami.*

*- Brawo! - mruknął Devlin z posępnym uśmiechem. - Morderca*

*z pewnością liczył, że przerażeni inspektor i koroner nie pisną ani słowa.*

*Koroner nie zgodził się wrócić do tej sprawy w rozmowie ze mną. Nie*

*udało mi się go przekonać. Ale widocznie moje naleganie nie dawało mu*

*spokoju, gdyż tydzień później otrzymałem przez posłańca nieoczekiwaną przesyłkę. Ów posłaniec powiedział, że jego pan spakował manat-ki i wyjechał z Anglii. Zdążył jednak przedtem przesać mi informację,*

*którą ukrywał ponad dziesięć lat. Okazało się, że istotnie jedne zwłoki*

*miały w piersi ranę od kuli.*

*- Czyje zwłoki? - spytała szeptem, niepewna, czy chce znać odpowiedź.*

*Dev nie odpowiedział od razu.*

*- Mojego ojca.*

*- Och!*

*Nie odzywał się przez chwilę, potem odchrząknął i mówił dalej:*

*- Ktoś w zajeździe zastrzelił tej nocy mojego ojca, a potem, jak*

*przypuszczam, podpalił budynek, by ukryć tę zbrodnię.*

*- A ta ordynarna uwaga pod adresem jakiejś kobiety, którą kuchcik*

*usłyszał z galerii. Powiedziałeś mi, że twoja matka była Irlandką. Jak sądzisz, czy oboje twoi rodzice byli obiektem czyichś ataków?*

*- To samo przyszło mi na myśl, gdy Tom po raz pierwszy wspomniał o tym, co usłyszał. Moja matka była damą, ale nigdy nie obawiała się konfrontacji, zwłaszcza gdy coś wzbudziło w niej sprzeciw.*

302

*- Ale kto mógłby uczynić coś równie potwornego? Kto spaliłby*

*żywcem czterdzieści siedem osób, by ukryć śmierć jednego człowieka?!*

*- Nie byle kogo, para Anglii: Mój ojciec cieszył się ogólnym poważaniem. Morderca musiał wiedzieć, do kogo strzela. Albo uświadomił to sobie po zabójstwie. Mógł zresztą dokonać tego każdy. Inny gość w zajazdzie, ktoś z personelu, przygodny klient w szynku...*

*- A może w tamtej okolicy grasowała banda rozbójników? Wiele*

*dyliżansów ucierpiało skutkiem takich napaści.*

*- O tym również pomyślałem. Wypytywałem właścicieli innych zajazdów, położonych przy tym trakcie, ale nie zauważyli nic podejrzanego. Pozostało mi więc do zrobienia tylko jedno. Zaczynając od początku listy, postarałem się zdobyć jak najwięcej informacji na temat wszystkich*

*ofiar. Usiłowałem doszukać się czegoś szczególnego lub podejrzanego,*

*na przykład, czy któraś z tych osób nie była karana. Interesowało mnie*

*dosłownie wszystko. Odsiewanie informacji użytecznych od nieużytecznych było bardzo żmudne.*

*- Musiało ci to zająć mnóstwo czasu!*

*- Ponad rok. Ostatecznie stwierdziłem, że jest na tej liście jedno nazwisko, które się z niczym i z nikim nie wiąże. Niejaka pani Mary Harris. Nie mogłem się dowiedzieć niczego o tej kobiecie. Była pasażerką jednego z dyliżansów. Nikt o niej niczego nie wiedział. Nie natrafiłem*

*na żadnych krewnych czy znajomych. A masz pojęcie, ile kobiet nosi to*

*imię i nazwisko? Całe mnóstwo! - stwierdził bez ogródek.*

*Lizzie się uśmiechnęła.*

*- Podejrzewam, że masz rację. Ja sama straciłam pracę w szkole*

*z powodu niejakej pani Harris. To ta oburzona matka uczennicy, o której wspomniała wam przełożona.*

*- A prawda! - powiedział z goryczą. - No więc, sama widzisz! Każda Mary Harris, do której udało mi się dotrzeć, była zdrowa i cała. Albo niezamężna, a na liście było wyraźnie napisane „pani”, nie „panna”. Doszedłem więc do wniosku, że nastąpiła pomyłka co do jej tożsamości. Tak czy owak, zająłem się innymi, a konkretnie pozycją numer 32 na długiej*

*liście ofiar. Był to niejaki James Cox, kowal z pobliskiej wioski, stały bywalec szynku Pod Złotym Bykiem. Zasiedział się tam owego nieszczęsnego wieczoru i spotkał go taki sam tragiczny koniec jak innych. Kiedy 303*

*sprawdzałem życiorys kowala, zetknąłem się z jednym z jego dawnych*

*kompanów od kieliszka i pociągnąłem go za język. Był to stary robotnik*

*nazwiskiem Jackson. Siedział tamtego wieczoru Pod Złotym Bykiem,*

*razem z Coksem i całym towarzystwem. Wyszedł wcześniej, gdyż obiecał żonie, iż postara się skończyć z piciem. To przyrzeczenie uratowało mu życie.*

*- Istotnie.*

*- Jak powiada Jackson, w szynku wówczas aż szumiało, gdyż jeden z ich*

*kompanów, Wiley, wypatrzył w zajeździe kobietę, która, jak się zaklinał, była z pewnością słynną londyńską aktorką, Ginny Highgate. Wiley zapewniał,*

*że to ona, choć miała twarz zasłoniętą woalką. Podziwiał aktorkę w jakimś*

*spektaklu na wodzie w Ranelagh Gardens. Utrzymywał, że zapewne nie*

*chciała, by ją rozpoznano. Domyślasz się, że skojarzyłem fakty?*

*Lizzie skinęła głową.*

*- Mów dalej!*

*- Nazwiska Ginny Highgate nie było na mojej liście, uświadomi*

*łem więc sobie, że Mary Harris może być pseudonimem, którego aktorka użyła, by uchronić się przed natręctwem wielbicieli. Ponieważ zaś panna Highgate posłużyła się fałszywym nazwiskiem, jej rodzina do dziś*

*dnia może nie mieć pojęcia, że straciła wówczas życie. Sądzą zapewne,*

*że po prostu znikła.*

*Lizzie wpatrywała się w niego z ogromnym skupieniem.*

*- Kobiet, które zostają aktorkami, rodzina często się wyrzeka.*

*- Masz słuszność. Pomyślałem także, iż w Londynie musiał być*

*ktoś, kto znał, a może i kochał Ginny Highgate. Muszę cię przeprosić,*

*ale następna część tej opowieści nie jest stosowna dla damskich uszu.*

*Lizzie kiwnęła głową.*

*- Nic nie szkodzi, mów dalej!*

- Dzięki pomocy dyrektora Ranelagh Gardens zdołałem prześledzić całą karierę Ginny Highgate, która zaczęła się... w domu publicznym. Odbyłem bardzo pouczającą rozmowę z tamtejszą burdelmamą.

- Czego się od niej dowiedziałeś?

- Dwóch istotnych rzeczy. Po pierwsze, Ginny Highgate była Irlandką.

- A więc obelga, którą usłyszał kuchcik, mogła być skierowana pod jej adresem! - Lizzie się wzdrygnęła. - Zaczynała jako kobieta

304

lekkich obyczajów. Była Irlandką. Wszystko by pasowało! Czy to nie zadziwiające? - mruknęła po chwili. - Pani Harris ze szkoły to także Irlandką!

Dev wzruszył ramionami.

- To często spotykane nazwisko.

- A ta druga rzecz, której się o niej dowiedziałeś?

- Odkryłem, że Ginny Highgate, alias Mary Harris, była ulubienicą

Klubu Jeźdźców i Woźniców, nieomal ich wyłączną własnością. Plotka głosi, że w obrębie klubu przechodziła z rąk do rąk. Jej opiekunami mieli być kolejno Randall, Carstairs i Staines. Nie wiem, ile to wszystko

razem warte, ale spędziłem sporo czasu wśród tych łotrów i, obserwując ich uważnie, ukulem pewną teorię.

Spojrzała na niego wyczekująco.

- Widzisz, statek do Irlandii wypływa dzień w dzień z portu Holy-

head. Żeby dotrzeć tam z Londynu, trzeba jechać oksfordzkim traktem.

Przypuszczam, że panna Highgate tam właśnie podążyła, opuściwszy Londyn i kochanka, ktokolwiek nim był. Według burdelmamy, panna

*Highgate zbiła niezłą fortunę i wspominała o powrocie do Irlandii. Ale*

*może opiekun nie chciał się jej wyrzec?*

*Lizzie spojrzała na niego uważnie.*

*- Sądzę, że Ginny Highgate owej nocy była ścigana przez porzuconego kochanka. Jeden z tych lotrów z Klubu Jeźdźców i Woźniców, być może w towarzystwie kilku kompanów, dopadł jej w zajeździe. Mój*

*ojciec zaś, jak przypuszczam, rycerski do przesady, próbował interweniować i zażegnać awanturę.*

*- I został przez nich zastrzelony - szepnęła Lizzie.*

*Przytaknął.*

*- Potem morderca albo mordercy musieli wpaść w panikę, zorientowawszy się, że zabili para Anglii, w dodatku powszechnie lubianego.*

*- I podpalili zajazd, by ukryć zbrodnię?*

*- I pozbyć się świadków.*

*- Włącznie z twoją matką i siostrą - dodała cicho.*

*Oboje zamilkli.*

*- Co zamierzasz zrobić? - spytała po chwili.*

*- Nadal brak mi niezbitego dowodu - odparł beznamiętnym głosem. - Prawo nie będzie zważać na to, co podpowiada mi intuicja.*

*20 - Ukochana diabła*

*305*

*Muszę zdobyć dowody na tyle obciążające, by uzyskać dla tego bydlaka*

*wyrok skazujący. Graniczy to z niepodobieństwem, ponieważ mordercą*

*jest ktoś z arystokracji. Ale ktokolwiek by to był, zrobię wszystko, żeby*

*zawisł na szubienicy ku radości gawiedzi. Żeby został odarty z czci. Wyzuty z wszelkich ziemskich dóbr i tytułu. Chcę, żeby cierpiał. I żeby cierpiała jego rodzina. Na Boga! Chcę, by jego imię zostało wymazane*

*z ksiąg wieczności!*

*Lizzie wzdrygnęła się lekko, gdyż buchała z niego nienawiść. Od-*

*kaszlnęła, by zwrócić na siebie uwagę.*

*- Widzę, że przemyślałeś to sobie dokładnie.*

*Na jego ustach pojawił się cień sardonicznego uśmiechu.*

*- Miałem na to zaledwie dwa lata.*

*- Biedaku!*

*Spojrzała na Deva, siedzącego naprzeciw niej tak blisko, w niewielkim powozie. Pragnęła zarzucić mu ramiona na szyję, ale powstrzymała się, gdyż jeszcze jedno istotne pytanie pozostało bez odpowiedzi. Spojrzała mu badawczo w oczy.*

*- Nie mogę wprost uwierzyć, że ukrywałeś to wszystko przede*

*mną. Mój Boże! Jeśli twoja teoria jest prawdziwa, doskonale wiedzą,*

*kim jesteś! Syn człowieka, którego zastrzelili, musi im się wydawać podejrzany!*

*- Oczywiście! Siedzą każdy mój ruch. Właśnie dlatego zachowuję*

*się jak diabeł z piekła rodem, który myśli tylko o własnej uciezce i trwoni pieniądze na prawo i lewo! Przekonałem większość z nich, że nie zmieniłem się ani trochę od czasów najwcześniejszej, zmarnowanej młodości.*

*- Mnie z początku też zdołałeś oszukać. - Spuściła głowę, starając*

*się jak najzręczniejszym sformułować pytanie, które nadal nie dawało jej spokoju. - Devlinie, Alec powiedział mi o okropnym zwyczaju, związanym z przyjęciem do Klubu Jeźdźców i Woźniców...*

*- Lizzie! - przerwał jej łagodnie. - Nie tknąłem tej dziewczyny.*

*Odetchnęła z ulgą.*

*- W głębi serca wiedziałam, że nigdy byś nie skrzywdził niewinnego dziecka. Ale jak ich przechytryłeś? Alec powiedział, że inni muszą na to patrzeć...*

*Pokręcił głową.*

306

*- To tylko plotki. Nawet wyczyny Klubu Jeźdźców i Woźniców są*

*niekiedy wyolbrzymiane. Pamiętasz tamtą noc, gdy cię porwałem? A ranę na moim boku? Spytałaś, gdzie się skaleczyłem.*



- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

- Zraniłem się, żeby sprokurować „wiarygodny dowód” zhańbienia

dziewicy. Uwierzyli, a ja czym prędzej wyprowadziłem stamtąd dziewczynę i powierzyłem ją Benowi. Odwiózł ją do domu, zdrową i całą.

- Och, kochanie! - Usiadła obok Devlina, objęła go ramionami

i tuliła się do niego przez dłuższą chwilę. Oparła głowę na jego ramieniu

i przymknęła oczy. - Nie jest ci trudno zadawać się z nimi, gdy wiesz, że

jeden z nich zabił twojego ojca? Jak możesz to znieść?

- Fascynują mnie w jakiś niepojęty sposób. Żyłem już wcześniej

wśród dzikich, u licha! - dodał z cierpkim uśmiechem. - Niektórych

z nich czasami nawet lubię. Na przykład Quinta Randalla. Nie jest taki

zły. Nieraz mi go żal. Nie bardzo wiem, czemu. Albo ten pojedynek.

Staines wyzwał mnie, ale Carstairs przemówił mu do rozumu i nawet

skłonił go do przeprosin!

- Hm... Nie wątpię, że Staines nienawidzi cię teraz jeszcze bardziej. Proszę cię, Dev, bądź ostrożny! Nie zniostabym, gdyby ci się coś stało!

- Bo mnie kochasz? - szepnął, przygarniając ją do siebie.

- Właśnie! - wymruczała jak kotka i usiadła mu na kolanach.

- Tak lubię, gdy to mówisz.

- Wobec tego powtórzę to jeszcze raz - szepnęła cichutko. - Kocham cię! Kocham!

Całowali się zawzięcie, gdy powóz nagle się zatrzymał.

Devlin wyjrzał przez okno i zobaczył wysoką bramę z kutego żelaza.

- Jesteśmy na miejscu - mruknął i zamilkł na chwilę. - Nie byłem

tu od bardzo dawna.

- Czy jesteś gotów stawić temu czoło? - spytała szeptem, głaszcząc

*go po twarzy. - Z pewnością czai się tu wiele bolesnych wspomnień.*

*- Dam sobie radę, jeśli będziesz ze mną. Chodź!*

*Splótł palce z palcami Lizzie, podniósł jej dłoń do ust i delikatnie*

*pocałował, potem zaś pomógł jej wstać. Służący otwierali właśnie bramę.*

307

*Ręka w rękę ruszyli podjazdem. Park wydawał się nieco zaniedbany.*

*Chwasty wyrosły tu i tam na niezbyt równym podjeździe, splątane pnącza wiły się wokół bramy.*

*Lizzie zauważyła zarys jakiegoś budynku po lewej stronie, wśród drzew.*

*- Co to takiego?*

*- Mulberry Cottage.*

*Zmrużyła oczy, by lepiej widzieć w ciemności, ale dostrzegła tylko, że budynek był kryty strzechą i przypominał nieco baśniową chatkę z piernika.*

*- Jaki uroczy! To pawilon dla gości?*

*Nic nie odpowiedział.*

*Przeniosła pełen zachwytu wzrok z Mulberry Cottage na twarz Dev-*

*lina i się zdumiała. Wyglądała tak, jakby pobruździły ją bolesne wspomnienia. Widziała wyraźnie wykrzywione cierpieniem rysy.*

*- Chodźmy dalej! - szepnął i pociągnął ją delikatnie za rękę.*

*Ruszyli dalej podjazdem.*

*Miała wrażenie, że kroczy we śnie. Może przyczynił się do tego*

*blask księżyca albo cichy zaśpiew wiatru w gałęziach drzew, ale wydawa*

*ło jej się, że zawędrowali do królestwa z bajki, gdzie wszystko spoczywa*

*w zaczarowanym śnie.*

*Napięcie, jakie wyczuwała w Devlinie, osłabło, gdy pozostawili za*

*sobą Mulberry Cottage.*

*Szli naprzód, pod baldachimem złączonych koronami drzew, rosnących po obu stronach podjazdu. Wreszcie na końcu tego liściastego tunelu zamajaczył wielki dom, alabastrowo biały w świetle księżyca.*

*Gdy podjazd się skończył, Lizzie stanęła przed wspaniałą rezydencją w stylu palladiańskim. Cała budowla była lśniąco biała. Centralna kopuła wznosiła się nad dostojnym frontowym portykiem z czterema*

*jońskimi kolumnami. Dwa symetryczne skrzydła rozciągały się po obu stronach głównego wejścia, a wielkie okna sięgały aż do ziemi. Nigdzie nie było widać żywej duszy.*

*- Co za wspaniały dom, Devlinie! - szepnęła.*

*- Jest twój, najdroższa - odparł z dwornym gestem.*

*Spojrzała na niego niepewnie, ale uśmiechnął się tajemniczo i poprowadził ją do drzwi frontowych. Zastukał w nie gromko kołatką w kształcie lwiej głowy.*

308

*- Mam klucz, ale nie chcę, by służba postrzeliła nas, biorąc za włamywaczy. Mówiłem ci już, że dawno mnie nie było w Oakley Park. Jako ostatnia mieszkała tu ciotka Augusta. Odkąd przeniosła się do Bath, dom*

*stoi zamknięty. Pozostała w nim tylko grupka służby. Utrzymują wszystko w porządku i są niezmiernie lojalni. Jak sądzisz, domyślili się już, że nie mamy niecnych zamiarów? - Nie czekając na odpowiedź Lizzie,*

*wyjął klucz z kieszeni i otworzył drzwi. Zawiasy skrzypnęły głośno, gdy*

*Dev ostrożnie uchylił drzwi i zajrzał do wnętrza. - Hej! Jest tam kto?*

*Panie Jeffries!*

*- Jaśnie pan? - odezwał się słaby, starczy głos. - Czy to naprawdę*

*wasza lordowska mość?*

*Wchodząc do domu, nadal uczepiona ręki Devlina, Lizzie ujrzała*

*sędziwego majordoma w szlafroku i szlafmocy z chwaścikiem. Człapał*

*przez frontowy hol z cynowym lichtarzem w rękę.*

*- Boże święty! Nie spodziewaliśmy się waszej lordowskiej mości!*

*Zaraz obudzę wszystkich...*

*- Nie ma potrzeby. Niech śpią - uspokajał go wicehrabia. - Nie potrzebujemy niczego aż do rana.*

*Oprócz siebie, pomyślał, wpatrując się w Elizabeth płonącymi oczyma.*

*Staruszek, choć zaspany, uradował się niezwykle, gdy Devlin wskazał Lizzie.*

*- Ta młoda dama będzie waszą nową panią, Jeffries. Ma na imię Elizabeth, wkrótce się pobierzemy.*

*- O! Cóż za radosna nowina! - szepnął majordomus. Złożył Lizzie niski ukłon. - Bogu niech będą dzięki! Cóż za piękna żona dla jaśnie pana! Życzę waszej lordowskiej mości szczęścia. Bardzo wiele szczęścia!*

*- Stary omal się nie rozplakał. - Witamy z całego serca, lady Strathmore, i życzymy wszelkiej pomyślności! Służba jest na pani rozkazy, milady.*

*Zostało nas w tej chwili tylko troje, ale zrobimy wszystko, czego jaśnie pani zapragnie.*

*- Bardzo dziękuję, panie Jeffries - odparła Lizzie, ujęta jego szczerą radością.*

*Staruszek patrzył na nią, jakby była ósmym cudem świata!*

*- To doprawdy łaska boska! Oakley Park znów ożyje! Może niebawem przyjdą na świat dzieci? Tak dawno ich tu nie było!*

309

*Lizzie się zaczerwieniła.*

*- Dziękuję, panie Jeffries. Bardzo to miło z pańskiej strony. Ale widzę, że przerwaliśmy panu sen...*

*- Już wracam do łóżka! - wykrzyknął, pojąwszy aluzję. - Jaśnie pan*

*i jaśnie pani nie życzą sobie, żeby im przeszkadzać!*

*- No właśnie - mruknął szelmowsko Devlin.*

*Powstrzymując radosny chichot, stary majordomus zapalił dla nich*

*świecę na stoliku przed lustrem, po czym skłonił się raz jeszcze.*

*- Dobrej nocy, milady. Milordzie...*

*I z taką miną, jakby już nie mógł się doczekać, kiedy pokoje dziecinne zaroją się od małych Strathmore'ów, pan Jeffries pokuśtykał do swego pokoju.*

*- Chyba musimy wziąć się od razu do pracy, moja droga! - Devlin*

*objął ją w talii i przytulił do piersi z żartobliwym pomrukiem. - Słysza*

*łaś, co mówił Jeffries!*

*Odchyliła głowę do tyłu i, mrużąc oczy, spojrzała na swego przyszłego męża.*

*- Okropny z ciebie szelma, wiesz?*

*- Naprawdę? - szepnął i, pochyliwszy nieco głowę, pocałował ją*

*w usta.*

*Zaśmiała się, nie przerywając pocałunku, gdy nagle chwycił ją na rękę.*

*- Zabierz świecę!*

*Wzięła lichtarz ze stolika pod lustrem, dokąd ją uprzejmie zaniósł,*

*i trzymała wysoko, oświetlając im drogę.*

*- A teraz, najmilsza - szepnął - zaczniemy zwiedzanie.*

*- Nie chcę żadnego zwiedzania - odparła również szeptem, udając,*

*że gryzie go w policzek. - Chcę tylko ciebie!*

*Zadrzał, kiedy koniuszkami języka musnęła kącik jego ust. Natychmiast obdarzył ją płomiennym pocałunkiem. Uwodził ją pieszczotą warg.*

*Był lekko zdyszany, gdy oderwał usta od jej warg.*

*- A zatem do łóżka!*

*- Tak! - zgodziła się cichutko, radując się jego słowami i płomienną*

*natarczywością oczu.*

*Krew krążyła szybciej w jej żyłach. Dev, nie odrywając od niej wzroku, niósł ją korytarzem, mijając imponujące schody, po czym skręcił*

*w następny korytarz, ona zaś nadal oświetlała im drogę świeczką.*

310

*Jaki on silny! - myślała, nie zwracając uwagi na pokoje, które mijali.*

*Niósł ją bez wysiłku. Czowała się zupełnie bezpieczna w jego muskularnych ramionach, nawet wówczas, gdy zatrzymali się, skręciwszy w drugi korytarz, a Dev, oparłszy ją pupą na swym zgiętym kolanie, sięgnął do*

*klamki.*

*Energicznie szarpnął wysokie białe drzwi. Otworzyły się na oścież.*

*Lizzie uniosła świecę do góry. Zdziwiła się, widząc zbytkowne wnętrze.*

*W migotliwym blasku świecy ledwie mogła dostrzec medaliony na*

*suficie, otoczone sztukaterią, zręcznie naśladowującą girlandy winnej latorośli i bluszczu. Złocony fryz biegł wokół ścian, zawieszonych gobelinami, przedstawiającymi pary legendarnych kochanków.*

*Z prawej strony znajdował się alabastrowy komin, cudownie*

*rzeźbiony. Pokój miał też osobną alkowę przeznaczoną do kąpieli i odgrodzoną różowymi aksamitnymi kotarami. Czteroramienne kryształowe żyrandole mogły oświetlić całe pomieszczenie, gdyby tego pragnęli.*

*Na potrzeby tej nocy wystarczało im jednak intymne światło jednej*

*świecy.*

*- To największa sypialnia - wyjaśnił Devlin, wnosząc Lizzie do pokoju i zamykając drzwi obcasem.  
- Inne pokoje nie są tak zbytkownie urządzone. Ten przeznaczono dla królewskich gości, gdyby przypadkiem*

*zajrzeli tu z wizytą. Tej nocy jednak- szepnął z łobuzerskim uśmiechem*

*- ty jesteś moją królową. Postaw świecę na stole, bardzo proszę!*

*Zrobiła, jak kazał.*

*- A teraz pocałuj mnie - szepnął.*

*Ustuchała.*

*Postawił ją ostrożnie na podłodze, nie przestając całować, i zaczął rozbierać. Ręce jej się trzęsły, gdy próbowała mu w tym pomagać. Nie mogła sobie poradzić z zapięciem stanika, za to palce Deva uporały się z nim bez trudu. Zostawiła więc resztę Devlinowi, a sama zajęła się rozpinaniem jego kamizelki. Zdjął z niej suknię, uwolnił jej włosy od szpilek, ściągnął koszulkę. Serce waliło Lizzie jak szalone. Przystała na chwilę całować Deva, by ocenić wzrokiem zapięcie czarnych spodni. Gdy wsunęła do nich rękę i objęła stalową, a zarazem delikatną męskość, odrzucił głowę do tyłu i oparł ją o zamknięte drzwi.*

*- Jakże mi brakło twego dotyku! - westchnął, przymykając oczy.*

*Długie czarne rzęsy rzuciły cień na jego wysokie kości policzkowe.*

311

*Wspiąwszy się na palce, Lizzie ucałowała go w szyję i skubnęła ją ząbkami. Zaśmiał się zmysłowo w odpowiedzi. Pieściła go, póki z jękiem jej nie powstrzymał.*

*- Dość! - wykrztusił.*

*- Zdejmij to!*

*Chwyciła go za koszulę z cieniutkiego płótna i szarpnęła niecierpliwie. Ściągnął ją przez głowę i odrzucił. Ciemny surdut i kamizelka leżały już na podłodze obok jasnej sukni Lizzie.*

*Stłumiła jęk pożądania, sunąc dłonią po jego gładkim, złocistym torsie i potężnej klatce piersiowej, radując się dotykiem jego ciała. Potem odsunęła się nieco, by spojrzeć na niego z zachwytem. Obnażony do*

*pasa był wcieloną pokusą.*

*Rozpłomieniony wzrok Lizzie wędrował po ciele, przypominającym antyczną rzeźbę, by zatrzymać*

*się na twarzy. Mocno zarysowane usta, nabrzmiałe od jej pocałunków, robiły wrażenie nadąsanych. Oczy*

*koloru morza błyszcząły namiętnością.*

*- Nie mogę wprost uwierzyć, że się pobierzemy! - wyszeptała z radosnym zdumieniem.*

*Wyciągnął rękę i dotknął pieszczotliwie jej policzka.*

*- Właśnie to samo pomyślałem!*

*- Kocham cię - szepnęła.*

*Dev wpatrywał się w nią jak urzeczony. Nie odpowiedział jej tym*

*samym zapewnieniem, gdyż miłość, którą dojrzał w łagodnych, szarych*

*oczach Lizzie, zaparła mu dech i pozbawiła go głosu. Oniemiał w obliczu takiego piękna. Naga, o białej skórze, przypominała pogańską boginię. Długie orzechowe włosy spływały jej na ramiona.*

*Spojrzenie Deva, pełne uwielbienia, przesunęło się po bliźniaczych*

*wzgórkach piersi, częściowo przesłoniętych włosami. Smukła talia kusi*

*ła, a ponętny zarys bioder wzbudził w nim ślepe żądze. Nie odejmując*

*ręki od jej twarzy, powiódł kciukiem po ustach Lizzie i zadrżał, gdy się*

*rozchyliły.*

*Zrobiła krok w jego stronę, a on wyciągnął ręce, uniósł ją i przytulił*

*do siebie. Zarzuciła mu ramiona na szyję, a nogami objęła go w pasie.*

*Podtrzymując dłońmi jej okrągłe pośladki, zaniósł ją do wielkiego łóża*

*z baldachimem i złożył w pościeli.*

312

*Trzykrotnie podniecał ją niemal do orgazmu, aż szalała z pożądania.*

*Potem, gdy wszedł w nią ostrożnie, nie czuła bólu. Dev był wniebowzięty, wnikając w nią stopniowo, coraz głębiej. Serce waliło mu jak młotem, pierś ciężko unosiła się i opadała. Całe jego ciało drżało z wysiłku, tak bardzo się powściągał, choć od dawna marzył wyłącznie o tej kobiecie i o tej nocy.*

*Wznosił się nad nią, wsparty na rękach. Każde dotknięcie, każdy*



*oddech były świadectwem ich wzajemnej miłości. Długie, śliczne nogi*

*Lizzie ścisnęły jego biodra, a całe jej ciało wilo się pod jego ciężarem.*

*Devlin spoglądał w jej twarz, pełną uniesienia. Urzeczony zwiewnym*

*urokiem jej rzes pochylał się i całował delikatne błękitne żyłki na powiekach.*

*- Nigdy mnie nie opuszczaj! - szeptał, głaszcząc ją po włosach. - Jesteśmy sobie tacy bliscy. Nie chcę, żeby się to skończyło.*

*- Nie skończy się. Nigdy!*

*- Kocham cię.*

*- Och, Devlinie!*

*Odpowiedziała mu tym samym słodkim zapewnieniem.*

*Jej oddech stawał się coraz szybszy, uniesione biodra wciągały go*

*w rytm pełen pożądania. Ręce pieściły barki ukochanego, sunęły wzdłuż*

*boków. Głaskała plecy i pośladki, unieruchamiając go między swymi*

*udami.*

*- To za wiele! - pojękiwała.*

*- Jesteś moja? - spytał szeptem.*

*- Tylko twoja!*

*Omal nie płakała z pożądania, gdy gorącą dłonią pieścił jej pierś.*

*- Och, Devlinie! Doprowadzasz mnie do szaleństwa! Nie zniosę*

*już więcej!*

*- Jak chcesz, kochanie - odparł gardłowym szeptem. Podarował jej*

*to, czego tak bardzo pragnęła.*

*Z jej ust wydarł się ostry krzyk namiętności. Dev tłumił pocałunkami jej jęki rozkoszy i trzymał ją mocno w ramionach. Wreszcie i on znalazł się na krawędzi szaleństwa. Poddał się ekstazie i z dzikim okrzykiem zagłębił się w niej po raz ostatni.*

*Przez długą chwilę po prostu leżeli, nasyceni, splątani ze sobą, rozczochrani.*

*Lizzie uniosła głowę i pocałowała go lekko, po czym opadła na łóżko.*

*- Kocham cię, Devlinie.*

*- Moja najdroższa Lizzie - szepnął cicho, obejmując ją ramionami.*

*- Ja też cię kocham.*

*- Powiedz to jeszcze raz! - błagała, zachwycona tymi najcudowniejszymi w świecie słowami.*

*Przytknął wargi do jej ucha i szeptem powtórzył swe wyznanie.*

*Z cichutkim westchnieniem objęła go za szyję i przytuliła mocno.*

*Podciągnął przykrycie, by jej było ciepło. Naraz uświadomił sobie,*

*że połączyły ich nierozzerwalne więzy - choć jeszcze nie przed ołtarzem*

*Boga. Lizzie należała teraz do niego, powinien ją kochać, dbać o nią*

*i bronić jej.*

*W przyptywie opiekuńczości przytulił jej głowę do swej piersi i objął*

*jeszcze mocniej.*

*- Czy zawsze jest tak cudownie? - spytała sennym szeptem.*

*Uśmiechnął się z rozbawieniem i pocałował ją we włosy.*

*- Spytaj mnie o to rankiem, to się przekonasz!*

*Kiedy obudziła się rano, Devlina przy niej nie było.*

*Unosząc głowę znad poduszki, omiotła pokój znużonym spojrzeniem i zmarszczyła brwi, przekonawszy się, że jest sama. Potem jednak doszła do wniosku, że chyba tak będzie lepiej. Nie mogłaby oprzeć się Devlinowi, a wystarczyło usiąść na łóżku, by się przekonać, jaka jest*

*oboląta po ostatniej nocy.*

*Z sennym westchnieniem zsunęła się z wysokiego łóżka, otulona*

*prześcieradłem. Przez całą szerokość wspaniałego pokoju dotarła do alkowy z wanną. Za różową aksamitną kotarą odkryła ściennie mozaiki i połyskliwe marmury. Z uśmiechem odkryła, że Dev*

*przygotował dla*

*niej kąpiel. Wiedziała, że zrobił to sam, gdyż z pewnością by nie pozwolił, żeby służba, przechodząc przez pokój, oglądała jego przyszłą żonę śpiącą nago. Zanurzyła palce i przekonała się, że woda jest nadal ciepła.*

*Rozczulona troskliwością Deva, zrzuciła prześcieradło i zanurzyła się w wannie.*

*Pół godziny później - odświeżona i ubrana - wyruszyła na poszukiwanie Devlina i śniadania. Dopiero gdy maszerowała lśniącymi kory-314*

*tarzami Oakley Park, w pełni dotarło do niej znaczenie decyzji, którą podjęła.*

*Ubiegłej nocy była zbyt przejęta tym wszystkim, co usłyszała w powozie. Później zaś ovladnęło ją pożądanie i nie zwróciła uwagi na dom. Teraz jednak spoglądała ze zdumieniem na wyniosłe sklepienia,*

*wytworne salony i marmurowe schody. Nie mogła uwierzyć, że ta perła architektury ma być jej domem.*

*Nie będzie tu gościem ani nawet jednym z domowników, ale ma zostać sercem tego domu - żoną i matką. Oszołomiona spełnieniem jej najskrytszych marzeń, szła powoli przez rozległą główną galerię i zerknęła ku górze na wnętrze fantazyjnej kopuły.*

*Jaka cisza tu panowała! Poczwała nagle, że tu właśnie jest jej miejsce.*

*Miała kochać tego mężczyznę, odbudować zniszczoną rodzinę i wykorzystać wszystko, czego się dowiedziała od Knightów, by nie zawieść męża, z którym będzie dzielić wysoką pozycję i bogactwo. Powinna też*

*czynić jak najwięcej dobra. Jej przeznaczenie znajdowało się w zasięgu ręki.*

*- Czy jaśnie pani ma ochotę na kawę?*

*Lizzie odwróciła się raptownie i ujrzała pana Jeffriesa, człapiącego*

*ku niej ze srebrną tacą. Serwis do kawy niepokojąco szczekał w takt jego*

*niepewnych kroków. Doprawdy, kochany staruszek powinien przejść na zasłużony odpoczynek, pomyślała, spiesząc mu z pomocą. Wydawał się jednak taki szczęśliwy, że ma wreszcie komu służyć!*

*- Dziękuję, panie Jeffries. Bardzo pan uprzejmy. Niestety, nie mogę znaleźć pokoju śniadaniowego.*

*Majordomus się uśmiechnął.*

*- Tędy, milady! Jeśli pani sobie życzy, oprowadzę ją po całym domu*

*i odpowiem na wszystkie pytania. Jestem pewien, że zechce pani obejrzeć oranżerię, wielką galerię, salę balową, bibliotekę...*

*- Bibliotekę? - ożywiła się Lizzie.*

*- Tak jest, jaśnie pani. Ale najpierw milady musi się pokrzepić porządnym śniadaniem.*

*Lizzie uśmiechnęła się do niego, gdy wprowadził ją do jasnej, przestronnej jadalni. Dwie służące czekały tam, by poznać nową panią. Były to wiekowa gospodyni i kucharka. Pan Jeffries przedstawił Lizzie obie*

*stare kobiety. Wpatrywały się w nią, jakby była ósmym cudem świata.*

315

*- Jaśnie pani musi się dobrze odżywiać! - doradzała familiarnie kucharka.*

*Wszyscy troje wyczuli od razu, że Lizzie nie lubi ceremonii, i wzięli*

*ją pod swoje skrzydła, niczym dobroczynne duszki. Byli niezmiernie*

*troskliwi, jakby sądzili, że milady jest już w błogosławionym stanie.*

*Śniadanie stało przygotowane na kredensie i Lizzie, choć bardzo jej*

*zależało na odnalezieniu Devlina, nie miała serca zostawiać tego wszystkiego, żeby wystygło. Zwłaszcza po gorącym powitaniu ze strony służby, która zadała sobie tyle trudu, by przygotować dla niej te przysmaki!*

*Z właściwą sobie uprzejmością Lizzie podziękowała wszystkim trojgu*

*i zasiadła do śniadania.*

*Służący stali nieopodal i z wyraźną radością przyglądali się, jak jaśnie*

*pani je. Lizzie miała wielką ochotę zaprosić ich, by zasiedli razem z nią do stołu, ale oni pragnęli dla swego wicehrabiego prawdziwej wielkiej pani, więc się powstrzymała.*

*Gdy zajęła miejsce przy ogromnym mahoniowym stole, wzrok jej padł na portret dumnej, ciemnowłosej piękności, który wisiał w złoconej ramie nad kominkiem, naprzeciw niej.*

*- Kim jest ta dama?*

*- A, to poprzedniczka jaśnie pani. Lady Katherine, żona dziewiątego wicehrabiego Strathmore'a.*

*Katie Rose! Lizzie wpatrywała się w obraz.*

*- Była naprawdę piękna, nieprawdaż?*

*Służba przytaknęła ze smutkiem, kiwając siwymi głowami.*

*Z nagłym niepokojem Lizzie odłożyła widelec. Zmusiła się do uśmiechu.*

*- Czy ktoś z was widział dziś rano lorda Strathmore'a?*

*Wymienili niespokojne spojrzenia. Wreszcie pan Jeffries skinął głową.*

*- Jego lordowska mość udał się do Mulberry Cottage, jaśnie pani.*

*- Do pawilonu dla gości? - spytała, marszcząc brwi.*

*- Ależ to nie jest wcale pawilon dla gości, milady! - wyrwała się gospodyni. - Jego lordowska mość się tam wychował!*

*Lizzie uniosła brwi ze zdziwienia. Potem jednak przypomniała sobie, że Stephen, ojciec Devlina, był młodszym bratem. Tytuł przypadł*

*pierworodnemu Jacobowi, którego dziełem jest ta wspaniała rezydencja.*

*Stephen i jego żona wiedli rodzinne życie w krytym strzechą domku.*

*Jaka była głupia, że od razu nie zdała sobie z tego sprawy! Devlin zachowywał się zupełnie swobodnie ubiegłej nocy w tym wspaniałym domu.*

*Bez wątpienia Oakley Park nadal był dla niego siedzibą stryja Jacoba!*

*Jego prawdziwy dom to Mulberry Cottage.*

*- Nawet kiedy tytuł przeszedł na ojca wicehrabiego, rodzina wola*

*ła mieszkać w domku - wyjaśniła gospodyni i ruchem głowy wskazała*

*portret. - Lady Katherine mówiła, że jest tam znacznie przytulniej, a to*

*lepsze dla dzieci. Jakaż to była wspaniała rodzina. Co za nieszczęście...*

*Lizzie wpatrywała się w twarze służących. Teraz już rozumiała, skąd*

*u Devlina tyle praktycyzmu! Najwcześniejsze lata spędził - podobnie jak*

*ona - nie we wspaniałej rezydencji, tylko w domku krytym strzechą.*

*- Biedny nasz jaśnie pan! - westchnęła kucharka, kiwając głową.*

*- Kiedy wszyscy troje zginęli, kazał zamknąć Mulberry Cottage jak jakąś grobową kryptę. Niczego nie wolno w nim było ruszyć! Takie nam wydał rozkazy. No i wszystko zostało dokładnie tak jak tamtego dnia,*

*kiedy umarli...*

*Lizzie pobladła.*

*W następnej chwili zerwała się na równe nogi i wybiegła z jadalni.*

*- Przepraszam, muszę tam iść!*

*Pojęła, że Dev udał się do Mulberry Cottage na spotkanie z przeszłością.*

*Nie pozwoli, by stawił jej czoło samotnie!*

*Droga do zagajnika, w którym stał Mulberry Cottage, była porośnięta*

*polnymi stokrotkami, dziką marchwią i jeżynami, które chwytaly Lizzie*

*za spódnicę. Wejście do domku - gdy ujrzała je wreszcie z bliska - rzeczywiście przypominało chatkę z bajki, obrośniętą pnącymi różami.*

*Lizzie od razu zobaczyła Bena, który podszedł do niej ze zrozpaczoną miną.*

*- Panno Carlisle, właśnie miałem biec po panią. Milord jest tutaj,*

*w środku.*

317

*- Wszystko z nim w porządku?*

*- Nie wiem. Nie chce mnie wpuścić.*

*Lizzie skinęła posępnie głową, podeszła do drewnianych drzwi i otworzyła je ostrożnie. Skrzyknęły, zdradzając nieproszonych gości.*

*- Zostaw mnie w spokoju, Ben! - dobiegł z wnętrza głos jej ukochanego. Ryczał gniewnie jak zraniony lew.*

*Lizzie obejrzała się ze strachem na lokaja. Ben wzruszył ramionami*

*i potrząsnął głową.*

*Odetchnęła głęboko, by odpędzić ogarniający ją strach, otworzyła*

*drzwi szerzej i ostrożnie zajrzała do środka.*

*- To ja, najmilszy! Gdzie jesteś? - Wślizgnęła się do wnętrza i zamknęła drzwi za sobą. - Devlinie!*

*Żadnej odpowiedzi.*

*Zapuszczając się coraz głębiej, zwróciła mimo woli uwagę na kolorowe, wesole ściany i proste drewniane sprzęty. Półki z książkami, fortepian, robótka, pusta klatka dla ptaków. Porcelanowe figurki na stoliku.*

*Kompozycje z suszonych kwiatów w owalnych ramkach.*

*Wnętrze pachniało stęchlizną. Wszystko pokrywała gruba warstwa*

kurzu.

Zajrzawszy do saloniku, zobaczyła Devlina. Klęczał bez ruchu na

dywanie, wpatrując się niewidzącym wzrokiem w dziecienną lamigłówkę, ułożoną do połowy na podłodze.

- Och Devlinie!

Popatrzył na nią przeciągle, oczy miał pełne łez.

Szeleszcząc muślinową spódnicą, podbiegła do niego przez cały pokój. Sama też z trudem powstrzymywała się od płaczu.

- Kochanie!

Położyła mu rękę na ramieniu, a potem pogładziła go po głowie,

pragnąc z całego serca złagodzić ból w jego oczach.

Nie zareagował od razu, nie podniósł się z klęczek. Wydawał się taki

zagubiony. Potem objął ramionami jej biodra i ukrył twarz w jej spódnicy.

Przez długą chwilę tuliła go w objęciach, pocieszając go pieszczotliwym dotykiem, szepcząc słowa miłości... choć wiedziała, że żadne słowa nie ukoją takiej rozpacz. Mogła jedynie przygarnąć go do siebie i modlić się, by jej miłość okazała się wystarczającą pociechą.

318

Nagle odsunął się od niej. Unikał jej wzroku, a gdy przemówił, głos

jego był dziwnie zdławiony.

- Muszę ci coś powiedzieć. Coś tak potwornego, że nie wiem, czy

potrafię to wyrazić. Ale zanim się pobierzemy, chcę, byś poznała ten

ostatni sekret. Najstraszliwszy ze wszystkich.

Pochyliła się i pocałowała go w głowę.

- Nic, co mi powiesz, nie zmieni mojej miłości do ciebie.

Devlin wstał i wpatrywał się w nią przez dłuższą chwilę. Jego wyrazista twarz była blada i pełna napięcia, usta zaciśnięte w posępną, wąską linię. Potem odwrócił wzrok i utkwił go w pustym kominku. Przymknął



oczy i zmusił się do wypowiedzenia tych słów.

- Och, Lizzie! - szepnął. - To moja wina, że zginęli!

Ze spokojem przyjęła to nieprawdopodobne wyznanie.

- Jak to możliwe, Devlinie? Opowiedziałeś mi przecież ubiegłej nocy o ludziach, którzy wzniecili pożar!

Z wysiłkiem otworzył oczy i spojrzał na nią. Był w nich bezmiar niemej rozpacz.

- Wyglupiałem się na uniwerku. Przyłapali mnie na tym. - Z goryczą pokręcił głową, zdawał się wpatrywać w coś odległego o tysiące mil.

- To była głupota! Z innymi chłopakami uciekliśmy z wykładów, żeby grać w bilard w gospodzie. Miałem wtedy siedemnaście lat. Wszyscyśmy sobie podchmielili, świętując ostatnie wielkie zwycięstwo Nelsona.

Właśnie dotarła do nas wieść o bitwie pod Trafalgarem.

Serce jej krwawiło. Mówił z taką powagą. Oddalił się o kilka kroków, podchodząc do kominka.

- Potem zjawili się trzech pomocników proktora. Stróżę porządku!

Tropili wagarowiczów. No cóż! Przyłapali mnie i moich przyjaciół. Próbowali zaciągnąć nas na zajęcia. Zaczęłam się wyrywać. - Przez dłuższą chwilę milczał ze zwieszoną głową. - Wypiłem kilka piw. Uderzyłem

jednego z tych ludzi w twarz. Ubrdałem sobie, że wyraził się bez szacunku o lordzie Nelsonie.

- Och, mój kochany! - wyszeptała Lizzie.

Łzy napłynęły jej do oczu, gdy wreszcie zrozumiała, jak straszliwie

zadręczał się przez te wszystkie lata. Teraz jego obsesyjne pragnienie zemsty stało się jeszcze bardziej zrozumiałe. O ileż prościej było oskarżać tamtych, niż dźwigać na własnych barkach całe brzemie winy!

- Kiedy oprzytomniałem - mówił dalej - znajdowałem się w siedzibie dziekana i groziło mi

wydalenie. Powiadomiono o tym mojego ojca.

*Ale rodzice nie posłali kogoś ze służby, żeby zabrał mnie do domu. O, nie!*

*Doskonale sobie wyobrażam, co się wydarzyło, gdy otrzymali zawiadomienie od dziekana. Matka z pewnością chciała wygarbować mi skórę.*

*Ojciec, jak zawsze, starał się ją ułagodzić. Tłumaczył bez wątpienia, że to był z mojej strony tylko chłopięcy wybryk. A mała Sarah układała na pod*

*łodze łamigłówkę... Żeby chociaż jej nie zabrali ze sobą! Przynajmniej ona pozostałaby przy życiu. A tak jestem odpowiedzialny także i za jej śmierć.*

*- Nie jesteś za to odpowiedzialny, Dev! - zapewniała go żarliwie.*

*Zdawał się jej nie słyszeć.*

*- Posłuchaj mnie!*

*Chciała podbiec ku niemu, ale powstrzymał ją gestem ręki.*

*- Zajazd Pod Złotym Bykiem znajduje się w połowie drogi pomiędzy Oakley Park i Oksfordem. Zatrzymali się tam, by zjeść obiad i żeby konie wypoczęły. Och, Lizzie! Gdybym tamtego dnia poszedł jak należy*

*na wykłady, oni nadal by żyli!*

*- Nie, Devlinie, nie! - szeptała z płaczem. - To nie twoja wina, najmilszy!*

*- Właśnie, że moja. Nie płacz!*

*Oczy miał suche, ale była w nich pustka, gdy podawał Lizzie swoją chusteczkę.*

*- Wkrótce to wszystko się skończy.*

*Poczuła jak narasta w niej lęk.*

*- O czym ty mówisz?*

*Pogładził ją delikatnie po policzku.*

*- Te lotry zamordowały moją rodzinę - szepnął. - Ale prędszej zaprzędam duszę diabłu, niż pozwolę, by odebrały mi również ciebie!*

*Wyczytała w jego oczach tyle nienawiści, że dreszcz przebiegł jej po*

*plecach.*

*- Nie rozumiem...*

*- Nie musisz tego rozumieć - powiedział łagodnie. Ale pod tą łagodnością było w jego półprzymyślnym spojrzeniu coś nieubłaganego.*

*- Czy naprawdę to, co ci powiedziałem, nie zmieniło twoich uczuć do mnie? Nadal chcesz za mnie wyjść?*

*Wzdrygnęła się na myśl, że mógłby w to wątpić.*

320

*- Oczywiście, że za ciebie wyjdę. To niczego nie zmienia!*

*Dopiero teraz zdobył się na słaby uśmiech.*

*- Co za ulga! W takim razie wszystko w porządku. Chodźmy! -*

*Wyjął złożony papier z kieszeni kamizelki. Było to specjalne pozwolenie na bezzwłoczne zawarcie małżeństwa. - Gotowa jesteś?*

*Zrobiła wielkie oczy. W głowie jej się kręciło od tego wszystkiego.*

*- Mielibyśmy się pobrać, tak od razu?*

*Wzruszył ramionami.*

*- Dlaczego nie? Mam obrączkę.*

*Sięgnął do innej kieszeni, wyjął błyszczące złote kółeczko i pokazał je Lizzie.*

*- Postarałem się o wszystko.*

*- Ależ Dev! - Spoglądała to na obrączkę, to na jego piękną twarz,*

*nie wiedząc, czy śmiać się, czy też go udusić. Ach, ci mężczyźni! - Kochanie, jak mogłabym wyjść za mąż bez Jacindy? Nigdy by mi tego nie wybaczyła! Tak samo Bel, Alice, Miranda... I chcę, żeby Robert poprowadził mnie do ołtarza!*

*Devlin zeszywniał.*

*- Ach tak? Cała rodzina Aleca!*

- *To przecież moi przyjaciele! Nic nie rozumiem, Dev. Po co ten pośpiech?*

*Nie odpowiedział, tylko złożył dokument i schował do kieszeni.*

*Spoglądając na niego coraz bardziej podejrzliwym wzrokiem, Lizzie wzięła się pod boki.*

- *Przyznaj się, co ci chodzi po głowie!*

- *Po prostu chcę mieć to jak najszybciej z głowy.*

- *Chcesz mieć to z głowy?! - oburzyła się.*

- *Ależ nie ślub z tobą, Lizzie! Chodzi mi o całą resztę.*

*Odszedł kilka kroków, niespokojny i nachmurzony.*

*Odwróciła się i obserwowała go uważnie.*

- *O jaką całą resztę, Dev?*

- *Słyszałaś, co mówiłem. Nie pozwolę cię skrzywdzić!*

*Kiedy spojrzał na nią z ukosa, przypomniała sobie opowieści lady*

*Strathmore o licznych walkach, w których brał udział - na pustyni,*

*w skalnych kanionach, na morzu... Bóg jeden wie, do czego był zdolny,*

*gdy gniew i nienawiść kipiały mu we krwi!*

*21 - Ukochana diabła*

*321*

- *Opowiedz mi o tym - poleciała drżącym głosem. — Teraz, natychmiast!*

*Zdawał się zastanawiać nad tym, ile jej może powiedzieć.*

- *W tej chwili jesteś bezpieczna - przyznał. - Udało mi się przekonać ich, że nic dla mnie nie znaczyysz. Ale kiedy się pobierzemy, zorientują się, jak bardzo cię kocham. Staniesz się głównym celem ich ataków.*

- *Mówisz jak obłąkany!*

*- Zamordowali moją rodzinę. Nie mogę pozwolić, żeby zaatakowali ciebie. A zrobią to z pewnością, gdy pojmą, ile o nich wiem. Zrobią wszystko, by zatrzeć ślad własnych zbrodni. Już tego dowiedli. Myśla*

*łem, że zrezygnuję z ciebie, oddam cię Alecowi, żebyś była bezpieczna*

*— dodał nieobecny głosem. - Ale nie mogłem się cię wyrzec!*

*- Nie kocham Aleca. Kocham ciebie! I nie życzę sobie, żebyś tak*

*postępował!*

*- Ja też cię kocham. I właśnie dlatego muszę to zrobić. - Podszedł*

*do niej i starał się ją uspokoić pieszczotliwym dotknięciem. - Pobierzemy się, a potem rozprawię się z nimi ostatecznie. Wrócę po kilku dniach, jeżeli wszystko pójdzie dobrze.*

*- A jeżeli nie? -jęknęła.*

*Cała krew odpłynęła jej z twarzy.*

*- Jeżeli nie... będziesz miała ten dom, pieniądze, moje nazwisko*

*i tytuł. A jeżeli Bóg pozwoli, to i moje dziecko w łonie.*

*- Nie! - Serce jej biło jak szalone. - Nie, Devlinie! Nie pozwolę ci*

*na to! Ich jest zbyt wielu!*

*- Już to sobie przemyślałem. Mam przecież pawilon. Kiedy wszyscy się w nim zbiorą i będą pijani w sztok, razem z moją załogą z „Katie Rose” zatarasujemy okna, pozamykamy drzwi i zrobimy z tymi bydlakami to, co oni zrobili z moją rodziną!*

*- Chcesz zabić wszystkich? - spytała bez tchu. - Niewinnych razem z winnymi?*

*- Żeby obronić ciebie, zrobię to bez wahania - odparł.*

*- Nie!*

*- Lizzie, muszę ich pokonać!*

*- Więc udaj się do przedstawicieli prawa! Powiedz im o tym, co*

*wiesz.*

*- Dlaczego mieliby mi uwierzyć?*

*- Jesteś przecież lordem!*

*- Jest nim również Carstairs. I Randall. I Staines. I cała reszta tej plugawej bandy, Lizzie! Wszelkie dowody, jakimi dysponuję, są zaledwie pośrednie. A poza tym, to moja prywatna wojna!*

*Spojrzała na niego z przerażeniem.*

*- Ty naprawdę chcesz to uczynić. Dobry Jezu!*

*Podniosła rękę do ust. Serce jej waliło na trwogę.*

*Devlin nie odpowiedział. Skrzyżował ramiona na piersi i patrzył na nią, a z oczu wyczierała mu chciwa walki bestia.*

*Lizzie zrobiło się słabo, gdy uświadomiła sobie, jak głęboki mrok panuje w jego duszy.*

*Próbowała uspokoić mocno bijące serce.*

*- Zabicie tych ludzi nie uleczyłoby twojego bólu, Devlinie. Stałbyś się tylko takim samym potworem jak oni. Nie dopuszczę do tego!*

*Wzruszył ramionami.*

*- Jak mnie powstrzymasz?*

*- Jest pewien sposób. - Z trudem przełknęła ślinę. - Nie wyjdę za ciebie!*

*Jego oczy zwężyły się, gdy rozważał jej słowa.*

*- Nie groź mi w taki sposób - ofuknął ją łagodnie. - Po tym, co się wydarzyło ostatniej nocy, byłabyś skompromitowana!*

*- Lepiej, żebym była skompromitowana, niż żebyś ty stracił życie!*

*- Do diabła z moim życiem! - ryknął nieoczekiwanie.*

*Zaparło jej dech. Cofnęła się o krok.*

*Wyrzucił ręce w górę.*

*- Czy myślisz, że mógłbym żyć szczęśliwie razem z tobą, kiedy mam na rękach krew moich rodziców i siostry?! Moje podłe życie może mieć tylko jeden cel, zemstę!*

*- A miłość? - spytała cicho. - Powiedziałeś, że mnie kochasz.*

*- Bo kocham! I właśnie dlatego muszę cię ocalić!*

*To ja muszę cię ocalić, kochanie, pomyślała. Przed samym sobą!*

*- Jeśli się nie pobierzemy, nic mi nie zagraża, prawda? W takim razie nie będziesz musiał zostać mordercą.*

*- Już jestem mordercą - odparł głucho.*

*- Byłeś tylko nieznośnym chłopcem! - odparowała z gniewem.*

*Potrząsnęła głową i rzuciła mu stanowcze spojrzenie.*

323

*- Znajdziesz mnie w Londynie, gdy wróci ci rozsądek!*

*- Lizzie!*

*Rzucił się za nią i chwycił ją za ramię, ale go odtrąciła.*

*- Lizzie, wracaj natychmiast! Nie możesz mnie opuścić! Lizzie!*

*Choć zdobyła się na to z najwyższym trudem, nie zważając na niego, odeszła i nawet się nie obejrzała.*

*Lizzie go opuściła.*

*Dev przedzierał się przez leśną gęstwinę, idąc bez celu jak wówczas, gdy był jeszcze chłopcem. Nie zwracał uwagi na kolące krzewy. Serce mu waliło, krew kipiała w żyłach. Przeskakiwał przez omszałe pniaki i rozpadliny. Uwiesił się na gałęzi i złamał ją, a potem tłukł nią o pień drzewa z bezsensownym, nieartykułowanym krzykiem.*

*Nie uspokoiło to szaleńczego gniewu, który ogarnął Devlina po odejściu Lizzie. Na szczęście nie widziała go w takim stanie: bez tchu, wściekłego, niemal obłąkanego z udręki. Jako chłopak topił swój ból w alkoholu, potem błąkał się po całym świecie. Widział tyle osobliwości, przeżył tyle przygód. Ale nigdy nie był szczęśliwy. Dopiero z Lizzie - ale teraz i ona odeszła. Prawdę rzekłszy, było mu to w pewnym sensie na rękę. Jeśli Lizzie odwróciła się od niego, to nie miał po co żyć. Nic go tu już nie trzymało. Nic nie stało na przeszkodzie krwawej rzezi.*

*Dotarł na szczyt wzniesienia, skąd widać było łąkę. Ciężko dyszał, pot spływał mu po twarzy. Właśnie tu, wśród zieleni traw, w pobliżu pięknego stawu, znajdował się grobowiec.*

*Widok był pełen spokoju.*

*Rodzinne mauzoleum zbudowano na kształt niewielkiej białej świątynki. Płonął tu znicz we dnie i w nocy, ku ich pamięci.*

*To ja powinienem tu leżeć. Nie oni!*

*Nie odwiedzał tego miejsca przez długich dziesięć lat. Ale teraz ból nie mógł już być większy - szedł więc w odrętwieniu jak we śnie. Wspiął się po trzech niezbyt wysokich stopniach i dotknął rozgrzanego słońcem marmuru.*

*Przylgnął do nagrobka i z jego gardła wydarł się zdławiony szloch.*

*Obejmując kamień rękoma, osuwał się powoli po gładkiej białej ścianie, aż zwinął się w kłębek pod zakurzoną kolumnadą, wstrząsany płaczem,*

*który dusił w sobie przez dwanaście długich, samotnych lat. Błagał cienie swych ukochanych, by mu wybaczyły.*



*Ben odwiózł Lizzie do najbliższego zajazdu, sprzed którego odjeżdża*

*ły dylizanse. Kupiła tam bilet i powróciła do Londynu. Zjawiła się w willi Jacindy i, nękana straszliwymi bólami głowy, zastanawiała się, jaki będzie następny ruch Devlina. Z coraz większą niecierpliwością i rozpaczą czeka*

*ła na wieści od niego, nieustannie powtarzając sobie, że postąpiła słusznie.*

*Mimo to nie potrafiła zapomnieć o tym wszystkim, co porzuciła.*

*Nie miała jednak innego wyjścia.*

*Spoczywała na szeszlengu w saloniku, czytając coś, a raczej bezskutecznie usiłując zmusić się do czytania, gdy maj ordomus Jacindy stanął*

*w drzwiach i oznajmił jej, że ma gościa.*

*Nigdy jeszcze nie zerwała się z takim pośpiechem. W mgnieniu oka*

*była na nogach i wbiegła do frontowego holu. I tu zatrzymała się nagle,*

*omal nie tracąc równowagi. To nie był Devlin!*

*- Daisy?*

*Na progu stała jej uczennica o długich, złotych lokach. Nerwowo*

*ściskała w rękach swój woreczek. Była sama. Ani śladu przyzwoitki!*

*Na widok Lizzie wielkie niebieskie oczy dziewczynki napętniły się*

*łzami.*

*- Och, panno Carlisle! To takie straszne! Nie wiedziałam, do kogo*

*zwrócić się o pomoc! - zaczęła z płaczem Daisy. - Całe moje życie rozpadło się w gruzy! Sorscha do mnie napisała. Wspomniała mi w liście, gdzie można panią znaleźć. Ją samą matka za kilka dni zabiera do Irlandii, ale zapewniła mnie, że pani będzie wiedziała, co robić.*

*- No, no, moja kochana! Cóż się takiego stało, na litość boską?*

*Lizzie pospiesznie podeszła do dziewczynki i objęła ją, rada, że może*

*zająć się cudzymi kłopotami, zamiast myśleć o własnych zmartwieniach.*

*Wkrótce wprowadziła Daisy do salonu i poczęstowała ją herbatą.*

*- Wszystko będzie dobrze, kochanie. Co się stało?*

- Tatko zaręczył mnie z okropnym starym dziadem!

- Doprawdy?

- Tak! Całe moje życie zmarnowane! I nie wezmę nawet udziału

w londyńskim sezonie. Ale tatko powiada, że tak będzie lepiej, bo w arystokratycznych domach i tak nie chcieliby mnie przyjmować. Mówi, 325

że oni się tylko z nas śmieją i przezywają nas b...bezczelnymi nuworyszami.

- Ależ drogie dziecko, nie jesteś niczym podobnym!

- Tatkowi zależy tylko na tym, żebym została b...baronową.

- Och, biedactwo kochane!

Lizzie uściskała Daisy i pozwoliła jej wypłakać się na swoim ramieniu. Zachowywała spokój, chociaż w głębi serca kipiała z gniewu.

Czy ojciec tej małej nie ma ludzkich uczuć? Daisy była bardzo dziecinna jak na szesnastolatkę. Dużo wody upłynie, nim dojrzeje do przyszłych obowiązków żony i matki.

- Tatko to straszny tyran. Nienawidzę go!

- Nie mów takich rzeczy, Daisy! - skarciła ją łagodnie. - Może nie

będzie to takie straszne. Czy wiesz, za kogo twój ojciec chce cię wydać?

Odpowiedź Daisy sprawiła, że krew zastygła Lizzie w żyłach.

Dziewczynka potrząsnęła żałośnie jasnymi lokami.

- On się nazywa Quentin, baron Randall. I ma czterdzieści lat!

- dodała ze zgrozą.

Od dwóch dni Dev nie oddalał się od grobowca. Nic nie jadł, od

czasu do czasu wypił łyk wody. Słońce prażyło go w dzień, w nocy wicher przywiewał chmury i deszcz siekł go po twarzy. Ale nawet wówczas nie opuszczał swoich najbliższych. Czekał na coś, co położy kres jego

czuwaniu.

Myślał o gwiazdach, rozważał tajemnice niebios i mórz, wspominał

cuda natury, która od śmierci rodziców była dlań matką, i strzegł znicza,

*który wiernie płonął ku czci jego zmarłych.*

*W najczarniejszych nocnych godzinach wpatrywał się w ten płomień, aż wreszcie poczuł, że ogień go oczyścił.*

*I dopiero wówczas zaznał dobrodziejstwa snu.*

*Kiedy się zbudził trzeciego dnia, otworzył oczy i ujrzał błękitne niebo między białymi kolumnami mauzoleum. Nic się nie zmieniło. A jednak pojął, że wstał nowy dzień, a on uzyskał przebaczenie.*

*W powiewach lekkiego wiatru Devlin wyczuwał niemal dotknięcie*

*rodziców i słyszał ich słowa: „To nie była twoja wina!”*

*Podniósł się powoli, rozejrzał dokoła i zrozumiał, że ma prawo stąd*

*odejść.*

326

*Zycie stało przed nim otworem.*

*Odetchnął głęboko, boleśnie - jak nowo narodzone dziecko, gdy*

*po raz pierwszy zaczerpnie powietrza. Słońce lśniło na powierzchni pobliskiego stawu. Na wargach Deva pojawił się znużony uśmiech, gdy przypomniał sobie, że właśnie tutaj ojciec uczył go łowić ryby. Był taki*

*dobry! To on tłumaczył mu: „Nieważne, co świat może uczynić z tobą.*

*Istotne jest to, jak ty na to zareagujesz!”*

*I oto nagle Devlin znalazł odpowiedź na swoje pytania.*

*Oczy mu rozbłyły.*

*Natychmiast zerwał się na nogi i podszedł do Bena, który czuwał*

*w pobliżu. Położył dłoń na ramieniu wiernego sługi i potrząsnął nim po przyjacielsku.*

*- Wstawaj, Ben! Jedziemy do Hertfordshire!*

*Ben ocknął się nagle.*

*- Co takiego? Dokąd?*

- Pamiętajsz jak pewnej nocy w pawilonie prosiłem cię, żebyś odwiózł do domu małą wieśniaczkę? Miała na imię Suzy. Czy trafiłbyś z powrotem do jej wsi, Stevenage?

- Oczywiście! Dlaczego pytasz?

- Miałem klapki na oczach, Ben - mruknął wicehrabia. - Nie zdo

łam udowodnić światu, co te łotry uczyniły moim najbliższemu, ale tej

dziewczynie... Boże, wiedziałem o tym przez cały czas! Musimy odnaleźć tę małą!

- Milordzie?

- Oskarżymy ich o porwanie, Ben! Za to przestępstwo również karze się śmiercią. Suzy będzie naszym świadkiem!

Podczas gdy Devlin wyruszył do Hertfordshire, w Londynie Lizzie

z dumnie uniesioną głową wmaszerowała do tętniącego życiem kantoru

pana Manninga, ojca Daisy.

W pokoju ogólnym zaafierowani kanceliści biegali we wszystkie strony, by wypełnić gromkie rozkazy, dolatujące z wnętrza gabinetu potentata węglowego.

- Jestem umówiona na spotkanie - oznajmiła Lizzie anemicznemu

sekretarzowi, który urzędował przy biurku.

- Nazwisko?

327

Podala mu je. Poprosił, by zaczekała, i wskazał jedno ze stojących

w pobliżu krzeseł. Lizzie usiadła, rozglądając się ciekawie po pomieszczeniu, gdzie wprawiano w ruch potężne koła przemysłu.

- I powiedz im pan, żeby nie nawalili z frachtem, bo pożałują!

Tęgi jegomość z bokobrodami jak kotlety, z rumianą twarzą i podbródkiem wylewającym się z nad ciasnego kołnierzyka, wychylił głowę z gabinetu i warknął:

- Następny!

Lizzie nieco pobladła, gdy sekretarz gestem dał jej do zrozumienia,

że teraz jej kolej.

*- O mój Boże! - mruknęła pod nosem, ale wstała i skierowała się*

*do gabinetu szefa firmy.*

*- A pani czego chce? Zobaczmy w książce - burknął pan Manning,*

*nie wypuszczając z grubych paluchów wyjątkowo śmierdzącego cygara.*

*-A, zgadza się, Carlisle. Widzę. No więc, czego? Z jakiegoś towarzystwa*

*dobroczywnego, co? Zamknij drzwi! - huknął do przechodzącego kancelisty. - Już dałem na szpital dla podrzutków!*

*- Nie, szanowny panie! Jestem tu w sprawie pańskiej córki.*

*Zaskoczony potentat zaprzestał niecierpliwych okrzyków, które*

*miały zapewne podkreślić, jak ważną jest osobą.*

*- Co takiego?!*

*- Przyszłam tu ze względu na Daisy. To pańska córka, nieprawdaż?*

*- No tak, Daisy. Jasne. Co z nią?*

*- Jestem... to znaczy, byłam do niedawna nauczycielką Daisy w akademii pani Hall. I muszę stwierdzić, że pańska córka jest załamana wieścią o zaręczynach.*

*Uniósł krzaczaste brwi i strzepnął popiół z cygara.*

*- Nie rozumiem. Czy to pani interes?*

*- Istotnie, nie mój... - Spuściła wzrok i doszła do wniosku, że*

*uprzejmością daleko nie zajędzie. Wypaliła więc bez ogródek: - Panie*

*Manning! Człowiek, któremu chce pan powierzyć swoje dziecko, to*

*rozpustny brutal. Ma fatalną opinię!*

*- Arystokrata! - burknął. - Wiadomo, że oni nie mają żadnych zasad. A oświadczyły tego Randalla uwolnią mnie od kosztów i kłopotów wprowadzenia mojej małej do towarzystwa. Wie pani, jak to mówią: lepszy wróbel w garści niż gołąb na dachu.*

*Lizzie spoglądała nań z niedowierzaniem.*

*- Ależ szanowny panie! Mówimy o losie pańskiej córki!*

*- A mojej, mojej! I mogę z nią zrobić, co mi się podoba. Nie zbilbym takiej forsy, panno Carlisle, żebym nie umiał kombinować. Jak kto za bardzo przebiera, zostaje z pustymi rękami! O takich jak ja, arystokraci mówią: „Bezczelni nuworysze”. Ale jak się ma pełne kieszenie złota i ładną córkę, to już jest coś! Wie pani, od jakiej roboty zaczynałem?*

*- spytał, kładąc mięsistą rękę na wydatnym brzuchu, w pozie przypominającej nieco podobizny Henryka VIII.*

*- Nie mam pojęcia, proszę pana.*

*- Od kominiarczyka! Ha! - Ze spojrzeniem wyrażającym najwyższą satysfakcję opadł na fotel. Mebel jęknął pod ciężarem. - Daisy wyjdzie za tego, za kogo jej tatuś każe, jak każda porządna panienska. Nie ma sensu rozpieszczać dziewczuchy! Życie nie obchodzi się najlepiej z delikacikami.*

*Do widzenia, paniusiu! Następny!*

*- Panie Manning!*

*- Panno Carlisle, nie mam czasu na próżne gadanie!*

*- Ale ceni się pan zbyt nisko! - ostrzegła go poufnym tonem, zanim zdążył ją wyrzucić za drzwi. - Mam rozległe znajomości w towarzystwie i zapewniam pana, że większość utytułowanych dżentelmenów cierpi na chroniczny brak gotówki. Z tak urodziwą, czarującą córką i z takim imperium, jakie pan stworzył, czemuż miałby się pan zadowalać byle baronem, kiedy równie łatwo może pan złapać hrabiego, markiza czy nawet księcia?*

*W zmrużonych oczach Manninga pojawił się chytry błysk.*

*- Księcia?*

*- Całkiem możliwe.*

*Po chwili zastanowienia potrząsnął wielką głową.*

*- Lord Randall pokazał mi plan swoich posiadłości. Jego grunty przylegają do najbogatszych w węgiel terenów w północnej Anglii. A ten głupek nie ma o tym pojęcia! Mógłbym zrobić na tym majątek!*

*Spojrzała mu prosto w oczy, podobne do paciorków.*

*- On unieszczęśliwi pańską córkę!*

*Nie ośmieliła się napomknąć o podejrzeniach Devlina, że Quint*

*Randall może być mordercą. Powiedziała jednak panu Manningowi*

329

*wystarczająco dużo, by dobrze sobie zapamiętał odrażające obyczaje członków Klubu Jeźdźców i Wozniców.*

*Kiedy skończyła, Manning siedział pogrążony w myślach. Nie był*

*całkiem przekonany, ale obiecał, że wynajmie kogoś, kto zbada przeszłość Randalla i jego tryb życia. Obiecał też, że gdy pozna wszystkie fakty, przemyśli raz jeszcze sprawę zaręczyn.*

*Lizzie dygnęła z godnością i wyszła.*

*Dwa dni później Devlin i Ben przybyli do Londynu razem z Suzy,*

*która - szeroko otwierając oczy - przypatrywała się wszystkiemu z okna*

*powozu. Dziewczyna odważnie zgodziła się wnieść oskarżenie przeciwko Quintowi i Carstairsowi na Bow Street, o ile Dev potwierdzi jej historię. Mogła być naiwną gąską, ale nawet ona wiedziała, że samo zeznanie wiejskiej dziewczyny nie wystarczy do oskarżenia parów Anglii.*

*Na szczęście miała po swojej stronie innego para.*

*Zwróciła swe wielkie łagodne oczy na Deva, szukając u niego poparcia.*

*- Mam nadzieję, że mi uwierzą, milordzie.*

*Uspokajająco pokiwał głową.*

*- Na pewno ci uwierzą!*

*Carstairs się nudził, a ponieważ taka wyprawa mogła stanowić pewną rozrywkę, zgodził się*

*towarzyszyć Quintowi do kantoru tego bezczelnego nuworysza, jego przyszłego teścia.*

*- Rad jestem, że zgodziłeś się przejrzeć umowę małżeńską, Carstairs - powiedział baron. - Nie mam głowy do liczb, a ten wieprz będzie się starał mnie wykołować.*

*- Bez wątpienia - mruknął Carstairs. Powóz dotarł do handlowo-*

*-przemysłowej części miasta. Zazwyczaj hrabia nie plamił sobie rąk*

*równie przyziemnymi sprawami, teraz jednak odezwała się w nim ciekawość. Jak też żyje ta druga, niższa połowa ludzkości? Co ważniejsze, bogaty ożenek Randalla był prawdziwym dobrodziejstwem losu - Quint*

*przestanie go wreszcie naciągać na pożyczki. Ten durny osiłek nie miał*

*nawet pieniędzy na porządnego adwokata! Hrabia z prawdziwą satysfakcją zapewnił swego towarzysza, iż żaden doradca prawny nie będzie im potrzebny.*

330

*Wspaniałe konie zajechały z fasonem przed pomalowany ciemnozieloną farbą budynek, wywołując swoim przybyciem małą sensację. Johnny zeskoczył z kozła, by opuścić metalowe schodki.*

*Carstairs, wysiadając, obrzucił go spojrzeniem pełnym aprobaty.*

*W rękę miał laseczkę z błyszczącą srebrną gałką. Quint wyskoczył z powozu tuż za nim. Obaj ruszyli chodnikiem do drzwi kantoru.*

*Hrabia polecił jednemu ze swych lokajów porozumieć się z sekretarzem Manninga, człeczyną o ziemistej twarzy. Znalazłszy się w siedzibie brudnych interesów, Carstairs wydał wargi z niesmakiem. Quint przestępował z nogi na nogę jak niecierpliwy uczeń. Po chwili hrabia uniósł brew, gdy kantorem wstrząsnął dziki ryk.*

*- Następny!*

*Sekretarz wyprysnął z krzesła i pobiegł do przyległego gabinetu.*

*- Czarujące! - oświadczył Carstairs i prychnął pogardliwie, gdy*

*„wieprz” wyjrzał z gabinetu. Był w wyjątkowo niegustownym brązowym ubraniu.*

*- A, lord Randall! - Pan Manning kiwnął głową, co miało zapewne oznaczać ukłon; zaszczyił nim Quinta i jego towarzysza.*

*- Pozwól, Carstairs, oto pan Joseph Manning. Panie Manning, to*



*mój wielki przyjaciel, hrabia Carstairs.*

*- Jak się pan ma! - burknął bezczelny nuworysz.*

*Hrabia skinął mu głową. Zdumiało go, że ten nowobogacki nie okazywał przesadnej czolobitności. Twardy gość! Spodobało mu się to.*

*- Może wejdziemy?*

*Pan Manning ruchem ręki wskazał gabinet.*

*Kiedy hrabia chciał wejść tam razem z Randallem, Manning odwrócił się i zmierzył go spojrzeniem.*

*- Wybacz pan, chciałbym pogadać z lordem Randallem na osobności.*

*Carstairs machnął niedbale ręką.*

*- Pozostawiam go do pańskiej dyspozycji.*

*Manning kiwnął głową i wszedł do gabinetu. Hrabia rzucił Quintowi spojrzenie, mówiące wyraźnie: „Nie podpisuj nic, zanim obaj tego nie przejrzymy!”*

*Carstairs przechadzał się od niechcenia po kancorze, przyglądając się bazgrzącym coś zawzięcie kancelistom i obserwując cały ten tętniący ul*

*331*

*- świat pracy, o której nie miał pojęcia. Po dziesięciu minutach doszedł do wniosku, że nie ma ochoty dłużej się z nim zapoznawać.*

*Westchnął ze zniecierpliwieniem, nie mogąc się doczekać powrotu przyjaciela, gdy nagle z gabinetu tłuszciocha dobiegł dziwny łoskot.*

*Wszyscy przerwali pracę.*

*I wówczas murami wstrząsnął wrzask rozsierdzonego Quinta:*

*- Co to ma u diabła znaczyć, „nici z wesela”?!  
- O Boże! - westchnął Carstairs, ściskając nasadę swego doskona*

*łego w kształcie nosa.*

*Dreszcz niepokoju przebiegł przez cały kantor. Carstairs zastanawiał się, czy nie należałoby interweniować, powściągnąć Quinta? Tylko on byłby w stanie tego dokonać. Powiedział sobie jednak, że ten wieprz zapewne potrafi zatroszczyć się o siebie.*

*Nikt nie musiał podsłuchiwać pod drzwiami, gdyż wszyscy wyraźnie słyszeli wrzaski.*

*- Kto nagadał takich łgarstw?!*

*- To nie łgarstwa. Mam świadków!*

*- Kto ośmielił się mnie oczerniać?!*

*- Nie twoja sprawa, kto! Kazałem cię sprawdzić, ty łobuzie! Zobacz,*

*co myślę o twoich oświadczeniach! - Carstairs usłyszał szelest rozdieranego papieru. To pan Manning przed samym nosem barona przedarł*

*umowę małżeńską. - Jesteś bydlakiem i łotrem! Nie dostaniesz mojej córki!*

*Kolejny loskot, który nastąpił po tych słowach, spowodowała pięść Łamignata. Uderzył Manninga w szczękę. Anemiczny sekretarz i pół tuzina kancelistów ruszyło na pomoc chlebodawcy. Nic to jednak nie dało, gdyż Quint na dobre się do niego zabrał.*

*- Nie pozwolę się znieważać!*

*Łup!*

*Quint strząsnął usiłujących go powstrzymać cherlaków, jak atakujący byk rozpędza gromadę upartych, acz niezbyt bojowych kundli.*

*- Powiesz, kto mnie oskarżył, do cholery?!*

*Carstairs znalazł rozsądniejsze rozwiązanie. Podeszedł do biurka sekretarza i przerzucił kilka kartek w terminarzu spotkań Manninga. Pewne nazwisko przyciągnęło jego uwagę.*

*Panna Elizabeth Carlisle.*

*Oczy mu się zwężyły, myśli pobiegły wstecz. Quint. Daisy. Szkoła, gdzie Quint po raz pierwszy zobaczył córkę Manninga. Ta dziewczyna była tam nauczycielką.*

*Panna Carlisle.*

*Przyjaciółeczka Devlina!*

*Ale dlaczego przybyła tu, by powiadomić Manninga o grzeszkach Quinta?!*

*Co Dev powiedział tej dziewczynie o Randallu? O nich wszystkich?*

*Dobry Boże!*

*Czy to możliwe, by Torquil przez cały czas miał słuszność?*

*Czyżby ich przyjaciel Devlin od samego początku ich oszukiwał?*

*Jeśli powierzał swojej kochance tajemnice Klubu Jeźdźców i Woźniców, co innego mógł jeszcze knuć za ich plecami?*

*Bóg wie, jakie były prawdziwe pobudki Devlina, ale mając tak wiele do ukrycia, hrabia nie zamierzał czekać, aż się tego dowie. I tak zbyt długo pozwalał, by zaślepiła go żądza.*

*- Dość tego, Quentin! - odezwał się rozkazującym tonem.*

*Ten cierpki rozkaz wyrwał Quinta z morderczego szatu.*

*Baron pozostawił Manninga, leżącego na podłodze, i opuścił gabinet.*

*- Chodźmy! - powiedział z zimną krwią hrabia. - Chcesz, żeby cię aresztowali, idioto? — warknął, gdy wracali do powozu.*

*- Jak ja sobie teraz poradzę bez pieniędzy?! Ten łajdak oświadczył, że nie da mi Daisy!*

- Mamy poważniejsze kłopoty - stwierdził Carstairs, spoglądając z pogardą na pociągającego z flaszki barona.

Powóz ruszył.

- Jakie znów kłopoty?

- Dev wie o wszystkim.

Lizzie spędziła całe popołudnie na beztrioskiej zabawie z dziećmi w Knight House. Gdy nadeszła pora drzemki, armia nianiek zabrała podopiecznych. I wtedy powróciły myśli o Devlinie. Z każdym dniem, z każdą godziną coraz bardziej za nim tęskniła. Była pewna, że lada chwila dostanie od niego jakąś wiadomość.

333

Jacinda udała się na zebranie jednego z towarzystw dobroczynnych, a Bel postanowiła się położyć, jako że w poważnym stanie potrzebowała wiele snu. Lizzie została sama.

Dzień był piękny, postanowiła więc przejść się trochę. Na ulicach panował duży ruch. Powozy przemykały obok niej, gdy zmierzała bez pośpiechu do księgarni na rogu ulicy. Choć niczego nie kupiła, sam pobyt w sklepie z książkami poprawił jej humor.

Ciekawa jestem, czy Devlin też tak za mną tęskni?

Miała nadzieję, że wszystko z nim w porządku.

Zatrzymała się przed witryną modystki. Podziwiając letnie kapelusze, nie zwróciła uwagi na to, że jeden z powozów zatrzymał się obok niej. Na ulicy było wiele sklepów i chętni do zakupów przez cały dzień

kręcili się w tę i z powrotem.

Nagle ujrzała w szybie dwóch mężczyzn, wysiadających z powozu.

Mężczyźni nie odwiedzali sklepów z damskimi kapeluszami!

*Serce Lizzie zamarło na sekundę. Zmrużyła oczy i ku swemu przerażeniu rozpoznała tych ludzi. Zaparło jej dech. To byli ci sami mężczyźni, którzy zajechali pod szkołę tamtego dnia, członkowie Klubu Jeźdźców i Woźniców! Nie tracąc czasu na sprawdzanie, czy się nie pomyliła, Lizzie rzuciła się do ucieczki. „Staniesz się głównym celem ich ataków!*

*Mówisz jak obłąkany, Devlinie!”*

*Lizzie biegła najszybciej, jak mogła, ale osaczyli ją z dwóch stron.*

*Gdy chciała skręcić w lewo, wielki drab z brązową czupryną zastąpił jej drogę. Gdy zawróciła w prawo, elegancki blondyn z okrutnym uśmiechem już czekał, by ją pochwyć!*

*- Ratunku! - wrzasnęła, ale kilka znajdujących się w pobliżu osób tylko spojrzało na nią ze zdziwieniem.*

*Odwróciła się więc na pięcie i wykorzystała ostatnią możliwość*

*ucieczki - wąski pasaż między zakładem fryzjerskim a winiarnią. Niestety, dotarła jedynie na ogrodzony ze wszystkich stron dziedziniec.*

*Lizzie opierała się, wierzgała, krzyczała co sił w płucach, aż w końcu*

*ciemnowłosy osiłek zatkał jej usta swą wielką łapą, przycisnął dziewczynę do siebie i zaciągnął ją do powozu.*

*Devlin spędził popołudnie, składając na Bow Street zeznania w sprawie porwania małej Suzy. Zadawano mu mnóstwo pytań, dotyczących członków Klubu Jeźdźców i Woźniców. Odpowiadał na wszystkie tak*

*dokładnie, jak mógł. Kiedy wyczerpujące przesłuchanie dobiegło wreszcie*

*końca, Dev pragnął tylko jednego. Jak najszybciej zobaczyć się z Lizzy.*

*Teraz, gdy dostosował się do jej życzeń, chciał czym prędzej opowiedzieć jej o tym, czego dokonał. Najpierw jednak wymógł na funkcjonariuszach policji przyrzeczenie, że ostrzegą go, zanim zaatakują otwarcie jego wrogów, by zdążył przedtem wywieźć Lizzie z miasta. W ten sposób mógł być spokojny o jej bezpieczeństwo, nawet jeśli jeden czy kilku z tych łajdaków pozostanie przez jakiś czas na wolności.*

*Powóz toczył się ulicami Londynu w stronę willi Jacindy w Regent's*

*Park. Dev usiłował uporać się z mieszanymi uczuciami, które ogarnęły*

*go, gdy zaniechał zemsty. Jakaś niewielka częśćka jego istoty nadal łaknę*

*ła krwi, ale serce gotowe było zapłacić każdą cenę za to, by znowu być*

*z kobietą, którą kochał.*

*Kiedy zastukał do drzwi lady Jacindy, majordomus powiedział, że*

*Lizzie udała się do Knight House, by pobawić się z dziećmi. Niezrażony*

*tą przeszkodą Devlin wsiadł z powrotem do powozu i polecił stangretowi, by go tam zawiózł. Zajęło im to pół godziny.*

*W Knight House siwowłosy majordomus poinformował go, że panna Carlisle wyszła dwie godziny temu. O ile mu wiadomo, udała się do księgarni na rogu. Dev uznał za całkiem możliwe, że Lizzie nadal*

*tam przesiaduje. Cóż znaczą dla niej dwie godziny w księgarni, pomyślał*

*z czułością.*

*Z rękoma w kieszeniach i z błogim uśmiechem na ustach Dev-*

*lin polecił stangretowi, by zaczekał na niego, i skierował się do sklepu*

*z książkami. Zajrzał tam we wszelkie kąty i zakamarki, ale nie znalazł*

*śladu Lizzie.*

*Do licha! Wyszedł z księgarni i rozejrzył się po ulicy wprawo i lewo.*

*Może Lizzie postanowiła pomyszkować w jakiejś innej księgarni? A mo*

*że wezwwała dorożkę i wróciła do willi Jacindy? Westchnął z niezadowoleniem na myśl, że ciągle ją goni i nie może doścignąć.*

335

*Będąc rozsądnym człowiekiem, udał się na St. James's Street, by*

*posiedzieć u White'a nad kieliszkiem dobrego porto. Za godzinę znów*

*poszuka Lizzie. Lekko mu było na sercu, gdy myślał, że znalazł sposób*

*na to, by spełnić jej życzenia, a zarazem dopilnować, by sprawiedliwości*

*stało się zadość. Prawdę mówiąc, był z siebie bardzo zadowolony.*

*Usiadł samotnie przy małym, okrągłym stoliku w odległym kącie*

*sali klubowej. Poprosił o gazetę i modlił się w duchu, by przypadkiem*

*nie natknąć się na Aleca Knighta. Nie był w nastroju do spotkania oko*

*w oko ze swym pokonanym rywalem. Kiedy podano mu porto, w milczeniu wzniosł toast za zdrowie*

*Lizzie, odetchnął z zadowoleniem i rozsiadł się wygodnie w fotelu, z „London Timesem” w ręku.*

*Przeglądając ogłoszenia, zastanawiał się, czy nie byłoby dobrze przed powrotem do*

*willi Jacindy kupić jakiś prezent dla Lizzie. Zawsze to lepiej, jeśli człowiek nie zjawia się z pustymi rękami, kiedy zamierza błagać o wybaczenie.*

*- A, Strathmore! Byłem pewny, że prędeej czy później zjawisz się*

*tutaj.*

*Spojrzał znad gazety na Carstairsa, który usiadł przy stoliku naprzeciw niego.*

*- Jakże się dziś miewasz, Dev?*

*- Całkiem dobrze. A ty?*

*- Wyśmienicie! - Carstairs przygryzł zębami kościany ustnik małej*

*stylowej fajeczki, nie zapalił jej jednak. - Przykro mi przerywać ci lekturę, ale musimy porozmawiać.*

- Coś się szykuje?

*Dev odłożył gazetę. Jakaś ledwo uchwytna różnica w tonie głosu*

*hrabiego zwróciła jego uwagę.*

*Carstairs wpatrywał się w niego przez dłuższą chwilę z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.*

- Mam nadzieję, że dobrze się bawiłeś w Londynie, milordzie. Ale

*najwyższy czas, żebyś stąd wyjechał.*

- Wyjechał? O czym ty mówisz?

- Doskonale wiesz - odparł Carstairs cicho i dobitnie.

*Dev skamieniał. Starał się, by jego twarz nie zdradzała żadnych*

*uczuć, ale byłby mniej przerażony, gdyby ugodził w niego pocisk armatni. Dobry Boże! Czyżby się dowiedzieli, że on i Suzy złożyli wizytę na Bow Street? A tak się starał, żeby nikt ich nie widział!*

336

- Nie rozumiem - odparł.

- Doprawdy? - Carstairs oparł łokieć na poręczu fotela i pochylił

*się ku rozmówcy. — Czy nie dostrzegłeś ostatnio braku czegoś, a może*

*kogoś bardzo ci drogiego?*

*Dev poczuł, że ziemia usuwa mu się spod nóg. Lizzie! Twarz mu*

*zszarzała, nie był w stanie zaczerpnąć powietrza.*

- Co z nią zrobiliście?!

*Carstairs uśmiechnął się pogardliwie i rozsiadł się wygodniej w fotelu, ssąc fajkę.*

- Urocze stworzonko! Nie w moim guście, przyznaję, ale ma takie

*ładne szare oczy. Szkoda by było, gdyby je straciła!*

*Dev rzucił się na niego ze zdławionym krzykiem, usiłując chwycić*

*hrabiego za gardło, choć rozdzielał ich stolik.*

- Nie radzę, Dev! - ostrzegł Carstairs, uchylając się zręcznie. - Wystarczy jedno moje słowo, a ona



*umrze.*

*- Co z nią zrobiliście?!*

*- A więc ona coś dla ciebie znaczy! Podejrzywałem to, wiesz?*

*- Gdzie ona jest?!*

*- Spokojnie! - Carstairs obejrzał się znacząco na kilku członków*

*klubu, grających w szachy po przeciwnej stronie sali. Przerwali grę i spoglądali nieżyczliwym wzrokiem na sprawców zamieszania. - Myślę, że lepiej będzie, jeśli obaj zaczniemy zachowywać się jak dżentelmeni.*

*- Nie wiesz nawet, co to słowo oznacza! — warknął Dev, ale puścił*

*hrabiego i usiadł z powrotem w fotelu. Zdał sobie sprawę z tego, że nic*

*innego nie może zrobić. Wróg miał w ręku wszystkie karty.*

*- Twoja przyjaciółka jest w tej chwili bezpieczna, tylko trochę...*

*rozdrażniona.*

*- Jeśli spadnie jej choćby włos z głowy...*

*- Na twoim miejscu nie groziłbym nikomu, mój stary! Siedziałbym*

*cicho i słuchał uważnie instrukcji.*

*W Devlinie krew zawrzała. Powstrzymał jednak swą porywczosć*

*i czekał.*

*Carstairs przez dłuższą chwilę wpatrywał się w niego. Wreszcie pokręcił głową.*

*- Mój Boże! I pomyśleć, że nie pozwoliłem Torquilowi, kiedy chciał*

*cię zastrzelić kilka tygodni temu!*

*22 - Ukochana diabła*

*337*

*- Dlaczego mu nie pozwoliłeś? - spytał wyzywająco Dev.*

*— Bo ci ufałem. To szczerza prawda - zapewnił, gdy Devlin uśmiechnął się pogardliwie. - Uznałem, że należy uważać cię za niewinnego, jeśli brak wyraźnego dowodu winy. Poza tym wiesz, że byłem*

*pod twoim wrażeniem - przyznał.. Po czym dodał, z rozmysłem drażniąc Deva niedomówieniami: - No i żał mi ciebie było po tym wszystkim.*

*- Po czym mianowicie, Carstairs?!*

*- Daj spokój, Dev! Nadużyłeś mego zaufania. Tylko ja mógłbym*

*udzielić odpowiedzi na wszystkie twoje pytania, ale zadałeś mi cios*

*w plecy, więc idź do diabła! Nawet teraz wyjdiesz z tego obronną ręką*

*tylko dlatego, że zabicie cię zwróciłoby na nas niepotrzebną uwagę.*

*Mam pewien plan. Słuchaj uważnie! Opuścisz Londyn o świcie. Udasz*

*się do portu, wsiądziesz na swój statek i odpłyniesz, Strathmore. Wszystko jedno dokąd, byle jak najdalej! Jeśli tego nie zrobisz - powiedział na koniec wyraźnie i powoli - zabawimy się z twoją przyjaciółką, zanim jej*

*urocze ciało znajdzie się na dnie Tamizy.*

*- Zgoda. Wyjadę - odparł Dev natychmiast, bardzo cicho.*

*Miał wrażenie, że zaraz dostanie torsji.*

*- I nigdy już tu nie wracaj.*

*- Nigdy więcej mnie nie zobaczysz. Możesz być tego pewien. Tylko*

*ją wypuść! Zabiorę ją ze sobą. Żadne z nas nie sprawi wam już kłopotu...*

*- Uważasz mnie za durnia, mój chłopcze?! Od razu widać, że tylko*

*na niej ci zależy! Jeśli ci ją oddam, możesz napisać list na Bow Street*

*i narazić mnie na mnóstwo nieprzyjemności.*

*A zatem nie mieli pojęcia, że był już na Bow Street. Bogu dzięki!*

*Gdyby jednak odkryli to jakimś cudem, życie Lizzie nie byłoby warte*

*złamanego grosza!*

*Uświadomił to sobie z przerażającą pewnością.*

*Jakim sposobem odgadli, że prowadził podwójną grę? Starał się być*

*ostrożny...*

*To nie miało już znaczenia.*

*Nie obchodziło go nawet, o jakich faktach, związanych z pożarem,*

*mógłby go poinformować Carstairs. Ważne było tylko jedno: bezpieczeństwo Lizzie! Dev starał się myśleć trzeźwo i nie zważać na to, że serce tłucze mu się w piersi. W ustach mu zaschło ze strachu, w żołądku*

*burzyło się porto, którego wypił raptem pół kieliszka.*

338

*- Tak więc ty wyjedziesz - powtórzył Carstairs - a panna Carlisle*

*zostanie w Anglii, gdzie będziemy mieli ją na oku. W tej sytuacji nie*

*podejmiesz, mam nadzieję, żadnych nieprzemyślanych kroków.*

*Nagle dotarło do Devlina znaczenie słów hrabiego. On miał wyjechać, ona zostanie. Dobry Boże! Rozdzielono by ich na resztę życia?! Nie potrafił wyobrazić sobie czegoś tak okropnego. Miałby żyć bez niej?*

*W jego umyśle panował chaos. Z trudem przełknął ślinę.*

*- Muszę ją zobaczyć! Muszę mieć pewność, że jest cała i zdrowa!*

*- Tylko nie próbuj żadnych głupstw, Strathmore! Naprawdę nie*

*mam zamiaru zrobić nic złego tej dziewczynie. O ile, rzecz jasna, nie*

*zostanę do tego zmuszony.*

*- Nie będę niczego próbował, przysięgam! Pozwól mi tylko ją zobaczyć. Przekonać się, że nic jej się nie stało!*

*- Przyprawdę ci ją do portu, żebyście mogli się ze sobą pożegnać*

*- wycedził Carstairs z niesmakiem. - Tylko pamiętaj, masz się zjawić*

*sam! Żadnych sztuczek, Dev, bo Torquil odstrzeli jej tę mądrą główkę!*

*- Spełnię wasze warunki. Nic się jej nie stało? Na litość boską, człowieku...*

*- Jest w znakomitej formie. Uspokój się! A teraz ani słowa nikomu!*

*Spotkamy się w porcie o piątej rano. No i widzisz? Nie było to takie*

*trudne!*

*Dev jakoś powstrzymał się od zabicia tego człowieka. Carstairs*

*wstał.*

*- Żadnych głupstw, Dev! Będziemy cię mieli na oku. A prawda,*

*jeszcze jedno. Omal nie zapomniałem. - Zatrzymał się na chwilę przed*

*odejściem. - Quint potrzebuje pięćdziesięciu tysięcy funtów. Wypisz*

*mu na nie weksel przed wyjazdem. Szczęśliwej podróży!*

*- Ale mamusiu, nie chcę wracać do Irlandii!*

*- Już ci mówiłam, Sorscha, że nasz statek odpływa jutro rano z Bristolu. Mamy już bilety. Wracamy do domu!*

*Stojąc przed toaletką i szukając czegoś w skórzanej torbie w mdłym*

*blasku świecy, Mary obejrzała się przez ramię na nadąsaną córkę, siedząca na zapakowanym kufrze obok otwartych drzwi pokoju, który miały niebawem opuścić.*

*W tym momencie zjawił się ich zwalisty lokaj, Patrick Doyle.*

339

*- Mogę to już zabrać, panienko?*

*Sorscha przytaknęła z chmurną miną, westchnęła i zsunęła się z kufra, by Doyle mógł go znieść do powozu.*

*- Poświeć Doyle'owi na schodach, dziecko! - poleciała córce Mary.*

*- Strasznie tu ciemno.*

*- Tak, mamusiu.*

*Gdy tylko dziewczynka wyszła, Mary wyjęła ze skórzanej torby*

*strzelbę. Załadowała ją ze spokojem i wprawą, wrzucając garść zapasowych naboii do pojemnej kieszeni peleryny.*

*Być może ich podróż do Anglii nie okaże się kompletną stratą czasu.*

*Zdmuchnęła świecę i wyszła z pokoju, zamykając za sobą drzwi.*

*W chwilę później przyłączyła się do pozostałych, stojących koło powozu.*

- Wszystko już załadowane? Wsiadaj, Sorscha! Muszę jeszcze zajrzeć w jedno miejsce, zanim opuścimy miasto.

Posępne spojrzenie, jakie Mary rzuciła Doyle'owi, klóciło się wyraźnie z pogodnym tonem jej głosu.

Służący dyskretnie skinął głową.

Mary wsiadła do powozu razem z córką. Doyle dobrze znał drogę do zaniedbanej kawalerskiej siedziby Quinta. Kiedy jednak przejeżdżali obok niej, w całym domu było ciemno. Mary pociągnęła za sznur, dając znać woźnicy, by zatrzymał powóz.

- Dokąd idziesz, mamusiu?

- Zaraz wrócę, kochanie. - Mary otworzyła drzwiczki powozu i szeptem przekazała służącemu kolejne polecenie. - Odwiedzimy Carstairsa.

Powóz znowu ruszył.

Gdy dotarli do znacznie wytworkniejszej dzielnicy West Endu, Mary poleciła Doyle'owi zatrzymać się przy spokojnej ulicy, w pewnej odległości od dużego, eleganckiego domu lorda Carstairsa.

- Dokąd się wybierasz, mamusiu?

- Chcę się zobaczyć z pewnym starym przyjacielem.

- A dlaczego ja nie mogę się spotkać z moją przyjaciółką?

- To ktoś szczególnie ważny, córeczko. Muszę mu oddać dawny dług.

Dziewczynka się naburmuszyła.

340

- To niesprawiedliwe! Ty możesz, a ja nie!

*- Przestań się dąsać, dziewczyno! - Ponieważ było już ciemno,*

*Mary odsłoniła twarz i ucałowała różowy policzek córki. - Zaraz wrócę,  
a potem pojedziemy do Irlandii i będziemy się tam świetnie bawić jak  
zawsze!*

*Sorscha chciała się dłużej dąsać, ale mimo woli się uśmiechnęła.*

*W chwilę później Mary przemykała się w ciemności, niewidoczna  
w swym czarnym stroju, z twarzą osłoniętą woalem. Skradała się alejką,  
biegnącą na tyłach domów, stąpając bezgłośnie po kamieniach.*

*Należący do Carstairsa elegancki dom z cegły, pokrytej kremowym*

*tynkiem, przypominał wiele londyńskich rezydencji. Mary dobrze pamiętała budynek i jego  
otoczenie, gdyż dawnymi czasy wielokrotnie bywała tu razem z Quintem. Postanowiła dostać się  
do wnętrza przez*

*ogrodzony murem ogród.*

*Sunąc końcami palców po murze, Mary dotarła do kraty porośniętej  
winoroślą, wyższej od muru i wystającej ponad nim. Kiedyś kochali się  
z Quintem pod osłoną tej kraty.*

*Podniosła ręce i uchwyciła dwa żelazne kolce, którymi zabezpieczono  
szczyt ceglanego muru, sięgającego jej do ramienia. Ostrożnie, żeby nie  
nadziać się na kolce, Mary podciągnęła się do góry i przykucnęła na murze. Z tej wysokości,  
osłonięta kratą, mogła obserwować dom i ogród.*

*Najpierw usłyszała szmer ogrodowej fontanny. Potem stwierdziła,*

*że nic się tu nie zmieniło prócz układu kwiatów na starannie utrzymanych rabatkach. Drzewa w  
czterech rogach ogrodu trochę urosły, ale stożkowate krzewy, rosnące w niewielkiej odległości od  
siebie po obu*

*stronach żwirowanego pojazdu, nie zmieniły się ani trochę.*

*Serce jej biło gwałtownie na myśl o tym, co zamierzała uczynić.*

*Przybyła do Anglii, szukając sprawiedliwości, w tej chwili jednak gotowa*

*była zadowolona z zemsty.*

*Sprawy może potoczyłyby się inaczej, gdyby Diabeł Strathmore okazał się godnym zaufania sprzymierzeńcem. Ale te nadzieje spełzły na niczym. Mary nie mogła się zdecydować, co myśli o tym człowieku od chwili, gdy włamał się do powozowni Quinta. Kiedy jednak odkryła, że uwiódł młodą, ładną nauczycielkę Sorschy, doszła do wniosku, że wicehrabia jest równie zdeprawowany, jak pozostali członkowie Klubu Jeźdźców i Woźniców.*

341

*Nawet jeśli łączyły go z Sorschą więzy krwi, nie zamierzała powierzyć przybranej córce komuś takiemu! Ale jeśli nie mogła liczyć na pomoc Strathmore'a, nie pozwoli, by Quintowi i Carstairsowi uszło*

*bezkarnie zło, które wyrządzili. Zanim powrócą razem z Sorschą do Irlandii, Mary zamierzała wyrównać z nimi rachunki.*

*Jakby się dostać do wnętrza domu? Wpatrywała się w trzy okna wykuszowe - po jednym na każdym piętrze - gdy jej uwagę przyciągnął dym z cygara, który wyraźnie wyczuła w ciepłym nocnym powietrzu. Czyżby ktoś był w ogrodzie? Jej zaniepokojone spojrzenie obieгло oplecioną pnączem kratę. Potem kątem oka dostrzegła jakiś ruch całkiem gdzie indziej.*

*Wiedziała, że Carstairs ulokował Johnny'ego w eleganckim mieszkanku nad powozownią. Po lewej, w rogu balkonu dostrzegła młodą kochankę hrabiego. Stał oparty o balustradę z bronią w ręku i cygarem,*

*zwisającym z kącika ust. Niewątpliwie czegoś strzegł.*

*Mary przestała się interesować domem hrabiego. Całą uwagę skupiła na powozowni. Jej spojrzenie pomknęło na drugi koniec balkonu i krew*

*jej ścięła się lodem, gdy spostrzegła Torquila Stainesa. Stał w identycznej pozie jak Johnny. On także pełnił straż ze strzelbą w ręku.*

*Co się tu dzieje? - zastanawiała się. W jakież to nowe ciemne sprawy się wplątali? Przeszył ją*

*spóźniony dreszcz strachu, gdy uprzytomniła sobie, że zapewne leżałaby już martwa w trawie, gdyby nie zastygła w bezruchu, poczuwszy zapach cygar, które palili obaj wartownicy.*

*W oknie przytulnej garsoniery nad powozownią świeciło się światło.*

*Mary mogła z łatwością zajrzeć do głównego pomieszczenia w apartamencie Johnny'ego. Znajdowało się ono po przeciwnej stronie ogrodu, w odległości mniej więcej dziesięciu metrów od niej. Wciągnęła raptownie powietrze przestraszona tym, co tam ujrzała.*

*Na tle okna widać było wyraźnie sylwetki Quinta i Carstairsa. Za*

*żarcie o czymś dyskutowali. Pomiedzy nimi znajdowała się dziewczyna,*

*przywiązana do krzesła, z rękoma skrepowanymi z tyłu i z zakneblowanymi ustami. Mary rozpoznała ją i się przeraziła. Panna Carlisle!*

*Wiedziała, do czego ci ludzie są zdolni. Wiedziała też, że musi pomóc dziewczynie!*

*Wyjęła z kieszeni drugą kulę, by mieć ją pod ręką i móc szybko*

*wystrzelić po raz drugi. Potem wzięła do ręki strzelbę i oparła jej lufę*

*o kratę, oplecioną pnączem. Doszła do wniosku, że Quintem zajmie się*

342

*później. Kiedy stracą przywódcę, nastąpi zamieszanie. Obrawszy starannie swój cel, Mary wymierzyła prosto w jasną głowę Carstairsa.*

*Sprężyła się - przygotowała na to, że broń ma silny odrzut - i wypaliła.*

*Knebel zagłuszył krzyk Lizzie, gdy szyba w oknie się rozprysnęła.*

*Dziewczyna odskoczyła tak gwałtownie, że drewniane krzesło, do którego była przywiązana, przewróciło się, a ona sama - przerażona - wylądowała na podłodze, leżąc na boku.*

*Zapanował chaos, krzyki rozlegały się wewnątrz pokoju i dolatywały*

*z zewnątrz.*

*Choć trwało to zaledwie chwilę, Lizzie się wydawało, że cały rok*

*leży tak bezradna, nie mogąc podnieść się o własnych siłach. Poczula,*

*że z tyłu, za plecami, coś ją boleśnie kłuje w dłoń. Kawalek szkła z rozbitego okna. Zacisnęła na nim palce. Łzy bólu napłynęły jej do oczu, ale odpędziła je energicznym mruganiem. Nie zważając na skaleczenia*



*i strumyczek krwi, ciekący po wnętrzu dłoni, wykorzystała ostrze do przecięcia linki, którą związano jej ręce.*

*- Sukinsyn! - wrzasnął Carstairs, przeciągając ręką po skroni, którą drasnęła przelatująca kula.*

*Mary ponownie załadowała broń. Tym razem chłodno obrała sobie za ofiarę Torquila. Kiedy starała się skoncentrować, by mimo ciemności oddać celny strzał, nie spostrzegła, że Johnny zszedł cichutko po schodach i, okrążając bezszelestnie ogród, podkraść się ku niej.*

*Mierzyła w pierś Torquila i miała już pociągnąć za spust, gdy młody chłopak krzyknął:*

*- Stój!*

*Odwróciła się błyskawicznie, celując w niego... i zastygli tak w bezruchu niczym żywy obraz, mierząc do siebie nawzajem.*

*- Nie ruszaj się! - ostrzegł ją Johnny. - Tutaj, Torq!*

*- Trzymaj go!*

*- To nie żaden on! - odkrzyknął Johnny, spoglądając na Mary z jeszcze większą nieufnością.*

*Torquil już zmierzał w ich stronę. Mary wiedziała, że kiedy Staines tu dotrze, będzie po niej.*

343

*- Puść mnie, Johnny! - powiedziała spokojnie.*

*- Znasz mnie?*

*- Kiedyś próbowałam ci pomóc.*

*Odsłoniła twarz.*

*Oczy mu się rozszerzyły.*

*- Jezu Chryste!*

*Opuścił strzelbę.*

*Mary odwróciła się, by strzelić do Torquila, który biegł ku nim, ale on się pochylił i znikł za niskim murkiem wokół fontanny.*

*- Nie strzelaj! - wrzasnął Johnny do Torquila. W tej samej chwili*

*Quint otworzył na oścież drzwi i wypadł przez nie. - Nie strzelaj, powiadam!*

*- Strathmore! - ryknął z furią Quint.*

*- To nie Strathmore! Nie strzelać! - Johnny opuścił Mary, pozwalając jej wymknąć się, i popędził w stronę powozowni. - To panna Highgate!*

*- C....coś ty powiedział?!*

*Mary usłyszała pytanie Quinta w chwili, gdy zeskakiwała z ogrodowego muru.*

*Załadowała ponownie broń i dreszcz trwogi przeleciał jej po grzbiecie, gdy nocną ciszę zamącił gromki ryk Randalla:*

*- Ginny!*

*Carstairs zaklął z niedowierzaniem na dźwięk znienawidzonego*

*imienia. Lizzie nie zwróciła na to uwagi, zmagając się ze swoimi więzami. Z rękoma ukrytymi z tyłu cięła linkę odłamkiem szkła. Czowała, jak jedno po drugim pękają poszczególne włókna.*

*- Wracaj, Quint! - krzyknął Carstairs, ale baron popędził już w noc.*

*- Niech to szlag! Johnny!*

*- Pobiegł z Quintem. Ścigają Ginny. - Torquil wrócił do pokoju.*

*Lizzie, nadal leżąc na podłodze, spoglądała ze strachem, jak mijające ją*

*buty miażdżą odłamki szkła. - Nie mogę uwierzyć, że ta suka żyje!*

*- Długo nie pożyje!—warknął Cartairs.*

*- Quint nie pozwoli ci jej tknąć!*

*- Będzie musiał się z tym pogodzić. Rozumiesz, co to znaczy?*

*Torquil skinął głową.*

- Ze ona i Strathmore działają wspólnie.

- W tych okolicznościach nie wystarczy pozbyć się go z Anglii.

- Nie musisz mówić więcej - mruknął Torquil i przystanął, by przyłożyć broń do żeber Lizzie. - Ona też chyba nie będzie nam już potrzebna.

Lizzie jęknęła cichutko.

- Idź, zabij Deva - polecił mu Carstairs, wyjmując wielki sztylet, który miał w pochwie u boku. - Zadam jej jeszcze kilka pytań. Może się okaże bardziej rozmowna, jeśli Dev spotka się z Panem Bogiem!

Torquil rzucił mu z ukosa twarde spojrzenie.

- Założę się, że teraz żałujesz, że mnie wcześniej nie posłuchałeś, cholerny zgniłku!

- Rób, co mówię! - warknął hrabia.

Torquil wydał groźny pomruk i zniknął.

Lizzie poczuła, że kolejne włókienko jej więzów pęka. Pisnęła, kiedy Carstairs jednym szarpnięciem podniósł jej krzesło z ziemi.

Stanął w rozkroku i pochylił się nad nią tak, że ich oczy znalazły się na tym samym poziomie. Uśmiechnął się złowróżbnie.

- A teraz, panno Carstairs, nastąpi, niestety, pewna zmiana planów.

Możesz mieć o to pretensję tylko do swego kochanka. Obawiam się, że musisz umrzeć. Czy będzie to śmierć powolna i okrutna, czy szybka

i dość lekka, zależy tylko od ciebie. Pozwól, że wyjaśnię sytuację. Nikt ci już nie przyjdzie z pomocą, słyszysz? Twój kochany Dev w ciągu godziny będzie trupem. Możesz więc równie dobrze nam się przysłużyć.

O, przysłużę się wam, a jakże!

- Uff! - Stęknął, gdy kopnęła go z całej siły w krocze. - Suka! - wykrztusił dziwnie piskliwym głosem, waląc się na podłogę.

Lizzie zerwała się z krzesła, zrywając kilka ostatnich włókien pętającej ją linki. Wyrwała knebel z ust. Wybiegła z pokoju, pozostawiając Carstairsa zwiniętego w kłębek na podłodze i skręcającego się z bólu. Mimo

drżących nóg popędziła schodami na dół i z bijącym sercem skryła się w ciemności. Spoglądała to w lewo, to w prawo, nie wiedząc, dokąd biec.

Wysoki mur otaczał cały ogród. Nie widziała żadnej furtki.

- Panno Carlisle! - szepnął jakiś głos. - Tędy!

Zmrużyła oczy, spojrzała w stronę kraty, okrytej pnączem i dostrzegła sylwetkę kobiety z zasłoniętą twarzą. Boże wielki! Pani Harris?!

345

Przypomniała się jej nocna rozmowa w powozie z Devem. Oczy jej się rozszerzyły, pojęła wszystko. Dobry Boże! Jej pani Harris była tą samą Mary Harris, której poszukiwał Devlin! To aktorka, Ginny Highgate!

Ona żyje!

Lizzie pobiegła w stronę kobiety w czerni. Pani Harris wyciągnęła rękę i pomogła jej wspiąć się na mur.

- Uwaga na kolce! Quint i Johnny są tuż za rogiem! - szepnęła pośpiesznie. - Udało mi się wymknąć dosłownie cudem!

- Pani Harris, Carstairs jest nadal w domu - ostrzegła ją Lizzie.

- Lepiej zbierajmy się stąd, i to jak najszybciej. I proszę mi mówić

Mary, to wystarczy. Chodźmy, mój powóz czeka w pobliżu!

Wdowa otuliła się peleryną i puściła się biegiem.

Lizzie była tuż za nią. Obie starały się biec jak najciszej w stronę stajni.

- Ginny!

*Jeszcze jeden obłąkańczy ryk Quinta zagrział w alejce.*

*Mary chwyciła Lizzie za rękę i obie przyłgnęły do muru.*

*- Czego on od pani chce, Mary?*

*- Byliśmy kiedyś kochankami.*

*- Wszyscy myśleli, że pani już nie żyje...*

*- Wiem.*

*- Musimy ostrzec Devlina. Wysłali Stainesa, żeby go zabił!*

*- Zabił?! - powtórzyła z goryczą Mary. - Przecież jest jednym z nich!*

*- Nieprawda! Dev przez cały czas tylko udawał! Usiłował się dowiedzieć, co stało się z jego rodziną tamtej straszliwej nocy. Pani to wie, prawda? Musi mu pani powiedzieć! Chodźmy, trzeba mu pomóc!*

*- Ginny! Ginny! To ja, Quint! Muszę cię zobaczyć!*

*- Wątpię, czy chciałbyś mnie teraz oglądać, skarbie - mruknęła gorzko pod nosem, wpatrując się w ciemność. - Chodźmy, panno Carlisle!*

*Diabeł Strathmore musi radzić sobie sam! Może pani jechać ze mną, ale*

*przede wszystkim chodzi mi o Sorschę. Jest w większym niebezpieczeństwie, niż się pani zdaje!*

*- Mary! Wciągnęła pani w to swoją córkę?! - zgorszyła się Lizzie.*

*- Przyda mi się pani pomoc - mówiła żywo Mary, nie zwracając*

*uwagi na słowa Lizzie. - Carstairs się nie uspokoi, póki mnie nie zabije!*

346

*Dowiedzieli się, że żyję, ale nie mają jeszcze pojęcia o Sorschy. Mała nie pamięta pożaru, ale oni tego nie wiedzą! Carstairs się o to postarał, żeby wszyscy świadkowie zginęli. Gdyby mi się coś stało, musi pani zawieźć*

*Sorschę do Bristolu i wsadzić na statek. Bilety mam w tej torbie. Gdy już*

*będzie bezpieczna, może się pani skontaktować z jej bratem.*

*- Z jej bratem? - szepnęła Lizzie bez tchu, zwracając się do Mary ze*

*zdumieniem. - Dobry Boże! Więc to... Sarah?*

*- Ginny! Chcę tylko z tobą pomówić!*

*Słyszały ciężkie kroki Quinta, biegnącego alejką, a obok nich lżejsze, szybsze kroki Johnny'ego.*

*- Chodźmy, szkoda czasu! Tędy, do mojego powozu!*

*Lizzie spostrzegła czekający na ulicy pojazd - czarny i lśniący, jakby przyczajony w blasku księżyca. Na koźle stał woźnica ze strzelbą w ręku.*

*- Doyle ich powstrzyma - wyjaśniła Mary. - Szybko!*

*Kiedy tylko Carstairsowi udało się wstać, chwycił dubeltówkę ze*

*swej kolekcji broni i z trudem wyszedł na dwór, lekko kulejąc. Łaknął*

*krwi. Z alejki na tyłach domu dolatywały wrzaski Quinta, przyzywającego tę cholerną Ginny. Hrabia udał się więc w tamtym kierunku. Opuścił*

*ogród w samą porę, by spostrzec obie kobiety, pędzące w stronę skweru.*

*Johnny i Quint biegli za nimi.*

*Dostrzegł też powóz i uzbrojonego woźnicę.*

*Wystrzelił.*

*Stangret zwałił się z kozła na ziemię. Ginny Highgate krzyknęła.*

*Hrabia poznał ją po głosie. Słyszał już jej krzyki.*

*Przysłuchując się histerycznym wrzaskom, załadował powtórnie*

*broń i pokuśtykał w stronę stajni, podczas gdy Quint i Johnny biegli*

*w stronę powozu.*

*- Zbliżają się! - Czysty, mocny kobiecy głos przebił się przez szlochy Ginny, oplakującej służącego. - Zostaw go, Mary, on nie żyje. Wsiadaj do powozu, natychmiast!*

*Carstairs zmrużył oczy, gdy przyjaciółeczka Deva wdrapała się na*

*koziół i chwyciła za lejce. Powóz ruszył w momencie, gdy Quint podbiegł z wyciągniętymi rękoma, by go zatrzymać.*

*Potężne, ale puste ramiona opadły bezradnie.*

347

*- Za nimi! - zawył baron.*

*Carstairs uśmiechnął się zimno, gdy kobiety okrążyły skwerek i skierowały się na zachód. Chcesz się ścigać z Klubem Jeźdźców i Woźniców, panienko?!*

*- Pędź sobie, pędź! - szepnął urągliwie, spoglądając za oddalającym się powozem.*

*Potem wykręcił się na pięcie i pomaszerował po swoją kariolkę, warknąwszy na Quinta i Johnny'ego, żeby się pospieszyli.*

*Dev miotał się pomiędzy sypialnią i garderobą, wrzucając rzeczy do kilku kufrów podróżnych. Ręce mu nieustannie drżały, miał skurcze żołądka. Był ponury, wściekły i spięty - cały wibrował, niczym ostrze po morderczym ciosie. Milczał jednak, zaciskał wargi i obmyślał plan działania.*

*Nie było to wcale łatwe.*

*Ben starał się wprowadzić spokój i ład w pakowanie. Ale na próżno, Dev dopiero teraz się przekonał, czym jest prawdziwy strach. Nigdy dotąd nie lękał się do tego stopnia o życie innej ludzkiej istoty. Gdziekolwiek się w tej chwili znajdowała Lizzie, wiedział, że jest śmiertelnie przerażona. Pragnął tylko jednego, zamknąć ją w ramionach i zapewnić,*

*że wszystko będzie dobrze. Przysiągł sobie, że tego dokona.*

*Carstairs całkiem go zaskoczył u White'a, ale Dev czuł, że całkowita*

*uległość i zgoda na wszelkie warunki, jakie stawiał wróg, były w tej sytuacji najlepszym posunięciem. Potem jednak pojął, że po prostu nie zdoła obejść się bez Lizzie przez resztę życia. Nie pozwoli też, by jego wrogowie wiecznie ją prześladowali i kontrolowali. O świcie w porcie jego prywatna wojna zakończy się ostatecznie. Carstairs nie miał pojęcia, że*

*pozornie gburowata, niechlujna, zapijaczona załoga „Katie Rose” zdolna była pokonać samego diabła na rozkaz swego kapitana.*

*Ci z pozoru prości majtkowie jutro o świcie, gdy Carstairs przyprowadzi Lizzie, rzucą się do ataku na znak Deva. On zaś uwolni ukochaną i pozwoli swym nieposkromionym towarzyszom z „Katie Rose” rozprawić się z członkami Klubu Jeźdźców i Woźniców.*

348

*Jeśli wszystko pójdzie dobrze, wyjaśni sprawę na Bow Street najwcześniej, jak tylko zdoła. Gdyby zaś sprawy ułożyły się niepomyślnie, zabierze Lizzie na swój statek i zostanie banitą - poza zasięgiem brytyjskiego prawa. Właśnie dlatego zabrał najcenniejsze osobiste drobiazgi ze szkatułki z żółtodrzewu, stojącej na toalecie. Rodowy sygnet, miniaturę*

*ojca i złotą obrączkę, którą nadal zamierzał włożyć na palec swej oblubienicy. Tylko ona miała teraz dla niego znaczenie.*

*Nagle coś go zaniepokoiło. Poczul na karku dreszcz - zapowiedź*

*niebezpieczeństwa. Czuł, że ktoś go obserwuje i pospiesznie spojrzal*

*w lustro. Oczy mu zapłonęły, gdy rozpoznał słabo widoczną w mroku*

*postać Torquila Stainesa, czającego się na balkonie i częściowo ukrytego*



za zasłoną.

*W ręku miał pistolet.*

*- Padnij! - wrzasnął Dev, podcinając nogi Benowi w momencie,*

*gdy w pokoju zagrział strzał.*

*Lokaj upadł, zderzając się przy tym z toaletką. Przybory do golenia*

*Devlina i rozmaite flakoniki posypały się jak grad na Bena, gdy zwałił się na podłogę, jego czekoladowa twarz była wykrzywiona z bólu.*

*Dev rzucił się na Stainesa, niejasno uświadamiając sobie, że przyjaciel jest ranny. Baronet wpadł do pokoju, wyciągając sztylet z pochwy.*

*Zamachnął się nim. Ostrze przecięło powietrze morderczym łukiem.*

*Devlin odskoczył do tyłu i obejrzał się niespokojnie na przyjaciela.*

*- Ben!*

*- Ranił mnie, Dev! - odparł Murzyn słabym głosem.*

*- Trzymaj się, Ben!*

*Dev dostrzegł kątem oka, że przyjaciel zdołał usiąść, opierając się*

*o ścianę. Szkarłatna plama na jego ubraniu w okolicy lewego ramienia*

*ciągle się powiększała.*

*Serce Deva biło jak szalone, gdy znowu cudem uniknął ciosu Stainesa. W głowie mu wirowało. Nie może stracić Bena. Nie zniósłby tego!*

*Torquil znów usiłował go dźgnąć.*

*- Co ty wyprawiasz, Staines, do wszystkich diabłów?! - zagrział*

*Dev. - Obiecałem przecież, że wyjadę! Widzisz, że szykuję się do drogi!*

*Nie opuszczaj mnie, Ben! - szepnął do służącego.*

*- Ależ z ciebie fałszywy, zdradziecki gad, Dev! Właśnie dlatego skończę z tobą! - Ostrze Stainesa ze świstem przecięło powietrze, **trafiając** 349*

*w rzeźbiony słupek baldachimu, gdy Devlin znowu zręcznie się uchylił.*

- Nie udawaj niewiniątka! Wiemy, że spiskowałeś przez cały czas z Ginny Highgate!

- Co ty wygadujesz? Ginny Highgate od dawna nie żyje!

Dostrzegł ostry nóż, którym posługiwał się w dżungli, na samym wierzchu niezapakowanego jeszcze kufra. Schylił się błyskawicznie i chwycił broń.

- Widziałem tę sukę na własne oczy, Dev. Usiłowała mnie zastrzelić!

- Ginny Highgate żyje? I jest w Londynie?!

Odparował kolejny szaleńczy cios. Przez głowę przemknęło mu wspomnienie tajemniczej kobiety z zasłoniętą twarzą, która go śledziła.

- Jakbyś o tym nie wiedział! Rozumiesz chyba, że nasza umowa została zerwana!

- Zerwana? Chwileczkę... Co z Lizzie?

Torquil zaśmiał się pogardliwie.

- Carstairs poderżnął jej gardło.

- Co takiego? - wyszeptał Dev i skamieniał z przerażenia. Ledwie mógł oddychać. Z trudem wydobył z siebie głos. - Kłamiesz!

- Myślałeś, że pozwolimy się postać na szubienicę?

- Niemożliwe... - szepnął. - Nie!

Jego najstraszliwsze obawy się ziściły!

Zabili jego słodką Lizzie. Poderżnęli jej gardło... Cała jego rodzina nie żyła. Najlepszy przyjaciel wykrwawiał się tuż obok, na podłodze...

Wszystko przez niego!

Ogarnęła go ciemność. Całe światło w nim zgasło.

Nieeee!

*Wrzask, który wydobył się z jego gardła, mroził krew w żyłach. Zaatakował bezlitośnie.*

*Demolował wszystko wokół siebie, pochłonięty jedną myślą. Porąbie Stainesa na kawałki! Nie czuł ciosów, jakie zadawał mu przeciwnik. Nawet doświadczenie baroneta w walce nie mogło dorównać żądzy mordy, która ogarnęła Devlina. Na wieść o śmierci Lizzie zbudziła się*

*w nim bestia, on zaś ani myślał jej poskramiać.*

*Zderzyli się ze ścianą, wypadli na balkon, każdy z nich usiłował wypchnąć przeciwnika za barierkę. Wreszcie Staines zapędził wroga z powrotem do pokoju.*

350

*Dev chwycił nogę połamanego krzesła i wywijał nią jak maczugą.*

*Znakomicie się nadawała do parowania ciosów Torquilla.*

*Dostrzegłszy w pewnym momencie, że przeciwnik się odstąpił, Dev uderzył jak piorun i zatopił ostrze noża w miękkim brzuchu Stainesa.*

*Przyglądał się beznamiętnie, jak życie ucieka z wroga.*

*- Litości!-wycharczał baronet.*

*Dev wyszczerzył zęby i obrócił ostrze w ranie.*

*Niezwyciężony strzelec zwałił się na podłogę.*

*Devlin odwrócił się od niego. Był zdyszany i czuł lekkie mdłości, ale poza tym niewiele go to obeszło. Czekąło go znacznie więcej zabijania!*

*Przedtem jednak podszedł do swego służącego i ukląkł przy nim.*

*- Ben!*

*Ciemne oczy przyjaciela otworzyły się powoli.*

*Bogu dzięki! Dev z trudem przełknął ślinę.*

*- Zobaczmy, jak to wygląda.*

*Zsunął kamizelkę i rozdarł koszulę Bena, by obejrzeć ranę.*

*- Zamieniliśmy się rolami - zauważył Murzyn i próbował się uśmiechnąć, ale Dev nie odpowiedział mu tym samym.*

*Cała wesołość i wszelkie nadzieje na szczęście opuściły go po słowach Stainesa.*

*Ben chwycił go za rękaw.*

*- Posłuchaj, Dev! To, co powiedział, wcale nie musi być prawdą!*

*Nie trać nadziei!*

*Devlin spojrzał na niego martwym wzrokiem i odwrócił oczy.*

*- Masz kulę w ramieniu. Nic ci nie będzie! Muszę już iść.*

*Kiedy Dev wstał, Ben z trudem zaczął się podnosić.*

*- Co ty wyprawiasz?*

*- Idę z tobą.*

*- Ani się waż! Zawołaj sąsiadów, niech wezwą chirurga. Z taką raną nie ma mowy o konnej jeździe.*

*- Tobie się to udało. Dlaczego nie mnie?*

*Dev potrząsnął głową i wyszedł z pokoju, nie wdając się w dalsze sprzeczki. Zarzucił uzdę na jedyne go konia, który udowodnił, jaki jest szybki i wytrzymały. Był to wielki, czekoladowy wałach, na którym przed kilkoma miesiącami dotarł do Bath. Myślał wtedy, że ciotka Augusta jest umierająca. A sprawił to podstęp pewnej wścibskiej sawantki.*

*351*

*Niemożliwe, żeby Lizzie zginęła! Tyle w niej było życia, ciepła, miłości... Nie mógł tego objąć rozumem.*

*Kilka minut później wyjechał ze stajni na grzbiecie konia, któremu nadała imię Star. Dlaczego nie ożenił się z nią, nie uchronił jej od tego wszystkiego?! Jak mógł kiedykolwiek sądzić, że zemsta jest ważniejsza od miłości?*

*Pędził do domu Carstairsa, ale kiedy przejeżdżał galopem przez skwer, ujrzał tłum ludzi, zgromadzonych wokół czegoś, co leżało na ziemi. O Boże! Lizzie! Zeskoczył z konia i wbiegł w tłum. Kiedy przepchnął się przez mamroczących coś gapiów, z ulgą przekonał się, że były to zwłoki mężczyzny w średnim wieku.*

*- Co się tu wydarzyło? - spytał.*

*Było stąd zaledwie kilka kroków do domu Carstairsa, przeczuwał więc, że musiało mieć to jakiś związek z całą sprawą.*

*Pięć osób odezwało się równocześnie, odpowiadając na jego pytanie.*

*Wszyscy słyszeli krzyki i strzały, ale nikt w gruncie rzeczy nie wiedział, co się stało.*

*- Znaleźliśmy to! - odezwała się jakaś kobieta, podnosząc do góry skórzaną torbę.*

*Devlin chwycił ją i momentalnie opróżnił, wysypując całą zawartość na ulicę. Rozmaite drobiazgi świadczyły niezbicie, że była to własność jakiejś kobiety. Uwagę Deva przyciągnęły przede wszystkim trzepoczące w podmuchu wiatru papiery.*

*Przeglądając je przy świetle księżyca, przekonał się, że to bilety przewozowe. Zapewniały one dwa miejsca na statku do Irlandii, który miał*

*odpłynąć nazajutrz rano. Wystawiono je na nazwisko Mary Harris.*

*Oczy Devlina się rozszerzyły.*

*Ginny Highgate!*

*- Z Bristolu... - mruknął.*

*- Czego się pan dowiedział? Co z tym Bristolem? - spytała kobieta, ale Dev skoczył już na konia i pochwycił lejce.*

*Pospiesznie zawrócił wierzchowca i ścisnął tydkami jego boki. Star ruszył galopem. Popędzili na złamanie karku Wielkim Zachodnim Traktem.*

*Lizzie odkryła, że trudno jej skoncentrować się na powożeniu w takich warunkach. Po pierwsze,*

*powozie, zaprzężonym w cztery konie. Po drugie, dopiero co widziała,*

*jak jeden z nich zabił woźnicę. Nie miała pojęcia, czy jej ukochany jeszcze żyje. Kierowała obcymi końmi, jadąc powozem, którego rozmiarów nie знаła. Było ciemno, ona zaś była śmiertelnie przerażona. A na dodatek dotarli właśnie do tego odcinka drogi, na którym najczęściej grasowali rozbójnicy!*

*Skaleczenia na dłoniach, powstałe przy przecinaniu więzów, wydawały się najmniejszym zmartwieniem, chociaż i one dawały się boleśnie we znaki przy przekładaniu twardych rzemiennych cugli z ręki do ręki.*

*A jednak - jakimś cudem - Lizzie dawała sobie radę, przynajmniej*

*na razie. Któż może wiedzieć, co będzie za kilka godzin?*

*Czekała ją długa droga. Do Bristolu było jeszcze dalej niż do Bath.*

*Może szczęście im dopisze i wrogowie wpadną w łapy rozbójników?*

*Zaryzykowała spojrzenie do tyłu i zauważyła, że łagodne wzniesienie drogi stanowi na razie osłonę przed strzałami Carstairsa i jego kompanów. Potem znów skierowała wzrok przed siebie i bezlitośnie poganiała konie.*

*Było jej lżej, gdy wyobrażała sobie, że Devlin siedzi obok niej jak*

*tamtej nocy w drodze do Oakley Park, zachęcają, pomaga jej, uspokaja...*

*Zapewnia, że Lizzie jest w stanie tego dokonać. Wspiera ją swą odwagą*

*i pomysłowością.*

*Musi wierzyć, że Devlin żyje i jest bezpieczny!*

*Powóz pędził przed siebie, a w mózgu Lizzie pozostała tylko jedna*

*myśl: musi osłaniać siostrę Devla i ocalić jej życie! Ilekroć przypomnia*

*ła sobie niedokończoną dziecinną układankę na podłodze w Mulber-*

*ry Cottage, przejmował ją dreszcz. Sorscha nie wiedziała nawet, jak się*

*naprawdę nazywa ani kim jest... Przede wszystkim jednak muszą jakoś*

*przetrwać tę noc. Lizzie czepiała się nadziei, że odzyskanie dawno utraconej siostry okaże się cudownym lekiem na wszystkie cierpienia okaleczonej duszy Devlina.*

*- Do licha! - szepnęła, dostrzegłszy przed sobą wąski most, spinający łagodnym łukiem brzegi niewielkiej rzeczki. Nie była pewna, czy jej powóz nie utknie na tej wąskiej kładce. Wiedziała, że powinna zwolnić i wykonać manewr ostrożnie i z rozwagą. Gdyby jednak zmniejszyła 23 -  
Ukochana diabła 353*

*szybkość, trudno byłoby ją odzyskać. Czowała niemal na plecach oddechy goniących ją szaleńców.*

*Wydawało się, że konie same wiedzą, co robić. Trzymając lejce w jednej ręce, Lizzie chwyciła drugą metalową poręcz siedzenia.*

*- Trzymajcie się! - wrzasnęła do pasażerek, gdy kopyta rozpędzonych koni zatętniły na kamiennym moście o wiele głośniej niż na bitej, żwirowanej drodze.*

*Wstrząs przy zderzeniu przednich kół z kamienną nawierzchnią był*

*tak silny, że Lizzie omal nie spadła z kozła. Resory aż jęknęły, ale powóz przemknął przez most bez najmniejszego zadrapania.*

*Lizzie wydała okrzyk triumfu, gdy wjechały znów na drogę, ale*

*w mgnieniu oka poczucie ulgi zmieniło się w przerażenie. Kiedy most*

*pozostał w tyle za nimi, ujrzała dyliżans pocztowy, pędzący z przeciwnej*

*strony prosto na nie!*

*Pocztylion dał trąbką sygnał ostrzegawczy, by zejść im z drogi. Dyli*

*żans był o wiele większy od ich powozu, zaprzężony w sześć koni i obciążony okazałym ładunkiem. Lizzie wpadła w panikę. Droga tuż za mostem była zbyt wąska, by mogli się wyminąć. W dodatku ona jechała*

*za szybko.*

*Oba pojazdy pędziły na siebie niczym dwóch rycerzy podczas turnieju. Zaraz dyszle skrzyżują się ze sobą jak lance. Z całej siły zawróciła konie w lewo. Dyliżans przejechał z turkotem tak blisko, że poczuła*

*wyraźnie podmuch powietrza. W mgnieniu oka pojęła, że nagły zwrot*

*sprawił, iż powóz stracił równowagę. Chybotał się, dotykając ziemi zaledwie dwoma kołami.*

*- Trzymajcie się! - wrzasnęła Lizzie.*

*Powóz przechylił się niebezpiecznie. Już miała zeskoczyć, ale w tym samym momencie wyrzuciło ją w powietrze.*

*Poszybowała z rozpostartymi ramionami, powóz tymczasem sunął na boku dobrych kilka metrów.*

*Wylądowała na brzuchu w zagonie lucerny. Rozległ się głośny trzask i wykręcony pod dziwacznym kątem dyszel odłamał się od podwozia.*

*Konie biegły dalej, przewrócony powóz tkwił bez ruchu.*

*Zapadła niepokojąca cisza.*

*Lizzie miała wrażenie, że serce zaraz wyskoczy jej z piersi. Siła upadku poraziła ją, zdołała jednak półprzytomnie zaczerpnąć nieco powietrza 354*

*i z wysiłkiem podniosła się na czworaki. Spojrzała na siebie zdumiona,*

*że jeszcze żyje. Nie była nawet ciężko poturbowana - skrzyła sobie tylko nadgarstek prawej ręki, którą się podparła w chwili upadku. Cudem ocalona, gotowa była całować ziemię w podziękę!*

*Miękkie orne pole i lucerna uratowały jej życie. Ale co z towarzyszkami?*

*Sorscha! Lizzie zerwała się na drżące jeszcze nogi. Carstairs i jego*

*kamraci zjawią się tu lada chwila!*

*Kiedy odwróciła się i pobięła na uginających się nogach z powrotem do powozu, uprzytomniła sobie, ile miała szczęścia. Pole lucerny ogrodzone było przysadzistym kamiennym murem. Kilka kroków dalej rósł dąb o potężnym pniu. Zderzenie z jedną lub drugą przeszkodą oznaczałoby śmierć. Rozcierając bolący nadgarstek, przelazła przez kamienny mur i pobięła w stronę uszkodzonego powozu.*

*- Sorscha! Mary! Sorscha!*

*Nagle drzwiczki powozu - skierowane obecnie w stronę nieba - się otworzyły.*

*Wyjrzała z nich kędzierzawa główka.*

*- P...panna Carlisle?*

*- Och, Sorscha! Kochanie! - odetchnęła z ulgą Lizzie i podbiegła,*



*by wyciągnąć dziewczynkę z powozu. - Wszystko z tobą w porządku?*

*Możesz chodzić?*

*- Ch...chyba tak. Ale mamusia... Co jej się stało?*

*- Mary! Mary, odezwij się!*

*Lizzie pospiesznie pomogła Sorschy wydostać się z powozu, a następnie weszła do środka. Na szczęście pani Harris wracała do przytomności.*

*- Ależ się uderzyłam w głowę! -jęknęła. - I wykręciłam sobie ramię, kiedy z całej siły uczepliłam się tej pętli. Dobrze, że nas ostrzegłaś!*

*Co się stało?*

*- Dylizans zepchnął nas z drogi. Tak mi przykro... Chodź prędko, tamci zaraz nas dogonią!*

*Mary odetchnęła głęboko i skinęła głową. Potem zaczęła się rozglądać po wnętrzu powozu.*

*- Moja torba! Gdzie ona jest?*

*- Zapomnij o torbie! Musimy gdzieś się ukryć!*

355

*- Miałam w niej bilety!*

*- Kupisz nowe. Idziemy!*

*Lizzie i Sorscha wspólnie pomogły poturbowanej Mary wydostać się z przewróconego ekwipażu. Lizzie rozejrzała się dokoła. Czowała, jak ziemia drży pod jej stopami i dostrzegła w oddali zbliżający się powóz Carstairsa.*

*- Gdzie się podziejemy? - zawołała ze strachem Sorscha.*

*- Tam! - wskazała Lizzie. - Między drzewami widzę zajazd!*

*Może tam znajdziemy pomoc albo przynajmniej znikniemy w tłumie.*

*Szybko!*

*Gospoda położona była w pewnym oddaleniu od drogi, pod osłoną rozłożystych drzew. Nocny wiatr szeleścił w powykręcanych konarach nad ich głowami. Kobiety dotarły do bramy i wbiegły na zakurzony podjazd.*

*Lizzie zerknęła na zniszczony dach, oblażącą ze ścian farbę, chylące się ku ziemi galerie. Bez zastanowienia chwyciła za klamkę i aż krzyknęła, tak ją zabolął nadgarstek.*

*Mary otworzyła drzwi i przestąpiła próg. Sorscha poszła za przykładem matki, podczas gdy Lizzie, ściskając uszkodzony nadgarstek, zastanawiała się, jak w razie czego zdoła się obronić, nie mogąc ruszać prawą ręką? Odwróciła się pośpiesznie z szelestem spódnic i zatrzasnęła drzwi, popychając je biodrem.*

*- Ratunku! Pomocy! - zawołała Sorscha, a jej przestraszony dziecinny głosik wydawał się dziwnie ostry.*

*Weszły do mrocznego, zadymionego szynku. W Lizzie serce zamarało, gdy rozejrzała się po izbie.*

*Nie było tu tłumu, z którym mogłyby się zmieszać. Nie było też nikogo, kto udzieliłby im pomocy prócz kilku niepewnie stąpających starych pijaków, którzy raczyli się piwem, kurzyli cuchnące fajki i kłócili się nad szachownicą. Śmierdziało przypalonym wieprzowym tłuszczem i starym łojem.*

*Za szynkwasem stał niechlujny grubas, zapewne właściciel zajazdu, i przecierał szmatą kufle od piwa. Rękawy koszuli miał podwinięte. Widać było muskularne łapska.*

*- Zamknięte! - burknął.*

*- Drzwi były otwarte! - zaprotestowała Sorscha.*

356

*- Zamek jest zepsuty. - Obrzucił je podejrzliwym spojrzeniem.*

*- Czego chcecie?*

*Lizzie podeszła do niego z mocno bijącym sercem.*

*- Jesteśmy w rozpaczliwej sytuacji! Ścigają nas...*

*- Już tu są! -jęknęła Mary, gdy na podjeździe zastukały kopyta i zaskrzypiały ciężkie koła.*

*- Jest tu tylne wyjście? - spytała Lizzie drżącym głosem.*

*Kilku starych pijaków przyglądało się kobietom niezbyt przytomnie,  
ale z pewnym zaciekawieniem.*

*- Co to panią obchodzi? - odparł oberżysta zaczepnym tonem, rzucając ścierkę na szynkwas.*

*Z zewnątrz dobiegł odgłos kroków na skrzypiącym żwirze dziedzińca.*

*- Ty zajdź od tyłu - dał się słyszeć zimny głos Carstairsa. - A ty,*

*Johnny, idziesz ze mną!*

*- Co się tu wyrabia, u diabła?! - zażądał wyjaśnień właściciel gospody, ale Lizzie go zignorowała.*

*- Idziemy! - Zdrową ręką chwyciła Sorschę za nadgarstek i pociągnęła dziewczynkę w stronę  
rozklekotanych drewnianych schodów. Mary postępowała za nimi. - Musimy się ukryć. I to  
natychmiast!*

*Johnny otworzył drzwi kopnięciem i wtargnął do szynku z rusznicą  
w rękach.*

*- Nie ruszać się!*

*Tuż za nim wślizgnął się do wnętrza Carstairs z dwoma pistoletami*

*wymierzonymi w gromadę zaskoczonych starych obdartusów, zebranych wokół szachownicy.*

*- O Boże! Co za dziura! - wymamrotał hrabia pod nosem. Zmierzył spojrzeniem muskularną postać  
karczmarza, który zapewne chował*

*jakąś bron pod szynkwasem. - Ręce do góry, jeśli ci życie mile!*

*Podszedł do niego i skonfiskował śrutówkę w całkiem dobrym stanie.*

*- Nie próbuj żadnych sztuczek! - ostrzegł szynkarza lodowatym tonem. Ze strzelbą w ręku podszedł  
do Johnny'ego i oparł broń o drzwi za plecami młodzieńca. - Może ci się przydać.*

*- Dzięki! - mruknął chłopak, mierząc groźnym spojrzeniem grupę  
zakładników.*

*- Nie widziałem takiej starzyzny od bitwy pod Kopenhagą! - prychnął*

*po gardliwie jakiś zalany stary wiarus, zerkając na rusznicę.*

*- Bez obawy, dziadku, to najnowszy model. Na specjalne zamówienie! - syknął ostrzegawczo Johnny przez zaciśnięte zęby, opierając się plecami o drzwi. - Wszyscy możecie wylądować w trumnach! Ręce*

*trzymać na wierzchu, żebym je wyraźnie widział!*

*- Gdzie są kobiety, które tu weszły przed chwilą? - spytał Carstairs.*

*Nikt nie udzielił odpowiedzi.*

*- Niech was szlag! Sam widziałem, jak tu wchodziły! Jeśli im*

*udzielicie pomocy, możecie się pożegnać z waszym nędznym życiem.*

*Ty tam! - Podszedł do karczmarza i wycelował mu z pistoletu między*

*oczy. - Gdzie one są?*

*Trzymając ręce nad głową, jak mu kazano, gospodarz wskazał grubym paluchem w stronę schodów. Widząc, że jego towarzysz ma sytuację pod kontrolą, Carstairs po cichu, zręcznie wspiął się na schody, przeskakując po dwa stopnie naraz.*

*Na piętrze zobaczył mroczny korytarz, ściany obłożone z tynku*

*i wytarty chodnik. Rząd zwisających z sufitu latarenek rozpraszał nieco*

*mrok. Z pistoletem w pogotowiu hrabia skradał się korytarzem, mając*

*po obu stronach zamknięte drzwi do pokoi gościnnych. Wyglądało na*

*to, że większość z nich jest pusta. Tylko z jednego pomieszczenia, które*

*mijał, dolatywał swarliwy kobiecy głos, strofujący jakiegoś Mortimera,*

*by porządnie złożył ubranie.*

*Psiakrew! Nigdzie ani śladu tych dwóch suk!*

*Usłyszawszy czyjeś kroki za zakrętem korytarza, hrabia pospieszył*

*tam z pistoletem w ręku.*

*- To ja! - burknął Quint.*

*- Widzę, że znalazłeś tylne wyjście. - Carstairs opuścił broń.*

*- Tuż obok schodów.*

*- Co za ulga, że tym razem nie muszę wszystkim sam się zajmować*

*- wycedził hrabia ze zgryźliwym humorem. - Znalazłeś je?*

*- Nie. Zajrzałem do schowka pod schodami. Do kuchni też, ale ani widu, ani słyhu.*

*- Znakomicie! - mruknął Carstairs. - To znaczy, że są gdzieś tutaj.*

*Pod samym nosem!*

358

*Trzask! Cała ściana się zatrzęsa, gdy ich prześladowcy otworzyli*

*drzwi następnego pustego pokoju, gdzieś w końcu korytarza. Trzy kobiety przytuliły się mocniej do siebie w jednym z pachnących stęchlizną pokoi gościnnych.*

*- O, panno Carlisle! - nawoływał śpiewnie hrabia. - Wyjdź, ach,*

*wyjdź, gdziekolwiek jesteś!*

*- Boję się! - szepnęła Sorscha.*

*Mary objęła ją ramionami i pocałowała w głowę.*

*- Nikomu nie damy cię skrzywdzić, kochanie!*

*- Słyszałaś, co mówił? Tylne drzwi są na dole, obok schodów - powiedziała cicho Lizzie. - Przy odrobinie szczęścia powinniśmy do nich dotrzeć!*

*- Nie. Z pewnością by nas zauważyli.*

*- Ginnyyy! - zawołał Quint.*

*Przypominało to dziwne, grobowe wycie, jakby dziki zwierz wzywał*

*nadaremnie zabitą samicę.*

*- Dlaczego on ciągle woła jakąś Ginny? - szepnęła ze zniecierpliwieniem Sorscha. - To musi być pomyłka! Trzeba im powiedzieć, że ścigają kogoś innego!*

*Lizzie i Mary wymieniły posępne spojrzenia.*

*- Sorscha, wyrzyj proszę przez okno i sprawdź, czy tam nikogo nie ma. Tylko po cichutku!*

*- Dobrze, mamusiu!*

*Kiedy dziewczynka skradała się w ciemności do okna, uważając, by nie wpaść na meble, Mary zwróciła się do Lizzie:*

*- Ja odwrócę ich uwagę - powiedziała, zniżając głos. - A ty i Sorscha spróbujecie się stąd wymknąć.*

*- W jaki sposób?*

*- Oddam się w ich ręce.*

*- Nie możesz tego zrobić! - wyszeptala Lizzie, blednac. - Oni cię zabiją!*

*- Quint nie pozwoli Carstairsowi mnie skrzywdzić. Ale z wami to*

*co innego. Mam zresztą to! - Mary pokazała jej niewielki damski pistolet, który wzięła ze sobą oprócz strzelby, którą porzuciła w pobliżu domu Carstairsa. Mary pospiesznie schowała broń w kieszeni obszernej*

*czarnej peleryny, by Sorscha go nie zobaczyła.*

359

*Lizzie popatrzyła przeciągle na Mary. Przemknęło jej przez myśl, że dawna aktorka zamierza zabić Quinta.*

*- Nie dziw się tak, moja droga! - Cyniczny uśmiech można było*

*bardziej wyczuć, niż zobaczyć za zasłoną czarnej koronki. - Nie przypadkiem znajdowałam się w pobliżu domu Carstairsa!*

*- Cieszę się, że tam byłaś, wszystko jedno z jakiego powodu - od-*

*szepnęła Lizzie. - Dziękuję ci, Mary! Ocaliłaś mi życie. Sorschy też, prawda? Zdołałaś uratować ją z pożaru!*

*- Była wtedy taka malutka - wyszeptala Mary i skinęła głową. - Jej*

*matka błagała mnie o to.*

*- Lady Strathmore jeszcze wtedy żyła?*

*Mary skinęła głową.*

*- Za nic nie chciała zostawić męża, ale był zbyt ciężko ranny, by*

*uciec z płonącego budynku.*

*Lizzie wpatrywała się w nią, usiłując ogarnąć umysłem to wszystko.*

*Potem spojrzała na kędzierzawą pensjonarkę, stojącą przy oknie, i znowu zwróciła wzrok na przybraną matkę dziewczynki.*

*- Devlin to naprawdę dobry człowiek, Mary! Pomoże mi zaopiekować się nią.*

*- Jeśli Torquil nie dopadnie go wcześniej. Bardzo mi przykro to*

*mówić, ale znam tych łajdaków! Choćby nawet Devlin pokonał Staine-*

*sa, inni ruszą jego tropem. Nie dadzą za wygraną, dopóki nie dopadną*

*jego... ciebie... Sorschy... Wiecie zbyt wiele o ich zbrodniach. Właśnie*

*dlatego musicie uciekać do Irlandii!*

*Gdy dotarły do niej straszne słowa Mary, w sercu Lizzie rozgorza*

*ła walka. Jak mogłaby opuścić Devlina w śmiertelnym niebezpieczeństwie? Kiedy jednak Sorscha wróciła do nich i oznajmiła szeptem, że nikogo nie ma w pobliżu, Lizzie popatrzyła na dziewczynkę i pojęła, że*

*Mary ma słuszość.*

*To bezradne dziecko zdane na własne siły nie miało żadnych szans*

*ocalenia.*

*Gdy Mary pospiesznie wyjaśniała swój plan, w wielkich niebieskich*

*oczach Sorschy odbiło się przerażenie.*

*- Ale co z tobą, mamusiu?*

*Mary przyciągnęła ją do siebie i pocałowała w czoło.*

- Spotkam się z wami w Irlandii, jak tylko będę mogła!

Kiedy matka i córka się obejmowały, Lizzie pomyślała, że było to

miłosierne kłamstwo. Bardzo wątpliwe, by Quint pozwolił swej ukochanej Ginny znowu się wymknąć!

Mary z trudem wypuściła z objęć przybraną córkę i objęła dłońmi jej dziecinną jeszcze twarzyczkę.

- Bądź dzielna, kochanie! Zaufaj mi i uciekaj z panną Carlisle. Nie ma innego wyjścia!

- Dobrze, mamusiu - odparła żałośnie Sorscha.

- Jesteś tego pewna, Mary? - spytała Lizzie z pozornym opanowaniem.

Maty Harris skinęła głową, a wówczas Lizzie wyprostowała się

i wzięła swą podopieczną za rękę.

- Chodź, Sorscha, nie mamy wiele czasu!

Dziewczynka rzuciła przybranej matce błagalne spojrzenie, ale posłusznie podążyła za Lizzie. Wszystkie trzy podeszły do drzwi.

Mary przyłożyła do nich ucho i nasłuchiwała.

- Ja wyjdę pierwsza.

Lizzie skinęła głową posepnie, lecz zdecydowanie.

- A my wymkniemy się tylnymi schodami.

Mary bezszelestnie uchylila drzwi.

Za zakrętu korytarza dolatywały odgłosy dalszych poszukiwań.

Lizzie wyciągnęła Sorschę na korytarz i obie przemknęły pod ścianą.

Tylne schody były zaledwie kilka metrów dalej.

Sorscha rzuciła przez ramię przestraszone spojrzenie na Mary, która



*powoli zbliżyła się do zakrętu korytarza, zamierzając oddać się w ręce*

*dawnego kochanka. Z powiewającym za nią czarnym koronkowym szalem Mary wyglądała jak zjawą. Jej smukłe plecy były dumnie wyprostowane.*

*Lizzie pociągnęła Sorschę za sobą. Najciszej jak mogły zeszły po wąskich, krętych schodach.*

*ar*

*M*y minęła zakręt i spojrzała prosto w oczy potworom ze swych koszmarów.

- *Quentinie!*

*Jej głos zadźwięczał w całym korytarzu. Mężczyźni się zatrzymali.*

*Dawny kochanek Mary przystanął i zwrócił się ku niej z wyrazem uwielbienia na wyrazistej, srogiej twarzy.*

- *Ginny!* - wyszeptał. - *To naprawdę ty?*

- *Tak, Quentinie. To ja.*

- *A więc to prawda! Żyjesz! Przez te wszystkie lata...*

- *To prawda, żyję. Ale bardzo się zmieniłam.*

- *Założę się, że nadal jesteś dziwką!* - wypalił Carstairs, nie zwa

*żając na ostrzegawcze spojrzenie Quinta. - A gdzie się podziała panna*

*Carlisle?*

*Mary nie odpowiedziała.*

*Carstairs wymierzył w nią swój pistolet.*

- *Gadaj, suko! Gdzie jest kochanka Strathmore'a?*

*Quint wyciągnął rękę i z groźną miną zmusił hrabiego do opuszczenia broni.*

*Carstairs odpowiedział urągliwym spojrzeniem, mruknął coś wzgardliwie, po czym zostawił ich oboje i wrócił do przeszukiwania pokoi gościnnych.*

- *Nie bój się, Ginny! Nie pozwolę, żeby cię skrzywdził! Nie mogę*

*w to uwierzyć. To cud!*

*Zbliżył się o krok.*

*Mary dotknęła ukrytego w kieszeni pistoletu, choć nie zamierzała*

*zabić Quinta, zanim nie zrozumie on potworności swej zbrodni. Dopiero wówczas zginie!*

*Wpatrując się w nią szklistym wzrokiem, zagubionym i pełnym*

*tęsknoty, Quint potrząsnął głową.*

*- Och, Ginny! Dlaczego mnie opuściłaś? - szepnął. - Zmarnowali*

*śmy tyle czasu. Ale to już minęło. Teraz znów możemy być razem. Wróć*

*do mnie! Powiedz, że wrócisz!*

*- Teraz, Quentinie, nie będziesz mnie już chciał.*

362

*- A to dlaczego? - spytał z kpiącym uśmiechem, jakby to było nie*

*do pomyślenia.*

*Przestała obracać w palcach pistolet, wysunęła rękę z kieszeni. Nie*

*chodziło jej tylko o to, by dać pannie Carlisle i Sorschy więcej czasu na*

*ucieczkę. Chciała, żeby Quentin... żeby oni obaj zobaczyli, jaką wyrządzili jej krzywdę.*

*- Powiedziałam ci już, zmieniłam się, i to bardzo!*

*Rękoma w czarnych rękawiczkach chwyciła końce koronkowego*

*woalu i powoli, bardzo powoli, uniosła zasłonę.*

*Oczy Quentina rozszerzyły się z przerażenia, gdy ujrzał ślady oparzeń, zniekształcające lewą stronę nieskazitelnie pięknej niegdyś twarzy.*

*- O Boże! - wykrztusił.*

*Nawet Carstairs wydawał się poruszony tym widokiem.*

*Uśmiechnęła się pogardliwie na widok odrazy, jaką wyczytała w jego*

*oczach.*

*- Patrz, mój skarbie - szepnęła do Quinta z gorzkim wyrzutem, gdy*

*z poszarzałą twarzą wpatrywał się w nią. - Zobacz, jak mnie skrzywdzi*

leś!

- Och, Ginny! -jęknął Quint. - Po coś ty w ogóle uciekała? Nie musiało przecież do tego dojść! Twoja śliczna buzia...

- Teraz jest znacznie bardziej interesująca, możesz mi wierzyć

- oświadczył Carstairs z bezlitosnym uśmiechem, szybko odzyskując

pewność siebie. Jednak w jego głosie nadal słychać było napięcie. Odwrócił się. - Chodźmy, Quint! Nie ma czasu na sentymentalne wspomnienia! Jeśli nie odnajdziemy panny Carlisle i nie wyniesiemy się stąd w diabły, skończymy na szubienicy! Rozumiesz?

Podjmując poszukiwania, otworzył kolejne drzwi i natychmiast jakaś kobieta wrzasnęła wniebogłosy.

Mary obejrzała się ze zdziwieniem, gdy Carstairs odskoczył od drzwi.

- Cóż to ma znaczyć? - huknął z wnętrza pokoju męski głos.

- Zrób z tym porządek, Mortimerze! - wrzasnęła kobieta.

- Zamknij drzwi, gałganie! - Potężnie zbudowany, wąsaty mężczyzna w długich kalesonach pojawił się w drzwiach. Na widok broni w ręku Carstairsa spoważniał. - Odłóż to natychmiast, nim wyrządzisz

komuś krzywdę, mój panie!

363

Pospiesznie zasłaniając twarz, by obcy ludzie nie zobaczyli jej blizn,

Mary spoglądała na oburzonego mężczyznę. O nie! - westchnęła w my

śli. Jeszcze jeden dobry samarytanin?!

- Na pańskim miejscu zrobiłabym tak, jak mówi! - Małżonka wąsatego mężczyzny pojawiła się tuż za nim, odziana w szlafrok i nocny czepek. - Mój Morty walczył pod Waterloo!

- A, żołnierzyk! - wycedził Carstairs. - W takim razie przyzwyczajony do słuchania rozkazów. Wracaj do pokoju, zanim ci zdmuchnę z karku tę głupią głowę!

- Ach ty fanfaronie! Będiesz miał ze mną do czynienia!

Mortimer rzucił się na Carstairsa, chcąc mu wyrwać pistolet. Podbił

*rękę złoczyńcy tak, że lufa była wycelowana w sufit.*

*Carstairs zaklął.*

*Quint skoczył mu na pomoc i nastąpiła szamotanina. Wrzaskliwa*

*żona Morty'ego wymachiwała rękoma, stojąc w drzwiach.*

*Przez sekundę Mary spoglądała na to wszystko ze zdumieniem*

*i niepokojem. Nie mogła zastrzelić swego dawnego kochanka, gdyż dwoje niewinnych ludzi wmixało się bezsensownie w całą sprawę. Nagle uświadomiła sobie, że w tym zamieszaniu mogłaby się wyślizgnąć i dogonić Sorschę i jej opiekunkę. Obróciła się na pięcie i pomknęła korytarzem w stronę tylnych schodów.*

*- Ginny! - wrzasnął Quint.*

*Ponieważ Mortimer nadal zaciskał palce na pistolecie, Carstairs stracił kontrolę nad bronią.*

*Pistolet wypalił, ale kula wbiła się w sufit, nie wyrządzając nikomu*

*krzywdy.*

*Lizzie i Sorscha zdołały się wymknąć. Przed chwilą dotarły do tylnych drzwi i wyślizgnęły się z budynku. Biegły teraz przez zarośnięty zielskiem warzywnik, zamierzając ukraść Carstairsowi jego wspaniałą*

*powóz i nim uciec.*

*- Tak mi jakoś dziwnie -jęknęła Sorscha. -Jakbym zaraz miała zemdleć.*

*- To tylko nerwy!*

*- Nie! Wydaje mi się, jakby to wszystko już się kiedyś zdarzyło...*

*Nie potrafię tego wyjaśnić.*

364

*Nagle nocną ciszę rozdarł donośny strzał, przerywając wynurzenia*

*dziewczynki. I jej, i Lizzie zaparło dech. Zatrzymały się raptownie i się*

*odwróciły, by spojrzeć znów na gospodę. Lizzie zbladła. Mary widocznie go zabiła! Ale Sorscha, która nie miała pojęcia, że i jej przybrana matka jest uzbrojona, natychmiast uwierzyła w najgorsze.*

*- Mamusiu! - krzyknęła. Na jej młodziutkiej twarzy odbiło się*

przerażenie.

Zanim Lizzie zdołała ją powstrzymać, Sorscha wyrwała rękę z jej uścisku i pomknęła z powrotem do gospody.

- Sorscha, wracaj!

Dziewczynka była jednak równie uparta jak jej brat. W kilku szalonych susach dopadła drzwi, wbiegła do środka i znikła w ciemności.

- O Boże!

Lizzie pomknęła za nią z powrotem do zajazdu. Nie miała innego wyjścia.

Dev skierował się w stronę, z której dobiegł odległy strzał.

Z każdą sekundą potężniały w nim siły i rósł gniew. Gotów był uderzyć jak huragan.

Mknęli tak - jeździec i koń - przez ciemność, nie bacząc na nic.

Rumak zdawał się parskać ogniem, gdy jego potężne kopyta waliły o ziemię. Jeden fałszywy krok mógł zabić ich obu, ale to nie miało znaczenia.

Serce Devlina już było martwe.

Płomień w jego duszy mógł unicestwić wszystko, co by mu stanęło

na drodze. Umysł miał rozgorączkowany, a jednak zimny jak lód. Niezdolny do przyjęcia okrutnej prawdy, że jego ukochana leży martwa...

z jego winy. Krótka chwila doskonałego szczęścia, które poznał dzięki

niej, zagasła jak płomyk świecy. Ciemność objawiła mu, czym naprawdę

jest jego życie - straszliwą groteską, podobną do kamiennych maskaronów, zdobiących stare kościoły. Zabił swoją rodzinę. Zabił miłość swojego życia. A teraz postradał rozum.

Ale to nie miało znaczenia.

Zerwawszy ostatnią słabą nić, łączącą go z człowieczeństwem, wpatrywał się w ciemność oczyma spragnionego krwi drapieżnika. **Jego** gniew był dziki i wszechogarniający.

*Wspomnienia wirowały w jego głowie w takt stukotu kopyt Stara.*

*Czuł w swych żyłach rytm bębnow wojennych. Wspominał zajadłych*

*indiańskich wojowników, którzy przed starciem wprawiali się w bitewny szal. Odczuwał teraz takie samo straszliwe uniesienie. Zabijaj! Morduj! Tak, zabije Quinta i Carstairsa! Nie było w nim lęku przed śmiercią, nie dbał o konsekwencje swoich czynów.*

*Zwolnił nieco, gdy dotarł do przewróconego powozu tuż za mostem. Nie było tam nikogo, ale strzaskany dyszel wyraźnie wskazywał, że konie uciekły.*

*Przez chwilę zastanawiał się, do kogo należał ten pojazd i co się tu*

*zdarzyło. Nie miało to jednak większego znaczenia. Torquil Staines powiedział mu wszystko, co było istotne.*

*Lizzie nie żyła.*

*Omiótł nocny krajobraz złowrogim spojrzeniem. Księżyc wyłonił*

*się znowu zza chmur i w jego świetle na policzku Deva ukazała się smuga krwi. Nie była to jego krew. Rozejrzał się dokoła uważniej i dostrzegł*

*nikłe światelka, połyskujące wśród drzew.*

*Wiatr buszował w kępie sosen i dębów. Dzięki temu Devlin spostrzegł czterokonny powóz Carstairsa, pozostawiony w pobliżu. Oczy mu się zwężyły. Krew zaczęła szybciej tętnić w jego skroniach.*

*Skłonił Stara, by zszedł ze zwirowanej drogi na miękką trawę. Koń*

*stąpał teraz bezgłośnie. Zatrzymawszy się pod osłoną drzew, Devlin*

*związał lejce tak, by nie zaplątały się koniowi pod nogi, gdyby zrobił*

*kilka kroków albo nawet się spłoszył. Spostrzegł przy tym, że ręce ma*

*uwalane zaschniętą krwią. Zsunął się z grzbietu wierzchowca. Podkradł*

*się do budynku, wyjmując z pochwy swój wielki nóż.*

*Okazało się, że to żaloszny stary zajazd. W wysoko umieszczonych,*

*brudnych oknach na parterze świeciło się tam, gdzie zazwyczaj mieści się*

*izba z szynkwasem. Dev rozejrzał się dokoła, rozważając różne możliwe*

ści. Zanim wszedł do wnętrza budynku, podkradł się do powozu Carstairsa i wyprzągnął hrabiowskie konie. Potem popędził cztery gniade klacze, które schroniły się wśród drzew. Trawa i sosnowe igły stłumiły stukot ich kopyt.

Star zarżał do przestraszonych klaczek, a potem całe towarzystwo pogalopowało na położone po drugiej stronie drogi poletko lucerny.

Dev spojrzął na gospodę. Teraz, cokolwiek się zdarzy, te łotry mu nie umkną! O ile będzie miał szczęście, żaden z nich nie wyjdzie stąd żywy.

366

Jakiś nocny ptak odezwał się nagle, kiedy Devlin skradał się w stronę budynku. Rosło w nim poczucie zagrożenia.

Usłyszał odgłosy walki na piętrze. Jakiś ostry kobiecy głos skrzeczał:

- Mortimerze! Mortimerze!

Jaki znów Mortimer, u diabła?!

Dev chwycił nóż w zęby, wspiął się na balustradę najniższej galerii i, trzymając się blisko narożnika, zajrzał do wysoko położonego okna szynku. Przez brudne, zasnutę pajęczyną szyby zobaczył, że Johnny, uzbrojony w rusznicę, pilnuje wszystkich obecnych w izbie. Nie dostrzegł nigdzie Carstairsa ani Quinta, ale musieli być gdzieś w pobliżu.

Postanowił wykorzystać przewagę, jaką daje zaskoczenie, i zaczął się skradać. Należało obezwładnić Johnny'ego jak najdyskretniej i zatrzymać staruszków w szynku, by nie narobili zamieszania.

Ujął nóż i ze zręcznością pantery zeskoczył bezszelestnie na ziemię.

Podkradł się do drzwi, nacisnął ostrożnie klamkę i otworzył je wolniutko, po cichu.

Wślizgnął się do wnętrza tak zwinnie, że wzbudziłoby to aprobatę szamana Czirokezów. Przyłożył pieszczoszkowi Carstairsa nóż do gardła, zanim Johnny się



*połapał, co się święci.*

*- Odłóż broń! - polecił mu ściszym głosem.*

*Chłopak zmartwiał, wytrzeszczonymi oczyma wpatrując się w wielki, zakrzywiony nóż. Potem, nie namyślając się długo, odskoczył w bok i uderzył Devlina w brodę twardą ręką rusznicy.*

*Głowa Deva odskoczyła do tyłu, ale natychmiast się pozbierał i rzucił na Johnny'ego, więcej niż skory do walki.*

*- Za tobą, Mortimerze!*

*- Czy jej się gęba nigdy nie zamyka? - spytał ze zniecierpliwieniem*

*Quint.*

*Udało mu się odciągnąć Mortimera od Carstairsa i zapędzić go z powrotem do pokoju, za nim zaś wepchnąć jego żonę. Ostrzegł ich:*

*- Nie wychodźcie stąd, jeśli wam życie mile!*

*Zatrzasnął drzwi ich pokoju i podparł je dodatkowo krzesłem.*

*- Jestem ci wielce zobowiązany, stary!*

367

*Zdyszany Carstairs wstał i strzepnął z włosów tynk, który posypał się, gdy kula ugodziła w sufit.*

*- Chyba lepiej ich zabić. Widzieli nasze twarze. Podobnie jak ta*

*banda z szynku - zauważył Quint.*

*- Ta garstka starych opojów? Nie zawracaj sobie nimi głowy! -*

*burknął Carstairs. - Nie stanowią dla nas żadnego zagrożenia. Do Mortimera i jego żony jeszcze wrócimy. Najpierw jednak trzeba odnaleźć tę dziewczuchę Deva.*

*Carstairs zauważył, że Quint nerwowo rozgląda się po pustym korytarzu.*

*- Ginny uciekła! - wyjaśnił z niepokojem baron.*

*- Niech to szlag! - zaklął Carstairs i nabiwszy pistolet, pospieszył za*

*Quintem. Baron pędził korytarzem, nawołując irlandzką dziwkę.*

*- Ginny! Ginny, zaczekaj!*

*Ujrzał ją w dali. Biegła w stronę tylnych schodów, szal z czarnej koronki powiewał za nią. Omal się nie przewróciła, gdy nagle ktoś wbiegł*

*po schodach i prawie się z nią zderzył.*

*- Nic ci się nie stało, mamusiu? - zawołał jakiś wysoki głosik.*

*Quint stanął jak wryty, gdy śliczna dziewczynka z wielkimi niebieskimi oczyma i ciemnymi lokami podbiegła do Ginny.*

*- Nie, Sorscha! - wrzasnęła Ginny. - Uciekaj stąd!*

*- Ginny? - spytał Quint zmienionym głosem.*

*Słyszał kroki Carstairsa, podążającego za nim ostrożnie.*

*- No, no! Co my tu mamy? - mruknął hrabia.*

*Ginny odwróciła się błyskawicznie, zasłaniając sobą dziecko.*

*- Zostaw ją w spokoju! Ona nie ma z tym nic wspólnego! Odejdź,*

*Sorscha! Już cię tu nie ma!*

*Ale dziewczynka przywarła do niej.*

*- Nie opuszczę cię, mamusiu. Nie zmusisz mnie do tego!*

*Quint wpatrywał się w małą, oczy znowu miał nieprzytomne. Borykał się z pamięcią. Wtedy, ostatniej nocy, byli ze sobą...*

*- Czy ona jest moja? - wykrztusił z trudem.*

*- Tak - odparła Ginny drżącym głosem. - Tak, Quint! Ona jest*

*twoja. Nie pozwól Carstairsowi, żeby ją skrzywdził!*

*Quint zdawał się nie słyszeć. Kiedy wpatrywał się w dziewczynkę, migały mu przed oczyma sceny z życia, które mogłoby być jego udziałem.*

*- Ginny, ona jest piękna!*

*Na te słowa dziewczynka mruknęła coś gniewnie i ukryła buzię, tuląc się do Ginny.*

*- Pozwól mi popatrzeć na siebie, kochanie! Taka nieśmiała? Jak ci na imię?*

*Łagodność w głosie Quinta była jakaś sztuczna, nerwowa.*

*Ginny nalegała:*

*- Pozwól jej odejść, Quint! Zostanę z tobą, przysięgam. Tylko pozwól jej odejść!*

*Spojrzał na nią z wyrzutem.*

*- Myślisz, że mógłbym skrzywdzić własne dziecko?! Chodź no tu, mała! Jestem twoim tatą...*

*- To nie jest twój dzieciak, Quint!*

*- Co takiego?!*

*Zdezorientowany Quint popatrzył na Carstairsa, który odezwał się szorstkim tonem:*

*- Popatrz na nią! Przyjrzyj się uważnie!*

*Sposób, w jaki hrabia przyglądał się dziewczynce, sprawił, że Quint poczuł dreszcz niepokoju.*

*- C....co masz na myśli? - spytał niepewnie.*

*- To jeszcze jedno z kłamstw Ginny! Gdyby ci urodziła dziecko,*

*miałoby teraz dwanaście lat. Ta wygląda na jakieś szesnaście... - Carstairs urwał i zbliżył się bez pośpiechu do obu kobiet. - Znam tę małą! Przez*

*dwanaście lat brzmiały mi w uszach jej wrzaski!*

*Sorscha nagle zwróciła ku niemu twarz, schowaną dotąd na ramieniu matki. W jej niebieskich oczach, skierowanych na hrabiego, pojawił*

*się błysk zrozumienia.*

*- To pan!*

*- Nie myślisz chyba... - Quint spojrział na swego kompana*

*i zbladł.*

*- To dzieciak Strathmore'ów! Ginny uratowała smarkulę z pożaru*

*i wychowywała ją przez te wszystkie lata. Przykro mi, lady Sarah. Nie*

*mam osobiście nic przeciwko pani - powiedział, biorąc do ręki pistolet.*

*- Niestety, moim niemiłym obowiązkiem jest pozbyć się wszelkich dowodów.*

*- Nie!*

*24 - Ukochana diabła 3 6 9*

*Quint spostrzegł, że Ginny sięga do kieszeni, a równocześnie zastania dziewczynę własnym ciałem, ale nie zareagował dość szybko.*

*Huknął strzał.*

*- Mamusiu!*

*Przeraźliwy krzyk dziewczynki przeszył powietrze. Quint nie dostrzegł krwi na jej ubraniu.*

*Ginny upadła.*

*Quint wpatrywał się w nią, stojąc jak skamieniały. Był jak ogłuszony,*

*prawie nie oddychał, gdy na schody wbiegła Elizabeth Carlisle.*

*Kątem oka dostrzegł, że Carstairs z zimną krwią ładuje pistolet.*

*Z gardła Quinta wydobył się ryk. W następnej chwili, nie oprzytomniawszy jeszcze, chwycił Carstairsa i walnął nim o ścianę tak mocno, że tynk się zarysował, a hrabia skrzywił się z bólu.*

*- Przestań, Quint!*

*- Zabiję cię!*

*- Celowałem w tę małą. Nie moja wina, że Ginny ją zastłoniła.*

*Spójrz, jest i panna Carlisle!*

*Carstairs wskazał coś na końcu korytarza, ale Quint nawet nie spojrział w tamtą stronę. Zmrużył oczy z niesmakiem. Czy Carstairs sądzi, że go nabierze na taką dziecinną sztuczkę?!*

*- Mam cię dość!*

*Quint odwinął się i trzasnął potężną pięścią w nos Carstairsa, łamiąc go jednym uderzeniem. Miał na to ochotę od wielu lat!*

*Lizzie wpadła do wnętrza gospody zaledwie kilka sekund później niż Sorscha, zatrzymała się jednak na podeście w połowie schodów, gdy usłyszała Mary, która usiłowała ocalić życie dziewczynce, wmawiając Quintowi, że to jego córka. Lizzie pozostała w bezpiecznym ukryciu, wiedząc, że jeśli się pojawi, rozpęta się istne piekło i podstęp Mary pójdzie na marne. Teraz jednak, gdy Quint i Carstairs zwrócili się przeciw sobie, Lizzie wbiegła na korytarz. Twarz jej zszarzała na widok powalonej na ziemię, rannej sojuszniczki i jej rozhisteryzowanej wychowanki.*

*Lizzie przykłęka obok Mary. Była jak ogłuszona, ogarnął ją paniczny strach na widok krwi, sączącej się z boku rannej. Z trudem przełknęła ślinę.*

370

*- Tak mi przykro, Mary! Usłyszała strzał i mi się wyrwała.*

*Mary Harris lekko poruszyła głową.*

*- W porządku. Dbaj o nią. Idźcie już, błagam. Weź to! - Ukradkiem wsunęła pistolet w rękę Lizzie. - Nie zdążyłam strzelić. Jest naładowany.*

*Zapominając o skręconym nadgarstku, Lizzie odruchowo chwyciła broń prawą ręką i aż się wzdrygnęła z bólu. Znakomicie, pomyślała z bezsilną złością. W odróżnieniu od Jacindy nigdy w życiu nie strzelała jeszcze z pistoletu. A teraz, kiedy ich życie od tego zależy, musi to uczynić, w dodatku lewą ręką! Przez całą długość korytarza popatrzyła na Carstairsa, który usiłował zasłonić się przed następnym ciosem Quinta, po czym podniosła się z klęczek.*

- Chodź, Sorscha! Za chwilę przestaną się bić.

- Mamusiu! To wszystko moja wina! Przepraszam! Dlaczego cię

nie posłuchałam?

- Już dobrze, Sorscha. - Mary z najwyższym wysiłkiem objęła jej

twarz rękoma. - Kocham cię, córeczko! Widzisz, lord Carstairs powiedział prawdę. Jesteś arystokratką. Dawno już powinnam ci o tym powiedzieć... Wybacz mi! Po to przywiozłam cię do Londynu, byś odzyskała...

należne ci miejsce.

- Nie! Zależy mi tylko na tobie! Mamusiu, nie opuszczaj mnie!

- Panno Carlisle! - wyszeptała błagalnie Mary, spoglądając z bólem

na dziewczynkę.

Lizzie skinęła głową i przygarnęła do siebie splakaną pensjonarkę.

- Idziemy, Sorscha!

Quint potężną jak młot pięścią walnął znów Carstairsa i rozorał mu

policzek. Lizzie usiłowała odciągnąć Sorschę od matki, choć rozpacz

dziewczynki rozdzierała jej serce.

- Nie! - zawodziła Sorscha. - Zostanę tu, razem z nią!

- W takim razie zginiesz. Posłuchaj mnie. - Lizzie chwyciła ją za

ramiona i potrząsnęła dziewczynką, patrząc jej uparcie w oczy. - Została

ranna, bo chciała cię ocalić. Jeśli cię dopadną, jej ofiara pójdzie na marne.

Tego właśnie chcesz?!

Dotarło to wreszcie do Sorschy. Obrzuciła ostatnim, długim spojrzeniem Mary, leżącą nieruchomo na podłodze. Półprzytomna z bólu pozwoliła, by Lizzie pociągnęła ją za sobą.

371

Mary uśmiechnęła się słabo, ale z satysfakcją, gdy po słynnym prawym sierpowym Quinta Carstairs stracił przytomność. Ten osilek przynajmniej raz się na coś przydał!

*Pozostawił nieprzytomnego hrabiego na podłodze i podbiegł do niej. Uniósł z trudem rękę, by powstrzymać go od pościgu za dwiema uciekinierkami.*

*- Zostań ze mną! - szepnęła. - Obejmij mnie, Quentinie...*

*Padł na kolana obok niej i wpatrywał się w nią z bólem.*

*- Och, co ja ci zrobiłem, kochanie moje! - jęknął i wziął ją czule w ramiona. - Ginny!*

*Wzdrygnęła się z bólu. Czowała, że przytomność zaraz ją opuści. Quint całował jej włosy, gładził swymi niezgrabnymi paluchami jej pokancero-*  
*wany policzek. Była zbyt słaba, by uwolnić się od jego karesów.*

*- Wybacz mi, kochanie moje! Czy zdołasz mi kiedyś wybaczyć?*

*- Quentin, mój skarbie - szepnęła, zanim straciła przytomność.*

*-Idź do diabła...*

*Johnny okazał się niespodziewanie wojowniczy, ale Dev pokonał go*

*niemal w tym samym momencie, kiedy na górze rozległ się drugi wystrzał. Usłyszał krzyk jakiejś dziewczyny i pomyślał, że to pewnie jedna z osób goszczących w zajazdzie. Nie wątpił, że odpowiedzialność za strzelaninę ponoszą Quint i Carstairs.*

*Gdy przycisnął Johnny'ego do kamiennych płyt podłogi i wparł się kolanem w jego plecy, podbiegli staruszkowie ze zwojem konopnej liny.*

*Związali Johnny'emu ręce za plecami, a właściciel zajazdu wepchnął chłopakowi brudną ścierkę do ust, żeby nie wezwał współników.*

*Dając na migi znaki podekscytowanym staruszkom, by zachowali milczenie, Devlin wręczył strzelbę szynkarzowi.*

*- Jeśli się ruszy, niech pan strzela! - polecił szeptem.*

*- Już się nim tamci zaopiekują! Ja zapoluję z panem na tych na górze - burknął w odpowiedzi muskularny gospodarz, skinieniem głowy wskazując schody.*

*Dev potrząsnął głową. Z jego oczu zionęła żądza mordy.*

*- Tamci należą do mnie.*

*Upewniwszy się, że na dole wszystko w porządku, bezszelestnie jak cień pomknął na górę, przeskakując po dwa stopnie naraz. Był już nie-*

*372*

*mal u szczytu schodów, gdy zauważył, że zamieszanie z tajemniczym Mortimerem dobiegło końca.*

*Chowając do pochwy nóż i biorąc do ręki pistolet, nasłuchiwał, oparty plecami o ścianę. W zajeździe zapadła cisza. Dev wynurzył się z cienia i ruszył górnym korytarzem z bronią odbezpieczoną i gotową do strzału.*

*Korytarz był pusty, pokryte kurzem latarenki ledwo świeciły. Zaglądając do mijanych pokoi, posuwał się wolno i ostrożnie. Zaciekawilo go krzesło, blokujące jedne z drzwi, ale na razie poszedł dalej.*

*Dotarł wreszcie do zakrętu korytarza. Jego uwagę zwróciło jakieś niskie, śpiewne zawodzenie. Serce zabiło mu szybciej. Zebrał się w sobie i wypadł zza zakrętu, gotów do strzału. Ujrzał doprawdy niezwykły widok.*

*Rozglądał się dokoła sceptycznie, nie bardzo wierząc oczom. Carstairs leżał na podłodze, nieżywy lub nieprzytomny. Quint, zwrócony plecami do zbliżającego się Devina, klęczał, obejmując bezwładne ciało ubranej na czarno kobiety. Tulił ją jak dziecko w ramionach.*

*To Ginny Highgate! - domyślił się Dev. Rozpoznał wdowie woale kobiety, która śledziła go przed kilkoma tygodniami. Nie wiedział, dlaczego była taka zainteresowana jego poczynaniami. Zauważył tylko*

*z gorzką ironią, że odpowiedzi, których od tak dawna poszukiwał, przepadły raz na zawsze w chwili, gdy aktorka wyzionęła ducha.*

*- Ocknij się, Ginny! Zostań ze mną! - zaklinał bezskutecznie*



*Quint.*

*Oczy miała zamknięte, ale zdawało mu się, że jej powieki drżą. Nie*

*był pewny, czy Ginny jeszcze żyje. Ułożył ją ostrożnie na podłodze*

*i przyłożył trzęsące się palce do jej szyi, rozpaczliwie szukając pulsu.*

*Jego wina była zbyt wielka. W tej strasznej chwili nie mógł uciec od*

*prawdy. Uwierzył wówczas, przed laty, w łgarstwa Carstairsa, chociaż*

*powinien był zaufać Ginny. Zapewniała go o swej niewinności, przysięgała, że nic jej nie łączyło z Carstairssem i nigdy nie zdradziła Quinta.*

*Dlaczego jej nie uwierzył? Bo wiedział, że jest niewiele wart, a Carstairs*

*był od niego znacznie bogatszy, mądrzejszy i miał polor, którego on,*

*Quint, nigdy nie zdobędzie. Carstairs powiedział mu wtedy, przed laty,*

*że zastał Ginny u siebie, że czekała na niego w łóżku. Wówczas jeszcze*

373

*nie miał pojęcia - prowincjonalny głupek! - że jego przyjaciela nie interesują kobiety.*

*Ale nieszczęście już się stało. Zgwałcił jedyną kobietę, jaką naprawdę kochał, zastrzelił w*  
*wybuchu wściekłości niewinnego, bezbronnego człowieka... A potem pomógł spalić żywcem tych*  
*wszystkich ludzi w gospodzie. I to wszystko z powodu kłamstwa! Gdyby miał w sobie*

*choć cząstkę tego męstwa, jakie okazał ojciec Deva - obcy człowiek, którego zabił w ataku furii -*  
*to oddałby się w ręce policji... Albo przynajmniej skończyłby ze sobą dawno temu.*

*Zamiast tego, choć jego serce było jak gnijąca rana, Quint dbał tylko*

*o to, żeby dawna zbrodnia nie wyszła na jaw. I żył ostro - pił, chodził*

*na dziwki i walił pięściami, kogo popadło. Ustawicznie tęsknił za czymś*

*niewinnym i czystym, co uleczyłoby ból, który nosił w sobie, ale zawsze*

*wiedział, że należy do potępieńców. Żył tak ponad dziesięć lat, na skraju*

*przepaści, niejedną raz życząc sobie śmierci.*

*Nie wiedział, jak bliski jest jej w tej chwili.*

*Dev bez trudu mógłby zastrzelić sukinsyna, ale chociaż nie odrywał wzroku od szerokich pleców Quinta, opuścił pistolet. Nic z tego, mój stary! Nie zginiesz tak łatwo! A poza tym nigdy jeszcze nie strzelił nikomu w plecy. Nie spodli się i tym razem!*

*Z oczyma płonącymi nienawiścią Dev schował pistolet i wydobył nóż. Po czym powiadomił Quinta o swym przybyciu, uderzając klingą o ścianę.*

*Quint zesztyniał, podrażniony tym dźwiękiem. I wówczas za jego plecami rozległ się niski, ponury głos:*

*- To ty zabiłeś mego ojca! Chyba nie zaprzeczysz?*

*Strathmore! Quint nie odezwał się ani słowem. Widać wybiła jego godzina. Upragniona śmierć przyjdzie z ręki Strathmore'a.*

*Jednak gniew i żądza walki bez trudu znowu zawładnęły Quentinem. Wystarczyło mu spojrzeć na nieruchomą postać Ginny, by oczy zapłonęły niebezpiecznym gniewem.*

*- Wstawaj! - rzucił rozkazująco Strathmore.*

*Quint podniósł się sztywno.*

*- Pokonałeś Torquilla? - spytał, odwracając się do wicehrabiego.*

374

*- Ściśle rzecz biorąc, wypatroszyłem go - odparł Devlin. Na policzku miał jeszcze smugę krwi Stainesa. - To samo będzie z tobą!*

*- Nie radzę ci próbować, chłopie! - Quint kilkakrotnie zacisnął pię*

*ści, trzaskając ostrzegawczo kłykciami. - Raz cię już pokonałem.*

*- Ty głupcze! - Oczy Deva dziwnie błyszczwały, jak lód, w którym*

*odbijają się płomienie. - Pozwoliłem ci wtedy wygrać!*

*Quint chwycił za sztylet. Nie było innego wyjścia.*

*- Bardzo mi przykro z powodu twojego ojca. Powinien był wiedzieć, że nie należy się wtrącać do kłótni zakochanych.*

*- Pewnie mam to uważać za przeprosiny?*

*- Nie - odparł po chwili Quint.*

*Dev spojrzął na Ginny, leżącą na podłodze za Quentinem.*

*- Musiałeś i z nią skończyć?*

*- To nie ja zastrzeliłem Ginny. To Carstairs. - Quint potrząsnął głową, unosząc broń, i stanął, gotów do walki. - Ostrzegam cię, Strathmore, trzymaj się ode mnie z daleka! Carstairs zabił jedyną kobietę, jaką kiedykolwiek kochałem. Nie mam nic do stracenia!*

*- No to obaj jesteśmy w tej samej sytuacji! - warknął Dev. Kiedy mierzyli się oczyma, zimny uśmiech pojawił się na ustach Strathmore'a.*

*- Nie martw się, Quint! Wkrótce wybawię cię od cierpień!*

*- Albo ja ciebie.*

*Zaczął się zażarty pojedynek. Każdy z nich wiedział, że walczy na śmierć i życie. Obu było to na rękę.*

*Łoskot i drżenie podłogi wyrwały Carstairsa z odrętwienia. W pierwszej chwili nie czuł swej twarzy, potem odezwał się pulsujący ból. Prawie nie widział na lewe oko. Całkiem zapuchło. Musi okropnie wyglądać!*

*Ostatnią rzeczą, jaką pamiętał, była pięść Quinta, zmierzająca ku*

*niemu niczym kula armatnia. Gdy się ocknął, okazało się, że jakimś cudem odnalazł ich Strathmore. Ciekawe, czy Johnny, którego zostawili na dole, nadal żyje? Hrabia nie miał jednak siły przejmować się tym.*

*Otrzeźwiał na tyle, że zbudził się w nim instynkt samozachowawczy.*

*Potrząsnął głową w nadziei, że zacznie lepiej widzieć, i ocenił sytuację.*

*Ginny już nie żyła. Jeden kłopot mniej. Quint unieszkodliwi*

*Strathmore'a albo Strathmore załatwi Quinta. Przynajmniej jeden z nich padnie trupem. Zwycięzcę łatwo będzie wykończyć jedną kulą.*

*Problem w tym, że uciekła smarkata siostra Strathmore'a... podobnie jak panna Carlisle! Hrabia oprzytomniał. Dziewczyna była świadkiem pożaru, a nauczycielka omal nie zginęła z jego ręki kilka godzin temu. Jedyнным rozsądnym rozwiązaniem było więc odnaleźć obie i uciszyć raz na zawsze.*

*Jego pistolet spoczywał spokojnie w futerale. Kulę zużył jednak na Ginny. Zauważył, że skórzana kasetka z nabojami leży kilka kroków od niego. Widocznie upadła, gdy Quint go zaatakował. Musi ją odzyskać...*

*Czuł się jednak nie najlepiej i wolał nie zwracać na siebie uwagi walczących. Zerknął na nich - cięli się i rąbali nawzajem z drapieźnymi grymasami na twarzach.*

*Byli zbyt zajęci krajaniem się na kawałki, by zwracać na niego uwagę. Podpierając się łokciami i pełząc na brzuchu, Carstairs powolutku zbliżał się do kasetki z amunicją.*

*On tu jest! Biegająca do tylnych drzwi Lizzie, znieruchomiała nagle, słysząc gniewny okrzyk Devlina.*

*- Chodźmy, panno Carstairs! - nalegała Sorscha. - Musimy się spieszyć!*

*Lizzie nie potrafiła odpowiedzieć. Wpatrywała się w osłupieniu w schody, które dopiero co zostawiły za sobą. A więc Dev pokonał Torquila!*

*- Chodźmy stąd!*

*- Chwileczkę, Sorscha! - szepnęła ledwie dostłyszalnie.*

*Nagle okazało się, że Lizzie nie potrafi uporać się ze swoimi emocjami lepiej niż Sorscha. Po prostu nie mogła zostawić ukochanego, nie upewniwszy się, że jest cały i zdrowy! Bliskość Devlina nappełniła ją*

*nową odwagą.*

*Kiedy Sorscha chwyciła ją za ramię, Lizzie odepchnęła dziewczynkę.*

*- Chcę się tylko przekonać, że nic mu się nie stało! Zostań tu!*

*Nie zważając na protesty towarzyski, Lizzie wspięła się na schody*

*i dotarła do niewielkiego podestu na półpiętrze. Spojrzała z niepokojem*

*w stronę korytarza, widząc tylko dwa wielkie cienie, miotające się lub*

*zwierające ze sobą. Jeden z nich miał bujną grzywę. Walczący wymierzali ciosy i parowali je z zapierającą dech szybkością. Godzące w siebie ostrza wznosiły się groźnym łukiem.*

376

*Aż jęknęła ujrawszy, że Quint rozorał Devlinowi bok, ale jej ukochany wybuchnął tylko śmiechem. Co prawda, był to najbardziej przerażający śmiech, jaki kiedykolwiek słyszała, pełny gorzkiego szyderstwa i rozpacz.*

*Dev zatoczył się na ścianę i przez sekundę mogła go wyraźnie widzieć z miejsca, na którym stała, Wystarczyło jedno spojrzenie, by się zorientować, że zupełnie oszalał.*

*- Nie stać cię na nic lepszego, stary?*

*- Tak ci spieszo do śmierci? - sapnął wyzywająco Quint.*

*- Mnie też Carstairs zabił ukochaną, Quint! Nie mam nic do stracenia. Postaraj się lepiej!*

*I Devlin znów zaatakował, znikając Lizzie z oczu.*

*Dziewczyna zbladła. Nagle wszystko zrozumiała.*

*Dev myśli, że nie żyję!*

*To wyjaśniało, dlaczego walczył jak straceniec.*

*Dobry Boże, on się nie uspokoi, póki sam nie zginie!*

*Ogarnęło ją przerażenie. Wiedziała, że nie powinna rozpraszać uwagi Deva, ale nie mogła pozwolić, by zginął! Musi mu się pokazać.*

*Wiedziała, że naraża się na niebezpieczeństwo, miała jednak pistolet*

*Mary i mogła się w razie czego obronić. Wchodząc wyżej po schodach,*

*trzymała się ściany i na wszelki wypadek ujęła pistolet lewą, zdrową*

*ręką.*

*Posuwała się coraz wyżej. Mogła teraz obserwować walkę na korytarzu. Poczula niemal litość dla Quinta. Brutalny baron był silny jak byk i niemal równie wielki. Przewyższał Deva o kilka cali i był od*

*niego cięższy co najmniej o pięć funtów. Ale z pewnością nigdy jeszcze nie miał do czynienia z takim przeciwnikiem jak wściekły Diabeł*

*Strathmore!*

*Lizzie sama nie wiedziała, co o nim teraz myśleć, ale nie mogła oderwać od niego oczu. Twarz była dzika, zbryzgana krwią. Oczy płonęły jak roztopiona lawa. Był zlany potem, mięśnie miał napięte do ostatnich*

*granic. Zdawało się, że nie czuje rany w boku. Lizzie spoglądała przerażona na szkarłatną plamę w miejscu, gdzie biała koszula przylgnęła do skaleczenia.*

*Skupienie, widoczne na twarzy Devlina, dziwnie kontrastowało z niewymowną udręką, bijącą z jego oczu. Zdawało się, że Dev przebywa*

*377*

*w innym świecie, niezmiernie odległym, że błąka się zagubiony na bezdrożach własnej duszy, wypalonej do cna.*

*Lizzie czuła, że nigdy jeszcze nie była mu potrzebna, tak jak w tej chwili. Nie wiedziała, czy ma jeszcze czas, by go powstrzymać. Lękała się odezwać, by nie osłabić jego koncentracji. Nie mogła też strzelić do Quinta, kiedy znajdował się tak blisko Deva. Mogła tylko stać i czekać bezradnie, póki Dev nie odepchnął Quinta daleko od siebie, na drugą stronę korytarza.*

*Dev uwolnił się wreszcie od przeciwnika i otarł pot z czoła. Nagle poczuł na sobie czyjś wzrok.*

*Obejrzał się i skamieniał. Z trudem chwycił oddech.*

*Lizzie...*

*Zapomniał o Quincie, wpatrzony w osłupieniu w zjawę. Czy to możliwe?*

*Jakim cudem?!*

*Wyrwał mu się zdławiony szloch. Torquil Staines albo celowo go okłamał, albo się pomylił. Tak czy owak, jakie to miało znaczenie?*

*Lizzie żyła!*

*Czas się zatrzymał.*

*Światło wypierało przepelniającą go ciemność, kiedy wpatrywał się w piękne oczy Elizabeth. Nagle, w mgnieniu oka, doznał odkupienia.*

*Wpatrywał się w ukochaną w osłupieniu.*

*Ona żyła!*

*Otrzymał jeszcze jedną szansę!*

*- Najmilszy! - szepnęła Lizzie, a oczy jej napętniły się łzami.*

*Oczy Deva również zwilgotniały. Nie spuszczał z niej wzroku. Całe jego ciało dygotało jak zajeżdżony bezlitośnie koń. Nic więcej nie miało już znaczenia, odkąd ujrzał ją stojącą przed nim, żywą i piękną. Był tak porażony jej widokiem, że nie zauważył, iż Quint już się pozbierał.*

*- Uważaj, Dev!*

*Baron natarł na niego.*

*Devlin natychmiast się odwrócił, cofnął się poza zasięg ramienia*

*Quinta, po czym zaatakował go z morderczą precyzją. Obaj zastygli*

*w bezruchu. Nóż Devlina zagłębił się w brzuchu przeciwnika.*

*Quint wydał cichy, chrapliwy pomruk. Cios był śmiertelny.*

*Dev wyciągnął skrwawione ostrze.*

*Quentin zatoczył się na przeciwległą ścianę. Przez sekundę stał oparty o nią, jakby zdziwiony, że mu się nie udało.*

*- Ginny - wycharczał jeszcze, po czym osunął się po brudnym tynku.*

*Upadł na podłogę. Jego szkliste oczy wpatrywały się w leżącą kobietę. Dev obrzucił wzrokiem cały korytarz. Nagle podniósł głowę, a krew odpłynęła mu z twarzy.*

*- Gdzie jest Carstairs?!*

*Ledwie wypowiedział te słowa, jakiś ruch sprawił, że Lizzie odwróciła się w stronę uchylonych drzwi jednego z pokoi.*

*Ustyszała krzyk Deva, gdy hrabia wyskoczył stamtąd, wywijając sztyletem.*

*Zamachnął się na nią z groźnym warknięciem. Odskoczyła do tyłu i wpadła na przeciwległą ścianę ciasnego korytarza.*

*W mgnieniu oka uniosła lewą ręką pistolet i przez sekundę spoglądała zimno w nieprzytomne oczy Carstairsa.*

*Wypaliła. I miała wrażenie, że czas się zatrzymał. Odwróciła twarz, by ochronić się przed deszczem krwawych kropel. Ogłuszył ją straszliwy ryk hrabiego.*

*Gdy - ułamek sekundy później - odważyła się spojrzeć na niego,*

*Carstairs wpatrywał się w ranę na piersi, tuż pod lewym obojczykiem.*

*Była niemal pewna, że strzeliła mu prosto w serce, ale on wpatrywał się w nią wzrokiem potępieńca.*

*- Uciekaj! - wrzasnął Dev.*

*Jej oczy rozszerzyły się ze strachu.*

*Mimo że trafiony w pierś, Carstairs nacierał!*

*Z przeraźliwym krzykiem Lizzie odwróciła się w oczekiwaniu... ale*



*atak nie nastąpił.*

*Carstairs runął u jej stóp martwy jak głaz. Jego otwarte niebieskie oczy niczego już nie widziały.*

*Lizzie jęknęła, upuściła bezużyteczny pistolet i, przytknąwszy rękę do ust, odwróciła się od trupa.*

*Devlin znieruchomiał, spoglądając to na ciało zabitego Carstairsa, to na nią.*

379

*Lizzie z trudem przełknęła ślinę i popatrzyła na Deva.*

*- Zabiłam go!*

*Skinął głową i zmierzwiwszy wzrokiem ciało stwierdził z podziwem:*

*- Dobry strzał!*

*- Och, Dev...*

*Podbiegła do niego, a on do niej.*

*Spotkali się w pół drogi. Ścisnął ją z całej siły, obejmował i tulił do siebie coraz mocniej i mocniej, jakby nigdy już nie miał jej puścić.*

*- Kocham cię! - szepnęła z przejęciem, odsuwając się nieco, by spojrzeć mu w oczy. - Nic ci się nie stało?*

*Dotykała jego włosów, policzka, gładziła go wszędzie, jakby chciała się upewnić, że nie jest poważnie ranny.*

*Potakiwał uspokajająco, choć wyczerpanie walką dawało mu się we znaki.*

*- Czuję się cudownie... w tej chwili. Ja też cię kocham, moja najmilsza! Myślałem, że mnie opuściłaś - wykrztusił z trudem.*

*- Nigdy cię nie opuszczę, najdroższy! Nigdy! - zapewniała go. -*

*Usiądź! Jesteś przecież ranny!*

*- To nic wielkiego. Och, Lizzie! Nie mogę jeszcze uwierzyć... -wyjąkał. Ujął jej twarz w obie ręce. - Musisz mnie pocałować. Natychmiast!*

*- Z radością! - szepnęła i cała jej twarz rozjaśniła się uśmiechem.*

*Pochylił się i spadł na jej usta zgłodniałym pocałunkiem. Odpowiedziała równie żarliwie, z czułością i namiętnością, która ją przepęłniała.*

*Po tym gorącym pocałunku znowu przygarnął jej głowę do swej piersi. Odpoczywała tak przez chwilę, oddychając z ogromną ulgą, gdy nagle usłyszeli stłumiony turkot powozu, zbliżającego się do gospody.*

*- Gdzie jesteś, milordzie? - odezwał się dobrze im znany głos.*

*- Ben!*

*Wymienili uśmiechy pełne czułości i ciepła. I nagle Lizzie oprzytomniała.*

*- Dev, jest tu ktoś, z kim musisz się koniecznie spotkać!*

*Przekrzywił głowę zaintrygowany i pozwolił zaprowadzić się za rękę do tylnych schodów, na których Lizzie zostawiła Sorschę.*

*Zszedłszy poniżej podestu, Elizabeth się zatrzymała. Oczy jej się rozszerzyły. Na schodach nie było nikogo!*

*- Sorscha uciekła! Sor...*

380

*- Tu jestem!*

*Wysoki głosik był stłumiony. Zdawał się dochodzić z wnętrza ściany za schodami.*

*Co u licha?!*

*- Gdzie się podziewasz?! Nic ci się nie stało? - nawoływała zdezorientowana Lizzie.*

*- Czy już jest bezpiecznie? - spytała Sorscha.*

- Tak! Wyjdź wreszcie, proszę!

- Któż to taki? - Devlin rzucił Lizzie zdumione spojrzenie.

- Zaraz się przekonasz!

Z wnętrza ściany dochodziło skrzypienie jakiegoś zardzewiałego mechanizmu.

- Schowała się w ręcznej windzie! - wykrzyknęła Lizzie i ze śmiechem podbiegła do małych drzwiczek. - Sprytna dziewczynka!

Skrzypienie stało się jeszcze głośniejsze. Sorscha operowała bloczkami, opuszczając się na dół w szybie windy. W końcu wszystko ucichło.

Lizzie otworzyła drzwiczki. Skinęła na Devlina i uśmiechnęła się do

niego figlarnie. Zmarszczył brwi i schyliwszy się, zajrzał do niewielkiego otworu.

Zmieształ się lekko, gdy znalazł się nos w nos z młodziutką dziewczyną, która siedziała skulona w windzie.

Pomyślał, że jest w tej małej coś znajomego. Potem przypomniał sobie, że ją widział podczas odwiedzin w szkole Lizzie. Teraz, gdy dziewczynka spoglądała na niego poważnie, zauważył, że ma czarne kędziory, podobne do jego włosów. A oczy niebieskozielone, tak samo jak on.

- Dzień dobry - powiedziała cichym głosem.

Odwrócił się do Lizzie. Spoglądał oniemiały, nie mogąc **uwierzyć**

sercu, które podpowiadało mu, kto to taki.

- To niemożliwe!

- Ale prawdziwe - odparła szeptem Lizzie i łzy **napłynęły jej do** oczu.

Oszołomiony Dev zwrócił się znów do dziewczynki. **Ledwie mógł**

wydobyć z siebie głos.

- Sarah?

- Już pamiętam! - odpowiedziała, wpatrując się w **niego**. - **Pamiętam** wszystko! A najlepiej ciebie. Jesteś Devlin, mój starszy **brat!**

*- O Boże, Sarah! - szepnął bez tchu i wyciągnął ręce, by pomóc jej*

*wyjsc z windy.*

*Wydostała się z niej i zarzuciła mu ramiona na szyję. Ściskali się zawzięcie w radosnym powitaniu. Oboje płakali. Dev przyciągnął Lizzie i ucałował ją w głowę. Obejmowali się teraz wszyscy troje.*

*Nie wiedziała, jak długo stali tak, pełni radosnego zdumienia, ale musia*

*to upłynąć kilka minut, nim z korytarza na górze dotarł do nich głos Bena.*

*- Dev! Milordzie! Jesteś tam? Potrzebna mi pomoc!*

*Devlin podniósł głowę. Łzy radości błyszczały w jego oczach.*

*- Czego chcesz? - zapytał.*

*- W powozie jest podręczna apteczka! - zawołał Ben. - Ta kobieta*

*jeszcze żyje!*

*- Mama! - szepnęła Sorscha.*

*Puściła brata i pomknęła po schodach na górę.*

*Dev popędził po leki, Lizzie zaś udała się spieszenie na piętro, żeby*

*zobaczyć, w czym może pomóc.*

*Sorscha klęczała obok przybranej matki, a Ben zdierał z szyi fular,*

*by opatrzyć ranę w boku Mary.*

*ojciec próbował ocalić mi życie, milordzie - mówiła powoli*

*Mary, kiedy siedzieli na słońcu, kilka dni później.*

*Tym razem nie miała woalu. Cieszyła się ciepłą pieśczołą słonecznych promieni na okaleczonej twarzy. Uświadomiła sobie, że nadszedł*

*czas, by udzielić młodemu wicehrabiemu wszelkich wyjaśnień, na których tak mu zależało.*

*Jeśli chodzi o Deva, to bliźny Mary nie raziły go ani trochę. Zawdzięczał tej bohaterskiej kobiecie więcej, niż zdołałby wyrazić. Oboje z Lizzie słuchali z zapartym tchem jej opowieści, podczas gdy Ben siedział w pobli*

*żu na stopniach ganku, mając baczne oko na Sarah i jej przyjaciółkę Daisy.*

*Dziewczynki bawiły się z kotem w ogrodzie koło domu Deva przy*

*Portman Street. Wesoły dziewczęcy śmiech łagodził nieco smutek Deva,*

*gdy słuchał relacji Mary o pożarze.*

382

*- Quint zastrzelił pańskiego ojca, milordzie, w wybuchu wściekłości. Tylko dlatego, że próbował przemówić mu do rozsądku. Ale to Carstairs wpadł na pomysł wzniesienia pożaru, by zatrzeć ślady zabójstwa.*

*- Dlaczego wybrali tak straszliwe rozwiązanie?! - zdumiała się Lizzie.*

*- Nie mam pojęcia - odparła Mary. - Domyślam się, że Carstairs wpadł w panikę.*

*Devlin zauważył, że Lizzie zadrżała. Z pewnością żywo stanął jej w pamięci moment, gdy zabiła hrabiego w zajeździe. Wyciągnął rękę i pogładził ją po naprężonych plecach. Całe szczęście, że już wcześniej udał się wraz z Suzy na Bow Street i powiadomił policję, że Carstairs, Randall i Staines stanowią śmiertelne zagrożenie dla niego i dla Lizzie.*

*Uprościło to znacznie sprawy, gdy przyszedł czas na wyjaśnienie, co zaszło w gospodzie. Johnny'ego poddano długiemu przesłuchaniu. Miał*

*pozostać w areszcie do chwili, gdy o jego dalszym losie postanowi sąd.*

*Mortimer i jego żona okazali się znakomitymi świadkami. A poparcie wpływowej rodziny serdecznie zaprzyjaźnionych z Lizzie Knightów też okazało się pomocne.*

*Wyszło na jaw, że jeden z bliźniaków, lord Lucien Knight, miał powiązania z wymiarem sprawiedliwości. Asystował więc przy rozpatrywaniu całej sprawy i zadbał o to, by wszelkie niezbędne formalności były dla Deva i Lizzie jak najmniej uciążliwe. Oboje zostali jednak przesłuchani. Przeszli tę ciężką próbę wspólnie - i tak właśnie zamierzali odtąd stawiać czoło wszelkim trudom życia. Teraz też Lizzie spojrzała na narzeczonego z wdzięcznością i odprężyła się pod jego dotknięciem.*

*Devlin zwrócił znów całą uwagę na Mary, która kontynuowała swą opowieść.*

*- Pańska matka nie odstępowała rannego męża. Nie opuściła go nawet wówczas, gdy wiedziała, że zginie razem z nim w ogniu. Usiłowała go podnieść w nadziei, że jakoś zdoła wyprowadzić go z płonącego budynku, ale okazało się to niemożliwe.*

*Lizzie splotła palce z palcami Deva, chcąc go wesprzeć tym niemym gestem.*

*- Staralam się im pomóc, ale nawet we dwie nie miałyśmy dość siły, a nikt nie pospieszył nam na ratunek. Większość osób, przebywających na piętrze, uciekła już wcześniej, zaalarmowana dymem. Pańska matka błagała mnie, bym uratowała jej córeczkę. Żeby tego dokonać, musiałam*

383

*opuścić pańskich rodziców. Cały dom już płonął. Tuliłam Sorschę... to znaczy Sarah - poprawiła się - w ramionach... I w końcu zdołałyśmy się wydostać. Tylko garstka z nas miała tyle szczęścia.*

*Devlin zauważył, że spojrzenie Mary, gdy to mówiła, kieruje się*

*w stronę Bena. Często się to zdarzało od czasu, gdy po raz pierwszy*

*ujrzała człowieka, który uratował jej życie, i usłyszała jego łagodny głos.*

*Wydawało się, że wyczuwa w nim bratnią duszę. Obojgu życie nie szczędziło ciężkich prób, ale wyszli z nich zahartowani. Devlin uniósł brew.*

*Dałby głowę, że jego przyjaciel zaczerwienił się pod spojrzeniem Mary,*

*ona zaś uśmiechnęła się lekko i spuściła oczy.*

*- Zabrałam pana siostrę do Irlandii - opowiadała dalej. - I żyłyśmy*

*tam całkiem spokojnie. Kiedy przeczytałam w gazecie o pańskim powrocie do Anglii, zrozumiałam, milordzie, że już czas, by Sarah wróciła do rodzinnego domu.*

*- Jest pani doprawdy niezwykłą kobietą - powiedział miękko Dev.*

*- Święte słowa! - szepnęła Lizzie i przytaknęła ruchem głowy.*

*- Jak zdołam się pani odwdzięczyć? Ocaliła pani życie mojej siostrze...*

*- I mnie! - przypomniała im Lizzie.*

*Mary się uśmiechnęła.*

*- Pozwólcie tylko, bym nadal mogła uczestniczyć w życiu Sarah...*

*i w waszym.*

*Lizzie ścisnęła ją za rękę i się uśmiechnęła.*

*- Mam coś dla ciebie, Mary!*

*Sięgnęła do kieszeni i wręczyła jej zaproszenie na ślub.*

*Mary uśmiechnęła się szeroko.*

*- Moje gratulacje!*

*- Przyjdzie pani, prawda? - pospiesznie wtrącił Devlin.*

*Mary zerknęła z ukosa na Bena.*

*- Jeśli znajdę odpowiednią eskortę.*

*Lokaj zamrugnął oczyma.*

- *Może chciałaby pani przejechać się po ogrodzie? Z przyjemnością*

*będę popychał fotel.*

- *To bardzo miłe z pana strony - odpowiedziała cicho.*

*Ze względu na swą ranę Mary korzystała -jak niegdyś lady Strath-*

*more - z fotela inwalidzkiego. Ben i Dev znieśli ją teraz, razem z fotelem, 384*

*z kilku stopni ganku. Kiedy służący chwycił za rączki i podjął zaszczytny*

*obowiązek obwożenia rekonwalescentki po ogrodzie kwiatowym, Dev*

*posłał mu rozbawione spojrzenie. Mówiło wyraźnie: „Ona ma do ciebie*

*słabość!” Ben wykrzywił się w odpowiedzi, ale Devlin był pewny, że*

*ujrzał kolejny rumieniec na brunatnej twarzy przyjaciela.*

- *Mamusiu! Popatrz na kotka!* - *zawołała Sarah, podnosząc do góry*

*kipiącego bezsilnym gniewem Pashę.*

- *Mrrrau!*

*Wszyscy wybuchnęli śmiechem na widok czepka, który dziewczęta*

*przywiązały do kudłatej łepetyny perskiego kota. Lizzie śmiała się najgłośniej.*

- *To czarcie nasienie ma wreszcie za swoje!*

*Dev wbiegł znów na ganek i, korzystając z tego, że wszyscy byli zajęci i nikt nie zwracał na nich uwagi, skłonił narzeczoną - błagalnymi spojrzeniami i natarczywym, acz delikatnym, ciągnięciem za rękę - by*

*wróciła wraz z nim do wnętrza domu.*

- *Masz ochotę na kolejnego całusa, co?* - *wyszeptała Lizzie z chytrym uśmieszkiem, obejmując go ramionami.*

- *Jeszcze jak!* - *odparł równie cicho.*

*Spełniła jego życzenie, ale dla Deva jeden pocałunek... a nawet dwa,*

*trzy lub cztery, to było stanowczo za mało! Ilekroć był tak blisko Lizzie*

*zapominał o wszelkim umiarze.*



*Zasłony w salonie były zaciągnięte, a drzwi niebawem zostały zamknięte na klucz. Devlin usadowił się na kanapie, Lizzie zaś siadła mu okrakiem na kolanach, podciągając wysoko spódnicę na smukłych*

*udach. Poruszali się w jednym rytmie z gorączkową niecierpliwością, kochając się pospiesznie, zanim ktoś zauważy, że znikli gdzieś we dwoje.*

*Był tylko jeden kłopot. Dev wcale nie chciał się spieszyć! Ta dziewczyna sprawiała, że stawał się nienasycony. Pragnął delektować się każdą chwilą. Nawet cała reszta życia nie wystarczy, by dostatecznie nasycić się Lizzie! Był zakochany po uszy i nigdy jeszcze nie zaznał takiego szczęścia. Wtargnął językiem do gościnnego, ciepłego wnętrza jej ust.*

*Był w siódmym niebie! Całe jego ciało przepelnione było błogością, gdy ukochana powoli unosiła się i opadała, ujeżdżając go i rozkoszując się nim do woli.*

*25 - Ukochana diabła*

385

*Szelma pozwalała sobie nawet drażnić go, zwlekając umyślnie i rzucając mu przekorne spojrzenia! Dev uśmiechał się, wydając groźne pomruki, i przyciągał ją do siebie, aż zanurzył się w niej całkowicie.*

*- Och, Dev! - Znieruchomiała, rozkoszując się ich bliskością. Potem przycisnęła gorące usta do jego czoła. - Tak cię kocham!*

*- Ja też cię kocham, Lizzie. Nigdy mnie nie opuszczaj! - szepnął,*

*wpatrując się w nią, urzeczony.*

*- Ja miałabym cię opuścić, mój panie? - Otworzyła swe piękne szare oczy i rzuciła mu figlarne spojrzenie. - Bierzesz mnie za głupią?!*

*- Nie, kochanie moje - mruknął z zadowoleniem. - Biorę cię za*

*żonę.*

# *Epilog*

*24 czerwca 1817 roku*

*Dzwony starego romańskiego kościoła dzwoniły radośnie nad senną*

*rzeką Medway i rozbrzmiewały w całym Maidstone. Miejscowy lord*

*brał dzisiaj ślub w tym kościele, podobnie jak każdy z poprzednich dziewięciu wicehrabiów Strathmore. Ale żaden z jego czcigodnych przodków - Dev był tego pewien - nie był tak szczęśliwy jak on w ten cudownie piękny sobotni poranek. Próbował skupić uwagę na słowach pastora, ale mimo woli ciągle spoglądał na swą oblubienicę.*

*Blask promieni słonecznych, wpadających przez wielkie okno nawy,*

*złocił kremową, gładką jak atlas skórę Lizzie. Wsluchiwała się w każde słowo proboszcza i wpatrywała w niego tym szczerym, poważnym wzrokiem, który przyprowadził Devlina o drżenie i przepelniał go czułością. Była tak piękna, że chętnie padłby przed nią na kolana. Taka serdeczna, czysta, subtelna i pogodna!*

*Jakby wyczuwając jego spojrzenie, zerknęła na niego z ukosa, spod*

*rzęs. Jej oczy zapewniały, że go kocha, a jednocześnie ostrzegały, by zachowywał się przyzwoicie. Usta Devlina wygięły się w leciutkim uśmiechu, gdy posłusznie skierował wzrok na proboszcza.*

*Nie zamierzał jednak wiecznie być taki grzeczny!*

*Przystąpił do działania, gdy tylko duchowny oznajmił, że teraz może pocałować swoją żonę.*

*Najmilsza Lizzie podsunęła mu zaróżowiony policzek.*

*Devlin uśmiechnął się szeroko i uniósł jedną brew.*

*Wszyscy zgromadzeni w kościele wybuchnęli radosnym śmiechem*

*i zaczęli bić brawo, gdy uniósł ją tak, że nie dotykała stopami ziemi,*

387

*i pocałował z całego serca. Stanęli przed ołtarzem dwa tygodnie wcześniej, niż przewidywał ostateczny termin, wyznaczony w testamencie ciotki Augusty. Co prawda nie miało to już żadnego znaczenia, ostatecznie jednak stara, chytra wiedźma dopięła swego! I Dev wiedział, że był to najcenniejszy dar, jaki otrzymał od ciotki. Wspominając z wdzięcznością*

*staruszkę i jej ekscentryczne pomysły, Devlin jeszcze mocniej ucałował żonę i silniej objął jej smukłą talię.*

*- O Boże! Czy musimy na to patrzeć? - obruszył się Alec, stojący obok Luciena w trzeciej ławce, po stronie przeznaczony dla rodziny panny młodej.*

*Odpowiedzią Luciena był cichy śmiech.*

*- Nie przejmuj się, braciszku! Ta naprawdę ci przeznaczona wkrótce się zjawi!*

*- Chcesz się założyć?*

*- Niepoprawny! -- ofuknął go szeptem Lucien. - Znów ciągnie cię do hazardu, co?*

*- Każdy ma swoje wady.*

*- Myślałem, że przyrzekłeś Lizzie, iż skończysz z tym raz na zawsze!*

*- W świetle ostatnich wydarzeń mogę chyba uznać swe przyrzeczenie za nieaktualne - odparł znacząco Alec.*

*Wiwatował jednak na cześć młodej pary wraz z resztą zebranych i z charakterystyczną dla niego zimną krwią zaakceptował ostatecznie zwycięstwo rywala.*

*Lucien dostrzegł posępne spojrzenie Aleca i się uśmiechnął.*

*- Ani się obejrzysz, braciszku, jak pojawi się twoja przyszła i powali cię na obie łopatki! A kiedy to zrobi, z przyjemnością uścisnę jej rękę.*

*- Oby tylko okazała się posażna! - wycedził Alec.*

*- Ach tak? W dalszym ciągu szczęście ci nie sprzyja?*

*- Wiesz, jak to jest: łatwo przyszło, łatwo poszło. Nie martw się*

*o mnie, stary. Prędzej czy później karta się odwróci. A na razie, pożyczysz mi dwadzieścia funtów?*

*Lucien uniósł ostrzegawczo brew.*

*- Tylko się nie wygadaj przed moją żoną!*

*Alec roześmiał się, pokrył to kaszlem i spojrział znów na młodą parę.*

*Strathmore w końcu puścił Kruszynekę.*

388

*- Jego żona, twoja żona... Banda pantoflarzy! Ale on niech się lepiej*

*okaże porządnym mężem! - dodał z żalem.*

*- Ślepy jesteś, czy co?! On świata poza nią nie widzi! - odparł Lu-*

*cien i miał, jak zwykle, rację.*

*Dev i Lizzie po prostu promienieli, krocząc główną nawą. Postępowała za nimi reszta weselnych gości, na czele z Jacindą, Billym i młodziutką Sarah, świeżą jak poranek.*

*Wynurzyli się z kościoła na wspaniałe złociste słońce. Powóz weselny czekał, przystrojony girlandami. Było to eleganckie lando ze składanym dachem, ciągnęły je cztery siwki z głowami strojnymi w złote pióropusze.*

*Kiedy reszta gości tłoczyła się przy wyjściu z kościoła, Lizzie roześmiała się, szczęśliwa, i zarzuciła mężowi ręce na szyję. Chwycił ją w ramiona i zaniósł do landa. Kiedy go całowała, białe kwietne płatki*

*posypały się na nich jak śnieg.*

*Gdy otworzyła oczy, nadal obejmując Deva, jej wzrok przyciągnęła*

*strzelista szara wieża kościoła na tle lazurowego nieba. Płynęły po nim*

*pierzaste obłoczki... Ten widok był upajająco piękny jak ich miłość!*

*- Naprawdę jesteś mój? - szepnęła, spoglądając na męża.*

*- Na wieki. Jedźmy do domu, moja żono! - szepnął, biorąc ją za*

*rękę.*

*Jechali do Oakley Park niczym para królewska. Droga wiała się wśród*

*łanów białej i różowej koniczyny. Wiatr, niosąc jej zapach, muskał kłosa*

*młodej pszenicy.*

*Kiedy nadejdzie jesień, te rozległe pola zmienią barwę, pomyślała*

*Lizzie. Staną się złote jak obrączka na moim palcu!*

*Gdy Devlin podniósł jej rękę do ust, uśmiechnęła się, a cała miłość do niego jaśniała w jej oczach.*

*Zapowiadały się dobre żniwa!*